

DAVID WEBER

**MARSZ
W GŁĄB LADU**



WEBER DAVID RINGO

JOHN

Marsz #1 Marsz w głąb ladu

DAVID WEBER JOHN RINGO

Trylogia: Marsz tom 1

Przełożył: Przemysław Bieliński

Wydanie polskie: 2002



ROZDZIAŁ PIERWSZY

–Jego Wysokość Książę Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock!

Książę Roger, ze swoim zwykłym, lekko znudzonym uśmiechem na twarzy, wszedł do komnaty, po czym stanął i rozejrzał się dookoła, poprawiając mankiety koszuli i krawat. Jedno i drugie uszyte było z pajęczego jedwabiu z Diabło, najdelikatniejszego i najbardziej miękkiego materiału w galaktyce. Ponieważ pozyskanie go utrudniały olbrzymie, plujące kwasem pająki, był to również materiał najdroższy.

Amos Stephens starał się nie zwracać uwagi na młodego paniczyka, którego zaanonsował z taką pompą. Dzieciak przynosił hańbę nazwisku rodziny swojej matki. Już sam krawat miał odrażający, a jaskrawa i wzorzysta brokatowa marynarka pasowała bardziej do burdelu niż na audiencję u Cesarzowej Ludzkości. Najgorsza jednak była jego fryzura. Przed wstąpieniem do Korpusu Służby Pałacowej Stephens przesłużył dwadzieścia lat w Marynarce Jej Wysokości. Jediną zmianą, jaka nastąpiła w jego wyglądzie, była srebrzysta siwizna w niegdyś kruczoczarnych, niezmiennie krótko obciętych włosach. Sam widok długich do pasa złotych loków młodszego syna Cesarzowej Alexandry doprowadzał starego lokaja do pasji.

Gabinet Jej Wysokości był uderzająco mały i skromny. Stojące w nim biurko rozmiarami pasowało bardziej do biura średniego stopnia managera jednej z ziemskich korporacji. Wystrój utrzymany był w surowym, lecz eleganckim tonie, praktyczne i wygodne krzesła pokrywały ręcznej roboty hafty i zdobienia. Większość obrazów stanowiły oryginały starych mistrzów. Jedyńm wyjątkiem był najslawniejszy z nich. „Oczekująca Cesarzowa” pochodziła z czasów Mirandy MacClintock, z okresu Daggerów, a malarz, Trachsler, idealnie uchwycił cechy oryginału. Szeroko otwarte, uśmiechnięte oczy ukazywały wszystkim prawomyślną ziemską poddaną i oddaną poplecnicz ką Lordów Daggerów – innymi słowy,

parszywego kolaboranta. Kiedy jednak patrzyło się na nią wystarczająco długo, nagle przechodziły człowieka dreszcze, a oczy Cesarzowej zmieniały swój wyraz. Stawały się oczami drapieżnika.

Roger ledwie zerknął na obraz i szybko odwrócił od niego wzrok. Wszyscy MacClintockowie żyli w cieniu starej wywrotowczynie, chociaż ona sama od dawna już nie żyła. Jako najpośledniejszy z jej potomków – i przynoszący najmniej powodów do dumy – Roger czuł już na sobie tyle cieni, że z trudem znosił jeszcze jeden.

Alexandra VII, Cesarzowa Ludzkości, patrzyła na swe najmłodsze dziecko spod przymkniętych powiek. Starannie wymierzona kąśliwość anonsu Stephensa najwyraźniej uszła uwagi księcia. Roger nie wydawał się być w najmniejszym stopniu urażony pogardą starego żołnierza.

W przeciwieństwie do swego ekstrawagancko odzianego syna, Cesarzowa Alexandra miała na sobie prostą, błękitną suknię o tak eleganckim kroju, że musiała być warta tyle, co mały statek kosmiczny. Odchyliła się na swym antygravitacyjnym fotelu i oparła twarz na dłoni, zastanawiając się po raz setny, czy podjęła słuszną decyzję. Musiała jednak myśleć o tysiącu innych rzeczy, równie istotnych, a tej konkretnej sprawie poświęciła już cały czas, jaki mogła i uważała za stosowne poświęcić.

–Matko – rzekł z wymuszonym szacunkiem Roger, skłaniając się niemal niezauważalnie, i spojrzał na swego brata, siedzącego obok Cesarzowej. – Czemu zawdzięczam zaszczyt widzenia dwóch tak dostojnych osobistości? – Na jego twarzy wciąż gościł delikatny, zarozumiały uśmiech.

John MacClintock skinął bratu głową i uśmiechnął się z przymusem. Znany w całej galaktyce dyplomata ubrany był w tradycyjny, błękitny garnitur z czesanej wełny, a za mankiet koszuli wsunął prostą damaskową chusteczką. Nieruchoma twarz i senne oczy bankiera kryły jednak umysł, który mógł mierzyć się z najlepszymi myślicielami odkrytego kosmosu. Mimo powoli wiotczającej sylwetki, wciąż mógłby zawodowo grać w golfa – gdyby tylko praca dla Jej Wysokości zostawiała mu na to trochę czasu.

Cesarzowa nachyliła się nagle do przodu i wbiła w swego najmłodszego syna wzrok o mocy lasera.

–Rogerze, wysyłamy cię w przestrzeń z misją dyplomatyczną.

Książę zamrugał oczami i przeczesał dłonią włosy.

–Tak? – spytał ostrożnie.

–Planeta Leviathan za dwa miesiące obchodzi Święto Połowu...

–Mój Boże, Matko! – Okrzyk Rogera przerwał Cesarzowej w pół zdania. – Chyba żartujesz!

–Nie żartujemy, Rogerze – powiedziała ostrym tonem Alexandra. – Być może głównym artykułem eksportowym Leviathana jest nierafinowany olej, ale w niczym nie zmienia to faktu, że to najważniejsza planeta w sektorze Strzelca, a żaden członek rodziny nie pojawił się na Świącie Połowu od dwudziestu lat. „Odkąd wyparłam się twojego ojca” – tego nie musiała mówić głośno.

–Ależ Matko! Ten smród! – zaprotestował książę, potrząsając głową i odrzucając z twarzy niesforny kosmyk włosów.

Nienawidził się za to, że jęczy, ale alternatywą było wążanie oleju przez co najmniej miesiąc. Nawet gdyby uciekł z Leviathana, usunięcie odoru z jego ubrań zajęłoby Kostasowi kilka tygodni. Na bazie oleju produkowano doskonałe perfumy – także wodę kolońską, którą spryskał się sam książę, jednak w swojej pierwotnej formie była to najobrzydliwszą substancja w całej galaktyce.

–Nie obchodzi Nas smród – ucięła Cesarzowa. – I ciebie również nie powinien. Jako reprezentant dynastii pokażesz Naszym poddanym, że zależy Nam na ich przynależności do Imperium do tego stopnia, że wysyłamy do nich własne dzieci. Czy to jasne?

Młody książę wyprostował się na swoje całe sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów i zebrał resztki godności.

–Oczywiście, Wasza Cesarska Wysokość. Wypełnię swój obowiązek w sposób, jaki uznasz za właściwy. Bo przecież jest to mój obowiązek, prawda? *Noblesse oblige* i tak dalej? – Arystokratyczne oblicze księcia zaczerwieniło się z tłumionego gniewu. – Przypuszczam, że powinienem w takim razie dopilnować pakowania. Jeśli pozwolisz...

Stalowy wzrok Alexandry przytrzymał go w miejscu jeszcze kilka sekund, po czym Cesarzowa machnęła dłonią w stronę drzwi.

–Idź, idź, I spisz się dobrze. – „Dla odmiany” zawisło niewypowiedziane w powietrzu.

Książę Roger jeszcze raz skłonił się niezauważalnie, ostentacyjnie odwrócił plecami i szybko wyszedł.

–Mogłaś to rozegrać lepiej, Matko – powiedział cicho John, kiedy za rozzłoszczonym młodzieńcem zamknęły się drzwi.

–Tak, mogłam – westchnęła Alexandra, opierając podbródek na splecionych

dłoniach. – I powinnam była, niech to szlag. On jest tak podobny do swojego ojca!

–Ale nim nie jest, Matko – zauważył John, – Przynajmniej dopóki go takim nie uczynisz albo nie sprawisz, że wybierze Nowy Madryt.

–Nie pouczaj mnie! – przerwała mu Cesarzowa, po czym odetchnęła głęboko i potrząsnęła głową.– Przepraszam cię, John. Miałeś rację. Zawsze masz rację. – Uśmiechnęła się smutno do syna. – Nie jestem zbyt dobra w sprawach osobistych, prawda?

–Dałaś sobie świetnie radę z Alex i ze mną – odparł John. – Jednak Roger musi się zmagać ze sporym ciężarem. Może czas zacząć traktować go trochę bardziej pobłażliwie.

–Nie! Jeszcze nie teraz!

–Dlaczego? Na pewno mógłby dostawać więcej niż otrzymywał przez ostatnie kilka lat. Alex i ja zawsze wiedzieliśmy, że nas kochasz – wytknął cicho John. – Roger nigdy nie miał tej pewności.

Alexandra potrząsnęła głową.

–Jeszcze nie teraz – powtórzyła spokojniejszym tonem. – Kiedy wróci, jeśli kryzys minie, wtedy spróbuję...

–Naprawić szkody? – powiedział szczerze John.

W jego łagodnych oczach nie było widać oskarżenia, jednak tak właśnie wyglądał, kiedy w imieniu Imperium wypowiadał wojnę.

–Wyjaśnić – powiedziała ostro Cesarzowa. – Opowiedzieć mu całą historię. Jeśli ja mu to wytłumaczę, może będzie to brzmiało sensowniej. – Przerwała, a rysy jej twarzy stwardniały. – A jeśli wciąż będzie popierał Nowy Madryt... Cóż, będziemy się martwić, kiedy nadejdzie czas.

–A do tego czasu? – John spokojnie przyjął jej na poły rozgniewane, na poły smutne spojrzenie.

–Do tego czasu postępujemy według planu. Wyślemy go najdalej, jak się da, od linii ognia.

I tak daleko, jak się da, od władzy, dodała w duchu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przynajmniej jest w dobrej formie, pomyślała starszy sierżant Eva Kosutic widząc, jak księżę zgrabnym saltem wychodzi ze stanu nieważkości i opada na wyłożone matami lądowisko. Musiała przyznać, że widziała doświadczonych żołnierzy Floty, którzy gorzej radzili sobie z tym manewrem. Gdyby tylko nabrał trochę charakteru...

Pierwszy pluton kompanii Bravo batalionu Brąz Osobistego Pułku Cesarzowej stał w równych szeregach wzdłuż przedniej ściany doku promu. Punktualnością pobili personel Floty, który jeszcze nie stawił się na miejscu. Batalion Brąz może i stał najniżej w hierarchii pułku, ale wciąż należał do najbardziej elitarnych jednostek w znanym wszechświecie, a to oznaczało, że musiał się świetnie prezentować.

Dopilnowanie tego należało do obowiązków sierżant Kosutic. Trzydziestominutowa kontrola była – jak zwykle – drobiazgowa aż do bólu. Każdy centymetr munduru i wyposażenia marines został szczegółowo sprawdzony. W ciągu ostatnich pięciu miesięcy, odkąd Kosutic była starszą sierżant kompanii Bravo, kapitan Pahner ani razu nie stwierdził naruszenia regulaminu przez żołnierzy, których sprawdzała. I nigdy nie stwierdzi, jeśli tylko ona, Eva Kosutic, będzie miała w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia.

Musiała też przyznać, że sama nieczęsto miała się do czego przyczepić. Wszyscy kandydaci do Pułku przechodzili dokładną i wyczerpującą selekcję. Trwający pięć tygodni Proces Eliminacji łączył najcięższy trening sił specjalnych z ciągłymi inspekcjami mundurów i sprzętu. Każdy marine, który chciał – a większość chciała – być odsyłany do swojej jednostki bez żadnych wyrzutów czy szykan. Było jasne, że do Pułku dostają się tylko najlepsi z najlepszych.

Kiedy rekrut uporał się już z PE, szybko odkrywał, że to nie koniec – stykał się z kolejną hierarchią. Prawie wszyscy świeży „peowcy” przydzielani byli do batalionu Brąz, gdzie spotykała ich niewysłowiona przyjemność pilnowania szlachetnie urodzonego gówniarza, który prędeziej naplułby na nich niż poświęcił im trochę czasu. Większość rekrutów podejrzewała, że to kolejny test. Jeśli udawało im się wytrwać osiemnaście miesięcy, mogli wybierać między awansem i pozostaniem w Brązie a staraniem się o przyjęcie do batalionu Stal, który strzegł księżniczki Alexandry.

Eva Kosutic odliczała dni, które zostały jej do odejścia z Brązu. Jeszcze sto pięćdziesiąt trzy i koniec, pomyślała, kiedy księżę schodził z maty lądowniczej.

Ucichły ostatnie nuty Hymnu Imperium. Kapitan statku wystąpił naprzód i zasalutował.

–Wasza Wysokość, kapitan Vii Krasnitsky do dyspozycji! Pozwolę sobie powiedzieć, że to zaszczyt gościć Waszą Wysokość na pokładzie *Charlesa*

Księżę zaszczyił kapitana leniwym machnięciem ręki i rozejrzał się po śluzie. Drobną brunetką, która wysunęła się z tuby zaraz za nim, ominęła go z dobrze maskowanym wyrazem gniewu na twarzy i uściśnęła dłoń kapitana.

–Eleanora O’Casey, kapitanie. To dla nas przyjemność gościć na pokładzie pana okrętu. – Dawna nauczycielka Rogera i naczelniczka jego świty spojrziała Krasnitsky’emu w oczy, starając się stworzyć choć pozór władzy. Roger znowu się dąsał. – Powiedziano nam, że w tej klasie okrętów nie ma załogi, która mogłaby się równać z pańską.

Kapitan zerknął w bok, na księcia, po czym odwrócił się z powrotem do O’Casey.

–Dziękuję, proszę pani. Cieszy mnie taka opinia.

–Wygraliście Zawody Tarawskie drugi raz z rzędu. Dla cywila to wystarczający dowód umiejętności. – Eleanora uśmiechnęła się promiennie i szturchnęła księcia łokciem. Roger obdarzył kapitana niewyraźnym, zamyślonym uśmiechem. Krasnitsky, przytłoczony obecnością członka dynastii, odetchnął z ulgą. Uznał, że księżę jest zadowolony i że jego kariera nie ucierpi od cesarskiej niełaski.

–Czy wolno mi przedstawić moich oficerów? – zapytał, odwracając się do ustawionej w szeregu załogi. – Jeśli Jego Wysokość sobie życzy, okrętowa kompania jest gotowa do inspekcji.

–Może później – zasugerowała pośpiesznie Eleanora. – Myślę, że Jego Wysokość wolałby, żeby zaprowadzić go do jego kabiny.

Jeszcze raz uśmiechnęła się do kapitana, układając w myślach wymówkę na później – że księżę doznał choroby lokomocyjnej w bezgrawitacyjnej tubie i dlatego był nieco rozkojarzony. Była to bardzo kiepska wymówka, ale załozie łatwiej będzie przełknąć „chorobę kosmiczną” niż wyjaśnienie, że księżę umyślnie zachowuje się jak dupek.

–Całkowicie rozumiem – powiedział kapitan ze współczuciem. – Zmiana środowiska potrafi być męcząca. Za pozwoleniem, proszę za mną.

–Niech pan prowadzi, kapitanie. Niech pan prowadzi – Eleanora obdarzyła go kolejnym promiennym uśmiechem i znów szturchnęła Rogera.

Błagam, niech nie upokorzy mnie jeszcze bardziej, zanim nie dotrzemy na Leviathana, pomyślała. Nie proszę chyba o zbyt wiele...

–O, Chryste o Kulach. To Mysz.

Kostas Matsugae spojrzął znad marynarek, które wypakowywał z podróźnych futerałów. Przedział sprzętowy wypełniał się Brązowymi Barbarzyńcami, a sposób, w jaki chowali swoje oporządzenie do szafek, wskazywał, że prędko go stamtąd nie wyjmą.

–Co to ma znaczyć? – zapytał suchym tonem drobny służący.

–Och, nie podniecaj się tak, Mysz – powiedział jeden z szeregowców o dłuższym stażu. – Na transportowcach desantowych nie ma za dużo miejsca. Chyba będziesz musiał się wcisnąć na miejsce ciężkiej broni. Hej, słuchajcie! – podniósł głos, by wszyscy usłyszeli go ponad gwarem rozmów i szczękiem sprzętu. – Mamy tu Mysz, więc żadnych świństw.

Jedna z kaprali przedefilowała przed podstarzałym służącym, zdejmując jednocześnie spódnicę munduru.

–Myszki, jak je kocham. Myszki prosto z puszki.

–Skubać je w paluszki, skubać w małe nóżki! – ryknęła chórem reszta plutonu.

Matsugae prychnął i na powrót skupił się na rozpakowywaniu garderoby księcia. Jego Wysokość będzie chciał dobrze wyglądać przy kolacji.

*** * ***

–Nie będę jadł kolacji w cholernej mesie! – powiedział Roger nadąsanym tonem, szarpiąc kosmyk włosów. Wiedział, że zachowuje się jak rozkapryszony gówniarz, i jak zwykle doprowadzało go to do szału. Cała ta sytuacja wydaje się być wymyślona tylko po to, żebym się wściekł, pomyślał gorzko i zaplótł dłonie tak mocno, że pobielały mu kłykcie, a przedramiona zdrząły z wysiłku.

–Nie pójdę – powtórzył niewzruszenie.

Eleanora wiedziała z doświadczenia, że rozpoczęcie teraz kłótni było prawdopodobnie stratą czasu, czasami jednak udawało się wydobyć księcia z jego ponurego nastroju. Czasami. Rzadko.

–Roger – zaczęła spokojnie. – Jeśli nie pójdziesz na pierwszą kolację na pokładzie, będzie to policzek dla kapitana Krasnitsky’ego i jego oficerów...

–Nie pójdę! – krzyknął i z widocznym wysiłkiem zapanował nad sobą.

Cały dygotał, a kabina wydała się nagle zbyt mała, by pomieścić jego złość i

frustrację. Była to kajuta kapitana, najlepsza na statku, ale w porównaniu z Pałacem czy nawet z imperialnymi okrętami Floty Cesarzowej, którymi podróżował w przeszłości, wydawała się ciasna niczym schowek na miotły.

Roger odetchnął głęboko i wzruszył ramionami.

–Wiem, zachowuję się jak dupek. Ale i tak nie idę. Wymyśl jakąś wymówkę – powiedział, niespodziewanie uśmiechając się po szelmowsku. – Jesteś w tym dobra.

Eleonora potrząsnęła głową ze złością, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu. Roger potrafił być rozbijająco uroczy.

–Dobrze, Wasza Wysokość. Do zobaczenia rano.

Cofnęła się o krok, by otworzyć drzwi, wyszła i wpadła na Kostasa Matsugae.

–Dobry wieczór, proszę pani – powiedział służący, odskakując zręcznie mimo naręcza ubrań.

Musiał uchylić się jeszcze raz, by nie wpaść na żołnierza strzegącą drzwi do kajuty Rogera, marine jednak nie drgnęła ani nie zmieniła wyrazu twarzy. Jeśli rozbawiły ją podskoki służącego, żelazna dyscyplina nie pozwalała jej tego okazać. Członkowie Osobistego Pułku Cesarzowej znani byli z umiejętności zachowywania powagi i trwania w bezruchu niezależnie od sytuacji. Od czasu do czasu urządzali zawody, by ustalić, które z nich jest najbardziej wytrzymałe. Rekord należał do byłego plutonowego z batalionu Złoto – dziewięćdziesiąt trzy godziny stania w postawie zasadniczej bez jedzenia, snu i wychodzenia do łazienki. Najtrudniejsze, jak sam przyznał, było to ostatnie. Zemdlął w końcu z odwodnienia i nagromadzenia toksyn w organizmie.

–Dobry wieczór, Matsugae – odparła Eleanora i powstrzymała uśmiech. Nie przyszło jej to łatwo, ponieważ drobny służący był niemal niewidoczny spod stosu ubrań. – Przykro mi to mówić, ale nasz książę nie będzie jadł kolacji w mesie, więc nie sądzę, żeby tego wszystkiego potrzebował.

–Co takiego? Dlaczego? – zapiszczał spod marynarek Matsugae. – Och, trudno. Mam tu też strój na wieczór, więc może chociaż to się przyda. – Pokręcił głową. Jego łysina i okrągła twarz wychynęły spod sterty ubrań niczym kijanka. – Mimo wszystko szkoda. Wybrałem wspaniałą garnitur w kolorze palonej sjeny.

–Może uda ci się go ugłaskać. – O’Casey uśmiechnęła się z rezygnacją. – Ja tylko bardziej go rozwścieczyłam.

–Rozumiem, dlaczego jest zdenerwowany – zapiszczał ponownie służący. – Zostać wysłanym z bezsensownym zadaniem gdzieś na koniec świata to i tak źle, ale

wysłanie tam księcia krwi na zwykłej, żołnierskiej barce to najgorsza zniewaga, jaką mogę sobie wyobrazić!

Eleanora ściągnęła usta i skrzywiła się.

–Nie pogarszaj sprawy, Matsugae. Prędzej czy później Roger będzie musiał wziąć na siebie odpowiedzialność, jaka spoczywa na członkach rodziny cesarskiej. A to oznacza poświęcenia. – Na przykład trzeba będzie poświęcić trochę czasu, żeby znaleźć naczelnicze świty jakąś świtę – pomyślała. – Nie należy pogarszać jego nastroju.

–Niech pani troszczy się o niego na swój sposób, pani O’Casey, a ja będę się troszczył na swój – uciał służący. – Zrobiliście z dzieciaka popychle, pogardzacie nim, wypędziliście jego ojca. Czego się spodziewaliście?

–Roger nie jest już dzieckiem – odparła ze złością O’Casey. – Nie możemy go dłużej pieścić, kapać i ubierać.

–Nie – odparował Matsugae. – Ale możemy dać mu trochę swobody! Możemy stworzyć dla niego jakiś wizerunek i mieć nadzieję, że się do niego dopasuje.

–Na przykład wizerunek strojnisia? – palnęła Eleanora. Klócili się o to już od dawna, a służący zdawał się wygrywać. – Do tego dopasował się idealnie!

Matsugae spojrział na nią tak, jak mała, odważna mysz mogłaby patrzeć na kota.

–W przeciwieństwie do niektórych, Jego Wysokość umie docenić elegancję i szyk – syknął, ostentacyjnie patrząc na prosty strój O’Casey. – Jest jednak kimś więcej niż tylko strojnisiem. Dopóki niektórzy z was nie przyjmą tego do wiadomości, nic nie wskóracie.

Popatrzył na nią ze złością, po czym łokciem otworzył sobie drzwi i wszedł do kajuty.

* * *

Roger leżał na łóżku, zaciskając oczy i promieniując niebezpiecznym spokojem. Mam dwadzieścia dwa lata, pomyślał. Jestem księciem Imperium. Nie będę płakał tylko dlatego, że zdenerwowała mnie mama.

Usłyszał dźwięk rozsuwanych drzwi do kabiny i natychmiast zorientował się, kto wszedł. Zapach wody kolońskiej Matsugae w tak małym pomieszczeniu niemal zwałął z nóg.

–Dobry wieczór, Kostas – powiedział książę spokojnie. Sama obecność służącego

sprawiła, że czuł się lepiej. Niezależnie od tego, co myśleli inni, Matsugae zawsze oceniał go sprawiedliwie. Mówił wprost, jeśli Roger zrobił coś nie tak, ale nigdy nie przeoczył żadnej jego zasługi.

–Dobry wieczór, Wasza Wysokość – powiedział Kostas, przygotowując jeden ze strojów, w którym księżę lubił odpoczywać. – Życzy pan sobie umyć włosy?

–Nie, dziękuję – odparł Roger z niespodziewaną uprzejmością. – Pewnie słyszałeś, że nie jem kolacji w mesie?

–Oczywiście, Wasza Wysokość – odparł służący. Księżę usiadł na łóżku i rozejrzał się z niesmakiem. – To wielka szkoda. Wybrałem naprawdę wspaniały strój, ten lekki garnitur w kolorze palonej sjeny, który tak ładnie pasuje do włosów Waszej Wysokości.

Roger uśmiechnął się lekko.

–Nieźle, Kosie, ale nic z tego. Jestem za bardzo skołowany, żeby pilnować manier przy stole. – Złapał się obiema dłońmi za głowę. – Zniósłbym Leviathana, zniósłbym Święto Połowu, zniósłbym olej i całą resztę. Tylko dlaczego, och dlaczego Jej Wysokość Matka postanowiła wysłać mnie tam na pokładzie drobnicowca?

–To nie drobnicowiec, Wasza Wysokość, i pan o tym wie. Potrzebowaliśmy miejsca dla żołnierzy, a jedyną alternatywą byłoby wysłanie nosiciela Floty. Co byłoby lekką przesadą, nie uważa pan? Przyznaję jednak, że jest tu trochę... niechlujnie.

–Niechlujnie?! – Księżę roześmiał się gorzko. – Ten okręt jest tak zużyty, że dziwię się, jakim cudem jest tu jeszcze powietrze! Jest taki stary, że kadłub na pewno był spawany! Dziwię się, że nie lecimy napędzani silnikiem spalinowym, albo jeszcze lepiej, parowym! John na pewno dostałby nosiciela. Alexandra także dostałaby nosiciela! Ale nie Roger! O nie, nie „Mały Rój”!

Służący skończył rozkładanie strojów dla księcia i odsunął się z rezygnacją na twarzy.

–Czy mam przygotować kąpiel dla Waszej Wysokości? – spytał znacząco.

Roger zgrzytnął zębami, słysząc ton jego głosu.

–Mam przestać jęczeć i wziąć się w garść, tak?

Matsugae jedynie uśmiechnął się lekko. Księżę potrząsnął głową.

–Jestem za bardzo zdenerwowany, Kosie. – Rozejrzał się po trzech metrach kwadratowych kajuty. – Szkoda, że nie ma na tej balii miejsca, gdzie mógłbym w

spokoju poćwiczyć.

–Tuż obok kwater jednostki szturmowej jest sala ćwiczeń, Wasza Wysokość – zauważył służący.

–Powiedziałem „w spokoju” – zauważył sucho Roger.

Wolał w miarę możliwości unikać żołnierzy, których był nominalnym dowódcą, ponieważ miał już dość znaczących spojrzeń i szeptów. Prześladowały go przez cztery lata Akademii. To samo ze strony ludzi, którzy mieli go chronić, byłoby trudne do zniesienia.

–Większość pokładowej kompanii w tej chwili je, Wasza Wysokość – zauważył Matsugae. – Miałby pan prawdopodobnie całą salę dla siebie.

Myśl o solidnym treningu była niezwykle kusząca. W końcu Roger skinął głową.

–W porządku, Matsugae. Chodźmy.

*** * ***

Kiedy ze stołu zniknął już deser, kapitan Krasnitsky spojrzał znacząco na podporucznik Guhę. Twarz czarnoskórej młodej kobiety pociemniała jeszcze bardziej, a ona sama wstała, trzymając w ręku kieliszek wina.

–Panie i panowie – zaczęła ostrożnie. – Za Jej Wysokość Cesarzową. Niech władza nami długo!

–Za Cesarzową! – powtórzyli wszyscy chórem. Krasnitsky odchrząknął.

–Przykro mi, że Jego Wysokość źle się czuje, kapitanie – uśmiechnął się do kapitana Pahnera. – Czy możemy mu jakoś pomóc? Ciężenie, temperatura i ciśnienie powietrza w jego kabinie są na tyle zbliżone do ziemskich, na ile udało się to osiągnąć mojemu głównemu mechanikowi.

Pahner odstawił niemal nietknięte wino i skinął głową.

–Jestem pewien, że Jego Wysokość szybko dojdzie do siebie.

Przez myśl przeszło mu kilka innych rzeczy, ale szybko je stłumił.

Po zakończeniu tej podróży miał objąć komendę w podobnej jednostce, tyle że większej. Jak wszyscy oficerowie Osobistego Pułku Cesarzowej, znajdował się na liście do awansu. Po zakończeniu tury miał zostać dowódcą drugiego batalionu 502. Pułku Uderzeniowego. Ponieważ 502. był główną jednostką naziemną Siódmej Floty, Pahner mógł liczyć, że zobaczy trochę akcji, i już się z tego cieszył. Nie był

fanatykiem wojny, ale uważał, że jedynie w ogniu walki można sprawdzić, czy jest się prawdziwym marine. Cieszył się na myśl, że znów założy mundur polowy.

Po ponad pięćdziesięciu latach służby jako poborowy, a potem oficer, Pahner wiedział, że dowodzenie dwiema jednostkami – w Osobistym Cesarzowej i 502. Uderzeniowym – to kres jego możliwości. Od tej chwili wszystko miało pójść już z górki. Albo przejdzie na emeryturę, albo zostanie pułkownikiem, a potem generałem brygady, co tak naprawdę równało się posadce za biurkiem, Imperium bowiem nie wystawiło całego pułku od kilkuset lat. Przytłaczała go myśl, że światełko na końcu tunelu okazało się antygravitacyjnym pociągiem.

Kapitan Krasnitsky odczekał jeszcze chwilę, po czym uznał, że ponury marine nic więcej już nie powie. Ze sztucznym uśmiechem odwrócił się do Eleanory.

–Czy reszta świty udała się na Leviathana, by przygotować powitanie dla księcia, panno O’Casey?

Eleanora upiła trochę więcej wina niż wypadało i spojrzała na Pahnera.

–Ja jestem resztą świty – powiedziała zimno.

Oznaczało to, że przodem nikogo nie wysłano. Oznaczało to również, że kiedy przybędą już na miejsce, to ona będzie biegać z wywieszonym językiem i załatwiać wszystkie drobiazgi, którymi powinna się zająć świta. Ta sama świta, której była naczelniczką. Tajemnicza, czarodziejsko niewidzialna świta.

Kapitan zrozumiał, że konwersacja zaczyna przypominać spacer po polu minowym. Uśmiechnął się jeszcze raz, upił wina i zaczął pogawędkę z oficerem technicznym, siedzącym po jego lewej ręce, mając nadzieję, że nie zirytuje jeszcze bardziej członka Imperialnego Dworu.

Pahner zwilżył usta winem i spojrzał na sierżant Kosutic. Kobieta rozmawiała z jednym z bosmanów; dostrzegła wzrok kapitana i uniosła brwi, jakby chcąc powiedzieć „co ja ci poradzę?”. Pahner wzruszył lekko ramionami i odwrócił się do podporucznika po lewej. Co innego im zostało?

ROZDZIAŁ TRZECI

Pahner cisnął elektroniczny notatnik na biurko w małym gabinecie Dowódcy Jednostki Szturmowej.

–Nic więcej nie wymyślimy, dopóki nie dowiemy się, jakie warunki panują na lądzie – powiedział do Kosutic, a sierżant filozoficznie wzruszyła ramionami.

–Pograniczne światy pełne zahartowanych indywidualistów rzadko kiedy rodzą zamachowców, szefie.

–To fakt – przyznał Pahner. – Mimo to jesteśmy wystarczająco blisko Raiden-Winterhowe i Świętych, żebym nie mógł spokojnie spać.

Kosutic kiwnęła głową, ale wiedziała, że lepiej nie zadawać większości pytań, które właśnie leżały jej w głowie. Skubnęła się w ucho, na którym delikatnie połyskiwała wypalona czaszka ze skrzyżowanymi pieszczelami, i spojrzała na staroświecki zegarek, który nosiła na nadgarstku.

–Przejdę się po statku – oznajmiła. – Sprawdzę, ilu wartowników śpi na posterunku.

Pahner uśmiechnął się. Służył w Pułku już drugą turę i nigdy nie znalazł śpiącego na warcie żołnierza. Człowiek nie docierał tak daleko, jeśli choćby się garbił po godzinie stania na baczność. Mimo to nic nie szkodziło sprawdzić.

–Baw się dobrze – powiedział.

* * *

Podporucznik Guha skończyła zapinać buty i rozejrzała się po kajucie. Wszystko było na swoim miejscu, więc podniosła z podłogi czarną torbę i dotknęła przycisku otwierającego drzwi. Gdzieś w głębinach jej umysłu coś krzyczało. Był to jednak bardzo cichy krzyk.

Wyszła z kabiny, skręciła w prawo i zarzuciła niezwykle ciężką torbę na ramię. Jej zawartość została natychmiast wykryta przez kontrolny skan bezpieczeństwa, standardową procedurę w przypadku przewożenia członka rodziny cesarskiej... i została wykryta. A potem zaakceptowana. Okręt desantowy został zaprojektowany do przewożenia pełnego wyposażenia marines, w tym całego ich niszczycielskiego bagażu. Sześć supergęstych cegiełek najpotężniejszego znanego materiału wybuchowego powinno wystarczyć. Była to przyjemna myśl, a stanowisko Guhy w logistyce dawało jej nieograniczony dostęp do sprzętu. To było jeszcze przyjemniejsze. Podporucznik aż promieniała zadowoleniem. Jej kajuta znajdowała się przy burcie okrętu, tam gdzie większość pomieszczeń mieszkalnych, więc od

maszynowni dzieliła ją długa droga. Miała to jednak być przyjemna podróż, nawet pomimo cichego krzyku wewnętrznego głosu.

Podporucznik szła korytarzem, uśmiechając się uprzejmie do spotykanych z rzadka osób. Nikt nie zatrzymywał oficera zaopatrzeniowego. W ciągu całej swojej tury często chodziła nocą po statku, co wszyscy przypisywali zwykłej bezsenności. Faktycznie, cierpiała na bezsenność, jednak tej nocy trudno było nazwać ją zwykłą bezsennością.

Przemierzała splątane korytarze olbrzymiej sfery, zjeżdżając windami na niższe poziomy, zataczając koła, które coraz bardziej przybliżały ją do maszynowni. Wybrała taką trasę, by ominąć posterunki marines, wystawione w strategicznych punktach statku. Chociaż ich detektory nie wykryłyby materiałów wybuchowych dopóki nie podeszłyby bardzo blisko, to bez wątpienia zdradziłyby, że w tej samej torbie ma naładowany zasilacz pistoletu śrutowego.

Horyzont pomalowanych na szaro ścian kurczył się coraz bardziej, w miarę jak zbliżała się do środka kuli. W końcu wyszła z ostatniej windy.

Ten korytarz był dla odmiany zupełnie prosty, a jego drugi koniec zamykały hermetyczne wrota. Obok nich, zasłaniając klawiaturę zanika, stał marine w srebrno-czarnym mundurze domu MacClintock.

*** * ***

Kiedy otworzyły się drzwi windy, szeregowy Hagazi stanął na baczność, odruchowo sięgając do kabury po broń, rozluźnił się jednak rozpoznawszy panią oficer. Widział ją wielokrotnie podczas jej wędrówek po okręcie, nigdy jednak przy maszynowni.

Pewnie się nudzi, pomyślał. A może będę miał szczęście? Tak czy inaczej, otrzymał jasne rozkazy.

–To teren zastrzeżony, proszę pani – powiedział, wciąż stojąc na baczność. – Proszę opuścić teren zastrzeżony.

*** * ***

Podporucznik Guha uśmiechnęła się ponuro, kiedy przed jej oczami pojawiły się siatka i krzyżyk celownika. Prawą ręką, ukrytą w torbie, odbezpieczyła pistolet i ustawiła go na pięciostrzalową serię.

Umieszczone w lufie elektromagnesy nadały pięciomilimetrowym pociskom o stalowych płaszczach i szklanym rdzeniu niesamowitą prędkość wylotową. Odrzut był straszny, jednak wszystkie pięć kul opuściło lufę zanim broń zdążyła szarpnąć. Siła tego szarpnięcia wyrwała rękę podporucznik Guhy z dymiącej teraz torby, ale

pociski pomknęły w kierunku wartownika.

*** * ***

Hagazi miał refleks. Trzeba było go mieć, jeśli służyło się w Pułku. Miał też jednak mniej niż ósmą część sekundy na reakcję między ostrzegawczym ukłuciem instynktu a trafieniem pierwszego pocisku w jego pierś.

Zewnętrzna powłoka munduru marines zrobiona była z syntetycznego materiału przypominającego wełnę, lecz ognioodpornego. Nie była kuloodporna. Następną jednak warstwę stanowił aktywny pancerz. Kiedy pociski uderzyły, polimery munduru natychmiast zareagowały. Pod wpływem energii kinetycznej pocisków ich wiązania chemiczne przesunęły się, zmieniając miękki materiał w twardą jak stal osłonę. Taka zbroja miała swoje słabe punkty i była podatna na cięcia, lecz jednocześnie lekka i niemal całkowicie odporna na ogień z broni ręcznej.

Jednak każdy materiał ma swoją granicę wytrzymałości. W przypadku mundurowego pancerza marines granica ta była odległa, ale możliwa do przekroczenia. Pierwszy pocisk roztrzaskał się o powierzchnię zbroi – metalowe i szklane odpryski posiekały podbródek żołnierza w chwili, kiedy sięgał po broń. Marine zaczął przyklękać na kolano. Drugi pocisk trafił kilka centymetrów nad pierwszym. Ten również się rozprysnął, jednak jego uderzenie nadwątlilo wiązania cząsteczkowe materiału pancerza.

Trzeci pocisk załatwił sprawę. Nadlatując tuż za drugim, lecz odrobinę niżej, roztrzaskał aktywną zbroję jak szkło i wbił się w niechroniony już mostek żołnierza.

*** * ***

Podporucznik Guha starła krew z klawiatury i podłączyła małe urządzenie do skanera temperatury powierzchni ciała. Jako oficer zaopatrzeniowy nie знаła kodów wejściowych do maszynowni, nie miała też właściwych rysów twarzy. Każde jednak zabezpieczenie da się obejść, a to nie było wyjątkiem. System bezpieczeństwa zobaczył w podczerwieni sylwetkę głównego mechanika *DeGloppera* i otrzymał właściwe kody dokładnie w tej samej chwili, w której zostałyby przez niego wpisane. Guha przeszła przez wrota i rozejrzała się zadowolona, lecz nie zaskoczona tym, że w zasięgu wzroku nikogo nie ma.

Maszynownia była olbrzymia – zajmowała ponad jedną trzecią wnętrza kadłuba. Większość tej przestrzeni zajmowały cewki napędu tunelowego i zasilające je akumulatory, wyjące przenikliwie i wypaczające zasady einsteinowskiej rzeczywistości. Bariera prędkości światła dawała się przekroczyć, wymagało to jednak olbrzymiej ilości energii, a napęd tunelowy zajmował wprost proporcjonalną do tego ilość miejsca.

Wytwarzane przezeń pole było jednak mniej lub bardziej stałe. Podobnie jak w przypadku napędów fazowych, istniały granice jego objętości, jednak masa znajdująca się wewnątrz nie miała znaczenia. Dzięki temu możliwe było zbudowanie olbrzymich transportowców należących do rozmaitych Imperialnych i republikańskich flot, ścierających się w przestrzeni.

Wszystko to jednak zależało od mocy. Olbrzymiej, z trudem kontrolowanej mocy.

Podporucznik Guha skręciła w lewo i ruszyła łukowatym korytarzem. Napęd wciąż wył swą gwiazdną pieśń.

* * *

Kosutic skinęła głową strażnikowi na pokładzie magazynowym i wyszła z drzwi. Żołnierz, żółtodziób z pierwszego plutonu, zatrzymała ją, kazała poddać się skanowi temperatury twarzy i wstukać kod. Właśnie to powinna była zrobić, dlatego też sierżant kiwnęła z aprobatą głową. Zapamiętała też jednak, by porozmawiać z Margaretą Lai, sierżantem pierwszego plutonu. Marine wyraźnie się rozluźniła, kiedy poznała Kosutic, a nie powinna ufać nikomu i niczemu. Przeznaczeniem i celem istnienia Pułku była nieustająca paranoja. W obecnych czasach nie było innego skutecznego sposobu ustrzeżenia kogoś przed niebezpieczeństwem.

Mimo początkowych sukcesów, przejście od stworzenia pierwszych, prymitywnych komputerów do zaprojektowania systemu implantów, które łączyłyby się z ludzkim systemem nerwowym bez niebezpiecznych efektów ubocznych, zajęło ludzkości prawie tysiąc lat. „Tootsy” wciąż traktowane były jak technologiczne nowinki i cały czas je usprawniano. Były też koszmarem dla każdego specy od bezpieczeństwa, ponieważ za ich pośrednictwem możliwe było przejęcie kontroli nad ciałem człowieka. Kiedy do tego dochodziło, ofiara nie miała nad sobą żadnej władzy, Marines nazywali takich ludzi „toombi”.

W niektórych społecznościach zmodyfikowanych tootsów używano do kontrolowania skazanych przestępców, na większości światów jednak, łącznie z Imperium Człowieka, korzystanie z nich w taki sposób było niezgodne z prawem, a cała produkcja przeznaczana była na cele wojskowe. Marines powszechnie używali tootsów jako bojowych systemów wspomagających, nawet oni jednak traktowali je z nieufnością.

Chodziło o hacking. Osobę ze „zhackowanym” tootsem można było zmusić do zrobienia dosłownie wszystkiego. Dwa lata temu ktoś zorganizował zamach na premiera Imperium Alphańskiego, używając do tego celu człowieka-dyplomaty ze zhackowanym tootsem. Hackera nigdy nie znaleziono, lecz kiedy rozpracowano już wszystkie zabezpieczenia, okazało się, że zorganizowanie zamachu było dziecinnie proste. Tootsy zaprojektowano tak, by można było przesyłać do nich dane drogą

radiową. W bagażu niedoszedłego zamachowca znaleziono mały nadajnik, zamaskowany jako stary, cenny zegarek. Pojawiły się teorie, że dyplomata otrzymał go w prezencie, skądkolwiek jednak ów nadajnik się wziął, zawładnął tootsem biedaka niczym demon ukryty w starożytnej puszcze Pandory.

Od tamtej pory wszyscy żołnierze Pułku i służący rodziny cesarskiej musieli poddawać się co jakiś czas skanowaniu, a protokoły zabezpieczeń ich tootsów jeszcze raz usprawniono. Kosutic wiedziała o tym, ale zdawała sobie także sprawę, że nie istnieje coś takiego jak zabezpieczenie doskonałe.

Zapisała w swoim tootsie, że musi porozmawiać z sierżantem Lai, i uśmiechnęła się, kiedy uświadomiła sobie własną niekonsekwencję. Wstąpiła do marines zanim zaczęto stosować tootsy, ale z czasem uzależniła się od nich tak jak wszyscy. To, że postrzegała je jako największe zagrożenie, było zabawną, a jednocześnie gorzką ironią losu.

Weszła do windy i jeszcze raz sprawdziła grafik wart. Przy maszynowni stał Hagazi. Dobry żołnierz, ale zupełnie świeży. Zbyt świeży. Cholera, wszyscy byli zbyt świeży – przez osiemnaście miesięcy nabierali doświadczenia, a potem większość przechodziła do Stali. Ci, którzy zostawali w Brązie, rzadko kiedy zaliczali się do najlepszych. Pomyślała o Julianie i roześmiała się. Oczywiście, byli najlepsi i najlepsi. Mimo to zamierzała przypomnieć Hagaziemu, który był ogólnie dobrym żołnierzem, że powinien być nieustannie podejrzliwy aż do przesady.

* * *

Stała w kałuży krwi żołnierza. Nie zaprzętała sobie głowy sprawdzaniem pulsu – nikt, kto stracił tyle krwi, nie mógł pozostać przy życiu, a ona nie zamierzała tracić czasu na bezużyteczne gesty. Myślała intensywnie, co dalej. Nie zajęło jej to czasu – ludzie, którzy mieli problemy z podejmowaniem decyzji, nie zostawali podoficerami w Osobistym Cesarzowej.

Nacisnęła przycisk komunikatora.

–Sierżant straży. Pełny skład do maszynowni. Mamy problem. Nie ogłaszać alarmu generalnego.

Rozłączyła się. Żołnierze doniosą o sprawie Pahnerowi, a zamachowiec o niczym się nie dowie, ponieważ marines używali kodowanej łączności. Oczywiście sabotażysta – a morderca wartownika musiał planować sabotaż – mógł zostawić za sobą kilka zabawek, które miały go ostrzec, gdyby został wykryty.

Kosutic odpięła czujnik od pasa martwego żołnierza i omiotła nim drzwi. Żadnych wyraźnych śladów. Wstukała kod wejściowy i skulona wskoczyła do środka. Krew zaczynała gęstnieć, a ciało stygnąć, więc zabójcy przypuszczalnie nie było już w

pobliżu, jednak Eva Kosutic nie dożyłaby stopnia starszej sierżant sztabowej, opierając się tylko na przypuszczeniach.

–Maszynownia, tu starszy sierżant Kosutic – powiedziała do komunikatora. – Nie ogłaszać, powtarzam, nie ogłaszać alarmu. Mamy tu chyba sabotażystę. Wasz wartownik nie żyje. – Zatoczyła koło czujnikiem. Wszędzie dookoła lśniły ślady ciepła, większość z nich, z wyjątkiem jednego, prowadziła na wprost. Ten skręcał w lewo i wyglądał na świeższy niż pozostałe.

–Co? – zatrzeszczał komunikator z niedowierzaniem. – Gdzie?

–Wygląda na kwadrant czwarty – rzuciła Kosutic. – Zabrać skanery i vidy. Znajdźcie ich.

Ktoś, z kim rozmawiała, milczał przez chwilę.

–Zrozumiałem – powiedział w końcu.

Kosutic miała szczerą nadzieję, że nie był to sabotażysta.

* * *

Podporucznik Guha zatrzymała się i rozejrzała. Wywołała siatkę mierniczą, za pomocą której zlokalizowała właściwy punkt na przegrodzie po prawej, po czym wyjęła z torby kilogramową kostkę materiału wybuchowego. Zdarła plastikową okleinę i przytwierdziła ładunek do ściany. Popatrzyła na niego krytycznie, chcąc się upewnić, że nie spadnie, po czym wyjęła zawleczkę i wcisnęła przycisk aktywacji. Błysnęło czerwone światelko – bomba była uzbrojona.

Guha ruszyła w lewo. Zostały jeszcze trzy.

* * *

Kapitan Pahner dopiął kombinezon maskujący i ustawił hełm na pełną hermetyczność. Sierżant Jin, już w pełnym oporządzeniu, stał obok niego w zjeżdżającej na dół windzie. Do pasa przypięty miał hełm Kosutic, a przez ramię przerzucony jej kombinezon. Standardowe kombinezony marines dawały lepszą niż mundury ochronę przed pociskami, wtapiały się w tło i umożliwiały działanie w próżni. Nie były tak dobre jak pancerze bojowe, ale na założenie ich nie było czasu. Kapitan na wszelki wypadek postawił w stan gotowości pluton w pełnym wyposażeniu, ale jeśli sprawa nie miała rozstrzygnąć się w ciągu najbliższych kilku minut, to on nie nazywał się Armand Pahner.

–Eva – rzucił do mikrofonu hełmu. – Odezwij się.

–Na razie trzy. Kilogramowe ładunki dokładnie nad kanałami plazmy. Mają zamontowane zabezpieczenia, czują to.

–Kapitanie Krasnitsky, mówi kapitan Pahner – powiedział marine ostrym tonem. Zaskoczenie to stan umysłu, a nie rzeczywistość, przypomniał sobie. – Musimy odciąć te kanały.

–Nie możemy – odparł Krasnitsky. – Nie można, ot tak, wyłączyć napędu tunelowego. Jeśli spróbujemy, wyskoczymy w losowym punkcie sfery o promieniu dziewięciu lat świetlnych. A plazmę i tak najpierw trzeba spowolnić. Jeśli próbuje się ją po prostu zatrzymać... eksploduje. Możemy wszystko stracić.

–Gdyby miał pan zostać trafiony w maszynownię przez ostrzał wroga – zapytał Pahner. – Co by pan zrobił?

–Bylibyśmy wtedy na napędzie fazowym – uciał Krasnitsky. – Nie da się nikogo ostrzelać w przestrzeni tunelowej. Nie ma żadnej procedury działania w takim przypadku!

–Kurwa – powiedział cicho Pahner. Nikt nigdy wcześniej nie słyszał, żeby kapitan przeklinał. – Pani sierżant, proszę się stamtąd wynosić.

–Nie widzę zegarów.

–Są tam.

–Pewnie tak. Ale jeśli uda mi się dopaść zamachowca...

–Mogą mieć martwe detonatory. – Pahner zgrzytnął zębami, wychodząc z windy. – To rozkaz, starszy sierżant Kosutic. Proszę się stamtąd wynosić. Już.

–Szybciej wydostanę się idąc za zamachowcem niż zawracając – zauważyła łagodnie Kosutic.

Pahner spojrzał na pierwszą bombę. Tak, jak powiedziała sierżant, nie wyróżniała się niczym szczególnym, ale przeczucie mówiło kapitanowi, że ma zainstalowane zabezpieczenia. Pahner odwrócił się do plutonowego Bilalego z pierwszego plutonu, który jak na kogoś, kto stoi kilka stóp od mogącej w każdej chwili wybuchnąć bomby, zachowywał się przerażająco spokojnie. Szeregową obok niego nie była aż tak opanowana – wpatrywała mu się w plecy i głęboko, regularnie oddychała. Była to standardowa metoda radzenia sobie ze stresem bojowym, który najwyraźniej właśnie przeżywała. Pahner spojrzał pytająco na Bilalego.

–Saperzy?

–Zaraz tu będą, sir – odparł spokojnie plutonowy.

–W porządku – skinął głową kapitan i rozejrzał się dookoła.

Jeśli będą mieli dość czasu, mogą spróbować zdetonować bomby pod kontrolą. Ładunek umieszczony tuż obok bomby zniwelowałby jej kierunkowy strumień plazmy, a przegrody chroniące kanały były opancerzone. Nie było niebezpieczeństwa naruszenia ich bez eksplozji kierunkowej. Jedynym minusem tego planu był fakt, że saperzy musieli pojawić się na miejscu zanim bomby wybuchną.

–Jeśli zdołasz zachować spokój, chociażby wszyscy go już stracili... – wyszeptał Pahner, myśląc gorączkowo.

–Słucham, sir?

–Czy ktoś idzie za sierżant Kosutic?

–Tak, sir – powiedział Bilali. – Dwie grupy idą z obu końców, a jedna przez środek maszynowni.

–W porządku, wszyscy wiemy, jacy jesteśmy odważni, ale granica między odwagą a głupotą jest bardzo cienka. Wychodzimy stąd i odcinamy korytarz na wypadek eksplozji.

–Zrozumiałem, sir. – Czarna jak noc twarz Bilalego nawet nie drgnęła. Dotknął komunikatora. – Straż. Wszyscy oprócz grup poszukiwawczych, opuścić korytarz. Odciąć go z obu stron.

Korytarz okrążał cały statek. Odchodzące od niego boczne przejścia zamykały się automatycznie. Otwarte pozostawały jedynie drzwi do głównego korytarza oraz wrota przeciwpożarowe. Jeśli dojdzie do najgorszego...

–Kapitanie Krasnitsky – zapytał Pahner. – Co się stanie, jeśli odetniemy korytarz, a bomby eksplodują?

–Nic dobrego – odparł damski głos. – Mówi komandor porucznik Furtwangler, główny mechanik. Po pierwsze, śluzy nie powstrzymają przecieków plazmy. Może zalać maszynownię. Jeśli nawet przeżyjemy, to i tak wypadniemy z przestrzeni tunelowej. Przy takich uszkodzeniach nie uruchomimy napędu ponownie, a jeśli nawet, to będziemy mieli o wiele mniejszy zasięg. Jeden szatan wie, jakie jeszcze mogą być uszkodzenia. Nic dobrego – powtórzyła.

Pahner kiwnął głową widząc, jak wrota zamykają się, odcinając jego marines. Faktycznie, nie działo się nic dobrego.

Kosutic rozgryzła schemat, według którego podłożone były bomby. Kiedy szóste wrota się zamknęły, skoczyła do przodu i pojechała na brzuchu po podłodze, łapiąc w pole widzenia miejsce, gdzie powinien być następny ładunek.

Podporucznik Guha wypruła serię pocisków, które z trzaskiem przeszły powietrze w miejscu, w którym pojawiłaby się Kosutic, gdyby wybiegła zza zakrętu korytarza wyprostowana. Odrzut broni szarpnął rękami Guhy w górę, mimo że trzymała pistolet w obu dłoniach. Drugi raz nie zdążyła wycelować.

Eva Kosutic była weteranem setki bitew. Tygodniowo wystrzeliwała kilka tysięcy pocisków, by nie wyjść z wprawy. Żaden hackerski program nie mógł mierzyć się z takim doświadczeniem, niezależnie od tego, jak dobrze był zrobiony. Pistolet sierżant naprowadził się na gardło młodej podporucznik i wypluł z siebie pojedynczy pocisk.

Pięciomilimetrowa kulka w trakcie krótkiego lotu przez dwudziestopięciocentymetrową lufę przyspieszyła do czterech kilometrów na sekundę. Kiedy trafiła w szyję podporucznik, centymetr na lewo od tchawicy, rozprysnęła się, w ułamku sekundy zamieniając całą swoją energię kinetyczną we wstrząs hydrostatyczny.

Głowa podporucznik oderwała się od ciała i poleciała w tył, a krew z przerwanych arterii chlusnęła na nieuzbrojoną bombę u jej stóp.

Zanim jeszcze bezgłowy trup dotknął podłogi, Kosutic już biegła. Uzbrojone bomby miały być prawdopodobnie zdetonowane zdalnie, ale na pewno miały też jakieś zabezpieczenie na wypadek, gdyby nie dało się tego zrobić. Tak dokładny plan musiał mieć jakieś zabezpieczenie. Najprostszym wyjściem był zegar, zaopatrzony do tego w martwy detonator, kontrolowany przez toots zamachowca. Gdyby podporucznik umarła, co właśnie zrobiła, toots – przypuszczalnie w chwili ustania aktywności mózgu – wysłałby sygnał odpalający bomby. Jednak mimo że podporucznik zombie była martwa, w przypadku oderwania głowy od ciała aktywność mózgu trwała jeszcze kilka sekund. Dlatego właśnie sierżant strzeliła jej w szyję, a nie między oczy.

Wszystkie bomby znajdowały się za Kosutic, a ona miała szczerzy zamiar zostawić je tak daleko w tyle, jak się da.

Włączyła komunikator.

–Ogień na pokładzie! Zamknąć wszystkie grodzie! – wrzasnęła, przeskakując kałużę krwi i pędząc do wyjścia.

Kapitan Pahner zdążył otworzyć usta, by powtórzyć rozkaz sierżant Kosutic, kiedy usłyszał serię głuchych łąpnięć. Świat usunął mu się spod nóg.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Roger nie wiedział, czy obudził go alarm, czy mało delikatne ręce marines.

Jego zaspany umysł nie poznał ich, kiedy przy wtórze wycia syren i migotania czerwonych świateł awaryjnych cisnęli nim o przegrodę. Jako członek rodziny cesarskiej miał zainstalowane w swoim tootsie kilka programów niedostępnych na rynku, między innymi pakiet walki wręcz i aplikację „zabójca”, które razem dawały właścicielowi kilka interesujących możliwości. Co więcej, książę utrzymywał się w dobrej formie. Posiadał czarne pasy w trzech „twardych” sztukach walki, a jego *sensei* był jednym z najlepszych ekspertów w całym Imperium Człowieka, Wszystko to powodowało, że rzucanie się na niego bez ostrzeżenia i w ciemnościach było kiepskim pomysłem, niezależnie od tego, co myślała o nim kompania Bravo. Mimo więc zaskoczenia podczas snu zdołał wyprowadzić potężne kopnięcie w tył, czując, jak ktoś wykręca mu lewą rękę i wpycha ją w jakiś rękaw. Biorąc pod uwagę okoliczności, była to doskonale przeprowadzona próba obrony... Którą nikt się nie przejął.

Jeśli reakcja księcia zaskoczyła żołnierzy Osobistego Cesarzowej, to nie mniej zaskoczony był on sam. Tootsy marines również wyposażone były w pakiety boosterów, a oni sami trenowali walkę wręcz o wiele dłużej niż książę. Bezceremonialnie obrócili Rogera plecami do ściany, a któryś z nich rąbnął go solidnie w splot słoneczny.

Obaj szeregowcy z kompanii Bravo zupełnie nie przejęli się charczeniem i sapaniem księcia. Sprawnie zapakowali go w awaryjny hermetyczny kombinezon, a kiedy skończyli, usiedli na nim.

Dosłownie. Bezceremonialnie rzucili Rogera na podłogę i przygnietli go, wycelowując karabiny w drzwi.

Przerośnięty kretyn siedzący na piersi księcia uniemożliwiał mu sięgnięcie do komunikatora, a ponieważ był on wyłączony, Roger nie mógł nawet połączyć się z kapitanem Pahnerem i kazać mu odwołać swoich dwóch tępych oprawców. Mimo że nominalnie był ich dowódcą, szeregowcy zupełnie nie przejęli się wykrzykiwanymi z za wizjera hełmu poleceniami. Kiedy tylko książę zrozumiał, że jego wysiłki na nic się nie zdadzą, zamilkł. Nie miał zamiaru pozwalać się ignorować.

Po jakimś czasie, który wydał się Rogerowi wiecznością, drzwi kajuty otworzyły się, ukazując dwóch marines w pancerzach bojowych. Siedzący na nim strażnicy wstali. Jeden z nich pomógł mu wstać, po czym obaj wyszli. Ich zastępcy, bezosobowe stwory ukryte za migoczącymi wizjerami wspomaganych zbroi, posadzili go na łóżku i ścisnęli między sobą, kierując broń w stronę drzwi i w ścianę dzielącą

pomieszczenie od następnej kajuty. Tym razem jednak nie były to karabinki szturmowe, lecz ciężka śrutownica i działko plazmowe. Gdyby ktoś chciał wdrzeć się do środka, spotkałaby go niemiła niespodzianka.

Książę, korzystając z ograniczonej swobody, sprawdził skafander i odkrył – niespodzianka – że komlink ustawiony był na awaryjną częstotliwość „Straż”. Korzystanie z niej bez bardzo wyraźnej potrzeby było niewybaczalnym grzechem, o czym Roger dość boleśnie przekonał się w czasie obowiązkowej męki w Akademii. Była to jedna z niewielu lekcji, które dobrze zapamiętał; Ponieważ zaś żołnierze nie wydawali się mieć wrogich zamiarów, a jedynie bardzo starali się go ochronić, trudno było mówić o wyraźnej potrzebie. Tak więc był pozbawiony łączności.

Jedynie, co mógł zrobić, to zacząć zastanawiać się, o co chodzi, co było trudnym zadaniem, zważywszy że nie posiadał żadnych danych. W kajucie było powietrze, ale wciąż paliły się światła awaryjne. Książę sięgnął do zatrząsków skafandra, by zdjąć hełm, ale jeden z marines klepnął go po ręce. Klepnięcie miało być stanowcze, lecz delikatne, jednak sztuczne mięśnie pancerza sprawiły, że porządnie zabolalo.

Rozcierając dłoń, Roger nachylił się do żołnierza, aż ich hełmy się zetknęły.

–Czy mógłbym się dowiedzieć, co tu się do cholery wyprawia?

–Kapitan Pahner kazał poczekać, aż sam tu przyjdzie, Wasza Wysokość – odparł zniekształcony przez hełm damski sopran.

Roger kiwnął głową i oparł się o przegrodę, potrząsając głową w hełmie, by ułożyć jakoś swój kucyk. Widział dwie możliwości – albo Pahner był zamieszany w zamach stanu, albo nastąpiło coś nieprzewidzianego, a kapitan chciał zdać mu kompletny raport i nie wprowadzać zamieszania opowieściami z drugiej lub trzeciej ręki.

Jeśli prawdziwy był drugi scenariusz, nie było się czym martwić. Książę musiał tylko wykazać odrobinę cierpliwości. Jeśli zaś pierwszy... Roger spojrzał na opancerzonego marine z wycelowaną w drzwi śrutownicą. Szansę, że uda mu się ją wyrwać i zastrzelić Pahnera, były raczej mikroskopijne, jeśli jednak faktycznie był to zamach, i tak miał zginąć. Równie dobrze w takim razie może umrzeć jak MacClintock.

W myślach cofnął się do początku całego zamieszania i spostrzegł, że podłoga przestała wibrować. Cichy szum przeróżnych systemów podtrzymywania życia i napędu był trudny do wychwycenia, ale kiedy umilkł, wyraźnie słyszało się jego brak. Jeśli systemy zostały odłączone, oznaczało to faktycznie poważne kłopoty... Ale przynajmniej obalało teorię spisku.

Wtedy przypomniał sobie dwóch żołnierzy, którzy wywlekli go z łóżka. Siedzieli na nim dobre dziesięć minut, zanim ktokolwiek się pojawił, ale nie mieli skafandrów.

Gdyby kajuta się rozhermetyzowała, zginęliby gwałtowną i raczej nieprzyjemną śmiercią. Uważali więc, że warto go ratować. Co również kłóciło się z teorią zamachu.

Dwaj szeregowcy ryzykowali życiem, by go ochronić, a chociaż rodzina cesarska uważała, że należy to do ich obowiązków, Roger nigdy nie znalazł się w sytuacji bezpośredniego zagrożenia. Nigdy jeszcze jego ochrona nie ryzykowała życia. No tak, był oczywiście ten niefortunny wypadek na wakacjach, ale ochroniarz nie był wtedy w niebezpieczeństwie, niezależnie od tego, co mówiła ta młoda dama...

W tym jednak wypadku dwoje nieznanych mu nawet z imienia ludzi ryzykowało straszną śmierć, by go ocalić.

Dało mu to wiele do myślenia.

*** * ***

Kapitan Pahner pojawił się dopiero po dwóch godzinach. Przyszedł razem z kapitanem Krasnitskym. Marine miał na sobie kombinezon maskujący, Krasnitsky zaś obcisły skafander Floty z odrzuconym do tyłu hełmem.

Pahner skinął dwóm strażnikom, którzy wyszli z kajuty, zamykając za sobą drzwi. Roger przyjrzał się uważnie Krasnitsky'emu i machnięciem ręki pozwolił mu usiąść. Kapitan opadł ciężko na krzesło, a Pahner zablokował drzwi do kabiny.

–Mamy problem, Wasza Wysokość – powiedział.

–Och; doprawdy, kapitanie? Nie zauważyłem. – Głos księcia był zduszony przez przyłbicę hełmu.

Roger mocował się chwilę z zapięciami, po czym zdjął go i rzucił na koję.

–Przy okazji – powiedział kwaśnym tonem. – Na pokładzie nie znajdzie się kombinezon Floty na mój rozmiar?

–Nie, Wasza Wysokość, nie znajdzie się – odparł Pahner ze stoickim spokojem. – Już sprawdziłem. Ten detal został przeoczony. Nie tylko ten, jak się okazało. – Odwrócił się do przybitego Krasnitsky'ego. – Czy mógłby pan kontynuować, kapitanie?

Krasnitsky potarł twarz i westchnął.

–Padliśmy ofiarą sabotażu, Wasza Wysokość. Sytuacja jest poważna.

–Sabotażu? – powtórzył z niedowierzaniem ksiązę. – Kto za tym stoi?

–To pytanie za milion kredytek, Wasza Wysokość – przyznał Pahner. – Wiemy, kto

dokonał sabotażu. Podporucznik Amanda Guha, oficer zaopatrzeniowy.

–Co? – Roger zamrugał oczami. – Po co miałyby to robić? Kapitan Krasnitsky otworzył usta, żeby odpowiedzieć, spojrzał na Pahnera, a ten wzruszył ramionami.

–Nie mamy stuprocentowej pewności, oczywiście, ale myślę, że była toombie.

–Toots zombie? – Roger otworzył szeroko oczy. – Tutaj? Jest ich więcej? – Potrząsnął głową, zdając sobie sprawę z niedorzeczności własnego pytania. – Nie wiadomo, prawda?

–Nie, Wasza Wysokość, nie wiadomo – odparł Pahner, doskonale nad sobą panując – Mimo to uważamy, że była jedynym toombie na pokładzie. Prawdopodobieństwo, że ktokolwiek inny z kompanii jest zagrożony, zmniejsza się z każdą chwilą. Każdy, kto ma się zetknąć z Waszą Wysokością, jest regularnie skanowany i ma zainstalowane najnowocześniejsze protokoły zabezpieczeń. Wszyscy żołnierze zostali przeskanowani przed podróżą, podporucznik Guha także. Znaleźliśmy jednak w jej kabinie urządzenie...

–O, cholera – zaklął Roger.

–Jestem w stanie wymienić co najmniej dwadzieścia sposobów, w jaki to urządzenie mogło dostać się na pokład – ciągnął Pahner. – W tej chwili jednak nie jest to nasze największe zmartwienie.

–Wasza Wysokość – odezwał się w końcu Krasnitsky, dziękując Pahnerowi skinieniem głowy. – Kapitan Pahner ma rację. Obawiam się, że to, w jaki sposób dostali podporucznik Guhę, jest mniej istotne niż to, co udało jej się zrobić. Podłożyła ładunki wybuchowe pod kilka kanałów plazmy napędu tunelowego. Kiedy wybuchły, straciliśmy prawie całą maszynownię z powodu niekontrolowanego wycieku. Po jego wykryciu automatyczne systemy miały odciąć dopływ deuteru, ale podporucznik wpuściła wirusa do układu sterującego. Wirus wyłączył czujniki, więc plazma wciąż wyciekała...

Kapitan przerwał i przetarł dłonią twarz, szukając właściwych słów do opisanie rozmiarów katastrofy, ale wyręczył go w tym Pahner.

–Straciliśmy wszystkie reaktory fuzyjne oprócz jednego, Wasza Wysokość – oznajmił z kamienną twarzą. – Napęd tunelowy nie działa. Napęd fazowy nie działa. Główny mechanik odłączyła plazmę ręcznie, ale zginęła w wybuchu, który nastąpił zaraz po tym. Była jedynym w pełni wykwalifikowanym oficerem technicznym na pokładzie.

–Fizyczny i komputerowy atak – powiedział oszołomiony książę. – Na członka rodziny cesarskiej!

–Tak, Wasza Wysokość. – potwierdził Pahner z ponurym uśmiechem rozwścieczonego zawodowca. – Uroczo, nie sądzi pan? I nie mieli zamiaru na tym poprzestać. Znaleźliśmy wirusy we wszystkich głównych podsystemach – nawigacyjnym, kontroli ognia...

–Oraz środowiskowym – wtrącił Krasnitsky, potrząsając głową. – Ale to już załatwione. Myślę, że udało nam się ich wszystkich pozbyć. Mamy jednak poważne uszkodzenie maszynowni...

–A ja „myślałem”, że na pokładzie nie ma nic takiego! – przerwał ostro Pahner. – Nie wystarczy nam „myślenie”, kapitanie!

–Zgadza się – powiedział krótko Krasnitsky. Wstał i wyprostował się. – Wasza Wysokość, za pozwoleniem, muszę zająć się statkiem. Mam nadzieję, że uda nam się dokonać napraw na tyle, by dolecieć do najbliższej zamieszkałej planety. – Kapitan przerwał i spojrzał na Pahnera. – Jednak system, do którego musimy się udać...

Wzruszył ramionami. Roger skinął głową. Na twarzy miał wyraz całkowitego niezrozumienia.

–Oczywiście, kapitanie. Musi pan wracać do pracy. Powodzenia. Proszę się ze mną skontaktować, jeśli będzie pan czegoś potrzebował.

W chwili, w której wypowiedział te słowa, zrozumiał, jak nedorzecznie zabrzmiały. Co takiego mógł zrobić, z czym nie poradziłaby sobie wyszkolona i doświadczona załoga? Gotować? Zmęczony kapitan nie zwrócił jednak na to uwagi. Skłonił się po prostu i wyszedł.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Pahner jeszcze raz uśmiechnął się ponuro.

–Kapitan nie powiedział, Wasza Wysokość, dokąd lecimy.

–A dokąd lecimy? – spytał ostrożnie księżę.

–Na Marduka, Wasza Wysokość.

Rogerowi nic ta nazwa nie mówiła. Przeszukał wszczepioną bazę danych, ale planeta była tam wymieniona po prostu jako imperialny świat trzeciej klasy. Toots miał dość pojemną pamięć, ale większość jej zajmowały protokoły interakcji. Resztę zostawiono do dyspozycji księcia. Hasło migotało w jego świadomości, a przed oczami przesuwaly się liczby i obrazy. Większość danych zakodowana była jako tekst i symbole, by zajmować mniej miejsca. Księżę zmarszczył czoło w zamyśleniu. Planeta utrzymywała imperialną placówkę z małym lądowiskiem, ale nie była nawet zrzeszonym członkiem Imperium, a jedynie miejscem, gdzie ktoś kiedyś zatknął imperialną flagę.

–To jeden z naszych światów – powiedział ksiązę z wahaniem.

–Nominalnie, Wasza Wysokość, nominalnie – prychnął Pahner. – Jest tam port, ale nie ma stacji naprawczych, a już na pewno nie takich, które mogłyby przyjąć okręt desantowy. Nad jednym z gazowych olbrzymów systemu znajduje się stacja paliwowa TexAmP-u, ale port jest samodzielny. Kto wie, co się tam naprawdę dzieje?

Pahner przeszukał własnego tootsa i skrzywił się ponuro.

–Jedyna wzmianka wywiadu na temat tej okolicy stwierdza, że mogą tu działać Święci. Z drugiej strony, Wasza Wysokość, tutaj, na pograniczu, pod co drugim kamieniem siedzi jakiś ich oddział specjalny. – Uśmiechnął się słabo. – Oczywiście oni mówią to samo o nas.

Pahner zerknął do notatnika, który dysponował o wiele bardziej pojemną pamięcią, i skrzywił się jeszcze raz.

–Tubylcy są prymitywni i wrogo nastawieni, fauna krwiożercza, średnia temperatura wynosi trzydzieści trzy stopnie Celsjusza, a deszcz pada pięć razy dziennie. Region jest znany z przemytu Przyprawy Marzeń, do tego szerzy się piractwo. – Potrząsnął głową. – Szczerze mówiąc, Wasza Wysokość, czuję się tak, jakbym prowadził pana Czternastą Ulicą o pół do drugiej w nocy w sobotnią sierpniową noc, ubranego w garnitur za tysiąc kredytek.

Czternasta Ulica istniała od czasów, kiedy nazwę Imperial City nosił Dystrykt Kolumbii, stolica niegdysiejszych Stanów Zjednoczonych, i nigdy w swojej historii nie było to miejsce na spacer. W tej chwili jednak Roger zupełnie o tym nie myślał. Potarł twarz i westchnął.

–Czy są jakieś dobre wiadomości?

W pytaniu pobrzmiwała nuta skargi; Roger w myślach dał sobie kopa za to, że zachowuje się jak gówniarz. Wszyscy dookoła nadstawiali tyłki, żeby ocalić jego nędzną dupę. Mógł przynajmniej nie jęczeć.

Rysy Pahnera stwardniały.

–Wciąż pan żyje, Wasza Wysokość, czyli jak dotąd wywiązuję się ze swoich obowiązków. Myślę też, że kapitan Krasnitsky da radę doprowadzić okręt do Marduka, co w tej sytuacji zakrawa na cud. Na wojskowej jednostce da się uruchomić obwody awaryjne, chociaż zajmie to pewnie tydzień albo dłużej, nawet jeśli większość kompanii będzie harować razem z załogą... Dobra wiadomość to to, że naczelną mechanik była w maszynowni w środku nocy i zdążyła zatrzymać reaktor. Dobra wiadomość to to, że jesteśmy na okręcie wojennym. Dobra wiadomość to to, że zniosło nas z kursu tylko sześć lub siedem lat świetlnych, a nie

w sam środek przestrzeni Świętych. Dobra wiadomość to to, że wciąż żyjemy. Ale poza tym, niestety, nie mam żadnych innych dobrych wiadomości.

Roger kiwnął głową.

–Ma pan ciekawą definicję dobrej wiadomości, kapitanie, ale rozumiem, o co panu chodzi. Jak mogę pomóc? – spytał, uważnie dobierając słowa.

–Prawdę mówiąc, Wasza Wysokość, najlepiej będzie, jeśli zostanie pan w swojej kajucie i nie będzie przeszkadzał. Pana obecność jedynie rozpraszałaby załogę, a moi ludzie musieliby za panem biegać i marnować tlen. Doceniłbym więc, gdyby się pan stąd nie ruszał. Każę przynosić panu posiłki.

–A sala gimnastyczna? – spytał Roger, rozglądając się po maleńkiej kabinie.

–Dopóki nie uruchomimy systemów podtrzymywania życia, nikt z nas raczej nie poćwiczy, Wasza Wysokość. Teraz, jeśli pan wybaczy, muszę wracać do pracy.

Nie czekając na pozwolenie Pahner odblokował drzwi i wyszedł. Roger został sam. Kajuta wydała mu się nagle mniejsza niż dotąd.

Zaczął nasłuchiwać szumu powracającej cyrkulacji powietrza.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Cierpliwość księcia Rogera była na wyczerpaniu.

Od chwili, kiedy wyłączył się połatany system tunelowy, a okręt przeszedł na silniki fazowe, minął prawie cały dzień. Roger, wciśnięty w niedopasowany skafander próżniowy, siedział przez trzy tygodnie w kabinie, a naprawiany okręt włókł się w przestrzeni tunelowej do Marduka. Hałas i wibracje uszkodzonych silników wcale nie poprawiały księciu nastroju.

W normalnych okolicznościach napęd emitował cichy, niemal usypiający szum, ale w wyniku napraw powstało coś, co jęczało, trzęsło się i chwilami zachowywało tak, jakby miało rozsadzić cały okręt. Podczas swoich nieregularnych odwiedzin Pahner i Krasnitsky bardzo uważali, żeby bagatelizować sytuację, ale naprawy sprowadzały się tak naprawdę do „kawałka sznurka i gumy do żucia”, jak określił to Matsugae, który zaprzyjaźnił się z kilkoma żołnierzami. Okręt jakoś się jednak trzymał, a okropna podróż zbliżała się powoli do końca. Pozostało im jedynie wylądować na Marduku i przejąć pierwszy imperialny statek, który będzie leciał na Ziemię. Książę miał nawet nadzieję, że uda mu się uniknąć odwiedzania Leviathana w ogóle. Problem rozwiązany, kryzys zażegnany, niebezpieczeństwo minęło. Dlatego też Roger, książę domu MacClintock, nie zamierzał dłużej gnieździć się, odcięty od świata, w swojej śmierdzącej kabinie.

Przeczesał włosy, ułożył kilka samowolnych kosmyków, otworzył drzwi i wyszedł z kajuty. W pograżonym w półmroku korytarzu cuchnęło jeszcze bardziej niż w kabinie. Książę rozważał przez chwilę założenie hełmu, jednak zakładanie i zdejmowanie go wychodziło mu dość niezgrabnie, uznał więc, że nie da tym opryszkom satysfakcji i możliwości obśmiewania go. Odwrócił się do jednego z opancerzonych wartowników.

–Zaprowadź mnie na mostek – rozkazał swym najbardziej władczyni tonem. Chciał, by było zupełnie jasne, że nie ma zamiaru dłużej kryć się w kabinie.

* * *

Plutonowa Nimashet Despreaux pokręciła głową i spojrzała na księcia zza migoczącej przyłbicy hełmu, zaprojektowanej tak, by podświadomie zmuszać patrzącego do odwrócenia wzroku, co potęgowało właściwości kamuflujące kombinezonu. Dzięki temu nikt nie mógł również zobaczyć wyrazu twarzy marine, dlatego też po chwili Despreaux pokazała księciu język. Ruszyła w kierunku mostka, impulsem nerwowym uruchamiając komunikator.

–Kapitanie Pahner, mówi plutonowa Despreaux. Jego Wysokość idzie na mostek – zameldowała krótko.

–Przyjąłem – usłyszała suchą odpowiedź.

Zanosiło się na ciekawą konfrontację.

*** * ***

W końcu minęli podwójną śluzę prowadzącą na mostek i Roger rozejrzał się z ciekawością. Zaznajomił się z okrętami klasy *Puller* w Akademii, ale nigdy wcześniej nie stał na mostku takiej jednostki. Transportowce desantowe, przeznaczone do przewozu kompanii marines, były głównymi okrętami grup wsparcia Korpusu, co oznaczało, że Akademia nieco je lekceważyła. Każdy absolwent Akademii chciał znaleźć się w jednostce liniowej, gdzie sporo się działo i łatwo było o awans, a nie na barce desantowej. To tak jak dowodzić śmieciarką.

Ta konkretna śmieciarka przetrwała jednak kryzys, a to świadczyło o jej kapitanie i załodze, niezależnie od tego, czy byli absolwentami Akademii, czy nie.

Uszkodzenia sięgnęły nawet mostka. Wypalone ślady na pulpicie łączności świadczyły o przeładowaniu masera, a z większości stanowisk usunięto przednie panele. Łączą i okablowanie zazwyczaj wbudowywano w strukturę statku, ponieważ jednak okręty floty musiały liczyć się z możliwością odniesienia uszkodzeń w walce, zaprojektowano je tak, by układy kontrolne dało się zastąpić systemami tymczasowymi. Mostek *DeGloppera* oplatany był siecią pospiesznie zainstalowanych przewodów – widać było nawet zwykłe kable – a całe pomieszczenie pulsowało delikatnie blaskiem nieszczelnych łącz światłowodowych.

Roger przeszedł ostrożnie nad okablowaniem zaścielającym podłogę i podszedł do Krasnitsky'ego i Pahnera, studiujących odczyty taktyczne. Hologram systemu marszczył się i falował, podczas gdy uszkodzone komputery taktyczne próbowały go aktualizować.

–Jak nam idzie? – spytał księżę.

Krasnitsky wykrzywił się w ponurym, całkowicie wypranym z wesołości uśmiechu.

–Szło nam nieźle, ale właśnie przestało, Wasza Wysokość.

Kiedy tylko skończył mówić, rozkrzyczały się syreny alarmu generalnego.

–Go się dzieje? – Roger podniósł głos, by przekrzyczeć wycie.

Kapitan Pahner zmarszczył czoło i potrząsnął głową.

–Niezidentyfikowany okręt w systemie, Wasza Wysokość. Są o ponad dzień od nas, ale nie wiemy, co jeszcze może się czaić w pobliżu.

–Co? – Głos Rogera łamał się z zaskoczenia. – Jak? Przecież... – Księżę przerwał i spróbował się uspokoić. – Czy to dalszy ciąg sabotażu? Czy to możliwe, że czekali tu na nas? Kto to w ogóle jest? Okręt Imperium?

–Kapitanie? – Pahner spojrział na dowódcę okrętu.

–W tej chwili nie wiemy, kim mogą być, proszę pana. To znaczy Wasza Wysokość. – Kapitan nie przejmował się już tak bardzo obecnością członka rodziny cesarskiej. Zaprzętała go konieczność walki o swój okręt, a ostatnie trzy tygodnie zabiły w nim troskę o inne sprawy. – Mamy uszkodzone sensory, zresztą całą resztę też, ale charakterystyka napędu fazowego pozwala stwierdzić, że to z całą pewnością okręt wojenny. Ma zbyt głęboką strukturę włókien na cokolwiek innego.

Krasnitsky zastanowił się nad pozostałymi pytaniami.

–Nie sędzę, żeby byli częścią jakiegoś większego planu. Wasza Wysokość. Uszkodzenie napędu tunelowego wyrzuciło nas daleko od planowanej trasy. Nie wydaje mi się, żeby spiskowcy, kimkolwiek są, myśleli, że jeszcze żyjemy, a jeśli chcieliby się co do tego upewnić, zaczęliby się w jakimś układzie bliżej naszego kursu. Marduk leży prawie siedemnaście lat świetlnych od niego – to niemal maksymalny dystans skoku tunelowego. Nikt nie mógł przewidzieć, że tu trafimy. Dlatego też nie sędzę, by na nas czekali, ale to nie znaczy, że mamy się cieszyć z ich obecności. Odczyty charakterystyk napędu i emisji silników wyglądają mi na krążownik-pasożyt Świętych, a jeśli tak jest, to znaczy, że mają gdzieś tu liniowego nosiciela.

–Co oznacza, że prawdopodobnie przejęli system – warknął Pahner.

Krasnitsky uśmiechnął się blado i pociągnął nosem, stukając palcami w panel wyświetlacza.

–Tak, właśnie.

–A więc planeta znajduje się pod kontrolą wroga? – spytał Roger.

–To możliwe, Wasza Wysokość – przyznał Krasnitsky. – W porządku, to prawdopodobne. Przynajmniej instalacje orbitalne. Nie jest powiedziane, że na pewno zajęły port.

–Prawie na pewno – uciął Pahner. – Kapitanie, myślę, że musimy zwołać naradę. Ja, moi oficerowie, Jego Wysokość, pan i wszyscy pana oficerowie, którzy będą mogli. Wystarczy nam czasu?

–Och, tak. Kimkolwiek oni są, zaczekali z włączeniem napędu fazowego, aż wejdziemy na tyle głęboko w ścianę tunelu, żeby nie dać rady się cofnąć. Oznacza to

prawdopodobnie, że nasza charakterystyka zmieniła się wskutek uszkodzeń i myślą, że mają do czynienia z handlowcem, a nie z okrętem desantowym. Przy naszym i jego przyspieszeniu mamy jednak kilka godzin na podjęcie decyzji.

–Co możemy zrobić? – spytał Roger.

Migająca czerwona ikonka domniemanego krążownika wroga przykuwała jego wzrok niczym wahadełko hipnotyzera.

Krasnitsky uśmiechnął się słabo.

–Nie mamy specjalnego wyboru. Wasza Wysokość. Nie możemy stąd uciec...

*** * ***

–...Więc musimy walczyć – powiedział kapitan.

Sala odpraw była pełna. Oprócz Krasnitsky’ego był tam jego oficer wykonawczy, oficer pełniący obowiązki mechanika oraz zastępca oficera taktycznego. Po drugiej stronie stołu zasiadł książę Roger w towarzystwie Eleanory O’Casey i Pahnera. Kapitan przyprowadził ze sobą dwóch z trzech poruczników. W idealnym świecie Regulaminu kompania liniowa liczyła ich siedmiu, ale rzadko kiedy znajdowało to odzwierciedlenie w ponurej rzeczywistości. Dotyczyło to w szczególności Osobistego Cesarzowej, który od swoich oficerów wymagał jeszcze więcej niż od zwykłych żołnierzy.

Generalnie uważano, że oficer wykonawczy i „szef sztabu”, wspomagający dowódcę kompanii, jest bardziej potrzebny niż kolejny dowódca plutonu, dlatego też trzeci pluton nie miał oficera. Dowodzący nim sierżant, który normalnie powinien być obecny na naradzie, przygotowywał właśnie swoich ludzi do tego, co mieli ustalić oficerowie, a nawigator został na mostku, zwodząc zbliżający się krążownik, który coraz bardziej przypominał pasożyta Świętych.

–Chcę, żeby wszyscy mieli jasny obraz sytuacji – ciągnął Krasnitsky. – W normalnych okolicznościach uznałbym, że możemy zniszczyć pojedynczy krążownik – mamy więcej ciężkich rakiet i bijemy go na głowę, jeśli chodzi o działa laserowe i plazmowe.

Przerwał i przez chwilę wpatrywał się w sufit.

–Mamy przewagę, jaką daje napęd tunelowy. Nie musimy przejmować się masą, dla napędu ważna jest tylko objętość, więc mogliśmy zamontować na okręcie pancierz chromframowy, którego on nie ma. To ważne, ponieważ dzięki temu możemy zlekceważyć część rakiet, które przedostaną się przez aktywną obronę, podczas gdy nasze pociski będą wchodzić w niego jak w masło. Mamy też większą objętość

kadłuba, dzięki czemu możemy przyjąć więcej trafień.

Na naszą niekorzyść działa fakt, że jesteśmy w kiepskim stanie. Z trudem przyspieszamy i mamy rozpieprzone sensory oraz systemy naprowadzające. Jesteśmy też cholernie dużym celem, więc raczej nie będą pudłować. Mamy więc wszystkie zwykłe wady okrętu z napędem tunelowym plus kilka ekstra. Bez wątpienia odniesiemy uszkodzenia. Nawet jeśli wygramy, będziemy w jeszcze gorszym stanie niż teraz.

Przerwał jeszcze raz i spojrzął na zgromadzonych. Marines, doświadczeni weterani, wyglądali ponuro, lecz zdecydowanie. Jego ludzie, którzy nigdy wcześniej nie brali udziału w starciu okrętów, pobledli, ale słuchali w skupieniu. Naczelniczka świty księcia z całych sił starała się sprawiać wrażenie, że rozumie, o co chodzi. Księżę natomiast... Było oczywiste na pierwszy rzut oka, że program jego studiów w Akademii nie obejmował symulacji potyczek, w których można było przegrać. Im dłużej trwała odprawa, tym bardziej, wytrzeszczał oczy...

–A gdyby tak wystrzelić promy desantowe? – zapytał Pahner, opierając podbródek na pięści. Zachowywał się tak spokojnie, jakby cała sprawa zupełnie go nie dotyczyła. Krasnitsky w czasie swojej służby zetknął się z kilkoma opanowanymi marines, ale dowódca gwardii przybocznej księcia był najwyraźniej jednym z tych ludzi, którzy w obliczu katastrofy po prostu się uspokajali. Kapitan gotów byłby się założyć, że ciśnienie krwi i tętno Pahnera były tak niskie, że wypadały poza skalę.

–Proponuję je załadować – powiedział komandor porucznik Talcott, oficer wykonawczy *DeGloppera*. – Ale nie wystrzeliwać. Jako dodatkowy pancierz zasłaniający księcia przed nieprzyjacielskim ogniem byłyby dobre, ale cholernie trudno będzie wam bez nas wylądować na planecie.

–Odebraliśmy jakakolwiek transmisję z tego drugiego statku? – spytała Eleanora.

–Jeszcze nie – odparł Krasnitsky. – Komunikatu możemy oczekiwać najwcześniej za pół godziny. Mniej więcej w tym samym czasie oni dostaną nasz. Zanim spytacie – jesteśmy frachtowcem Nebula Lines. Nazywamy się *Beowulfs Gift* i lecimy z Olmstead. Mamy awarię napędu tunelowego i szukamy portu, w którym moglibyśmy poczekać na jednostkę naprawczą.

–Uwierzą nam czy nie? – parsknął porucznik Gulyas, dowódca drugiego plutonu.

Ponieważ kompanie marines przeznaczone były do działań samodzielnych, ich dowódcy potrzebowali własnych sztabów. Gulyas był więc jednocześnie oficerem wywiadu.

–W rzeczy samej – powiedział komandor Talcott. – Uwierzą nam tak samo, jak my im.

–Nie mają powodu nas o nic podejrzewać – zauważył kapitan Krasnitsky. – Z uszkodzonym napędem fazowym nie możemy przyspieszać, a jednocześnie maskujemy własną charakterystykę włókien. Szczerze mówiąc, wyglądamy zupełnie jak uszkodzony frachtowiec. Żeby nas zdemaskować, musieliby zrobić skan kadłuba.

–A my w tym czasie ich namierzymy – powiedział podporucznik Segedin. Pełniący obowiązki oficera taktycznego wyglądał, jakby rwał się do walki. Zachowywał się jak koń wyścigowy w bramce startowej. – To, jak długo czekali z odpaleniem silników, to dobry znak. Muszą uważać nas za statek handlowy, dlatego podejda i będą chcieli wziąć nas na hol albo podprowadzić do planety. Będziemy udawać, że się zgadzamy, ale nie zwolnimy. Im bliżej do Marduka, tym lepiej.

–Straciliśmy jedną wyrzutnię rakiet – powiedział Talcott. – Skoki mocy spaliły lokalny serwer, a nie mamy zapasowych, na chodzie jest jednak jeszcze siedem. Wszystkie gniazda laserów są sprawne. System kierowania ogniem działa trochę w kratkę, ale na bliski zasięg wystarczy.

–Czyli rozwalamy krążownik – podsumował książę Roger, skręcając na palcu kosmyk złotych włosów. – A co potem? Jak wrócimy na Ziemię?

–Potem port skapituluje albo ostrzelamy go z orbity bronią kinetyczną, Wasza Wysokość – powiedział stanowczo Pahner. – A my okazją wrócimy do domu.

–A jeśli krążownik wróci? – Roger sam był zdziwiony swoim spokojem. Z zaskoczeniem spojrzął na pasemko włosów w rękę, po czym przyglądał je z powrotem. – Chodzi mi o to, że krążownik musiał zostać zrzucony przez nosiciela, prawda? A nosiciel ma prasowany pod ciśnieniem pancierz i jeszcze więcej rakiet niż my. Prawda?

Pahner i Krasnitsky wymienili spojrzenia.

–O to, Wasza Wysokość – odpowiedział marine – będziemy się martwić, kiedy przyjdzie czas. Możliwe, że nosiciel po prostu gdzieś przycupnął. Co jednak z innymi statkami w układzie? – Spojrzął na Segedina. – Inne krążowniki albo niszczyciele?

–W tej chwili żadnych nie wykryliśmy – odparł oficer. – Gdyby jednak ten jeden nie odpalił napędu, też byśmy go nie zauważyli. Możliwe, że gdzieś niedaleko jest nosiciel albo drugi krążownik, albo setka małych drani w myśliwcach. Trudno powiedzieć.

–W porządku – stwierdził Pahner. – Tym też będziemy się martwić później. – Spojrzął na swoich poruczników, którzy robili notatki. Elektroniczne urządzenia i tak miały skonwertować zapis narady do postaci tekstu, ale zapiski pomagały skupić się na rzeczach najważniejszych. – Przygotować łodzie desantowe, pełne wyposażenie. Kiedy wejdziemy na orbitę, musimy być gotowi do zajęcia portu.

–Czy mówimy tu o dłuższym oblężeniu, sir? – spytała porucznik Sawato.

Jako najstarszy oficer po Pahnerze była *de facto* oficerem operacyjnym kompanii. Jeśli port miał być oblegany, do jej obowiązków należało skoordynowanie działań wszystkich oddziałów.

–Nie – Pahner potrząsnął głową. – Każemy im się poddać. Jeśli to zrobią, spadniemy na nich jak tona ołowiu. Jeśli nie, ostrzelamy ich z orbity, a potem spadniemy jak tona ołowiu. Za kilka godzin przygotujemy dokładny plan działania. Proszę to potraktować jako rozkaz wstępny.

–Czy to absolutnie konieczne, kapitanie? – spytała Eleanora. – Jesteście częścią batalionu Brąz, nie kompanią szturmową. Macie obowiązek strzec księcia Rogera, a nie wyzwalać planety z rąk jakichś Świętych. Jeśli uda nam się utrzymać na orbicie, nie moglibyśmy po prostu poczekać na posiłki i dopiero potem pacyfikować planetę?

Pahner patrzył na nią przez chwilę spojrzeniem bez wyrazu.

–Przypuszczam, że moglibyśmy, proszę pani – powiedział w końcu. – Szczerze mówiąc jednak uważam, że powinniśmy nauczyć tego, kto zajął system, że jak się próbuje dobierać do Imperialnej bazy, to się dostaje łomot. Poza tym możliwe, że będziemy musieli ukrywać się na powierzchni. Wolałbym, żeby w takim przypadku baza była zneutralizowana.

–Gdyby wrócił okręt wsparcia krążownika, tak? – spytał Roger.

–Tak, Wasza Wysokość. Albo gdyby wciąż był w pobliżu – odparł krótko Pahner.

–Czy Jego Wysokość weźmie udział w desancie? – zapytał nieśmiało Krasnitsky.

–Tak! – powiedział szybko książę, rozpromieniony na samą myśl o opuszczeniu okrętu.

–Nie! – zawołali jednocześnie Pahner i O’Casey; i nie wiadomo, które z nich powiedziało to z większą stanowczością.

Popatrzyli na siebie, potem na Rogera. Siedzieli oboje po jego bokach niczym strzegące schodów lwy. Eleanora pochyliła się nad stołem, by spojrzeć księciu w oczy, ponieważ uporczywie wpatrywał się w kapitana Krasnitsky’ego.

–Nie – powtórzyła jeszcze dobitniej.

–Dlaczego nie? – spytał Roger, skręcając się w głębi ducha na dźwięk własnego rozkapryszonego tonu. – Dam sobie radę!

–To zbyt niebezpieczne – ucięła O’Casey. – Sam taki pomysł jest niedorzeczny!

–Moi żołnierze nie mogą strzec bezpieczeństwa Waszej Wysokości podczas desantu – zauważył Pahner, wtórując Eleanorze.

–To moi żołnierze – syknął Roger ze złością. Drażnił go ton własnego głosu, ale nie wiedział, jak inaczej to powiedzieć. – Moi, kapitanie. Jestem dowódcą pułku, pracuje pan dla mnie. – Przeczesał ręką włosy i przyglądał kilka nieistniejących niesfornych kosmyków.

Twarz Pahnera stężała.

–Tak, Wasza Wysokość, jest pan. – Marine odchylił się do tyłu na krześle i zaczął beznamiętnie wpatrywać się sufit. – Co pan rozkaże, sir?

Roger otworzył już usta, gotów protestować przeciw kolejnemu naruszeniu jego przywilejów. Niespodziewany brak oporu sprawił, że księżę zamarł z opadniętą szczęką. Nie miał pojęcia, jakie powinien wydać rozkazy, zresztą zupełnie nie miał na to ochoty. Pragnął jedynie, żeby zaczęto traktować go jak dorosłego człowieka i dowódcę batalionu, a nie jak bezwolny przedmiot, którego trzeba pilnować. Nagle jednak przed oczami mignął mu obraz marine, niechronionego przed próżnią, siedzącego na jego bezpiecznie zapakowanej w skafander piersi i czekającego na dehermetyzację statku. Księżę pojął, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji, w którą sam się wpędził. Przypomniał sobie rozmowy, jakie toczono w jego obecności, i pospiesznie sprawdził zawartość tootsa. Urządzenie mogło zapisać co do minuty rozmowy w pamięci, co dawało Rogerowi przewagę w szkole i przy licznych okazjach towarzyskich. Kiedy dostrzegł szansę, poczuł nagłą ulgę.

–Uważam, kapitanie, że powinniśmy zacząć przygotowywać plan operacyjny, a poszczególne plutony niech zajmą się szykowaniem promów. Ustalimy, kto poleci, w planie operacyjnym. – Spojrzał w bok, na Eleanorę, ale O’Casey odwróciła wzrok, tak samo jak wyglądający na zakłopotanych oficerowie. – Coś jeszcze, kapitanie Krasnitsky?

–Nie, Wasza Wysokość. Myślę, że to wszystko.

–Bardzo dobrze – powiedział księżę. – Do roboty.

Krasnitsky spojrzał na Pahnera, który skinął głową, i w ten sposób naradę odroczone na później.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

–Książę Roger proszony na mostek. Książę Roger proszony na mostek.

Obwieszczenie interkomu, poparte cichym dzwonieniem implantu, zaskoczyło Rogera w nieodpowiedniej chwili. Wreszcie zaczęto dopasowywać mu zbroję i proces ten nie szedł bynajmniej najlepiej.

Nie bez gorącej dyskusji zdecydowano, że chociaż nie będzie brał udziału w bezpośrednim szturmie na port, książę wylądował na powierzchni planety razem z drugim rzutem wsparcia technicznego. Z jego punktu widzenia było to połowiczne zwycięstwo, ale Pahner przyznał, że Roger może dostać się pod ogień nieprzyjaciela, więc zmontowanie pancerza na jego rozmiar uznano za dobry pomysł.

Książę podejrzewał, że uzasadnienie kapitana było kolejnym argumentem przeciw jego udziałowi w szturmie, ale jedynym rozsądnym wyjściem było zapewnienie Jego Wysokości maksimum bezpieczeństwa. Niestety, przymiarki zbroi miały właśnie zostać przerwane. Roger poczuł ukłucie niepokoju na widok mechanika, który spoglądał na interkom z wyszczerzonymi zębami.

Ponieważ o specjalistów w tej dziedzinie było znacznie trudniej niż o dobrych strażników, a ich praca nie rzuciła się w oczy, mechanicy przydzielani do Osobistego Cesarzowej przechodzili znacznie łagodniejszy odsiew niż żołnierze. Tak naprawdę istniało dla nich tylko jedno kryterium – doskonała fachowość. Kiedy brakowało ochotników, doskonalili fachowcy byli zgłaszani przez przełożonych. Owocowało to czasami przydziałami ludzi, którzy jako tako wyglądali, ale zupełnie nie pasowali do wyobrażeń księcia o sposobie, w jaki należy go traktować.

–Co teraz? – spytał, patrząc na dłoń uwięzioną w metalowej rękawicy. Jej interfejs nie działał jak należy, a kiedy wezwano księcia na mostek, mechanik pochłonięty był właśnie usuwaniem usterek.

–No winc, Wasza Wysokość – powiedział drobny marine, według naszywki na piersi nazywający się Poertena. – Chiba weźmiem, kurwa, otwieracz do puszek i pana nim wytniem.

Przebicie się przez ciężki pinopański akcent kaprała zajęło Rogerowi dłuższą chwilę. Pinopa była planetą rozrzuconych archipelagów i tropikalnych mórz, zasiedloną podczas pierwszej fali powolnej kolonizacji przez uchodźców z południowo-wschodniej Azji, skąd wygnały ich Wojny Smoków. Chociaż oficjalnym językiem planety był standardowy angielski, Poertena najwyraźniej wychował się w domu, gdzie tym językiem nie mówiono. Pomimo akcentu, Roger był pewien, że dobrze rozumiał słowo „kurwa”. Miał tylko nadzieję, że kapral przesadzał co do reszty.

–Mam im powiedzieć, że jestem zajęty? – spytał, nie wiedząc, czy i jak wydostanie się z wnętrza źle dopasowanej zbroi.

Normalnie była to kwestia naciśnięcia odpowiednich przycisków, które otwierały pancerz wzdłuż spojeń, ale z powodu problemów z tym egzemplarzem doświadczony mechanik zablokował i odłączył większość układu sterowania. W przeciwnym wypadku zostałby porażony prądem o natężeniu kilkuset amperów lub znokautowany przez wymachującą pięść, co zupełnie mu się nie uśmiechało. Teraz trzeba było wszystko poskładać, zanim dałoby się wydostać księcia ze środka.

–Nie, Wasza Wysokość. Wyciongne pana w jednym, kurwa, chwilkie. Niech im pan powi, że za dziesięć minut, to wystarczy. Poza tym, mam tu inne, kurwa, poncerze do naprawy. – Szerokim gestem omiół zbrojownię... Na stojakach stało pół tuzina zbroi wymagających reperacji. – Harcerzyki, kurwa... Ciągłe psujom se poncerze. Pieprzone partacze.

Mechanik podszedł do stojącej pod ścianą skrzyni z nieużywanymi narzędziami i wyjął z niej metrowej długości klucz francuski. Przywłókł go z powrotem do księcia, unieruchomionego wewnątrz pancerza, i spojrzał mu prosto w oczy.

–Spokojnie, Wasza Wysokość – powiedział, uśmiechając się nerwowo. – Nie byndzie bolało.

Zamachnął się ogromnym kluczem jak młotem i chrząknąwszy z wysiłku rąbnął nim z całej siły w biceps ramienia zbroi.

Roger skrzywił się, kiedy pojawił, co się stanie, ale nie licząc nieprzyjemnej wibracji, jedynym efektem ciosu było to, że łączące rękę z barkiem zatrzaski puściły. Sprasowane pod ciśnieniem cząsteczki chromframowego pancerza ledwie odczuły uderzenie, ale Poertena upuścił swój zaimprovizowany młot.

–Pieprzone wibracje.

Spojrzał z satysfakcją na oderwaną rękę, podniósł klucz i zaszedł księcia z drugiej strony.

–Kiedyś używał zem do tego młota – Po kolejnym chrząknięciu i głośnym brzęku odpadł prawy biceps. – Ale mój kuzyn powiedział mnie: „Ramon. Weźże klucz, taki synu”. No, to wziąłem klucz. Miał rację, głupi syn. – Poertena upuścił francuza i wsunął rękę w szczelinę pancerza. – Jak już odczepi się ręce, trzeba ino policzyć.

Mała dłoń marine szukała czegoś na plecach księcia. Roger czuł, jak mechanik z czymś się mocuje i nagle tył pancerza bezgłośnie się otworzył. Barki zbroi opadły do przodu, unieruchamiając przedramię Poerteny w szczelinie.

–Kurwa – skomentował to marine. – Książę, mógłbyś się pan wyprostować i wygiąć ramiona do tyłu?

*** * ***

Po kilku manewrach książę stanął pośrodku stosu części wspomaganego pancerza. Spojrzał na swój trykot i zachichotał.

–To tyle, jeśli chodzi o skromność.

Drzwi zbrojowni rozsunęły się z sykiem, a do środka weszła plutonowa w kombinezonie maskującym. Miała spokojną twarz o wysokich słowiańskich kościach policzkowych, a długie brązowe włosy zebrała z tyłu głowy w kok. Falujący deseń materiału kombinezonu zniekształcał jej figurę, ale szybki chód i zwinne ruchy wskazywały, że kobieta jest nieźle wysportowana. Na widok półnagiego księcia stojącego między fragmentami zbroi nawet nie mrugnęła okiem.

–Wasza Wysokość, kapitan Pahner prosi, żeby pojawił się pan na mostku.

–Połącz się z kapitanem i powiedz mu, że wydostanie mnie ze zbroi zajęło chwilę czasu – odparł Roger. – Za chwilę u niego będę.

–Tak jest, Wasza Wysokość – powiedziała głosem bez wyrazu plutonowa i nacisnęła przycisk komunikatora przy pasie.

Roger zaczął ubierać się w strój, który przygotował sobie na nadchodzące kilka godzin. Początkowo zastanawiał się nad kombinezonem maskującym, uznał jednak, że będzie mu w nim niewygodnie, dlatego też wybrał kostium safari z mechatej, bawełno-podobnej tkaniny. Strój ten nie nadawał się do walki, ale roztaczał wokół księcia aurę przygody i wyglądał znacznie lepiej niż kameleonie okrycia, które nosili wszyscy wokół.

Ubierając się, Roger popatrywał ukradkiem na plutonową. Początkowo myślał, że porusza ona ustami, chcąc wydostać coś spomiędzy zębów, w końcu jednak zrozumiał, że marine toczy właśnie szeptem długą dyskusję lub z kimś się kłóci. Mikrofon komlinku ginął niemal niewidoczny na jej długiej, opalonej szyi, a odbiornik miała oczywiście wszczepiony w żuchwę.

W końcu książę obciągnął na siebie bluzę z mnóstwem kieszeni i oderwał od niej kawałek sprutej nitki.

–Gotowy.

Plutonowa otworzyła drzwi, ale została w zbrojowni. Książę ruszył na mostek w towarzystwie dwóch strażników. Kiedy drzwi ponownie się zamknęły, marine

spojrzała na mechanika, składającego właśnie pancierz księcia i mocującego go na manekinie.

–Poertena – spytała go surowym tonem. – Nie robiłeś na księciu numeru z młotkiem?

–Oczywiście, że nie – odparł nerwowo mechanik. – Już nie robię numeru z młotkiem.

–W takim razie co do cholery robi na podłodze ten klucz?

–A, ten. Nie robiem numeru z młotkiem, robiem numer z kluczem.

–Poertena, jak zaczniesz odpieprzać takie numery przy księciu, Pahner zrobi ci z dupy sałatkę.

–Mom gdzieś Pahnera – zdenerwował się mechanik. – Widzisz to pani? Mom tu sześć pieprzonych poncerzy do wyszykowania. Widzisz pani, żeby Pahner mię pomagał? Czy pani mię jakoś pomagasz? Mam iść do Pahnera i dać się opieprzyć, czy mam naprawiać poncerze?

–Jeśli potrzebujesz pomocy, powiedz! – niebieskie oczy plutonowej rozbliły. Skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała ze złością na małego Poertena. – Skończyliśmy ładować promy. Mam dwie pełne drużyny, które siedzą na tyłkach i nic nie robią. W każdej chwili mogą tu zejść.

–Nie potra mię tu bandy pajaców, co będzie mię się pieprzyć z poncerzami – nadąsał się mechanik. – Co dostaje jakieś pomoc, to pieprzom mi poncerze.

–W porządku – powiedziała plutonowa ze złośliwym uśmiechem. – Wiesz co? Przyślę ci do pomocy plutonowego Juliana.

–O nie! – jęknął Poertena, kiedy zrozumiał, w co się wpakował swoim marudzeniem. – Tylko nie Juliana!

* * *

–Hej, żołnierzu! – Julian wszedł do przedziału uzbrojenia, podszedł do najbliższej szeregowej, która dopiero co przeszła do Osobistego Cesarzowej z Szóstej Floty, położył jej rękę na ramieniu i uściśnął dłoń. – Cieszę się, że ci się udało. – Kiwnął głową na karabin plazmowy, który szeregowa właśnie miała rozłożyć. – Potrzebujesz pomocy ze swoim plazma-cudeńkiem?

Karabin plazmowy był zaprojektowanym specjalnie dla Korpusu Marines odpowiednikiem drużynowej broni ciężkiej. Ważył sześć kilogramów i zasilany był

zewnątrznymi kondensatorami, ważącymi dwa kilo każdy i pozwalającymi na oddanie trzech do dwunastu strzałów, w zależności od ustawienia broni. W podstawowym wyposażeniu operatora karabinu plazmowego znajdowało się dwanaście kondensatorów, ale w praktyce miał ich w plecaku zazwyczaj około trzydziestu, i tyle samo rozdzielał między kolegów i koleżanki z oddziału. Jeśli drużyna marines czegoś nienawidziła, to było to odkrycie, że skończyła się im amunicja do plazmówki.

Ta konkretna drużyna pierwszego plutonu zebrała się w przedziale na ostateczny przegląd wyposażenia. Ponieważ zaś karabin plazmowy składał się z niezliczonej ilości części, było zupełnie naturalne, że dusza towarzystwa Julian z trzeciego plutonu zaoferował pomoc. Szeregową zaczęła się uśmiechać, kiedy odezwał się dowódca jej sekcji ogniowej.

–Nie rób tego, dziewczyno – powiedział kapral Andras.

–Co? – Julian zrobił urażoną minę. – Uważasz, że nie mogę pomóc temu żółtodziobowi?

Szeregową Nassina Bosum przed przyjęciem do Brązowych Barbarzyńców spędziła pół roku w Operacyjnym Husańskim. Otworzyła usta, by poinformować ze złością, że w żadnym razie nie jest żółtodziobem, ale uprzedził ją jej dowódca.

–O tak, na pewno świetnie jej pomożesz... – wymamrotał.

–Siedem sekund – rzucił Julian z uśmiechem, a kapral spojrzał na niego spode łba.

–Nie ma mowy. – Karabin plazmowy M-96 składał się z ponad czterdziestu części. Rozebranie go w siedem sekund było czystą niemożliwością, nawet dla legendarnego Juliana.

Plutonowy sięgnął do kieszeni bluzy i wyciągnął chip.

–Dziesięć kredytek, że zrobię to w siedem sekund.

–Niemożliwe! – rzuciła ostro Bosum, zapominając o obrazie.

Standardowy czas demontażu karabinu wynosił ponad minutę – nikt nie mógł zrobić tego aż tak szybko.

–Forsa na stoi – powiedział wciąż uśmiechnięty Julian i rzucił swój chip na blat.

–Przyda mi się trochę – odezwał się grenadier siedzący kawałek dalej, a dowódca drużyny, plutonowy Koberda, zajął się układaniem dwóch stosików. Ostatecznie po stronie Juliana leżały dwa chipy, a naprzeciw niego kupka pięcio – i dziesięciokredytowych kostek.

–Kto postawił na Juliana?

–Ja – powiedział kwaśno Andras. – Jak dotąd zawsze zabierał moje pieniądze.

–Gotowi? – spytał Julian, trzymając rozpostarte dłonie nad karabinem.

–Chwila – odezwał się jeden ze strzelców ze śrutowcem, wyjmując spod siedzenia hełm i zakładając go na głowę. – W porządku – powiedział, opuszczając osłonę balistyczną. – Może być.

Plutonowy Koberda stuknął Bosum w ramię.

–Lepiej się odsuń – powiedział, marszcząc ostrzegawczo nos.

Sam zastosował się do własnej rady, po czym osłonił głowę rękami. Nassina zobaczyła, że pozostali robią to samo.

–Co...? – zaczęła, ale dowódca drużyny włączył właśnie stoper w swoim tootsie.

–Go!

Wyjęcie bolca umożliwiającego dalszy demontaż karabinu zajęło Julianowi najwięcej czasu – trochę ponad trzydzieści setnych sekundy. Szeregowa patrzyła z podziwem do momentu, kiedy w głowę trafił ją pierwszy pierścień magnetyczny. Wtedy zrozumiała, że części broni latają po całym pomieszczeniu, i zaczęła krzyczeć do plutonowego, żeby przestał... W tym momencie ostatni kawałek metalu świsnął w powietrzu i z brzękiem odbił się od przegrody.

–Już! – wrzasnął Julian, podnosząc ręce.

–Sześć przecinek czterysta trzydzieści osiem sekundy – oznajmił ponuro Koberda, odczytując wynik z tootsa i odkopując na bok leżący na podłodze kondensator.

–Dziękuję, panie i panowie, dziękuję – powiedział Julian, kłaniając się nisko i dzieląc stosik gotówki na dwie równe części. Jedną przesunął do Andrasa, drugą zaś przymocował do wyjętego z kieszeni sporego pęku chipów.

–Cała przyjemność po mojej stronie – rzucił i ruszył do następnego pomieszczenia.

Bosum rozejrzała się dookoła, próbując dojść, gdzie leżą części jej broni.

–Często to robi? – spytała kwaśno.

–Kiedy tylko damy mu okazję – odparł Andras. Podniósł z podłogi pierścień kondensatora i cisnął go do Nassiny. – Ale prędzej czy później przegra.

–Plutonowy Julian do zbrojowni! – oznajmił interkom. – Plutonowy Julian do zbrojowni.

–O, rany – powiedział Koberda. – To była Despreaux. Despreaux, Poertena i Julian w jednym pomieszczeniu! Wolałbym już być na mostku!

*** * ***

Roger poprawił poły bluzy safari i strzepnął z ramienia nieistniejący pyłek, zanim skinieniem głowy pozwolił strażnikowi otworzyć drzwi na mostek. Żołnierz czekał cierpliwie, po czym nacisnął zielony prostokąt i wszedł pierwszy, by zabezpieczyć pomieszczenie. Ze środka jednak emanowało jedynie napięcie.

Roger przestąpił nad osłoniętymi już i przymocowanymi taśmą kablami, i podszedł do centrum taktycznego. Rozstawił stopy na szerokość ramion, splótł ręce za plecami, skinął chłodno Krasnitsky’emu i Partnerowi, i spojrzał na marszczący się hologram. Jego spokój nagle prysnął. Ręka księcia wystrzeliła do przodu, wskazując czerwoną ikonkę.

–Spójrzcie! To...

–Wiemy, Wasza Wysokość – powiedział z kamienną twarzą Pahner. – Następny krążownik.

–Jeszcze nie ruszył w naszą stronę – westchnął Krasnitsky. – Przypuszczalnie rozgrzewa silniki, ponieważ nie zwolniliśmy. – Kapitan potarł zarośniętą szczękę i westchnął ponownie. – Oficer wykonawczy odebrał komunikat od pierwszego. Chcą, żebyśmy zwolnili i przygotowali się do przyjęcia ich na pokładzie. Podają się za imperialny krążownik *Freedom*, ale nim nie są. Po pierwsze, *Freedom* to nosiciel, a nie krążownik. Po drugie, ich kapitan mówi z caravazańskim akcentem.

–Święci – Rogerowi zaschło w ustach.

–Tak, Wasza Wysokość – powiedział Pahner. Nie skomentował oczywistości wniosku księcia. – Prawdopodobnie – poprawił się. – W najgorszym przypadku to Święci. Dlatego zakładamy, że to właśnie oni.

–Kapitanie – książę spojrzał na Krasnitsky’ego. – Czy pana okręt może wygrać z dwoma krążownikami?

Krasnitsky rozejrzał się po mostku. Nikomu nawet nie drgnęła powieka, ale wiedział, że lepiej nie mówić głośno tego, co powiedzieć musiał.

–Przejdźmy może do sali odpraw – zaproponował.

Kiedy zamknęły się drzwi, odwrócił się do księcia.

–Nie, Wasza Wysokość. Nie mamy absolutnie żadnych szans przeżycia starcia z dwoma krążownikami. Nie jesteśmy okrętem liniowym, tylko opancerzonym i dobrze uzbrojonym transportowcem. Gdybyśmy byli w pełnej gotowości, może udałoby się nam wyjść z tego cało. W obecnym stanie rzeczy nie mamy żadnych szans.

–Co w takim razie zrobimy? – Księżę spojrział na Pahnera i Krasnitsky’ego. – Musimy się poddać, tak?

Tym razem to Pahner westchnął.

–To... nie wchodzi w grę, Wasza Wysokość.

–Dlaczego nie? – spytał Roger. Odwrócił się do ponurego oficera Floty. – Przecież zginiecie, jeśli tego nie zrobicie!

Pahner ugryzł się w język, by nie powiedzieć tego, na co miał ochotę, ale Krasnitsky po prostu skinął głową.

–Tak, Wasza Wysokość, zginiemy.

–Ale dlaczego? – Roger ze zdumienia otworzył szeroko oczy. – Wiem, że nie należy się poddawać, ale nie możemy walczyć ani uciec. Więc dlaczego nie?

–Kapitan nie może ryzykować, że dostanie się pan w ich ręce, Wasza Wysokość – powiedział w końcu Pahner.

–Ale... – zaczął Roger, po czym zamilkł i zastanowił się. Sfrustrowany szarpał swój kucyk. – Dlaczego nie? Co oni mogą zrobić z... ze mną, na litość Boską? Zrozumiałbym, gdyby chodziło o Matkę, o Johna, nawet o Alexandrę, ale kto do cholery przejmuje się Rogerem? – dokończył gorzko. – Nie znam żadnych tajemnic i nie jestem następcą tronu. Dlaczego mnie im nie oddacie?

Twarz księcia stwardniała, kiedy podjął nagle decyzję.

–Kapitanie, nalegam, żeby się pan poddał. Właściwie proszę uznać to za rozkaz. Honor to piękna rzecz, ale trzeba odróżniać go od głupoty. – Wyprostował się i pociągnął nosem. – Honorowo poddam się osobiście. Pokażę im, co to znaczy MacClintock.

Zabrzmiałoby to o wiele lepiej, gdyby pod koniec księciu nie zadrzał głos.

–Na szczęście, Wasza Wysokość, nie jest pan moim bezpośrednim dowódcą – powiedział Krasnitsky z drwiącym uśmiechem. – Kapitanie Pahner, przygotuję ludzi

na zmianę planów. Wyjaśni mu pan sytuację? – Skinął głową Rogerowi i opuścił pomieszczenie.

–Co?! – księcia zatkało. – Hej! Wydałem panu rozkaz!

–Tak jak powiedział, Wasza Wysokość, nie jest pan jego bezpośrednim dowódcą. – Pahner potrząsnął głową. – Mógłby pan jednak chociaż podziękować mu za to, że popełnia dla pana samobójstwo, a nie jeszcze go besztać.

–Nie mają żadnego powodu, by się nie poddawać! – powiedział z uporem Roger. – Przecież to głupota!

Pahner przekrzywił głowę i spojrzał na księcia ponurym wzrokiem.

–Co się stanie, jeśli Święci dostaną pana w swoje ręce, Wasza Wysokość?

–Cóż – zastanowił się Roger. – Albo wybuchnie wojna, albo mnie oddadzą. Myślę, że mogliby wymusić na nas kilka ustępstw, ale nie zaryzykują wojny.

–A jeśli nie przyznają się od razu?

–Hmmm...

–Nie mogą dobrać się do pana tootsa, Wasza Wysokość – nie przy jego protokołach zabezpieczeń. Co jednak z narkotykami psychotropowymi? – Pahner przekrzywił głowę w drugą stronę i uniósł brew. – Co wtedy?

–Będę wydawał śmieszne odgłosy i szczekał jak pies – parsknął Roger.

Dopóki ostatecznie ich nie zakazano, narkotyki psychotropowe były często stosowane w klubach dla ludzi śmiertelnie pozbawionych poczucia humoru.

–Nie, Wasza Wysokość. Myślę – a nie jestem ekspertem od tego typu scenariuszy – że zmuszą pana do wypaplania wszystkich tajemnic stanu, jakie pan zna, przed kamerami ich „wolnych i niezależnych” agencji informacyjnych.

–O to właśnie chodzi, kapitanie Pahner – zaśmiał się książę. – Nie znam żadnych tajemnic.

–Oczywiście, że pan zna, Wasza Wysokość. Wie pan wszystko o planowanym przez Imperium najeździe na Raiden-Winterhowe.

–Kapitanie – powiedział ostrożnie książę. – O czym pan mówi? Nie dość, że między nami i nimi panuje pokój, to sam pomysł inwazji jest głupi. Ich flota niemal dorównuje naszej.

–W takim razie, Wasza Wysokość – Pahner uśmiechnął się. – Może opowie im pan o imperialnym spisku, mającym na celu zniewolenie wszystkich obcych ras i terraformowanie planet, które oszczędzono ze względu na ich unikalną faunę i florę?

–Kapitanie Pahner, o czym pan mówi? – zdenerwował się Roger. – Nic mi o tym nie wiadomo! Przecież to brzmi jak propaganda Świętych...

Przerwał.

–Och...

–A może o tym, że pana matka, Cesarzowa, na śniadanie jada ludzkie płody, a może...

–Zrozumiałem! – uciął książę. – Chodzi panu o to, że jeśli dostanę się w ich ręce, potwierdzę te wszystkie bzdury, które wymyślają.

–I czy to panu się będzie podobało, czy nie – kiwnął głową Pahner. – Wolę nawet nie myśleć, jak wykorzystają pana polowania na grubego zwierza. A skoro już o tym mowa, to życie reszty Rodziny będzie warte mniej niż zablokowana milikredytka. Jeśli uda im się zabić resztę Rodziny, zostanie pan następcą tronu.

–Parlament przegłosowałby wobec mnie wotum nieufności – roześmiał się gorzko Roger. – Do diabła, zrobiliby to nawet, gdyby nie stali za tym Święci. Kto dopuści Rogera do władzy?

–Do przegłosowania wotum potrzeba dwóch trzecich głosów, Wasza Wysokość – powiedział ponuro kapitan.

–Sugeruje pan, że Święci potrafiliby wpłynąć na jedną trzecią Parlamentu?

Roger zaczynał odnosić wrażenie, że niespodziewanie znalazł się po drugiej stronie lustra, w jakimś dziwnym, fantastycznym świecie. Oczywiście, zawsze miał obstawę, ale nikt nigdy nie próbował mu wmówić, że jest celem podstępnych machinacji wrogiego mocarstwa. Książę zawsze uważał, że obstawę dostaje na pokaz, ewentualnie do odpędzania jakichś nadmiernie natrętnych fanek. Teraz nagle zrozumiał, po co tak naprawdę jest ochrona... Żeby siedzieć mu na piersi i czekać na dehermetyzację.

–Dlaczego? – spytał cicho, zastanawiając się, co skłania ludzi do służenia i ochraniać kogoś, kto sam nie może na siebie patrzeć.

Pahner nie zrozumiał pytania.

–Święci chcą doprowadzić do tego, by ludzkość nie rozprzestrzeniła się na

niezasiedlone światy. Dla nich to religia. – Przerwał, nie wiedząc, jak kontynuować. – Myślałem, że pan o tym wie, Wasza Wysokość.

Wszyscy o tym wiedzieli. Kościół Rybaka miał w stolicy kilka placówek finansowanych przez Świętych, które regularnie emitowały reklamy. Był to stały temat na zajęciach z historii i wychowania obywatelskiego, dlatego też Pahner się zdziwił. Pytanie, o co chodziło Świętym, było o tyle bezsensowne, że nauczycielką Rogera przez wiele lat była O'Casey, która miała między innymi poczwórny doktorat z historii.

–Nie. Nie, o to mi chodziło. Chciałem spytać...

Roger spojrzął na ponurą twarz żołnierza i zrozumiał, że nie jest to dobry moment na zadawanie takich pytań. Pahner – jak większość ludzi, którym książkę zadawał pytania – powiedziałby coś, co jedynie powiększyłoby trapiące Rogera wątpliwości.

–Chciałem spytać, co teraz.

–Pójdziemy na całość, Wasza Wysokość – powiedział Pahner, kiwając głową.

Pytanie księcia nabrało sensu. Kapitan wyczuwał, że kryło się za nim coś więcej, ale nie wiedział co, zresztą niespecjalnie go to interesowało. Miał do wykonania zadanie i nic nie zapowiadało, by było ono łatwe.

–Przeładujemy promy. Mając nad sobą krążownik nie możemy szturmować portu z orbity. Będziemy musieli wylądować i dotrzeć do niego na piechotę. Nikt nie może o tym wiedzieć, dlatego też podejmiemy po krzywej balistycznej i wylądujemy po przeciwnej stronie planety. Marduk nigdy nie był dla imperium ważny i nie został dokładnie zbadany. Nie ma tu sieci satelitarnej, więc port nie dowie się o nas, dopóki sami się nie pokażemy. Kiedy już do niego dotrzemy, porwiemy jakiś statek i wrócimy do domu.

Brzmiało to zupełnie nieskomplikowanie.

Jasne.

–Czyli wylądujemy po przeciwnej stronie, a potem przelecimy... Zapomniałem, jak to się fachowo nazywa. Nisko nad ziemią, żeby nas nie wykryli?

–Kark do ziemi – odparł ponuro Pahner. – Nie, Wasza Wysokość. Niestety, będziemy musieli odlecieć na prawie pięć minut świetlnych. Na cztery promy załadujemy trzy plutony i trochę personelu pomocniczego, resztę ładunku zaś będzie stanowiło paliwo potrzebne do deceleracji. Kiedy już wylądujemy, będziemy mieli szczęście, jeśli starczy go nam na kilka klików.

–A więc jak dotrzemy do portu? – spytał Roger, obawiając się odpowiedzi.

–Na piechotę, Wasza Wysokość – powiedział Pahner i uśmiechnął się ponuro.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

–Piszą tutaj, że „średnie ciążenie na Marduku przewyższa nieco ziemskie, a pogoda jest raczej stała” – powiedział plutonowy Julian, patrząc na ekran swojego pada. On i Poertena zdążyli uruchomić dwa pancerze, zanim przyszedł rozkaz rzucić wszystko i przeładować promy. Właśnie je rozładowywali.

Julian przysiadł na srebrzystym skrzydle desantowego wahadłowca, podczas gdy jego oddział wynosił ze środka zbędne wyposażenie. Zmienna geometria skrzydeł umożliwiała promowi loty w atmosferze z prędkością od stu kilometrów na godzinę do trzech Machów, wyposażony był jednak również w wodorowe silniki, pozwalające manewrować w przestrzeni. Podobnie jak szalupa wsparcia naziemnego, uzbrojony był w lżejszą broń oraz zamontowane na grzbiecie pojedyncze czterolufowe działko śrutowe, co dawało więcej miejsca na ludzi i sprzęt.

–„...Średnia temperatura wynosi trzydzieści trzy stopnie, a średnia wilgotność dziewięćdziesiąt siedem procent”.

W bazach danych marines nie było żadnych informacji na temat planety, ale okazało się, że jeden z kaprali drugiego plutonu ma *Przewodnik po sektorze Baldura*. Zawierał on co prawda bardzo skąpą ilość danych, było ich jednak dość, by jeszcze bardziej pogorszyć sytuację.

–Jezu Chryste, niezły upał!

–Po prostu, kurwa, wspaniale – powiedział kapral Moseyev, wychodząc z wnętrza promu ze skrzynką amunicji do penetratora. – A brakowało mi tylko trzech tygodni do przeniesienia do Stali!

–„...Miejscowa kultura zatrzymała się na etapie prymitywnej broni palnej. Politycznie Mardukanie...” Hej, jest rysunek!

Mardukanina, czterorękiego i dwunożnego, który pochodził z linii sześcionogów, przedstawiono w porównaniu z człowiekiem. Z porównania wynikało, że osiąga on rozmiary niedźwiedzia grizzly. Długie, zginające się do tyłu nogi kończyły się wielkimi stopami. Dłonie obu par ramion były mniej więcej tej samej wielkości. Stwór miał szerokie bary i wąskie biodra. Górna para ramion wyposażona była w chwytne dłonie o trzech długich palcach i kciuku, dolna zaś, krótsza, w masywne łapy z dwoma różnej długości palcami i szeroką poduszką. Twarz Mardukanina była szersza i bardziej płaska niż ludzka, z mięsistym nosem i małymi, głęboko osadzonymi oczkami. Z czoła wyrastała para zakrzywionych rogów. Służyły one najwyraźniej jako broń – ich wewnętrzne krawędzie wyglądały na ostre. Gumowata skóra miała kolor cętkowanej zieleni i dziwnie lśniła.

–Co to? – spytał Moseyev.

–Nie wiem. – Julian naprowadził kursor na skórę i powiększył obraz. – „Skóra Mardukanina pokryta jest poli... polis... coś tam, coś tam, który chroni go przed zadrapaniami i różnymi gatunkami trujących grzybów, rosnących w dżungli.” – przeczytał i zastanowił się. – Fuj!

–Jest pokryty śluzem – zarechotał Moseyey. – Fe! Ślizuchy!

–Szumowiniaki! – W doku pojawiła się starszy sierżant Kosutic. – Wydawało mi się, że kazano wam rozładować zbędne wyposażenie z promów, Julian?

–Aktualizowaliśmy dane o zadaniu, pani sierżant! – Julian stanął na baczność, przyciskając pad do uda. – Opisywałem oddziałowi wroga i warunki działania!

–Wróg to ci popieprzeni Święci czy piraci, czy ktokolwiek, kto zajął port. – Kosutic podeszła tak blisko, że plutonowy czuł jej miętowy oddech. – Przez szumowiniaki będziemy musieli się przedrzeć, kiedy już wylądujemy na planecie. Wasze zadanie w tej chwili to rozładować prom, a nie siedzieć na dupie i udawać cwaniaka. Zrozumiano?

–Tak jest, pani sierżant!

–Ruszyć dupy i do roboty. Mamy mało czasu.

–Moseyev! – zawołał Julian pospiesznie, odwracając się do swojego oddziału. – Wasza sekcja rozładowuje amunicję. Nie mamy na to całego cyklu dziennego! Gjalski, wasza sekcja do zasilaczy...

–Nie – powiedziała Kosutic. – Zostawcie zasilacze. Właściwie trzeba będzie załadować ich nawet więcej. Dzięki Vladowi, że nie mamy ze sobą plutonu broni ciężkiej.

–Pani sierżant – spytał Julian, kiedy jego oddział zaczął krzątać się przy wylądunku. – Nazwała pani Mardukan „szumowiniakami”. Gdzie to pani usłyszała?

–Znałam kogoś, kto tam kiedyś był – Kosutic skubnęła płatek ucha. – Opowiadał, że była to średnia przyjemność.

–Naprawdę będziemy musieli przejść na piechotę całą tę pieprzoną planetę? – spytał przerażony Julian.

–Nie mamy specjalnego wyboru, plutonowy – warknęła sierżant. – Skupcie się na swoim zadaniu.

–Tak jest, pani sierżant. – Plutonowy zerknął na „szumowiniaka” widniejącego na ekranie pada. Wyglądał na dużego i wrednego... Z drugiej strony jednak to samo można było powiedzieć o marines. – Według rozkazu.

Nie mieli specjalnego wyboru.

* * *

–Dobra, zastanówmy się – powiedział Pahner i rozejrzał się po sali odpraw. – Po pierwsze, jaki jest cel misji?

W sali znajdowali się tylko ludzie księcia – on sam, Pahner, O’Casey i trzech poruczników. Eleanora przeglądała na padzie dane, jakie posiadała o Marduku. Była tradycjonalistką i lubiła dotknąć tego, z czym się zapoznawała. Roger z kolei przeanalizował już informacje w tootsie o planecie i nie znalazł w nich nic pocieszającego.

–Zdobyc port, jednocześnie unikając wykrycia – powiedziała porucznik Sawato i wskazała na holograficzną mapę nad stołem. Skopiowano ją z *Przewodnika*, ale oprócz bezpośredniej okolicy portu nie pokazywała żadnych szczegółów. – Wylądować na północno-wschodnim wybrzeżu tego dużego kontynentu, przeprowić się przez stosunkowo niewielki ocean i ruszyć w głąb lądu, by zająć port.

–Brzmi łatwo – prychnął porucznik Gulyas. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Pahner podniósł dłoń.

–Zapomina pani o czymś, poruczniku – upomniał łagodnie Sawato. – Zapewniając bezpieczeństwo Jego Wysokości Księżciu Rogerowi.

Roger otworzył usta, by zaprotestować, ale dostał łokciem od O’Casey. Z doświadczenia wiedział, że lepiej nic już nie mówić.

–Tak jest, sir – odpowiedziała kapitanowi Sawato, skłaniając się jednocześnie księżciu. – Uznałam to za oczywiste.

–Wie pani, co się mówi o rzeczach oczywistych – skarcił ją Pahner. – Nie zapominajmy o bezpieczeństwie księcia Rogera, dobrze? Flota ma plan, jak dostarczyć nas na planetę, a my nie mamy na to żadnego wpływu. Musimy jednak zrobić wszystko, co w naszej mocy, by księżę był bezpieczny. To nasz główny priorytet.

Rozejrzał się, żeby mieć pewność, że wszyscy oficerowie zrozumieli, po czym skinął głową.

–W takim razie myślę, że powinniśmy omówić warunki klimatyczne i zagrożenia. –

Odwrócił się do porucznika Gulyasa. – Conall, w normalnych okolicznościach byłoby to pańskie zadanie. Rozmawiałem jednak z doktor O’Casey, która ma pewne spostrzeżenia. Pani doktor?

–Dziękuję, kapitanie – odparła formalnie i nacisnęła kilka klawiszy. Hologram wyświetlił obraz Marduka. – Wszyscy państwo zapoznaliście się już z danymi, jakie mamy na temat planety i jej mieszkańców.

–Marduk został zaliczony do świata trzeciej klasy – powiedziała i ponownie wcisnęła parę klawiszy. Tym razem nad stołem pojawiło się duże zwierzę o sześciu grubych nogach, opancerzonym łbie i trójkątnej, pełnej ostrych zębów paszczy. Porównanie z widniejącą obok sylwetką człowieka wskazywało, że stworzenie jest nieco większe od nosorożca.

–Nawiasem mówiąc, to przypuszczalnie taka sama klasyfikacja, jaką miałyby Ziemia na tym poziomie rozwoju cywilizacji. Marduk jednak ma nie tylko nieprzyjazny klimat – jest tam bardzo gorąco i parno, co będzie źle wpływać na elektronikę – ale także wrogo nastawionych mieszkańców i przyrodę... Ten konkretny okaz, zwany chrystebestią, to dobry przykład. Pierwsza ekipa badawcza musiała zastrzelić kilka sztuk. Planeta ma wystarczająco gorący klimat, by wszystkie gatunki dominujące były zrniennocieplne, co oznacza zwiększenie przewagi drapieżników nad roślinożercami. Podczas gdy ssak tych rozmiarów potrzebowałby dla siebie miliona hektarów, każdy z nich zajmuje obszar poniżej czterdziestu tysięcy hektarów. – O’Casey uśmiechnęła się słabo. – A to jedyny gatunek drapieżnika wymieniony w pokładowej bazie danych. Pytany o inne, komputer odsyła do oficjalnego raportu Służby Badawczej.

Uśmiechnęła się ponownie, słysząc chóralny jęk zawodu.

–Tubylcy – Mardukanie – znajdują się na etapie technologicznym sprzed wynalezienia maszyny parowej. Oczywiście poziom ich zaawansowania różni się w zależności od miejsca, ale najbardziej rozwinięte kultury odkryły proch. Jest to jednak bardzo rzadkie, a nawet tam, gdzie występuje, nie istnieje coś takiego jak produkcja seryjna czy amunicja zespolona.

O’Casey wywołała zdjęcie jakiejś dziwnej broni.

–Oto podstawowa broń strzelecka tych mardukańskich społeczności, które odkryły proch – arkebuz i bombardarda. Broni tej używano na Ziemi w zamierzczłej przeszłości, głównie w Europie, arkebuz jednak został szybko wyparty przez skałkowy muszkiet, a ten z kolei przez karabin. Bombardarda to odległy kuzyn naszych haubic.

Kolejny obraz przedstawiał basen Morza Śródziemnego.

–Mardukański klimat socjologiczny ma niewiele dokładnych odpowiedników w

historii ludzkości, jest jednak nieco podobny do ziemskiego z czasów wczesnej Republiki Rzymskiej. Mardukanie skupiają się w miastach-państwach oraz niewielkich imperiach, rozmieszczonych wzdłuż żyznych dolin rzecznych, tak więc tereny pomiędzy rzekami zamieszkują głównie barbarzyńcy. Mimo że posiadają oni nieco broni palnej, polegają głównie na oszczepach i włóczniach. Dokładna struktura szczerwowa barbarzyńców jest nieznana.

–Dlaczego jest nieznana? – spytał porucznik Gulyas, ciekaw, skąd doktor wzięła te wszystkie informacje.

–Myślę, że przede wszystkim dlatego, że zjedli badacze – powiedziała O’Casey z udawaną powagą, po czym uśmiechnęła się. – Albo dlatego, że nikt ich nie badał... Z tego, co wiem, wszystko, co leży w odległości ponad tysiąca klików od portu, to *terra incognita*. W każdym razie moja baza danych tu się wyczerpuje.

–Skąd pani to wszystko wzięła? – spytał z ciekawością Gulyas.

–W każdą podróż zabieram swoje bazy danych historycznych i socjologicznych – odpowiedziała z uśmiechem O’Casey.

–Są mi potrzebne do pracy nad moimi artykułami.

Ponownie spojrzała na pad.

–Kontynuując: barbarzyńcy walczą ze sobą nawzajem – kiedy nie najeżdżają granic miast-państw – ale i miasta bezustannie się ścierają. Jeśli gdzieś panuje pokój, można założyć z dużym prawdopodobieństwem, że to tymczasowe zawieszenie broni, a wojna może wybuchnąć w każdej chwili. – Znów się uśmiechnęła, tym razem jednak ponuro. – Myślę, że wylądowanie kompanii marines będzie iskrą, która taki wybuch spowoduje.

Umilkła na chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

–To wszystko, jeśli chodzi o główne dane. Sporządzę pełny raport do państwa użytku po naradzie.

–Dziękuję, pani doktor – powiedział ponurym tonem Pahner.

–To było ładne nakreślenie sytuacji. Jestem pewien, że zauważyła pani także, iż możemy jeść ichniejszą żywność. Biochemia jest dość odległa od ziemskich standardów, ale nasze nanity powinny dać radę rozłożyć to, czego nie uda nam się strawić, i w ten sposób ochronić nas przed zatruciem. Z drugiej strony nawet nanity nie stworzą czegoś z niczego, dlatego będziemy potrzebować dawek uzupełniających, zwłaszcza witamin C i E oraz niektórych aminokwasów. Co znaczy, że będziemy je ze sobą targać.

Nie usłyszawszy jęku oficerów, podniósł wzrok.

–Żadnych narzekań? Chyba powoli otrzeźwieliśmy.

–Rozmawialiśmy o tym, sir – przyznała porucznik Sawato i potrząsnęła głową. – Zrobiłam listę wszystkich czynników, ale, jak zauważył porucznik Gulyas, jest kilka poważnych problemów.

–To prawda. – Pahner odchylił się do tyłu w fotelu i oparł brodę na dłoni. – Proszę mi powiedzieć, jakich.

–Po pierwsze, sir, chodzi o czas. Jak długo zajmie nam przejście przez planetę?

–Długo – odparł spokojnie Pahner. – Kilka miesięcy.

Wszyscy wzięli głęboki oddech. Nie rozmawiali już o szybkim desancie na planetę, ale o dłuższym pobycie. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, ale nikt nie chciał być tym, kto miałby to głośno powiedzieć.

–Tak, sir – przerwał ciszę porucznik Jasco. Wysoki, potężnie zbudowany oficer pierwszego plutonu odpowiedzialny był za logistykę. Potrząsnął swą lwią głową. – Nie widzę tego, sir. Nie wystarczy nam jedzenia ani energii. Mamy racje polowe na dwa tygodnie i zasilacze na tydzień działania pancerzy, ale mówimy tu o trzech do sześciu miesiącach na planecie. Może uda nam się znaleźć coś zdatnego do zjedzenia, a nasze nanity poradzą sobie z problemami trawiennymi, ale jeśli napotkamy opór, szukanie żywności będzie bardzo utrudnione i ograniczone. Biorąc pod uwagę stopień zagrożenia, będziemy potrzebować pancerzy wspomaganych, by przeżyć, ale nie mamy jak utrzymać ich tak długo na chodzie. Z całym szacunkiem, nie chcę być uznany za defetystę, ale nie widzę sposobu na wykonanie tej misji, sir.

–W porządku – skinął Pahner. – To pańska opinia. Czy ktoś może widzi sposób na wykonanie tej misji?

–Moglibyśmy ogołocić okręt ze zbędnych systemów zasilających – zasugerował porucznik Gulyas. – Wszędzie tu pełno zasilaczy.

–Jak je ze sobą zabierzemy? – Jasco potrząsnął głową. – To na jedno wyjdzie, bo pancerze będą przeciążone...

–Możemy założyć ruchome obozy! – Gulyas zamachał rękami z entuzjazmem. – Wysyłamy przodem oddział, który rozbija obóz. Część oddziału zostaje, by go pilnować, a reszta wraca po zapasy. Zabierają je do obozu i zużywają część, by przesunąć się kawałek dalej. Zostawiają oddział w następnym obozie i wracają po zapasy...

–Pokonają nas na raty, jeśli się tak podzielimy – powiedziała ostro Sawato.

–Do tego potrzebowalibyśmy sześć razy więcej zapasów! – rzucił Jasco.

–Moglibyśmy ponieść pancerze – zaproponował nieśmiało Roger i popatrzył na twarze poruczników. Jasco przewrócił oczami, odchylił się do tyłu i skrzyżował ręce na piersi, zaś Gulyas i Sawato po prostu unikali jego wzroku. – Oszczędzilibyśmy zasilacze...

–Ehem – zaczął Jasco. – Wasza Wysokość, z całym szacunkiem...

–Myślę – powiedział Roger – że lepiej byłoby na tego rodzaju spotkaniach używać mojego tytułu wojskowego.

Jasco rzucił szybkie spojrzenie Pahnerowi, ale twarz kapitana zupełnie nic nie wyrażała. Porucznik przypomniał sobie nagle rozwiązywane w Akademii testy, w których nie było żadnych prawidłowych odpowiedzi.

–Tak, ee, pułkowniku. Jak już mówiłem, pancerze ważą prawie czterysta kilogramów sztuka – powiedział i raczej mało przyjaźnie zachichotał.

–Och – westchnął Roger z rozczarowaniem. – Ja... och.

–W rzeczy samej – odezwał się cicho Pahner. – To właśnie miałem zaproponować. – Spojrzał na osłupiałych poruczników i uśmiechnął się uprzejmie. – Panie i panowie, jesteście chlubą swoich roczników. „Uderz mocno, uderz nisko, złap za jaja, wal po pysku”, zgadza się?

Porucznicy uśmiechnęli się na wspomnienie słów pijackiej piosenki z Akademii. Mimo że większość oficerów w Korpusie zaczynała od szeregowego, jak sam Pahner (choć zazwyczaj mieli mniej spektakularny przebieg służby), piosenka ta była wśród kadry dość powszechnie znana.

–Uderzymy szumowiniaki „mocno i nisko”, jeśli będzie trzeba. Nie mamy jednak dość energii, by siłą przebić się przez całą planetę, więc będziemy musieli układać się z nimi, gdzie tylko się da, handlować, kiedy będzie trzeba, a dupy kopać tylko w ostateczności. Kiedy już będziemy je kopać, lepiej, żebyśmy kopali je porządnie, ale najpierw będziemy pertraktować.

–Codziennie jeden pluton będzie wyznaczany do noszenia – ciągnął. – Zabierzemy pancerze dla jednej drużyny: drugiej z trzeciego plutonu – mają tam najwięcej weteranów i najlepsze wyniki w walce, jak dotąd. – Kapitan spojrzał na Rogera, najwyraźniej rozważając wszystkie za i przeciw, po czym skinął głową. – Weźmiemy też pancerz dla księcia. Nie ma dużego doświadczenia w jego obsłudze, ale będzie bezpieczniejszy.

Musimy jednak pamiętać, że przejście przez planetę to dopiero połowa naszej misji. Główny cel to zdobycie portu i statku, który zabierze nas do domu, a do tego będziemy potrzebować pancerzy i uzbrojenia. Początkowo, dopóki nie zapoznamy się z warunkami, będziemy utrzymywać jeden oddział przez cały czas w pancerzach. Kiedy już nabierzemy wprawy, będziemy podróżować w zwykłych mundurach, żeby oszczędzać zasilacze, aż dotrzemy do portu.

Bronić się będziemy w razie czego śrutowcami i plazmówkami. Możemy jednak założyć, że im też skończy się amunicja. Dlatego też od chwili pierwszego starcia z Mardukanami będziemy zbierać ich broń i uczyć się nią posługiwać.

Pahner jeszcze raz spojrzął na poruczników. Jasco najwyraźniej uważał, że kapitan postradał zmysły. Dwoje pozostałych usiłowało bez większych sukcesów nie pokazać po sobie, co myślą, ale księżę, o dziwo, wyglądał jedynie na zmieszanego. Pahnera bawiło wywracanie światopoglądu poruczników do góry nogami. Zmuszanie ich do myślenia wychodziło im na dobre, niezależnie od tego, co sami o tym sądzili. W przypadku księcia... Pahner poczuł, że jego zniecierpliwienie zamienia się w rozbawienie, co również go zaskoczyło.

Kapitan zawsze uważał księcia za swego podopiecznego, ale nigdy za „swojego” oficera ani też – cokolwiek twierdziła Tabela Organizacji – za swojego zwierzchnika. W tym momencie jednak zdał sobie sprawę, że tak naprawdę miał pod opieką straszliwie zagubionego, świeżego porucznika. Ponieważ zaś „kapitan” Pahner spędził większą część życia jako „sierżant” Pahner, ucząc zagubionych poruczników zasad gry, księżę przestał nagle w jego oczach być obciążeniem, a zaczął jawić się jako wyzwanie. Trudne wyzwanie – Pahner nigdy nie pracował z kimś, kto miał gorsze zadatki na dobrego oficera – ale możliwe do sprostania, a jedynie z takimi warto było się mierzyć. Kiedy tylko kapitan zdał sobie z tego wszystkiego sprawę, misja, którą miał wykonać, z niemożliwej zmieniła się w bardzo trudną.

–Ćwiczyć bronią szumowiniaków, sir? – spytał porucznik Jasco, spoglądając na pozostałych oficerów. – Co będziemy z nią robić? Sir?

–Będziemy używać jej do powstrzymywania atakujących Mardukan lub wrogiej fauny, dopóki nie podciągniemy cięższego sprzętu. Kiedy uznam, że zapasy zasilaczy są na niezbędnym minimalnym poziomie, koniecznym do zdobycia portu, będziemy korzystać tylko z uzbrojenia tubylczego.

–Sir? – zaczęła nieśmiało porucznik Sawato. – Jest pan pewien? Ta... – Pokazała ruchem dłoni hologram. – Ta broń... nie jest zbyt dobra.

–Nie, pani porucznik, nie jest. Będziemy jednak musieli nauczyć się nią posługiwać. Nasze kombinezony maskujące są do pewnego stopnia kuloodporne, więc będziemy odporni na ogień ich arkebuzów. Co do oszczepów, włóczni i mieczy... o to będziemy

się martwić, jak przyjdzie czas.

–Dalej – kontynuował. – Co, oprócz energii do broni i pancerzy, jest dla nas najważniejsze?

–Komunikacja – powiedział porucznik Gulyas. – Jeśli mamy handlować i układać się, musimy móc się porozumieć. Mamy „pigułkę” języka Mardukan, ale obejmuje ona jedynie dialekt z terenów przyległych do bazy. Nie posiadamy pigułek z innych regionów. Bez nich nasze tootsy nie będą mogły dla nas tłumaczyć.

–Ja się tym zajmę – powiedziała O’Casey. – Mam niezły program językowy, którego używam do badań antropologicznych. Mogę mieć problemy z porozumieniem się z kilkoma pierwszymi grupami, na które się natkniemy, ale kiedy już zdobędę regionalną podstawę języka, nawet spore różnice między dialektami nie będą dla nas problemem. Będę też mogła stworzyć pigułki dla innych tootsów.

–Czyli to mamy z głowy – uśmiechnął się Pahner. – Będzie pani jednak musiała skopiować sam program do kilku innych tootsów. Nie możemy pozwolić, żeby była pani naszym słabym punktem.

–Z tym może być problem – przyznała O’Casey. – Jest spory. Żeby się nim posługiwać, potrzebny jest bardzo pojemny toots. Mój został przebudowany na zamówienie, ale bez potężnego procesora i sporej pamięci program strasznie się ślimaczy.

–Ja go załaduję – powiedział cicho Roger. – Mój jest... całkiem niezły. – Słyszac to, wszyscy cicho zachichotali. Możliwości implantów rodziny cesarskiej były niemal legendarne. – Możemy mieć trochę kłopotów z ładowaniem go, ale gwarantuję, że będzie działał.

–Dobrze – powiedział Pahner. – Co dalej?

–Jedzenie – odezwał się Jasco. – Nie mamy racji polowych – na całą drogę, a nie możemy szukać żywności, jednocześnie niosąc pancerze i pilnując księcia. – W jego głosie pojawił się delikatny ton zaczepki.

–Słusznie – zgodził się spokojnie Pahner. – Jak poradzimy sobie z tym problemem?

–Handel – powiedziała pewnym głosem O’Casey. – Wymienimy zaawansowany technicznie sprzęt na to, czego Mardukanie używają jako środka płatniczego. Przy okazji – to nie muszą być metale. Mieszkańcy starożytnej Północnej Afryki używali soli. Cokolwiek to jest tutaj, kupujemy tego jak najwięcej w pierwszym mieście-państwie, na zapas, a resztę możemy dostać gdzieś po drodze.

–Właśnie – Pahner stanowczo kiwnął głową. – Co mamy takiego, co nadawałoby się

na handel?

–Zapalarki – odpowiedział natychmiast Jasco. – Widziałem całą skrzynię w magazynie w zeszłym tygodniu. – Zerknął na swój pad. – Mam tu spis inwentarza, zaraz go wszystkim prześlę.

Postawił swój pad na stole i uruchomił wysyłanie danych. Porucznicy i CTCasey od razu zaczęli je przeglądać, ale Roger dopiero wyciągał swój pad. Kiedy wreszcie otworzył go i skonfigurował do odbioru, Jasco przerwał transmisję i wrócił do przeglądania danych.

–Poruczniku – powiedział ksiązę wyniosłym tonem. – Czy mógłby pan...?

Jasco z zaskoczeniem popatrzył na niego znad spisu.

–Och, przepraszam, Wasza Wysokość – powiedział i przesłał dane raz jeszcze.

Roger skinął głową.

–Dziękuję, poruczniku. Proszę też pamiętać – „pułkowniku”.

–Tak, oczywiście... panie pułkowniku – powiedział Jasco i na powrót wczytał się w spis.

–Co widzimy? – spytał Pahner, najwyraźniej ignorując zgrzyt. Nie wyjął swojego pada i nie odebrał transmisji.

Roger skopiował dane do swojego tootsa i odłożył pad. Mógłby skopiować je tam bezpośrednio z komputera porucznika, ale implant miał tyle protokołów zabezpieczeń, że przesianie informacji przez własny pad było szybsze i łatwiejsze. Kiedy ksiązę zajmował się przenoszeniem danych, oficerowie i O’Casey studiowali inwentarz.

–Praktycznie wszystko tutaj nadawałoby się na handel – powiedziała Eleanora, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. – Próżniowe koce, okrycia maskujące, pojemniki na wodę...

–Mamy ograniczenia w masie i w objętości – zaznaczył Pahner. – Okręt będzie musiał wystrzelić nas dość daleko, a my będziemy schodzić po długiej, łagodnej spirali, żeby uniknąć wykrycia. To oznacza dodatkowe wewnętrzne zbiorniki z wodorem, a one zajmują miejsce i wagę. Dlatego im większy potencjalny zysk, tym lepiej.

–W takim razie – podjęła O’Casey – nie mundury. Plecaki – mamy pięć zapasowych, mogą być dobre. Zapasowe pady? Nie, Co to są „multinarzędzia”?

–Narzędzia z pamiętającego tworzywa – powiedziała Sawato, kiwając głową. – Mają cztery konfiguracje standardowe – szpadel, toporek, kilof i maczeta. Można dodać do tego dwie własne.

–Mamy piętnaście na zbyciu – stwierdził Jasco, przeglądając spis. – A każdy marine w kompanii ma własne.

–Oczywiście – zachichotał Gulyas. – Niektóre z nich mają zaprogramowane... niezwykle ustawienia.

–Co? – uśmiechnęła się Sawato. – Jak „rozstrojona lutnia” plutonowego Juliana?

–Myślałem bardziej o Poertenie i jego „wilkiej, kurwa, turbie” – parsknął Gulyas.

–Słucham? – O’Casey zamrugła oczami i popatrzyła na dwójkę poruczników.

–Mechanik ma dostęp do maszyny, która resetuje zmienne konfiguracje – wyjaśnił zmęczonym głosem Pahner. – Julian był mechanikiem kompanii przed Poertena. Obaj lubią kawały.

–Och.

Była nauczycielka księcia myślała przez kilka sekund, po czym parsknęła śmiechem, kiedy w końcu zrozumiała to „wilkom, kurwa, turbe”, – W takim razie to ustawienie ma sens. Będziemy potrzebować sporo... dużych toreb do noszenia sprzętu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

–Hej, Julian, stary! – zawołał Poertena na cały dok. – Chono tu i pomóż mi z tom turbom!

–Jezu Chryste, Poertena! – Julian z trudem dźwignął ucho dygoczącej torby z pamiętającego tworzywa. – Co, kur... To znaczy, co do cholery tam masz?

–Wszystko, co siem dało upchnąć – odparł mechanik. – Pieprzone poncerze same siem nie naprawiom. Przecież wiesz!

–Co tam jest, do diabła? – spytał Julian i sięgnął do zapięcia torby. Była ciężka jak cholera.

–Zabieraj swoje pieprzone łapy z moi pieprzony torby! – prychnął Poertena, szarpiąc plutonowego za rękę.

–Słuchaj, jak mam ci pomagać ją taszczyć, to chcę chociaż wiedzieć, co taszczę! – Julian otworzył torbę i zajrzał do środka. – Jezu Chryste, Poertena! – powtórzył... – Pieprzony klucz?!

Niewiele brakowało, a mały Pinopańczyk zacząłby skakać ze złości. – Masz swoje, kurwa, sposoby, a ja mam, kurwa, swoje! Umisz wyciongnąć kogo z poncerza, jak mu siądzie zasilanie, co? Hę? Musisz wysadzać pieprzone uszczelki! A uszczelki trzymajom siem tylko na zatrzaskach! Jak rozepniesz zatrzaski, poncerz siem otwiera i masz całe uszczelki! Ale nie! Mundry żołnierzyc musi wysadzić pieprzone zapadki!

–Bo tak piszą w instrukcji! – krzyknął Julian, załamując rękę. – Nie ma tam ani słowa o waleniu w nie, aż puszczą!

–Hej! – krzyknęła z wejścia do doku sierżant Kosutic i podeszła szybko, przerywając kłótnię. – Mam się dobrać do tyłków wam obu? – spytała, patrząc groźnie na Juliana.

–Nie, pani sierżant – odpowiedział posłusznie. – Wszystko jest pod kontrolą.

Powinien był wiedzieć, że sierżant się pojawi. Kiedy tylko coś się działo, wyskakiwała spod podłogi jak jakiś dzinn.

–I tak ma być! Mamy do wykonania trudną misję i nie potrzeba nam żadnych utrudnień! Zrozumiano?

–Tak jest, pani sierżant!

–Poertena – Kosutic odwróciła się do mechanika. – Po pierwsze, naucz się nie

mówić przy wszystkich „odpieprz się” do plutonowych i sierżantów, albo dobiore ci się do dupy. Zrozumiano?

–Tak jest, pani sierżant – odparł Poertena, marząc o kamieniu, pod który mógłby teraz wpełznąć.

–Po drugie, znajdź sobie jakieś nowe słówko zamiast „kurwa”, bo jeśli jeszcze choćby raz je od ciebie usłyszę, osobiście zedrę ci paski i każę je zjeść na surowo. Jesteś teraz w Osobistym Cesarzowej, nie w jakimś liniowym szmatławcu, z którego tu przyszedłeś. Nie mówimy „kurwa”, „zdzira” ani innych tego rodzaju słów. A już zwłaszcza nie wtedy, kiedy oporzadzamy, kurwa, księcia. Czy to, kurwa, jasne? – skończyła, szturchając twarde jak żelazny pręt palcem w pierś kaprała.

Poertena zamrugnął oczami, spanikowany.

–Jasne, pani sierżant! – odpowiedział, najwyraźniej nie do końca przekonany, czy poradzi sobie bez swojego zwyczajowego przecinka.

–Co jest w tym worze? – spytała ostro Kosutic.

–Moje kur... Moje narzędzia, pani sierżant – odparł Poertena. – Muszę mieć przy sobie swoje kur... swoje narzędzia, pani sierżant. Poncerze same siem nie naprawiom!

–Plutonowy Julian? – Kosutic odwróciła się do marine, który rozluźnił się nieco widząc, że gniew starszej sierżant sztabowej skupia się na Poertenie.

–Tak, pani sierżant? – Julian trzasnął obcasami.

–Mieliście jakieś obiekcje?

–Obowiązują nas ograniczenia masy, pani sierżant! – szczerknął plutonowy. – Sprzeciwiłem się zabrani przez kaprała Poertenę kilku narzędzi, których nie uznałem za absolutnie niezbędne, pani sierżant!

–Poertena?

–Nie podoba mu siem mój kur... mój klucz, pani sierżant – odparł nieco ponuro kapral. Był pewien, że straci swój klucz.

Kosutic skinęła głową i otworzyła wypchaną torbę. Spojrzała na jej zawartość i skinęła jeszcze raz.

–Poertena?

–Tak, pani sierżant?

–Wiecie, że będziemy to tachać przez całą planetę? – spytała łagodnym tonem.

–Tak jest, pani sierżant. – Poertena nie rozchmurzył się – wiedział, co oznacza taki ton.

Starszy sierżant kiwnęła głową i skubnęła się w ucho.

–Ponieważ wasza sytuacja jest wyjątkowa, prawdopodobnie nie będziecie musieli nieść amunicji, zasilaczy i pancerzy.

Kosutic rozejrzała się po doku i zajrzała do torby.

–Nie pozwolę jednak, by ktokolwiek z tych ludzi niósł coś niepotrzebnego – warknęła.

–Ale pani sierżant...

–Pozwoliłam wam się odzywać?!

–Nie, pani sierżant!

–Jak już mówiłam, nikt nie będzie niósł nic niepotrzebnego – podjęła, mierząc kaprała lodowatym spojrzeniem. – Nie zamierzam też mówić mechanikowi, co jest mu potrzebne do pracy. Zostawiam to na waszej głowie. Ostrzegam jednak – nikt nie będzie za was niósł ani jednej rzeczy. Czy to jasne? – skończyła, jeszcze raz szturchając mechanika palcem.

Poertena przełknął ślinę i pokiwał głową.

–Tak jest, pani sierżant. – Skrzywił się w myślach.

–Jesteście zwolnieni z obowiązku noszenia tego co inni właśnie dlatego, że macie własny sprzęt – powiedziała Kosutic. – Nie dlatego, na szatana, że ktoś będzie to nosił za was. Jasne?

Palec wskazujący.

–Jasne, pani sierżant.

–Jeśli więc potrzebujecie młotka, klucza czy czegokolwiek innego – proszę bardzo. Ale to wy – palec wskazujący – będziecie to nieść. Jasne?

–Jasne, pani sierżant. – Głos Poerteny był jeszcze bardziej zduszony niż zwykle, także dlatego, że stojący za plecami Kosutic Julian szczyrzył się w uśmiechu. Starszy sierżant spojrziała na mechanika złowrogo... po czym z prędkością atakującej kobry odwróciła się do dowódcy drużyny.

–Plutonowy Julian – powiedziała przymilnie. – Chciałabym poprosić was na chwilę na korytarz.

Uśmiech Juliana zamarł. Plutonowy spojrzął mściwie na Pinopańczyka i ruszył za sierżant Kosutic. Poertena zupełnie się tym nie przejął. Próbował wymyśleć, jak upchnąć trzysta litrów narzędzi do dziesięciolitrowej torby.

*** * ***

–Nie możemy tego zabrać – powiedział porucznik Jasco wolno i wyraźnie, by porucznik Gulyas go zrozumiał. Wskazał na ekran swojego pada. Program załadunku, już świecił na żółto. – Będziemy prze-ła-do-wa-ni – dokończył.

Przyjazny uśmiech Gulyasa kończył się na wysokości oczu. Porucznik wyciągnął rękę i poklepał dużo wyższego od siebie oficera po ramieniu.

–Wiesz co, Aziz, tak w ogóle to fajny z ciebie facet, ale czasami jesteś strasznym fiutem. – Nie przejął się zupełnie poczerwieniałą nagle twarzą Jasco. – Potrzebujemy sprzętu na handel. Potrzebujemy amunicji. Potrzebujemy zasilaczy. Ale jeśli nie będziemy mieli zapasu dawek uzupełniających witamin na całą podróż, i tak wszyscy zginiemy!

–Ściągnąłeś wszystkie witaminy i zioła, jakie znalazłeś na statku! – zagrzmiął Jasco, strzepując z ramienia dłoń Gulyasa. – Nie potrzebujemy trzystu kilo uzupełnień!

–Nie – zgodził się Gulyas. – Potrzebujemy dokładnie dwieście trzydzieści kilo, zakładając, że nie poniesiemy żadnych strat i zostaniemy tam przez sześć miesięcy. Jedno i drugie jest mało prawdopodobne, więc chyba potrzeba nam mniej. Ale co będzie, jeśli część się zepsuje? Poza tym nie mamy dokładnie tego, czego potrzebujemy. A jeśli żołnierz otworzy swoją apteczkę i odkryje, że w nocy wszystko zeżarła pleśń? Jeśli nie będziemy mieli wystarczająco dużo uzupełnień, umrzemy. Dlatego weźmiemy ich tyle, ile zdołamy unieść. Proste.

–Jesteśmy przeładowani! – wrzasnął Jasco, wymachując padem. – To też proste.

–Czy mogę w czymś pomóc, panowie? – Czarodziejskim sposobem między obu porucznikami pojawiła się sierżant Kosutic. – Pytani tylko dlatego, że panów rozmowa zainteresowała niektórych żołnierzy.

Gulyas rozejrzał się po doku i zobaczył, że praca niemal ustała, a wszyscy przyglądają się kłótni dwóch oficerów. Odwrócił się do sierżant Kosutic.

–Nie, myślę, że wszystko jest pod kontrolą. – Spojrzał na Jasco.

–Prawda, Aziz?

–Nie, nieprawda – powiedział z uporem młodszy porucznik. – Kończy nam się miejsce na załadunek. Nie możemy zabrać trzystu kilogramów uzupełnień.

–Zabieramy tylko tyle? – Kosutic wyglądała na szczerze zaskoczoną. – To trochę mało. Proszę chwilę poczekać. – Włączyła mikrofon na szyi i przy pomocy tootsa włączyła do rozmowy obu poruczników. – Kapitanie Pahner?

–Tak? – warknął dowódca.

–Priorytet: uzupełnienia czy sprzęt na wymianę? – spytała.

–Uzupełnienia – odparł natychmiast Pahner. – Jeśli będziemy musieli, będziemy napadać zamiast handlować, ale bez uzupełnień nie przeżyjemy. Kolejność priorytetów jest następująca: paliwo, uzupełnienia, żywność, pancerze dla trzeciego plutonu, zasilacze, amunicja, towary na handel. Każdy może zabrać dziesięć kilo wyposażenia osobistego. Ile mamy uzupełnień?

–Tylko trzysta kilo – odparła Kosutic.

–Cholera. Miałem nadzieję, że więcej. Trzeba będzie zbalansować to jakoś żywnością. Od momentu wejścia na prom przechodzimy na minimalne racje polowe. Proszę skonfiskować wszystko, co ludzie mają przy sobie – batoniki, herbatniki, wszystko. Większość nie będzie miała specjalnej wartości odżywczej, ale zawsze to coś. Jeden posiłek dziennie i miejmy nadzieję, że starczy nam na całą drogę.

–Zrozumiano – powiedziała Kosutic. – Bez odbioru. – Spojrzała pytająco na poruczników. – Czy to wyjaśnia sprawę, panowie?

–Tak, pani sierżant, wyjaśnia – odparł Jasco. – I tak wydaje mi się jednak, że wystarczy nam uzupełnień.

–Czy mogę coś powiedzieć, sir?

–Oczywiście, pani sierżant. – Jasco ukończył Akademię, wcześniej zaś przez cztery lata w Korpusie awansował do dowódcy plutonu, ale Kosutic służyła już we Flocie, kiedy jego jeszcze nie było na świecie. Był uparty, ale nie głupi.

–W tak przesranej sytuacji jak nasza, zakładanie najgorszego to po prostu najrozsądniejsze wyjście. Sugerowałabym na przykład, żeby nie ładował pan wszystkich uzupełnień na jeden wahadłowiec, tak samo zresztą jak innych rzeczy krytycznego znaczenia, jak amunicja i zasilacze. Proszą rozdzielić je między promy. Nigdy dość paranoi.

Skinęła głową i opuściła dok szybkim krokiem. Jasco potrząsnął głową i spojrzał na trzymany w ręku pad.

–Myślisz, że widziała plan załadunku? – spytał Gulyasa.

–Nie wiem. Czemu pytasz?

–Bo załadowałem całą żywność, amunicję i zasilacze na Czwórkę! – powiedział ze złością szef kompanii i z trzaskiem zaniknął pad. – W standardowym zrzucie leciałby nim pluton broni ciężkiej, a skoro był pusty... Ale plama! Cholera, cholera, cholera jasna! Trzeba to wszystko przenieść.

*** * ***

–Dlatego właśnie – powiedział Pahner, wskazując na swój pad – nie uważam za dobry pomysł, Wasza Wysokość, by brał pan ze sobą trzy pudła ubrań.

–To co niby mam nosić? – spytał z przerażeniem książę. Ujął w palce materiał kombinezonu maskującego, w który się przebrał. – Chyba nie spodziewa się pan, że codziennie, przez cały dzień będę nosił coś takiego?

–Wasza Wysokość – powiedział spokojnie Pahner. – Każdy z nas będzie nieść na plecach sześć par skarpet, zapasowy mundur, zestaw higieny osobistej, pięć kilo uzupełnień witamin i protein, racje polowe, dodatkową amunicję i zasilacze do broni, dodatkową amunicję do broni wsparcia drużyny i kompanii, składany namiot, multinarzędzie, bukłak z sześcioma litrami wody i do dziesięciu kilo wyposażenia osobistego. Razem pięćdziesiąt do sześćdziesięciu kilogramów. Do tego cała kompania na zmianę będzie nieść pancerze wspomagane, towary na wymianę, amunicję i zasilacze.

Kapitan przekrzywił głowę i spojrzał twardo na swojego nominalnego dowódcę.

–Jeśli rozkaże pan żołnierzom, by oprócz tego wszystkiego nieśli pana piżamę, strój na rano, strój na wieczór i galowy mundur na wypadek, gdyby trafiła się nam defilada, to będą to nieść. – Dowódca kompanii skrzywił usta w cienkim uśmiechu. – Uważam jednak, że należałoby się nad tym bardzo poważnie zastanowić.

Zszokowany książę spojrzał na kapitana i potrząsnął głową.

–Ale kto będzie niósł to wszystko za mnie?

Twarz Pahnera straciła wszelki wyraz. Marine odchylił się do tyłu w fotelu.

–Wasza Wysokość, rozkazałem rozdzielić między żołnierzy materiały dla doktor O’Casey i wydać jej oraz panu Matsugae osprzęt polowy. – Kapitan popatrzył niewzruszenie na księcia. – Czy mam rozumieć, że powinienem wydać takie same rozkazy odnośnie pańskich rzeczy osobistych?

Roger jak zwykle odpowiedział, zanim zdążył pomyśleć.

**–Oczywiście, że pan powinien! – rzucił i prawie się skulił, kiedy zobaczył pociemniałą twarz Pahnera. Skoro jednak już to powiedział, nie chciał się wycofywać.
– Jestem księciem, kapitanie. Z pewnością nie oczekuje pan, że będę nosił własny bagaż.**

Pahner wstał i oparł się o stół. Odetchnął głęboko.

–Bardzo dobrze, Wasza Wysokość. Muszę się tym zająć. Za pana pozwoleniem?

Przez krótką chwilę wydawało się, że książę coś powie, zamiast tego jednak skrzywił się z niesmakiem i machnął dłonią. Pahner popatrzył na niego w milczeniu, po czym skinął głową i szybkim krokiem wyszedł z kabiny, pozwalając księciu kontemplować jego zwycięstwo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kapitan Krasnitsky odchylił się w fotelu dowódcy i poprawił ramiona skórzanej marynarki.

–W porządku. Komandorze Talcott, niech pan będzie łaskaw ogłosić alarm generalny.

Kapitan nie spał od trzydziestu sześciu godzin. Przed wbiciem się w śmierdzący już skórzany mundur wziął soniczny prysznic, ale na nogach trzymał się tylko dzięki Narconowi i stymulantom. Narcon nie pozwalał mu zasnąć, a stymulanty miały pomóc zachować jasność myśli. Mimo tego Krasnitsky czuł się tak, jakby ktoś owinął jego umysł stalową wełną.

–Proszę zaczekać, aż otworzą ogień, komandorze – powtórzył chyba po raz tysięczny. – Chcę się do nich zbliżyć na tyle, na ile się da.

–Aj aj, sir – potwierdził Talcott z mniejszym rozdrażnieniem, jak się wydawało kapitanowi, niż czułby on sam na jego miejscu.

Usta Krasnitsky'ego próbowały wykrzywić się w uśmiechu, ale jego rozbawienie uleciało, a umysł wrócił do rozpatrywania wszystkich alternatyw działania.

DeGlopper był okrętem desantowym, a nie prawdziwą jednostką wojenną, ale miał napęd międzygwiazdny i stokrotnie przewyższał masą wewnątrzsystemowy krążownik. Okrywał go również niesamowicie gruby pancerz chromframowy. Zestawienie masy i opancerzenia oznaczało, że mógł przyjąć uszkodzenia, które jego przeciwnika rozniosłyby na strzępy. Był jednak wolniejszy i miał uszkodzone nie tylko sensory, ale też całą sieć taktyczną. Dlatego, jak każdy niedowidzący, pijany osiłek w starciu z bystrym i zwinnym, ale dużo mniejszym przeciwnikiem, chciał doprowadzić do zwania. Został mu już tylko dobry prawy sierpowy, za to jeden cios mógł zakończyć starcie.

Zgodnie z planem, transportowiec udawał uszkodzony frachtowiec, rozpaczliwie próbujący wylądować na planecie. Wreszcie zaczął zwalniać. Krążownik również hamował tak szybko, na ile pozwalało mu dopuszczalne przeciążenie, ale i tak oba statki miały się minąć z prędkością równą niemal trzem procentom prędkości światła. Przy takiej szybkości nie ma wiele czasu na ostrzał.

Dlatego lepiej, żeby każdy strzał trafił.

–Wchodzimy w zasięg radaru i lidar, kapitanie – zameldował kilka minut później komandor Talcott. – Prześwietlamy ich kadłub?

–Nie. Wiem, że lepiej byśmy się zalokowali, ale udawajmy nieuzbrojonego handlowca jak długo się da. Proszę się przygotować na skan zaraz po tym, jak oni to zrobią. Powinniśmy być dość blisko, żeby nasze antyradiacyjne HARM-y złapały zasięg. Kiedy nas prześwietlą, proszę wystrzelić promy.

–Aj aj, sir – powiedział Talcott i podszedł do oficera systemów obronnych.

Oby tylko promy wyszły z tego cało.

*** * ***

Księżę Roger nachylił się nad maleńkim wyświetlaczem, próbując z niego cokolwiek odczytać. To samo migotanie i marszczenie się obrazu, które zaobserwował na mostku, na małym płaskim ekranie promu było dużo gorsze.

–Niech pan sobie daruje, Wasza Wysokość – zasugerował Palmer głosem, w którym czaiła się iskra wesołości. – Próbowałem na tym śledzić bitwy w przestrzeni, kiedy wszystko działało. Tylko pan sobie zmęczy oczy.

Roger obrócił swój fotel przodem do kapitana, ostrożnie poruszając rękami i nogami. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po wejściu na pokład promu, było stłuczenie wyświetlacza. Wspomagany pancerz potwierdził swoją siłę oraz to, że jest niebezpieczny w niedoświadczonych rękach.

Fotele zaprojektowano dla marines w zbrojach i bez nich, zostały więc odpowiednio wzmocnione. Nie można było powiedzieć tego samego o otaczających je przedmiotach, a miejsca do poruszania się było raczej niewiele. Prom, załadowany sprzętem i żołnierzami, zawsze wydawał się przyciasny.

Żołnierze w luku towarowym siedzieli w czterech rzędach, plecami do siebie na środku i plecami do ściany po bokach, upchnięci jak sardynki w plastikowych kokonach. Ich boczne ścianki były tak cienkie, że niemal stykali się ramionami. Z braku miejsca kolana żołnierzy wchodziły między nogi siedzących naprzeciw. Na kolanach trzymali plecaki i broń, a z każdego kokonu wystawał bojowy hełm, w tej chwili skonfigurowany do działania w próżni.

Biorąc pod uwagę całkowitą niemożność poruszania nogami, fakt, że najłżejsze poruszenie kończyło się szturchnięciem sąsiada, oraz to, że próba wstania wymagała przekopania się przez cztery warstwy oporządzenia, nie było to miejsce dla ludzi cierpiących na klaustrofobię. Marines nie musieli się przynajmniej martwić o wychodzenie do łazienki – ich kombinezony zostały zaprojektowane do walki w przestrzeni i wyposażone były we wszystko, co było niezbędne.

W niektórych kokonach znajdowały się również wspomagane pancerze, a w połowie luku spomiędzy równych rzędów żołnierzy wystawały cylindry z wodorem.

Pomalowane na czerwono, owalne, stalowe pojemniki, przypominające staromodne kanistry na benzynę, piętrzyły się pod sufit i były solidnie przymocowane do podłogi. Prom mógł się rozbić, w bezpośrednim zasięgu mogła wybuchnąć nuklearna głowica – żadna siła nie była w stanie ich ruszyć. I o to chodziło. Gdyby cylindry obluzowały się podczas manewrów promu lub statku matki, pasażerowie mogliby równie dobrze otworzyć swoje skafandry, ponieważ bez wodoru prom nie zdołałby wejść w atmosferę.

Za cylindrami, umieszczonymi nieco przed środkiem ciężkości wahadłowca, znajdowała się reszta pancerzy i sprzętu. W tym przypadku umieszczenie ich z tyłu promu miało na celu zrównoważenie siedzących z przodu żołnierzy. Ponieważ statki miały wejść w atmosferę z wyłączonymi silnikami, rozmieszczenie ładunku było bardzo istotne, sprawiało jednak, że na pokładzie panował straszny ścisk.

Roger nie musiał męczyć się w ładowni, ale niewielkie pomieszczenie, które dzielił z Pahnerem, nie było wiele lepsze. Stały tu wciśnięte w sterburtę dwa stanowiska kontrolne. Była to najbardziej opancerzona część statku, co było jednym z ważniejszych powodów, dla których znajdował się w niej Roger, poza tym wyposażona była w pępowiny, takie jak luk towarowy, doprowadzające energię do pancerzy i skafandrów oraz wspomagające ich systemy utylizacyjne. Niski sufit – kabinka znajdowała się nad wlotem powietrza prawego przedniego silnika – i niewielka powierzchnia oznaczały, że również nie było to miejsce dla klaustrofobów. Żeby było jeszcze ciasniej, na przedniej przegrodzie wisiały plecaki księcia i Pahnera.

Rogerowi udało się wyciągnąć kolana spod panelu kontrolnego, nie uszkadzając przy tym nic więcej. Spojrzał w tył hełmu Pahnera.

–Co teraz? – spytał ostrożnie.

–Czekamy, Wasza Wysokość – odparł spokojnie dowódca kompanii. Wyglądało na to, że przeszedł mu już gniew na księcia, który odmówił noszenia własnych bagaży. – Czekanie jest najtrudniejsze.

–Tak? – spytał Roger. Czuł się zupełnie zagubiony. Nigdy nie planował czegoś takiego – właściwie niczego nigdy nie planował – i nie wiedział, co robić. Lubił wyzwania w sporcie, głównie jednak dlatego, że nikt nie traktował go dość poważnie, by postawić przed nim jakieś inne. Teraz musiał się zmierzyć z największym wyzwaniem swojego życia, a błąd na tym boisku oznaczał śmierć.

–Dla niektórych – odparł Pahner. – Dla innych najgorsze jest liczenie strat, kiedy jest już po wszystkim.

Odwrócił się do księcia, próbując odgadnąć, co dzieje się za jego migoczącą przyłbicą.

–Ta operacja będzie nas drogo kosztować – powiedział, bardzo uważając, by nie zmienić tonu głosu. – Tak bywa. W każdej wojnie są dwie strony, Wasza Wysokość, a ta druga też próbuje wygrać.

–Bardzo się staram nie przegrać – powiedział cicho Roger. – Już dawno odkryłem, że to zupełnie nie dla mnie. – Głośnik jego pancerza był najwyższej jakości, ale głos księcia odbił się w ciasnej kabince dziwnym echem.

–Ja również, Wasza Wysokość – stwierdził Pahner, odwracając się do panelu kontrolnego. – W Osobistym Cesarzowej nie ma przegranych. We Flocie też jest ich cholernie mało.

* * *

–Właśnie nas prześwietlili, sir – Komandor Talcott mówił cichym, skupionym głosem. – Sensory potwierdzają, że to lidar Świętych. Mark 46. – Podniósł wzrok znad ekranów. – To standardowe wyposażenie krążownika klasy Muir.

–Przyjąłem – powiedział Krasnitsky. – Za chwilę spostrzegą swoją pomyłkę. Proszę uruchomić wszystkie systemy obronne i otworzyć ogień, kiedy tylko dobrze pan ich namierzy.

Podporucznik Segedin czekał na ten rozkaz jak biegacz na sygnał startu. Wcisnął przycisk aktywacji uzbrojenia dokładnie w tej samej chwili, w której rozbrzmiał alarm raketowy.

Krążownik-pasożyt Świętych był niedostatecznie uzbrojony. Chociaż jak na statek systemowy był dość duży, w porównaniu z okrętami międzygwiazdowymi wyglądał jak karzełek.

Ponieważ napęd tunelowy miał ograniczenia jedynie objętościowe, statki międzygwiazdne były niesamowicie wielkie i nieprawdopodobnie ciężkie. Największe osiągały tysiąc dwieście metrów średnicy kadłuba, wszystkie zaś pokryte były pancerzem z prasowanego pod ciśnieniem chromframu. Pancerz ten zazwyczaj stanowił jedną trzecią masy okrętu, dla napędów tunelowych nie miało to jednak znaczenia. Poza tym okręty międzygwiazdne dysponowały ogromem miejsca na wyrzutnie rakiet, a zasilające ich napędy tunelowe kondensatory zapewniały bateriom energetycznym nieprzebrane zasoby mocy.

Kiedy jednak okręt taki wychodził z przestrzeni tunelowej, zaczynał wlec się na napędach fazowych, a dla nich masa miała znaczenie. Oznaczało to, że statki międzygwiazdne były stosunkowo powolne i mało zwrotne.

Dlatego właśnie powstały pasożyty.

W największych statkach międzygwiazdnych mieściły się niesamowite ilości krążowników i myśliwców. Wysyłano je przeciw nieprzyjacielowi po wejściu do systemu. Krążowniki były jednak projektowane z myślą o szybkości i zwinności, dlatego nie posiadały chromframowych pancerzy. Ten konkretny krążownik znalazł się w zasięgu broni *DeGloppera* i był zdany na jego łaskę.

Dowódca pasożyta Świętych szybko zrozumiał, że spieprzył sprawę. Pierwszą raketę odpalił jako „ostrzegawczy strzał przed dziób”, po chwili jednak ożyła cała jego burta. W kierunku transportowca pomknęło pół tuzina rakiet, a w kilka sekund później kolejne sześć z wyrzutni drugiej burty.

–Odpala z maksymalną prędkością wyrzutni, sir! – oznajmił Segedin, a Krasnitsky kiwnął głową. Kapitan Świętych strzelał tak szybko jak mógł, sprawdzając skuteczność ognia co drugą salwę. Pokonanie odległości dzielącej oba okręty miało zająć rakietom prawie cztery i pół minuty, co przy tej częstotliwości strzałów oznaczało, że zasobniki wyrzutni krążownika będą puste zanim jego pierwsza salwa osiągnie cel. Krasnitsky na miejscu kapitana Świętych zrobiłby dokładnie to samo, ponieważ przy tak wielkiej różnicy wielkości i siły ognia obu okrętów jedyną szansą krążownika było zniszczenie przeciwnika zanim wejdzie w zasięg jego broni energetycznej.

Było to jednak niemożliwe.

–Dobra, robimy nawrót – powiedział kapitan do Segedina. – Maksymalny nawrót w kierunku tego Świętego sukinsyna. Brać go, taktyczna!

–Aj aj, sir!

Radar i lidar namierzyły krążownik. Mimo uszkodzeń spowodowanych przez sabotaż podporucznik Guhy, komputery taktyczne szybko opracowały harmonogram ostrzału.

DeGlopper miał kształt sfery o promieniu czterystu metrów. Był okrętem transportowym, co oznaczało, że w kadłubie mieścił doki sześciu promów, oprócz nich jednak miał dość miejsca na wyrzutnie rakiet i obszerne zasobniki. Znajdujące się w nich pociski były większe i cięższe niż te, które mógł zabrać na pokład krążownik-pasożyt. Teraz wszystkie osiem wyrzutni zaczęło ostrzeliwać Świętego, a między raketami leciały pociski zakłócające i wyszukiwacze antyradiacyjne.

Walka wyglądała na zupełnie nie fair, ale sieć taktyczna *DeGloppera* działała znacznie poniżej normy. Większość jego rakiet była sterowana autonomicznie, co oznaczało, że AI okrętu nie mogła korygować toru ich lotu dla osiągnięcia maksymalnej skuteczności. Oznaczało to również, że systemy obronne statku działają dużo gorzej niż zazwyczaj.

–Wampiry! Wielokrotny odczyt, lecą naszą stroną! – Seria głuchych tąpnięć oznajmiła, że automatyczne systemy okrętu zareagowały na nadlatujące pociski. – Odpaliliśmy automatyczne flary i dipole. Niektóre wampiry je namierzyły!

–A niektóre nie! – uciął Krasnitsky, obserwując ekran własnego wyświetlacza. – Ogłosić alarm kolizyjny!

Niektóre pociski Świętych zostały wyłapane przez ogień gniazd laserów i wyrzutni antyrakietowych, inne zeszły z kursu, zwabione aktywnymi i pasywnymi przynętami. Żaden pocisk z pierwszej salwy nie trafił w cel, jednak jeden z drugiej i trzy z trzeciej przedostały się przez parasol ochronny statku, wbijając szpile promieniowania roentgenowskiego w chromframowy pancerz. Rozkrzyczały się syreny alarmowe.

–Bezpośrednie trafienie w Wyrzutnię Pięć – zameldował szorstkim głosem komandor Talcott. – Straciliśmy graser numer dwa, dwie wyrzutnie antyrakietowe i dwanaście gniazd laserów. – Spojrzał znad ekranów w oczy Krasnitsky’emu. – Promy ani zasobniki rakiet nie zostały uszkodzone, sir!

–Dzięki Bogu – szepnął kapitan. – Ale i tak nie jest dobrze. Nawigacja, ile zostało do wejścia w zasięg promieni?

–Dwie minuty – odparła nawigator i uśmiechnęła się złowrogo. Przez kilka godzin zwodziła kapitana Świętych, udając spanikowanego skippera frachtowca i wysłuchując obelg, jakimi tamten obrzucał jej rodzinę, wiedzę i doświadczenie. Teraz przyszła pora na odpowiedź.

–Trafiony! – zawołał Segedin. – Przynajmniej jedno bezpośrednie trafienie, sir! Gubi powietrze!

–Zrozumiałem – odparł Krasnitsky. – Jak nasze komputery?

–Beznadziejnie, sir! – Z głosu podporucznika zniknął entuzjazm. – Musiałem przekierować moc do systemów obronnych. W tym momencie większość promów musi radzić sobie sama.

–I tak niedługo będzie po wszystkim – powiedział kapitan.

W ich stronę mknęła kolejna salwa rakiet.

–Tak czy inaczej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Roger zacisnął dłonie na poręczach fotela, kiedy kolejna rakietka zakołysała promem niczym uderzenie huraganu.

–Nie podoba mi się to – zauważył cicho.

–Hmmm – mruknął niezobowiązująco Pahner. – Proszę sprawdzić monitory kamer z ładowni, sir.

Książę znalazł właściwy przycisk i nacisnął go, włączając ekrany. To, co zobaczył, zupełnie go zaskoczyło – większość żołnierzy spała, a ci, którzy tego nie robili, zajmowali się jakąś rozrywką.

Dwóch wyjęło elektroniczne konsole i najwyraźniej ścigało się ze sobą w jakiejś grze. Inni grali w karty albo czytali. Ktoś miał nawet książkę w twardej oprawie, starą i zaczytaną... Roger rozejrzał się po ładowni, szukając kogoś, kogo znał, i odkrył, że z całej kompanii kojarzy tylko trzy lub cztery nazwiska.

Poertena spał z odchyłoną do tyłu głową i otwartymi ustami. Sierżant Jin, czarnowłosy potężny Koreańczyk, dowódca trzeciego plutonu, trzymał w ręku pad i coś czytał. Roger powiększył obraz na monitorze i z zaskoczeniem stwierdził, że sierżant czyta powieść. Książę spodziewał się bardziej wojskowego podręcznika i z zaciekawieniem przybliżył obraz jeszcze bardziej. Nie spodziewał się tego, co zobaczył – sierżant czytał gejowski romans. Roger prychnął, odwrócił kamerę i wrócił do normalnej skali. Upodobania Jina były jego sprawą.

Kamera, jakby kierowana własną wolą, zatrzymała się na twarzy plutonowej, która przeszkodziła księciu w dopasowywaniu zbroi. Była to twarz składająca się z samych kantów – wystające kości policzkowe, ostry podbródek... Jedynym wyjątkiem były usta, niesamowicie zmysłowe. Plutonowa nie była klasycznie ładna, ale na swój sposób bardzo atrakcyjna. Również przeglądała coś na swoim padzie. Z powodów, których wolał sam nie dociekać, książę ustawił kamerę tak, by zajrzeć jej przez ramię. Przechylił ją w dół i poczuł ulgę, chociaż dlaczego był tak zadowolony, że plutonowa przegląda dane o Marduku, nie chciał wiedzieć... Wróciwszy do pierwszego monitora, Roger zrobił zbliżenie kombinezonu marine. Jest. Na prawej... piersi. Despreaux. Ładne nazwisko.

–Plutonowa Despreaux – powiedział sucho Pahner.

Książę uderzył dłonią w trackball i zjechał kamerą z naszywki.

–Tak, poznałem ją. To ona przerwała mi dopasowywanie zbroi – powiedział szybko.
– Właśnie zdałem sobie sprawę, jak niewielu z tych ludzi znam z nazwiska. –

Przełknął ślinę, ciesząc się, że kapitan nie widzi jego twarzy.

–Nie ma nic złego w poznawaniu ich nazwisk – powiedział spokojnie Pahner. – Być może jednak wolałby pan poznać ich charaktery – dodał, kiedy w okręt uderzyła kolejna salwa.

*** * ***

–Właśnie straciliśmy grasery cztery i dziewięć i wyrzutnię trzecią. Nie mamy dwudziestu pięciu procent wyrzutni antyrakietowych. Gniazd laserów jeszcze więcej – powiedział komandor Talcott. Nie musiał dodawać, że *DeGlopper* ma przebity w kilku miejscach pancierz, ponieważ wszyscy czuli ruch uciekającego w próżnię powietrza. Oficer wykonawczy odwrócił się do kapitana, kiedy rozległ się okrzyk triumfu oficera taktycznego.

–Już po nim! – wrzasnął podporucznik. Krążownik Świętych rozpadł się pod ciosami rakiet, nie zdążywszy nawet wejść w zasięg broni energetycznej.

–Proszę obrać kurs na planetę. Alarm zbliżeniowy trzeciego stopnia! – zawołał Krasnitsky do sternika. – To jeszcze nie koniec. Wciąż zbliżają się do nas rakiety.

–Tak jest, sir – przytaknął Segedin, szczerząc się triumfalnie. – Ale i tak go załatwiliśmy!

–Tak, udało nam się – wyszeptał Talcott tak cicho, że usłyszał go tylko kapitan. – Ale co z jego kolegą?

Oficer taktyczny odłączył zasilanie wyrzutni ofensywnych i przekierował całą moc do systemów obronnych, po czym ustawił połowę z nich na ręczne sterowanie. Jego doświadczenie, zwiększona moc obliczeniowa i brak sterowania z krążownika sprawiły, że nadlatujące rakiety zostały błyskawicznie rozniesione w strzępy. Pozostało tylko pozbierać szczątki.

*** * ***

–Tak więc to wszystko wygląda, Wasza Wysokość – zakończył Krasnitsky, podnosząc wzrok znad trzymanego w ręku pada. Miał zapięty skafander, a za jego plecami migało pomarańczowe światelko alarmu dehermetyzacyjnego. – Zużyliśmy w tym starciu trochę mniej niż połowę rakiet, ale drugi krążownik zszedł ze swojej orbity i przyspiesza w naszym kierunku. Wystrzelimy wasze promy za dwie godziny, a połatanie kadłuba i przywrócenie ciśnienia zajmie nam nawet dłużej. Dlatego sugeruję, żebyście zostali na swoich miejscach, Wasza Wysokość.

–Dobrze, kapitanie – odparł książę. Zdawał sobie sprawę, że Krasnitsky widzi na ekranie tylko niewyraźną bryłę jego hełmu, i był z tego zadowolony. Zaczynał

rozumieć, dlaczego *DeGlopper* musi popełnić samobójstwo, ale wciąż nie potrafił się z tym pogodzić.

Kompania Pahnera należała do oficjalnej obstawy rodziny cesarskiej i tradycyjnie zajmowała się przyjmowaniem na siebie kul, co nazywano „łapaniem piłek”. Żołnierze jednak musieli przeżyć – przynajmniej część z nich – jeśli chcieli spełnić swój obowiązek, załoga *DeGlopera* musiała natomiast zginąć, by tego dokonać. Roger MacClintock był rozpuszczonym gówniarzem, ale nawet on czuł się z tego powodu winnym. Jednak ani głos, ani postawa Krasnitsky’ego nie dawały powodu do przypuszczeń, że kapitanowi przeszło przez myśl zrobić cokolwiek innego. Roger sam myślał o tym, jak korzystnie zmieniłaby się sytuacja, gdyby w jakiś sposób przestał się liczyć. W sumie, gdyby nie żył, załoga Krasnitsky’ego nie musiałaby ginąć, by go ocalić, prawda? Fakt, że kapitan i jego ludzie wydawali się zupełnie nie zdawać sobie sprawy z istnienia tego jakże logicznego rozwiązania, sprawiał, że Roger czuł się jeszcze podlej.

–Pewnie będziemy jeszcze mieli okazję porozmawiać przed wystrzeleniem – powiedział niezręcznie. – Do tej chwili życzę panu powodzenia.

–Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedział kapitan i uklonił się lekko. – Życzę powodzenia panu i całej kompanii. Postaramy się okryć imię *DeGlopera* chwałą.

Ekran łączności zamigotał i zgasł, a Roger wyprostował się i spojrzał na Pahnera. Marine otworzył hełm i zaciekle drapał się po głowie.

–Kim właściwie był *DeGlopper*? – spytał księżę, mocując się z zapięciami i zatrzaskami własnego hełmu.

–Był żołnierzem w armii Amerykańskich Stanów, dawno temu, Wasza Wysokość – odparł kapitan, przekrzywiając głowę w sposób, który Roger zaczynał rozpoznawać jako znak, że znów palnął coś głupiego. – Obok kabiny, w której pan mieszkał, była na ścianie tablica z jego medalem i uzasadnieniem, za co go dostał. Został odznaczony ichniejszym odpowiednikiem Gwiazdy Imperium. Kiedy wrócimy na Ziemię, będzie pan mógł to obejrzeć.

–Och. – Roger zdjął spinkę i rozpuścił włosy, po czym zaczął się drapać oburącz po głowie z co najmniej takim samym zapalem jak Pahner. – Nie mieliśmy tego na sobie aż tak długo. Dlaczego tak strasznie swędzi Nas głowa?

–To sprawa psychosomatyczna, Wasza Wysokość – parsknął kapitan. – Tak jak to swędzenie między łopatkami.

–Aach! – Roger poruszył ramionami i spróbował podrapać się plecami o wyściełanie zbroi. – Musiał pan to powiedzieć?!

Pahner uśmiechnął się. Po chwili lekko się zachmurzył.

–Czy mogę coś zaproponować, Wasza Wysokość?

–Tak? – powiedział z wahaniem Roger

–Przez najbliższe dwie godziny nic się nie będzie działo. Pójdę obudzić żołnierzy; powiem im, że mogą zdjąć hełmy i rozprostować nogi. Proszę dać im pół godziny, a potem zejść i porozmawiać z kilkoma.

–Zastanowię się – powiedział książę bez przekonania.

Zastanowił się, a wnioski, do jakich doszedł, wcale go nie uszczęśliwiły.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Panella założył ręce za plecami i pociągnął nosem.

–Lord Arturo nie będzie zadowolony – stwierdził. Kapitan Imai Delaney, skipper *Greenbelt*, krążownika-pasożyta Imperium Caravazańskiego, z ledwością powstrzymał się, żeby nie warknąć na pokładowego kapelana. Nie przyszło mu to łatwo, zwłaszcza kiedy rozejrzał się i zobaczył wyraz całkowitego zaskoczenia na twarzach swoich oficerów. Odetchnął głęboko i otarł twarz. Zemściła się na nich ich własna niedbałość, a stwierdzenie „niezadowolony” zdecydowanie nie oddawało stanu, w jakim znajdzie się Lord Arturo, kiedy się o tym dowie.

Jednocześnie kapitan doskonale zdawał sobie sprawę, jak doszło do katastrofy. Od momentu, kiedy oba pasożyty zostały umieszczone w systemie, nie napotkały żadnych problemów. Właściwie musieli jedynie pilnować, by nikt nie dowiedział się o obecności Świętych w układzie. Przepuścili kilka transportowców – tych, które kursowały tędy regularnie – i zdobyli kilka innych, ich głównym zadaniem nie było jednak piractwo. Mieli wspierać przeprowadzane w układzie operacje taktyczne, i za bardzo popadli w rutynę.

–To transportowiec klasy Puller – zameldował oficer taktyczny, przestudiowawszy odczyty. – Przez chwilę błysnęli prawie całą mocą. Maskują jakoś swój napęd, ale ten błysk był wyraźny.

–Po co Ziemianie mieliby przysyłać tu jeden uzbrojony transportowiec? – zapytał kapelan. – I dlaczego ma tak małe przyspieszenie?

Kapitan uznał, że wrznięcie na niego nie byłoby dobrym pomysłem, mimo iż wydawało się bardzo kuszące. Odpowiedź na oba pytania była oczywista, ale gdyby to powiedział, mógłby zostać posądzony o nieliczenie się z opinią i odczuciami kapelana. Tak, jakby kapelan mógł mieć cokolwiek do powiedzenia w sprawach wojskowych!

Rozejrzał się po mostku. Mundury jego oficerów miały ponury, lekko spłowiały kolor, świadczący o farbowaniu w niskokwasowych preparatach. Materiał również był w stu procentach naturalny... co oznaczało, że w odróżnieniu od załóg wszelkich innych flot w przypadku nagłego pożaru na pokładzie jego ludzie spalą się żywcem.

Kapitan Delaney był kiedyś na pokładzie Imperialnego krążownika-pasożyta; mostek tamtej jednostki pomalowany był na spokojne kolory i miał zaokrąglone ostre krawędzie. Na jego okręcie wszystko było niewykończony i poszczerbione. Wykańczanie wnętrza uznawano za niepotrzebny zbytek, a niepotrzebne zbytki zużywały za dużo energii. To zaś źle wpływało na środowisko naturalne. Dlatego właśnie mostek *Greenbelt* pozostawał w stanie surowym.

Dotyczyło to również reszty okrętu. Wszystko było toporne i źle dopasowane. Och, działało, ale nie tak sprawnie, jak na pieprzonym okręcie Imperium. Nawet struktura dowodzenia była niedopracowana... Na okręcie Imperium kapitan był królem. Mógł przyjmować rozkazy od admirała, ale na własnej jednostce był panem i władcą.

Na okrętach Świętych jednak zawsze trzeba było się liczyć z kapelanem. Trzymanie się nakazów Kościoła Rybaka było w oczach przełożonych równie istotne, co sprawność w działaniu. Dlatego oprócz użerania się z cholernymi arystokratami, kapitan Delaney przez całą swą karierę musiał użerać się z kapelanami.

Chociaż w tym akurat przypadku nie było specjalnej różnicy zdań.

–Myślę, że może być uszkodzony – powiedział, nie pozwalając, by gorzkie myśli wpłynęły na ton jego głosu. – Ten pojedynczy błysk energii to prawdopodobnie wszystko, co może z siebie wydusić ich napęd fazowy.

–To możliwe – powiedział z powątpiewaniem kapelan. – Co teraz zrobimy?

Rozwalimy go, pomyślał Delaney. Byłoby nam o wiele łatwiej, gdybyś zabrał swoją popieprzoną ekologiczną dupę z mojego mostka i zamknął się w kaplicy!

–Dane z *Green Goddess* wskazują, że sieć taktyczna przeciwnika jest prawdopodobnie uszkodzona – powiedział głośno. Podrapał się w brodę i zastanowił. – Będziemy się trzymać poza zasięgiem ich rakiet i rozniesiemy ich na strzępy. Nie mogą manewrować, a my powinniśmy mieć lepszą sieć taktyczną. – Pokiwał głową. – Tak. To powinno się udać.

–Jakie odniesiemy uszkodzenia? – zapytał nerwowo kapelan. – Naprawy mogą wyrządzić wiele szkód w środowisku naturalnym. Musimy ograniczać zużycie surowców w każdy możliwy sposób. Poza tym, uszkodzenia wpłynęłyby niekorzystnie na *ki* załogi.

–Chce pan, żeby imperialiści skolonizowali ten świat? – spytał retorycznie Delaney. – Ten okręt jest pełen marines, humanocentrycznej zarazy, szerzącej się z planety na planetę. Co mam zrobić? Pozwolić im odlecieć?

–Nie! – powiedział ostro kapelan, potrząsając głową. – Trzeba ich zniszczyć. Zaraza musi zostać wypleniona z korzeniami. Ten wspaniały świat nie zostanie skalany ludźmi!

Rzeczywiście wspaniały, pomyślał kapitan, uśmiechając się pojednawczo. To zielone piekło. Zabijając tych marines prawdopodobnie wyświadczymy im przysługę.

Sierżant Kosutic nachyliła się i postukała w ramię naczelniczkę świty księcia.

–Może pani zdjąć hełm – powiedziała i zdjęła własny.

O’Casey niezgrabnie rozpięła zatrzaski i rozejrzała się po ciasnym pomieszczeniu.

–Co teraz? – spytała.

–Poczekamy kilka godzin i miejmy nadzieję, że Jego Potworność Który Mieszka W Otchłani uzna, że mamy przeżyć – odparła Kosutic, drapiąc się w kark.

Odstawiła hełm i sięgnęła pod pulpit kontrolny. Z grzechotem wyciągnęła długą plastikową rurę.

–Co to? – spytała O’Casey, spoglądając znad otwartego pada.

–Osłona okablowania. – Kosutic pochyliła się do przodu i wsunęła rurę pod skafander. – Większość promów już ich nie ma. – Zaczęła drapać się po plecach żebrowaną rurką... – Aaaach – westchnęła. – Na szatana, zapomniałam swojej.

–Och – powiedziała Eleanora, czując nagle swędzenie własnych pleców. – Czy mogłabym, eee, pożyczyć na chwilę?

–Proszę sprawdzić koło lewego kolana. Nie mam nic przeciwko pożyczeniu mojej, ale równie dobrze może pani znaleźć sobie własną. To najlepsza drapaczka do pleców, jaką kiedykolwiek wynaleziono.

Eleanora znalazła osłonę tam, gdzie wskazała jej sierżant. Wyciągnęła ją i zaczęła się drapać po plecach.

–Ooooch – westchnęła. – Rany, ale ulga.

–Za to, że wyjawiałam pani ten mroczny sekret, znany tylko najstarszym marines – powiedziała Kosutic – musi mi pani coś powiedzieć.

–Co takiego?

–Co gryzie księcia – odparła Kosutic, opierając stopy o krawędź pulpitu przed sobą.

–Hmmm – mruknęła w zamyśleniu O’Casey. – To długa historia, a nie wiem, ile z niej wolno pani poznać. Co pani wie o jego ojcu?

–Tyle, że jest lordem Nowego Madrytu i jest pod obserwacją, co oznacza, że nie może znaleźć się na tej samej planecie co Cesarzowa. Jest także sporo od niej starszy.

–Cóż, nie będę opowiadać, dlaczego został wygnany z Dworu, ale Roger nie tylko wygląda jak swój ojciec, ale też zachowuje się podobnie do niego. Lord Nowego Madrytu to wspaniały mężczyzna i niesłychany dandys. Jest też bardzo zaangażowany w Wielką Grę.

–Aha – kiwnęła głową Kosutic. Imperialne intrygi stały się dużo mroczniej sze i bardziej zawiłe za rządów cesarza Andrew, ojca Alexandry. Nigdy nie doszło do otwartej wojny domowej, ale wydawało się, że jest ona coraz bliżej. – Czyli księżę angażuje się w Grę? – spytała ostrożnie sierżant, a Eleanora westchnęła.

–Nie... nie jestem pewna. Kontaktował się z kilkoma znanymi łącznikami w klubach sportowych. Jeden facet z jego drużyny polo jest znanym członkiem frakcji nowomadryckiej. Jest to więc możliwe. Roger jednak pasjami nie znosi polityki. Dlatego nie jestem pewna.

–Powinna pani to wiedzieć.

–Tak, powinnam – przyznała naczelniczka świty. – Jednak nie jest to rzecz, o której Roger by mi powiedział. Zostałam wyznaczona przez jego matkę.

–Czy księżę... spiskuje przeciw Cesarzowej? – zapytała Kosutic jeszcze ostrożniej.

–Bardzo w to wątpię – odparła Eleanora. – Wydaje się szczerze kochać swoją matkę, możliwe jednak, że ktoś nim manipuluje. Jego zachowanie, jego... frywolność. To zupełnie bez sensu. Mając taką przeszłość, wiedząc, co zrobił jego ojciec, Roger musi zrozumieć, że takie zachowanie pozwala oskarżyć go o to, że idzie w ślady ojca. Dlatego czasami jestem pewna, że robi to naumyślnie, a czasami... Po prostu nie wiem.

–Może gra na dwa fronty – zasugerowała Kosutic. – Może zachowuje się tak, by zamaskować swoje talenty.

Zdawała sobie sprawę, że są to pobożne życzenia, ale w ciemności musiało być jakieś światełko. W przeciwnym razie marines kładli właśnie głowę na szafot za wroga tego wszystkiego, co było im drogie.

–Wątpię – powiedziała Eleanora z ponurym chichotem. – Roger nie jest aż tak subtelny. – Przez chwilę patrzyła na ekran swojego pada, potem westchnęła. – Szczerze mówiąc, jakkolwiek subtelny by był lub nie, i tak zawsze pozostawał czarną owcą swojej rodziny.

Przez kilka sekund klepała w klawisze pada, po czym zamknęła go i odwróciła się do sierżant Kosutic.

–Być może kosztem *lesse majeste* – powiedziała. – Roger potrafi zachowywać się

jak skończony dupek. Nie, bądźmy szczerzy – potrafi być skończonym dupkiem. Myślę jednak, że to nie do końca jego wina.

–Tak? – Twarz Kosutic nic nie wyrażała, ale ton głosu O’Casey sprawił, że sierżant nadstawiła uszu.

Pomimo że Batalion Brąz był wyznaczony do ochrony Trzeciego Następcy Tronu i Brązowi Barbarzyńcy spędzili w towarzystwie swojego przełożonego wiele czasu – przy wzajemnej niechęci obu stron – nikt w Kompanii nie znał Rogera. O’Casey najwyraźniej go znała, a jeśli była gotowa podzielić się z Kosutic jakimikolwiek spostrzeżeniami na jego temat, sierżant była bardziej niż gotowa, by ich wysłuchać.

Eleanora potrząsnęła głową, uśmiechając się krzywo.

–Roger jest MacClintockiem, a wszyscy wiedzą, że MacClintockowie są odważni, godni zaufania, nieustraszeni i błyskotliwi. Oczywiście wcale tacy nie są, ale wszyscy sądzą, że są. To, że księżę John i księżniczka Alexandra pasują do tego stereotypu, tak jak ich matka, czyni sytuację Rogera jeszcze cięższą. Następca tronu jest dyplomatą o godnych pozazdroszczenia osiągnięciach, a księżniczka Alexandra nawet bez koneksji rodzinnych byłaby uważana za jednego z najlepszych admirałów Floty. A Roger? Kilkadziesiąt lat młodszy od swojego rodzeństwa, zawsze z boku... klasyczny „niegrzeczny chłopiec” rodziny cesarskiej. Nieudolny, rozpuszczony, nadęty arystokrata. – O’Casey przerwała i przechyliła głowę. – Brzmi znajomo? – spytała z przewrotnym uśmiechem.

–Właściwie tak – przyznała Kosutic. Marine, zwłaszcza z Batalionu Brąz, nie powinien przyznawać się do czegoś takiego nikomu i nigdy, ale sierżant to zrobiła. O’Casey zaśmiała się gorzko.

–Tak myślałam. Kiedy jednak weźmie się pod uwagę sytuację jego ojca, to, że nikt nie wie, po czyjej stronie stoi Roger, i to, że nastawienie Cesarzowej do niego często wydaje się... niejednoznaczne, – O’Casey dobierała słowa z wyraźną ostrożnością – to trzeba przyznać, że jego zachowanie było przynajmniej w jakimś stopniu nieuniknione. – Parsknęła smutno. – Kostas Matsugae i ja często się o to spieraliśmy, ale zawsze byliśmy zgodni co do jednego: Rogerowi nie trafiło się najkorzystniejsze rozdanie. Nasze zdania jednak różnią się co do tego, co robić dalej. Nie byłam pierwszym nauczycielem Rogera, wie pani? Byłam z nim zaledwie nieco ponad sześć lat, a zatem nie wtedy, kiedy był małym, skrzywdzonym chłopcem, który musiał stawić czoła niesprawiedliwości świata. Współczuję temu chłopcu, ale bardziej troszczę się o to, by teoretycznie dorosły Roger zrozumiał, że życie takie właśnie jest, i nauczył się to znosić jak przystało na MacClintocka i księcia Imperium. I chyba nie wychodzi mi to najlepiej – przyznała ciężko.

–Nie mogę powiedzieć, że pani zazdroścę – powiedziała Kosutic, równie ostrożnie

dobierając słowa. – Wiele razy musiałam robić oficerów z mających mleko pod nosem poruczników, ale Korpus zapewnia mi o wiele lepsze wsparcie.

–Byłoby dobrze, gdybym mogła użyć mentalnego judo, które pani stosowała na oficerach kapitana Pahnera – zgodziła się tęsknie O’Casey. – Jednak nie mogę. Poza tym Roger potrafi się niesamowicie upierać. Może nie jest tak zdolny jak jego brat i siostra, ale jest uparty jak każdy MacClintock!

Eleanora przerwała i nieoczekiwanie zaczęła się śmiać. Kosutic spojrzała na nią ze zdziwieniem.

–Co panią tak rozbawiło? – spytała.

–Pomyślałam o uporze Rogera – odparła O’Casey. – I o boskim poczuciu humoru.

–Słucham?

–Była pani kiedyś w Imperialnym Muzeum Wojny? – spytała uczona, a marine kiwnęła głową.

–Jasne. Kilka razy. Czemu?

–Zakładam w takim razie, że widziała pani Kolekcję Rogera III?

Kosutic ponownie skinęła głową, chociaż nie była pewna, do czego O’Casey zmierza. Roger III był jednym z nieprzyzwoicie utalentowanych cesarzy, których ofiarowała światu dynastia MacClintock. Zgodnie z rodzinną normą, miał wiele ciekawych – niektórzy powiedzieliby dziwacznych – zainteresowań. Jednym z nich była historia wojskowości, szczególnie Starej Ziemi, od dwunastego do szesnastego wieku. Zebrał prawdopodobnie najwspanialszą w dziejach ludzkości kolekcję broni i zbroi z tego okresu. Po jego śmierci całość zbiorów została przekazana w spadku Imperialnemu Muzeum Wojny, gdzie stały się jedną z głównych atrakcji.

–Od czasów Rogera III – ciągnęła odrobinę niewyraźnie O’Casey – zainteresowanie starożytnym uzbrojeniem stało się w rodzinie cesarskiej tradycją. Oczywiście jest w tym trochę przesady – żeby poddani mogli wzdychać z zachwytu nad „rodzinną tradycją” – ale i sporo prawdy. Cesarzowa i książę następcą tronu mogą godzinami rozprawiać o gotyckich pancerzach i Gwardii Szwajcarskiej. – Eleanora skrzywiła się tak mocno, że Kosutic zachichotała.

–Ale nie Roger – ciągnęła uczona. – Powiedziałam, że potrafi być uparty? Zaparł się i stwierdził, że nie będzie miał nic wspólnego z „tradycją”. Był to dość nieszkodliwy sposób wyrażenia swojego buntu, ale był co do tego... bardzo stanowczy. Może dlatego, że wszystko zaczęło się od innego Rogera, jednego z tych MacClintocków, których wszyscy podziwiają i szanują, w przeciwieństwie do naszego Rogera.

Pomimo usilnych starań rodziny księżę nie okazał ani odrobiny zainteresowania całą sprawą. Szkoda. Zwłaszcza teraz.

–Teraz? – Kosutic popatrzyła na nią przez chwilę, po czym wybuchnęła śmiechem.
– Ma pani rację – powiedziała. – Byłoby dobrze, gdyby miał jakieś pojęcie na ten temat, biorąc pod uwagę poziom technologii na Marduku.

–Oczywiście – westchnęła O’Casey. – Ale to właśnie cały Roger. Jeśli coś można zrobić źle, on na pewno znajdzie na to sposób.

* * *

Roger patrzył, jak Pahner idzie wąską kładką biegnącą przez środek promu i potrząsnął głową. Przy takim rozmieszczeniu żołnierzy jedynym sposobem przedostania się na drugi koniec przedziału było przejście kładką, do której przymocowane były fotele środkowego rzędu. Oznaczało to, że kapitan szedł na wysokości głów marines.

Problem polegał na tym, że podczas gdy Pahner miał na sobie dość lekki kombinezon, który założył właśnie z tego powodu, Roger był zakuty w chromfram. Przejście kładką w zbroi było dla niego równie trudne jak spacer po linie, a wątpił, by którykolwiek z marines chciał zostać zdeptany, choćby nieumyślnie, przez pancierz ważący tyle co tyranosaurus.

–Wasza Wysokość? – spytał Pahner, kiedy dotarł do końca kładki i zwinnie zeskoczył na dół.

–Ciężko mi będzie przejść w tym – odparł Roger, wskazując zbroję. Kapitan popatrzył na szary pancierz bojowy i skinął głową.

–Proszę to zdjąć. Nie ruszymy się stąd przez najbliższe kilka godzin.

–Gdzie zdjąć? W kabinie nie ma dość miejsca.

–Tutaj – powiedział Pahner, wskazując gestem niewielką przestrzeń wokół nich, jedyne wolne miejsce na pokładzie.

Krótką drabinka prowadziła w górę na niewielki pomost, z niego zaś można było dostać się do kabiny dowodzenia i na mostek. Na lewej burcie, na poziomie ładowni, znajdowała się śluza prowadząca na zewnątrz.

–Tutaj?

Roger przełożył hełm pod pachę i zastanowił się przez moment. Większość żołnierzy zajmowała się swoimi sprawami. Kilku wstało, ale przeszli na tył promu,

gdzie można było się trochę rozciągnąć na stosach ładunku. Księżciu jednak wydawało się, że wszyscy na niego patrzą.

–Mogę zawołać pana służącego – powiedział Pahner z lekkim uśmiechem. – Jest tam – dodał, wskazując tył ładowni.

–Matsugae? – Twarz Rogera pojaśniała. – To byłoby świe... to znaczy tak, kapitanie, oczywiście. Czy mógłby pan przyprowadzić mojego służącego? – dokończył, przeciągając słowa.

–Cóż – twarz Pahnera znów się ściągnęła. – Nie wiem, czy mogę go „przyprowadzić”. – Stuknął w ramię najbliższego marine. – Podaj dalej: Matsugae.

Żołnierz ziewnął, szturchnął sąsiada, przekazał mu wiadomość i natychmiast zasnął. Kilka chwil później Roger ujrzał wyłaniającą się spod stosu plecaków małą postać służącego. Kostas nachylił się, zamienił z kimś parę słów, po czym wspiął się na kładkę i ruszył w stronę księcia.

Z kładki co dwa metry wyrastały w górę wsporniki. Chociaż Matsugae nie był ani trochę tak zwinny jak Pahner, wiedział mniej więcej, jak się po niej poruszać. Trzymał się kurczowo wspornika, wysuwał stopę najdalej jak mógł do przodu, po czym rzucał się na następny. W ten sposób powoli dotarł do księcia.

–Dobry... – Przerwał, sprawdzając godzinę w swoim tootsie. – ...wieczór, Wasza Wysokość. – Uśmiechnął się. – Dobrze pan wygląda.

–Dziękuję wam, sługo Matsugae – powiedział Roger, o wiele bardziej dbając o formę, kiedy wokół było tylu ludzi. – Jak się macie?

–Bardzo dobrze, Wasza Wysokość, dziękuję. – Matsugae wskazał tył ładowni. – Plutonowa Despreaux okazała się kopalnią przydatnych informacji.

–Despreaux?

Roger uniósł brew i przechylił się, by spojrzeć w głąb przedziału. Przed oczami mignął mu szlachetny profil marine.

–To dowódca drużyny w trzecim plutonie, Wasza Wysokość. Bardzo miła młoda dama.

–Zważywszy na ich akta personalne – uśmiechnął się Roger – wątpię, by którąkolwiek z młodych dam Osobistego Cesarzowej dało się określić jako „miłą”.

–Ma pan rację, Wasza Wysokość – uśmiechnął się w odpowiedzi Matsugae. – Czym mogę służyć?

–Muszę zdjąć pancerz i przebrać się w coś bardziej stosownego.

Matsugae skrzywił się ze smutkiem.

–Przykro mi, Wasza Wysokość. Powinienem być o tym pomyśleć. Wrócę po mój plecak. – Zaczął wspinać się z powrotem na kładkę.

–Zaczekaj! – zatrzymał go Roger. – Mam spakowany mundur w kabinie dowodzenia. Musisz mi tylko pomóc zdjąć zbroję.

–Och, w takim razie... Kapitanie Pahner, czy zechciałby pan pomóc? – powiedział Matsugae, schodząc na podłogę. – Nie znam się zbyt dobrze na pancerzach, ale chciałbym się nauczyć.

Kiedy we dwóch rozpięli zatrzaski i łączenia zbroi, księcia tknęła pewna myśl.

–Matsugae? Czy mam rozumieć, że masz w plecaku zapasowe ubrania dla mnie?

–Cóż, Wasza Wysokość – powiedział prawie nieśmiało służący. – Plutonowa Despreaux powiedziała mi, że nie mógł pan zabrać wszystkich swoich ubrań. Nie wydawało mi się właściwe, by miał pan jedynie pancerz i jeden mundur, spakowałem więc kilka innych. Na wszelki wypadek.

–Da pan radę to nieść? – zapytał sceptycznie Pahner. – Oczywiście, jeśli to wszystko, co pan niesie...

–Przyznaję, kapitanie – odparł zaczepnym tonem Matsugae – że nie niosę amunicji tak jak większość pana marines. Mimo to niosę pełen ładunek sprzętu i taką samą część wyposażenia oddziału, jak cała grupa dowodzenia. Ubrania Jego Wysokości to, że tak powiem, mój przydział amunicji.

–Ale czy da pan radę? – powtórzył Pahner. – Dzień po dniu?

–To się okaże, kapitanie – odparł spokojnie Matsugae. – Myślę, że tak. Zobaczymy.

Wrócił do wyłuskiwania księcia z pancerza. Wkrótce Roger znów stanął pośrodku rozrzuconych elementów zbroi.

–Ciągle tylko to zakładam i zdejmuję – powiedział, strzepując nieistniejący pyłek z trykotu, który nosił pod pancerzem.

Matsugae wspiął się do kabiny dowodzenia.

–Już niedługo, Wasza Wysokość – powiedział Pahner. – Kiedy wylądujemy na planecie, rzadko kiedy będziemy tego używać. Kiedy jednak będzie nam potrzebne, to będzie naprawdę potrzebne!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

–Co jeszcze będzie nam potrzebne? – spytała O’Casey, przekartkowując listę sprzętu, załadowanego przez marines.

–Cokolwiek to jest, lepiej, żeby za dużo nie ważyło – odparła Kosutic. Sierżant obliczała zużycie paliwa; podniosła wzrok i skrzywiła się. – Nie mamy za dużego marginesu.

–Myślałam, że można tym szybować – powiedziała niepewnie Eleanora. Nie była specjalistką w tej dziedzinie, ale wiedziała, że zmienna geometria skrzydeł wahadłowców pozwala im na niezwykle długi lot ślizgowy.

–Można – wyjaśniła łagodnie Kosutic. – To znaczy, jeśli ma się do dyspozycji pas startowy. – Wskazała jeden z monitorów, który wyświetlał mapę z Przewodnika. – Ile lotnisk pani tam widzi? W trybie szybowania prom potrzebuje ładnego, tradycyjnego pasa. Jeśli próbuje się lądować bez tego, można od razu oddać duszę Jego Niegodziwości.

–W takim razie co się stanie, jeśli skończy się nam paliwo?

–Gdybyśmy podchodzili do standardowego wejścia w atmosferę, moglibyśmy w ostatniej chwili skorygować kurs i zwolnić, lecąc zakosami. Kłopot w tym, że jeśli to zrobimy, zostaniemy wykryci. Wtedy cały plan idzie w diabły, bo krążownik i garnizon portu będą nas ścigać na powierzchni planety.

Z drugiej strony, jeśli spróbujemy wejść w atmosferę pod dużym kątem – co zresztą zamierzamy zrobić – i skończy się nam paliwo, rozplaskamy się.

–Och.

–Wybijemy cholernie wielką dziurę w ziemi.

–Wyobrażam sobie – powiedziała słabo O’Casey.

–Myślę, że właśnie w tym momencie powinniśmy wykrywać Świętego – powiedział podporucznik Segedin.

–Zrozumiałem. – Kapitan Krasnitsky spojrział na sternika. – Przygotować się do zmiany kursu. Kwatermistrz, proszę powiedzieć marines, żeby przygotowali się do rozłączenia.

* * *

–Powinni byli nas już wykryć – powiedział kapitan Delaney.

–Dlaczego wciąż hamują i lecą w stronę planety?

–Czyżby ciągle mieli zamiar wysadzać swoich marines? – zapytał kapelan, spoglądając na wyświetlacz nad ramieniem kapitana.

Delaney zmarszczył nos, czując smród niepranej sutanny kapelana. Mycie się i pranie były mało popularne wśród wierzących, ponieważ marnowały zasoby naturalne. Coś tak szkodliwego jak dezodorant było oczywiście absolutnie wykluczone.

–Muszą – zamyślił się kapitan. – Wciąż jednak są za daleko. – Uśmiechnął się, widząc zmianę obrazu wyświetlacza. – O! Teraz dały znać o sobie uszkodzenia ich sensorów. Zmienili kurs.

*** * ***

–Przygotować się do rozdzielenia. Pięć minut – zahuczał głośnik.

Roger, który rozmawiał właśnie z sierżantem Jinem, rozejrzał się zaskoczony. Koreańczyk zdumiewająco dobrze orientował się w obowiązującej męskiej modzie. Książę, po krótkim obchodzie całej ładowni (podczas którego starał się zachowywać tak jak jego Matka na ogrodowym przyjęciu), usiadł koło niego i pograżył się w rozmowie. Uznał, że było to lepsze niż rozmowa z fascynującą go plutonową Despreaux. Przeczucie mówiło mu, że okazywanie zainteresowania członkinią własnej obstawy byłoby w tej sytuacji kiepskim pomysłem. Właściwie byłby to kiepski pomysł w każdych okolicznościach, pomyślał z właściwą sobie logiką.

–Niech pan lepiej załóż pancerz, Wasza Wysokość – powiedział Jin, spoglądając znacząco na kombinezon maskujący, który miał na sobie książę. – Zajmie to panu dużo czasu.

–Słusznie. Porozmawiamy kiedy indziej, sierżancie. – Roger opanował już poruszanie się po kładce.

Wskoczył na nią lekko i ruszył na drugą stronę ładowni, przeskakując zwinnie między wspornikami.

*** * ***

–Popisuje się – wymruczał Julian, układając plecak na kolanach. Nie było to specjalnie niewygodne, ponieważ miał na sobie pancerz, ale po chwili poczuł się uwięziony.

Obudzony przez obchód księcia, nie zdążył jeszcze z powrotem zapaść w sen. Zdawał sobie sprawę, że na pytania młodego paniczyka odpowiadał nieco

opryskliwie, ale Roger zdawał się tego nie zauważać.

–Nie wydaje mi się, żeby się popisywał – powiedziała cierpko Despreaux. – Myślę, że po prostu chciał szybko przejść na drugą stronę.

Julian spojrzał na nią ze zdziwieniem. Ponieważ plutonowa siedziała dokładnie naprzeciw niego, miał doskonałą okazję, żeby jej dokuczyć, a przepuszczenie takiej okazji klóciłoby się z jego zasadami.

–Ee, jesteś zazdrosna, bo ma ładniejsze włosy niż ty.

Despreaux zerknęła w bok, by rzucić okiem na rozbierającego się w pośpiechu księcia.

–Są ładne – wymruczała. Julian rozdziawił usta, kiedy dotarło do niego, co powiedziała.

–Podoba ci się, co? Napaliłaś się na księcia!

Despreaux wyprostowała się gwałtownie i spojrzała na niego ze złością.

–To najgłupsza rzecz... Oczywiście, że nie!

Julian chciał jeszcze ją podręczyć, kiedy nagle zrozumiał wszystkie implikacje sytuacji. Pułk żadną miarą nie dopuściłby do tego, żeby ktoś z marines związał się z członkiem rodziny cesarskiej. Plutonowy rozejrzał się, ale wszyscy dookoła spali albo mieli w uszach zatyczki. Na szczęście nikt nie usłyszał tego, co powiedział. Pochylił się do przodu na tyle, na ile pozwalało mu ułożone na kolanach oporządzenie.

–Nimashet, odbiło ci? – syknął. – Przecież dobiorą ci się za to do dupy!

–Nic nie było – odpowiedziała tak samo cicho, mnąc w palcach szary materiał leżącego na jej kolanach plecaka. – Zupełnie nic.

–Lepiej, żeby nic nie było! – szepnął surowo Julian. – Ale i tak ci nie wierzę.

–Dam sobie radę – odparła plutonowa, odchylając się do tyłu. – Nie martw się o mnie. Jestem dużą dziewczynką.

–Pewnie, że jesteś. Jasne. – Marine potrząsnął głową i opadł na oparcie. Ale wsypa, pomyślał.

*** * ***

Po drugiej stronie kładki Poertena z trudem zamaskował śmiech kaszlem. Pokręcił głową i jeszcze raz zakaszłał.

Despreaux i księżę, pomyślał. To dopiero, kurwa, numer!

*** * ***

–Co pana tak rozbawiło, sir? – spytał komandor Talcott.

Właśnie wrócił z obchodu statku i nie miał dobrych wiadomości. Cztery z ośmiu wyrzutni *DeGloppera* zostały uszkodzone w takim stopniu, że można było spisać je na straty. Ogień ze zniszczonego krążownika zorał chromframowy pancierz i podziurawił kadłub okrętu. Niektóre trafienia były niebezpiecznie blisko zasobników z pociskami, i chociaż same główce nie wybuchłyby od wstrząsu, to mogły to zrobić systemy napędowe rakiet, a wraz z nimi cały okręt.

Przynajmniej jednak napęd fazowy nie miał żadnych uszkodzeń. Był nawet w lepszym stanie niż podczas ostatniego starcia, mieli więc nieco lepsze przyspieszenie i większe zasoby mocy. Poza tym, oprócz utraty czterech wyrzutni, zużyli prawie połowę rakiet, więc walka zapowiadała się na prawie wyrównaną.

–Nie licząc tego, że krążownik będzie mógł kręcić wokół nich piruety.

–Myślałem o imienniku naszego okrętu – oparł z ponurym uśmiechem Krasnitsky. – Zastanawiam się, czy kiedykolwiek pomyślał „po jaką cholere ja to robię?”.

*** * ***

Roger obserwował na monitorach zewnętrznych kamer, jak otwierają się potężne wrota doków. Absolutna czerń kosmosu zaczęła ich wsysać. Kiedy tylko puściły magnetyczne cumy, promy wypłynęły powoli na zewnątrz. Kiedy wydostały się poza pole *DeGloppera* i zasięg jego sztucznej grawitacji, zapanował na nich stan nieważkości.

–Zapomniałem zapytać, Wasza Wysokość – powiedział taktownie Pahner. – Jak pan sobie radzi z brakiem ciężenia?

Unikał jakiegokolwiek nawiązania do wymówek O’Casey, mających usprawiedliwić „niedyspozycję” księcia w czasie pierwszego wieczoru na pokładzie.

–Grywam sporo w zerograwitacyjną piłkę ręczną – rzucił od niechcienia księżę, obracając kamerę, by popatrzeć na znikający w tyle statek. – Nie mam żadnych problemów z brakiem ciężenia. – Uśmiechnął się złośliwie. – Za to Eleanora...

*** * ***

–Umieeeeeram – jęknęła naczelniczka świty, przytykając do ust torebkę.

Kolejna potężna fala nudności zgięła ją wpół.

–Mam tu gdzieś dozownik Mofixu – powiedziała Kosutic z lekko drwiącym chichotem kogoś, kogo natura obdarzyła żołądkiem z żelaza. Nawet smród wymiocin nie robił na niej wrażenia – wachała go już wiele razy.

–Jestem uczulona. – Głos O’Casey tłumila plastikowa torebka. Kobieta opadła na oparcie i zasunęła ją. – O Boże...

–Będziemy tu przez kilka dni, zdaje sobie pani z tego sprawę? – spytała sierżant z nieco większym współczuciem.

–Tak – jęknęła żałośnie Eleanora. – Zdaję sobie z tego sprawę, ale zapomniałam, że te promy nie mają sztucznego ciężenia.

–Chyba nie możemy też wirować – powiedziała Kosutic. – Będziemy długo przechodzić przez atmosferę. Nie sądzę, żebyśmy mogli jednocześnie wirować.

–Przeżyję... chyba. – Naczelniczka świty otworzyła gwałtownie torebkę i prawie włożyła głowę do środka. – Aaach...

Kosutic opadła na oparcie i potrząsnęła głową.

–Widzę, że to będzie wspaniała podróż.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

–Na skali od jednego do dziesięciu – wymamrotał Krasnitsky – ta wyprawa dostaje minus czterysta.

Zakaszłał i potrząsnął głową, by pozbyć się krwawej mgiełki, którą wypluł. Instrukcja na skrzynce była dość jasna. Teraz pozostało mu tylko wytrzymać wystarczająco długo, by wprowadzić kody.

Odszukanie kluczy do tego urządzenia sprawiło mu sporo kłopotu. Talcott, który posiadał drugi klucz, został przecięty na pół, kiedy wracał z maszynowni. Trzeci klucz znajdował się w skafandrze PO mechanika. Kapitan czuł się okropnie, kiedy przecinał skafander, ale nie miał wyboru. Oficer taktyczny miał czwarty, a nawigator piąty; te łatwo było zabrać po ostatnim trafieniu w mostek.

Sam był zaskoczony, że okręt jeszcze się nie rozpadł. Święci, po otrzymaniu komunikatu o poddaniu się i nagraniu głosu księcia każącego Krasnitsky'emu to zrobić, prawie się ślinili. Pojmanie Rogera ustawiłoby do końca życia każdego członka załogi, nawet w surowej teokracji Świętych.

W zbrojowni nie było ekranów, ale kapitan nie potrzebował ich, by wiedzieć, co się dzieje. Słyszał, jak krążownik cumuje do większego okrętu, i poczuł wstrząs towarzyszący sforsowaniu śluz przez marines Świętych.

Zastanówmy się... Jeśli mam wszystkie pięć kluczy, ale tylko jeden aktywator, muszę nastawić opóźnienie. W porządku. To logiczne.

* * *

–Kapitanie Delaney, mówi porucznik Scalucci. – Caravazański marine przerwał i rozejrzał się po mostku. – Zajęliśmy mostek, ale nie wzięliśmy żadnych jeńców. Napotykamy opór załogi. Jak dotąd nikt nie dał się wziąć żywcem. Bronią się zaciekle – niektórzy mają nawet wspomagane pancerze – i nie poddają się, jak można by się spodziewać. Nie napotkaliśmy jeszcze obstawy księcia. – Przerwał i jeszcze raz rozejrzał się dookoła. – Coś mi się w tym wszystkim nie podoba.

–Proszę mu powiedzieć, że swoje opinie może zachować dla siebie! – rzucił kapelan Panella. – Ma znaleźć księcia!

Kapitan Delaney popatrzył na kapelana i włączył mikrofon na szyi.

–Kontynuować misję, poruczniku – powiedział. – Proszę uważać na zasadzki. Najwyraźniej się nie poddali, cokolwiek by na ten temat mówił ich kapitan.

–Na to wygląda, sir. Scalucci, bez odbioru.

Delaney odwrócił się i stanął twarzą w twarz z kapelanem.

–Znajdziemy księcia, kapelanie, ale tracenie przy tym ludzi to głupota. Szkoda, że nie mamy szalupy, w której można by wysłać marines. – Trafienie w dok rozwiązało tę sprawę. – Gdyby na pokładzie nie było księcia, uznałbym to za pułapkę.

–Ale on tam jest! – zasyczał Panella. – A jego życia by nie ryzykowali! – Wyszczerył się jak wściekła fretka. – Chociaż jeśli mają trochę rozumu, sami poderżnęli mu gardło. Proszę sobie wyobrazić, czego moglibyśmy dokonać mając w rękach członka rodziny cesarskiej przeklętego Imperium Człowieka!

–Kapitanie! – odezwał się niespodziewanie Scalucci. – Doki promów są puste! Zdążyli je wystrzelić!

Oczy kapitana Świętych zrobiły się nagle wielkie i okrągłe.

–Och, skażenie! – zaklął.

* * *

–Święty zrównał się z ostatnim znanym kursem *DeGloppera* – powiedział Pahner.

–Skąd pan wie? – spytał Roger. Oczy bolały go od wpatrywania się w maleńki ekranik. – Ja tu nic nie widzę.

–Proszę wyświetlić zapis danych – poradził kapitan. – Zawsze powtarzam, że nie ma powodu, abyśmy nie mogli mieć tu większych ekranów. Stanowiska dowodzenia dodano po ukończeniu projektu promu i od tamtej pory nikt o tym nie pomyślał.

–Teraz pomyślimy! – uśmiechnął się książę i łupnął pięścią w krnąbrne urządzenie. – Ups...

Zapomniał o sile pancerza. Ostrożnie wyjął rękę z dziury, którą wybił w panelu stanowiska.

Pahner obrócił swój fotel i wpisał kilka poleceń na zapasowej klawiaturze księcia. Migoczący teraz monitor, zamiast widoku źródeł energii w pobliskiej przestrzeni, wyświetlił listę danych.

–To ostatnia znana pozycja i prędkość *DeGloppera* – powiedział kapitan. – A to jego prawdopodobne obecne położenie. – Przez swojego tootsa wysłał polecenie do komputera, który pokazał kolejne zestawienie. – A to dane Świętego.

–Czyli są obok siebie? – spytał książę, zauważając zbieżności danych.

–Tak. Zrównali prędkość i kurs z *DeGlopperem*. Co oznacza, że dali się nabrać na podstęp Krasnitsky’ego.

Roger skinął głową i spróbował okazać nieco satysfakcji, którą emanował Pahner, ale przychodziło mu to z trudem. To dziwne, pomyślał. Pahner był wojskowym tak jak Krasnitsky i wiedział równie dobrze jak Roger, że kapitan i jego załoga popełniają samobójstwo, by osłonić ich ucieczkę. Książę spodziewał się, że wzbudzi to w żołnierzu jakieś emocje. Zawsze podejrzewał, że ludzie, którzy decydowali się na służbę w wojsku, byli nieco mniej wrażliwi niż inni. Pahner jednak nigdy nie omieszkał dać mu odczuć – oczywiście z całym szacunkiem – jeśli naruszył jedną z licznych tradycji marines. Dlaczego więc zachowywał taki dystans do tego, co miało się stać, skoro sam książę gryzł się poczuciem winy?

Nie tak miało to wszystko wyglądać. Ludzie nie powinni poświęcać życia, żeby go chronić – nawet jego własna rodzina nie wydawała się przekonana, czy warto się nim zajmować... A skoro tacy wspaniali ludzie jak jego żołnierze i załoga okrętu gotowi byli oddać życie, by wypełnić swój obowiązek, to czy powinna ich czekać tylko śmierć?

Tłoczące się w głowie księcia wątpliwości męczyły go, postanowił więc nie myśleć o tym w tej chwili i zmienił temat. – Nie wypadłem najlepiej w nagraniu – powiedział kwaśno.

–Uważam, że wypadł pan doskonale, Wasza Wysokość – wyszczerzył się Pahner. – Święci uwierzyli.

–Akurat – parsknął książę. Dopóki nie usłyszał zmontowanego nagrania, na którym rozkazywał Krasnitsky’emu poddać się krążownikowi, nie zdawał sobie sprawy, jak dziecinnie to brzmiało. „Poddaję się z honorem”. Co za bzdury.

–Zadziałało, Wasza Wysokość. – Ton Pahnera ochłodził. – I tylko to się liczy. Kapitan Krasnitsky ma ich na widelcu.

–Jeśli na pokładzie został ktoś, kto może odpalić ładunki.

–Został – powiedział zdecydowanie Pahner.

–Skąd pan wie? Wszyscy mogą już nie żyć. A jeśli nie ma choćby jednego oficera, który znałby kody...

–Wiem, Wasza Wysokość, – W głosie kapitana nie było cienia wątpliwości. – Skąd? Krążownik Świętych wciąż jest z nim burta w burcie. Gdyby wzięli do niewoli kogoś z załogi i zmusili go do mówienia, oddalaliby się z pełną prędkością. Nie robią tego, więc plan działa.

I niech Bóg was błogosławi, kapitanie, pomyślał, nie pozwalając, by to, co czuł, odbiło się na jego twarzy. Patrzył na zakodowane dane i myślał o mężczyznach i kobietach, którzy musieli umrzeć. Zrobiliście swoje, teraz my zrobimy swoje, żeby wasza ofiara nie poszła na marne. To dupek, wiem, ale jakoś utrzymamy go przy życiu.

*** * ***

–Nie działa – powiedziała do siebie O’Casey.

Sierżant Kosutic odplynęła w głąb ładowni, by dodać otuchy żołnierzom, i zostawiła cywila samej sobie. Była to ironia losu, ponieważ Eleanora czuła, że ktoś szybko musi podnieść ją na duchu. Oczywiście, nawet sierżant mogła mieć dość smrodu, co mogło tłumaczyć, czyje morale zdecydowała się poprawić.

Żeby przestać o tym myśleć, O ‘Casey zaczęła rozważać plan, jeśli można było go tak nazwać. Od chwili, kiedy zauważono drugi krążownik, nie miała dość czasu, by stworzyć coś, co ona sama zgodziłaby się nazwać planem. Wszystko opierało się na pospiesznych improwizacjach. Eleanora była pewna, że coś przeoczono, nie miała jednak czasu usiąść i się zastanowić, teraz zaś czuła się tak sponiewierana, że ostatnia rzeczą, na jaką miała ochotę, była wnikliwa analiza sytuacji.

Tak się jednak nieszczęśliwie składało, że była to jedyna rzecz, jaką mogła zrobić.

Załadowali towary na handel. Zaproponowała metale, ale Pahner odrzucił ten pomysł. Uważał, że ich waga jest niewspółmierna do wartości, poza tym były to w większości zaawansowane stopy, których mardukańscy rzemieślnicy nie daliby rady obrabiać. A, jak zauważył, coś, czego tubylcy nie zdołają zaadaptować do własnych potrzeb, było dla nich całkowicie bezużyteczne.

Na statku zresztą nie było zbyt wiele cennych metali ani klejnotów. W niektórych łąkach elektronicznych stosowano odrobiny złota, ale nie było ich jak wydobyć. Kapitan Pahner bezlitośnie skonfiskował całą osobistą biżuterię, ale tego również nie zebrało się za wiele. Ozdoby marines powinny były przynajmniej przypaść do gustu barbarzyńcom, chociaż według standardów Imperium były to zwykłe wykończenia stroju. O’Casey wątpiła, by ktokolwiek na Marduku słyszał o istnieniu syntetycznych klejnotów.

Nawet jednak zakładając, że Mardukanie cenili takie przedmioty, było ich zdecydowanie za mało. Towary na wymianę na dłuższą metę były o wiele bardziej przydatne, ale Eleanora nie mogła się pozbyć wrażenia, że o czymś zapomniała. O czymś ważnym. Drażniło ją, że ma tak rozległą wiedzę o starożytnych cywilizacjach!

...

Wiedza.

Starszy chorąży Tom Bann przeliczył wszystko po raz piętnasty. Margines błędu był mały, za mały. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, po wylądowaniu zostanie im mniej niż tysiąc kilo wodoru. Szczurowi lądowemu mogło się wydawać, że to mnóstwo, ale pilot zdawał sobie sprawę, że w zestawieniu z dystansem do przebycia wodoru było tyle, co nic. Sam margines błędu był większy.

Chorąży spojrział na monitor i potrząsnął głową. Był pilotem Pułku, nie jednym z przydziałowych pilotów *DeGloppera*, ale i tak bolało go oglądanie takiej ofiary. Wszyscy stanowili Flotę, czy służyli w Marynarce Handlowej, czy w Wojennej. Jeszcze raz potrząsnął głową i spojrział na liczby. Byłoby naprawdę do dupy, gdyby śmierć ludzi Krasnitsky'ego miała pójść na marne.

–Halo? Panie pilocie? – W pierwszej chwili nie rozpoznał głosu w słuchawce, ale potem rozpoznał naczelnickę świty księcia.

–Tak, proszę pani? Mówi chorąży Bann. – Zastanawiał się, co uczona może od niego chcieć w takiej chwili. Lepiej, żeby było to coś ważnego.

–Czy możemy się jeszcze połączyć z komputerami okrętu? Bann ułożył w myślach listę okoliczności, które na to nie pozwalały. Nie wiedział, od której zacząć.

–Proszę pani, nie wydaje mi się...

–To ważne, panie chorąży – powiedział stanowczo głos w słuchawce. – Powiedziałabym nawet: najwyższej wagi.

–Czego pani potrzebuje? – spytał zmęczonym głosem.

–W mojej osobistej bazie danych jest kopia *Encyclopedia Galactica*. Nie wiem, dlaczego jej ze sobą nie zabraliśmy.

–Ale... – zaczął Bann, myśląc o problemach, jakich nastęczało połączenie się z okrętem. Nawet gdyby ocalały na nim jakieś anteny, musiałby użyć łączności laserowej, którą Święty, przyczepiony do burty *DeGloppera*, mógłby łatwo wykryć i zlokalizować prom.

–Wiem, że nie ma w niej wiele na temat Marduka – powiedziała szybko O'Casey, uprzedzając jego obiekcje – ale są tam dane o wczesnych kulturach i technologiach. Jak robić zamki skałkowe, jak produkować lepsze żelazo i stal...

–Och. – Chorąży kiwnął głową. – Słuszna uwaga, ale jeśli spróbuję połączyć się ze statkiem, możemy zostać wykryci. Co wtedy?

–Och. – Teraz O’Casey zamilkła na chwilę. – Musimy zaryzykować – powiedziała w końcu stanowczo. – Te dane mogą zaważyć na powodzeniu ekspedycji.

Bann zastanowił się nad tym, szykując laser. Zdawał sobie sprawę, że nie ma wiele czasu do namysłu. Gdyby próbował skontaktować się z kapitanem Farmerem i pytać o pozwolenie, *DeGlopper* zostałby w tym czasie na pewno zniszczony. Co oznaczało, że to on sam musi zdecydować, czy warto ryzykować powodzenie całej misji po to, żeby ściągnąć dane, które mogą okazać się zupełnie bezużyteczne.

Uznał, że warto.

*** * ***

–Laser komunikacyjny! – Porucznik siedzący przy stanowisku Obrony Statku odwrócił się do kapitana. – Wysyła żądanie przesłania danych do Imperialnego desantowca. Z... dwa-dwa-trzy na zero-zero-dziewięć!

–Promy – powiedział Delaney. – To promy. Próbują wymknąć się na planetę.

–Jesteśmy za daleko – sprzeciwił się kapelan. – Sam pan tak powiedział. Nie mogą hamować i próbować wejść w atmosferę. A nawet gdyby mogły, to przecież planeta pozostaje w naszych rękach.

–To prawda – kiwnął głową Delaney. – Mogą jednak na jakiś czas ukryć się na powierzchni.

–Dopóki nie wykryje ich nosiciel – powiedział z lekceważeniem Panella. – Musieliby być szaleni, żeby próbować wylądować na powierzchni. Poza tym wciąż możemy ich dogonić, a wykrylibyśmy ich tak czy inaczej, jak tylko zaczęliby hamować.

–Być może – rzekł z powątpiewaniem kapitan. – Te promy używają napędu wodorowego, który trudno wykryć z odległości większej niż minuta świetlna. – Podrapał się po brodzie i zastanowił nad tym, co powiedział. – Chociaż, ma pan rację. Musieli się spodziewać, że zostaną wykryci.

Myślał jeszcze przez chwilę. Nagle otworzył szeroko oczy.

–Chyba że myślą, że nie będzie nas tu, żeby ich wykryć!

Skoczył ku załodze mostka.

–Odłączyć statek! Natychmiast!

*** * ***

–Co ściągnąć? – zapytała Eleanora. – Co? Co, co? Dalej, ściągnaj!

Chorąży Bann połączył się z wielkim trudem, ale udało mu się, a O'Casey czekała już tylko na ustanowienie ostatecznych łącz. Kiedy ekran wreszcie się rozjaśnił, wysłała ze swojego tootsa polecenie.

–Znajdź „techniki przeżycia” – szepnęła i spojrzała na wyniki poszukiwania. – Przewiń w dół, w dół, „wroga flora i fauna” – ściągnij, „medycyna” – ściągnij. Znajdź „paliwa, prom”. Przewiń. „Wskazane” – ściągnij. Szukaj „wojskowość, prymitywna”. Szukaj „arkebuzy”. W dół, w dół. – Cały czas uważała na diagram ładowania. Laser komunikacyjny miał dość niską przepustowość, tak że ładowanie „flory i fauny” jeszcze trwało. O'Casey syknęła ze złością, kiedy na ekranie pojawił się komunikat.

–Cztery tysiące trzysta osiemdziesiąt trzy artykuły. Cholera. – Nie miała tyle czasu.

–Znajdź „generałowie, najwięksi”. – Przejrzała rezultat. Rozpoznała tylko jedno nazwisko, mimo że miała doktorat z historii. Bardziej interesował ją rozwój społeczny niż militarna destrukcja, a arkebuzy były dla niej równie odległe co starożytny Rzym i jego osławione legiony. Jedno nazwisko pojawiało się jednak zarówno w dziejach wojskowości, jak i w historii społecznej.

–Ładuj „Gustaw, Adolf”.

*** * ***

–Cholera – zaklął Pahner.

Roger skinął głową, oswojony już nieco z sytuacją.

–Rozłączenie.

–Tak – odparł cicho kapitan, patrząc na dwie litery „BS”, które zastąpiły wyświetlany ciąg danych *DeGloppera*. Brak Sygnału. Taki... higieniczny skrót. Litery przykuły jego wzrok, a wtedy ustał również ciąg odczytów ze statku Świętych.

–Ach – westchnął smutno kapitan, a Roger znów kiwnął głową.

–No cóż – powiedział po chwili księżę, próbując poprawić atmosferę. – Przynajmniej ich załatwili.

Nawet nie odwracając się wyczuł, że temperatura w pomieszczeniu spadła. Przeklął sam siebie za to, że znów palnął coś bez zastanowienia. Zrozumiał, że mylił się co do braku ludzkich uczuć u marines.

–Tak, chyba ich załatwili, Wasza Wysokość – powiedział beznamiętnie Pahner.

*** * ***

–Cholera! – krzyknęła Eleanora, uderzając dłonią w panel. Przekaz zerwał się bez ostrzeżenia, zanim zdołała ściągnąć wszystko, do czego dotarła przez artykuł o królu Szwecji, Gustawie Adolfie.

Po wejściu do niego zaczęła szukać innych danych i zdała sobie sprawę, ile informacji ma w zasięgu ręki. Marines mogły się przydać dane na temat metalurgii, rolnictwa, irygacji i inżynierii. Chemii, biologii i fizyki. Wszystko to cały czas tam było, czekając na skopiowanie do padów czy nawet tootsów. Mogli załadować to wszystko do indywidualnych tootsów i mieliby chodzącą encyklopedię...

Gdyby tylko pomyślała o tym na czas.

–Co się stało? – spytała sierżant Kosutic, wchodząc do pomieszczenia. Spojrzała na monitory i kiwnęła głową. – Och. *DeGlopper* zginał... Ale załatwili Świętego.

–Nie, nie, nie, to nie to! – przerwała CTCasey, znów uderzając w pulpit. – Po tym, jak pani wyszła, zdałam sobie sprawę, że miałam w ręku cały wszechświat. W moim osobistym systemie na statku miałam *Encyclopedia Galactica*. Prawie z niej nie korzystałam, bo podaje tylko zarys informacji, ale było w niej mnóstwo rzeczy, które mogliśmy ściągnąć, gdybym tylko pomyślała o tym wcześniej. Zaczęłam ściągać artykuły, ale zerwał mi się sygnał.

–Udało się pani coś ściągnąć?

–Tak. – O’Casey wyświetliła dane. – Chyba mam najważniejsze rzeczy. Techniki przeżycia we wrogim środowisku, pierwsza pomoc, coś o paliwach do promu... Zaczęłam ściągać plik o ziemskim generale z czasów, kiedy używano arkebuzów. – Zmarszczyła czoło i przyjrzała się plikom. – Ten o paliwach wydaje mi się trochę mały.

Kosutic skrzywiła się, z trudem powstrzymując uśmiech. Uczona wyświetliła dane.

–Według nich, zapasowe paliwo do promu można uzyskać używając elektryczności do rozbicia cząstek wody...

–A na promie jest układ, który może to zrobić – przerwała Kosutic. – Zasilany energią słoneczną. Napełnienie zbiorników promu trwa około czterech lat.

–Jasne – O’Casey odwróciła się od monitora. – Już to pani wiedziała?

–Tak – przyznała sierżant, ciągle powstrzymując chichot. – Każdy, zanim zostanie przyjęty do Pułku, przechodzi kurs, niech go Szatan przeklnie, kurs między innymi przetrwania w warunkach bojowych. Kapitan Pahner jest instruktorem technik przeżycia.

–Och – powiedziała O’Casey. – Cholera.

–Niech się pani nie martwi – pocieszyła ją Kosutic, pozwalając sobie wreszcie na śmiech. – Światy Imperium mają bardzo różny poziom techniki, a marines rekrutują się z prawie wszystkich. Byłaby pani zaskoczona, gdyby się dowiedziała, co nasi żołnierze potrafią. Kiedy coś trzeba zrobić, w większości przypadków jest pod ręką żołnierz, który akurat to potrafi. Zobacz pani.

–Mam nadzieję, że ma pani rację.

–Proszę mi zaufać. Jestem w marines od prawie czterdziestu standardowych lat, a wciąż mnie czymś zaskakują.

–W takim razie – stwierdziła O’Casey – pozostaje nam tylko siedzieć i czekać na lądowanie.

–Właśnie – zgodziła się Kosutic. – Gra pani w pinochle?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

–O, cholera.

Pahner postukał w ekran, ale obraz wcale się nie poprawił. Nie znaczyło to jednak, że z sensorami czy ich odczytami było coś nie w porządku.

Przez ostatnie trzy dni promy leciały kursem okrążającym planetę. Port leżał na małym kontynencie lub dużej wyspie, zależnie od punktu widzenia. Plan lotu został tak wyznaczony, by wylądować po przeciwnej stronie oceanu. Od celu dzieliłoby ich wtedy około tysiąca kilometrów. Mardukanie posiadali jakoby umiejętność morskiej żeglugi, więc większa część podróży miała się odbyć na pokładzie statku. Musieli tylko wynająć jeden lub więcej okrętów, które przewiozłyby ich na drugi brzeg morza.

Był to, przyznał skromnie Pahner, porządny i dobrze przemyślany plan. Jediną jego wadą był zasięg promów. Dopalacze, których użyli, by ustawić się na właściwym kursie, zużyły tyle paliwa, że pozostało go jedynie na podejście i lądowanie.

Niestety, na orbicie nad portem znajdował się okręt.

Miał wygaszone silniki, inaczej *DeGlopper* by go wykrył, ale najprawdopodobniej był to nosiciel krążowników. Tak czy inaczej, z tej pozycji wykryłby i mógł śledzić promy aż do chwili lądowania, chyba że miałyby ono miejsce po przeciwnej stronie globu.

Na pocieszenie zostawał fakt, że drugi krążownik najwyraźniej nie odkrył ucieczki promów, a przynajmniej odkrył ją za późno, by ostrzec nosiciela. Gdyby mu się to udało, nosiciel zmieniłby pozycję tak, by obserwować drugą stronę planety, której nie obejmowały sensory portu. Na niekorzyść działała sama jego obecność, przez którą podróż po powierzchni planety wydłużała się o jakieś dziesięć tysięcy kilometrów.

Oraz oczywiście to, że nie wystarczy im paliwa na lądowanie.

–Niedobrze – zatroskał się Roger, zaglądając kapitanowi przez ramię. – Bardzo, bardzo niedobrze.

–Tak, Wasza Wysokość – powiedział Pahner z niezwykłą powściągliwością. – Niedobrze.

Przebywali ze sobą od trzech dni i żaden z nich nie był w dobrym nastroju.

–Co zrobimy? – spytał książę. W jego głosie znów pojawiła się nuta skargi.

Konieczności natychmiastowej odpowiedzi oszczędził Pahnerowi dzwonek

komunikatora. Kapitanowi udało się nie okazać ulgi, kiedy wciskał przycisk przyjęcia transmisji. Zamiast od razu odpowiedzieć, przełączył system na hologram i cierpliwie zaczekał. Po chwili uśmiechnął się lekko do kilku hologramów, które pojawiły się w pomieszczeniu.

–Zakładam, że wszyscy zauważyliście naszego przyjaciela – powiedział z ironią, kiedy wszyscy – trójka poruczników, czterej piloci, sierżant Kosutic i Eleanora O’Casey – byli już obecni.

–O, tak – powiedział chorąży Bann. – Miejsce lądowania mamy spalone, tak samo awaryjne jeden i dwa.

–Powinniśmy mieć przygotowany plan działania na taką ewentualność! – uciął ze złością starszy chorąży Dobrescu. Pilot Promu Czwartego spojrział na Pahnera, jakby to wszystko była jego wina. Co właściwie w pewien sposób było prawdą.

–To prawda – zauważył Bann. – Faktem jednak jest, że od początku i tak nie mieliśmy wystarczająco dużo paliwa na konwencjonalne lądowanie, wszystko jedno gdzie. Bez hamowania w atmosferze nie trafilibyśmy nawet w pierwotnie zakładany punkt.

–Który w tym momencie odpada ze względu na tego pieprzonego nosiciela – wytknął Pahner. Była to, uznał, najbardziej bezsensowna uwaga, jaką kiedykolwiek wygłosił, zmusił się jednak, by kontynuować. – Będziemy musieli wylądować po drugiej stronie planety.

–Nie możemy – powiedział Dobrescu. – Nie da się wylądować w dżungli bez paliwa.

–A te białe łaty? – spytał Roger, stukając w ekran pada, na którym gorączkowo przeglądał ograniczoną mapę terenu. Została ona przygotowana na podstawie pobieżnych obserwacji z orbity i pozbawiona była niemal całkowicie jakichkolwiek detali, ale niektóre elementy ukształtowania terenu widać było zupełnie wyraźnie. Książę jeszcze raz postukał w ekran.

–Nie wiem, co to jest – powiedział Pahner. Wziął do ręki pada i w zamyśleniu przyjrzał się nieregularnym plamom w górzystym regionie kontynentu leżącego po przeciwnej stronie planety. – Cokolwiek to jest, nie zostało zbudowane – jest o wiele za duże.

Już miał powiedzieć, że na nic się im to nie przyda, ale umilkł. Nie była to dżungla, woda ani skały, a tylko to Marduk miał do zaoferowania. W takim razie co to było?

Pozostali studiowali już własne pady.

–Chyba... – zająknął się porucznik Gulyas.

–Chyba co? – spytał chorąży Bann. On również zwrócił uwagę na białe łąty.

–To mogą być dwie rzeczy – powiedział Gulyas. – Nie jestem w stanie powiedzieć, czy znajdują się ponad, czy pod poziomem morza, ale jeśli leżą wystarczająco nisko, chyba mogą to być wyschnięte jeziora.

–Wyschnięte jeziora na tropikalnej planecie? – parsknął Dobrescu. – Niezłe. Jeśli tak jest, to świetnie, ale jeśli wycelujemy w nie, a okaże się, że to nie to, już po nas.

–Ta planeta jest cholernie wielka – odparł Bann. – Gdzieś na niej muszą być wyschnięte jeziora, a i tak będzie po nas, jeśli zauważy nas nosiciel albo wbijemy się w górskie zbocze. Możemy spróbować z wyschniętym jeziorem i mieć nadzieję, że się nie mylimy.

–Zgadza się z porucznikiem Gulyasem – powiedział Roger. – Dlatego właśnie zwróciłem na nie uwagę. Leżą w okolicy fałdowego masywu górskiego. Gdyby góry spiętrzyły się dookoła nich i odcięły źródła wody, jeziora by wyschły. – Przejrzał resztę mapy. – Są jeszcze inne, bliżej portu. Widzicie? Nie tylko tutaj.

–Ale reszta planety to bagna, Wasza Wysokość – powiedział Dobrescu. – Jeziora wysychają na pustyni, a dlaczego pustynia miałaby być tylko tam?

–Wydaje mi się, że całe pasmo górskie leży w suchej okolicy – zauważył Pahner. – Powierzchnia jest brązowa, nie zielona. Są też inne suche regiony, tyle że jest ich niewiele i są rzadko rozrzucone. Dlatego jest spora szansa, że to naprawdę wyschnięte jeziora.

Kapitan patrzył przez chwilę na wyświetlacz pada, po czym odstawił go i spojrzał na pilotów.

–Czy się zgadzamy, czy nie, naszą jedyną szansą jest nadzieja, że to jednak są wyschnięte jeziora. Proszę zacząć wyliczanie nowego kursu – wydłużone hamowanie i ostre wejście w atmosferę po przeciwnej stronie planety.

Dobrescu otworzył usta, by zaprotestować, ale Pahner uciszył go podniesieniem ręki.

–To właśnie zrobimy, chyba że ktoś będzie miał lepszy plan. Ma pan lepszy plan?

–Nie, sir – powiedział po chwili Dobrescu. – Ale z całym szacunkiem, nie podoba mi się pomysł ryzykowania życia Jego Wysokości i opierania się na zgadywaniu.

–Mnie również. Mimo to jednak tak właśnie zrobimy. Proszę się pocieszyć, że będziemy ryzykować również naszym życiem. Jeśli więc nie uda się nam, nie będziemy musieli tłumaczyć się Jej Cesarskiej Wysokości.

Kiedy na promach zapanowała nieważkość i minęło ryzyko zestrzelenia przez krążownik, żołnierze zaczęli latać po całej ładowni, zapinać się w swoje bezgrawitacyjne hamaki i odpoczywać. Trzy dni na promie bez konieczności robienia czegokolwiek oprócz spania to był dla większości doświadczonych marines po prostu raj. Kiedy jednak moment lądowania zaczął się zbliżać, założono wszystkie hamaki, luźno rozłożony sprzęt zabezpieczono, a żołnierze przypięli się pasami i spoważnieli.

Te trzy dni były miłym przerywnikiem i wszyscy czuli się wypoczęci.

Oczywiście wciąż trzeba było uporać się z kilkoma sprawami.

–Chwilunia – powiedział Julian, kiedy prom wszedł w zewnętrzną warstwę atmosfery. – Chcesz powiedzieć, że oni myślą, że tam jest gdzie wylądować?

–Mniej więcej – uśmiechnęła się Despreaux. – Wygląda na to, że jest, ale wiesz, nie mamy najlepszych map w galaktyce.

–O, po prostu świetnie! – powiedział Julian, wsadzając sobie na głowę hełm.

Prom zaczął dygotać i rzucać.

–Słucham? – Despreaux wskazała ręką na ucho i sięgnęła po własny hełm. – Chyba nie dosłyszałam.

–Powiedziałem – Julian włączył zewnętrzny głośnik skafandra – że to po prostu, kurwa, świetnie!

–O co ci chodzi? – Despreaux zamocowała hełm i włączyła własne głośniki. – To po prostu kolejny dzień w marines.

–Zaciągnąłem się do Pułku właśnie po to, żeby uniknąć takiego gówna – prychnął Julian i wcisnął się głębiej w plastikowy kokon, kiedy prom znów szarpnął. – Gdybym lubił bojowe zrzuty na wrogie planety pod komendą szaleńców, zostałbym w Szóstej Flocie.

Despreaux roześmiała się.

–O, Zeusie, to dobre! Byłeś w Szóstej?

–Tak jest, pod admirałem Helmutem, Mrocznym Lordem Szóstej[1]. – [Julian potrząsnął głową. – To dopiero była postać. Zabijał wzrokiem.](#)

Despreaux uśmiechnęła się i zmrużyła oczy, kiedy prom znów szarpnął.

–Przecież ty to kochasz.

–Jak cholera! – krzyknął Julian. Ryk wejścia w atmosferę wypełnił ładownię i przybierał na sile. Plutonowy przez chwilę próbował wydostać spomiędzy zębów okruch jedzenia, po czym nagle rozejrzał się dookoła zdziwionym wzrokiem.

–Wydaje mi się, czy schodzimy trochę szybciej niż zwykle?

*** * ***

–Schodzimy za ostro! – krzyknął Bann.

Jego ręka drgnęła, gotowa w każdej chwili wyłączyć systemy automatycznego wejścia w atmosferę, gdyby komputer sobie nie poradził.

–Zostań na kursie – powiedział spokojnie Dobrescu. – Schodzimy prawidłowo, tylko trochę trzęsie.

–Przekraczamy parametry! – wrzasnął Bann.

Wydawało się, że Prom Czwarty za chwilę się rozpadnie, a rezerwa paliwa do manewrowania już się skończyła. Pilot mógł jedynie mocno się trzymać i mieć nadzieję, że wahadłowiec się nie rozleci.

–Mam tu przegrzanie na wszystkich powierzchniach i ostrzeżenie o naprężeniach skrzydeł!

–Przekraczamy liczby z podręcznika – przyznał Dobrescu, kiedy jego toots wyświetlił mu przed oczami rząd liczb.

Wszystkie wskazania były na żółtym polu, ale po ponad dwóch tysiącach zrzutów w warunkach bojowych i treningowych starszy chorąży miał o wiele lepsze wyczucie realnych możliwości promów niż gryzipiór, który pisał podręcznik.

–Komputer tego nie lubi, ale wskazania nie są wcale takie wysokie. Będzie dobrze.

–To szaleństwo!

–Hej, to ty powiedziałaś „spróbujmy z jeziorami” – zachichotał złośliwie Dobrescu, po czym wrzucił ramionami. – Wolałbyś dać do siebie postrzelać nosicielowi? – spytał już łagodniej. Nie było odpowiedzi. – Więc zamknij się i czekaj.

*** * ***

Promy przemknęły nad wschodnim oceanem z pięciokrotną prędkością dźwięku, a grzmot ich przelotu odbił się od obojętnych morskich fal. Równomiernie wytracały

szybkość, a przed nimi na horyzoncie pojawiły się szczyty gór, które zamieniły cały region w suche pustkowię. Promy wysunęły skrzydła, walcząc o prędkość i siłę nośną, które pozwoliłyby im dotrzeć do wyznaczonych lądowisk, a twarze pilotów nabrały zaciętego i ponurego wyrazu.

Wahadłowce były przeładowane, więc mimo wysuniętych skrzydeł i przy maksymalnym wznoszeniu istniało ryzyko, że po prostu spadną. Musiały zachować odpowiednią wysokość, przelecieć nad górami, a jednocześnie utrzymać ściśle wyliczony kurs. Zejście do lądowania miało być niezwykle ostre i trudne.

Prom Cztery przeleciał zaledwie dziewięć metrów nad szczytem ostatniego urwiska, a chorąży Bann zawył radośnie.

–liihaa! To na pewno wyschnięte jezioro!

Połyskliwa biała sól wyściełająca dno jeziora odbijała promienie mocnego słońca klasy G-9 niczym lustro. Wizjery hełmów pilotów automatycznie pociemniały, a oni sami zaczęli gorączkowo przeglądać wyświetlane na nich odczyty instrumentów.

Niebezpieczeństwa lądowania na salinach były tak stare jak samo latanie. Płaskie białe równiny były świetnymi lotniskami, miały tylko jedną wadę – zakłócały perspektywę. Nie mając poczucia wysokości, pilot nie był z reguły w stanie określić, czy wyląduje, czy wybije w ziemi wielką paskudną dziurę. Rozwiązaniem problemu okazała się oczywiście technika, dlatego też piloci promów wciągnęli głowy do wnętrza skafandrów niczym żółwie i wyłączyli wszystko, z wyjątkiem odczytów wskaźników. Radarowe i Udarowe odległościomierze podawały prędkość wiatru, prędkość względem ziemi, kąt nachylenia lotu i miriady innych zmiennych, które stanowiły o różnicy między udanym lądowaniem a rąbnięciem w ziemię na podobieństwo meteorytu. Tak czy inaczej, każdy pilot kontrolował wszystkie systemy, mając nadzieję, że żaden demon nie uniesie w ostatniej chwili łba, by zamienić zwycięstwo w porażkę.

Starszy chorąży Dobrescu sprawdził instrumenty, przyjrzał się wyliczonemu przez komputer kątowni podejścia i potrząsnął głową. Prawie im się udało. Przestał mieć nadzieję na jakiegokolwiek rozsądne lądowanie w momencie, kiedy ujrzał nosiciela Świętych, teraz jednak wyglądało na to, że cała kompania bezpiecznie znajdzie się na ziemi.

Wtedy dopiero zacznie być ciężko.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Julian otworzył hełm, wciągnął odrobinę powietrza i skrzywił się, kiedy gorąco wyparło resztki chłodu z klimatyzatora pancerza.

–Chryste, ale upał!

Krople potu, które natychmiast pojawiły się na jego skórze, równie szybko zniknęły. Oślepiający blask słonych równin mieszał się z lekkim suchym wiatrem, a temperatura wynosiła co najmniej czterdzieści dziewięć standardowych stopni – ponad sto dwadzieścia w przestarzałej skali Fahrenheita, wciąż używanej na niektórych zacofanych planetach.

–Huhu, robi się coraz fajniej.

Zachichotał niewesoło. Stojąca obok niego kapral Russel przytrzymała granatnik w zgięciu ramienia i otworzyła swój hełm.

–Rany! Jak w piecu!

Dookoła widać było jedynie cztery promy, rozrzucone na odcinku mniej więcej kilometra, puste saliny i odległe góry. Drużyna Juliana, jako jedyna posiadająca wspomagane pancerze, pierwsza opuściła promy. Dziesięciu żołnierzy rozproszyło się ze skanerami ustawionymi na maksimum, ale wykrywali jedynie małe ilości mikroorganizmów. Saliny były pozbawione życia jak powierzchnia księżyca, a właściwie nawet bardziej.

Julian wysłał polecenie do swojego tootsa i przełączył się na częstotliwość dowództwa kompanii.

–Kapitanie Pahner, moja drużyna nie wykryła wrogich zwierząt, roślin ani istot myślących. Teren wygląda na czysty.

–Rozumiem. – Głos kapitana był suchy jak wiatr na twarzy Juliana. – Dlatego właśnie zdjęliście hełm?

Plutonowy wypchnął policzek językiem i zastanowił się.

–Staram się po prostu używać wszystkich możliwych układów sensorycznych, sir! Czasami węch działa tam, gdzie cała reszta zawodzi.

–To prawda – powiedział spokojnie kapitan. – Załóżcie hełm z powrotem i rozstawcie ludzi. Reszta trzeciego wyjdzie jako wsparcie. Kiedy zajmą pozycje, cofniecie się do rezerwy.

–Tak jest, sir.

–Pahner, bez odbioru.

–W dupę kopane.

Poertena rzucił skrzynkę granatów na stos, otarł pot z twarzy i rozejrzał się dookoła. Mówił cicho, ale Despreaux go usłyszała i prychnęła, odhaczając pozycję na liście. Mimo upału wyglądała, jakby stała po kolana w śniegu.

–Nie martw się – powiedziała. – Prawie skończyliśmy rozładunek. Zabawa dopiero się zacznie.

Poertena zrobił zęza, charakterystycznego dla kogoś, kto właśnie konsultuje się ze swoim tootsem.

–W dupę... Robimy to od kilku godzin! – Spojrzał na horyzont. Słońce było jeszcze całkiem wysoko. – Kiedy wreszcie zajdzie?

–Dzień jest długi, Poertena – powiedziała Despreaux z chłodnym uśmiechem. – Trzydzieści sześć godzin. Do zmierzchu mamy jeszcze prawie sześć.

–Kurwa – wymamrotał Poertena. – Do dupy.

* * *

–A co w tym wszystkim będzie najgorsze?

Kapral Lipinski oskarżycielsko skierował swoje pytanie do całego wszechświata mocując spory prostokąt folii słonecznej na wierzchu swojego plecaka. Dostali ją wszyscy żołnierze kompanii. Miała doładowywać potężne, nadprzewodnikowe akumulatory zasilające sprzęt. Chociaż zgromadzonej w ten sposób energii w żadnym razie nie wystarczyłoby do zapewnienia działania wszystkim kompanijnym śrutownicom, karabinom plazmowym i wspomaganym pancerzom, było jej dość, by działały komunikatory i czujniki.

–Co? – zapytała starszy kapral Eijken.

Grenadier Sekcji Bravo szarpnęła za taśmę amunicyjną wiszącą na jej ramieniu. Przy jej złym ułożeniu granaty potrafiły się zacinać w komorze, a tego naprawdę wolała uniknąć... Mieli przed sobą długi marsz przez paskudną okolicę. To było już pewne.

Kompania wyładowywała sprzęt i szykowała się do wyruszenia przez resztę dnia i cały wieczór. Kiedy zaszło słońce, spadła temperatura – w okolicach miejscowej północy było już grubo poniżej zera. Mimo maskujących koców noc strasznie się ciągnęła, a większość żołnierzy przypomniawszy sobie, dlaczego zaciągnęli się do Pułku. Jednym z powodów był na pewno prestiż, ale drugim to, że nie musieli kulić się pod cienkimi okryciami na mrozie i spać na ziemi, twardej jak płyta lądowiska

statków międzyplanetarnych.

Na nogi postawiono ich przed świtem. Zaczęli ładować plecaki i torby, układać zapasowy sprzęt na noszach i przygotowywać się do wymarszu. Kiedy wstało słońce, mróz ustąpił, zapowiadało się jednak na kolejny upalny dzień. Dlatego też wszyscy klęli, mimo że byli zaprawionymi w bojach żołnierzami.

–Najgorsze w tym wszystkim będzie to – odparł Lipinski – że będziemy musieli taszczyć wszystkie jego rzeczy.

Ruchem głowy ostrożnie wskazał księcia. Eijken wzruszyła ramionami.

–Nie jest tego aż tak dużo, jak się to rozdzieli między całą kompanię. Cholera, byłam w kompaniach, gdzie oficerowie kazali nosić swoje rzeczy kompanijnym pisarzom.

–Jasne – zgodził się cicho Lipinski. – Ale to nie były dobre kompanie, prawda?

Eijken otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale umilkła. Despreaux skończyła pogadankę z podoficerami i szła w ich stronę.

–Towarzystwo – rzuciła grenadier i razem z Lipinskim potruchtała w stronę plutonowej, która gestem kazała zebrać się swojej drużynie. Despreaux zaczęła, aż wszyscy się zbiorą, po czym wyciągnęła ssawkę pojnika.

–W porządku, pić.

Pęcherze z wodą były integralną częścią bojowej uprząży maskującego kombinezonu. Elastyczny plastikowy worek znajdował się na plecach żołnierza, pod plecakiem. Mieścił sześć litrów wody i wyposażony był w niewielki, ale wydajny system chłodzenia, zasilany mechanicznie przy pomocy sprzężenia zwrotnego. Dopóki żołnierz się poruszał, system działał. Woda nie była wprawdzie lodowato zimna, ale przynajmniej o kilka stopni chłodniejsza od otoczenia, a to czasami wystarczyło, żeby orzeźwić.

–Ehm, muszę iść po swój – powiedział Lipinski.

Plutonowa Despreaux zaczęła, aż kapral i szeregowiec z Sekcji Bravo przyniosą swoje uprząże. Pozostali napili się ze swoich pęcherzy. Kiedy wszyscy znów się zbrali, Despreaux popatrzyła na nich spokojnym wzrokiem.

–Następnym razem, kiedy zobaczę kogoś bez uprząży – powiedziała i zerknęła na pusty pęcherz jednego z operatorów plazmówki – albo z pustym pęcherzem, podam tego kogoś do raportu. Wasze nanity utrzymają was na nogach nawet w stanie odwodnienia, ale tylko do czasu.

Znów rozejrzała się po drużynie, po czym wzruszyła jednym ramieniem. Tym, na którym wisiał jej karabin.

–Podam was też do raportu, jeśli jeszcze raz zobaczę kogoś bez broni. Nic nie wiemy o tej planecie, a dopóki czegoś się nie dowiemy, będziemy ją traktować jak nieprzyjazną. Zrozumiano?

Pokiwała głową, słysząc chóralny pomruk potwierdzenia.

–Kapitan powie kilka słów przed wymarszem. Zbierzcie swoje sekcje i pakujcie się. Ruszamy za piętnaście minut. Macie wypić wszystko z pęcherzy i napełnić je ze zbiorników promów. Kiedy wymaszerujemy, macie wszyscy bulgotać. – Rozejrzała się jeszcze raz. – Powtórzmy to sobie. Pić?

–Wodę – odpowiedziała drużyna nieskładnym chórem, uśmiechając się.

–Kiedy?

–Zawsze.

–Ile?

–Dużo.

–I nosić...?

–Broń.

–Kiedy?

–Cały czas.

–Bardzo dobrze. – Despreaux uśmiechnęła się promiennie. – Wasz dowódca może być z was dumny.

Mrugnęła porozumiewawczo i ruszyła w stronę sierżant Kosutic.

*** * ***

Kosutic poczekała, aż zbiorą się dookoła niej wszyscy podoficerowie kompanii, i uniosła brew. – I jak?

–Tak, jak pani mówiła – powiedział Julian, pociągając łyk wody z pęcherza zbroi. – Nikt nie wypił całej wody. Tylko kilkoro uzupełniło zapas.

–To samo u mnie – dodał Koberda. – Można by pomyśleć, że wreszcie się tego

nuczą. To przecież weterani, a wszyscy przeszliśmy przez RIP. Cholera, większość z nas była w jednostkach Raidersów! I ciągle to samo.

–Aha – Kosutic kiwnęła głową. – Jak u ciebie z wodą, George?

–Co? – Koberda poklepał się po plecach. – Och.

Jego pęcherz był prawie pełny. Kosutic zachichotała, kiedy wsunął sobie do ust rurkę do picia.

–To będzie długa misja, Na Jego Niegodziwość – powiedziała, drapiąc się w ucho. – Musimy wyrobić sobie odpowiednie nawyki na samym początku. Większość waszych ludzi uważa, że są twardzi. Cholera, są. Ale twardym można być na różne sposoby, a szczerze mówiąc, oni nie nadają się do czegoś takiego. Do takiej operacji wolałabym mieć oddział najemników ze światów pogranicza. Przyzwyczailiśmy się, że wszystko dostajemy na tacy, że do nas należy tylko wylądować, skopać komu trzeba tyłki, i do domu. Tu chodzi o przetrwanie przez kilka miesięcy. Do tego nie jesteśmy przygotowani.

Żołnierze szybko się zmęczą. Nie będą chcieli jeść. Nie będą chcieli pić. Nie będą uważać. Na Jego Podłość, nie będzie im zależało.

Dlatego wy będziecie ich niańkami. Będziecie ich zmuszać do jedzenia i picia. Będziecie dbać o ich higienę. Będziecie pilnować, żeby nie przestali być czujni.

Niech żołnierze wypatrują przeciwników. Wy, dowódcy drużyn i sierżanci, macie uważać na swoich ludzi.

–A ja będę mieć oko na was! – dokończyła ze śmiechem. – A teraz pić!

*** * ***

–Pił pan coś rano, Wasza Wysokość? – zapytał Pahner, przyglądając się, jak książkę rozpakowuje swoją broń.

Karabin byłby powodem do kłótni, gdyby Armand Pahner miał jeszcze siłę spierać się o drobiazgi. Nie miał nic przeciwko karabinowi jako broni myśliwskiej: Parkins and Spencer kalibru jedenaście milimetrów magnum był brylantem wśród wielkokalibrowych sztucerów. Fakt, w porównaniu ze śrutownicami przypominał muszkiet, ale ze swoim przełączanym trybem prowadzenia ognia – półautomatycznym i powtarzalnym – był efektem prawie tysiąca lat doświadczeń. Duży, napędzany chemicznie pocisk charakteryzował się wspaniałą siłą penetracji i prędkością wylotową. W rękach doświadczonego strzelca karabin miał skuteczny zasięg blisko dwóch kilometrów dzięki zamontowanemu holograficznemu celownikowi Intervalle o maksymalnym pięćdziesięciokrotnym powiększeniu.

Przy wszystkich swoich zaletach był jednak niesamowicie ciężki – ważył prawie piętnaście kilo – i używał niestandardowych pocisków z mosiężną łuską, co oznaczało, że książę nie mógł wymieniać się amunicją z innymi. Po wyczerpaniu własnych zapasów miał mu zostać potwornie drogi ciężki kij.

Armand Pahner jednak nie miał już zamiaru wyklócać się z aroganckim młodym fiutem. Przynajmniej o większość rzeczy.

–Jakiś czas temu – odparł Roger, potrząsając głową i wciskając magazynek w orzechową kolbę.

–Czy mogę w takim razie zasugerować, żeby Jego Wysokość napił się wody? – powiedział Pahner przez zaciśnięte zęby.

Wiedział, że książę ma wszczepione takie same nanity i tootsy jak jego obstawą oraz kilka takich, których oni nie mieli, ale mimo to potrzebował wody.

–Może pan zasugerować – odparł Roger z lekkim uśmiechem. – A ja to nawet zrobię, za chwilę. Najpierw jednak złożę swój karabin.

–Bardzo dobrze, Wasza Wysokość – powiedział Pahner, odetchnąwszy głęboko. Upał robił się coraz większy. – Za kilka minut wyruszamy. – Uśmiechnął się słabo. – Na słoneczne równiny Marduka.

–Zaraz przyjdę. – Książę zerknął na kapitana.

Nie zrozumiał jego ostatniego zdania, ale miał na głowie inne rzeczy. Zaczął pakować amunicję do kieszeni bojowej kamizelki. Pociski długości męskiej dłoni miały pokryć całą jego uprzęż jak zbroja. Na ziemi leżała ładownica, a w nogawki kombinezonu wszyte były pętle na pociski. Książę zamierzał cały obwiesić się pociskami.

Miej nas, Panie, w swojej opiece, jeśli trafi go zabłąkana kula, pomyślał Pahner.

* * *

Pahner spojrzał na Poertenę. Mechanik leżał w cieniu pod obciążonym siatką maskującą skrzydłem promu. Kapitan wiedział, że większość żołnierzy sarkąła na konieczność naciągania siatki i mocowania jej kołkami do ziemi, ale był nieugięty. Kadłuby i skrzydła wahadłowców były widoczne z daleka. Dopóki miała zasilanie, programowalna powłoka zapewniała lepszy aktywny kamuflaż niż maskujący kombinezon czy nawet wspomagany pancerz. Jednak mimo że jej pobór mocy nie był duży, w końcu jednak musiał wyczerpać akumulatory, a wtedy promy byłyby widoczne jak słonie na polu golfowym dla każdego, kto przelatowałby nad nimi i akurat spojrzał w dół. Nawet gdyby do tego nie doszło, najlepsze powłoki maskujące

nie mogły nic poradzić na rzucany cień, dlatego kapitan kazał rozciągnąć sieci, które nie tylko ukryłyby promy po wyczerpaniu się akumulatorów, ale też zniekształcały nienaturalnie ostre kontury kadłubów i skrzydeł, a co za tym idzie, kontury rzucanych przez nie cieni.

Roger, jak można było się spodziewać, uznał to za stratę czasu, chociaż miał na tyle taktu, żeby powiedzieć to Pahnerowi na osobności zamiast przy żołnierzach. Kapitan miał wielką ochotę zapytać, dlaczego książę tak narzeka, skoro to nie on ma rozciągać sieć, ale po krótkim zmaganiu się ze sobą nie zrobił tego. Mieli już za sobą sprzeczkę o całodobowy nasłuch na wszystkich częstotliwościach. Jeden żołnierz monitorowałby je przy użyciu zamontowanej w hełmie aparatury komunikacyjnej, nie nadwątliliby to więc ich zasobów siły ludzkiej. Mimo to książę nie krył swojego zdania, że zawracanie sobie głowy transmisjami radiowymi, kiedy od jedynej enklawy technologicznej dzieliła ich cała planeta, to bezsens. Pahner nie miał wątpliwości, że Roger uznał go za nieuleczalnego paranoika.

Na szczęście kapitan nie przejmował się zdaniem księcia o sobie, a argumenty Rogera nie wpłynęły na zmianę jego zdania co do nasłuchu i maskujących sieci. Książę miał bez wątpienia rację twierdząc, że szansa na to, że ktoś będzie leciał dość nisko, by zauważyć promy po przeciwnej stronie planety niż jedyny port i lotnisko, była praktycznie zerowa. Pahner jednak nie miał w zwyczaju narażać swoich ludzi i powodzenia swojej misji na ryzyko, którego dało się uniknąć, nawet jeśli oznaczało to dodatkowy wysiłek i kogoś irytowało.

Niesamowite było też, jak zmieniło się nastawienie żołnierzy, kiedy wzeszło słońce okazało się, że sieci maskujące dają świetny cień wszystkim, którzy potrafili wymyśleć powód, żeby pod nie wejść, jak na przykład Poertena. Mechanik wyglądał na nieprzyzwoicie zadowolonego i chrapał, oparłszy głowę na ogromnym plecaku. Kapitana zastanowiło, co w nim jest. Podszedł i kopnął Pinopańczyka w but. Poertena otworzył oczy i zerwał się na równe nogi.

–Tak jest, panie kapitanie?

–Zbierzcie wszystkich, narada dowódców. Tu i teraz.

–Tak jest, panie kapitanie – potwierdził Poertena i potruchtał z karabinem na ramieniu w stronę zebranych wokół Kosutic podoficerów,.

Pahner odwrócił się i spojrzał w stronę odległych gór. Na niższych partiach zboczy widać było drzewa.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wrzecionowate drzewa były bardzo wysokie. W niższych ich partiach widać było ślady po wyłamanych gałęziach, ale pierwsze prawdziwe konary wyrastały dopiero jakieś dwadzieścia metrów nad ziemią. Od tego miejsca korona stopniowo się rozszerzała, sięgając kolejne dziesięć, dwadzieścia metrów w górę, co nadawało drzewom kształt ogromnych muchomorów. Korę miały szarą i gładką, ale niektóre pnie poznaczone były rysami sięgającymi niemal samych koron.

Roger spojrział w górę spod podniesionej przyłbicy hełmu i potrząsnął głową.

–Zły znak. Ślady pazurów – powiedział. Na sieci taktycznej żołnierze wymieniali uwagi o rysach, ale książę wciąż miał problemy ze zrozumieniem, o czym wszyscy mówią... Teraz, kiedy przyjrzał się drzewom, niektóre komentarze nabrały sensu.

–Słucham, Wasza Wysokość? – spytała Eleanora, zatrzymując się, by złapać kilka głębszych oddechów.

Tempo, które narzucił kapitan Pahner, nie było szybkie – wiedział, że nie należy gnać przed siebie w nieznanym terenie – ale w połączeniu z upałem zupełnie wykańczało kobietę, która praktycznie nigdy nie postawiła nogi poza miastem. Jak dotąd nadażala za kompanią marines, udawało jej się to jednak tylko dzięki żelaznej determinacji. Było oczywiste, że jest wyczerpana.

Maszerowali od prawie sześciu godzin, co pięćdziesiąt minut urządzając dziesięciominutowe postoje, jak nakazywał regulamin postępowania w takich warunkach. Większość tego czasu zajęło im pokonanie solnych równin, teraz zaś wkraczali na aluwia. W przeciwieństwie do salin, tutaj istniała jakaś roślinność, była ona jednak skromna, a stanowiące jej większość drzewa rosły w dużych odstępach. I były pokaleczone.

–Ślady pazurów – powtórzył Roger, w zamyśleniu podając uczonej opancerzone ramię. Książę pocił się obficie, ale nie wyglądał na szczególnie zmęczonego. Mogło to mieć coś wspólnego z faktem, że niósł mniej sprzętu niż reszta kompanii i miał na sobie wspomagany pancerz, przede wszystkim jednak wynikało z tego, że safari było jego ulubioną rozrywką.

Podróżował, tropił i uczył się łowiectwa w bardziej nieprzyjemnych i dzikich miejscach niż podejrzewała większość żołnierzy. Poza tym rzadko polował na zwierzynę, która nie polowała też na niego.

–Takie ślady na drzewach biorą się z dwóch rzeczy – wyjaśnił. – Robią je zwierzęta jedzące korę albo oznaczające własne terytorium. Gdybyśmy mieli do czynienia z jedzeniem kory, poznaczone byłyby wszystkie drzewa.

–A – wydyszała O’Casey – co to znaczy? – Wiedziała, że powinno to być oczywiste, ale nie miała siły myśleć w takim upale. Sprawdziła swój toots i stłumiła jęk. Dwadzieścia minut do postoj.

–To znaczy, że w okolicy mieszka coś, co oznacza własne terytorium – powiedział Roger, patrząc na sięgające wysoko nad jego głowę ślady. – Coś naprawdę, naprawdę dużego.

*** * ***

Starszy sierżant Kosutic obserwowała idącego na szpicy starszego szeregowego Berenta z drużyny Juliana. Kompania szła z dwoma plutonami przed drużyną dowodzenia i jednym za nią. Na przód wysunięto trzeci pluton jako jedyny posiadający drużynę w pancerzach. Szpica miała nie tylko ustawione na maksimum sensory zbroi, ale także ręczny skaner, bardziej czuły od systemów pancerza i również ustawiony na maksymalną czułość. Jak dotąd nie wykryła obecności drapieźników, o których wspominała krótka notka ekipy badającej planetę. Kosutic otworzyła usta, żeby skomentować to sierżantowi Jinowi, kiedy szpica podniosła zaciśniętą pięść. Niemał jak jeden człowiek cała kompania stanęła w miejscu.

*** * ***

–Jeśli wpadniemy na to, cokolwiek to jest – powiedziała Eleanora, łapczywie pijąc wodę – po prostu pozwólcie temu czemuś mnie zabić.

Nagle zdała sobie sprawę, że mówi do siebie i że cała kompania się zatrzymała.

–Roger? – powiedziała i obejrzała się za siebie.

*** * ***

Jedną czwartą wizjera hełmu Partnera zajmował przekaz tego, co widzi zwiadowca, a połowę ogólne dane kompanii i jej szyku. Pozostalej jednej czwartej używał do patrzenia, gdzie stawia stopy, w tej jednak chwili koncentrował się tylko i wyłącznie na tym, co przekazywały mu kamery pancerza szpicy.

Zwierzę, które wybiegło zza stosu głazów, było ciemnobrunatne, wysokości słonia w kłębie, lecz dłuższe i szersze. Z czoła sterczały mu dwa długie, lekko zakrzywione rogi, które wyglądały na przydatne do walki i rycia, kark zaś chroniła pancerna kryza. Potężne barki okrywała łuska, przechodząca w guzowatą skórę. Bestia miała sześć krótkich, podanych do przodu łap, i mięsisty ogon, którym wymachiwała na boki, galopując z lewa na prawo w poprzek szlaku marines. Biegając, ryczała wściekle na coś, co ścigała.

Kapitan przyglądał się jej zaledwie przez chwilę. Zwierzę wyglądało groźnie, ale

dokładniejsze oględziny potwierdziły jego przypuszczenia. Nie zobaczył kłów – kiedy bestia otwierała paszczę do ryku, widać było jedynie płaskie zęby do żucia. Zwierzę nie miało również długiej, gibkiej sylwetki, właściwej wszystkim drapieżnikom. Niewątpliwie należało na nie uważać, mogło też przysporzyć kłopotów, ale nie było mięsożerne i raczej nie powinno zaatakować kompanii.

–Wszystkie jednostki – powiedział Pahner, wiedząc, że tak komp w jego komunikatorze ustawi radio na nadawanie we wszystkich częstotliwościach. – Nie strzelać. To roślinożerca. Powtarzam, nie strzelać.

* * *

Na sieci trwała rozmowa. Chociaż brak doświadczenia w posługiwaniu się komlinkiem nie pozwalał Rogerowi dokładnie jej śledzić, rozumiał, skąd się wzięło podniecenie żołnierzy. Spojrzał na zwierzę i jego łapy. Wyglądały dość niezwykle jak na mieszkańca pustyni. Wyposażone były w pazury i błonę pławną jak u mięsożernych żab. Bestia była odpowiedniej wielkości i budowy, by to jej przypisywać ślady na okolicznych drzewach. Oczywiście było, że jest roślinożercą, tak jak oczywiście było to, że należy do stada, które oznaczyło okolicę jako swoje terytorium. Wystarczało to, by uznać ją za niebezpieczną, a Roger nie miał zamiaru pozwolić, by okrążyła kompanię i zaatakowała ją od tyłu jak afrykański bawół czy shastańska skalna ropucha, ani też dopuścić, by sprowadziła resztę stada i stratowała ich na miazgę.

Podniósł karabin do ramienia i odetchnął. Prowadź lufę za celem, naciskaj łagodnie, pomyślał.

* * *

Pahnerowi opadła szczęka, kiedy olbrzymie zwierzę zwinęło się w biegu, obróciło i runęło na bok, wzniesając chmurę kurzu i żwiru. Ziemia zadrżała od uderzenia. Bestia kłapnęła kilka razy paszczą, rzucała się przez kilka sekund i znieruchomiała. Kapitan patrzył na nią jeszcze przez chwilę, czując, jak wzbiera w nim wściekłość, po czym nabrał powietrza.

–Kto, do cholery, strzelił?! – Na wszystkich sieciach panowała całkowita cisza, – Kto strzelił, pytam?!

–Jego Wysokość – powiedział Julian z wyraźną ironią.

Pahner uciszył szemranie na sieci dowódców drużyn i odwrócił się do Rogera, stojącego z opartym na udzie dymiącym karabinem. Parkins and Spencer ustawiony był w tryb powtarzalny. Na oczach Pahnera księżę odciągnął rygiel i złapał w locie pustą łuskę. Z kamizelki wyjął nowy nabój, wsunął go do komory, a na jego miejsce wcisnął zużyty. Jego ruchy były precyzyjne, ale nieco zbyt gwałtowne i sztywne.

Kiedy skończył, sięgnął do hełmu i wyłączył maskujący tryb przyłbicy, żeby spojrzeć Pahnerowi w oczy.

Kapitan podszedł do niego i przełączył ich obu na częstotliwość dowodzenia.

–Wasza Wysokość, czy możemy pomówić?

–Oczywiście, kapitanie Pahner – odparł sardonicznie książę.

Pahner rozejrzał się, ale dookoła nie było żadnego miejsca, gdzie mogliby porozmawiać na osobności, przełączył więc przyłbicę Rogera z powrotem w tryb maskujący.

–Wasza Wysokość – zaczął, po czym wziął głęboki, uspokajający oddech. – Wasza Wysokość, czy mogę zadać panu pytanie?

–Kapitanie Pahner, zapewniam pana...

–Wasza Wysokość, za pozwoleniem – przerwał Pahner zduszonym głosem. – Czy. Mogę. Zadać. Panu. Pytanie?

Roger uznał, że nie należy przeciągać struny.

–Tak.

–Czy chce pan przeżyć i wrócić na Ziemię? – zapytał kapitan, a Roger zastanowił się dokładnie, zanim odpowiedział.

–Czy to groźba, kapitanie?

–Nie, Wasza Wysokość, to pytanie.

–W takim razie tak, oczywiście chcę – odparł krótko książę.

–Więc proszę wbić sobie do swojego szlachetnie urodzonego, pustego łba, że nie przeżyjemy, jeśli będzie mnie pan ruchał w tyłek przy każdej sposobności!

–Kapitanie, zapewniani... – zaczął książę stanowczym tonem.

–Zamknij się! Zamknij się, zamknij się! Może mnie pan zwolnić, kiedy wrócimy na Ziemię! A ja nie każę pana związać i całą drogę nieść, chociaż w tej chwili to chyba dobry pomysł! Ale jeśli nie dotrze do pana, że nie jesteśmy na wycieczce w lesie, na której może pan strzelać do wszystkiego co się rusza i nie ponosić żadnych konsekwencji, wszyscy zginiemy! A to naprawdę by mnie wkurwiło, bo oznaczałoby, że nie uda mi się dostarczyć pana na Ziemię i oddać matce w jednym zasranym kawałku. Tylko to mnie interesuje, więc jeśli nie zacznie pan robić tego co należy,

każę pana uśpić i zanieść do portu nieprzytomnego na noszach! Czy to absolutnie, całkowicie, bezdyskusyjnie jasne?!

–Jasne – odparł cicho Roger.

Zrozumiał, że nie ma szans wytłumaczyć się rozwścieczonemu kapitanowi. Zdał sobie też sprawę, że ponieważ mieli włączone maskowanie hełmów i rozmawiali na zastrzeżonej częstotliwości, nikt inny nie słyszał jaki opieprz książę dostał.

Pahner zamilkł i rozejrzał się po otaczającym ich pustkowiu. Wyglądało płasko, ale kapitan wiedział, że dookoła jest mnóstwo niewielkich zagłębień, w których mogą czaić się wrogowie albo drapieżniki. Cała wielomiesięczna podróż miała tak wyglądać i wszyscy marines o tym wiedzieli, w przeciwieństwie do cywilów, których ochraniali. Kapitan potrząsnął głową i przełączył się na częstotliwość ogólną.

–W porządku, przedstawienie się skończyło. Ruszamy.

Świetnie. Po prostu wspaniale. Tylko tego potrzebował oddział w takiej sytuacji – oczywistej kłótni między dowódcami na samym początku.

*** * ***

–Huhuhu – szepnął Julian do mikrofonu swojego pancerza. – Chyba książę właśnie dostał opieprz.

–Założę się, że Pahner nawet nie zapytał, dlaczego strzelił – odparła Despreaux.

–Bo wie, dlaczego strzelił – odparował Julian. – Myśliwy zobaczył grubego zwierza. Czas wypróbować karabin.

–Może – przyznała plutonowa. – Ale on naprawdę jest myśliwym i często miał do czynienia z wielkimi, paskudnymi bestiami. Cholera, to jego hobby. Może wiedział coś, czego nie wie Pahner.

–Kiedy odkryjesz coś, czego Stary nie wie – skomentował Julian – daj mi znać. Tylko przynieś Carstim, bo dostanę ataku serca.

–Myślem, że po prostu lubi zabijać – powiedział Poertena.

Dotarli już do ścierwa wielkiego roślinożercy i mechanik dokładnie mu się przyjrzał. Stanowiło wspaniałe trofeum dla każdego myśliwego.

Despreaux spojrzała na Pinopańczyka. Mimo wielkiego plecaka, z którym wyglądał jak dźwigająca kamień mrówka, podszedł do nich tak cicho, że nie zauważyli jego obecności.

–Naprawdę tak myślisz?

–Jasne. Słyszałem o jego trofeach – powiedział Poertena, pociągając wody z rurki. – Mnóstwo ich ma. Lubi zabijać – powtórzył.

–Może – westchnęła Despreaux. – Jeśli tak jest, miejmy nadzieję, że nauczy się kontrolować.

–To się okaże przy następnym kontakcie – powiedział Julian.

–Kontakt! – krzyknęła szpica.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kosutic pokazała coś przed sobą lufą śrutownicy.

–Trzech ludzi kryje jednego szumowiniaka – powiedziała do żołnierza, obok którego przechodziła. – Pilnuj swojego własnego sektora, na Szatana.

–...pojawił się znikąd – mówił szpica, kiedy sierżant podeszła do zbiegowiska. Starszy szeregowy pomachał anteną czujnika w kierunku szumowiniaka. – Proszę spojrzeć, brak odczytu!

–Po to właśnie masz oczy! – warknął sierżant Jin.

Spojrzał na stojącego przed nimi szumowiniaka i wzdrygnął się. Dopóki szpica nie krzyknął, też go nie widział.

Mardukanin miał prawie dwa i pół metra wzrostu. Z jednej strony zasłaniała go – to na pewno był „on” – tarcza prawie tej samej wysokości. Na ramię zarzucił włócznię, jeszcze dłuższą, a głowę okrył dużą skórzaną płachtą. Najwyraźniej próbował w ten sposób osłonić się przed słońcem, a oczywiste było, że tego potrzebował. Zważywszy, że Mardukanie pokryci byli wodnistym śluzem, fakt jego dotarcia do samej krawędzi salin był zdumiewający. Dawno powinien był umrzeć z odwodnienia.

Kosutic zarzuciła karabin na ramię w sposób podobny do tego, w jaki Mardukanin niósł włócznię, minęła trzech żołnierzy trzymających obcego na muszce i wyciągnęła rękę wnętrzem dłoni do przodu. Nie był to uniwersalny gest pokoju, ale prawie wszędzie oznaczał to samo.

Mardukanin zabelkotał coś do niej, a ona pokiwała głową. Gest ten nie znaczył dla niego więcej niż dla niej jego machanie rękami w kierunku rogatej bestii. Mógł być wściekły, że zabili jego ulubieńca, albo szczęśliwy, że uratowali mu życie. Toots sierżant spróbował translacji, ale bezskutecznie. Lokalny dialekt był zupełnie niepodobny do pigułki pięciuset słów, którą załadowali do implantów.

–Potrzebna mi tu szybko O’Casey – wymruczała Kosutic do mikrofonu na szyi.

–Już idziemy – odpowiedział Pahner. – Razem z Jego Wysokością.

Kosutic znów podniosła rękę i zerknęła przez ramię. Zobaczyła dwie śrutownice i karabin plazmowy, wymierzone w najwyraźniej pokojowo nastawionego gościa.

–Opuścić broń, marines, ale miejcie ją pod ręką. Obróciła się słysząc chrzęst żwiru i uśmiechnęła do grupki nadchodzącej ze środka obozu. Drobną naczelniczka świty była niemal niewidoczna z za masywnych pancerzy Pahnera i Rogera. Księcia

otaczała drużyna z Drugiego Plutonu. Żołnierze wyglądali, jakby byli gotowi stawić czoło całemu światu. Tak czy inaczej, nadeszła dobra pora na zniknięcie. Kosutic ukloniła się gościowi i wycofała, ciekawa, jak wszystko się potoczy.

* * *

Eleanora O'Casey nie była zawodowym lingwistą. Tacy ludzie posiadali nie tylko specjalnie zaprojektowane implanty, lecz również zdolności językowe, które w połączeniu z działaniem tootsów pozwalały osiągnąć niedostępną dla samego oprogramowania jakość przekładu. Ona musiała polegać na zwyczajnym programie językowym i ogólnej wiedzy na temat gatunków myślących. Sytuacja nie przedstawiała się różowo.

W okolicach portu znakiem pokoju był ukłon z wykorzystaniem czterech ramion. Niestety, miał on wiele drobnych niuansów – żadnego z nich nie wytłumaczono zbyt dobrze w opisie – a do tego O'Casey miała tylko dwie ręce.

Do dzieła.

* * *

D'Nal Cord przyjrzał się stojącej przed nim małej istocie. Wszystkie stworzenia tego plemienia – wyglądali jak *basik*, z dwójgiem ramion i kołyszącym sposobem chodzenia – były małe i najwyraźniej słabe. Większość z nich jednak wtapiała się w tło, jakby była jego częścią. Działo się tak prawdopodobnie za sprawą ich dziwacznych strojów, ale i tak efekt był niepokojący. Poza tym swoją bronią lub magią zabili *flar*. Obie te rzeczy były oznakami wielkiej potęgi, a ponieważ *flar* prawie go już miał, oznaczały również dług *asi*. W jego wieku...

Istota skłoniła się w niemal właściwy sposób i zagulgotała coś w dziwnym, gardłowym języku, różnym od tego, w jakim stworzenia porozumiewały się między sobą.

–Szukam tego, który zabił *flar* – odparł Cord, wskazując agresywnego roślinożercę. W ciągu dnia bestia zakopywała się w piasku, a on był oślepiiony odbitym światłem Artac, wyczerpany gorącem i suszą, a także, prawdę mówiąc, czuł swoje lata. Nie zauważył wgłębienia wokół wystającego na powierzchnię wyrostka do oddychania. Przeżył tylko dlatego, że trafił na samotnego byka bez stada krów, które pomogłyby mu go zabić. Oraz dlatego, że bezinteresownie pomógł mu nieznajomy.

Niech go cholera.

Drobna istota na przedzie znów przemówiła.

–...zabić... *flar*...

Tym razem Cord postanowił mówić wolno i wyraźnie.

–Szukam... tego... kto... zabił... *flar*. Tego samotnego byka, który tam leży, ty mały, głupi *basik*.

* * *

–Cholera, potrzebuję drugiej osoby – zaklęła Eleanora przez zaciśnięte zęby. Położyła sobie dłoń na piersi. – Ja... Eleanora.

Pokazała na Mardukanina, mając nadzieję, że ją zrozumie.

Szumowiniak znów coś do niej zagulgotał i zamlaskał. Wydawał się coraz bardziej poruszony. Nic dziwnego – jak dla niego było strasznie sucho i gorąco. Eleanorze nasunęło to pewien pomysł.

–Kapitanie Pahner – odwróciła się do oficera. – To trochę potrwa. Możemy rozstawić coś, co osłoni go przed słońcem?

Kapitan spojrzał na niebo i sprawdził swój toots.

–Mamy jeszcze trzy godziny dnia. Nie powinniśmy zatrzymywać się na noc.

Eleanora zaczęła protestować, ale księżę uciszył ją podniesieniem dłoni i odwrócił się do Pahnera.

–Musimy się z nim porozumieć – powiedział, ruchem głowy wskazując szumowiniaka. – Nie uda nam się, jeśli on nam tu umrze z gorąca.

Pahner wciągnął powietrze i rozejrzał się, kiedy nagle zrozumiał, że księżę mówił do niego na częstotliwości dowodzenia. Najwyraźniej dotarł do niego wykład o sporach na oczach żołnierzy. Mimo to i tak nie miał racji.

–Jeśli będziemy zwlekać, skończy nam się woda. Mamy ograniczone zapasy. Musimy dotrzeć na niziny, gdzie będziemy mogli je uzupełnić.

–Musimy się porozumieć – powiedział kategorycznie Roger. – Zatrzymamy się na tyle czasu, ile będzie potrzebować Eleanora.

–Czy to rozkaz, Wasza Wysokość? – spytał Pahner.

–Nie, to sugestia wyrażona z naciskiem.

–Przepraszam. – Eleanora nie słyszała, o czym mówią, ale rozumiała, że o coś się spierają, i uznała, że czas się wtrącić. – Nie chodzi mi o całą noc. Jeśli załatwię mu trochę cienia, wody i wilgoci, powinno pójść całkiem szybko.

Roger i Pahner spojrzeli na nią, po czym odwrócili się do siebie, nieprzezroczysta maska w nieprzezroczystą maskę, i jeszcze chwilę debatowali. W końcu Pahner odwrócił się z powrotem do O'Casey.

–W porządku.

Kilku szeregowców, niemożliwych do rozróżnienia w identycznych mundurach i maskujących hełmach, podeszło do nich i błyskawicznie rozstawiło spory namiot. Temperatura wewnątrz nie była specjalnie zachęcająca, ale żołnierze spryskali ścianki od środka kilkoma mililitrami wody, która parując ochłodziła nieco powietrze i podniosła jego wilgotność. Ulga miała być krótkotrwała, ale Mardukanin i tak poczuje się lepiej.

* * *

Cord wszedł do namiotu i odetchnął. W środku było nie tylko chłodniej, ale też nie tak sucho. Dzięki ćwiczeniom *dinshon* uniknął całkowitego odwodnienia, ale nie było to przyjemne doświadczenie. Powietrze w namiocie było wciąż zbyt suche, by przebywać w nim na stałe, ale i tak z wdzięcznością przyjął chwilę ulgi.

Kiwnął głową małej tłumaczce (którą najwyraźniej była) i dwóm nieco większym istotom w dziwnych twardych powłokach, przypominających pancerz żądłożuka.

–Dziękuję. Tak jest o wiele lepiej.

Zauważył także dwie kolejne istoty z tyłu. Ich dziwna broń nie była wymierzona w niego, ale Cord widział wystarczająco wielu strażników u magnatów w mieście, żeby od razu ich rozpoznać. Zastanawiał się, która istota jest wodzem.

* * *

–Jestem Eleonora – powiedziała O'Casey, wskazując na siebie. Potem ostrożnie pokazała Mardukanina. W niektórych kulturach pokazywanie palcem uznawane było za zniewagę.

–D'Nal Cord... – Reszta była bezsensownym bełkotem.

–*Flar*... – spytała, mając nadzieję, że uzyska w ten sposób więcej kontekstu.

–Ja... wiedza... *flar*... zabić.

–Chcesz wiedzieć, jak zabiliśmy bestię? – spytała w narzeczu najbardziej zbliżonym do lokalnego. Ilość znanych jej słów wciąż rosła i O'Casey czuła, że niedługo będzie miała kompletną pigułkę. Mimo to wciąż miała problemy z rozumieniem.

–Nie – powiedział Mardukanin. – ... zabił *flar*? Ty?

–Och. Nie – odpowiedziała Eleanora, wskazując Rogera. – To Roger...

Zamilkła nagle, zrozumiawszy, że właśnie wskazała księcia jako winnego, jeśli to, co zrobił, uznane zostało za akt wrogości.

Roger wcisnął przycisk i wyłączył maskujące zniekształcenie wizjera hełmu.

–To ja – powiedział. Jego toots miał załadowany ten sam program, a księżę śledził postępy Eleanory. Dysponował większą mocą obliczeniową niż ona i podejrzewał, że jego pigułka językowa jest już Lepsza niż O’Casey. Był pewien, że lepiej niż ona rozumie mowę ciała Mardukanina. Osobnik wydawał się nieszczęśliwy, ale nie zły. Bardziej zrezygnowany.

Cord podszedł do Rogera, ale zatrzymał się, kiedy dwaj marines z tyłu podnieśli broń. Ostrożnie wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu księcia. Wyrzucił z siebie potok sylab.

–...brat... życie... zawdzięczam... dług...

–O, cholera – zaklęła O’Casey.

–Co? – spytał Roger.

–Wydaje mi się – parsknęła – że właśnie powiedział coś o tym, że ocaliłeś mu życie i przez to zostaliście braćmi krwi.

–O, cholera – zaklął Pahner.

–Co? – powtórzył Roger. – Co w tym złego?

–Możliwe, że nic, Wasza Wysokość – powiedział kwaśno kapitan. – Ale w większości kultur takich jak ta te sprawy traktuje się bardzo poważnie. Czasami oznacza to, że brat musi przyłączyć się do plemienia. Pod karą czegoś paskudnego.

–I tak prawdopodobnie idziemy w kierunku jego plemienia – zauważył Roger. – Napiję się jeleniej krwi czy co tam mi każą, a potem pójdziemy dalej. Dobra opowieść do klubu łowieckiego.

Eleanora potrząsnęła głową.

–A jeśli będziesz musiał zostać z plemieniem, bo inaczej będzie problem?

–Och – mruknął Roger. – Och.

–Dlatego właśnie nie strzela się bez potrzeby – powiedział mu Pahner na częstotliwości dowodzenia.

–Zobaczymy, czy uda mi się jakoś wyłgać – stwierdziła O’Casey.

–Nie ma mowy – mruknął Pahner.

* * *

–...Wódz Roger... żałuje... zaszczyt. Podróż... droga... przejść...

Cord roześmiał się.

–Ja też nie jestem z tego powodu najszcześliwszy. Wypełniałem właśnie bardzo ważną duchową misję, kiedy miał czelność uratować mi życie. Jak można aż tak nie myśleć? Wszystko jedno. Teraz to ważne mniej niż sranie muchy *rid*. I tak muszę łączyć za nim jak przeklęty *nex* do końca mojego życia. Może chociaż będzie krótkie.

Patrzył, jak mała tłumaczka męczy się z przekładem; w końcu ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

–Nieżyły ten namiot, ale jeśli się pospieszymy, dotrzemy do mojej wioski zanim obudzą się *yaden*. Jeśli nie ma się skóry jak *flar*, lepiej się wtedy ukryć. Moglibyście pociąć *flar* i schować się w nim, ale zajęłoby to dużo czasu. A czasu nie mamy.

* * *

–Chyba powiedział...

–Trudno! – zaśmiał się Roger. – Powiedział, że musimy z tym jakoś żyć. I coś o spieszeniu się.

–Nie przetłumaczyłam aż tyle. – Eleanora potrząsnęła głową. – Było tam sporo tła kulturowego. Coś jest zdecydowanie nie w porządku z tym tłumaczeniem. Po pierwsze, mam błąd w ustalaniu płci. Chociaż teraz ustawiło się na samca.

Spojrzała na nagiego Mardukanina i odwróciła wzrok.

–Oczywiście nie mam pojęcia, jakim cudem program mógł pomylić płęć – dodała z uśmiechem.

–Ja większość zrozumiałem – powiedział Roger. – Jestem chyba lepiej do niego nastrojony czy coś w tym rodzaju. Mówi też, że lepiej stąd ruszać, bo stanie się coś paskudnego.

–Powiedział, co? – spytał Pahner.

–Nazwał to *yaden*. Bez kontekstu. To chyba coś związanego z nocą. – Odwrócił się do Mardukanina i wypróbował funkcję kontroli głosu tootsa.

–Co to *yaden*?

Roger odkrył, że program pokazuje mu obrazy związane z jego własnym tłem kulturowym, gestami Mardukanina i znanymi słowami w odpowiedzi na zadane formy. W przypadkach, w których tłumaczenie było jasne, toots wycinał to, co Roger słyszał, i podkładał przełożone słowa. W tym przypadku najwyraźniej dokładny przekład był niemożliwy. Program pokazał księciu niewyraźne zarysy możliwych tłumaczeń. Ich ogólne znaczenie, choć zaskakujące, było jasne. Roger prawie się roześmiał.

–Mówi, że *yaden* to wampiry.

–Aha – chrząknął niezobowiązująco Pahner.

–Ale mówi to z dużym naciskiem – powiedziała Eleanora, kiwając głową. – Tak, teraz też to mam. Wampiry. Nieźle ci idzie, Roger.

Księżę uśmiechnął się z zadowoleniem, słysząc rzadki komplement.

–Wiesz, że lubię języki.

–Więc szumowiniak twierdzi, że powinniśmy się stąd ruszyć? – spytał Pahner, żeby wszystko było jasne.

–Tak – odparł nieco chłodno Roger. Zaczynał nie lubić tego określenia. – Ma problem z czymś, co najwyraźniej wychodzi tylko w nocy. Chce się pospieszyć, żeby dotrzeć do wioski zanim to coś wyjdzie.

–To będzie trudne – powiedział zamyślonym tonem Pahner.

–Musimy przejść przełęcz, a potem spory kawałek dżungli. Przed zmrokiem dojdziemy najwyżej do grzbietu przełęczy.

–On najwyraźniej myśli, że powinniśmy zdążyć przed zmrokiem bez poważniejszych trudności – wtrąciła Eleanora.

–Może ma rację – odparł Pahner. – Ale jeśli tak, to jego wioska musi być o wiele bliżej niż on, według mnie, sugeruje.

–W takim razie ja sugeruję, żebyśmy ruszali – powiedział Roger.

–Co do tego nie ma wątpliwości – zgodził się Pahner. – Najpierw trzeba złożyć ten namiot.

–Chwileczkę. – Roger wyciągnął rurkę do picia. – Proszę – powiedział, pokazując ją Mardukaninowi. – Woda.

Nie mieli jeszcze tego słowa, więc powiedział je w standardowym. Żeby pokazać, o co chodzi, napił się z rurki i wypluł kilka kropli na rękę. Cord pochylił się i pociągnął łyka. Podziękował Rogerowi skinieniem głowy, po czym gestem pokazał, żeby wyjść z namiotu.

–Tak – roześmiał się książę. – Chyba zaczynamy znajdować wspólny język. Ale mówimy w nim każdy co innego.

* * *

Dla Rogera szybko stało się jasne, skąd wzięła się różnica w ocenie czasu trwania podróży przez Pahnera i Corda. Długie nogi Mardukanina niosły go o wiele szybciej niż byli w stanie maszerować ludzie. Marines, gdyby byli mniej obładowani, mogliby biegiem dotrzymać mu kroku, ale dla Matsugae, O’Casey i pilotów Marynarki było to zupełnie niemożliwe. W miarę jak słońce kryło się za górami, a aluwialne ujście rzeki zwężało w skalisty kanion, Mardukanin zaczął wyrażać swój niepokój coraz głośniejszymi, a tłumaczenia zyskiwały na dokładności.

–Książę Rogerze – powiedział Cord. – Musimy się pospieszyć. *Yaden* wysysają nas do sucha, jeśli nas znajdą. Tylko ja mam osłonę... – Wskazał swoją skórzaną płachtę. – Chyba, że macie namioty dla wszystkich?

–Nie – odparł Roger.

Chwycił się krawędzi głazu i wciągnął na górę. Stąd zobaczył dokładnie całą kompanię, rozciągniętą w wąskim wąwozie. Koniec kolumny dopiero zaczynał wspinać się pod górę, podczas gdy jej czoło było już prawie na szczycie. Jak na górskie kaniony, ten nie był szczególnie stromy, ale i tak spowalniał marsz. Obładowani żołnierze pięli się z trudem w górę rozpadliny, podciągając się z głazu na głaz. Dokładnie wtapiali się w otoczenie; zdradzał ich tylko czasami błysk paneli słonecznych lub odbłask promieni słońca na lufie broni. Grupy z noszami były w szczególnie trudnej sytuacji, mocując się ze swoim ciężkim i nieporęcznym ładunkiem. Wszystko to sprawiało, że kompania poruszała się bardzo powoli.

–Nie, nie mamy dużych namiotów dla wszystkich, ale mamy inne osłony, a każdy ma osobisty namiot biwakowy. Jak duże i dzikie są te *yaden*?

Cord przetłumaczył sobie kilka słów, które najwyraźniej zostały źle użyte.

–Nie są ani duże, ani dzikie. Są niewidzialne. Wślizgują się do obozu pełnego wojowników i wybierają jednego albo dwóch. Potem powalają ich i wysysają.

Roger zadrżał. Podejrzewał, że *yaden* są zabobonem, ale opis był na to zbyt dokładny.

–W takim razie będziemy musieli mieć się na baczności.

–W tej dolinie aż się od nich roi – powiedział Cord, zataczając ręką koło. – To powszechnie znany fakt.

–Wspaniale. – Roger zręcznie zeskokczył z głazu. – Jesteśmy w Dolinie Wampirów.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wiatr wiał nieustannie. Dzięki temu skalny grzbiet był ostatnim suchym miejscem przed rozciągającą się zaledwie sto metrów niżej tropikalną puszcza.

Kapitan Pahner spojrział w dół i kolejny raz zastanowił się, czy rozbijanie obozu na przełęczy jest dobrym pomysłem. Cord z uporem twierdził, że jeśli nie wrócą do wioski, skazują się sami na śmierć. Teraz, kiedy robiło się chłodno, Mardukanin kulił się przy ognisku. Pahner nie miał do niego pretensji – zmiennocieplny szumowiniak prawie zasypiał, kiedy robiło się naprawdę zimno.

Marine podrapał się w podbródek, rozważając to, czego do tej pory dowiedział się od tubylca. Musiał przyznać, choć niechętnie, że Roger miał rację co do konieczności jak najszybszego porozumienia się z Mardukanami. Zwłoka spowodowana rozmową prawdopodobnie i tak nie miała znaczenia. Oczywiście Pahner nie miał zamiaru powiedzieć cokolwiek takiego Rogerowi czy nawet O'Casey. Dowódca mógł być tylko jeden, zwłaszcza w tak ekstremalnej sytuacji, a niezależnie od tego, co twierdziła oficjalna tabela organizacji, „pułkownikowi” Jego Cesarskiej Wysokości Księciu Rogerowi nie można było nawet powierzyć zorganizowania lodu do drinków na eskimoskim przyjęciu.

Teraz, kiedy minął szał wywołany zastrzeleniem przez młodego palanta *flar*, kapitan żałował swoich słów. Nie dlatego, że nie to chciał powiedzieć, ani dlatego, że nie należało tego mówić. Nie przejmował się też tym, jak to może wpłynąć na karierę kapitana Armanda Pahnera, zakładając oczywiście, że rzeczony kapitan przeżyje dość długo, by się o to martwić. Nie, żałował swojego zachowania, ponieważ było nieprofesjonalne.

Z drugiej strony, dzięki swojemu wybuchowi zaczął chyba wreszcie oddziaływać na arogancję i beztroskę księcia. Dlatego właśnie nie zamierzał przyznawać, że tym razem dzieciak miał rację. Ostatnią rzeczą, której potrzebowali, było utrzymanie Rogera w przekonaniu, że może spierać się z zawodowcem, który jest jego jedyną szansą na powrót cało do domu.

Wszystko zaczynało wskazywać na to, że Cord faktycznie może okazać się bardzo przydatny, przynajmniej na krótką metę, a dług, który według siebie miał u księcia, mógł wyjść kompanii na dobre. Mardukanin był najwyraźniej wodzem lub szamanem plemienia, na którego terytorium mieli właśnie wejść, a to oznaczało, że Roger zapewnił im najlepsze powitanie, na jakie mogli liczyć.

Mniej jasne było, dlaczego Cord podróżował w stronę wyschniętego jeziora. Twierdził, że poszukuje jakiejś wizji. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że w tak nieprzyjazne okolice zagnał go jakiś problem, ale jaki to był problem, nie udało się

dociec mimo cierpliwych tłumaczeń Mardukanina. Rozmowy, jakie prowadził z Rogerem i Eleanorą w drodze do pierwszego obozu, pozwoliły niemal całkowicie uzupełnić pigułkę językową programu tłumaczącego. Do jutra przekład powinien być już tak dokładny, jak tylko pozwalało oprogramowanie.

Pahner marzył jeszcze przez kilka sekund, że tak właśnie będzie – byłoby miło, gdyby cokolwiek poszło im gładko – po czym odsunął ten problem na bok, by zająć się bardziej palącymi sprawami. Odwrócił się i przeszedł przez skraj obozu, jeszcze raz sprawdzając stan zabezpieczeń. Wszystko było na miejscu – miny kierunkowe rozstawione, detektory laserowe działają, wykrywacze ciepła włączone. Jeśli cokolwiek spróbuje przedostać się przez linię zabezpieczeń, lepiej, żeby było niewidzialne albo mniejsze niż koza. Kapitan skończył inspekcję i podszedł do sierżant Kosutic, czekającej na niego z zarzuconym na ramię przenośnym głównym panelem kontrolnym.

–Włącz go – powiedział. Kosutic kiwnęła głową i pstryknęła przełącznik. Na panelu rozbłysły ikony aktywowanych czujników i broni. Pahner przyglądał się, jak sierżant wodzi wzrokiem po ekranie, sprawdzając, czy wszystko działa jak należy. Po chwili spojrzała na niego i kiwnęła głową jeszcze raz.

–W porządku, słuchajcie wszyscy – oznajmił kapitan, używając zarówno zewnętrznych głośników pancerza, jak i ogólnej częstotliwości komlinku. – Wszystko włączone. Jeśli musicie się wysikać albo postawić klocka, róbcie to w latrynie.

Latryny, tak jak wszystko inne w obozie, spełniały wymogi tymczasowego obozowiska na wrogim terytorium. Zostały wykopane na skraju dżungli i miały przepisową szerokość i głębokość. Wewnątrz sieci czujników okopały się dwuosobowe zespoły. Większość żołnierzy miała spać w okopach. Dwumetrowe dziury w ziemi były niewygodne, ale bezpieczne. Ci, których nie przydzielono do sekcji ogniowych, jak personel Marynarki (albo Roger), rozstawili swoje jednoosobowe namioty. Kompania miała zachowywać pięćdziesięcioprocentową straż przez całą noc – jeden żołnierz pilnował drugiego, kiedy ten spał. Ta technika pozwalała armiom stosunkowo bezpiecznie spędzać noce na wielu planetach i podczas tysięcy różnych wojen.

Stosunkowo bezpiecznie.

–Jak żołnierze, pani sierżant? – spytał cicho Pahner.

Nie lubił o to pytać, ale nieustanne przepychanki z Rogerem odciągały go od jego ludzi.

–Martwią się – przyznała Kosutic. – Zwłaszcza żonaci i mężatki. Ich rodziny prawdopodobnie dostały już wiadomość, że nie żyją. Nawet jeśli i tak uda im się

wrócić, nie będzie łatwo. Kto zajmie się w tym czasie ich rodzinami? Renta pośmiertna to niewiele.

Pahner zastanowił się nad tym.

–Powiedźcie im, że kiedy wrócą, dostaną spore zaległe pobory. A skoro już o tym mowa, będziemy musieli ustalić cykl płac, kiedy dotrzemy do jakiejś cywilizacji.

–Jeszcze sporo czasu minie, zanim będziemy się musieli o to martwić – zauważyła Kosutic. – Przeżyjmy noc, to już będę szczęśliwa. Nie podoba mi się to całe *yaden*. Ten wielki szumowiniasty drań nie wygląda na kogoś, kto boi się byle czego.

Pahner pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Musiał przyznać, że Mardukański szaman jego też wystraszył.

* * *

–Obudź się, Wilbur. – Kapral D’Estrees szturchnęła grenadiera lufą karabinu plazmowego w but. – Wyłaź, głupia pierdoło. Twoja kolej.

Właśnie minęła północ, a marine była bardziej niż chętna, żeby uderzyć w kimono na kilka godzin. Zmieniali się od zachodu słońca, a w międzyczasie robiło się coraz zimniej. Pod nimi, w dżungli, coś się poruszało i wydawało dziwne odgłosy, jak na każdym nieznanym świecie. Nie działo się jednak nic niebezpiecznego, nic, o czym warto by pisać do domu. Na niebie nie było żadnego z dwóch księżyców planety, ale światła i tak wystarczyło, by hełmy marines zamieniły środek nocy w szarość zmierzchu. Nic się nie działo. Żołnierze mieli przed sobą godziny siedzenia bez ruchu, obserwowania lasu i rozmyślenia o opałach, w jakich się znaleźli. Teraz przyszła kolej na Wilbura. D’Estrees musiała tylko obudzić tego głupiego drania.

Grenadier spał w swojej norce, kombinacji jednoosobowego namiotu i śpiwora, niecały metr za okopem. Gdyby nagle zrobiło się gorąco, mógł się w nim znaleźć w ciągu sekundy. Poza tym cały czas był w zasięgu wartownika, który mógł go w każdej chwili zbudzić, mieli jednak za sobą ciężki dzień i wyglądało na to, że Wilbur śpi raczej mocno.

D’Estrees zniecierpliwiła się w końcu i włączyła czerwoną latarkę. Miała ona opcję podczerwieni, a błysniecie komuś w oko podczerwienią było dość nieprzyjemne.

Kapral odciągnęła wierzch norki, żeby zaświecić w oczy śpiącemu grenadierowi.

* * *

Po pierwszym wrzasku Roger zerwał się na równe nogi, ale oszczędziłby sobie siniaków, gdyby został w śpiworze. W tej samej sekundzie kiedy stanął prosto,

dwóch marines rzuciło się na niego i pchnęło go z powrotem na ziemię. Zanim zorientował się, co się dzieje, na jego piersi leżało kolejnych trzech żołnierzy, a następni otaczali go z wycelowanymi w ciemność karabinami.

–Złazić ze mnie, do cholery! – wrzasnął, ale bez skutku.

Ograniczenia jego władzy były jasne – marines pozwalali mu decydować o mało istotnych sprawach, na przykład o ich życiu, ale nie o naprawdę ważnych, dotyczących jego własnego bezpieczeństwa. Zignorowali jego wściekłe krzyki tak, że w końcu zaczął się śmiać.

Po kilku minutach, przy wtórze dowcipnych uwag, stos zaczął się podnosić. Księżę udał, że nic nie słyszy. Po chwili ktoś podał mu rękę i pomógł wstać. Dookoła panowały zupełne ciemności. Kiedy Roger zaczął się zastanawiać, co sprawiło, że marines zmienili zdanie i pozwolili mu wstać, ktoś założył mu na głowę hełm i włączył wzmocnienie światła wizjera. Do namiotu wchodził właśnie Pahner.

–Wasza Wysokość – powiedział zmęczonym głosem – właśnie mieliśmy wizytę wampirów pana przyjaciela.

* * *

Grenadier miał dwadzieścia dwa lata, mierzył nieco powyżej stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu i ważył dziewięćdziesiąt kilo. Urodził się na New Orkney i miał gęste jasnorude włosy na wierzchach piegowatych dłoni.

Teraz nie ważył już dziewięćdziesięciu kilo, a jego piegowate dłonie, oświetlone latarką, były żółte i kościste jak u szkieletu.

–Cokolwiek to było – powiedziała Kosutic – wysssało z niego krew do ostatniej kropelki. – Podciągnęła maskującą tkaninę i pokazała ślady na brzuchu żołnierza.

–Są takie na wszystkich arteriach – powiedziała, obracając głowę marine, żeby pokazać nakłucia na szyi. – Dwa nakłucia, jedno przy drugim, rozstawem odpowiadające ludzkim kłom. Może trochę mniejsze.

Pahner odwrócił się do kapral, koleżanki grenadiera. Marine, stojąc nad zabitym kolegą, w obliczu dowódcy zachowała kamienny wyraz twarzy.

–Opowiedzcie mi to jeszcze raz – powiedział kapitan cierpliwie.

–Nic nie słyszałam, sir. Nic nie widziałam. Nie spałam. Szeregowy Wilbur nie wydał żadnego dźwięku, nic wyraźnego nie dobiegło od strony jego norki.

Zawahala się.

–Może... może coś słyszałam, ale to było tak ciche, że nie zwróciłam na to uwagi. Jak jeden z tych dźwięków na teście słuchu, kiedy nie wiadomo do końca, czy to był dźwięk, czy nie.

–Co to było? – spytała Kosutic, zaglądając do norki w poszukiwaniu śladów czegoś, co wślizgnęło się i umknęło z obozu tak zabójczo bezgłośnie. Małe jednoosobowe namioty miały kształt dużych śpiworów i mieściły w sobie żołnierza i jego oporządzenie. Cokolwiek zabiło szeregowego, weszło i wyszło bez śladu.

–To... przypominało... nietoperza – wydusiła z siebie kapral, zdając sobie sprawę, jak to brzmi. – Wtedy nic takiego nie przyszło mi do głowy...

–Nietoperza – powtórzył ostrożnie Pahner.

–Tak, sir – powiedziała marine. – Raz usłyszałam bardzo cichy odgłos skrzydeł. Rozejrzałam się, ale nic się nie ruszało. – Przerwała i popatrzyła na przełożonych. – Wiem, jak to brzmi, sir...

Pahner kiwnął głową i popatrzył na boki.

–W porządku. To był nietoperz. – Odetchnął głęboko i spojrzał na ciało. – Prawdę mówiąc, pani kapral, wygląda mi to na kolejne stworzenie na świecie, o którym niewiele wiemy.

–Zapakujcie go – powiedział do Kosutic. – Odprawimy krótką mszę i spalimy go rano.

Śpiwory marines miały opcję spalania zawartości, co pozwalało zabierać ze sobą zabitych. Po kremacji śpiwór zwijano z prochami w środku – stawał się jeszcze jednym pakunkiem, niewiele ważącym i zajmującym minimum miejsca.

–Nietoperz – mruknął kapitan, potrząsnął głową i zniknął w ciemności.

–Nie przejmujcie się tym, marine – powiedział Gulyas, poklepując D’Estrees po ramieniu. – Jesteśmy na nowej planecie. Mogą tu być prawdziwe nietoperze wampiry, a to cwane bestie, mówię wam. – Porucznik wychował się w górach Kolumbii, gdzie nietoperze wampiry były znanym i starym wrogiem; one jednak nie wysysały człowieka do sucha.

–To mogły być prawdziwe wampiry – powiedziała kapral.

* * *

Dla niewyspanych, zdenerwowanych marines świt był odpowiedzią na ich modły, by potężna gwiazda klasy G-9 wróciła na niebo. Po zebraniu min i czujników oraz po

odprawieniu krótkiej mszy kompania zaczęła schodzić doliną w dżunglę, dużo ostrożniej niż poprzedniego dnia.

Roger schodził zachodnim stokiem ramię w ramię z Cordem. Przełęcz była wysoka i sucha, co sprawiało, że rozpiętością temperatur przypominała leżącą za nią pustynię... Poranek był więc dość chłodny. Mardukanin poruszał się przez to powoli i ospale – nie był przystosowany do życia w niskich temperaturach. Kiedy jednak słońce wyszło zza szczytów gór za ich plecami, a upał osiągnął swoje apogeum, szaman rozbudził się, otrząsnął i chrząknął, co Roger poznawał już jako mardukański śmiech.

–Biada mojej wyprawie, ale będę szczęśliwy, kiedy opuścimy już te przeklęte góry!

Roger przyglądał się warstwowaniu ścian doliny i myślał coś zupełnie przeciwnego. Zaczynali docierać do drugiej warstwy nisko wiszących chmur i wilgotność powietrza wzrastała. Przy coraz większym upale warunki przypominały saunę, a myśl o zejściu jeszcze niżej nie nastrojała księcia zbyt pozytywnie.

Stroma dolina przeszła w niewielki płaskowyż, a Roger ponownie opuścił swoje miejsce w kolumnie i stanął na chwilę, by przyjrzeć się okolicy. Wąwóz był wynikiem erozji i zlodowacenia, więc na jakimś etapie dziejów planety średnia temperatur musiała być na niej o wiele niższa. Pozostałością tych czasów była niezwykle urokliwa dolina.

Jej środek zajmowało niewielkie jezioro, o powierzchni mniej więcej pół hektara, zasilane małymi strumykami spływającymi po skalnych ścianach i jednym większym potokiem. Kompania uzupełniła pęcherze, a woda okazała się nie tylko krystalicznie czysta, ale też dość chłodna.

Górny i dolny kraniec doliny znaczyły moreny, niewielkie kopce głazów pozostawionych przez wycofujący się lodowiec. Górna morena była świetnym miejscem na dom, z którego rozciągałby się zapierający dech w piersiach widok na jezioro i dżunglę, dolna zaś zapewniłaby surowce do jego budowy.

Pręgowane ściany doliny były wytworem jakiegoś wypiętrzenia, które uformowało całe pasmo górskie, ale ich warstwy świadczyły o tym, że kiedyś, dawno temu, były częścią równiny lub dna płytkiego morza. Roger zauważył w kilku miejscach ślady pokładów węgla i żelaza, zwłaszcza złóż wstęgowych, będących najbogatszą formą występowania tego minerału. Przyjemna – według ludzkich standardów – dolina idealnie nadawała się do rozpoczęcia wydobywania. Dla każdego szumowiniaka jednak, jak przypomniawszy księciu uwaga Corda, był to przedsiwonek piekła.

–Czy ja wiem? – nie zgodził się Roger. – Podoba mi się tu. Kocham góry – pokazują duszę planety.

–Phi – parsknął Cord i splunął. – Co takie miejsce ma do zaoferowania Ludowi? Bez jedzenia, zimne jak śmierć i suche jak ogień. Fuj!

–Sporo tu ciekawej geologii.

–Co to jest ta „geologia”? – spytał szaman, wygrażając włócznią skałom. – Ten „duch kamienia”? Co to jest?

Roger zdjął hełm i pogładził związane w kok włosy. Jezioro wyglądało niezwykle kusząco. Książę koniecznie musiał umyć głowę, ale pytanie Mardukanina odwróciło jego uwagę od tego problemu.

–To nauka o skałach. Jedna z rzeczy, które zainteresowały mnie w college’u. – Roger westchnął i spojrział na kolumnę marines, zawzięcie strzegących go przed niebezpieczeństwem. – Gdybym nie był księciem, mógłbym zostać geologiem. Bóg jeden wie, o ile bardziej by mi się to podobało!

Cord rozważył jego słowa w milczeniu.

–Ci, którzy urodzili się wodzami, nie mogą być szamanami. A szamani nie mogą zostać myśliwymi.

–Dlaczego nie? – zgrzytnął zębami Roger, niespodziewanie tracąc cierpliwość. Zamachał rękami na mijającą go kompanię. – Nie prosiłem o to! Nie wiem, co bym robił! Ale na pewno nie byłbym Jego Cesarską Wysokością Księciem Rogerem Ramiusem Sergeiem Alexandrem Chiangiem MacClintockiem!

Cord popatrzył na czubek głowy księcia, po czym zdecydowanym ruchem wyciągnął nóż. Natychmiast znalazł się na muszce pół tuzina karabinów, ale zignorował je, podrzucił nóż do góry, złapał go w powietrzu za długie żelazne ostrze i palnął księcia mocno w głowę owiniętą w rzemień rękonożnicę.

–Au! – Roger złapał się za głowę i spojrział na Mardukanina z konsternacją. – Za co?

–Przestań zachowywać się jak dziecko – powiedział surowym tonem szaman, wciąż ignorując wycelowane w siebie karabiny. – Niektórzy rodzą się do rzeczy wielkich, inni do niczego, ale nikt nie wybiera tego, co jest mu przeznaczone. Płkanie nad tym przystoi oseskowi, a nie Człowiekowi Ludu!

Podrzucił nóż i schował go do pochwy.

–Aha – warknął Roger, pocierając bolące miejsce. – Chodzi ci o to, że powinienem zacząć zachowywać się jak MacClintock! – Dotknął palcami czubka głowy i zobaczył na nich czerwień... – Hej! Leci mi krew!

–Tak mówi dziecko, kiedy skaleczy sobie rękę – powiedział szaman, pstrykając „palcami” jednej z dolnych kończyn. Jej dłoń wyposażona była w szeroką poduszkę i dwa palce nierównej wielkości. Najwyraźniej przeznaczona była raczej do dźwigania ciężkich rzeczy niż delikatnej manipulacji. – Dorośnij.

–Znajomość geologii się przydaje – powiedział ponuro Roger.

–Do czego? Do czego może przydać się wodzowi? Nie powinieneś raczej badać natury swoich wrogów? Albo sprzymierzeńców?

–Wiesz, co to jest? – spytał księżę, pokazując na warstwę węgla, a Cord ponownie strzelił palcami w mardukańskim geście potwierdzenia.

–Skala, która się pali. Jeszcze jeden powód, żeby unikać tych przeklętych wzgórz. Podłóż pod to ogień, a będzie gorąco!

–Ale to materiał przydatny ekonomicznie – zauważył Roger. – Można go wydobywać i sprzedawać.

–Przydamy może dla gównosiadów z Farstok – odparł ze śmiechem Cord, – ale nie dla Ludu.

–A wy niczym nie handlujecie z gównosiadami z Farstok? – spytał Roger, a Mardukanin na chwilę zamilkł.

–Niektórzy tak, ale Lud nie musi z nimi handlować. Nie potrzebuje ich towarów ani złota.

–Jesteś pewien? – Roger spojrzął na wielkiego obcego i przekrzywił głowę. Postawa Mardukanina świadczyła o czymś innym.

–Tak – odparł stanowczym tonem Cord. – Lud jest wolny od wszelkich zobowiązań. Nie wiąże go żadne plemię, ani on nie wiąże żadnego. Jesteśmy całością.

Człowiek jednak wciąż nie był przekonany.

–Aha – Roger ostrożnie założył z powrotem hełm. Stuknięcie w głowę było bolesne.
– Lekarzu, lecz się sam.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Puszczą okryła się całunem mgły, stając się miejscem wiecznej zgnilizny i oparów.

Była to jednak strefa przejściowa. Wkrótce kompania miała ją minąć i zagłębić się w zielone piekło leżącej poniżej dżungli. Pole widzenia zaczęły ograniczać liany i zarośla, nie opary. Okryje ich mrok poszycia tropikalnego lasu... Na razie jednak mijali jedynie spowite we wszechobecnej mgle wysokie drzewa, bardzo podobne do tych, które rosły po drugiej stronie gór.

–Do dupy – powiedział kapral St. John (M.).

Sierżant Kosutic kazała mu się meldować „St. John, M.”, ponieważ miał bliźniaka w trzecim plutonie, St. Johna (J.). Kazała im też obu cały czas nosić jakiś znak rozpoznawczy. St. John (M.) ogolił połowę głowy.

Sięgnął pod hełm i podrapał się w nią, rozglądając się po otaczających ich mrocznych oparach.

Temperatura wynosiła ponad czterdzieści sześć stopni, sto piętnaście w skali Fahrenheita, a mgła była gęsta i gorąca jak w saunie. Widoczność nie przekraczała dziesięciu metrów – sensory hełmów nie radziły sobie z takimi warunkami. Wirująca dusząca para pokonywała nawet obwody dźwiękowe. St. John (M.) odwrócił się, żeby ponarzekać trochę idącej za nim operatorce plazmy, kiedy w prawym uchu zaświdrował mu wysoki pisk.

–Au!

–Co? – spytała starszy szeregowy Talbert, kiedy kapral zerwał z głowy hełm. Oboje kryli prawą flankę kompanii, idąc pięćdziesiąt metrów za szpicą, trochę z boku.

–Au! – powtórzył grenadier, waląc hełmem o pobliski pień drzewa. – Cholerne sprzężenia! Ta pieprzona mgła chyba spaliła obwód.

Talbert zaśmiała się i puściła karabin plazmowy luźno na pasku. Jedną ręką pacnęła muchę na karku, drugą wyłowila z kieszeni bluzy brązową rurkę.

–Zapalisz?

–Nie – prychnął St. John (M.). Założył hełm na głowę i znów go zdarł.

–Cholera. – Sięgnął do środka i wyciągnął wtyczkę uprząży, po czym podniósł ją do ucha.

–Aha, mam cię. Właśnie straciłem połowę sensorów.

Talbert włożyła brązową rurkę do ust, popukała w jej drugi koniec, żeby ją zapalić, i rozejrzała się dookoła.

–Słyszałeś coś? – spytała, podnosząc karabin.

–W ogóle gównu słyszę – powiedział St. John (M.). Potężny kapral potarł ucho. – Tylko jakieś dzwonięcie.

–Nieważne – wycedziła zza paluszka nikotynowego Talbert. Łagodna pochodna tytoniu miała niską zawartość pseudonikotyny i była nieszkodliwa dla zdrowia. Uzależniała jednak tak samo jak prawdziwy tytoń. – Czujniki gównu mogą w tym...

St. John (M.) odwrócił się błyskawicznie, kiedy usłyszał za sobą krzyk.

Talbert, wrzeszcząc niczym dusza na piekielnych mękach, zwisła z drzewa na krótkim, wijącym się robaku. Stwór zaczepił się o gałąź metr nad jej głową i wpił w miejsce, gdzie szyja łączy się z ramieniem. Na oczach kaprała z rany trysnęła jasna tętnicza krew, a robak podciągnął Talbert do góry.

St. John (M.) był w szoku, ale był też doświadczonym weteranem, więc jego ręce automatycznie wyrwały z granatnika pas z pociskami eksplodującymi. Sięgały właśnie po nabój strzelby, kiedy z mgły wyskoczyła sierżant Lai. Zatrzymała się na ułamek sekundy, żeby zorientować się w sytuacji, po czym ze śrutownicy zestrzeliła robaka z drzewa.

Marine spadła na ziemię jak worek mokrego cementu i natychmiast zaczęła się rzucać w konwulsjach. Cały czas wrzeszczała, a jej ręce i nogi darły wilgotną, ciemną ziemię.

Lai upuściła karabin i zdarła z upręży zestaw pierwszej pomocy. Rzuciła się całym ciałem na wijącą się kobietę i zakryła tryskającą krwią ranę samoprzylepnym bandażem. W tej samej chwili jednak rozdarcie wezbrało tętniącym strumieniem czerwonej mazi. Opatrunek rozszerzył się na krwawiący obszar, ale rana powiększała się szybciej. Jad zaczął rozkładać proteiny mięśni i skóry.

Lai rozcięła bojowym nożem maskującą kurtkę szeregowego i wyciągnęła następny opatrunek, ale był on już bezużyteczny. Czarno-czerwone plamy rozlały się na opalony tors marine. Skóra wokół nakłucia pękła, a rozdarcie pomknęło wzdłuż żeber. Krew, tłuszcz i rozpuszczone mięśnie wylały się na ziemię.

Ciałem wstrząsnęły paroksyzmy bólu. Czerń zajmowała coraz to nowe obszary ciała. Płaskie od ćwiczeń piersi rozpuściły się i spłynęły między żebrami.

Lai odskoczyła ze zgrozą, kiedy czarna krew zalała szyję marine, a skóra i mięśnie jej twarzy zwiśły bezwładnie z kości czaszki.

Rozpuszczanie się marine nie trwało wcale długo. Tylko jej krzyki wydawały się rozbrzmiewać godzinami.

* * *

–Co to, kurwa, piknik? – warknęła sierżant Kosutic. Odepchnęła jednego z szeregowych na bok i spojrzała w oczy sierżant Lai. – Potrzebny nam tu szyk, a nie grupowe pierdolenie!

Gromada żołnierzy rozbiegła się, zajmując pozycje na straży. Kosutic przepchnęła się między nimi.

–W porządku, co tu się stało? – Spojrzała na szkielet i zbladła. – Na szatana! Kto to zrobił?

–To było... To... – zaczął niezbornie St. John (M.).

Obracał się gwałtownie na wszystkie strony, celując z granatnika w korony drzew. Wciąż był w szoku, więc Kosutic spojrzała na Lai.

–Pani sierżant?

Lai podniosła karabin i szeroko otwartymi oczami rozejrzała się po lesie.

–To był jakiś robak. – Kopnęła szczątki bezkręgowca, który spadł u podnóża drzewa. – Ugryzł ją, użądlił, czy coś takiego. Kiedy tu dobiegłam, wciągał ją na górę. Zastrzeliłam go, ale ona po prostu... po prostu... – Sierżant przerwała i wymiotowała, wciąż rozglądając się w poszukiwaniu następnych robaków.

–Ona po prostu... – skończyła, pokazując częściowy szkielet na ziemi, ale nie patrząc na niego.

Kosutic wyciągnęła nóż i szturchnęła nim ścierwo robaka. Był raczej ciemno ubarwiony, z wyraźnymi niebieskimi prążkami na grzbiecie. Po trafieniu ze śrutownicy Lai zostało z niego jakieś dziesięć centymetrów tylnego końca, wyposażonego w kilka haczyków. Do jednego z nich wciąż przyczepiony był kawałek kory. Drugi koniec najwyraźniej... rozpuszczał ludzi. Kosutic wstała, schowała nóż i wytarła rękę.

–Paskudztwo.

Z mgły wyszedł kapitan Pahner, a za nim księżę i jego oswojony szumowiniak. Pahner podszedł i spojrzał na trupa.

–Jakieś problemy, pani sierżant?

–No... – mruknęła ponuro, skubiąc płatek ucha. – Szpica nie będzie popularna.

Cord podszedł do grupy stojącej wokół szkieletu i pstryknął dolnymi palcami.

–*Yaden cuol* – powiedział, a Kosutic spojrzała pytająco na Rogera.

–Wampir, Wasza Wysokość? – Jej toots przetłumaczył *yaden*, ale drugiego słowa nie miała jeszcze w słowniku.

–Wampir... dziecko? – zasugerował z powątpiewaniem Roger.

Miał dziwny, zamyślony wyraz twarzy. Starsza sierżant domyśliła się, że księżę obcuje z oprogramowaniem. – Zaczynam podejrzewać, że ten program zawiera za dużo przypuszczeń. Chyba chodzi mu o larwę tego czegoś, czym są wampiry.

–Jak mamy z tym walczyć, sir? – Sierżant Lai zaczynała wychodzić z szoku. Spojrzała na księcia niemal błagalnie. – Talbert była dobrym żołnierzem. St. John (M.) też. Wątpię, żeby się opierdalali. A to jest zamaskowane na maksa. Jak, kurwa, mamy z tym walczyć? Nie rusza się, nie jest ciepłe, ma prawie zerowe pole elektryczne!

Roger wyrzucił z siebie potok miękkich sylab i młaśnieć. Szumowiniak stuknął pięściami dolnych rąk i odpowiedział, po czym rozejrzał się i zarzucił na głowę i ramiona skórzaną płachtę.

–On mówi – powiedział z powątpiewaniem księżę – że musicie zacząć uważać. Mówi, że obserwował nas w marszu i że patrzymy nie dość dokładnie albo nie na to, co trzeba. Mówi też, że te robale wiszą na drzewach i trudno je zauważyć, więc najlepiej zarzucić coś na głowę i ramiona.

Cord wyrzucił z siebie jeszcze jeden potok sylab i gestem pokazał otaczający ich las. Zsunął z głowy płachtę i znów klasnął w ręce, a Roger kiwnął głową i westchnął ponuro.

–Powiedział, że to chyba najstraszniejsze stworzenia w lesie, ale nie najbardziej niebezpieczne. Nie potrafią się szybko poruszać, więc łatwo je zabić włócznią. Powiedział „poczekajcie, aż spotkacie *atul grack*”, cokolwiek to jest. A te... gąsienice-zabójcy... czasami atakują stadami.

–Podchodzi do tego dość stoicko – dodał. – To klasnięcie to nasze wzruszenie ramionami. Generalnie „życie jest do dupy...

–...a potem się umiera” – dokończyła Kosutic i kiwnęła głową. – Jasne.

Stopy Eleanory rozjechały się na błotnistym zboczu, a ona sama klapnęła ciężko na tyłek. Wstrząs przeniósł się boleśnie wzdłuż kręgosłupa do czaszki, a O'Casey zaczęła ześlizgiwać się w dół. Zamachała dziko rękami, próbując się czegoś złapać, ale zatrzymała ją dopiero dłoń, która zacisnęła się na jej lekkim plecaku. Eleanora spojrzała przez ramię i obdarowała wybawcę zmęczonym uśmiechem.

–Dzięki, Kostas – westchnęła.

Przetoczyła się na brzuch i spróbowała wstać, ale nie dała rady. Błoto, upał, gryzące owady i bolące mięśnie pleców i nóg po ostatnich dwóch dniach wysiłku zrobiły swoje.

–O, Boże – wyszeptała. – Chcę po prostu umrzeć i mieć to już z głowy.

Mardukański insekt, bardziej z ciekawości niż złośliwie, wylądował na jej uchu i zaczął badać jego wnętrze. O'Casey zebrała resztki energii, gwałtownie potrząsnęła głową i pacnęła owada, ale zaraz potem osunęła się z powrotem w błoto.

–No, no, proszę pani – uśmiechnął się Matsugae. – Już prawie dotarliśmy do wioski Corda. Nie może się pani teraz poddać. – Służący złapał ją za szelki plecaka i pomógł stanąć na nogi.

O'Casey zachwiała się i oparła o drzewo. Jej ręka pokryta była mrowiem spuchniętych śladów po ukąszeniach, dlatego dużo bardziej uważała, gdzie kładzie ręce. To drzewo jednak chyba nie chciało jej zabić, więc z wdzięcznością się o nie oparła.

Byli już poniżej linii chmur i wchodzili na obrzeża pokrywającej całą planetę dżungli. Szli wzdłuż rzeki, która coraz bardziej się rozszerzała, aż teren zrobił się zbyt bagnisty, by dalej trzymać się jej brzegów. Kompania odbiła na południe, ale wciąż maszerowała równoległe do biegu rzeki, chociaż jej szum trudno było wychwycić wśród odgłosów dżungli.

Bez przerwy towarzyszył im rój latających owadów. Mardukańska wersja miała osiem nóg i sześć skrzydeł, w przeciwieństwie do ziemskiego układu: sześć nóg na cztery skrzydła. Miejscowe insekty miały rdzeń egzoszkieletów zbudowany z polimeru aramidowego, pod pewnymi względami podobnego do kevlaru. Ponieważ był on lżejszy i mocniejszy od chityny, pozwalał istnieć gatunkom, które na Ziemi – oraz na większości innych planet – uchodziłyby za niezwykle wielkie.

Żyły tu tysiące różnych odmian żuków, niektóre naprawdę ogromne. Większość wydawała się koncentrować na ryciu wśród gnijących liści, inne zaś łączyły siły z miejscowymi odpowiednikami komarów i meszek, na zmianę z nimi kęsając ludzi. Wokół marines roiły się tuziny gatunków insektów, od maleńkich, przypominających komary do tego stopnia, że żołnierze nazwali je po prostu moskitami, do wolno

latających żuków wielkości sójki, których nieregularne ataki odpierano za pomocą multinarzędzi ustawionych w tryb toporka. Maskujące mundury były odporne na najzacieklesze ataki owadów, można też było zaniknąć je całkowicie. Mimo że mundury aktywnie wymieniały dwutlenek węgla i tlen, nie dawały sobie z tym rady przy wytężonym wysiłku. Marines raz na jakiś czas zamykali się szczelnie, by uciec przed insektami, niedługo potem jednak musieli otwierać hełmy i łąpać głębokie oddechy. A potem pluć komarami.

Szum owadów jednak, mimo że bliski, był zagłuszany przez resztę odgłosów leśnego życia.

Powietrze rozbrzmiewało dziwnymi krzykami – tu ostry gwizd, tam chrapliwy ryk, a w oddali wycie jakiejś bestii świętującej zwycięstwo lub broniącej swojego terytorium, a może po prostu tęsknie wzywającej partnera.

Atmosfera była też przesiąknięta dziwnymi zapachami. Odór zgnilizny był niemal taki sam na wszystkich azotowo-wodorowych planetach i tak samo silny w każdej dżungli, ale tutaj czuć było tysiące, miliony innych zapachów.

Również wzrok miał się do czego przyzwyczajać. Dżungla była paletą jaskrawych kolorów, spowitych ponurym półmrokiem.

Kombinacja pokrywy chmur i potrójnego sklepienia koron drzew sprawiała, że podszycie pogrążone było w mroku rzadko spotykanym na Ziemi, za to swoiście pięknym.

Kołysząca się niedaleko głowy O'Casey liana udekorowana była maleńkimi karmazynowymi pąkami. Wydzielany przez nie ciężki zapach wabił tuziny podobnie ubarwionych motyli. Insektoidy były gładkie, w przeciwieństwie do swoich mechatych ziemskich odpowiedników, ale równie jaskrawo wzorzyste. Na oczach O'Casey w ich środek skoczył z gałęzi purpurowy żuk-pająk i schwytał jednego. Rój nektarozerców wzbił się karmazynową chmurą, która na moment okryła naczelnickę świty kłębem czerwieni.

O'Casey wciągnęła zapach wspaniałych pąków. Maleńki drapieżca skończył pożerać swoją ofiarę, po czym wciągnął się z powrotem na gałąź. Kiedy Eleanora odpoczywała, minęła ją większa część kompanii, teraz więc musiała pospieszyć się, żeby wrócić na przydzielone miejsce w kolumnie.

Pahner umieścił „pasażerów”, jak ich nazywał, tuż za grupą dowodzenia. Oprócz Eleanory i Kostasa, zaliczali się do nich piloci czterech promów. Gdyby udało im się zdobyć port, piloci byli jedyną szansą porwania statku międzygwiazdowego i ucieczki z układu, więc utrzymanie ich przy życiu było prawie tak samo ważne jak zapewnienie przeżycia Rogerowi.

O'Casey zdawała sobie sprawę, że ani ona, ani Kostas nie znajdują się na pierwszych miejscach listy priorytetów Pahnera. Kapitan zamierzał dotrzeć do portu, ponosząc po drodze jak najmniejsze straty, ale gdyby musiał pożegnać się z jakąś uczoną albo służącym, cóż, niech tak będzie.

Nie mogła mieć do niego pretensji, ale nie musiało jej się to podobać. Wątpiła, żeby Roger kiedykolwiek się nad tym zastanawiał, ponieważ prawdopodobnie protestowałby, gdyby przyszło mu stracić któregokolwiek członka swojej „świty”.

Wniosek, że człowiek odpowiedzialny za utrzymanie ich wszystkich przy życiu uznał ją – z żalem – za zbędną, dawał do myślenia. Przez całe życie działała według własnych reguł... W pracy naukowej reguły te były dość bezlitosne. Pamiętała, że często patrzyła z góry na tych, którzy wypadli z akademickiego toru, ale nawet oni znajdowali mniej satysfakcjonujące, ale intratne zajęcia.

W tym wypadku było inaczej. Teraz stawiała czoła fizycznemu wyzwaniu, którego stawką było dosłownie życie albo śmierć, i instynktownie wiedziała, że jeśli poprosi o łagodniejsze traktowanie, jej prośba spotka się z odmową. Nic nie znaczyła w porównaniu z powodzeniem zadania, nie można było ryzykować dla niej bezpieczeństwa całej kompanii. Ona i Matsugae musieli „maszerować albo umrzeć”.

O'Casey była prawie pewna, że ją spotkają obie te rzeczy, ale Kostas wydawał się znosić warunki całkiem nieźle. Wiecznie niezadowolony mały służący niósł plecak prawie tak wielki jak mechanik, ale dotrzymywał kroku żołnierzom bez słowa skargi, a po drodze kilka razy jej pomógł. Szczerze mówiąc, była tym zaskoczona.

Wyprostowała się i ruszyła wydeptanym w błocie szlakiem zostawionym przez przemarsz żołnierzy. Marines dookoła niej zwracali taką samą uwagę na tyły co na flanki, zrozumiała więc, że znalazła się niebezpiecznie blisko końca kolumny. Przyspieszyła kroku i spojrzała na służącego, który cały czas szedł za nią krok w krok.

–Nie wyglądasz, jakbyś miał z rym marszem jakiegokolwiek problemy, Matsugae – powiedziała cicho.

–Och, tego bym nie powiedział, proszę pani – odparł służący, poprawiając szelki plecaka z wewnętrznym stelażem, który wraz z maskującym mundurem wydano mu z zapasów kompanii. Leniwie pacnął moskita i mrugnął do uczonej, – Obawiam się, że sporo czasu spędziłem podczas safari z Rogerem w miejscach prawie tak samo nieprzyjemnych, jak to, chociaż, muszę przyznać, nigdy w warunkach tak... ekstremalnych i improwizowanych. Ale myślę, że wszystkim jest ciężko, nawet marines, czy to po nich widać, czy nie.

–Przynajmniej nie masz kłopotów z nadążaniem – powiedziała gorzko.

Czuła się, jakby ktoś wbijał jej gorące noże w nogi, a dotarli dopiero do końca pochyłości. Oznaczało to przekroczenie płytkiego strumienia i wspięcie się na kolejne wzgórze, które wyglądało na jeszcze wyższe niż ostatnie. Ślizgając się w gorącym błocie, nie mogąc się przytrzymać drzew w obawie przed robactwem, padając ze zmęczenia i w ciągłym strachu...

–Musi pani po prostu stawiać krok za krokiem, proszę pani – powiedział służący. Oparł stopę na wydeptanej ścieżce prowadzącej w górę zbocza i podał naczelnicze świty rękę. – Hej-hop!

O’Casey wzięła go za rękę.

–Dziękuję, Kostas.

–Już niedaleko, proszę pani – uśmiechnął się Matsugae. – Już zupełnie niedaleko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wioska stała na szczycie wzgórza, otoczona ostrokołem z pali i cierni.

Samo wzgórze położone było u zbiegu sporego strumienia i rzeki, wzdłuż której maszerowała kompania. Z jednej strony wzniesienia rzeka z hukiem przelewała się przez kataraktę, z drugiej – zasilona wodami potoku – rozlewała się tak szeroko, że prawdopodobnie można było nią spławiać barki. W miarę jak schodzili coraz niżej, oczywiste stało się, że okolica jest regularnie zalewana. Wioskę zbudowano na wzniesieniu, by uniknąć powodzi, poza tym wylewy musiały utrudniać nawigację.

Kiedy kompania zbliżyła się do wzgórza, zaczął padać deszcz. Nie łagodny i równomierny, jakim chmury hojnie zraszają spaloną ziemię, nawet nie ostra ulewa potężnego frontu pogodowego. Z nieba runęło wgniatające w ziemię, zalewające wszystko, tropikalne oberwanie chmury, tak potężne, że jego pierwsze uderzenie przewróciło co słabszych członków kompanii.

–Czy to normalne? – krzyknął Roger do Corda, kiedy kompania z trudem pięła się pod górę.

–Co? – spytał Mardukanin, podciągając trochę wyżej swoją skórzaną płachtę.

–Deszcz! – wrzasnął książę, pokazując na niebo.

–Och, deszcz – powiedział Cord. – Oczywiście. Kilka razy dziennie. Czemu pytasz?

–Świetnie – mruknął Pahner, który podsłuchiwał rozmowę.

Roger przesłał pigułkę językową, którą skompletował podczas całodziennego marszu, do tootsów pozostałych, dzięki czemu żołnierze byli w stanie przekładać lokalny język na swój własny.

Wszyscy spodziewali się, że mając podstawy, będą w stanie szybko opanowywać kolejne dialekty.

–Powiniennem iść na czoło kolumny – zauważył Cord. – Jestem pewien, że byłem obserwowany, ale moi ludzie muszą się upewnić, że nie jestem jeńcem ani *kractan*.

–Jasne – zgodził się Roger i spojrzał na Pahnera. – Idzie pan, kapitanie?

–Nie – powiedział marine i włączył komunikator. – Kompania, stój. Nasz tubylec idzie nas przedstawić.

–Zostanę tutaj – dodał i podniósł przywołujące rękę. – Despreaux!

–Tak jest! – zgłosiła się plutonowy.

Skanowała zarośla ręcznym skanerem i nie podobało jej się, że cały czas coś wykrywa, ale nie jest w stanie nic namierzyć.

–Idziecie ze swoją drużyną do przodu, z księciem i Cordem.

–Zrozumiałam, sir. – Despreaux machnęła rękaw stroną czoła kolumny. – Ruszać się, marines.

Odłożyła skaner i jeszcze raz popatrzyła na północ. Coś tam było, wiedziała to, ale cały czas jej umykało.

Cord i Roger przeszli na czoło kolumny, otoczeni przez żołnierzy z drużyny Despreaux. Kompania rozproszyła się w standardowym wrzecionowatym szyku, a większość marines legła bez ruchu na ziemi, kryjąc się przed możliwym atakiem. W strefie walki nie istniało pojęcie bezpieczeństwa, ale oddział, który zatrzymał się chwilowo w polu, był w najgorszym możliwym położeniu. Jeśli wróg nie miał czasu zastawić zasadzki, poruszająca się jednostka była trudnym celem, tak samo jak taka, która zdążyła się okopać. Kompania, która dopiero co się zatrzymała, może zostać zaatakowana w każdej chwili i nie jest na to przygotowana.

Dlatego dobrze wyszkoleni żołnierze, tacy jak marines z Osobistego Cesarzowej, bardzo nie lubią takich sytuacji.

*** * ***

Cord ruszył ubitą ścieżką do przerwy w palisadzie. Kiedy podszedł bliżej, w bramie pojawił się inny, podobnie wyglądający Mardukanin. Na widok Corda, któremu najwyraźniej nic nie groziło ze strony idących za nim ludzi, pomachał górną parą ramion.

–Cord! – zawołał. – Przyrowadzasz niespodziewanych gości!

–Delkra! – odkrzyknął szaman, machając włócznią. – Przecież śledziliście nas od kilku godzin!

–Oczywiście – zgodził się witający.

Cord i Roger wraz z żołnierzami wspięli się na szczyt wzgórza.

Ostatni kawałek ścieżki był tak stromy, że w zboczu trzeba było wyciąć stopnie, wzmocnione kamieniami i drewnianymi kołkami. Wierzchołek z grubsza wyrównano; przez przerwę w palisadzie Roger zobaczył fragment wioski. Wyglądała prawie tak samo jak osady na innych planetach. W centrum sporego placu wykopana była

jama na wioskowe ognisko. Tuż za palisadą zaczynały się kryte strzechą wiklinowe chaty, gęsto ustawione wejściem do środka wsi. Podobieństwo osady do wiosek budowanych niegdyś w dorzeczu Amazonki zadziwiłoby Rogera, gdyby nie to, że polował na wielu prymitywnych planetach. Wiedział, że z błota i patyków trudno zbudować coś innego.

–D’Net Delkra, mój bracie – powiedział Cord, poklepując witającego po górnym ramieniu. – Muszę cię przedstawić mojemu nowemu *asi-agun*.

Odwrócił się do Rogera.

–Rogerze, księżę Imperium, to mój brat D’Net Delkra, Wódz Ludu.

Delkra zasyczał i klasnął wszystkimi czterema rękami.

–Ajajaj! *Asi-agun!* W twoim wieku? To niedobrze, bracie, bardzo niedobrze! A jak twoja wyprawa?

Cord klasnął prawą górną ręką w lewą dolną w geście zaprzeczenia.

–Spotkaliśmy się po drodze. Uratował mnie przed *flar* bez wyraźnej potrzeby, nie będąc w niebezpieczeństwie i nie należąc do mojego plemienia!

–Ajajaj! – powtórzył Delkra. – Faktycznie, dług *asi*.

Wódz, nieco wyższy od szamana, odwrócił się do księcia, który otworzył hełm. Warunki w pancerzu były bardziej znośne niż wilgoć i upał panujący na zewnątrz, ale Roger uznał, że bardziej dyplomatycznie będzie rozmawiać z Delkra, najwyraźniej kimś ważnym w lokalnej hierarchii, bez zasłony na twarzy.

–Dziękuję ci za życie mojego brata – powiedział Mardukanin – ale nie mogę być szczęśliwy. Został niewolnikiem i nie wypełnił swojej misji.

–Moment! – przerwał Roger. – O co chodzi z tym „niewolnikiem”? Ja tylko zastrzeliłem... *flar*?

–Więź *asi* to najsilniejsza ze wszystkich więzi – wyjaśnił wódz. – Ocalenie komuś życia nie ze strachu i nie dla korzyści wiąże tego kogoś z wybawcą na całe życie – to i następne.

–Co? – Roger próbował zrozumieć, o co chodzi z „niewolnictwem”. – Wy nigdy sobie nie pomagacie?

–Oczywiście, że pomagamy – powiedział Cord. – Ale należymy do jednego klanu. Pomóc drugiemu to pomóc klanowi, a ten klan z kolei pomaga nam. Ale ty nie miałeś

powodu, żeby zabijać *flar*. Na moje życie, nie jestem pewien, czy powinieneś być to robić.

–Mógł zaatakować kompanię – zauważył Roger. – Dlatego strzeliłem. Nawet cię nie widziałem.

–W takim razie to przeznaczenie – powiedział Delkra i klasnął w dłonie. – Nie zagrażał tobie ani twojemu... – spojrzał na czekających na zboczu marines – klanowi?

–Nie – przyznał Roger. – Nie w tamtym momencie. Ale widziałem, że jest niebezpieczny.

–Karma – powiedział Cord z podwójnym klaśnięciem. – Wieczorem dopełnimy więzi. Delkra, proszę cię o schronienie na noc dla mnie i dla klanu mojego *asi*.

–Och, oczywiście – zgodził się wódz, wychodząc przed palisadę. – Oczywiście. Chodźcie schować się przed deszczem!

* * *

–Mamy duchy na całej długości kolumny. – Porucznik Sawato skończyła właśnie obchód. Pahner obserwował negocjacje na szczycie wzgórza. Porucznik rozejrzała się i potrząsnęła głową.

–Mam dziwne wrażenie...

–Jesteśmy otoczeni przez wojowników plemienia – powiedział Pahner nieobecny tonem. – Są nieźli. Poruszają się wolno, więc nasze detektory ruchu nie mają pewności, czy coś wykrywają... Poza tym są zmiennocieplni i nie pokazują się na czujnikach ciepła. Nie mają żadnych źródeł energii, żadnego metalu oprócz kilku noży i ostrz włóczni, a nasze sensory nie są nastawione na ich system nerwowy. – Kapitan wyjął paczkę gumy do żucia, w zamyśleniu wyciągnął z niej jeden płatek i wrzucił go sobie do ust. Wytrząsnął wodę z opakowania, po czym schował je do kieszeni.

–Niech pani spojrzy w lewo. Rośnie tam takie duże drzewo z wystającymi korzeniami. W połowie wysokości jest gałąź, obrośnięta... czymś obrośnięta. Proszę spojrzeć wzdłuż gałęzi, jakieś pięć metrów, tuż przed czerwoną plamą. Pół metra na prawo od niej. Włócznia.

–O cholera – zaklęła cicho Sawato.

Szumowiniak ukrył się jak profesjonalny snajper. Wyglądał, jakby okrył się czymś, co maskowało kontury jego sylwetki.

–Co z tym zrobimy?

–Zakodujemy w czujnikach wzorzec ich systemu nerwowego. Po dzisiejszym wieczorze będziemy mieli dość danych, żeby to zrobić. Jak już się z rym uporamy, będziemy mogli wykryć każdego szumowiniaka w promieniu pięćdziesięciu metrów. Ostrzeżcie ludzi, że oni tam są. Nie chcemy żadnych wypadków.

–W takim razie każę to podać dalej, dobrze? – spytała Sawato.

Pahner wygląda, jakby zupełnie go to nie dotyczyło, pomyślała.

–Tak, tak, proszę bardzo. Zresztą negocjacje idą chyba dobrze. Byłem ciekaw, czy zrobi się gorąco.

*** * ***

–Wiesz – powiedział Julian – byłem już przypalany, wysadzany w powietrze, zamrażany i wyrzucany w próżnię, ale pierwszy raz martwię się, że mnie zmyje deszcz.

Deszcz jeszcze nie zelżał, a niewielkie zagłębienie za zwalonym gnijącym drzewem, które zajął dowódca drużyny, szybko wypełniało się wodą. Podnosząca się woda i waga jego pancerza sprawiały, że powoli zapadał się w błoto.

–Albo, że się utopię – dodał.

–Nie przesadzaj – powiedział Moseyev, odsuwając lufą śrutownicy gałąź paproci. – To zwykła mżawka. – Był pewien, że coś ich obserwuje, ale nie miał pewności, co.

–Zwykła mżawka, jasne – potrząsnął głową Julian. – To tak jakby powiedzieć, że na Syriuszu jest „trochę gorąco”, albo że Nowy Bangkok jest „odrobinę dekadentki”.

–Nic ci nie będzie – powiedział Moseyev. – Pancerz ma zapas powietrza na prawie dwa dni.

Dowódca sekcji ogniowej przekrzywił głowę, kiedy hełm podświetlił kolejny możliwy cel. Punkt zaraz jednak znikł.

–Cholera. Ciekaw jestem, skąd to się bierze?

–Według mnie z wilgoci – powiedział Julian, opuszczając karabin. – Ale skoro wszyscy mamy te same duchy, to pewnie coś w dżungli.

–Uwaga – zatrzeszczał w radiu opanowany sopran porucznik Sawato. – Odczyty-duchy to tubylcy. Bez nerwów, są pokojowo nastawieni. Niedługo wejdziemy do ich wioski, więc pewnie się pokażą. Nie strzelać. Powtarzam, nie strzelać.

–Wszyscy zrozumieli? – zawołał Julian, wstając, żeby się upewnić, że widzi wszystkich członków drużyny. – Nie strzelać do partyzantów.

–Zrozumiano, szefie – potwierdził Macek. – „Tubylcy są pokojowo nastawieni”. Jasne.

Szeregowy zajmował pozycję na skraju sektora drużyny. Był w niej najkrótszy stażem. Jeśli on usłyszał rozkaz, pozostali pewnie też, ale Julian nie trafiłby do Osobistego Cesarzowej opierając się jedynie na „pewnie”.

–Łapy w górę, że nie strzelamy – powiedział i upewnił się, że wszyscy podnieśli ręce, zanim opadł z powrotem w kałużę. Narzekał na nią, ale zagłębienie było najlepszą kryjówką w okolicy. Nawet jeśli zamieniało się w małe jezioro.

–„Służę Imperium” – wyrecytował wers prastarej litanii Moseyev. – „Chcę ci pomóc”. – Podniósł rękę.

–„Nie martwcie się, strefa zrzutu jest zimna” – dodał Cathcart zza karabinu plazmowego. Ręka w górze.

–„Do koszar zawiozą nas ciężarówkami” – powiedział ponuro Mutabi. Środkowy palec w górze.

–Stary, musiałeś to powiedzieć! – zachichotał Julian. – Moje biedne nogi.

*** * ***

–W dupę kopane – powiedział Poertena. – Tyko tego nam było trza. Żeby nas otoczyli ludożercy.

–Luz, Poertena – poradziła mu Despreaux. – Nie mają złych zamiarów.

–Jasne, nie majom – odparł mechanik. – Po co siem bić z obiadem, jak sam może wskoczyć do gara.

Jeszcze to mówił, kiedy wizjer jego hełmu podświetlił cel. I następny. Wszędzie zaczęły wyskakiwać ikony kontaktów, a z deszczu wyszedł szereg Mardukan.

–O żesz kurwa – zaklął cicho Poertena. – Cwana sztuka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Kompania z trudem zmieściła się w obrębie palisady. Marines i ich sprzęt powciskali się we wszystkie zakamarki, a kobiety plemienia, znacznie niższe niż mężczyźni-wojownicy, wyniosły jedzenie, rozpoczynając przygotowania do wieczornej uroczystości. Kompania w miarę możliwości dołożyła się do menu. Mimo tego, że zabrane ze statku racje żywnościowe były niezwykle istotne, niektóre ich składniki nie miały szans przetrwać w panujących na Marduku warunkach, dlatego też dodano je do podanych przez tubylców potraw.

Tace kaszy, podobnej z wyglądu do ryżu, lecz smakującej bardziej jak jęczmień, oraz drewniane rzeźbione misy z owocami rozstawiono między gośćmi i gospodarzami. Podstawowym gatunkiem był brązowy owalny owoc o grubej niejadalnej skórce i czerwonym soczystym miąższu, przypominający w smaku kiwi. Ponieważ rósł na drzewach podobnych do palm, ludzie natychmiast zaczęli nazywać go kiwidaktylem albo daktiwi. Oprócz kaszy i owoców podano tace z parującym zwęglonym mięsem, za to jednak większość ludzi podziękowała.

Do picia Mardukanie dali rodzaj wina z soków owocowych, nie tylko fermentowanego, lecz również destylowanego. Tak jak ludzie, tubylcy przyswajali alkohol dla przyjemności – po ostrożnym spróbowaniu mocnego napoju starszy sierżant upomniała sierżantów plutonów. Upomnienia przekazano w dół łańcucha dowodzenia, aż wszyscy, do najmłodszego szeregowego, wiedzieli, jaka kara grozi im za schlanie się w środku potencjalnie niebezpiecznej dżungli. Mardukanie podali też gęste i cierpkie piwo, które część marines uznali za doskonałe, a część za obrzydliwe.

Żołnierze starali się stosować do zwyczajów swoich gospodarzy, garściami nabierając kaszę i owoce oraz odganiając zbierające się tłumnie owady, trzodę i zwierzęta domowe.

Trzon wieczerzy stanowiła duża, jaszczuropodobna istota, piekąca się na rożnie na środku wsi. Obcięto jej głowę, ale samo masywne ciało mierzyło półtora metra długości, a jeszcze dłuższy ogon zwisał w ogniu. Rożnem z wielką powagą i namaszczeniem obracało mardukańskie dziecko – jedno z kilku biegających po ogrodzonej palisadą osadzie.

Mardukanie byli żyworodni, przychodzili na świat w miotach po czworo lub więcej dzieci. Noworodki były bardzo małe, zaledwie wielkości ziemskiej wiewiórki, i większość czasu spędzały przyklejone do pleców matek, zanurzone w odżywczym śluzie. Niedorośli Mardukanie plątali się wszystkim pod nogami, przemieszani z trzodą, zwierzętami domowymi, a teraz także żołnierzami.

O'Casey przerwała stukanie w swój pad i potrząsnęła głową.

–Muszą tu mieć strasznie dużą śmiertelność wśród dzieci – powiedziała, ziewając.

–Dlaczego? – spytał Roger.

Jako jedna z gwiazd wieczoru został usadowiony na honorowym miejscu pod trzciniowym daszkiem przed chatą Delkry. Wziął kawałek zwęglonego mięsa z dużego liścia służącego za tacę i rzucił go jednemu z jaszczuropolodopodobnych stworzeń, wpatrujących się w niego błagalnym wzrokiem. Zwierzak rzucił się na ochłap, ale został odepchnięty przez większego pobratymca. Duży czerwono-brązowy stwór, o skórze guzowatej jak żaba, sześciu łapach i krótkim grubym ogonie, podszedł do księcia i zaczął obwąchiwać jego tacę. Roger go odpędził.

–Dlaczego tak sądzisz? – powiedział, wciąż patrząc na mniejszego zwierzaka.

Mały jest interesujący, pomyślał. Łapy nie wyrastały mu na boki jak u jaszczurek, lecz prosto w dół, tak jak u ziemskich ssaków, a ślepia miał o wiele inteligentniejsze niż jakikolwiek ziemski gad.

Ale i tak przypominał sześciolapą jaszczurkę.

–Te wszystkie dzieci... – powiedziała O'Casey, zamykając pada. – Na każdego dorosłego przypada tu sześcioro dzieci poniżej, jak sądzę, wieku rozrodczego. Porównaj to z ludźmi. Albo mają niesamowite tempo przyrostu naturalnego, albo dużą śmiertelność dzieci. A nie widzę tu oznak przyrostu populacji. Dlatego...

–Dlaczego tak się dzieje? – spytał nieobecny tonem Roger, podając jaszczurce następny kawałek mięsa. Stwór przysunął się nieufnie, obwąchując kąsek i zerkając na boki. Kiedy upewnił się, że nic mu nie zagraża, obnażył dwucentymetrowe kły i zasyczał, po czym z prędkością atakującego węża rzucił się na kawałek jedzenia, który trzymał w ręku Roger. Zrobił to bardzo precyzyjnie – księciu został w palcach maleńki strzępek mięsa, obcięty równo na milimetr przed ich opuszkami.

–Jej – powiedział Roger, wycierając rękę.

–Och, różnie. Najważniejszym czynnikiem jest według mnie barbarzyństwo. – O'Casey oparła się o plecak Matsugae. Służący zostawił wypchany toból pod jej opieką, a sam poszedł przejść się po wiosce i zobaczyć, jak Mardukanie gotują. Dyskutował właśnie z jakąś kobietą, która wyszła z jednej z chat, by polać jakimś sosem piekącą się jaszczurkę.

–Ludzie ewoluują do poziomu barbarzyństwa i najczęściej tam się zatrzymują. Pod jego naporem powstają i padają małe cywilizacje. – O'Casey ziewnęła i pomyślała o historii Ziemi, a także niektórych kolonii zasiedlonych przez ekspedycje podświetlne.

– Czasami wydaje mi się, że barbarzyństwo, przy wszystkich swoich potwornościach – a jest ich sporo – jest naturalnym stanem gatunków myślących. Tyle razy ludzkość osuwała się w barbarzyństwo narożnych planetach... Groziło nam ono na skalę międzygwiazdną w Czasach Daggerów i chyba tylko dzięki twojej praprapra... babce udało nam się tego uniknąć. I bynajmniej nie dlatego, że o to jej chodziło...

Przerwała i ziewnęła, po czym skrzywiła się i przeciągnęła.

–Boże, ależ mnie wszystko boli – powiedziała, po czym opadła na plecak i zamknęła oczy. – Co, dodam, jest jednym z czynników śmiertelności – życie w dżungli nie jest łatwe. To bardzo konkurencyjne środowisko. Cały czas coś próbuje cię zjeść, a znaleźć coś do zjedzenia dla siebie nie jest tak łatwo.

Otworzyła oczy i spojrzała na Rogera. Znów zaczynało padać. Łoskot deszczu o trzciniowy daszek działał usypiająco.

–Roger, jesteśmy w dżungli – powiedziała dziwnie dwuznacznym tonem, – Dżungla stara się zabić cię. Zawsze próbuje. – Przerwała i uśmiechnęła się do niego. – Wiele razy próbowałam zmusić cię, żebyś mnie posłuchał, ale spróbuję jeszcze raz. Musisz uważać na to, co mówisz. Musisz się pilnować. Ucz się od Pahnera, nie wkurzaj go, dobrze?

Księżę otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Eleanora uciszyła go machnięciem ręki.

–Po prostu... po prostu od czasu do czasu ugryź się w język, dobrze? To wszystko, o co proszę.

Ostatnie dwa dni zupełnie ją wyczerpały. Czowała, że mimo wysiłku woli zasypia. Organizacja społeczna tubylców była wprawdzie fascynująca, ale szansa trafienia u Rogera na chęć nauczenia się czegoś poza sportem i polowaniem była bardzo niewielka. O’Casey po prostu nie mogła utrzymać oczu otwartych.

–Dżungla jest piękna – powiedziała niewyraźnie – dopóki nie musisz w niej zamieszkać.

Jej powieki opadły i mimo upału, much i hałasu przygotowań do uroczystości, zasnęła.

* * *

–Jestem z ciebie dumny, bracie – powiedział Cord, przyglądając się przygotowaniom do uczyty. Szczodrość plemienia pokazywała, że nie są byle kim. Było ważne, żeby ten „Roger” to zapamiętał.

–Przynajmniej tyle mogę zrobić dla mojego brata – odparł Delkra. – Ajaj! I dla tych dziwnych obcych. – Zamilkł na chwilę, po czym roześmiał się chrapliwie. – Wiesz, wyglądają jak *basik*.

Cord kłapnął zębami.

–Tak, też mi się tak kojarzą.

Małe *basik* były często spotykane na polanach w dżungli. Ich środkowa para łap zanikła; kiedy czegoś się bały – czyli właściwie cały czas – uciekały na tylnych nogach, luźno machając przed nimi. Małe dzieci uczyły się na nich polować, ponieważ *basik* były małe, nieszkodliwe, tchórzliwe i głupie. Bardzo głupie.

–Przyzwyczaj się do tego, bracie – zaśmiał się ponownie Delkra. – Innym będą się kojarzyć tak samo.

–Pewnie tak – przyznał Cord. – Demony wiedzą, że w dżungli zachowują się właśnie tak głupio. Ale mimo tego, że tylko dwa razy widziałem ich broń w użyciu, nauczyłem się jej obawiać. A gwardia władcy rzadko kiedy rekrutuje się z najgłupszych. Nie wolno ich nie doceniać.

Delkra klasnął dolnymi rękami i niespodziewanie zmienił temat. – *Asi*, w twoim wieku!

–Ciągłe to powtarzasz, bracie – zauważył Cord. – Sam nie jesteś taki znów młody.

–To prawda – odparł nieco kwaśno wódz.

Cord oczywiście rozumiał. Obaj mieli niedługo zejść ze Ścieżki Wojownika, a chociaż ci, którzy ją przeżyli, zyskiwali wielkie poważanie, mało kto żył dość długo, by się nim nacieszyć. Żaden z nich nie chciał o tym rozmyślać. Szaman rozejrzał się, szukając nowego tematu. Jego wzrok omiótł znaną mu dobrze osadę, którą wkrótce miał opuścić na zawsze. Nagle Cord zmrużył oczy.

–Gdzie jest Deltan? Poluje?

–Zjednoczył się z mgłą – powiedział Delkra, pocierając o siebie dłonie, by odegnać pecha. – *Atul*.

–Co? – sapnął szaman. – Jak? Zaskoczył go?

–Nie – warknął wódz. – Pękł grot włóczni.

–Ajaj! – powiedział Cord, ale nie pokazał po sobie emocji, które prawie nim owładnęły. Nie miał dzieci, nawet córek. Gody, które odbył dawno temu, zakończyły

się śmiercią jego żony, spowodowaną ogólnym zakażeniem. Od tamtej pory nie wybrał sobie drugiej partnerki, a dzieci jego brata zaczął traktować jak własne. Delkra miał ich dużo – połowa kobiet w plemienu obdarzyła go przynajmniej jednym miotem, a wódz miał skłonność do płodzenia synów.

Deltan jednak był wyjątkowy. Zdradzał talent do nauki i Cord miał nadzieję, że młody wojownik któregoś dnia pójdzie w jego ślady. Teraz wszystko przepadło. To, że szaman musiał odejść ze swoim *asi* i nie miał komu przekazać tradycji, źle wróżyło plemieniu. Cord miał nadzieję, że przed opuszczeniem wioski nauczy Deltana najważniejszych rzeczy, a może nawet zabierze go ze sobą na jakiś czas.

–Aj – powtórzył. – Złe czasy. Żelazo?

–Złe – splunął wódz. – Miękkie i przegniłe pod błyszczkiem na wierzchu. Wyglądało dobrze, ale...

–Aj – powiedział szaman. – Ale...

–Nie mamy wyboru – przerwał mu wódz. – Musi być wojna.

Cord klasnął przeciwległymi dłońmi na znak sprzeciwu.

–Jeśli ruszymy na wojnę przeciw Q’Nkok, inne plemiona pozbierają nasze kości.

–A jeśli nie ruszymy – odpowiedział wódz – Q’Nkok będzie dalej zabierać nasze ziemie i dawać *feck* w zamian! Musimy mieć ziemie albo trybut. W tej chwili nie mamy ani tego, ani tego.

Cord oplótł kolana wszystkimi czterema rękami i zaczął się kołysać w przód i w tył. Jego brat miał rację – plemię było w sytuacji bez wyjścia. Nie mieli szansy przeżycia wojny z miejscowym państwem-miastem, ale nie mogli też pozwolić na dalsze praktyki nie do przyjęcia, a wojna była jedynym sposobem, by je ukrócić.

–Q’Nkok będzie naszym pierwszym postojem – zauważył po chwili. – Ludzie chcą kupić rzeczy, które mają tylko gównosiady. Porozmawiamy z ludźmi.

–Ale... – zaczął jego brat.

–Ludzie nie radzą sobie dobrze w dżungli – oddalił sprzeciw Cord – ale mimo to są bardzo mądrzy. Wiem, że to gównosiady, ale mądre i, według mnie, honorowe gównosiady. Gdyby był tu mój stary mistrz, zapytałbym go o radę. Dalekie Voitan padło, a razem z nim wszyscy jego bohaterowie. Nie mogę zapytać mistrza, dlatego zapytamy ludzi.

–Uparty z ciebie *flar* – powiedział Delkra.

Cord roześmiał się grzmiąco.

–Ale i tak mam rację.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Eleonorę obudziły wysokie atonalne zawodzenia i wolny, stłumiony dźwięk bębnów. Zatrzepotała powiekami i zamarła, sparaliżowana widokiem kołyszącej się larwy wampira. W kompletnych ciemnościach, oświetlana jedynie migoczącym blaskiem ognisk, istota wyglądała jak senny majak. Wydawała się kurczyć do rozmiarów gąsienicy, po czym gwałtownie spuchła i okazała się Mardukaninem w masce.

Tancerz kołysał się blasku ognia. Eleonora zamruwała oczami: długie, ociekające jadem kły bestii okazały się koroną, którą Mardukanin miał na głowie, a maskujące ubarwione ciało jego malowaną skórzaną opończę. Za nim tańczyło kilka innych postaci – olbrzymi, uzbrojony w szczypcę żuk, dwuręki waż, przypominający legendarną Nagę, i przypadnięta nisko do ziemi sześciopala bestia z paszczą pełną kłów rekina.

Opar snu, ogień, kołyszące ruchy tancerzy i powolna muzyka hipnotyzowały. Eleanora leżała jak zaczarowana, nie mogąc oderwać oczu od rytuału. Bicie w bębny zaczęło przyspieszać, a śpiew zrobił się jeszcze bardziej atonalny. Ruchy tancerzy przybrały na gwałtowności, aż wreszcie pieśń, idealnie już zgrana z rytmem bębnów, wspięła się i załamała gwałtownie. Tancerze zamarli.

Koniec przedstawienia zostawił widzów z przyjemnym uczuciem niedosytu. Między marines i Mardukanami zaczęły się zawiązywać rozmowy. Eleanora próbowała otrząsnąć się z senności. Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pomóc jej się rozbudzić, i sennym wzrokiem natrafiła na but.

Zamruwała i spojrzała do góry. Marine, do której należał but, stała na baczność nad głową O'Casey, z jedną ręką założoną za plecy, drugą zaś opartą o wysunięty do przodu karabin plazmowy. Eleanora rozejrzała się i zobaczyła jeszcze jednego żołnierza, tym razem grenadiera, stojącego przy nogach jej posłania. Interesujące.

Usiadła i przetarła oczy. Nie pomogło. Wciąż czuła się jak chodzący trup, przynajmniej jednak umysł miała jaśniejszy niż przed drzemką. Popatrzyła na marine stojącą u wezłowania.

–Jak długo spałam? – Przez całe popołudnie nie patrzyła na zegarek, więc to, która godzina była teraz, nic jej nie mówiło. Poza tym marine nie rozumiała pytania zadanego skrzeczącym głosem. O'Casey odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz.

–Szeregowa... Bosum, prawda? Jak długo spałam? Dziękuję, ale pilnowanie mnie było raczej niepotrzebne.

–Tak jest, proszę pani – marine spojrzała w dół i uśmiechnęła się. – Jego Wysokość kazał nam dopilnować, żeby nikt pani nie przeszkadzał. – Zastanowiła się nad drugim

pytaniem: – Nie wiem, jak długo pani spała, zanim przyszedliśmy, ale na straży staliśmy trzy godziny.

–W takim razie pięć albo sześć – wymamrotała Eleanora. – Powinnam czuć się lepiej po sześciu godzinach snu – jęknęła.

Wstała. Każdy staw w jej ciele wydawał się skrzypieć albo strzelać. Nogi bolały ją tak bardzo, że zakręciło się jej w głowie i zrobiło niedobrze. Zachwiała się, a marine pomogła jej stanąć prosto.

–Spokojnie, proszę pani – powiedziała. – Za kilka dni się pani przyzwyczai.

–Och, jasne – odparła gorzko O’Casey. – Łatwo wam mówić. Macie w środku tyle nanitów, że jesteście praktycznie cyborgami. Poza tym szkolono was do tego.

–Ale nie byliśmy tacy na początku – wtrącił drugi marine. – Podczas szkolenia podstawowego nie mamy systemów wspomagających.

–Ma rację – zgodziła się Bosum z denerwującą wesołością. – Na początku podstawowego wszyscy przez to przechodzimy. Teraz pani kolej – dodała ze złośliwym uśmiechem.

O’Casey przeciągnęła się i aż jęknęła, kiedy strzyknęło jej coś w plecach. Poruszyła ramionami, potem rękoma i nogami, niemal słysząc trzeszczenie stawów. Doszła do wniosku, że prysznic, kąpiel, jeszcze jeden prysznic, kilka tubek maści rozgrzewającej i dwie doby snu wystarczą, by doprowadzić ją do stanu używalności. Poza tym...

–Gdzie jest Jego Wysokość? – spytała, nie widząc na placu Rogera ani Pahnera, który cały czas trzymał się blisko niego.

–Zaprowadzę panią do niego – powiedziała marine z plazmą. Cała trójka ruszyła w głąb wioski, przeciskając się między tubylcami.

Roger, Pahner, Kosutic i starszyzna Mardukan siedzieli w pobliskiej chacie, przyglądając się uroczystościom. Księżę karmił właśnie jaszczura, którego najwyraźniej przyjął na własność. Uśmiechnął się, kiedy Eleanora wkuśtykała do środka.

–Panno O’Casey – powiedział formalnie. – Po drzemce wygląda pani znacznie lepiej.

Jaszczur poruszył się na jego kolanach i zasyczał cicho, kiedy naczelniczka świąty podeszła bliżej. Roger poklepał go lekko po łbie. Stwór przysiadł i wyciągnął szyję, by powąchać Eleanorę, i najwyraźniej uznał, że należą do tego samego stada. Niuchnął ostami raz, po czym obrócił się i zwinął w kłębek na kolanach księcia, jakby

tam właśnie było jego miejsce.

–Czuję się jak ożywiony trup – powiedziała O’Casey. – Gdybym wiedziała, że zabierasz mnie na poszukiwanie przygód, zainstalowałabym sobie przed wyjazdem odpowiednie usprawnienia.

Skinęła głową Matsugae, który podał jej plastikowy kubek z wodą i dwie tabletki przeciwbólowe.

–Dziękuję, Kostas. – Połknęła tabletki i popiła je wodą, która okazała się zaskakująco chłodna. Najwyraźniej schłodzono ją w jednym z pęcherzy. – Jeszcze raz dziękuję.

O’Casey rozejrzała się po zgromadzeniu. Rozproszeni po całej osadzie marines rozmawiali z Mardukanami znacznie sprawniej niż przedtem. Niektórzy czyścili broń, inni stali na straży, większość jednak zapoznawała się z tubylcami. Poertena wyciągnął skądś talię kart i najwyraźniej uczył kilku młodszych Mardukan pokera, inni żołnierze pokazywali swoje pady lub po prostu rozmawiali. Chorąży Dobrescu uruchomił punkt pomocy medycznej.

Pilot okazał się bezcennym skarbem. Do szkoły pilotażu trafił po szesnastu latach służby jako sanitariusz w oddziałach Raidersów.

Zazwyczaj Marynarka przydzielała oddziałom bojowym personel medyczny, Raidersi jednak byli Imperialnym odpowiednikiem oddziałów specjalnych Świętych. Musieli obywać się bez wsparcia przez długi czas, dlatego potrzebowali specjalnie szkolonych sanitariuszy, którzy potrafiliby coś więcej niż tylko założyć opatrunek i zdecydować, czy zapakować rannego do komory kriogenicznej. Ich program szkolenia obejmował wszystko od prymitywnych metod radzenia sobie z gangreną, po wykonywanie skomplikowanych operacji klatki piersiowej według przekazywanych drogą radiową instrukcji chirurga.

Ponieważ kompania księcia Rogera nie była przeznaczona do działania w odosobnieniu, nikt nie uznał za konieczne przydzielenia jej dobrze wyszkolonego medyka. Personel medyczny *DeGloppera* był potrzebny na pokładzie transportowca do stoczenia ostatniego pojedynku, a nawet Eva Kosutic jakoś nie pomyślała, że na powierzchni planety kompania będzie potrzebować opieki lekarskiej. Dlatego też obecność Dobrescu była bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

W tej chwili badał właśnie kilku Mardukan, którzy mu na to pozwolili, i robił co mógł, by wyleczyć ich liczne rany i infekcje, pospolite u wszystkich mieszkańców dżungli. Tak jak we wszystkich tropikalnych lasach, na Ziemi i innych planetach, najczęstszą dolegliwością były zakażone skaleczenia. Pokrywający Mardukan śluz stanowił jednak częściową ochronę, więc zakażenia wdawały się tylko tam, gdzie pokrycie

zostało uszkodzone.

Dobrescu zbadał skaleczenia i ustalił, że zakażenia mają podłoże grzybicze. Uniwersalna maść antygrzybicza łagodziła skutecznie ich objawy i nie wywoływała negatywnych skutków ubocznych. Co więcej, maść była produkowana przez pewien gatunek drożdży rosnących w galaretowatej pożywce, którą można było uzupełniać sterylizowanym rosołem. Był to jeden z niewielu samoregenerujących się systemów, jakie posiadali, co oznaczało, że nie musieli go specjalnie oszczędzać. Był to fakt korzystny również z tego względu, że podobne infekcje złapało kilku marines.

Przy pomocy maści i samoprzylegających opatrunków Dobrescu wyleczył wszystkie drobne dolegliwości mieszkańców wioski. Kilka poważniejszych przypadków zakażenia sprawiło mu więcej problemów, a z tajemniczą chorobą oczu nie poradził sobie wcale, generalnie jednak bardzo pomógł tubylcom.

–Co straciłam? – spytała O’Casey, patrząc, jak szczupły chorąży pakuje swoje przybory.

Najwyraźniej przez całą uroczystość pracował, podczas gdy ona spała. Uświadomienie sobie tego sprawiło, że własny brak kondycji wydał się jej jeszcze bardziej niepokojący.

–Och, spodobałoby ci się – przyznał Roger w standardowym angielskim, drapiąc po łbie jaszczura. Zwierzę zasyczało i potarło pyskiem o jego pierś.

–Mieliśmy tu uroczą małą ceremonię. Bardzo symboliczną, jak przypuszczam. Cord jeszcze raz przysiągł wierność mojej osobie, a ja z kolei przyrzekłem nie ryzykować niepotrzebnie jego życiem. Potem przeszliśmy rytuał związania i podjęliśmy się mnóstwa zobowiązań. Na końcu zaś musiałem zjeść trochę śluzu z pleców Corda – zakończył książę z grymasem.

Eleanora zachichotała i ostrożnie usiadła na ziemi. Chata składała się z trzech ścian z gałęzi i błota; zasłaniająca otwór wejściowy płachta z włóknistych liści czy trawy została podwinięta do góry. Posłania pod ścianami również przykryte były tkanymi matami, wplecionymi tak, by dało się jej przymocować kołkami do ziemi. W dusznym upale musiało pod nimi być bardzo ciepło.

–Przykro mi, że to opuściłam – powiedziała O’Casey i naprawdę tak czuła. Za trzeci doktorat, z antropologii, wzięła się dlatego, że uważała to za naturalne dopełnienie socjologii i nauk politycznych. Szybko jednak zrozumiała, o ile pełniejsze zrozumienie polityki danej kultury daje znajomość jej podstaw, a o to właśnie chodziło w antropologii.

–Nie wiem, skąd to całe zamieszanie. – Roger podgarnął włosy z karku. – Nie wierzę, że traktują w ten sposób wszystkich gości.

–Och, na pewno nie – powiedziała O’Casey, czując, że mgła spowijająca jej umysł zaczyna ustępować. – Nie rozumiesz znaczenia tego rytuału, prawda?

–Chyba nie – odparł Roger. – Nie rozumiem większości rytuałów, nawet tych na Ziemi.

Eleanora uznała, że natychmiastowe zgodzenie się z tym stwierdzeniem byłoby niestosownością. Upiła trochę coraz cieplejszej wody i zastanowiła się nad wyjaśnieniem.

–To było – powiedziała po chwili – coś między ślubem a pogrzebem.

–Ehm? – Roger wydawał się zaskoczony.

–Czy Cord zdjął coś albo założył? A może coś komuś dał?

–Tak – przyznał książę. – Dali mu nową płachtę zamiast tej, którą nosił do tej pory. I oddał włócznię i laskę jednemu z Mardukan.

–Kiedy schodziliśmy tu z płaskowyżu, rozmawiałam trochę z Cordem – powiedziała Eleanora. – To *asi* to rodzaj niewolnictwa, ubezwłasnowolnienia, wiedziałeś o tym?

–Dzisiaj to zrozumiałem – odparł ze złością Roger. – To wariactwo! Niewolnictwo w Imperium jest zakazane!

–Ale to nie jest świat Imperialny – zauważyła O’Casey. – Zaledwie zatknęliśmy tu naszą flagę, a socjalizacji nawet nie zaczęliśmy. Z drugiej strony myślę, że nie do końca rozumiesz sytuację. Po pierwsze, zastanówmy się nad definicją niewolnictwa.

Przerwała, zastanawiając się, jak wyjaśnić człowiekowi trzydziestego czwartego wieku niewolnictwo, małżeństwo i wszystkie ich podobieństwa, istniejące na Ziemi od tysięcy lat.

–Przez większą część dziejów cywilizacji... – zaczęła, a Rogerowi natychmiast zamglily się oczy.

Zawsze ciekawiły go bitwy, ale wystarczyło napomknąć o strukturach społecznych i zmaganiach frakcji, a od razu tracił zainteresowanie.

–Posłuchaj mnie, Roger – powiedziała O’Casey, patrząc mu w oczy. – Właśnie wzięłeś ślub z Cordem.

–Co?!

–Od razu zacząłeś uważać, co? – roześmiała się. – Ale to właśnie miało miejsce. Do tego wzięłeś go jako swojego niewolnika. Przez większą część dziejów cywilizacji

rytuały małżeństwa i zniewolenia były niemal identyczne. W tym przypadku poślubiłeś osobę, którą uratowałeś.

–Och, jak świetnie – mruknął Roger.

–Teraz musisz tę osobę utrzymywać do końca jej życia, a przypuszczalnie nawet po śmierci, w zaświatach.

–Jeszcze jedna gęba do wykarmienia – zażartował książę.

–To poważna sprawa, Roger – upomniała go Eleanora, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu. – Na tej samej zasadzie Cord musi wypełniać wszystkie twoje polecenia. Dla swojej rodziny jest już martwy. Stąd wzięły się prawdopodobnie uroczystości weselne. W najprymitywniejszych kulturach rytuały zawierania małżeństw praktycznie nie istnieją, za to pogrzebowe są bardzo rozbudowane. Istnieje teoria, z którą zgadza się wielu badaczy, że rytuały weselne wywodzą się właśnie z pogrzebowych, ponieważ panna młoda i pan młody opuszczają swoje rodziny... tak, jakby umarli.

–Użyłam terminu „poślubić”, bo wiedziałam, że przykuje to twoją uwagę – przyznała. – Mogłam jednak równie dobrze powiedzieć „bezterminowa przysięga wierności”, „niewolnictwo” albo „umowa terminatorska”. Związane z nimi rytuały i zwyczaje były w większości wczesnych ludzkich kultur niemal takie same. Sprawdziło się to również w przypadku prawie wszystkich społeczności nie-ludzi. Jakby jednak na to nie patrzeć, dla Mardukan to bardzo ważny sakrament i jest mi bardzo przykro, że go przegapiłam – zakończyła.

–Taniec leśnych zwierząt był najwyraźniej zwieńczeniem całości – powiedział Roger.

Wziął jeden z poczerniałych kawałków mięsa i wrzucił go sobie do ust, drugi podając oswojonemu już jaszczurowi. Wyjaśnienie O’Casey pomogło mu złożyć kilka luźnych do tej pory elementów układanki. O pozostałe miał zamiar martwić się kiedy indziej.

–Ale cieszę się, że się obudziłaś – ciągnął. – Gdybyś sama nie przyszła, posłałbym kogoś po ciebie. Cord poruszył właśnie ciekawy temat.

–Tak? – O’Casey podniosła z liścianej tacy pozostawiony tam kawałek owocu i wyrzuciła go szybko, kiedy niektóre pestki zaczęły się poruszać.

–Tak. Wygląda na to, że jego plemię potrzebuje rady.

* * *

Uroczystość powoli dobiegała końca. Mardukanie szli spać do swoich chat,

opuszczając za sobą zasłony w drzwiach, mocując je kołkami do ziemi i sznurując rzemieniami boczne krawędzie do ścian. Większość marines wcisnęła się do chat razem z nimi. Kilkunastu musiało przenocować w namiotach, ale przynajmniej cała kompania miała schronienie, a większość żołnierzy mogła się wyspać.

W chacie Delkry jednak toczyła się dyskusja, mogąca zaważyć na losach zarówno ludzi, jak i plemienia Corda, Szaman wyjaśnił, dlaczego przerwanie duchowej misji i opuszczenie wioski z Rogerem było dla niego tak gorzką porażką.

–W czasach ojca ojca mojego ojca nad ujście Naszej Rzeki do Większej Rzeki przybyli handlarze. Tacy jak oni przybywali tu od dawna, ale ta wyprawa zawarła pokój z ojcem ojca mojego ojca i rozbiła obóz na szczycie wzniesienia przy ujściu rzeki. Przynieśliśmy skóry *grack* i *atul grack*, *sokyaden cuol* i mięso *flin*. Za czasów mojego ojca zostałem wysłany do Dalekiego Voitan, by uczyć się sztuki miecza i włóczni.

Handlarze przywieźli ze sobą nową broń, lepsze metale. Tkaniny, ziarno i wino. Plemię rozkwitło nowo nabytym bogactwem.

Od tamtej pory jednak miasto rosło w siłę, a plemię coraz bardziej słabło. Za czasów mojego ojca byliśmy u szczytu potęgi. Byliśmy liczniejsi i waleczniejsi niż Dutak na północy i Arnat na południu. Miasto jednak, rosnąc, zabierało coraz więcej z naszych terenów łowieckich. Nie raz w oczy zajrzało nam widmo głodu, a nasze zapasy jedzenia są zawsze skromne.

Szaman przerwał i rozejrzał się, jakby próbując uniknąć nieprzyjemnej prawdy.

–Mój brat był zbyt szczodry. Kupujemy jęczmyż od miasta Q’Nkok po wysokich cenach. Inne jedzenie... W nadchodzących tygodniach wiele matek będzie głodnych.

Problemem jest miasto. Za bardzo rozprzestrzenili swoje pola uprawne, ale nie to jest najgorsze. Ich drwale mają nie przekraczać pewnego strumienia, a nawet w wyznaczonym obszarze wolno im ścinać tylko konkretne drzewa. Tak mówi traktat. Za to my mamy otrzymywać pewne towary – żelazne włócznie i noże, *gamlfi*, ubrania. Towary te stają się jednak coraz gorsze, a drwale zapuszczają się coraz głębiej w nasze lasy. Nie ograniczają się do dozwolonych drzew, poza tym płoszą zwierzynę i zabijają tę, która zostaje.

Rozejrzał się jeszcze raz i klasnął w dłonie.

–Jeśli pozabijamy drwali, nawet za wyznaczoną linią, traktat zostanie zerwany. Domy Q’Nkok zbiorą swoje siły i zaatakują. – Szaman pochylił głowę ze wstydu. – A my przegramy. Nasi wojownicy są dzielni, ale musielibyśmy bronić wioski i zostalibyśmy pokonani.

Jeśli jednak zaatakujemy Q’Nkok bez ostrzeżenia, możemy miasto zdobyć, tak jak Kranolta zdobyli Dalekie Voitan. – Cord popatrzył na ludzi, a Roger spostrzegł, że zawziętość i gniew w prawie wszystkich oczach wygląda tak samo. – Wtedy zjemy ich ziarno, zabijemy mężczyzn, zniewolimy kobiety i zabierzemy to, co nam się sprawiedliwie należy.

–To jednak nie jest takie proste – powiedział Delkra i nachylił się, podejmując opowieść. – Nawet, jeśli atak się powiedzie, stracimy wielu wojowników, a wtedy Dutak i Arnat spadną na nas jak *fliit* na padłe *flar*. Nie wiedzieliśmy, co robić, więc Cord wyruszył na duchową wędrówkę, szukając proroczej wizji. Gdyby w przyszłości dojrzał pokój, byłby pokój. Gdyby zobaczył wojnę, byłaby wojna.

–A gdyby nie wrócił? – spytał Pahner. – Niewiele brakowało.

–Wojna – powiedział Delkra bez wahania. – Ja i tak jestem za tym. Gdyby Cord mnie nie powstrzymał, zaatakowalibyśmy w zeszłym roku. I prawdopodobnie zostalibyśmy zjedzeni przez Dutak i Arnat.

–Zawrzyjcie pokój z Dutak i Arnat – zaproponował Roger – Zaatakujcie razem.

Poczuł, że łokieć O’Casey wbija mu się w żebra, i zrozumiał, co właśnie powiedział. Doradzanie miejscowym barbarzyńcom, by wespół zrównali Q’Nkok z ziemią, nie mogło przysłużyć się sprawie rozwoju cywilizacyjnego, a książę pamiętał, co naczelniczka świty mówiła o barbarzyństwie i śmiertelności niemowląt. Z drugiej strony, ci konkretni barbarzyńcy byli jego przyjaciółmi i nie chciał, by spotkał ich koniec opisany przez Corda.

Roger spojrzawszy wilkiem na O’Casey, po czym nagle spuścił wzrok. Jego nauczyciele historii – także Eleanora – wpajali mu niestrudzenie, że władca odpowiada za skutki swoich decyzji i musi je nadzwyczaj dokładnie rozważać. Zazwyczaj nie przejmował się tym, że – według nich – sam nigdy by na to nie wpadł. Teraz jednak zdał sobie nagle sprawę z tego, z jaką łatwością przesłanki osobiste wpływają na podjęcie decyzji bez świadomości decydującego.

Odetchnął głęboko, postanowił się nie odzywać i wrócił do drapania swojego jaszczura po łbie. W osadzie widział większe okazy; jeśli ten miał zamiar osiągnąć rozmiary pokaźniejszych z nich, mogło być ciekawie. Największe osiągały wielkość sporego owczarka niemieckiego, a gatunek jako taki wyglądał na miejscowy odpowiednik psów.

Delkra, nieświadom rozmyślań księcia, klasnął przecząco rękami.

–Wodzowie obu plemion są przebiegli. Wiedzą, że osłabiliśmy, że jeśli pozwolą nam opaść z sił jeszcze trochę, będą mogli zająć nasze ziemie i targować się między sobą o resztki.

–Jak więc możemy pomóc? – spytał Pahner.

Z tonu jego głosu Roger wywnioskował, że kapitan zna przynajmniej jeden sposób, w jaki mógłby pomóc. I że nie ma zamiaru z niego skorzystać.

–Nie wiemy – przyznał Cord. – Ale wasze narzędzia i zdolności pokazują, że macie ogromną wiedzę. Mieliśmy nadzieję, że kiedy opiszemy wam nasz dylemat, dostrzeżecie rozwiązanie, które nam umknęło.

Pahner i Roger jak jeden spojrzeli na Eleanorę.

–O, świetnie – powiedziała. – Teraz mam wam pomóc. Zamyśliła się nad tym, co powiedzieli obaj Mardukanie. O polityce miasta-państwa. O Machiavellim.

–Macie dwa osobne problemy – powiedziała po chwili. – Mogą być ze sobą powiązane, ale w tym momencie to tylko założenie.

Mówiła powoli, nieobecny tonem, a jej umysł badał mardukańską wersję wydarzeń. Zamyślona, drapała się po karku.

–Czy w układach z władcami miasta-państwa spotkaliście się z jawną wrogością?

–Nie – odparł zdecydowanie Cord. – Niedawno byłem dwukrotnie w Q’Nkok, żeby pomówić o problemach z jakością naszego trybutu i bezprawnych działaniach drwali. Król za każdym razem był bardzo łaskawy. Pospólstwo w mieście nie lubi nas, my ich też nie, ale Król zachowywał się bardzo przyjaźnie.

–Czy wyrąb lasu to monopol? – spytała Eleanora. – Czy całe drewno ścina jeden dom? I co to są za domy? Ile ich jest i jak są zorganizowane?

–Jest szesnaście Wielkich Domów – powiedział Cord. – Plus Dom Króla, istnieje też wiele domów pomniejszych. Wielkie Domy zasiadają w Radzie Królewskiej i... i mają inne przywileje. Żaden pojedynczy dom nie ma prawa wyrębu, a przekraczający granicę drwale nie są członkami jednego konkretnego domu.

–A trybut? Dostarczają go Domy czy Król?

–Dostarcza go Król przez podatki nakładane na Domy, Wielkie i Pomniejsze. Zazwyczaj jednak przekazuje nam go jeden z Wielkich Domów.

–Ekspansja miasta-państwa jest nieunikniona – powiedziała Eleanora po chwili. – Dopóki będą potrzebować drewna jako surowca, będą wkraczać coraz dalej na wasze ziemie. U podstawy wojen zazwyczaj leżą właśnie surowce – ekonomia. Wasze troski są całkowicie uzasadnione.

–Nie wiem, co ma się wydarzyć. Jeśli dobrze rozumiem, udajemy się właśnie do Q’Nkok? – spytała i spojrzała na Pahnera, który potwierdził skinieniem głowy i spojrzał na gospodarzy.

–Proszę, żebyście wstrzymali się z atakiem, dopóki nie odwiedzimy miasta – powiedział. – Proszę o to z dwóch powodów. Po pierwsze, musimy kupić sprzęt i zwierzęta potrzebne naszej wyprawie Q’Nkok jest najbliższym i najłatwiej dostępnym źródłem tego, czego nam potrzeba. Po drugie, być może uda nam się znaleźć wyjście z sytuacji, które pozwoli uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi. Pozwólcie nam zrobić rozpoznanie w mieście, a my damy znać, czego się dowiedzieliśmy. Jako obcy możemy odkryć coś, czego wy nie wiecie.

Delkra i Cord popatrzyli na siebie, po czym wódz klasnął górnymi dłońmi gestem przyzwolenia.

–Bardzo dobrze, nie będziemy się spieszyć z atakiem. Kiedy wyruszyście do miasta, wyślę z wami kilku moich synów. Pomogą wam w podróży i będą posłańcami. – Przerwał i popatrzył na ludzi. Jego mowa ciała była bardzo wymowna.

–Mam nadzieję, że uda wam się znaleźć wyjście. Mój brat jest teraz *asi*, jest martwy dla swojej rodziny, ale byłoby mu bardzo przykro, gdyby jego rodzina była naprawdę martwa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Miasto-państwo było większą wersją osady Ludu i wyraźnie się rozwijało. Kompania szła w dół rzeki od wioski Corda do jej ujścia do jeszcze większej rzeki, a miasto leżało na niewielkim wzniesieniu na jej wschodnim brzegu. Wzgórze wyrastało niedaleko zbiegu obu koryt i było prawie całe pokryte budowlami. Otaczała je drewniana palisada, będąca jednak najwyraźniej rozwiązaniem tymczasowym – kilka jej odcinków zastąpiono wysokim kamiennym murem. Kiedy podróżnicy dotarli do wykarczowanej granicy ziem należących do miasta-państwa, zapadał już zmrok. Niebo nad wzgórzem poszarzało od dymu rozpalonych na noc ognisk.

Dżungla kończyła się raptownie, jak ucięta nożem, na skraju terenów podległych miastu. Strumień, wzdłuż którego ciągnęła się granica, był już czwartym, który przekraczali, tym razem jednak wyglądało to zdecydowanie inaczej.

Na zachodnim brzegu potoku – po stronie „cywilizowanej” – co kilkaset metrów usypano spore stosy kamieni. Otaczały je dziwacznej konstrukcji budynki. Więcej talach budowli rozrzuconych było po całej dolinie. Nie miały wejść na parterze, a piętro wznosiło się nad solidnymi murami niższego poziomu. Roger nie miał pojęcia, dlaczego tak właśnie je zbudowano, ale z ich rozmieszczenia widać było jasno, że ich zadaniem jest obrona pól i sadów.

Wzdłuż wydeptanych dróg i brzegów rowów irygacyjnych rozrzucone były również proste szalasy. W porównaniu z nimi chaty w osadzie Corda były arcydziełami architektury. Szalasy przypominały bardziej stogi jęczmyżu niż prawdziwe domostwa. Roger był pewien, że były to tymczasowe schronienia dla pracujących w polu wieśniaków. Bez wątplenia liczone się z tym, że zmyje je sezonowa powódź, ich odbudowa bowiem – jeśli nie było to za wielkie słowo – nie stwarzała większych trudności.

Uprawa jęczmyżu zajmowała większość z kilku kilometrów kwadratowych wykarczowanego terenu. W przeciwieństwie do ziemskiego ryżu, były to suche pola. Rogerowi przyszło do głowy, że jęczmyż może znaleźć w Imperium rynki zbytu. Był tak samo łatwy w przyrządzaniu jak ryż, ale miał lepszy i bardziej zdecydowany smak. Jeśli nawet brakowało mu kilku aminokwasów, ryż też ich nie miał – w połączeniu z odpowiednią ziemską żywnością na jęczmyżu można było oprzeć zrównoważoną dietę.

Było jasne, że największą przeszkodą w jego uprawie wokół Q’Nkok była nie dżungla, lecz deszcze i powodzie. Większość pól, zwłaszcza w niższych partiach doliny, wzdłuż rzeki, otoczona była groblami mającymi zatrzymać wodę na zewnątrz, a nie wewnątrz. Między – nimi pracowały przypominające odwrócone koło młyńskie pompy odwadniające. Niektóre napędzali wieśniacy obracający kołowrotami,

większość jednak podłączona była do prymitywnych wiatraków.

Nigdzie natomiast nie było widać zwierząt hodowlanych rozsądnej wielkości. Kiedy kompania wyszła z dżungli, zobaczyli kolumnę stworów, które Cord zidentyfikował jako wchodzące do miasta stado. Roger i kilku innych marines powiększyli obraz przy użyciu hełmów i ku swemu zaskoczeniu ujrzeli zwierzęta bliźniaczo podobne do *ftar*, które atakowało Corda. Kiedy Roger powiedział to głośno, szaman roześmiał się chrapliwie i odparł, że chociaż hodowlane *flar-ta* mogą wyglądać tak samo jak *flar-ke*, które zastrzelił Roger, między obu spokrewnionymi gatunkami istniały ogromne różnice.

Wieśniacy pracujący przy jęczmyżu byli rozproszeni po okolicy, odchwaszczając ją i siejąc. Niektórzy skończyli już pracę i wracali do domów, czy to prymitywnych chat, czy położonych na skraju dżungli blokhauzów, czy odległego miasta. Kiedy zauważyli ludzi, nagle zwalniali kroku.

Kompania szła krętą polną drogą. Im bliżej była miasta, tym więcej Mardukan ją otaczało. Ci, którzy byli na przedzie zawracali, inni porzucali pracę i zbiegali się z okolicy. Pahner zaczynał rozumieć mardukańską mowę ciała i nie podobały mu się ani wrogie spojrzenia i gesty, kierowane w ich stronę, ani na wpół zrozumiałe obelgi i sposób, w jaki jeden czy dwóch wieśniaków wymachiwało rolniczymi narzędziami.

Wrogość wydawała się być skierowana bardziej w stronę Corda i synów Delkry niż ludzi, chociaż im też się dostało. Tłum gęstniał, a atmosfera robiła się coraz bardziej napięta. Kiedy dotarli już do murów miasta, z bramy wysypała się kolejna grupa wyjącej gawiedzi. Krzyki i miejscowy odpowiednik gwizdów robiły się coraz głośniejsze i odważniejsze. Pahner zrozumiał, że szykują się zamieszki.

–Kompania, zewrzeć szyk. Pierścień wokół Rogera. Standardowa procedura. Panczerze do przodu, złączyć ramiona. Drugi szereg, bagnet na broń, przygotować się do odparcia tłumu.

Marines zareagowali z mechaniczną precyzją, zwijając wyciągniętą kolumnę marszową w pierścień wokół jednostki dowodzenia. Opancerzona drużyna Juliana ustawiła się na wprost bramy miasta i podała broń do tyłu. Chromframowa wspomaganą broń była w stanie podnieść pięciokrotność własnego ciężaru, a żadna znana mardukańska broń nie była w stanie jej uszkodzić, więc zwykle uzbrojenie jedynie przeszkadzałoby marines w starciu z tłumem. Zaniedbana droga miała około dziesięciu metrów szerokości i biegła między dwoma wysokimi wałami, dzięki czemu kompania zablokowała ją jak korek. Za kolumną szła stosunkowo niewielką grupą – pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu Mardukan. Gdyby chciała połączyć się z tłumem wylęgającym z bramy, musiałyby stratować zboże po jednej lub drugiej stromej drodze. To ich powstrzymywało – rolnicy traktowali swoje plony z szacunkiem. Kilku wieśniaków zaatakowało tylny szereg marines, próbując się

przebić, lecz powstrzymała ich ściana nadstawionych bagnatów. Jeden z marines został paskudnie raniony cepem, ale jego towarzysze odpędzili Mardukan bez otwierania ognia.

Drużyna w pancerzach wywołała poruszenie wśród nowo przybyłego motłochu z miasta. Najwyraźniej nie byli to rolnicy, ponieważ nie mieli oporów przed rozbiegnięciem się po polu, byli jednak również mniej agresywni niż grupa z tyłu. Rzucili kilka kamieni, ale ich główną bronią były pecyny odchodów. Opancerzeni marines szybko nauczyli się przed nimi uchylać po tym, jak jeden z cuchnących pocisków trafił Poertenę. Jego komentarz stał w jawnej sprzeczności z rozkazem starszego sierżanta, ale Kosutic uznała, że przymknie na to oko. Niektóre z klątw Pinopańczyka były przypadkowo tak trafne, że aż przyjemnie było ich posłuchać.

Sytuacja jednak stała się patowa. Mieszkańcy miasta nie mogli przebić się przez drużynę Juliana, ale marines nie mogli również przejść przez nich nie używając siły, co skończyłoby się rozlewem krwi. Pahner poczuł pokusę, by to właśnie zrobić, kiedy deszcz kamieni i innych substancji stał się gęstszy, ale zabicie lub okaleczenie kilkudziesięciu obywateli miasta, nieważne, czy sprowokowane, czy nie, raczej nie zapewniłoby marines przychylności Q'Nkokan, z którymi zamierzali handlować.

Z drugiej strony tłum demonstrantów, chuliganów czy kimkolwiek byli robił za dużo zamieszania, by ci, którzy odpowiadali w mieście za porządek, mogli zignorować to, co działo się pod główną bramą. Co oznaczało, że w każdej chwili...

Z bramy wyszła nagle grupa Mardukańskich gwardzistów. Byli to pierwsi mieszkańcy planety, którzy mieli coś na sobie, i nawet Roger poznał, że to pancerze.

Skórzane zbroje przypominały długie fartuchy, otwarte na plecach i podwójnie grube w krytycznych miejscach na piersiach i ramionach. Sięgały od barków do kolan; wymalowano na nich skomplikowane wzory heraldyczne. Każdy gwardzista niósł dużą okrągłą tarczę z żelaznym guzem.

Zamiast mieczy czy włóczni uzbrojeni byli w długie pałki, przeznaczone najwyraźniej do rozpędzania zamieszek. Wpadli w tłum z marszu, nie zachowując żadnego szyku – każdy gwardzista wybierał sobie ofiarę i po prostu atakował. Tłum rozpierzchł się jak stado gołębi zaatakowanych przez jastrzębia, uciekając w głąb pól i za plecami żołnierzy do miasta.

Gwardziści nie zwracali uwagi na uciekających, koncentrując się na tych, którzy próbowali stawiać opór lub nie uciekali dość szybko. Tych okładali bezlitośnie długimi ciężkimi pałami.

Ich broń była tępa, ale kiedy skończyli, przynajmniej jeden Mardukanin na pewno nie żył. Jego czaszka została roztrzaskana jak arbuz, ale gwardziści zupełnie się tym

nie przejęli. Odciągnęli zwłoki wraz z kilkoma innymi nieruchomymi ciałami – najpewniej nieprzytomnymi – na bok, po czym ustawili się między pierwszym szeregiem marines i bramą.

Cord przeszedł przez kordon żołnierzy w towarzystwie Rogera i kilku bratanków. Pahner przewrócił oczami widząc, że księżę idzie za szamanem, i wysłał w ślad za nim Despreaux z kilkoma ludźmi. Plutonowa machnęła ręką na sekcję Alpha i sześcioro marines pobiegło za Rogerem. Księżę i Cord podeszli do przywódcy gwardzistów – a przynajmniej do tego z nich, który najbardziej krzyczał – i skinęli głowami.

–Jestem D’Nal Cord z Plemienia. Przyszedłem mówić z waszym królem w sprawach traktatu.

–Tak, tak – przerwał rnu opryskliwie gwardzista. – Witamy cię i tak dalej. – Spojrzał na stojących za Cordem marines i prychnął. – Gdzie znalazłeś takie *basik*? Jednym takim mogłaby się wyżywić cała rodzina!

Usłyszawszy to Roger stanął w miejscu. Do tej pory nie przyszło mu do głowy, że chociaż Mardukanie nie byli większymi kanibalami niż ludzie, mogli nie uznawać ludzi za „ludzi”. Zamierzał wygłosić własną mowę razem z Cordem, ale sugestia gwardzisty odebrała mu na to ochotę.

–Jestem *asi* ich wodza – powiedział zdecydowanie Cord. – Należą więc do mojego plemienia i mają być traktowani tak samo jak Lud.

–No, nie wiem – nie zgodził się dowódca gwardzistów. – Wyglądają jak zwykli goście, więc powinni podpadać pod reguły przyjmowania kupców. Poza tym w murach miasta nie może przebywać więcej niż dziesięciu barbarzyńców na raz.

–Hej – wtrącił się drugi gwardzista – bez pośpiechu, Banalk! Jeśli uznamy ich za kupców, to będzie znaczyło, że nie możemy ich jednak zjeść!

Powiedział to jako żart – prawdopodobnie – pomyślał Roger, ale Pahner śledził rozmowę na transmisji plutonowej Despreaux i uznał, że sprawy zaszły za daleko. Rozejrzał się za czymś stosunkowo bezużytecznym i szybko to znalazł. Wzgórza, na których stało miasto, były bazolitami, pozostałościami wylewu magmy. Erozja powoli odsłaniała gołą skałę i mimo że granit był o wiele trwalszy niż otaczająca go gleba, wciąż jednak z czasem kruszył się i pękał. U podnóża wzgórza leżało sporo potrzaskanych gładów, odciągniętych tam przez mieszkańców miasta podczas budowy palisady. Jeden z nich znajdował się niecałe sto metrów od drogi, dobrze widoczny dla gwardzistów i kilku gapiów, którzy zostali za murami.

–Despreaux. – Pahner oznaczył gład jako cel. – Karabin plazmowy.

–Tak jest – odparła plutonowy, znalazła znacznik na własnym HUD, po czym pomachała rękami, by przyciągnąć uwagę kłócącej się grupy.

–Przepraszam – powiedziała uprzejmie. – Doszliśmy do wniosku, że ta rozmowa zaszła już za daleko.

Przekazała już znacznik kapral Kane; szczupła blondynka podniosła swój karabin i wystrzeliła pojedynczy ładunek.

Kropla plazmy zostawiła wypalony szlak w zielonym zbożu, ale w porównaniu z tym, co zrobiła z głazem, był to zwykły fajerwerk. Uderzyła z łoskotem, a przekazane przez nią ciepło spowodowało w półtorametrowej wysokości głazie gwałtowną dyfuzję, która roztrzaskała go jak jajko. Na wszystkie strony wystrzeliły odłamki, od kawałów wielkości ludzkiej głowy po drobny żwir. Niektóre doleciały aż do drogi.

Kiedy umilkło echo i ostami kamyk przestał się toczyć po ziemi, plutonowa Nimashet Despreaux z trzeciego plutonu kompanii Bravo odwróciła się do zastygłych w przerażeniu gwardzistów i wyszczerzyła w uśmiechu.

–Nie interesuje nas, czy będziemy traktowani jak Lud, czy jak handlarze, ale z następnego, który wspomni o zjedzeniu nas, nie będzie nawet co zbierać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Salą audiencyjną króla był łukowato sklepiony korytarz w bastionie zewnętrznego muru. W przeciwieństwie do reszty miasta, królewska cytadela zbudowana była z miejscowego granitu i wapienia. Dolne granitowoszare partie murów przechodziły w jasną nadbudowę, co dawało przyjemny dla oka efekt. Korytarz spełniał funkcje zarówno oficjalne, jak i obronne, oprócz jednak granitowo-wapiennego wzoru ściany były pozbawione ozdób, a podłogę wyłożono zwykłymi kamiennymi płytami. Przez duże okna w przeciwległej do wejścia ścianie widać było ogrody na dziedzińcu i wewnętrzne fortyfikacje.

Miejscowy władca przywitał Rogera w otoczeniu sporego oddziału swojej gwardii. Marsz kompanii przez miasto był o wiele spokojniejszy niż pierwsze spotkanie pod bramą, a Pahner zaczął podejrzewać, że rozruchy były zainscenizowane.

–Witaj cię w Q’Nkok – powiedział ze śmiertelną powagą król i popatrzył na ludzi z mieszaniną ciekawości i obawy. Pahner uśmiechnął się za migoczącym wizjerem hełmu – najwyraźniej władca wiedział już o tym, co pokazali pod murami.

–Jestem Xyia Kan, władca tego miasta – powiedział Mardukanin i wskazał młodzieńca przy swoim boku. – To Xyia Tam, mój syn i następca.

Roger skinął chłodno głową. Zdjął hełm, żeby pokazać twarz i nie okazać braku szacunku. Władca wyglądał na starego. Jego skóra była już nieco obwisła, a służ miejscami poprzecierany; to samo księżę zauważył u Corda, choć król wyglądał trochę gorzej.

–Jestem księżę Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock, z Domu MacClintock, Trzeci Następca Tronu Ludzkości – powiedział oficjalnie. – Witam cię w imieniu Imperium Człowieka jako reprezentant mojej matki, Cesarzowej Alexandry.

Miał gorącą nadzieję, że toots poprawnie wszystko przetłumaczył. Był coraz bardziej przeświadczony, że program paprał coś ważnego. Co i rusz w przekładzie pojawiały się jakieś drobne błędy, a to spotkanie było zbyt ważne, by można było coś pokręcić.

W powtórce tłumaczenia, którą podawał mu toots, jego matka występowała w rodzaju męskim. Efekt był zabawny, ponieważ program wyświetlił jej obraz jako mężczyzny. Wyglądała w tej roli zupełnie nieźle. Roger z trudem powstrzymał się od uśmiechu, kiedy wyobraził sobie jej reakcję na coś takiego, po chwili jednak w jego głowie pojawił się wizerunek jego samego w stroju księżniczki z bajki. Dobry humor księcia od razu zniknął. Oprogramowanie było cholernie wadliwe.

–Jesteśmy podróżnikami z odległego kraju, którzy trafili tutaj na skutek

nieszczęśliwego wypadku. – Taką historię uzgodniono na naradzie przed spotkaniem. – Przechodzimy przez twoje królestwo w drodze do miejsca, z którego będziemy mogli dostać się do domu.

–Przynosimy ci te oto dary – ciągnął Roger. Odwrócił się do O’Casey, która podała mu jedno z multinarzędzi marines.

–To urządzenie potrafi zmieniać się w kilka użytecznych przedmiotów – powiedział. Multinarzędzie niespecjalnie nadawało się na dar dla władcy, ale nie mieli nic lepszego. Książę szybko zaprezentował Xyia Kanowi jego podstawowe ustawienia. Król przyglądał się uważnie, po czym skinął z powagą głową, przyjął dar i podał go synowi. Młodszy Mardukanin był jeszcze dzieckiem, sądząc z tego, co Roger widział w osadzie Corda, więc multinarzędzie bardzo go zainteresowało, doskonale jednak panował nad swoją ciekawością.

–Zaiste, godny dar – powiedział dyplomatycznie król. – Oddaję do waszej dyspozycji kwatery gościnne mojego domu. – Spojrzał na marines i klasnął w dłonie. – Powinny pomieścić cały wasz oddział.

Roger podziękował lekkim ukłonem.

–Doceniamy twoją łaskawość – powiedział. Król kiwnął głową i przywołał stojącego nieopodal gwardzistę.

–D’Nok Tay zaprowadzi was do waszych kwater. Spotkamy się bardziej oficjalnie rano. Teraz odpocznijcie. Każę wam przysłać jedzenie i służących.

–Jeszcze raz dziękuję – powiedział Roger.

–Bywajcie – odparł król i opuścił bastion wraz z synem. W przeciwieństwie do ojca, mały Mardukanin cały czas zerkał przez ramię, dopóki marines nie zniknęli mu z oczu.

Roger zaczekał, aż król się oddali, po czym spojrzał na gwardzistę.

–Prowadź.

D’Nok Tay odwrócił się bez słowa i wyszedł drzwiami prowadzącymi w głąb cytadeli, w przeciwieństwie jednak do króla skręcił za nimi w prawo.

Przeszli przez odkryty dziedziniec i wspięli się na stronią rampę biegnącą między zewnętrznym murem a właściwą cytadelą. Podejście było wąskie, ciemne i wilgotne. Kiedy tylko na nie weszli, z nieba lunęły potoki tropikalnego deszczu. Huk rozpryskującej się na kamieniach wody przypominał wodospad, ale D’Nok Tay nie zwracał na to większej uwagi niż Cord i jego bratankowie. Ludzie starali się jak

najlepiej ich naśladować. Na szczęście rampa była przystosowana do gwałtownych opadów; woda spływała do otworów w zewnętrznym murze.

Całe miasto zbudowano tak, by maksymalnie wykorzystywać regularne deszcze. Główna droga, która prowadziła do bramy, wiła się zupełnie bezładnie, ale po jej obu stronach ciągnęły się kanały burzowe, odprowadzające wodę na drugą stronę wzgórza, prawdopodobnie do rzeki.

System ten zmniejszał też, chociaż nie likwidował, problem higieny. Mardukanom najwyraźniej pojęcie to było całkowicie obce, ponieważ droga zasłana była odchodami mieszkańców miasta i ich zwierząt. Według O'Casey było to normalne dla kultur stojących na niskim poziomie rozwoju technologicznego, na szczęście deszcz spłukiwał większość nieczystości do rzeki.

Wyjaśniało to również epitet, jakim Lud określał mieszkańców miasta.

Wąska rampa rozszerzała się wreszcie na poziomie blanków zewnętrznego muru, skąd rozciągał się wspaniały widok na okolicę. Wiatr rozwiął chmury, deszcz ustał tak samo szybko jak się zaczął, a nad górami na wschodzie zaświecił większy księżyc planety, Hanish. Kompania znajdowała się jakieś sto metrów nad poziomem rzeki, a w dole rozciągała się przed nimi spowita księżycowym blaskiem dolina Q'Nkok. Ludziom przywykłym do ulicznego oświetlenia, stosowanego nawet w najmniejszych miasteczkach na najpodlejszych Imperialnych światach, miasto wydawało się zaskakująco ciemne, sama dolina jednak wyglądała jak miejsce z bajki.

Rzeka wijąca się przez równinę i woda na polach i w rowach irygacyjnych migotała srebrzyście, tu i ówdzie mrok rozświetlały ogniska rolników a dżungla rozbrzmiewała rykiem jakiejś bestii, wyraźnie słyszalnym nawet na tej wysokości.

Roger zatrzymał się, by popatrzeć na wspaniały widok. Obok niego stanęła Despreaux. Jej drużyna nie została zwolniona z obowiązku ochraniać księcia, więc cały czas nie odstępowała go nawet na krok.

–Możecie chyba mnie już zostawić – powiedział cicho książę i uśmiechnął się, podnosząc opancerzoną rękę. – Nie sądzę, żeby cokolwiek tutaj mogło się przez to przebić.

–Tak jest, sir – odparła Despreaux. – Prawdopodobnie ma pan rację, ale nasz dowódca nas nie zwolnił.

Roger otworzył usta, żeby zaprotestować, ale uznał, że z dwóch powodów lepiej tego nie robić. Pierwszy był taki, że Pahner na pewno nie omieszkałby powiedzieć, co myśli o mieszaniu się w struktury dowodzenia. Drugi – że noc była piękna, a Despreaux młoda i ładna; książę musiałby być głupi, żeby zamieniać ją na kogoś z losowego przydziału. Popatrzył na dolinę i uśmiechnął się w ciemnościach.

–Musi tu być pięknie, kiedy nie jest strasznie.

Despreaux wyczuła, że Roger oczekuje czegoś więcej, niż zwykłego „tak jest, sir” i kiwnęła głową.

–Widywałam gorsze miejsca, Wasza Wysokość.

Zwłaszcza jeden przydział zapadł jej w pamięć. Planeta Diabło miała najwyższy wskaźnik niestabilności tektonicznej ze wszystkich zamieszkałych światów Imperium, a powietrze takie, że dzieciom nie pozwalano wychodzić na zewnątrz kompleksów mieszkalnych, dopóki nie były w stanie dobrze posługiwać się aparatem tlenowym.

–Znacznie gorsze – powiedziała.

Roger kiwnął głową i wyczuł, że minęła ich już prawie cała kompania. Nie chciał psuć takiej chwili, ale wiedział, że czas ruszać.

–Czas ruszać, Wasza Wysokość – powiedziała Despreaux, jakby czytając mu w myślach.

–Wiem – westchnął książę. – Czas dowiedzieć się, jakie nas czekają nowe atrakcje.

*** * ***

Kwatery gościnne wyglądały co najmniej dziwnie. Żeby się do nich dostać, kompania musiała przejść przez niski tunel, zamykany z obu stron bramami. Po jego drugiej stronie rozciągał się niewielki dziedziniec, na którym stał budynek, osobna twierdza z pojedynczymi drzwiami. Przejście było bardzo niskie jak dla Mardukan. D'Nok Tay musiał się zgiąć prawie wpół, ale dla ludzi było w sarn raz.

Budynek miał trzy poziomy. Pierwsze dwa nie były podzielone na pomieszczenia, najniższy zaś nie miał wcale okien. Środkowy wyposażony był w niewielkie okienka, a dostać się na niego można było przez klapę w drewnianej podłodze, podobnie jak na trzeci, który już podzielono na sześć pomieszczeń położonych wzdłuż jednego korytarza. Wszystkie miały duże okna z drewnianymi okiennicami. Najniższy poziom wyposażony był w prostą latrynę, splukiwaną przez deszczówkę z dachu.

Roger stał w największym pokoju z rękami opartymi na biodrach, patrząc przez okno na dolinę.

–To najdziwniejsza budowla, jaką widziałem – powiedział do Pahnera.

Kiedy dowódca kompanii wszedł do pomieszczenia, Matsugae rozkładał właśnie posłanie księcia. Spojrzał na żołnierza i mrugnął, ale kapitan tylko potrząsnął głową.

–Niezupełnie, Wasza Wysokość. To fort przeznaczony dla odwiedzających miasto dygnitarzy. Możemy się tu bronić, jeśli Król zwróci się przeciw nam, a on nie musi się martwić, że opanujemy cytadelę od środka. Bramy w tunelu odcinają nas od reszty zamku, ale i dostanie się tu bez naszej zgody nie jest łatwe. Te drzwi na przykład umiejscowione są tak, że nie można ich wyważyć taranem. Nie ma miejsca na rozpęd. Osobiście mnie to cieszy.

Roger odwrócił się od okna i spojrzał na kapitana. Pahner stał w cieniu rzucanym przez stojącą w rogu lampę. Jego twarz ginęła w ciemnościach, ale księżę i tak nic by z niej nie wyczytał – marine niczego po sobie nie pokazywał, chyba że był naprawdę wściekły.

–Sądzi pan, że Xyia Kan może się zwrócić przeciw nam? – spytał Roger.

Zaskoczyła go taka możliwość. Władca Q’Nkok wydawał mu się dość przyjaźnie nastawiony.

–Nie, ale nie sądziłem też, że na pokładzie *DeGloppera* jest toombi, Wasza Wysokość – powiedział gorzko Pahner.

Księżę pokiwał głową.

–Co w tej sprawie zrobimy? – spytał rozsądnie.

–Sprzedamy to, co mamy do sprzedania, kupimy zaopatrzenie i wyniesiemy się z miasta najszybciej, jak się da, Wasza Wysokość -. powiedział Pahner.

Roger znów pokiwał głową i splótł ręce za plecami.

Chciał odpowiedzieć, ale się powstrzymał. W umyśle wciąż słyszał krótki wykład O’Casey; doszedł do wniosku, że nadszedł czas, by zacząć gryźć się w język. Nie miał żadnych konkretnych zastrzeżeń do propozycji Pahnera, jedynie ogólne uwagi. Na razie lepiej było nic nie mówić.

–Przypuszczam, że zobaczymy się rano – powiedział w końcu.

–W takim razie zejść na dół dopilnować kolacji, Wasza Wysokość – odezwał się Matsugae.

Służący rozłożył już śpiwór księcia oraz przygotował dla niego świeży mundur.

Na ten widok Roger poczuł, że swędzą go plecy i musi zdjąć zbroję. Pancerz był wyposażony w klimatyzację, więc księżę nie cierpiał od upału i wilgoci tak bardzo jak pozostali, mimo to i tak noszenie go przez tyle godzin było uciążliwe.

–Mam zamiar wyjść z tej cholernej puszki i porządnie się umyć – oznajmił.

–Tak jest, Wasza Wysokość – powiedział kapitan, lekko marszcząc czoło.

–O co chodzi? – spytał Roger.

–Nie sądzi pan, Wasza Wysokość – powiedział ostrożnie Pahner – że dobrze byłoby najpierw zająć się karabinem?

Zachichotał i potrząsnął głową, widząc niezrozumienie na twarzy księcia.

–Przypomniał mi się stary wiersz marines, Wasza Wysokość. Kończy się słowami „dbaj o swój karabin jak o siebie samego”.

Roger kiwnął głową.

–Rozumiem, kapitanie. – Spojrzał na swoją broń i skinął jeszcze raz. – Nie mógłbym zasnąć, gdybym nie wyczyścił karabinu. Nigdy nie wiadomo, czy człowiek nie obudzi się z wampirem w namiocie. Zajmę się tym, ale nie jestem pewien, czy zejdę na kolację. Możliwe, że zjem po prostu swoją rację polową i pójdę spać.

–Tak jest, sir – powiedział Pahner. – Jeśli nie dziś wieczorem, zobaczymy się rano. Musimy porozmawiać o audiencji u króla.

–Zgoda. A więc do rana.

–Dobranoc, Wasza Wysokość – powiedział Pahner i rozpląnął się w ciemnościach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Roger skłonił się królowi i wręczył mu dokumenty poświadczające, że jest członkiem Rodziny Cesarskiej. Napisane były w standardowym angielskim, całkowicie niezrozumiałym dla tubylców, poza tym książkę nie miał pewności, czy to właśnie nakazuje protokół dyplomatyczny. Król jednak obejrzał je dokładnie, a złożone litery i wspaniałe pieczęcie na pewno zrobiły na nim wrażenie. Oddał dokumenty Rogerowi, a ten rozpoczął przygotowaną wcześniej przemowę.

–Wasza Wysokość – powiedział, odrzucając głowę i splatając ręce za plecami. – Jesteśmy przybyszami z dalekich krain. Tam, skąd pochodzimy, bardzo rozwinęliśmy technologię, naukę o budowaniu różnych rzeczy, mimo to dalej łakniemy wiedzy o świecie. By ją zdobyć, często wyruszamy w długie podróże. Taki właśnie był cel naszej wyprawy, nasz statek został jednak zniesiony z kursu i rozbił się u wschodnich wybrzeży tej krainy.

Eleanora O'Casey przyglądała się księciu. Jego toots dość dobrze przekładał to, co mówił, na kliknięcia i powarkiwania lokalnego dialektu. Bez pomocy tubylca, który tłumaczyłby to w drugą stronę, trudno było mieć pewność, czy program działa poprawnie. Roger jednak przedstawił mowę Cordowi, który uznał, że może być. Jak dotąd nikt się nie śmiał i nie krzywił.

–Wschodnie wybrzeże leży za wysokimi górami – ciągnął książkę, wskazując panoramę za oknami sali tronowej. Komnata znajdowała się niemal na samym szczycie cytadeli. Jak na mardukańskie warunki było tu chłodno i przyjemnie – temperatura nic przekraczała trzydziestu standardowych stopni.

Rzeźbiony tron z połyskliwego drewna stał na podwyższeniu. Ściany komnaty wyłożone były boazerią o wielu odcieniach i układach słoików, każdy panel był sam w sobie dziełem sztuki. Płaskorzeźby ukazywały codzienne życie Mardukan oraz postacie bóstw i demonów z ich panteonu. Ponieważ modelami do tych dzieł była lokalna fauna, wrażenie robiły zwłaszcza te ostatnie.

Wystrój komnaty był niewątpliwie bardzo kosztowny. Równie oczywiste było, że nikt nie oszczędzał na bezpieczeństwie króla. Pod ścianami stały szeregi gwardzistów w takich samych skórzanych fartuchach, jakie mieli żołnierze eskortujący ludzi do pałacu. Ich pancerze jednak w najwrażliwszych miejscach wzmocniono płytami brązu. Zamiast pałek straż królewska uzbrojona była w prawie trzymetrowej długości włócznie, przeznaczone nie tylko do dźgania, ale też do cięcia, na co wskazywały krawędzie ich niemal metrowych ostrzy.

–Przeszliśmy przez góry – ciągnął Roger – ponieważ jesteśmy innej budowy niż wy i nie potrzebujemy takiej wilgoci i ciepła, a u ich podnóża spotkaliśmy mojego dobrego

przyjaciela i towarzysza, D'Nal Corda. Od tamtej pory prowadził nas do twojego pięknego królestwa, gdzie chcielibyśmy kupić zapasy i przygotować się na długą podróż.

Książę dysponował głębokim, dźwięcznym barytonem, szkolonym (często wbrew jego woli) jako narzędzie oratorskie, Mar-dukane zaś wydawali się reagować na przemowy tak samo jak ludzie. O'Casey zaczynała rozumieć mardukańską mowę ciała. Słowa Rogera jak dotąd spotykały się z pozytywną reakcją, co było korzystne, ponieważ książę miał zamiar ich zaszokować.

–Nie wiemy wiele o waszych krainach, znamy jednak miejsce, w którym znajduje się kupiecka misja z naszego kraju. Od tego miejsca dzieli nas długa podróż, która potrwa wiele, wiele miesięcy, i której szlak wiedzie przez ziemie Kranolta.

Wśród mardukańskich możliwych zebranych w sali tronowej wywołało to poruszenie. Ktoś roześmiał się chrapliwie. Król popatrzył ponuro na Rogera.

–To smutna wiadomość – powiedział, nachylając się do przodu. Jego syn siedzący na stołku u podnóża tronu wyglądał na bardzo podekscytowanego oświadczeniem księcia. Był jednak młody. – Wiecie, że Kranolta to potężne i waleczne plemię?

–Tak, Wasza Wysokość – przytaknął ze śmiertelną powagą Roger. – Mimo to musimy przejść przez ich ziemie. Musimy dotrzeć do brzegu oceanu, daleko na północnym zachodzie. Rozmawiałem z Cordem. Powiedział mi, że większość waszego handlu kieruje się na południe. Jak Wasza Wysokość wie, brzeg oceanu w tamtym kierunku oddalony jest o wiele miesięcy wędrówki. My... nie mamy tyle czasu.

–Ale Kranolta są wojowniczy i bardzo liczni – wtrącił syn Xyia Kana. Spojrzał na drużynę opancerzonych marines i nerwowo postukał się palcami dolnych dłoni.

Roger był zaskoczony długością trwania negocjacji, które dzieliły ich od spotkania z królem. Pahner i O'Casey spędzili pół nocy, targując się z miejscowym odpowiednikiem szambelana o to, kto może stanąć przed obliczem władcy.

Problemem była straż.

Pahner nie miał zamiaru puścić Rogera bez przynajmniej drużyny żołnierzy. Członek Rodziny Cesarskiej nie mógł spotykać się z barbarzyńskim królem bez świty. Co więcej, nie było powodu, by królowi zbytnio ufać. Protokół i zdrowy rozsądek wymagały przydzielenia księciu obstawy. Dworzanie nie byli jednak głupi. Było jasne, że miasto jest podzielone na wiele frakcji, a król już dawno temu ustalił, ilu strażników może mieć ktoś, kto staje przed jego obliczem.

Pospólstwo i kupcy nie mogli przyprowadzać ze sobą żadnej ochrony ani przynosić broni, członkowie pomniejszych domów również. Głowy Wielkich Domów,

zasiadające w radzie miejskiej, mogły stawać przed królem w towarzystwie trzech strażników, jeśli jednak przychodzili jako grupa, nie mogli mieć ich razem więcej niż piętnastu. Ponieważ tylu właśnie członków liczyła rada, zwyczajem stało się przyprowadzanie ze sobą po jednym wojowniku jako symbolu swojego statusu. Dlatego też nalegania Pahnera na dopuszczenie księcia przed oblicze króla w asyście co najmniej ośmiu żołnierzy spotkały się ze zdecydowanym sprzeciwem.

Ostatecznie szambelan zgodził się na pięciu. Kapitan musiał przyznać, że Roger w pancerzu i Julian z sekcją Bravo i tak prawdopodobnie mieli nad strażnikami króla przewagę liczebną.

Prawdopodobnie mieli przewagę liczebną nad całym Q'Nkok.

– Nawet wasi dzielni wojownicy i potężna broń na nic się nie zdadzą. Zostaniecie pokonani – powiedział król, zgadzając się z synem.

– Mimo to – powtórzył ponuro Roger – musimy iść na północ. Spróbujemy zawrzeć pokój z Kranolta. – Potrząsnął głową i klasnął w dłonie na wysokości pasa, próbując oddać mardukański gest wzruszenia ramionami. – Jeśli jednak nie zgodzą się na pokój, będziemy z nimi walczyć.

Król klasnął górnymi dłońmi i chrząknął.

– Życzę wam powodzenia. Byłoby dobrze pozbyć się Kranolta. Nigdy nie zaatakowali tej strony gór. Są o wiele słabsi niż za czasów mojego ojca. Mimo to sam strach przed nimi powstrzymuje wielu kupców przed podróżą w górę rzeki. Pomożemy wam, jak tylko umiemy.

Rozejrzał się po sali tronowej i znów chrząknął.

– A skoro mowa o wojnie, obawiam się, że wiem, dlaczego D'Nal Cord tak szybko wrócił. – Były to mocne słowa, ale w głosie króla nie było wrogości. – Wystąp, doradco i bracie mojego przyjaciela Delkry, i powiedz, co skłoniło cię tym razem do opuszczenia twojego ukochanego zielonego piekła.

Cord wystąpił ponuro do przodu i wyciągnął ręce do monarchy.

– Xyia Kanie, pozdrawiam cię w imieniu Ludu i mojego brata, D'Net Delkry. Przynoszę smutne wieści o kolejnym pogwałceniu Linii Drzew. Co więcej, wiele ostatnich dostaw ostrzy włóczni i oszczepów było niedopuszczalnie niskiej jakości. Z głębokim żalem donoszę, że mój bratanek i uczeń D'Net Deltan zginął, kiedy pękł grot jego włóczni. Gdyby był lepszej jakości, Deltan wciąż by żył.

Szaman podszedł bliżej i ostrożnie wyciągnął spod płachty ostrze włóczni, podając je królowi tępym końcem. Xyia Kan obejrzał je uważnie. Z wierzchu żelazo wyglądało

solidnie, ale kiedy król stuknął grotem o poręcz tronu, głuchy odgłos zdradził, że zostało marnie wykute. Z ponurym wyrazem twarzy władca odłożył ostrze i gestem kazał Cordowi kontynuować.

–Sprawy zaszły za daleko – klasnął w dłonie szaman. – Teraz to dług krwi. – Klasnął jeszcze raz i wbił wzrok w podłogę.

–Jestem teraz... *asi* tego młodego księcia. Wyruszam z nim na wędrówkę do Dalekiego Voitan i baśniowych krain za nim Nie będzie mnie tu, by oglądać to, co nastąpi, jeśli ta sprawa nic zostanie załatwiona szybko i raz na zawsze. – Podniósł wzrok i zacisnął w gniewie zęby. – Uważam, że jeśli słowa, które przekażę moim pobratymcom, znów okażą się zwykłymi uprzejmościami i pustymi obietnicami, będzie wojna. A dym z płonącego Q’Nkok wzbije się w niebo i zmiesza z popiołami upadłego Voitan.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Xyia Kan wszedł do sali audiencji i usiadł na tronie. Rozkazał, by rada zebrała się niezwłocznie. Również na jego rozkaz strażnicy członków rady zostali za drzwiami. Jedynymi obecnymi Mardukanami, którzy posiadali widoczną broń, była królewska gwardia. Żołnierze stali pod ścianami, gotowi na rozkaz władcy zakończyć raz na zawsze knute przeciw niemu intrygi.

Król usadowił się na tronie i spojrzał na rajców. Po prostu siedział i patrzył. Mijały sekundy, minuta, dwie minuty. Nawet najtwardsi z członków rady odwrócili wzrok, zmieszani i zakłopotani albo coraz bardziej rozzłoszczeni, zależnie od charakteru i od tego, o jaką stawkę grali. Król czuł rosnące napięcie, ale nie przerwał go, dopóki w końcu, jak można było się spodziewać, Whild Doma nie wytrzymał.

–Xyia Kanie, muszę kierować swoim Domem! – warknął. – Nie mam czasu na gierki. O co chodzi?

Ponieważ Kan był wściekły zwłaszcza na niego, o mało nie pękł. Nie chodziło mu o to, że naczelnik domu zamieniał dobrą broń, którą opłacali się barbarzyńcom, na złą. Jeśli doszło do tego w Domu Whilda, król był niemal pewien, że Doma nie miał o tym pojęcia. Nie, był wściekły, ponieważ Doma, któremu ufał i którego uważał za lojalnego i zdolnego, dopuścił, by ktoś do tego stopnia manipulował jego Domem.

Udało mu się jednak nawet nie drgnąć. Popatrzył na Whilda i zgasił go spojrzeniem. Doma nie był tchórzem, ale nawet on nie potrafił zdzierżyć ciężkiego wzroku Xyia Kana. Znów zapadła cisza.

W końcu król przechylił się na bok i splunął na posadzkę.

–Kobiety! – prychnął.

Jego doradcy, zdezorientowani i źli, popatrzyli po sobie zdziwionym wzrokiem. Kan splunął jeszcze raz.

–Kobiety – powtórzył. – Widzę przed sobą zgrają głupich kobiet!

Tym razem reakcją nie było zmieszanie. Furia spowodowana starannie dobraną obelgą zagłuszyła wszystkie inne uczucia. Trzech czy czterech doradców zerwało się na nogi. Xyia Kan uprzedził kapitana swojej straży, więc włącznie jego wojowników pozostały przy ich bokach, ale sam król huknął dłońmi o poręcze tronu.

–Cisza! – ryknął. Wściekłość jego głosu przeszła ich teatralne oburzenie jak dobrze wyostrzony grot włóczni. – Siadać!

Doradcy opadli na swoje krzesła, a król zmierzył ich ponurym wzrokiem.

–Znów przybył do nas D’Nal Cord. Odjedźcie raz na zawsze razem z ludźmi, ponieważ jest *asi* ich przywódca.

–Bardzo dobrze! – krzyknął Whild. – Może kiedy nie będzie Corda, Delkra zrozumie, że nie możemy kontrolować każdego wieśniaka, który zakrada się do lasu!

–Delkra przyjdzie po nasze głowy! – warknął Kan. – Wy głupcy, Cord przez cały czas go powstrzymywał! X’Intai przetoczą się po nas następnego dnia po jego wyjeździe! Albo dostanę więcej gwardzistów, albo powierzycie mi komendę nad oddziałami Domów na wypadek ataku!

–Nigdy! – krzyknął P’Grid. – Jeśli barbarzyńcy zaatakują, choć to mało prawdopodobne, Domy będą się bronić same! Obowiązkiem Króla jest bronić miasta, a obowiązkiem Domu jest bronić siebie. Tak było zawsze!

–W przeszłości nie groził nam najazd X’Intai! A jeśli uważasz, że po tym, jak grot włóczył pękł, przez co zginął syn Delkry i podopieczny Corda, jeśli sądzisz, że po tym nie zaatakują, to jesteś większym głupcem niż mógłbym przypuszczać!

–Groty pękają – zaśmiał się P’Grid. – Jednego barbarzyńcy mniej.

–Zwłaszcza takie groty! – prychnął król.

Wyciągnął pęknięte ostrze i cisnął nim o podłogę. Grot roztrzaskał się na drobne kawałki.

–Skąd to się wzięło? – spytał ostrym tonem Doma. – Nie z ostatniej dostawy!

–Tak, Doma – odparł król. – Z przeklętej przez demony dostawy. Twojej przeklętej przez demony dostawy. Za którą ty byłeś odpowiedzialny! Powiniennem wysłać X’Intai twoją głowę!

–Nie mam z tym nic wspólnego! – krzyknął doradca. – Wysłałem groty najlepszej jakości! Na demony, byłem stratny!

–Mimo to – powiedział ponuro Kan – X’Intai dostali właśnie to. Deltan zginął właśnie przez to. Jeśli więc któryś z was ma coś do powiedzenia w tej sprawie, to teraz ma okazję.

Członkowie rady popatrzyli po sobie, ale tylko kilku odważyło się spojrzeć w oczy władcy. W końcu Kesselotte J’ral klasnął dolnymi rękami.

–Co chcesz usłyszeć, królu? – spytał. – Czy którykolwiek z nas naraziłby miasto na

niebezpieczeństwo? Miasto, które jest domem zarówno naszym, jak i twoim? Czemu miałyby to służyć?

–Większość z was sprzedałaby swoje matki za kawałek brązowego złomu – syknął władca. – Zejdźcie mi z oczu. Wątpię, żebyśmy spotkali się na następnej naradzie, zanim X'Intai wedrą się na nasze mury. A wtedy biada wam, bo bramy tej cytadeli będą dla was zamknięte!

*** * ***

–...będą dla was zamknięte!

–Interesujące – powiedział Pahner. Przekaz video z nanopluskiwy był strasznie ziarnisty. Obiektów o średnicy nanometra nie mógł wiele zdziałać, za to wzmocnienie audio o wiele lepiej poradziło sobie z dźwiękiem.

Nanoprzełożnik przypominał pod wieloma względami bardzo małego owada. Potrafił się samodzielnie poruszać, a nie tylko tkwić w jednym miejscu. Ten konkretny przeskoczył z ostrza włóczni, które Cord przekazał Xyia Kanowi, do ucha króla. Stamtąd przekazywał każdą rozmowę, w której król brał udział, a z transmisji tych wynikało, że król albo był uczciwy, albo był świetnym aktorem.

–Myślę, że on mówi poważnie. – O'Casey przetarła twarz szmatką, która momentalnie nasiąkała potem. – Możliwa byłaby sytuacja, w której próbowaliby wykorzystać zagrożenie ze strony plemienia Corda przeciw Domom, ale nie sądzę, by to robił. Z dwóch powodów. Po pierwsze, wydaje się strasznie wściekły, a nie jest chyba aż tak dobrym aktorem. Po drugie, nawet gdyby nim był, taka próba byłaby niesamowicie ryzykowna. Musiałby dysponować jakąś siłą, która zadziałałaby jako odsiecz. Gdzie ona jest?

Dzień był wyjątkowo upalny i parny. Oba okna pomieszczenia były otwarte, żeby zapewnić przewiew. Właśnie skończyła się jedna z mardukańskich ulew, nawet komary wydawały się mieć problemy z lataniem w niesamowicie wilgotnym powietrzu.

–Mógłby spiskować z wrogami Corda – zasugerowała Kosutic, skubiąc się w ucho. – Z tymi pozostałymi dwoma plemionami. Z... – przerwała, żeby sprawdzić nazwy w tootsie i pacnęła jakiegoś insekta.

–Ha! – zawołała, widząc czerwoną plamę na dłoni.

–Dutak i Arnat – powiedział bez zastanowienia Roger. Trzymał w wyciągniętym ręku kawałek mięsa, próbując nauczyć jaszczura wykonywania poleceń. – Siad!

Nie wychodziło mu to. Jaszczur ocenił odległość dzielącą go od mięsa, siłę

grawitacji i refleks księcia, po czym wystrzelił w górę z prędkością atakującego węża.

–Cholera – zaśmiała się Kosutic, wycierając dłoń o stół. – o jeden kawałek mniej, Wasza Wysokość?

–Tak – przyznał kwaśno Roger.

Zwierzak był przyjacielski i robił wrażenie inteligentnego, ale wykazywał całkowity brak zainteresowania uczeniem się sztuczek. Przychodził na zawołanie pod warunkiem, że nie robiło się tego za często. I tak jednak przez prawie cały czas chodził za Rogerem. Kiedy księżę udał się na audiencję u króla, jaszczura zamknięto w jednym z pokojów. Według meldunków marines, nie był z tego powodu szczęśliwy. Wydawał dwa rodzaje odgłosów – syczące mruczenie, oznakę zadowolenia, i bojowy ryk. Był jeszcze młody, ale ryczał już całkiem głośno.

–Powinien pan go jakoś nazwać – powiedziała Kosutic. – Na przykład „Trafiony”.

–Bo tak sprawnie wrywa mi jedzenie z ręki? – spytał ostrożnie Roger.

–Nie, bo któregoś dnia pan go zastrzeli!

–Możemy wrócić do ważniejszych spraw? – zaproponował Pahner. – Pani sierżant, naprawdę uważa pani, że Xyia Kan układa się z tymi dwoma plemionami?

–Nie. To była taka burza mózgow, sir. Jestem prawie pewna, że Cord albo jego brat mają wśród tych plemion swoich szpiegów. Powinniśmy go o to spytać. Jeśli mają, muszą coś wiedzieć.

–To prawda – zgodziła się O’Casey. – Kultury na tym poziomie z reguły zdają sobie sprawę, co dzieje się u sąsiednich plemion. Gdyby jedno z nich szykowało się do ataku, wszyscy by o tym wiedzieli.

–A nie ma tu chyba wędrownych najemników – zauważył Pahner. Wyjął swoją paczkę gumy do żucia, policzył listki, po czym odłożył ją do hermetycznego pudełka.
– Co może zyskać jeden z Domów?

–Nie wiadomo. – O’Casey zajrzała do swojego pada i parsknęła. – Co ja bym teraz dała za egzemplarz „Księcia”! Na szczęście umiem większość na pamięć. Potrzebujemy jednak więcej informacji.

–Fakt. – Pahner podrapał się w podbródek. – Myślę, że powinniśmy założyć podsłuch w Wielkich Domach.

–Pod jakim pretekstem? – spytała Kosutic. – Dlaczego mieliby nas wpuścić do środka?

–Pomyślmy – zmarszczyła czoło O’Casey. – I tak musimy kupić sprzęt i zapasy na drogę. Może wyślemy drużynę margines i jednego oficera z listą towarów, które wystawimy na licytację?

–To mogłoby się udać. – Pahner znów zaczął szukać gumy, ale przestał. – Wyślemy oficera z samym Julianem.

–Po co? – spytał Roger.

Nie bez trudności udało mu się położyć kawałek mięsa na nosie jaszczura. Powoli wycofał rękę, zamierzając dać krok w tył i pozwolić zwierzęciu zjeść kąsek.

Jaszczur widział to trochę inaczej. Kiedy tylko nacisk dłoni księcia na jego pysk zelżał, zwierzak błyskawicznie poruszył łbem w tę i z powrotem. Rozległo się głośnie kłapanięcie.

–Cholera. – Roger poddał się chwilowo i spojrzał na zebranych, po czym wzruszył ramionami. – To znaczy, dlaczego mamy się przejmować, czy ci barbarzyńcy skoczą sobie do gardeł? Musimy tylko kupić zapasy i zejść im z drogi. Niech Lud ich podbije. Albo nie.

Popatrzył na otaczające go twarze i ponownie wzruszył ramionami.

–O co chodzi? Nie przyjechaliśmy tu ratować świata, mamy się z niego wydostać. Czy nie to mi pan powtarza, kapitanie Pahner?

–Zostaniemy tu przynajmniej kilka dni, Wasza Wysokość – zauważyła ostrożnie O’Casey. – Musimy mieć stosunkowo spokojne warunki, żeby przygotować się do podróży.

–I musimy załatwić sobie poparcie lokalnej szyszki – powiedziała Kosutic, nie patrząc księciu w oczy. – Zdecydowane poparcie króla to bardzo ważna sprawa. Jeśli będziemy je mieli, będzie nam o wiele łatwiej. Żołnierzom będzie o wiele łatwiej.

–Racja, pani sierżant – powiedział formalnym tonem Pahner. – Nalegam, panie pułkowniku, żebyśmy zdobyli więcej informacji, zanim zdecydujemy się na działanie albo bierność.

–Och, w porządku – zgodził się Roger. – Ale bardzo nie podoba mi się myśl, że zatrzymujemy się gdzieś na dłużej niż to bezwzględnie konieczne.

Spojrzał za okno, w stronę odległej dżungli.

–Może Cord i ja znajdziemy tam coś do upolowania.

–Jeśli ma pan taki zamiar, Wasza Wysokość – powiedział Pahner tonem pozbawionym jakiegokolwiek emocjonalnego zabarwienia – proszę, żeby wziął pan ze sobą większy oddział. Poza tym od tej pory będziemy musieli oszczędzać pancerze. Poważnie nadwątliliśmy ich zasoby energii. Kiedy wyruszymy dalej, będziemy musieli je nieść.

–Co oznacza, że będziemy potrzebować kilku jucznych zwierząt, sir – powiedziała Kosutic. – Oraz ich przewodników.

–I miejscowego uzbrojenia – zgodził się Pahner. – Musimy zachować sprzęt do czasu zdobycia portu i na sytuacje awaryjne, ale żołnierze muszą jak najszybciej zacząć ćwiczyć posługiwanie się tubylczą bronią.

–A wszystko to wymaga czasu i pieniędzy – podsumowała O’Casey. – Dlatego potrzebna nam stabilna baza.

–Rozumiem – powiedział ostrożnie Roger, ale upał i wilgoć zaczynały dawać mu się we znaki. – Porozmawiam z Cordem o szkoleniu. Sam proponował, że nauczy mnie posługiwania się włócznią. Chociaż osobiście wolałbym miecz.

–Ciężko będzie o dobry miecz przy tej jakości metalu. – Kosutic rozejrzała się, kiedy wszyscy spojrzeli na nią z zaskoczeniem, i wruszyła ramionami. – To nic takiego, tyle tylko wiem o mieczach. Dobre robi się z dobrej stali, a ja tu stali nie widziałam.

–Zobaczymy, co znajdziemy – powiedział Pahner. – Pani sierżant, proszę pomówić z sierżantami plutonów. Nie wypuszczamy żołnierzy, dopóki nie zorientujemy się, co się tu dzieje. Na razie będzie to pani zadanie. Proszę wziąć kilku ludzi i spróbować wybadać, z czym mamy do czynienia i co możemy dostać za nasz sprzęt. A kiedy już pozwolimy żołnierzom poruszać się swobodnie po mieście, mają chodzić grupami. Zrozumiano?

–Zrozumiano, sir. Czym będziemy im płacić?

–To jakiś problem? – spytał zaskoczony Roger. – Karmimy ich i ubieramy. Dostają żółd, tyle że chwilowo nie ma do niego dostępu.

–To będzie problem, Wasza Wysokość – powiedział Pahner. – Żołnierze będą chcieli kupować pamiątki, jedzenie...

–Alkohol... – Kosutic odchrząknęła.

–Też – wyszczerzył się w uśmiechu kapitan. – A na to wszystko potrzebny im będzie żółd. Musimy to uwzględnić w naszym budżecie.

–Aach! – Roger złapał się za głowę. – Nieważne, co dostaniemy za te łopaty i

zapalniczki, i tak nam to nie wystarczy!

–To jeszcze jeden powód, żeby mieć przyjaciela na górze, Wasza Wysokość – zauważył Pahner, po czym spojrzął na pozostałych. – To chyba na tyle. Przekażą, co trzeba, porucznikom. Pani sierżant, jutro znajdzie pani miejscowy targ i dobrze go obejrzy. Proszę wziąć ze sobą jedną drużynę i kogoś z dowództwa.

–Tak jest, sir – powiedziała Kosutic. Wiedziała już, kogo wybierze.

–Wasza Wysokość – kapitan odwrócił się do księcia – wiem, że czuje się pan tu uwięziony, ale naprawdę wolałbym, żeby nie wybierał się pan do dżungli na polowanie.

–Rozumiem – westchnął Roger. Być może był to efekt upału, ale nie miał ochoty wdawać się w dyskusję. – Mogę chodzić po mieście?

–Z odpowiednią obstawą – zgodził się Pahner, skinąwszy z wdzięcznością głową. – Przynajmniej jedna drużyna w pełnej gotowości.

–Ale bez pancerza – poprosił księżę.

–Dobrze – uśmiechnął się lekko kapitan i skinął zebranym – Mamy już jakiś plan.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Porucznik Gulyas rozglądał się, podczas gdy Julian rozmawiał ze strażnikami.

–Mój oficer przyszedł w sprawach handlowych – powiedział wielkopańskim tonem plutonowy. – Chce rozmawiać z K'Tke.

Mardukański strażnik przewyższał go o dobre półtora metra, ale marine był w stanie przegadać każdego barbarzyńcę.

–Twój pan się nas spodziewa – dodał, pogardliwie pociągając nosem.

Strażnik spojrzął z góry na małego człowieczka, ale odwrócił się i załomotał do drzwi.

Dom K'Tke był niemal identyczny jak inne Wielkie Domy, które drużyna odwiedziła do tej pory. Jego mury były granitowe w przeciwieństwie do innych budynków w mieście, w większości drewnianych, i wyłożone bogato zdobionymi gipsowymi panelami. Ściany Wielkich Domów pokrywały płaskorzeźby i ozdobne łuki. Wiodącym motywem zdobniczym było to, w czym dany Dom się specjalizował. W przypadku K'Tke płaskorzeźby przedstawiały leśną zwierzynę, ponieważ głównym towarem Domu były skóry. Na pierwszym poziomie budynku nie było okien, a te na piętrze, podobnie jak w kwaterach gościnnych w cytadeli, bardziej przypominały strzelnicze.

Tak jak w przypadku innych Domów, wrota tego były masywne, wysokie na dwa piętra i zbudowane na podobieństwo zamkowej bramy. Ciężkie drewno było mardukańskim odpowiednikiem drewna żelaznego, niemal całkowicie niewrażliwego na ogień. Wrota okuto dodatkowo klamrami i guzami z brązu. Wyważenie ich wymagałoby czasu i zastosowania solidnego tarana.

W bramę wbudowane były drugie, mniejsze drzwi, przypominające wejście do kwater gościnnych. Każdy Mardukanin, który przez nie przechodził, musiał przykucać w idealnej pozycji do rozwalenia mu czaszki, oddając symboliczny pokłon głowie Domu.

Te właśnie drzwi otworzyły się, ukazując kolejnego strażnika o kamiennej twarzy, który gestem zaprosił ich do środka. Marines weszli po jednym; w przeciwieństwie do Mardukan nie musieli się schylać.

Wnętrze budynku przypominało kilka koncentrycznych rzymskich willi. Do zewnętrznego muru na wszystkich poziomach przylegały otwierające się do środka pomieszczenia, w centrum placu zaś stał drewniany budynek, w którym prowadzono większość interesów Domu. Z bramy wchodziło się w sklepiony korytarz z kilkoma parami drzwi po obu stronach. Wewnętrzną budowlę otaczał ogród.

Strażnik przeprowadził ich między drzewami do drewnianego domu. Ten mieścił w sobie kolejny ogród. Marines przeszli przezeń i zostali wprowadzeni na tyły budynku, gdzie Gulyasa i Juliana oddzielono od ich drużyny i skierowano do niewielkiego, lecz wysokiego pomieszczenia. Okna po obu jego stronach były szeroko otwarte, by wpuszczać do środka świeże powietrze, a ściany pokrywały zdobienia z drewna, ułożone tak, by imitować fale. Na środku stał wysoki stół, a na nim leżała księga, w której K'Tke coś zapisywał.

Gulyas wyrecytował standardowe powitanie i skinął głową Julianowi, który zaczął wykladać próbki.

–Jak pan wie – zaczął porucznik – jesteśmy gośćmi z dalekich krain. Przedmioty, które przywieźliśmy ze sobą, są bardzo nieliczne, ale każde z nich jest prawdziwym dziełem sztuki rzemieślniczej.

Julian wyłożył maskującą tkaninę i zaczął demonstrować możliwości multinarzędzia. K'Tke zainteresowała najbardziej ta sama funkcja, która przykuła uwagę wszystkich innych naczelników domów – tryb ostrza, które bez problemów przecięło jeden z miękkich żelaznych grotów włóczni.

–Ilość każdego z tych przedmiotów jest ograniczona, a kiedy się zużyją, nie da się ich naprawić. Wszystkie wystawimy na aukcji – ciągnął porucznik, podczas gdy Julian demonstrował latarki typu Eterna-light i bezpaliwowe zapalniczki.

–Aukcja odbędzie się na głównym placu piątego T'Nuh. – Czyli za sześć dni. Wystarczyło to, by Domy porozumiały się ze sobą, jeśli zamierzały ich oszukać. Oczywiście ludzie mieli słyszeć każde ich słowo.

–Na koniec – powiedział Gulyas, podchodząc do Mardukanina – proszę mi pozwolić ofiarować sobie tę zapalniczkę. Przydaje się do rozpalania ognia i nie gaśnie na wietrze.

Porucznik osobiście zademonstrował działanie urządzenia, upewniając się, że pluskwa solidnie przymocowała się do obcego. Pozostałe pluskwy zostawił Julianowi, ale tę ostatnią chciał podłożyć sam.

–Czy K'Tke ma jakieś pytania?

Mardukan włączył kciukiem zapalniczkę i przytknął ją do kawałka papieru, dopóki ten się nie zajął. Pospiesznie zdusił płomyk i pokiwał głową.

–Mówicie, że nie macie ich wiele – powiedział, gestykulując zapalniczką. – Ile to „niewiele”?

–Tego jeszcze nie ustaliliśmy – przyznał Gulyas. – Jeśli chodzi o multinarzędzia, od

siedmiu do dwunastu.

–Aha – naczelnik domu wykonał mardukański gest przytaknięcia. – Faktycznie, niewiele. Bardzo dobrze, zapewniam, że na licytacji pojawi się mój człowiek i będzie odpowiednio poinstruowany.

–Dziękujemy, panie – powiedział Gulyas. – Oczywiście większość pieniędzy wróci do Q’Nkok. Będziemy kupować jedzenie, sprzęt i juczne zwierzęta, potrzebne w naszej długiej podróży.

–Ach, tak – parsknął głośnym śmiechem Mardukanin. – Wasza wyprawa do baśniowego Voitan.

–Nie chodzi na o Voitan – poprawił go taktownie porucznik. – Ale tam zaczynają się szlaki prowadzące na północ. Dlatego musimy tam dotrzeć.

–Szkoda. Zmarnuje się sporo dobrych zwierząt – powiedział Mardukanin ze śmiechem. Perspektywa śmierci ludzi nie robiła na nim wrażenia. – Ale mam pełne stajnie. Najlepsze w mieście.

–Będziemy o tym pamiętać – obiecał porucznik, skłonił się i wyszedł.

–Nie zapomnijcie – warknął naczelnik Domu i na powrót skupił się na swojej księdze.

* * *

Roger popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Włosy z kucyka rozsypywały się bezładnie po jego plecach i ramionach, zwłaszcza w takim upale. Powinien zapleść sobie warkocz, ale sam miał z tym kłopoty. Ostatecznie związał kucyk dodatkowymi rzemieniami na środku i przy końcu. Jeśli tylko nie puszcza, włosy przestaną przyklejać mu się do twarzy.

Pukanie do drzwi i skrzypnięcie zawiasów niemal zlały się w jeden dźwięk. Księżę odwrócił się gwałtownie, by wrzasnąć na intruza, zobaczył jednak Despreaux i zawahał się. To, że miał zły dzień, nie oznaczało, że plutonowy zasłużyła na wyrzucenie za drzwi.

–Co?

Nie udało mu się zapanować nad irytacją w głosie. Zachował się jak dupek, i to zupełnie niechcący.

–Kapitan Pahner zwołał zebranie na czternastą trzydzieści – powiedziała Despreaux bezbarwnym tonem.

–Dziękuję wam, plutonowy! – warknął książę, po czym westchnął. – Spróbuję jeszcze raz, jeśli wolno... Dziękuję, pani plutonowy.

–Proszę, Wasza Wysokość – powiedziała marine, zamykając za sobą drzwi.

–Plutonowy? – zawołał za nią Roger.

Mieli zostać na tej planecie dość długo, mógł więc zacząć już teraz.

–Tak, Wasza Wysokość? – spytała żołnierz, otwierając na powrót drzwi.

–Czy możecie poświęcić mi chwilę? – spytał książę słodkim głosem.

–Tak, Wasza Wysokość? – powtórzyła plutonowy ostrożnie, wchodząc do pokoju.

–To raczej intymna sprawa – powiedział Roger i odchrząknął. – Czy moglibyście zamknąć drzwi?

Despreaux zrobiła to, po czym skrzyżowała ramiona na piersi.

–Tak, Wasza Wysokość? – powtórzyła po raz trzeci.

–Wiem, że nie jesteście moim służącym – powiedział książę, bawiąc się kosmykiem włosów – ale mam mały kłopot.

Wziął głęboki oddech i kontynuował, mimo niewzruszonego wyrazu twarzy marine.

–To coś, czego nie mogę zrobić sobie sam. Czy moglibyście zapleść mi warkocz?

*** * ***

–Nie ma powodu, żeby zauważyli podsłuch, sir – powiedział Julian, kiedy odeszli kawałek od budynku.

–To dlaczego jestem cały zlany potem? – spytał Gulyas.

–Bo jest gorąco? – podsunął z uśmiechem plutonowy. – Sir?

Porucznik uśmiechnął się i odwrócił, by jeszcze raz popatrzeć na Dom.

–Co o tym sądzicie? – spytał cicho.

Dopóki posługiwali się standardowym językiem, nikt nie mógł ich podsłuchać, ostrożności jednak nigdy nie za wiele.

–Jak strzelanie do ryby w beczce, sir – odparł Julian. – Dwa wyjścia. Złożony

rozkład pomieszczeń, ale nie jest źle. Wszystkie pomieszczenia straży od frontu, służby z tyłu, rodzina pośrodku. Jeśli będziemy musieli zająć jeden albo nawet dwa czy trzy domy, nie będzie z tym za dużo zachodu. – Przerwał na chwilę. – Oczywiście pójdzie na to trochę amunicji – dodał zamyślonym tonem.

–Nie tak dużo – odparł Gulyas. – W porządku, jeszcze trzy pluskwy. Możecie je podłożyć sami, ja mam dość na dzisiaj.

–Och, to nic takiego, sir. Opowiadałem panu, jak ukradłem kosmiczną limuzynę?

* * *

–Nigdy nie nauczył się pan, jak zaplatać sobie warkocz? – spytała Despreaux.

Książę miał najpiękniejsze włosy, jakich kiedykolwiek dotykała, mocne, ale nie grube, i długie jak mardukański dzień. – Ma pan wspaniałe włosy.

–Dzięki – powiedział spokojnie Roger. Nie miał zamiaru mówić plutonowej, jaką przyjemność sprawiało mu czesanie. – To jeden z efektów nielegalnego ulepszania genów.

–Naprawdę? Jest pan pewien?

–Jasne – odparł Roger. – Bez wątplenia. Mam mięśnie rekina, refleks węża i o wiele wyższy próg wytrzymałości niż powinienem. Ktoś ze strony mamy albo taty, albo obojga z nich, sporo pozmieniał w naszych genach za czasów Daggerów, chociaż pewnie każdy, kto miał pieniądze, zrobiłby wtedy to samo, legalnie czy nie. Dostało mi się nawet widzenie w ciemnościach.

–I włosy Lady Godivy. Ale niech się pan lepiej nauczy, jak to robić samemu.

–Nauczę się – obiecał Roger. – Jeśli mi pokażecie. Zawsze ktoś robił to za mnie, ale na Marduku służący chyba wyszli, a Matsugae też tego nie umie.

–Pokażę panu. To będzie nasza mała tajemnica.

–Dzięki, Despreaux. Doceniam to, naprawdę. Może dostaniecie za to medal – zaśmiał się książę.

–Order Złotego Warkocza?

–Jaki tylko zechcecie. Kiedy wrócimy na Ziemię, znów będę bogaty.

* * *

–Bogate miasto – powiedziała Kosutic.

Trzeci bazar, który znaleźli, był identyczny jak dwa poprzednie. W większości składał się z postawionych na stałe drewnianych kramów, stojących jeden obok drugiego wzdłuż wąskich alejek. Na sporadycznie rozsianskich placach zaś stały wozy, z których sprzedawano wszystko, czym można było handlować.

Początkowo Kosutic bardzo uważała, zapuszczając się między stragany. Była na wystarczająco wielu planetach i oglądała dość alejek, by wiedzieć, że można było w nich trafić na najlepsze i najgorsze rzeczy, jakie miały do zaoferowania miejsca takie jak to. Marines nie mieli pancerzy, a Mardukanie mogli być godnymi przeciwnikami w bezpośrednim starciu. Dlatego Kosutic wołała się nie spieszyć.

Okazało się, że alejki stanowią najlepszą część targu. Małe sklepiki były bardzo stare i miały ustaloną reputację. Oferowały nie tylko najwyższej jakości towary, ale też korzystniejsze ceny. Niestety jednak sprzedawano w nich nie to, czego potrzebowali ludzie.

Region dostarczał minerałów i klejnotów. Jedzenia i wyrobów ze skóry było tu pod dostatkiem, ale to, co kompanii było potrzebne najbardziej – juczne zwierzęta i broń – sprzedawano rzadko i po wysokich cenach.

Kosutic zatrzymała się przy jednym ze straganów z bronią: jej uwagę przykuł wiszący na ścianie w głębi miecz. Mardukański sprzedawca przycupnął na stołku, mimo to i tak patrzył na sierżant z góry. Był olbrzymem nawet jak na tutejsze standardy i wyglądał tak, jakby nie zawsze był kupcem. Jego lewa górna ręka kończyła się kikutem na wysokości łokcia, a pierś miał pociętą siatką blizn. Na oba rogi założył brązowe końcówki, wyglądające na diabelnie ostre, a na kikut metalowy hak.

Spojrzał na miecz, na który patrzyła Kosutic, i uderzył hakiem w dłoń drugiej ręki.

–Wiesz, co to jest? – spytał.

–Widziałam już coś takiego – odpowiedziała ostrożnie. – A przynajmniej podobnego.

Broń nie przypominała zupełnie innych oferowanych na targu. Wykonana była z damasceńskiej stali – srebrno-czarny wzór na ostrzu był zupełnie wyraźny. Klinga była długa, jak dla człowieka, chociaż krótka dla Mardukan, zakrzywiona i nieco szersza ku końcowi. Miecz nie był ani kataną, ani sejmitarem – stanowił coś pośredniego.

Był uderzająco piękny.

Kosutic widziała tego rodzaju miecze na kilku planetach, wszystkie one jednak były na o wiele wyższym poziomie technicznym.

–Skąd pochodzi? – spytała.

–Ach... – Kupiec klasnął przeciwległymi dłońmi. – To smutna historia. To relikw z Voitan. Słyszałem o was, ludzie. Pochodzicie z dalekich krajów. Znaćcie historię Voitan?

–Częściowo – przyznała Kosutic. – Może opowiesz mi ją od początku?

–Usiądź – zaproponował Mardukanin i wyjął z torby gliniany kubek. – Chcesz pić?

–Nie odmówię. – Sierżant spojrziała przez ramię na niewielką grupę, którą prowadziła. Składała się z drużyny Koberdy, Poerteny i trzech bratanków Corda. – Idźcie trochę pokrażyć.

Wszyscy żołnierze z grupy dostali po latarce i zapalnicze.

–Pohandlujcie, zobaczcie, co tu sprzedają. Ja tu zostanę.

–Czy ktoś ma zostać z panią, pani sierżant? – spytał plutonowy Koberda. Miał dość wyraźne rozkazy.

Kosutic spojrziała na kupca i uniosła pytająco brew. Mardukanin chrząknął.

–Nie – powiedziała i potrząsnęła głową. – Posiedzę tu przez chwilę. Dam znać, kiedy będę chciała wracać.

–Tak jest. – Koberda machnął ręką żołnierzom. Kilka alejek wcześniej widział miejsce, które wyglądało zupełnie jak bar. – Będziemy krażyć.

*** * ***

Poertena ruszył w głąb uliczki za Denatem. Doszedł do wniosku, że trzech bratanków Corda można uznać za grupę, a Mardukanin zaklinał się, że zna najlepszy lombard w mieście.

Sprzedawcy i rzemieślnicy po obu stronach alejki przyglądali im się z zainteresowaniem. Wieści o przybyciu ludzi rozeszły się po mieście z prędkością błyskawicy, ale Poertena dziwił brak większej ciekawości. Na większości ludzkich światów biegłaby za nimi przynajmniej gromadka dzieci, tutaj jednak nie. Właściwie nikt z ludzi nie widział kobiet i dzieci, odkąd przybyli w te okolice.

–Gdzie som kobitki? – spytała Poertena Denata, kiedy skręcili w kolejną alejkę. Gdyby się odłączył, miałby problemy ze znalezieniem drogi powrotnej.

–Gównosiady je zamykają – powiedział Mardukanin i roześmiał się. – Dzieci też. Głupi zwyczaj.

–Cieszem się, że macie, kurde, szacunek dla miejscowych – zawtórował mu śmiechem marine.

Denat splunął i machnął pogardliwie ręką.

–Gównosiady się zabija. Ale jeśli zabijemy chociaż jednego, nas też czeka nóż.

–Taa – pokiwał głową Poertena. – Pewnie urzondzom wam uczciwy proces i poderżnom gardła?

–Nie. – Denat przystanął, żeby zorientować się, gdzie są. – Prawo miasta nas nie dotyczy. Jeśli je naruszymy, zostaniemy wydani plemieniu, ale za zabijanie czeka nas tam nóż tak samo, jak w mieście. Tak samo każdy miastowy, który pogwałci nasze prawa, jest przekazywany do miasta. Sędziowie plemienni sądzą nas surowiej niż zrobiłoby to miasto, a sędziowie miastowi są surowsi dla swoich. Aha – najwyraźniej zlokalizował to, czego szukał. – Tędy. Już blisko.

–Ale dlaczego miasto zabija swoich za to, że naruszyli wasze prawa? – nie rozumiał Poertena.

–Bo jeśli by tego nie zrobili – odezwał się idący za nim Tratan – puścilibyśmy ich gównianą nedoróbkę miasta z dymem.

Denat zarechotał gardłowo, ale przyklasnął bratu.

–Nie ważą się nas obrazić, bo byśmy ich zaatakowali albo rozbili obóz pod Q’Nkok i zabijali po jednym na otwartym terenie, aż zaczęliby się bać wychodzić za bramę, nawet żeby sobie ulżyć. Oni jednak też mogą nas zaatakować, nasze wioski. Mieliśmy wojnę niedługo po tym, jak miasto zaczęło rosnać; była straszna dla obu stron. Dlatego pilnujemy, żeby był pokój.

–Na razie – syknął Tratan.

–Na razie – zgodził się Denat. – To tu.

Stragan nie różnił się od pozostałych, był nawet trochę mniejszy – wciśnięty między dwa inne, mierzył jakieś pięć metrów w głąb, wejście było jednak na poły zasłonięte skórzaną zasłoną, przez co wewnątrz kramu ginęło w półmroku. Widać w nim było zarysy stosów skór i skrzyń. Więcej towarów leżało na skórzanym płachcie, rozłożonej na ziemi.

Było tam wszystko – kilka grotów włóczni, trochę biżuterii (od niezłej do zupełnie bezwartościowej), narzędzia do obróbki drewna i metalu, świeczniki z mosiądzu, skórzaną i drewniane pudełka (niektóre bogato zdobione), pojemniki na przyprawy i mnóstwo innych, przypadkowo dobranych rzeczy.

Na środku tego chaosu przykucnął szumowiniak. Miał złamany prawy róg, a jego śluzowa powłoka była miejscami wyschnięta, za to oczy świeciły mu żywym blaskiem.

–Denat! – Kupiec wstał z wysiłkiem. – Zawsze przynosisz ciekawe rzeczy! – powiedział, zerkając na Poertenę.

–Czas pohandlować, Prato! – roześmiał się Mardukanin. – Przyniosłem kilka rzeczy, a mój przyjaciel chce ci pokazać kilka innych.

–Oczywiście. – Kupiec wyciągnął z jednego z pudeł butelkę i kilka kubków. – Obejrzyjmy, co tam macie. Wiem, że mnie oszukasz jak zwykle, ale jeśli obiecasz, że nie weźmiesz za dużo moich pieniędzy, może pohandlujemy.

–Chiba łyknem po kielichu – zachichotał Poertena.

Poczuł się jak w domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

„Tawerna” była sporym namiotem, pozbawionym ścian i umiejscowionym na skraju placu targowego. Rząd ustawionych pionowo beczek pełnił rolę baru, za którym nad dużym paleniskiem obracało się powoli cielsko jakiegoś zwierzęcia.

Pod namiotem stało kilka długich ław, przy których Mardukanie jedli jęczmyż, mięso i warzywa, podawane przez uwijającą się obsługę.

Plac był właściwie odrębnym targowiskiem – stało na nim kilka tymczasowych straganów. Powstał przypadkiem, wciśnięty między jeden z Wielkich Domów, magazyn i bazar. Wychodziły z niego dwie ulice – jedna w dół, obok magazynu, druga w górę, koło Domu. Plac był również miejscem spędzania wolnego czasu przez strażników Domu. Przechadzali się w skórzanych pancerzach i z włóczniami o szerokich ostrzach w rękach, jakby cała okolica należała do nich, co w pewnym sensie było prawdą. Kupcy patrzyli na nich z obawą, więc Koberda wątpił, czy gwardziści płacą za to, co biorą.

Plutonowy wyprostował się nad stołem i pomachał do Poerteny. Mechanik przyprowadził ze sobą jeszcze jednego szumowiniaka, już niemłodego, i wyglądał na zadowolonego z siebie.

–Hej, kapralu – powiedział. Stoły, przy których stali inni, jemu sięgały nad głowę, więc przytoczył sobie beczkę i wspiął się na nią. – Co jesz?

–Coś cholernie ostrego – odparł Andras, napił się piwa i powachlował dłonią usta. – Nie wiem, co oni dodają do tej cholernej zupy, ale to ostre!

–Brzmi nieźle! – Pinopańczyk ruszył do baru.

–Dogadałem się z gościem – powiedział Koberda. – Za jedną latarkę wszyscy jemy za darmo.

–Ajaj! – złapał się za głowę nowo przybyły Mardukanin. – Po co mi to mówiłeś! Idę zobaczyć, czy uda mi się do was dołączyć!

Denat zaśmiał się i podniósł stojący na środku stołu kufel. Potrząsnął nim, pociągnął łyk i skrzywił się.

–Fuj! Szczyny gównosiadów!

–Lepsze niż to wasze paskudztwo! – roześmiał się starszy szeregowy Ellers. Grenadier ugryzł kawałek mięsa i popił go piwem. – Przynajmniej smakuje jak piwo.

–Hej – zaprotestował Cranla, trzeci z bratanków Corda. – Lubimy, jak nasze napitki mają smak!

–Smak, jasne – zgodził się Ellers. – Po to właśnie dodajecie terpentyny?

Poertena wrócił z dużą tacą, którą postawił na stole. Długi blat zrobiono z pojedynczego, czarnego pnia drzewa. Ludzie zajmowali jeden koniec i razem z wciśniętymi między nich Mardukanami z dżungli jedli ostro przyprawione mięso, pokrojone w plastry owoce i jakieś nieznanne im korzenie, smakujące trochę jak słodkie ziemniaki.

–Ładnie pachnie – powiedział Denat, wrzucił sobie do ust kawałek mięsa i zakrztusił się. – *Peruz!*

Pospiesznie chwycił za kufel piwa.

–Kurwa! – wypił potężny łyk i odetchnął. – Uff! Nie takie najgorsze to piwo! – wydyszał.

* * *

–Gdzie jesteście, Koberda? – spytała Kosutic przez komunikator.

–Moja drużyna kończy obiad, pani sierżant – odparł plutonowy, odkładając karty i rozglądając się dookoła.

Żołnierze siedzieli przy stołach, odpoczywając. Upał sięgnął zenitu, a większość Mardukan schroniła się w chłodniejszych miejscach. Pod namiotem jednak nie było tak źle – najwyżej czterdzieści trzy standardowe stopnie, czyli sto dziesięć na starej skali Fahrenheita.

Poertena zaczął pokera. Wciągnął do gry starego mardukańskiego kupca, wabiąc go kilkoma latarkami i zapalniczkami. Starzec próbował się teraz odegrać w grze, w którą grał pierwszy raz w życiu.

Koberda podniósł karty i spojrzał na nie z obrzydzeniem. Poertena pozwolił mu wymienić trochę imperialnych kredytek na kilka sztuk miejscowej srebrnej i miedzianej waluty. Wiedział, że powinien był trzymać je w kieszeni.

–Pas.

Poertena spojrzał znad kart na Mardukanina. Kupiec popatrzył na to, co miał w ręku, i na pulę na środku stołu.

–Przebijam – powiedział. Zastanowił się, po czym rzucił na stół jedną z latarek

Eterna-light. – To powinno być warte więcej niż cała reszta.

–Jasne – zgodził się z uśmiechem Poertena. – Albo obiad dla dwunastu osób.

–Ajaj! Nie przypominaj mi! – warknął Pratol.

–Spójrz no prawdzie w oczy – powiedział Pinopańczyk. – Koberda zgarnął pulem!

Ciekawe, ile wydusił już z ewidentnie doświadczonego kupca, pomyślał dowódca drużyny.

–No, ktoś zgarnął na pewno.

Poertena spojrział jeszcze raz na karty i potrząsnął głową.

–Pas.

–Podoba mi się ta gra! – zachrząkał Pratol i wszystkimi czterema rękami zgarnął pulę.

–Jasne, jasne – powiedział mechanik, rozdając karty na nowo. – Poczekaj no tylko.

–Ha! – zawołał nagle Tratan. Miał na tyle zdrowego rozsądku, że wycofał się zanim przegrał swoją broń. – Spójrzcie na te gównosiadzkie cipki!

Obok namiotu przechodziło pięciu Mardukan, uzbrojonych w wyciągnięte z pochew miecze o szerokich ostrzach, na tyle długie, że człowiek potrzebowałby obu rąk, by się takim posługiwać.

W przeciwieństwie do innych strażników, których widziała kompania, ci byli całkowicie okryci skózanymi pancerzami, dodatkowo łątanymi na piersi i ramionach. W oczywisty sposób eskortowali idącego między nimi nieuzbrojonego Mardukanina z zawieszonym na szyi niewielkim skózanym mieszkiem. Najwyraźniej nie ufał on wytrzymałości grubego rzemienia, bowiem ścisnął woreczek obiema górnymi rękami.

–Co to? – spytał Poertena. Podniósł karty i zrobił obojętną minę.

–Strażnicy klejnotów – odparł Pratol.

Rzucił dwie na wymianę.

–Cipki – powtórzył Tratan. – Myślą, że te skórzane fatalaszki robią z nich nieśmiertelnych.

–Pancerz to niezła rzecz. – Koberda podnosił jeden po drugim dzbany z piwem i potrząsał nimi, szukając pełnego. – Gdyby Talbert miała zbroję, siedziałyby tu z

nami.

–No – zgodził się Poertena i wyciągnął dwie karty.

W grze pozostało trzech graczy, za mało na porządną partię pokera. Denat jednak ciągle się trzymał. Sprzedał Pratolowi kilka ładnych klejnotów za srebro i kredyt na zakupy. Teraz grał już za pieniądze Tratana. Poertena zerknął na niego; Mardukanin spojrzął na swoje karty, po czym rzucił je z obrzydzeniem.

–Pas.

Mechanik popatrzył na to, co miał w rękach, i nie uśmiechnął się. Głupi ma szczęście.

–Przebijam. – Spojrzął na pulę i dorzucił kawałek lapis lazuli, błękitny i poprzecinany żyłkami czystej miedzi.

–Hmmm. – Pratul pchnął na środek stołu kupkę srebrnych monet i dodał własny kamień, nieco większy i wypolerowany. – Też przebijam.

Poertena dorzucił rubin.

–To ja znów.

Pratul przekrzywił głowę, po czym wyjął maleńki szafir, lśniący jak błękitny płomień, i położył go ostrożnie na szczycie kupki. Czerwone i błękitne klejnoty, ciemne, lecz przejrzyste, były chlubą regionu. Kiedy patrzyło się jak lśnią na stole, łatwo było zrozumieć, dlaczego tak jest.

Poertena wziął szafir i rubin, i zestawiał je ze sobą.

–Chiba nie starczy – powiedział.

–Dobrze. – Pratul dorzucił kilka sztuk srebra i nieduży cytryn. – Teraz starczy.

–Sprawdzam – powiedział Poertena. – Cztery siódemki.

–Szlag! – Kupiec cisnął karty na stół. – I tak podoba mi się ta gra.

–Odpadam – zrezygnował Denat. – Wolę zatrzymać swoją broń.

–Dlaczego, młody wojowniku? – odezwał się jakiś nowy głos. – Z przyjemnością sprzedam ci więcej.

Kosutic i kupiec, u którego została, uśmiechnęli się widząc, jak wszyscy podskoczyli. Podeszli tak cicho, że nikt ich nie zauważył. Koberda odchrząknął.

–Ach, pani sierżant... My tylko...

–Zbieraliście siły przed wymarszem? – spytała. – Daruj sobie, Koberda. Ale przynajmniej jeden z was musi być cały czas czujny. Nie jesteśmy jeszcze w domu. Jasne?

–Jasne, pani sierżant – odparł plutonowy, po czym zmarszczył brwi na widok czegoś, co wystawało znad ramienia Kosutic.

–Czy to jest to, co ja myślę, że to jest?

–Tak.

Sierżant wyciągnęła miecz z pochwy na plecach. Dzień był pochmurny, więc srebrne i czarne fale na ostrzu trochę się zlewały, ale i tak było widać, że broń to dzieło sztuki.

–Podoba mi się, ale kupiłam go dla księcia. Wykuto go dla dziecka króla, więc jest odpowiedniej dla nas wielkości.

–Aha – kiwnął głową Koberda. – Rozumiem. A co z inną bronią?

–Niestety, tutaj nie znajdziecie dużych ilości broni i zbroi – powiedział hakoręki kupiec. – To, co można tu kupić, w większości zostało zrobione gdzieś indziej – w T’Kunzi, a niektóre sztuki to relikty z Voitan, tak jak ten.

–Ludzie, poznajcie T’Leena. Był żołnierzem, dopóki nie stracił ręki. Teraz sprzedaje miecze.

–Włócznie i noże też. Wszystko, co ma ostrze. Głównie strażnikom handlarzy klejnotów albo oddziałom najemników – powiedział T’Leen, gładząc jeden z rogów. – Czasami też strażnikom Domów. W mieście są zarówno niezależni handlarze klejnotów, jak i ci z Domów. Chociaż kupcy Domów czasami... utrudniają życie niezależnym.

–Pah! – parsknął Pratul, odrywając się od oglądanej talii kart.

Naprawdę podobała mu się ta gra. Była lepsza niż kości, ponieważ oprócz szczęścia wymagała sprytu i umiejętności. Bardzo interesujące.

–Domy są pełne drani! – ciągnął. – Wyciskają nas do sucha, a potem nasyłają swoich osiłków, żeby wypędzić nas z miasta.

–Takie rzeczy zdarzały się częściej niż powinny – przytaknął T’Leen. – To zasrane miasto.

Jakby na podkreślenie jego słów w przeciwległym skraju placu rozległ się szcęk metalu.

Starły się tam dwie grupki wojowników – garść osiłków miejscowego Domu i pięciu strażników konkurencji. Drużyna gospodarzy miała znaczną przewagę liczebną, ale nie skorzystała z niej, by pokonać przeciwnika. Piątka napastników radziła sobie doskonale, zwłaszcza dwóch z nich, walczących trzymanymi w dolnej lewej ręce długimi sztyletami. Używali ich prawie wyłącznie do parowania – Kosutic zdziwiła się, dlaczego nie mają zamiast tego małych puklerzy. Ponieważ miejscowi wojownicy, prawdopodobnie zgodnie z tradycją, walczyli z nimi jeden na jednego, mimo przewagi liczebnej ponosili ciężkie straty.

Kosutic zauważyła, że włóczni używano podobnie do karabinów z bagnetami. Technika Mardukan kładła nacisk na blokowanie i pchnięcia, jednak niektórych ich parowań i ripost w normalnej walce na bagnety nie stosowano. Trafienia były sporadyczne, jednak ich efekty dość krwawe, ponieważ szerokie ostrza włóczni zadawały duże i głębokie rany.

Obrażenia, mimo że poważne, nie zagrażały życiu. Kiedy jeden z miejscowych wojowników dochodził do wniosku, że przegrywa, po prostu się wycofywał, a jego miejsce zajmował ktoś inny.

Napastnicy najwyraźniej nie stanęli jeszcze przeciw komuś równemu sobie, kiedy jednak już zaczęło się wydawać, że gospodarze przegrają z kretelem, wrota Domu otworzyły się, a ze środka wyszła grupa wojowników w cięższych pancerzach.

–O, teraz coś zobaczycie – powiedział TLeen. – Strażnicy z Crita zostali wybrani spośród tamtejszej elity. Przyszli zobaczyć, co warci są nowi strażnicy N’Jaa, i teraz zobaczą. Ci nowi to elita N’Jaa – uważa się ich za najlepszych w mieście.

–A są najlepsi? – spytała Kosutic.

–Może i są – parsknął handlarz bronią. – Ale to niewiele znaczy. Miejscowe osiłki liczą się tylko tutaj. Powinni iść zbierać długi dla Domu Tan.

Dwie grupy stanęły naprzeciw siebie i zaczęła się walka. Miejscowa elita była lepiej opancerzona i wypoczęta, więc starcie nie trwało długo. Kiedy wojownicy się rozdzielili, na ziemi leżało dwóch strażników Crita i jeden N’Jaa, wyraźnie martwi. Ocalali napastnicy uciekli pospiesznie, ścigani wyzwiskami zwycięzców.

–O! – zawołał TLeen. – Widzieliście tę ripostę sekundą, którą wyprowadził K’Katal?

–Nawet nie wiem, co powiedziałaś – stwierdziła Kosutic, pukając się w szczękę, żeby wydostać z tootsa tłumaczenie na standardowy. – Co to jest „sekunda”?

–Tu, na dole – zademonstrował T’Leen. – Świetny ruch! Widziałem coś takiego tylko raz, w Pa’alot. Bardzo trudno to wykonać – trzeba ustawić stopy w odpowiedniej pozycji. Kiedy się jednak ten cios opanuje, trudno go odbić. – Stary kupiec pokazał cały ruch i skrzywił się, kiedy wysiłek nadwerężył którąś z jego zastarzałych blizn. – Au.

–Gdzie się tego nauczyłeś? – spytał Koberda. – Byłeś strażnikiem?

–Tak – odparł T’Leen, tracąc nagle cały zapał. – Ale niezbyt długo. Czasy, kiedy walczyłem, dawno minęły.

–Pochodzi z Voitan – powiedziała cicho Kosutic.

–Byłem uczniem mistrza broni – wyjaśnił stary kupiec. – Byłem właśnie z karawaną w Tan K’tass, kiedy doszły nas wieści, że Kranolta zdobyli wszystkie pograniczne miasta. Padła S’Lenna, miasto lśniącej miedzi i lapisu. Padł H’nar, chyba najpiękniejsze miasto, jakie widziałem podczas mych podróży. Padły wszystkie siostrzane miasta Voitan.

–Ale Voitan się utrzymało. Wieści docierały do nas dzięki tym nielicznym, którzy mogli handlować z Kranolta, nie tracąc rogów. Barbarzyńcy ponawiali ataki, ale mury Voitan były wysokie, a mieszkańcy nie tylko mieli ogromne zapasy jedzenia, ale mogli też handlować z miastami po drugiej stronie gór.

–Tan K’tass znało wartość Voitan. Nikt na świecie nie wiedział tyle o wyrobie broni, co Stalowa Gildia Voitan. Nikt inny nie znał sekretu Wodnego Ostrza. Okolice Voitan były źródłem większości metali, bez których nie mogło się obejść Tan K’tass i inne południowe państwa-miasta.

–Rada Tan K’tass wezwała inne miasta do wysłania wojsk przeciw Kranolta, by przebić się na odsiecz Voitan, jednak nic takiego nie nastąpiło. Inne miasta widziały jedynie bogactwo Voitan, tak samo jak Kranolta, i śmiały się, widząc upadek tej pięknej krainy.

Twarz T’Leena przybrała gorzki wyraz, a jego głos przycichł, kiedy Mardukanin pogrążył się we wspomnieniach sprzed lat.

–Król Pa’alot i Domy śmierdzącego Q’Nkok wyparły się nas. Działo się to, zanim władzę objął Dom Xyia. Przyznaję, Xyia nas poparli, przynajmniej tak słyszałem.

–Byłem członkiem poselstwa z Tan K’tass, które przybyło do Pa’alot po pomoc, usłyszeliśmy jednak, że każde miasto musi radzić sobie samo. Spyтали, co takiego dostaliby od Voitan, żeby ryzykować swoje pieniądze i towary, a ja nie potrafiłem na to pytanie odpowiedzieć. – T’Leen klasnął smutno dolnymi rękoma. – Nie potrafiłem odpowiedzieć za moich panów z Voitan.

–Tan K'tass wysłało więc tylko swoją armię. Stawiliśmy czoła Kranolta na Wzgórzach Dantar. – Kupiec znów lekko klasnął dolnymi rękoma. – I zostaliśmy pokonani. Kranolta byli liczni jak gwiazdy na niebie, jak drzewa w lesie! I waleczni, waleczni!

–Walczyliśmy cały dzień i następny, ale przegraliśmy. W końcu, nie mogąc dłużej walczyć, wycofaliśmy się. Kranolta jednak ścigali nas do Tan K'tass. – Znów klasnął. – Szli za nami wszędzie.

–I zdobyli to miasto – zakończyła ponuro Kosutic – oraz dwa inne w okolicy. To były ostatnie wieści o Voitan, jakie ktokolwiek słyszał.

–Zostało nas trochę – powiedział smutno TLeen. – Kilku naczelników Domu Tan uciekło razem ze swoimi oddziałami. Finansowo radzą sobie dobrze – unieśli ze sobą większość bogactwa Tan K'tass i zajęli się bankowością. Od czasu do czasu ze sobą rozmawiamy.

–Zostało też niewielu z Voitan. Takich jak ja. Niewielu. – Mardukanin potrząsnął głową. – Tak bardzo niewielu.

–Jak dawno to było? – spytał Koberda.

–Byłem młody – przyznał T'Leen. – Dawno, dawno temu. – Nie mają tu pór roku – wzruszyła ramionami Kosutic. – Nie widać słońca. Nie liczą czasu, tak jak my. Możemy tylko zgadywać, ile który ma lat.

–Chwileczkę – powiedziała Bosum, odstawiając na stół szklankę wody. – Tam mamy teraz iść?

–Żebyś wiedziała – uśmiechnęła się ponuro Kosutic. – Przynajmniej w tamtą stronę. Przez sam środek tych Kra... Kra...

–Kranolta – podpowiedział usłużnie Poertena.

–Właśnie. Tych drani – roześmiała się sierżant. – Proponowałabym upewnić się, że wasz karabin plazmowy jest w dobrej formie, marine.

–Jasne – powiedziała Bosum. – Co pani rozkaże.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

DZIEWIĄTY

Roger przesunął powoli ostrzem w powietrzu, starając się przypomnieć sobie, jakie to uczucie.

–Co to jest? – spytał Cord. Szaman zaczął uczyć księcia tego, czego sam dawno temu się nauczył, tego ruchu jednak nie rozpoznał.

–W szkole uczyłem się przez jeden semestr czegoś, co nazywa się *kendo* – odparł Roger, marszcząc czoło w skupieniu. Źle stawiał stopy i wiedział o tym. – Nie pamiętam ruchów!

Poprawił swoją pozycję, ale wciąż stał nie tak. Sklął się w myślach, a duchy Rogera III i wszystkich pokoleń rozmiłowanych w historii MacCHntocków śmiały się z niego do rozpuku. Walczył zębami i pazurami, żeby wymigać się od lekcji *kendo*. Oficjalnym powodem było to, że odciągały go od innych sztuk walki, naprawdę jednak – zadbał, żeby jego matka o tym wiedziała – chodziło mu tylko o to, żeby sprzeciwić się głupim rodowym tradycjom. Być może było to niewielkie zwycięstwo, kiedy jednak matka wreszcie ustąpiła, traktował je jak swój skarb.

Oczywiście teraz myślał zupełnie inaczej.

Cord przekrzywił głowę i przyjrzał się postawie księcia. Cztery ramiona Mardukan powodowały, że wiele ludzkich działań, nie tylko w dziedzinie walki wręcz, wyglądało inaczej. Mimo jednak nieuniknionych różnic i braków Rogera, Cord potrafił rozpoznać zaawansowaną technikę.

Przez ostatnie dwa dni obaj ćwiczyli mieczem, który znalazła Kosutic. Kompania w tym czasie wypoczywała, a dowództwo czekało na informacje. Pahner przychodził czasami popatrzeć, jak Cord radzi sobie z księciem, i generalnie był zadowolony. Stary Mardukanin uczył Rogera czegoś więcej niż tylko posługiwania się bronią; być może tego właśnie księżę cały czas potrzebował.

–Zawsze chodzi o równowagę, księżę – powiedział Cord, obchodząc dookoła ćwiczącego *kata* Rogera. – Wychyliłeś się poza środek ciężkości.

Roger zatrzymał się, a Mardukanin przyjrzał się jego stopom, chrząknął, po czym przesunął jedną drzewcem włóczni.

–Spróbuj stąd – powiedział. Księżę powtórzył kroki i uśmiechnął się.

–Znów ci się udało, ty stary czarowniku.

**–Musisz się nauczyć lepiej chwytać równowagę – pouczył go Cord i kłapnął zębami.
– Jeśli nie trzymasz równowagi, wszystko robi się trudniejsze. Jeśli ją masz, niekoniecznie będzie ci łatwo, ale na pewno łatwiej.**

Do sali wszedł starszy szeregowy Kraft. Szaman podniósł głowę. Pomieszczenie do ćwiczeń znajdowało się w odległej od kwater gościnnych części zamku, więc za drzwiami stała na straży drużyna marines. Strzelec popukał się w hełm, dając do zrozumienia, że właśnie odebrał komunikat.

–Kapitan Pahner mówi, że chciałby się z panem zobaczyć, Wasza Wysokość. Przy najbliższej sposobności.

Roger otworzył usta, żeby warknąć na żołnierza za przerwanie mu ćwiczeń, ale zamknął je, kiedy Cord położył mu rękę na ramieniu.

–Za chwilę przyjdziemy – powiedział Mardukanin. – Proszę przekazać kapitanowi wyrazy szacunku od księcia.

Kraft kiwnął głową i wycofał się. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Cord zarechotał.

–Równowaga, młody księżę. Mądry władca słucha swoich generałów w sprawach wojny, swoich ministrów w sprawach państwa i swojego ludu w sprawach moralności.

–Ha! – zaśmiał się Roger. – Gdzie to usłyszałeś?

–Przeczytałem w pismach Mędrca z K'Land – powiedział barbarzyński szaman, wzruszając ramionami.

–Po jaką cholerę wracałeś do dżungli? – spytał księżę, zaczynając wycierać się po ćwiczeniach czyszczącą ściereczką.

Odkrył, że szaman dorównuje odczytaniem każdemu mędrcom w mieście, co było jednym z powodów, dla których Xyia Kan z takim szacunkiem słuchał tego, co Cord miał do powiedzenia. Nie był głupim dzikusiem.

–Miałem zobowiązania wobec plemienia. Potrzebowało szamana, a ja byłem szamanem.

–Mam nadzieję, że Teltan spełni twoje oczekiwania.

Roger strząsnął ściereczkę, strzepując z niej większość brudu, który zebrała. Ściereczki aktywnie usuwały zanieczyszczenia z każdej powierzchni i można było ich używać wielokrotnie. Niestety, w końcu się zużywały, co oznaczało, że wkrótce kompania będzie musiała rozejrzeć się za jakimś ich substytutem, co nie było łatwe.

Mardukanie się nie kąpali. Nie musieli, poza tym ich śluzowa powłoka nie zniósłaby czegokolwiek w rodzaju mydła. Używali środków czyszczących do swojego wyposażenia, były one jednak niewiarygodnie żrące. Roger podejrzewał, że próba kąpieli w nich przypominałaby mycie się płynem do czyszczenia toalet.

Problemów tego rodzaju było całkiem sporo. Sprzęt już zaczął się psuć od upału i wilgoci. Kilku marines wysiadły hełmy, a dwa karabiny plazmowe – według Poerteny – miały przestać działać w każdej chwili. Z upływem czasu miało być coraz gorzej. Roger próbował sobie wyobrazić, jak będą wyglądać pod koniec podróży – odziani w skóry i wymachujący mieczami takimi jak ten, który właśnie odkładał. Nie była to pocieszająca myśl, zważywszy że ich celem był ufortyfikowany port kosmiczny.

–Wszyscy stawiamy czoła jakimś wyzwaniom – powiedział Cord, a księżę wyczuł, że stary Mardukanin mówi o czymś więcej niż tylko o jego uwadze co do Teltana, zupełnie jakby czytał w myślach swojego *asi*.

–Każdy człowiek żyje po to, by im sprostać bądź nie podołać

–ciągnął łagodnym głosem szaman. – Za to jesteście sądzeni.

* * *

Grupa dowodzenia siedziała na poduszkach w pomieszczeniu, które wyznaczono na sztab. Pierwszy raz od chwili opuszczenia promów wszyscy znaleźli się w jednym miejscu. Roger prychnął na myśl o tym, co by się stało, gdyby ktoś wrzucił do środka granat. Wszystkie granaty jednak znajdowały się w rękach marines, a oni, jak dotąd, szanowali struktury dowodzenia, a przynajmniej Pahnera.

Kapitan stał z rękami za plecami pod ścianą. Do sali wszedł ostatni członek sztabu, porucznik Jasco. Pahner zaczekał, aż wszyscy wyjmą pady, po czym odchrząknął.

–Porucznik Gulyas i plutonowy Julian skończyli analizę materiałów, które zdobyli dzięki urządzeniom podsłuchowym, i są gotowi zdać z tego raport. Porucznik Gulyas sugerował, żeby dane przedstawił Julian. Julian? – zakończył, spoglądając na siedzącego w kącie podoficera.

Towarzyski zazwyczaj plutonowy z widocznym skrępowaniem wstał i zajął miejsce kapitana. Rozejrzał się po zebranych oficerach, po czym włączył własny pad.

–Panie i panowie – zaczął, zerkając na Corda, który przykucnął za Rogerem. – Raport ten został sporządzony na podstawie kilku źródeł, nie tylko urządzeń podsłuchowych. Wszystkie one jednak wskazują na to samo – jesteście w gnieździe żmij.

–W mieście działa kilka frakcji. Większość z nich zaangażowana jest w jakiś spisek,

a prawie wszystkie knują przeciwko sobie. Gdyby ktokolwiek z tubylców, włączając Króla, zdawał sobie sprawę, ile naprawdę jest tych spisków, byłbym szczerze zdziwiony.

–Nas jednak interesuje tylko ten, który dotyczy problemu wyrębu drzew i tego, dlaczego drwale wciąż łamią postanowienia traktatu pomimo grózb ze strony plemienia Corda.

Julian spojrział pytająco na porucznika Gulyasa, ten jednak tylko kiwnął głową i gestem kazał mu mówić dalej.

–Pan porucznik i ja – podjął plutonowy, odwracając się z powrotem do słuchaczy – widzimy w tej sytuacji wyraźną okazję dla nas. Musimy...

* * *

–Moglibyście wyjaśnić mi to jeszcze raz? – powiedział ostrożnie król.

Ominięcie protokołu i zorganizowanie spotkania, zwłaszcza pospiesznie, nie było łatwe. Ostatecznie na „liście gości” znalazł się Xyia Kan, Roger, O’Casey, Pahner, H’Nall Grak, dowódca straży królewskiej (i jedyna osoba w pomieszczeniu posiadająca widoczną broń) oraz plutonowy Julian. Przy wyborze ostatniego człowieka w delegacji wahano się między nim i porucznikiem Gulyasem, ten jednak polecił Juliana. Okazało się, że prawie cały plan był dziełem plutonowego.

–Jest pan w kłopotach, Wasza Królewska Mość – powiedział podoficer.– W spisek przeciw panu zaangażowane są trzy Domy. Pod kierownictwem swoich ludzi wysyłały drwali i myśliwych do lasu, by podburzyć Lud. Podmieniały również wysokiej jakości towary w ostatnich dostawach na gorsze, również po to, by rozwścieczyć pobratymców Corda.

–Jednocześnie odrzucały ostrzeżenia Waszej Królewskiej Mości, ponieważ planują przejąć władzę nad miastem przy pomocy grupy Kranolta.

–Obawiam się, że tego właśnie nie rozumiem – powiedział król. – Nawet C’Rtena nie mogą być tak głupi, by wierzyć, że uda im się zapanować nad Kranolta w murach miasta! Mogą?

–Szczerze mówiąc, Wasza Królewska Mość – odpowiedziała O’Casey – tak im się właśnie wydaje. Oddział Kranolta, który wynajęli, jest stosunkowo niewielki, zaledwie kilkuset wojowników, a większość z nich będzie walczyć z Ludem pod murami miasta. Obiecano im jednak, że po walce będą mogli złupić Q’Nkok, a konkretnie bazy, na których handlują niezależni kupcy. Spiskowcy uważają, że uda im się ograniczyć spustoszenia do bazarów i pomniejszych domów. Może jednego czy dwóch Wielkich Domów, które nie biorą udziału w spisku. Każda szkoda, jaką

poniósłby ktokolwiek z wymienionych, stawiałaby ich samych w lepszej sytuacji.

–Poszaleli! – prychnął Grak. Poznaczony bliznami, stary żołnierz zarechotał ponuro na samą myśl. – Jeśli Kranolta zostawią z miasta choćby kamień na kamieniu, to tylko po to, żeby reszta ich plemienia miała co łupić!

–I tak, i nie – powiedział Julian. – Nasze... informacje zawierają dane o Kranolta, o których dotąd najwyraźniej nie wiedziano. Wygląda na to, że Voitan w końcu padło, ale jego upadek pociągnął za sobą znaczny spadek liczebności Kranolta. Plemię jest o wiele mniejsze i od upadku miasta pogrzyżyło się w stagnacji. – Wzruszył ramionami. – Oczywiście i tak uważam, że stosunek sił jest niekorzystny.

Grak przetłumaczył to sobie i znów się zaśmiał.

–Niekorzystny. Tak. A co według nich my będziemy robić, hmmm? Kiedy wpuszczą Kranolta do miasta?

–Uważają, generale – odparł Pahner – że większość z was będzie martwa. Gwardia Królewska jest odpowiedzialna za obronę miasta. Wykrwawicie się walcząc z Ludem. Wtedy nadejdą Kranolta, rozbiją resztki obu stron, zniszczą pomniejszych Domy i złupią niezależnych kupców na bazarach. Król, który cieszy się poparciem obu tych grup, zostanie pozbawiony gwardii. Może utrzyma zamek, ale bardziej prawdopodobne jest to, że obalą go niedobitki straży.

–Fascynujące – powiedział król. – Jeszcze bardziej jednak fascynujące byłoby wiedzieć, skąd się o tym wszystkim dowiedzieliście.

Ludzie zastanawiali się, jak odpowiedzieć na to nieuniknione pytanie, i doszli do wniosku, że nie ma dobrego sposobu. Pahner był z początku przeciwny mówieniu tubylcom czegokolwiek, co mogłoby zdemaskować możliwości szpiegowskie marines lub, co ważniejsze, ich ograniczenia. Potem pojawiła się kolejna delikatna kwestia – przyznanie się do szpiegowania Wielkich Domów wywołałoby u Króla podejrzenia, że sam jest inwigilowany.

Kontrargument wytoczyła O'Casey, a Kosutic ją poparła. Według Imperialnych norm, Q'Nkok stało na prymitywnym szczeblu rozwoju, co nie oznaczało jednak, że jego władca jest głupi. Niezależnie od tego, co by powiedzieli, musiał zacząć podejrzewać, że jest szpiegowany, więc nie było sensu ukrywać tego faktu. Z drugiej strony, chcąc zyskać zaufanie króla, musieli przekonać go, że ich informacje pochodzą z wiarygodnych źródeł. Dlatego Julian odpowiedział mu wprost.

–Wasza Królewska Wysokość, informacje zebraliśmy, jak my byśmy to powiedzieli, „środkami technicznymi”.

Król przetrwał to, co zaserwował mu toots plutonowego, po czym zachrząkał.

–„Sposobem pomp”? Co to, na Dziewięć Komnat Kratchu, znaczy?

–Obawiam się, że nasze tłumaczenie niczego nie wyjaśnia – powiedział Roger, a Pahner uśmiechnął się, słysząc dyplomatyczny ton księcia. – Wasze systemy irygacyjne i pompy wymagają obsługi wykwalifikowanych mechaników, więc urządzenie, które dla nas tłumaczy, wybrało ten zwrot do oddania jednego z naszych wyrażeń, oznaczających coś, co również wymaga umiejętności i długiego szkolenia. Z całym szacunkiem, widział pan nasze multinarzędzia i inne urządzenia. Czy wasi rzemieślnicy potrafiliby je skopiować? Albo wyjaśnić innym, jak działają?

–Nie. – Król nie wyglądał na specjalnie zachwyconego tym wnioskiem, jednak odpowiedział bez wahania.

–To dlatego, że nasi rzemieślnicy poznali rzeczy, których wasi jeszcze nie odkryli, Wasza Królewska Mość – powiedziała O’Casey, znów wchodząc w rolę dyplomaty. – Ci sami rzemieślnicy zbudowali urządzenia, których można używać do... obserwowania i podsłuchiwania z dużej odległości.

–Macie mechanicznych szpiegów? – Król rozejrzał się po komnacie z nagłym niepokojem, po chwili jednak spojrzał znów na O’Casey.

–Hmm, tak. To znaczy, ujmując rzecz w następujący sposób...

–To musi wam dawać niesłychaną przewagę... zakładając, że mówicie prawdę. I że wasz opis tego, czego się dowiedzieliście, jest dokładny.

–Wasza Królewska Mość postępuje mądrze zastanawiając się, czy nie mamy własnych powodów, by go oszukać – powiedział spokojnie Pahner. – Czy jednak teraz, kiedy przynieśliśmy panu te informacje, może je pan sprawdzić tak, by wrogowie się nie zorientowali?

Król zastanowił się, po czym spojrzał na Graka. Stary żołnierz pomachał rękami i klasnął w dłonie.

–Tak – odpowiedział.

–A jeśli je potwierdzimy, sposób, w jaki je zdobyliście, przestanie być ważny – powiedział król do Pahnera. – Pozostaje pytanie, co zrobimy, jeśli wasze doniesienia okażą się prawdziwe?

–To akurat – odparł kapitan z ponurym uśmiechem – jest najłatwiejsze, Wasza Królewska Wysokość.

–Wszystkich pozabijamy – powiedział Julian.

–A bogowie niech wybiorą swoich – parsknął Grak. – Tak, już to słyszałem. Ale jak? Trzy Domy przeciw gwardii królewskiej to wciąż... Jak to powiedzieliście?

–„Niekorzystny stosunek sił” – odparł plutonowy. – Tak naprawdę szansę będą prawie wyrównane. Będziecie mieli przewagę zunifikowanego dowodzenia przeciwko zgrai spiskowców, którzy nie ufają nikomu, a zwłaszcza sobie nawzajem. Oczywiście planują to już od jakiegoś czasu, więc w najlepszym razie będziecie mieli pięćdziesiąt procent szans na to, że skopiecie im tyłki. Jednakowoż, Wasza Królewska Mość, generale, zachodzi tu zbieżność interesów. Potrzebujemy sprzętu, zapasów i transportu do pokonania tego kontynentu. Prawdę mówiąc, potrzebujemy dofinansowania.

–Wy natomiast potrzebujecie kogoś, kto rozbiłby spisek – weszła w słowo O’Casey. – Nasza kompania może to zrobić. Rozbijemy spisek, odkryjemy wszystkie dowody, jakich będziecie potrzebować, żeby udowodnić spiskowcom zamiar sprowadzenia Kranolta, wskażemy, które Domy wiedziały o wyrębie drzew i jaką rolę odgrywały w intrydze, i zmusimy ich do ustępstw na waszą rzecz. W zamian otrzymamy część łupu i kar, jakie nałożycie, do tego swoim autorytetem zagwarantujecie, że towary i usługi, które zakupimy, będą najwyższej jakości.

–Zaiste, korzyści po obu stronach – mruknął król i potarł rogi. – Jeśli, oczywiście, naprawdę istnieje jakiś spisek.

–Istnieje – powiedział Pahner. – Ale proszę, sprawdźcie to wszelkimi środkami. W międzyczasie chcielibyśmy, żeby nasi ludzie zaczęli ćwiczyć posługiwanie się waszym uzbrojeniem razem z królewską gwardią. Dzięki temu mieliby dobry pretekst, żeby się z nimi zintegrować.

–Bylibyśmy jednak bardzo wdzięczni, gdyby Wasza Królewska Mość przeprowadził dochodzenie jak najszybciej. Odkryliśmy, że musimy uderzyć przed aukcją, którą zorganizowaliśmy. Okazuje się, że Wielkie Domy uknuły również sfałszowanie licytacji – zakończył kwaśnym tonem kapitan.

–Tak, to do nich podobne – zarechotał chrapliwie Xyia Kan.

–Nie obawiajcie się. Dowiem się wszystkiego szybko, a jeśli faktycznie konspirują, by sprowadzić do miasta Kranolta, będziemy musieli działać jeszcze szybciej.

–Pozostaje jednak problem drewna – powiedział Roger. – Kryzys, który tak pracownie wykorzystują spiskowcy, nie jest całkiem sztuczny.

Pahner był wyszkolonym, doskonale zdyscyplinowanym zawodowcem, dlatego nie odwrócił się i nie zgromił księcia wzrokiem. Roger poradził sobie całkiem nieźle z wytłumaczeniem, dlaczego nie mogą wyjaśnić królowi, jak działają ich „mechaniczni szpiedzy”, to jednak zostało przedyskutowane i uzgodnione przed spotkaniem.

Biorąc pod uwagę rangę księcia wśród ludzi, poparcie tego wyjaśnienia jego autorytetem było koniecznością. Nie bez znaczenia pozostawały również zdolności językowe Rogera.

Nikt jednak nie uważał, że Jego Wysokość ma dodawać coś jeszcze, a już na pewno nikt tego nie przedyskutował, co oznaczało, że cokolwiek książę ma zamiar powiedzieć, będzie całkowitą improwizacją. Kapitan zacisnął więc zęby i przypomniał sobie, że nie może urwać głowy swojemu zwierzchnikowi. Przynajmniej nie przy obcych. Mógł tylko modlić się, żeby jakikolwiek poroniony pomysł, z którym miał zamiar wyskoczyć młody idiota, nie popsuł wszystkiego, kiedy sprawy zaczęły się już układać tak pomyślnie.

–Nie – zgodził się Xyia Kan, syknąwszy z niezadowoleniem.

–Nie jest sztuczny. Gdyby był, nie dałoby się go tak skutecznie wykorzystać. Jeśli Q’Nkok chce przetrwać, musimy znaleźć nowe źródło drewna. Wyeksploatowaliśmy tereny, które udostępnił nam X’Intai, a po drugiej stronie rzeki siedzą Kranolta. Drwale, którzy wyprawiają się na tamten brzeg, nie wracają. Musimy znaleźć jakieś rozwiązanie, bo bez sensu byłoby powstrzymać spisek, nie powstrzymując ataku X’Intai.

–Jeśli dobrze rozumiem – powiedział Roger, kiwając głową – oprócz budownictwa, większość drewna w Q’Nkok zużywana jest do gotowania i obróbki metali. Głównie pod postacią węgla drzewnego. Mam rację?

–Tak – odparł Grak. – Większość zużywana jest w paleniskach.

–Do których równie dobrze nadałby się węgiel, prawda? – powiedział książę, bawiąc się warkoczem.

–Węgiel? – Xyia Kan skrzywił się po mardukańsku. – Być może. Niektóre miasta go używają, ale tu nie ma w pobliżu żadnego złoża.

–Jest – powiedział Roger, szczerząc się w uśmiechu. – Jest jedno, po drugiej stronie terytorium Ludu, w górę rzeki od wioski Corda. Widziałem tam ślady złóż kilku minerałów, a tuż za wioską rzeka się rozszerza i staje spławna.

–Więc węgiel można by zwozić na dół na *flar-ta* – powiedział król z zamyślonym wyrazem twarzy. – A stamtąd przetransportować do miasta łodziami. Słyszałem już jednak o tej dolinie. Jest pełna *yaden*. Kto byłby na tyle głupi, żeby zakładać tam kopalnie?

Roger uśmiechnął się.

–Pomyślałem, że mógłby pan zacząć od członków pokonanych rodów i ich straży.

Tym razem Pahner odwrócił się i spojrzął na księcia – nie zirytowany, lecz zdziwiony. Nie słyszał przedtem, żeby Roger mówił takim tonem, i podejrzewał, że bezwzględna strona natury księcia, która właśnie się ujawniła, zaskoczyłaby wszystkich jego starych znajomych. Jego ton był okrutny i kapitan nagle zdał sobie sprawę, że wygłaszając tę sugestię książę był podobny do swojej pra pra do potęgi entej prababki, Mirandy I, znanej z braku litości dla wrogów. Oczywiście, taka postawa mogła zaprowadzić księcia za daleko, mogła też jednak być pierwszą oznaką charakteru.

Teraz pozostawało jedynie przekształcić ją w godność. Król zarechotał, spojrzął na swojego generała, po czym klasnął w dłonie.

–Eleganckie rozwiązanie, młody książę. Któregoś dnia zostaniesz doskonałym władcą. Zauważyłem, że jeśli ma się jeden problem, często jest on nierozwiązywalny, kiedy jednak jest ich wiele, rozwiązują się nawzajem. Mamy spisek do rozbicia, potrzebę do zrealizowania i środki, by ją zrealizować. Doskonale.

–Żeby powiązać to wszystko ze sobą – powiedział Pahner – będziemy potrzebować kilku moich oficerów. Musimy jak najszybciej wziąć się za planowanie.

–Zgoda – odparł król. – Nie ruszymy jednak, dopóki nie potwierdzę waszych informacji.

–Jak pan sobie życzy, Wasza Królewska Mość – przytaknął Roger. – Jesteśmy tylko po to, by służyć – zakończył sardonicznie.

* * *

W drodze powrotnej do kwater gościnnych książę znalazł się prawie sam na sam z Pahnerem. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nie ma wokół nich nikogo oprócz marines, po czym westchnął.

–Przynajmniej mama nie musi radzić sobie z takimi spiskami – powiedział. – Nie chciałbym zadawać się z takimi zdradzieckimi draniami jak N'Jaa czy Kesselotte.

Pahner stanął niczym trafiony z karabinu i wytrzeszczył oczy na księcia, który przeszedł jeszcze kilka kroków zanim nie spostrzegł, że marine nie idzie już obok niego. Odwrócił się do kapitana.

–Co? Co ja takiego znowu powiedziałem? – Widział, że wytrącił oficera z równowagi, ale nie miał pojęcia czym.

Pahner nie mógł złapać tchu. Przez chwilę jedynie potrząsał głową, nie mogąc znaleźć słów, które opisałyby naiwność księcia, i próbując dociec, czy Roger go sprawdza, czy naprawdę jest aż tak ślepy. W końcu doszedł do wniosku, że może

być i tak, i tak, więc najlepiej powiedzieć prawdę.

–Ty... – Przerwał i odchrząknął, zanim nazwał księcia idiotą. – Wasza Wysokość – podjął spokojnym i zimnym głosem. – Pana Matka daje sobie radę ze spiskami dziesięć razy bardziej skomplikowanymi każdego dnia tygodnia plus dwa ekstra w niedzielę. I gwarantuję, że znajduje o wiele lepsze rozwiązania niż my. Znalazłaby sposób, żeby wszystkie Domy dalej robiły swoje pod tym samym zwierzchnictwem. Chciałbym, żebyśmy my potrafili zrobić to samo.

–Choćbyśmy się nie wiem jak starali, zginą niewinni obywatele i wcale nie jestem z tego powodu szczęśliwy. Niestety nikt z nas nie jest tak przebiegły jak Cesarzowa, więc będziemy musieli jakoś dać sobie radę i mieć nadzieję, że i ona poradzi sobie ze wszystkim, co jej zagraża, kiedy my będziemy próbowali wrócić do domu!

Roger patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Marine parsknął gorzko. Niezależnie od tego, co myślał książę, Pahner wiedział aż za dobrze, jak złudna była iluzja panującego w Imperium Człowieka pokoju – miał dostęp do raportów wywiadu, których większość kapitanów nie oglądała na oczy.

–Uważa pan, że przesadzam, Wasza Wysokość? – powiedział ostro. – Nie przesadzam, więc niech pan na litość boską wreszcie przejrzy na oczy! Wydaje się panu może, że jesteśmy na słonecznym Marduku, bo mieliśmy na to ochotę? Uważa pan, że na *DeGlopperze* wystąpiło kilka drobnych usterek technicznych, nie mających nic wspólnego z pana obecnością na pokładzie? Ktoś wpuścił toombi na pański cholerny statek i zesłał nas na tę zapomnianą przez Boga i ludzi planetę, i gwarantuję panu, że to nie byli N'Jaa!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Julian rozejrzał się po placu. Była północ i padał deszcz.

System wzmocnienia światła jego pancerza sprawiał, że wszystko było wyraźne jak w dzień... Chociaż w tej chwili nie było na co patrzeć. Tawernę zwinięto, a uliczni handlarze spakowali się przed zachodem słońca. Nie było to niczym niezwykłym. Miasto zawsze pustoszało o zmroku, ale i tak robiło niesamowite wrażenie. Na ulicach nie było żywej duszy, a okiennice we wszystkich domach pozamykano, zanim jeszcze kupcy wynieśli się z placu. Pospólstwo najwyraźniej wiedziało, że coś się szykuje.

Potwierdzenie informacji ludzi zajęło królowi niespełna dzień. Sprawę przesądził raport zwiadowców, doświadczonych w poruszaniu się po lesie, którzy zlokalizowali czekających na rozkaz Kranolta dokładnie tam, gdzie wskazali ludzie. To wystarczyło, by król pozwolił im zacząć działać.

Znów zwołano Radę, tym razem nocą. Jej członkowie siedzieli właśnie przy kolacji, a przynajmniej tak wynikało z najświeższych raportów. Wszystkie trzy plutony były na wyznaczonych pozycjach i czekały na rozkaz.

Drużynę Juliana rozdzielono. Ponieważ maskujące kombinezony marines były bezużyteczne przeciw mieczom i włóczniom, kapitan Pahner rozkazał, by każde uderzenie prowadzili żołnierze w pancerzach. Dlatego właśnie Julian stał przed bramą Domu N'Jaa, skanując otoczenie, sprawdzając swój niski poziom mocy i zastanawiając się, czy aby na pewno na tej planecie nie ma niczego, co mogłoby przebić chromframową zbroję.

–Zgłosić się – zatrzeszczał komunikator.

Porucznik Sawato zawsze mówiła takim wypranym z emocji, automatycznym głosem – brzmiał jak uszkodzona automatyczna sekretarka.

–Zespół N'Jaa na pozycji – oznajmił sierżant Jin.

Trzeci pluton został przydzielony do N'Jaa, ponieważ był to największy i najsilniejszy Dom. Trafiło im się, nie ma co. Może i byli najbardziej doświadczonym plutonem, ale zabrano im jedną drużynę.

–Zespół Kesselotte na pozycji – zgłosił się następny dowódca.

Julian zastanawiał się, czy Stary ich słucha. Niedługo sam będzie miał pełne ręce roboty.

–Zespół C’Rtena na pozycji. – Porucznik Jasco spóźnił się trochę z odpowiedzią. Julian włączył wirtualną mapę okolicy i skrzywił się. Tylne drzwi domu C’Rtena wciąż nie były kryte. W chwili, w której to pomyślał, ostatni żołnierze zajęli swoje stanowiska.

Przed bramą każdej posiadłości, o czym nie wiedzieli ich mieszkańcy, czekało w ukryciu dwie trzecie plutonu marines. Natarcie miało prowadzić po dwóch żołnierzy we wspomaganych pancerzach, wspieranych przez resztę. W przypadku Juliana wsparcie czekało po drugiej stronie placu, gotowe skoczyć do przodu na rozkaz. Oddział zajął pozycje w niemal zupełnej ciszy, co przy kamuflującym działaniu kombinezonów i pancerzy dawało niemal zupełną pewność, że nikt nie zauważył ich podejścia.

Trzecia drużyna każdego plutonu obstawiała tylne wejście każdego celu, gotowa zatrzymać uciekinierów. Każdemu zespołowi towarzyszyła drużyna gwardii królewskiej. Reszta marines w pancerzach została na zamku, gotowa wkroczyć do akcji, gdyby ktoś potrzebował wsparcia.

Było to traktowane jako ostateczność.

–W porządku – powiedział w końcu oficer wykonawczy. – Wszystkie sztuce na pozycjach, obiad podano. Wszystkie zespoły: wykonać.

Julian wziął głęboki oddech. Nie powinien się denerwować – jemu nic nie groziło. Zresztą zamartwianie się nigdy nie pomagało. Podniósł rękę i załomotał mocno do bramy.

*** * ***

K’Luss By właśnie miał rzucić kości. Słyszał o tej nowej grze, w której używało się kawałków papieru, ale był tradycjonalistą. Kości były dobre dla jego ojca, wystarczały więc i jemu.

–Kto to, do cholery? – zapytał retorycznie, spoglądając na pozostałych strażników. T’Sell Cob klasnął w dłonie, wzruszył ramionami, po czym podniósł swój ulubiony topór. Drzwi ponownie zahuczały od uderzeń.

–Nie wiem, ale zaraz będzie w kawałkach.

–Otwierać w imieniu Króla Xyia Kana! – zagrzemiał czyjś głos.

–Aha – powiedział By, podnosząc włócznię. – Może powinniśmy poczekać na resztę?

*** * ***

Julianowi zawsze przeszkadzał fakt, że w pancerzu nie można było, na przykład, pogryźć nerwowo paznokci albo powyłamywać sobie palców. Mógł najwyżej poruszać działkiem śrutowym, obserwując, jak sensory pokazują zbierających się przed nim strażników. Noc rozbrzmiała nagle przypominającym grom hukiem. Czujniki pancerza przeanalizowały częstotliwość dźwięku, rozchodzącą się falę elektromagnetyczną i oznajmiły, że pełnej mocy ładunek działa plazmowego trafił właśnie w coś na terenie oznaczonym jako „Dom C’Rtena”.

Dobrze było wiedzieć, że sensory działają.

Julian skinął głową starszemu szeregowemu Sticklesowi i odsunął się sprzed masywnych wrót.

–Sierzancie, mamy tu chyba maksymalne zagęszczenie – powiedział, przyciemniając wizjer hełmu. Powinno to nastąpić automatycznie, ale wołał się upewnić. – Stickles, przyciemnij wizjer.

–Tak jest, panie plutonowy – odparł natychmiast starszy szeregowy. – Zrobione.

Był najmłodszy stażem w drużynie, dlatego właśnie Julian wybrał go na swoje wsparcie. Wołał sam przypilnować żółtodzioba, chociaż, szczerze mówiąc, żółtodziób z Pułku nie był tym samym co żółtodziób w jednostce regularnej.

–Jesteśmy gotowi, sierzancie – powiedział. Oparł się o ścianę, odbezpieczył działko i skierował lufę pionowo w górę. Zabawa się zaczyna.

* * *

–Co to było? – spytał ostro N’Jaa Ide. Odgłos przypominał huk gromu. – To brzmiało jak jedna z broni tych ludzi. – Spojrzał wilkiem na króla.

Mardukańskie oficjalne kolacje, przynajmniej w Q’Nkok, podawano na tacach stawianych na podłodze. Tej noc dzięki delikatnym manipulacjom ludzie siedzieli naprzeciw przywódców tych Domów, które uznano za szczególnie niebezpieczne. Zupełnie przypadkiem ludziom tym towarzyszyli opancerzeni marines.

–Co? – spytał niewinnie Xyia Kan.

Domy od wielu pokoleń systematycznie podpiłowywały gałąź jego władzy, te same Domy, które teraz miały zostać usunięte. Król cały wieczór rozkoszował się oczekiwaniem.

–Ten hałas – poparł N’Jaa Kesselotte, jeszcze bardziej podejrzliwy niż jego poprzednik.

Po ostatnim spotkaniu nalegał, by teraz przyprowadzić ze sobą pełen oddział strażników. W komnacie stało ich ponad dwudziestu, o wiele więcej niż wolno było przyprowadzać przed oblicze króla. Może trzeba było zacząć działać. Czasami nawet najbardziej chytre intrygi można było usprawnić, nie bojąc się korzystać z nieprzewidzianych sposobności, a taka jak ta nie miała się raczej prędko powtórzyć. Zerknął na N'Jaa, żeby sprawdzić, czy drugi naczelnik się z nim zgadza, na jego twarzy jednak zobaczył jedynie zatroskanie.

Kesselotte wciąż zastanawiał się nad znaczeniem ludzkiej broni, kiedy po mieście poniosły się echem kolejne dwie eksplozje. Były równie głośne co pierwsza. Po nich rozbrzmiały dziwne trzaski. Nagle naczelnik zrozumiał.

–Bracia! – Zerwał się na nogi. – To atak zdradzieckiego Xyia Kana! Musimy...

Zanim zdołał dokończyć zdanie, dwaj przywódcy ludzi wstali i wyciągnęli broń.

* * *

Pahner wściekał się na upór Rogera, ostatecznie jednak musiał skapitulować. Książę miał przynajmniej na tyle taktu, by wyklócać się z nim na osobności. Kiedy więc kapitan wstał i wyciągnął pistolet śrutowy, Roger zrobił to samo. O'Casey wykazała się inteligencją – schowała się za plecami opancerzonego marine stojącego za nią, po czym uciekła z komnaty.

Każdy z Domów zamieszanych w „drzewny spisek” przyprowadził ze sobą trzech strażników, tak samo dwa inne, które o nim wiedziały i knuły przeciw królowi na własną rękę. Ludzie musieli zadbać, by żaden z tych strażników nie zrobił nic niepożądanego.

Dwóch gwardzistów Xyia Kana zasłoniło go własnymi opancerzonymi ciałami. Ponieważ wszyscy strażnicy naczelników stali tak, by obserwować plecy swoich panów, a książę i kapitan siedzieli naprzeciw nich, ich cele ustawiły się w równym rzędzie pod przeciwległą ścianą.

Jak kaczki na strzelnicy.

Armand Pahner strzelał z różnego rodzaju broni przez większą część swojego siedemdziesięciodwuletniego życia. Pistolet śrutowy M-9 był mu starym przyjacielem, kiedy więc kapitan otworzył ogień, jego ręka poruszała się równo i bez wahania, niczym metronom. Małe pistolety śrutowe miały niesamowicie mocny odrzut, co oznaczało, że maksymalna prędkość ognia zależała głównie od tego, jak szybko strzelec mógł naprowadzić broń na kolejny cel. Pahner był masywny i silny, więc w ciągu pierwszych czterech sekund ośmiu strażników uderzyło plecami o ścianę i osunęło się na podłogę, zostawiając na jasnym drewnie wielkie plamy krwi.

Było już po wszystkim.

Zagrożenie stanowiło szesnastu strażników. Uznano, że działka śrutowe opancerzonych marines są nieco zbyt potężne jak na tak niewielką przestrzeń zwłaszcza że wszyscy naczelnicy mieli przeżyć. Dlatego też zadanie rozprawienia się z nimi spadło na barki oficerów.

Pahner strzelał od prawej do lewej, koncentrując się na wybieraniu tych żołnierzy, którzy najszybciej reagowali. Pierwsi ruszyli się dwaj N'Jaa, zanim jednak zdążyli wyciągnąć miecz albo cisnąć oszczepem, obaj nie żyli. Reszta padła zaraz po nich, kiedy jednak kapitan oczyścił swoją strefę, książę dawno już skończył.

Pahner spojrzał na osiem krwawych plam na ścianie, wszystkich na tej samej wysokości, a potem na osiem bezgłowych ciał.

–W głowę? – zapytał z niedowierzaniem.

Roger wzruszył ramionami i przygładził włosy. Naczelnicy zaczęli lamentować i zawodzić, przerażeni krwią pokrywającą wszystko – gości, podłogę, ściany, sufit i jedzenie.

–Mój toots wyposażony jest w bardzo dobrą aplikację „zabójca”, kapitanie – powiedział książę.

–Aplikację „zabójca”? – powtórzył Pahner. – Nikt mi nie wspominał o żadnej aplikacji „zabójca”, Wasza Wysokość!

–Przypuszczalnie dlatego, że tajna broń nie jest specjalnie efektywna, kiedy nie jest tajna – uśmiechnął się Roger, po czym potrząsnął głową widząc, jak marine zaciska zęby. – Nie miałem zamiaru być sarkastyczny, kapitanie. Nie wiedziałem, że panu o tym nie powiedziano, a to jedyny powód, jaki przychodzi mi do głowy, dla którego pana przełożony, jak przypuszczam, pułkownik Rutherford mógł o tym nie wspomnieć.

–Hm. – Pahner jeszcze raz przyjrzał się ciałom.

Śrut wyrządził zbyt rozległe uszkodzenia, żeby być pewnym, wyglądało jednak na to, że każdy strzał trafił dokładnie w środek głowy celu. Tak się składało, że Imperialni marines w ogóle, a ci z Osobistego Cesarzowej w szczególności, wiedzieli całkiem sporo na temat bojowego oprogramowania wspomagającego.

Pahner, na przykład, miał w swoim tootsie kilka aplikacji tego typu. Ponieważ był z nimi obeznany, wiedział, że wszystko ma swoje ograniczenia. Pakiet, o którym wspominał książę, był zwykłym treningowym ułatwieniem, prawdopodobnie opierającym się na niezłych nakładkach celowniczych. Było to jednak urządzenie

szkoleniowe, wymagające czynnika ludzkiego, a nikt nie wiedział tak dobrze jak żołnierze, jak bardzo szkolenie potrafi zawieść, kiedy człowiek po raz pierwszy trafia w ogień walki.

To najwyraźniej nie miało miejsca. Armand Pahner doskonale zdawał sobie sprawę, ile wewnętrznej siły i opanowania musi mieć ktoś, kto po raz pierwszy bierze udział w walce, by strzelić w głowę raz, a co dopiero osiem razy, zamiast mierzyć w środek ciała.

–W głowę – powtórzył. Księżę wzruszył ramionami.

–Nie chciałem trafić kogoś przypadkiem – powiedział. – Bezpieczeństwo przede wszystkim!

* * *

–Załatwmy to bez strat, marines – upomniał pierwszą drużynę sierżant Jin, kiedy żołnierze weszli do budynku. Szedł w samym środku, obserwując, co robią inni. Największym niebezpieczeństwem przy takich akcjach był ogień własnych żołnierzy. Mieli przytłaczającą przewagę nad przeciwnikiem, ale równie łatwo mogli postrzelić siebie nawzajem.

Jin pilnował prowadzenia ognia. Każdy marine krył swoją własną strefę, a Despreaux i dowódcy sekcji dbali, żeby tak pozostało.

–Julian – powiedział sierżant przez wewnętrzny komunikator, skanując wyższe piętra i wchodząc do ogrodu. – Jesteśmy na otwartym terenie. Uważajcie, gdzie strzelacie.

Pociski z ciężkich śrutownic zamontowanych na wspomaganych pancerzach przebijały drewniane ściany jak papier. Dookoła widać było mnóstwo dowodów, że opancerzeni marines już tu byli – otoczenie wyglądało jak po przejściu jucznej bestii.

–Nie ma problemu – odparł Julian. – Już nie strzelamy. Większość z nich wycofuje się do tyłu. Niech trzecia drużyna przygotuje się na ich przyjęcie.

–Ruch! – zawołała Liszez. – Balkon.

Dwie lub trzy lufy obróciły się w tamtą stronę, po czym wróciły do krycia własnych sektorów. Jin spojrzał w górę. Pojedynczy Mardukanin, prawdopodobnie wypłoszony strzelaniną, zbiegał galerią po prawej. Sądząc po wzroście, była to kobieta.

–Wstrzymać ogień. Cel niegroźny.

–Tak jest – odparła Liszez. Gdyby cel był wyraźnie wrogi, dawno zamieniłby się w

plamę na ścianie. – Czysto – rzuciła i zniknęła za rogiem.

–Cel! – Eijken wystrzeliła w kierunku Mardukanina, który wyskoczył z ukrycia i zamachnął się oszczepem. Czterdziestomilimetrowy granat eksplodował na prawo od tubylca i cisnął nim jak szmacianą lalką o ścianę. – Czysto.

–Środkowy budynek czysty – zameldował Julian. – Wchodzimy do pomieszczeń z tyłu.

–Nie wysuwajcie się za bardzo do przodu – powiedział Jin. Zatrzymał się i rozejrzał. – Czas się rozdzielić. Despreaux, weź sekcję Alpha do lewego skrzydła, ja wezmę Bravo do prawego. Oczyszczamy od frontu.

–Tak jest – potwierdziła plutonowa i skinęła na Beckley. – Alpha, zwijamy w prawo. Naprzód.

Dowódca sekcji kiwnęła głową. Wypatrzyła już drzwi na dole schodów, teraz zaś oznaczyła je podczerwonym wskaźnikiem laserowym.

–Tędy. Kane, wyjmij drzwi. Ruszać się.

Sekcja z operatorką plazmy na czele pobiegła w stronę schodów. Z odległości piętnastu metrów Kane odpaliła w ich stronę pojedynczy ładunek, który rozwalił drzwi przy wtórze ryku płomieni.

Kyrou i Beckley wpadli do środka. Kyrou obrócił się w prawo i opadł na kolano. Nie dalej niż pięć metrów od niego Mardukanin brał właśnie zamach włócznią. Kyrou zareagował ze sprawnością uzyskaną dzięki tysiącom godzin na strzelnicy. Włócznik poleciał w tył, trafiony w pierś serią śrucin. Druga seria oczyściła korytarz z grupki strażników, którzy najwyraźniej nie mogli się zdecydować, czy atakować.

–Po prawej czysto.

Za plecami szeregowego rozległa się seria wystrzałów.

–Po lewej czysto – zawołała Beckley. Kolejna seria. – Naprawdę czysto.

Despreaux przykleiła ładunek do drzwi naprzeciw wejścia. Eksplozja wyrwała z mocowań prostą zasuwę po drugiej stronie i obsypała wszystko dookoła gradem drzazg.

Plutonowa rozwaliła szumowiniaka po drugiej stronie, zanim zrozumiała, że to jedna z kobiet, nie tylko zupełnie nie potrafiących walczyć, ale też niemal więzionych w domach. Możliwe, że to był pierwszy raz, kiedy w jej życiu zdarzyło się coś bardziej emocjonującego niż seks. I było to krótkie przeżycie.

Plutonowa popatrzyła na żalosne, poszarpane ciało, odetchnęła gwałtownie i rozejrzała się.

–Schody – rzuciła ostro. – Parter czysty.

Cofnęła się na korytarz, wycierając krew z zadrapania po drzazdze, i spojrzała w obie strony.

–Kyrou, Kane – wysłała dwoje marines w dół korytarza, po czym machnęła rękaw stroną schodów.

–Beck, Lizzie.

Dowódca sekcji pobiegła przodem, a Despreaux za nią. Bardzo uważała, żeby nie obejrzeć się na żalosny kształt leżący w cieniu schodów.

Na to przyjdzie czas później. Później.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

PIERWSZY

–Czysto – powiedział Pahner, kiwając głową i słuchając meldunku składanego przez komunikator w hełmie. Z ciężkim sercem oddawał kompanię w ręce porucznik Sawato, musiał jednak być obecny na kolacji. W tej konkretnej sytuacji nikt nie mógł go zastąpić. Może z wyjątkiem Rogera, co wciąż nie przestawało kapitana zadziwiać.

Pahner nie był typem osoby, która ocenia innych na podstawie ich umiejętności strzeleckich. Znał zbyt wielu parszywych drani, którzy byli jednocześnie dobrymi strzelcami. Zdumiewająca sprawność, z jaką Roger posługiwał się bronią, i głębia charakteru, którą czasami okazywał, sprawiały Pahnerowi sporo problemów. Przez dziewięćdziesiąt procent czasu miał ochotę nawrzeszczyć na rozpuszczonego gówniarza, ostatnio jednak kilka razy był prawie pod wrażeniem. Prawie.

Zerknął na mapy i chrząknął, kiedy Jin zakończył raport.

–W porządku, ja zajmę się Jego Królewską Mością. Macie zatrzymać cały skarbiec; ale nie mieszajcie się w nic innego.

Spojrzał w stronę Xyia Kana. Większość krwi już zmyto, ale król wciąż wyglądał niesamowicie. Rogi i twarz pokryte miał zakrzepłymi czerwonymi kroplami. Popatrzył na Pahnera, kiedy ten się poruszył.

–Tak? Idzie dobrze?

Sprawy w zamku układały się świetnie. Naczelników uwikłanych w spisek zatrzymano, a o ich zbrodni poinformowano pozostałych. Kazano im wysłać do swoich siedzib gońców z rozkazem zdjęcia straży, pod groźbą takiego samego ataku. Do czasu dostarczenia dowodów ich winy, naczelnicy N'Jaa, Kesselotte i C'Rtena zostali rozdzieleni i uwięzieni. Tych, którzy w oczywisty sposób nie mieli pojęcia o spisku, zwolniono do domów; innych wciąż trzymano w komnacie jadalnej, zachlapanej coraz bardziej cuchnącą krwią strażników. Psychologiczny efekt był zdumiewający.

–Idzie dobrze – powiedział Pahner. – Ponieśliśmy straty przy C'Rtena, czego się nie spodziewałem. Nikt jednak nie został poważnie ranny. Pomijając to, wszystko poszło gładko. U C'Rtena i Kesselotte wybuchły jednak pożary. Żołnierze potrzebują kogoś, kto je ugasi. Poza tym pana gwardziści plądrują domy. Moi ludzie nie mogą ich powstrzymać.

–Trudno – powiedział Grak, klaskając w dłonie w geście rezygnacji. – Jak

powstrzymać żołnierzy od plądrowania?

Można, na przykład, zabić kilku z nich, żeby reszta zrozumiała, że to niedozwolone, pomyślał Pahner ze zniecierpliwieniem.

–Nie da się – powiedział głośno spokojnym głosem.

Takie podejście nie mogło wejść w krew Rogerowi, upomniał się w duchu. Granica między surowością i złem była bardzo cienka... tak samo jak ta, która oddzielała niezgrabność od barbarzyństwa. W głowie kapitana zabrzmiały słowa piosenki.

–Chyba to właśnie sprawia, że idą do ataku.

–Każę sługom ugasić pożary – powiedział król. – Wyślę z nimi żołnierzy, żeby tego dopilnowali – spojrzał znacząco na Graka. – I żeby powstrzymali ich od plądrowania. Czy to jasne?

–Pójdę osobiście. – Generał zważył w rękach swoją włócznię o szerokim ostrzu i zarechotał. – Może sam coś znajdę.

Kiedy wyszedł, kapitan został sam na sam z królem. Roger poszedł się umyć, a strażników odprawiono. Sytuacja była niezwykła, ale Pahner zignorował to, wciąż monitorując na ekranie pada stan i rozmieszczenie swojej kompanii.

*** * ***

Król przyglądał się ludzkiemu oficerowi. Tak skupiony i poważny. Tak dokładny...

–Nie widzisz różnicy między nami i barbarzyńcami z plemienia Corda, prawda? – spytał, zastanawiając się, jaką odpowiedź usłyszy.

*** * ***

Pahner spojrzał na króla, po czym wstukał rozkaz wysyłający połowę rezerw jako wsparcie dla pierwszego plutonu i zastanowił się nad uwagą monarchy.

–Nie powiedziałbym tego, Wasza Królewska Mość. Ogólnie sędzę, że lepiej wspierać cywilizację. Barbarzyństwo to barbarzyństwo. W najlepszym wypadku jest odpychające, w najgorszym – straszne. Cywilizacje dążą do dźwignięcia się na poziom, na którym wszystkim żyje się lepiej.

–Pomoglibyście mi, gdybyście nie potrzebowali zapasów na podróż? – spytał król, bawiąc się ozdobami rogów i zdrapując odrobiny zaschniętej krwi.

–Nie, Wasza Królewska Mość – pokręcił głową Pahner. – Nie pomoglibyśmy. Mam zadanie do wykonania: dostarczyć Rogera do portu. Gdyby ta operacja nie ułatwiła

nam tego, nie przeprowadzilibyśmy jej.

Władca zaśmiał się chrapliwie.

–Więc wasze oddanie sprawie cywilizacji wcale nie jest tak całkowite!

–Wasza Królewska Mość – powiedział Pahner, wyciągając listek gumy i ostrożnie go rozpakowując. – Mam do wykonania zadanie. Będę próbował je wykonać niezależnie od tego, co stanie mi na drodze. Moi marines również. Zadanie to nie ma nic wspólnego z naszym indywidualnym przeżyciem, za to wszystko z utrzymaniem ciągłości naszego środowiska politycznego. – Kapitan wrzucił gumę do ust i uśmiechnął się ponuro. – Wasza Królewska Mość, to właśnie jest cywilizacja.

* * *

Roger przyglądał się, jak mardukański poganiacz przymocowuje jego pancerz do grzbietu olbrzymiej jucznej bestii. Zwierzę wyglądało bardzo podobnie do tego, które goniło Corda, szaman jednak przekonywał, że są zupełnie inne. Pewnie miał rację, pomyślał Roger. Bawół afrykański wyglądał tak samo jak łagodny bawół indyjski, a był najniebezpieczniejszym zwierzęciem na Ziemi. Oczywiście *flar* bardziej niż bawoły przypominały wielkie, rogate ropuchy. Bawopuchy. Ciekawe, czy toots da się zmusić do używania tego określenia.

Księżę zastanawiał się również, nie bez obaw, czy sam mógłby nauczyć się kierowania bestiami. Zawsze dobrze sobie radził ze zwierzętami: siadł w siodle pierwszego kucyka zanim jeszcze zaczął mówić, a grać w polo zaczął nie mając nawet dziesięciu lat, więc powinien dać sobie radę. Mimo to wielkie jak słonie *flar* trochę go onieśmiały. Nie chciał się nawet zastanawiać, co czuła wobec nich reszta kompanii.

Najlepszym jednak wyjściem było przemoc się i spróbować. Mieli więcej szczęścia niż na to zasługiwali – Roger był o tym przekonany od chwili, kiedy Poertena i Julian przyprowadzili D'Len Pana, chociaż reszta nie zdawała sobie sprawy z łaskawości losu. Oczywiście, mimo całego swojego wykszolenia nie mieli tyle doświadczenia w korzystaniu ze zwierzęcego transportu co rozmiłowany w safari Roger. Księżca zaszokowała beztroska Pahnera, zakładającego, że po prostu kupią zwierzęta i będą je prowadzić sami.

Na szczęście D'Len Pah złożył im lepszą propozycję. W Q'Nkok *flar-ta* były rzadkie i nawet przy silnym poparciu króla żądano za nie astronomicznych cen. Samo kupno niezbędnych zwierząt wyczerpałoby budżet ludzi, mimo sporych udziałów w karach i konfiskatach przeprowadzonych przez Xyia Kana. Na pewno nie zostałyby im dość, by kupić pozostałe zapasy, których potrzebowali.

D'Len Pah jednak pojawił się w samą porę. Jego klan był czymś pośrednim między

Cyganami ze Starej Ziemi i zawodowymi karawaniarzami – na pół wędrownymi przewoźnikami z własnymi *flar-ta*. Roger był zdumiony, kiedy Mardukanin przybył do cytadeli z Poertena i Julianem, by zaoferować swoje usługi. Nikt inny w całym Q’Nkok nie miał zamiaru zbliżyć się do szaleńców, którym wydawało się, że mogą dotrzeć do Voitan. D’Len Pah jednak obejrzał sobie Domy, przez które przetoczyli się marines, zbadał szczątki i porozmawiał ze świadkami, którzy widzieli ludzką broń w akcji. Doszedł do wniosku, że jeśli ktokolwiek może przebić się i na nowo otworzyć dochodowe szlaki handlowe biegnące przez Voitan, to jest to właśnie kompania Bravo.

Roger podejrzewał, że w grę wchodziły tu też inne czynniki. Po pierwsze, był prawie pewien, że Xyia Kan zasugerował D’Len Pahowi, by ten złożył ludziom propozycję. Po drugie, wódz poganiaczy nie krył nadziei, że dostanie trochę cudownych urządzeń i wiedzy przybyszów na własność. W końcu zaś zażądał dwóch trzecich zapłaty z góry, przed wyruszeniem z Q’Nkok, i wymógł na ludziach obietnicę, że nie będzie musiał zwracać zaliczki, jeśli napotkają Kranolta i będą musieli zawrócić.

Wszystko to razem wskazywało, że D’Len Pah i jego klan potrafią o siebie zadbać. Byli nieźle uzbrojeni jak na mardukańskie standardy i najwyraźniej przywykli do dawania sobie rady. Musieli tacy być, ponieważ całe ich rodziny, łącznie z kobietami i dziećmi, podróżowały razem z nimi. Mieli się również okazać pożytecznymi: przynajmniej Pahner nie będzie tracił czasu ani ludzi, żeby się przekonać, że kierowanie *flar-ta* było nieco bardziej skomplikowane niż prowadzenie powietrznej ciężarówki.

Roger uśmiechnął się do swoich myśli i rozejrzał dookoła. Kompania była w trakcie ostatnich przygotowań. Było wcześniej, słońce dopiero co wstało, więc upał nie dawał się jeszcze tak mocno we znaki. Niedługo miał osiągnąć apogeum, zamieniając wilgotne powietrze w saunę, na razie jednak było stosunkowo chłodno.

Wszyscy sprawdzali osobiste wyposażenie, upewniając się, że wszystko jest w porządku. Źle ułożony pasek uprzęży mógł dawać się we znaki cały dzień; lepiej było dopilnować wszystkiego zawczasu. Marines zabezpieczali broń i zapinali hermetyczne pakunki. Stracili kolejną plazmę, a Stary ostrzegł, że być może będą musieli wozić je wszystkie w pokrowcach. Roger miał zamiar zamienić parę słów z kimś, kto zatwierdził broń do użytku polowego. Przebywali na planecie dopiero od kilku tygodni, a sprzęt bez przerwy wysiadał.

Księżę dostrzegł zbliżającego się kapitana, który sprawdzał zabezpieczenie ładunku na zwierzętach. Ponieważ *flar-ta* niosły wiele rzeczy nieodzownych dla przetrwania kompanii, a przy tym często cennych, Pahner założył każdemu z nich mały ładunek wybuchowy, po czym pokazał je poganiaczom. Gdyby któraś z bestii próbowała z jakiegokolwiek powodu uciec ze sprzętem, nie odbiegłaby daleko.

Nie było to jedyny sposób, w jaki się zabezpieczyli. Pahner niechętnie dał się przekonać O'Casey, że powinni wyjawić Xyia Kanowi i D'Net Delkrze prawdziwy powód ich obecności na Marduku. Kapitanowi nie podobał się sam pomysł mówienia o tym komukolwiek bez wyraźnej potrzeby, musiał jednak przyznać uczonej rację, kiedy zauważył, że i Lud, i mieszkańcy Q'Nkok i tak już wiedzieli o ich rozbiciu się. Wyjawienie ich przywódcom okoliczności tego wypadku nie mogło zwiększyć ryzyka, że któryś z nich zacznie coś knuć. Ostrzeżenie kogoś, kto miał dość rozsądku, by im dobrze życzyć, o możliwej konieczności zatarcia za nimi śladów, nie powinno nikomu zaszkodzić.

–Wasza Wysokość – skinął księciu kapitan, kiedy doszedł do zwierzęcia, które oglądał Roger. Popatrzył na zamocowaną na jego grzbiecie zbroję i uśmiechnął się. – Proszę nie dać się zabić, Wasza Wysokość.

Roger odpowiedział uśmiechem i zważył w dłoniach swój karabin.

–Postaram się, kapitanie. Przed nami długi marsz.

–Tak, Wasza Wysokość. – Pahner dotknął kieszeni na piersiach, ale postanowił oszczędzić gumę na później. – Długi marsz.

Spojrzał na pakunek leżący u stóp Rogera i uniósł brew.

–To wygląda...

–Na całkiem wypchane? – Książę podniósł plecak i zarzucił go sobie na plecy. – Nie mogłem kazać Matsugae'mu nieść wszystko samemu, prawda?

–Tak, też tak uważam – powiedział Pahner, po czym spojrzał na Kosutic.

Sierżant zauważyła jego wzrok i ułożyła palce w kółko, dając znak, że wszystko jest w porządku. Przez wszystkie lata wspólnej służby kapitan ani razu nie miał powodu, by jej nie ufać, dlatego tak było i tym razem.

–Cóż, Wasza Wysokość, chyba już czas – powiedział, patrząc na szereg zwierząt i ostatnie gorączkowe przygotowania.

O'Casey dyktowała królowi z grzbietu *flar-ta* cytaty z Machiavellego. Cord rozmawiał z delegacją Ludu, która przybyła wynegocjować traktat o kopalniach. Julian pokazywał jednej z szeregowych z pierwszego plutonu, jak wykopywał drzwi. Poertena sprzeczał się z kupcem. Tak naprawdę jednak wszyscy byli gotowi do wymarszu.

–Racja, kapitanie – powiedział książę, patrząc na wzgórza za rzeką i poprawiając szelkę wypchanego plecaka.

Opuszczono zwodzony most. Teraz musieli tylko przejść przez bezdroża dżungli pełnej zaciekłych wrogów i znaleźć legendarne zaginione miasto, stamtąd zaś ruszyć naprawdę w nieznane. Roger spojrział na pomocny zachód i zawiązał w kok wystający mu spod hełmu warkocz.

–Czas ruszać w głąb lądu – powiedział.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Roger nachylił się nad kociołkiem i powąchał.

–Czy to jest to, co myślę?

Od momentu wejścia na wzgórze kompania toczyła zaciętą walkę z przyrodą. Jeśli kiedyś istniały tu jakieś szlaki, upływ lat je zatarł, musieli więc wyrąbywać sobie nowe. Przedzieranie się przez gęste poszycie z ogromnymi jucznymi zwierzętami było trudne w każdych warunkach, ale zamieszkujące wzgórze drapieżniki dodatkowo zamieniły je w koszmar.

Stracili plutonowego Koberdę, którego zaatakowało zwierzę zwane przez Corda *atul*, a przez resztę chrystebestią. Było szybkie i wygłodzone. Ważyło około dwustu kilo, miało trójkątną paszczę, pełną rekinich kłów, i gumowatą, pokrytą śluzem skórę, podobną do Mardukan.

Serie ze śrutownic rozdarły bestię na strzępy, zdążyła jednak dopaść plutonowego. Twardy stary marine wytrzymał jeszcze dzień, wieziony na grzbiecie *flar-ta*, w końcu jednak zmarł. Nawet nanity i Magiczna Czarna Torba Doktora Dobrescu nie mogły dać sobie rady z takimi ranami, zapakowali więc dowódcę drużyny w śpiwór i spalili. Kapitan Pahner powiedział kilka słów, po czym ruszyli dalej. W głąb lądu.

Zaczęli się przyzwyczajać do nieustannego zagrożenia. Roger widział to u innych, u siebie zresztą też. Wszyscy nabierali wprawy w odczytywaniu znaków dżungli i przewidywaniu niebezpieczeństw. Marines osłaniający kolumnę robili zakłady, kto znajdzie najwięcej jadowitych robaków na drzewach. Znaleziono larwy zabierano ze sobą; w ich kłach znajdowały się dwa rodzaje trucizn, oba uznawane przez Mardukan za cenne.

Cała kompania zmieniała się. Stawali się odrobinę bardziej dzicy, sprytniejsi. Uczyli się niczego nie marnować: jeśli coś cię atakuje, prawdopodobnie samo nadaje się do zjedzenia. Ta myśl przyciągnęła uwagę Rogera z powrotem do kociołka.

Matsugae uśmiechnął się, zamieszał potrawę i wzruszył ramionami.

–Chrystebestia, Wasza Wysokość, ta, którą pan zabił. Czysty strzał, doceniam to. Nie za bardzo ją pan poszarpał, za to dobrze się wykrwawiła, kiedy ją znalazłem.

–Nie mogę uwierzyć, że na kolację jemy chrystebestię – powiedział Roger, odgarniając z oczu niesforny kosmyk włosów.

–Żołnierze mają gulasz – wyszczerzył się w uśmiechu Matsugae. – Niech pan poczeka, aż pan zobaczy, co przygotowałem dla oficerów.

–Wciąż nie mogę uwierzyć, że to była chrystebestia – powiedział książę, rozsiadając się wygodnie i odkładając widelec.

Matsugae zdobył nie tylko sporo naprawdę niezłego wina, ale również wiele lokalnych przypraw. Żołnierze widzieli, jak chodził po Q’Nkoki rozmawiał z właścicielami oberży i tawern, a kiedy tylko wyruszyli, mianował się czymś pomiędzy głównym kucharzem a szefem zaopatrzenia.

W rezultacie ich karawana funkcjonowała bez zgrzytów. D’Len Pah i jego poganiacze mieli doświadczenie w tego rodzaju wyprawach, a Matsugae nie wahał się z niego korzystać. To ich pomysłem było rozładowanie jednego *flar-ta* i użycie go do przecierania szlaku, co odciążyło marines. To oni również zauważyli, że bez sensu jest marnotrawić dobre mięso tylko dlatego, że próbowało cię pożreć. I że nie ma nic złego w polowaniu.

Ostatnia uwaga doprowadziła Pahnera do furii. Polowanie w marszu klóciło się ze wszystkim, czego się nauczył. Nowoczesna doktryna walki naziemnej nakazywała poruszać się przez las jak najciszej, ponieważ wszystko, co dało się zauważyć, można było zabić. Największym komplementem, jaki można było usłyszeć w takiej sytuacji, było „oddział z mgły”. Strzelanie do wszystkiego, co się ruszało i wyglądało na z grubsza jadalne, zaprzeczało najdroższym zasadom kapitana.

Ostatecznie jednak musiał przyznać, że znajdowali się w nietypowym położeniu. Po wyliczeniu tempa spożywania zapasów i przebytej drogi zgodził się – nie bez oporów – że potrzebują uzupełnień. Kiedy jednak już to przyznał, zabrał się za realizację tego postanowienia z właściwą sobie skrupulatnością – najlepszy strzelec kompanii szedł przodem, wypatrując zwierzyny.

Często jednak, mimo gwałtownych protestów Pahnera, w tej samej okolicy znajdował się książę. Zazwyczaj jechał na grzbiecie luźnego *flar-ta* niczym współczesny maharadża na pozaziemskim słoniu. Byłoby to zabawne, gdyby nie fakt, że *flar-ta* nie było traktowane jako zagrożenie przez lokalną zwierzynę, co pozwalało Rogerowi strzelać zanim oficjalnie wyznaczony myśliwy choćby zobaczył ofiarę. Rzadko chybiał.

Tego dnia jednak jedyne zwierzę, jakie zauważył, nie było, według niego, jadalne. Szpica zobaczyłaby przyczajoną chrystebestię dopiero wtedy, kiedy ta by zaatakowała. Biorąc pod uwagę wzmożoną czujność marines i trzymaną w pogotowiu broń, zwiadowca mógłby przeżyć spotkanie. Mógł go nie przeżyć – kwestia była jednak już czysto akademicka, ponieważ Roger zastrzelił drapieżnika, kiedy kapral był jeszcze siedemdziesiąt metrów w tyle.

Teraz wyjadał resztki lekko doprawionego mięsa i potrząsał głową.

–Dobre! Ostatnim razem było...

–Gumowate – roześmiał się Matsugae. – Tak?

–Tak – powiedziała O’Casey.

Uczona zaczynała dawać sobie radę. Wciąż męczył ją upał, wilgoć i owady, jednak wszyscy to znosili, ona zaś przynajmniej nie musiała już ślizgać się w błocie. Jechała na grzbiecie jednego z jucznych *flar-ta* i zaczynała, mieć nadzieję, że może jednak przeżyje. Początkowo miała wyrzuty sumienia, że jest tak rozpieszczana, potem jednak któreś z marines zwróciło jej uwagę, że nie znalazła się tu z wyboru, O’Casey przestała się więc martwić.

Otarła pot z czoła i głęboko odetchnęła. Namiot był ciasny i duszny, chronił jednak przed owadami i *yaden*. Te drugie jak dotąd nie zaatakowały nikogo, kto nie spał, lepiej jednak było uważać. Ponieważ zaś żołnierze zamykali na noc swoje jednoosobowe namioty, kompania nie straciła już nikogo więcej, chociaż marines spali w gorącu i zaduchu.

–Ale to wyszło całkiem niezłe – ciągnęła, odgryzając następny kawałek. – Kojarzy mi się z delikatnym befsztykiem.

Na szczęście mięso było lekkostrawne. Ciężki posiłek w tym klimacie byłby morderczy.

–Emu – powiedział porucznik Jasco, dokładając sobie jęczmyżu i mięsa. – Smakuje jak emu.

–Emu? – powtórzył Cord. – Nie wiem, co to jest.

Szaman utoczył kulkę z jęczmyżu i wrzucił ją sobie do ust. Brał jedzenie ze wspólnej miski, zgodnie ze zwyczajem swojego ludu. Nie dla niego te dziwaczne ludzkie widelce.

–Ptak nietot – wyjaśnił Roger, biorąc kawałek mięsa z talerza i podając go Pieszczurze, czekającej cierpliwie przy jego krześle. – Pochodzi z południowoamerykańskiej pampy, teraz rozprzestrzenił się wszędzie. Łatwy w hodowli.

–Hodowaliśmy je na Larsenie – powiedział nostalgicznie Jasco. – Prawie jak w domu. Jeśli teraz jeszcze pokroisz resztki i przyrządzisz je na ostro, będę musiał się z tobą ożenić – wyszczerzył się do służącego. Matsugae roześmiał się wraz z innymi, nalewając Rogerowi wina.

–Przykro mi, poruczniku, byłem już raz żonaty. Wystarczy.

–Jakim cudem udało ci się zrobić coś tak delikatnego? – spytała Kosutic.

Pociągnęła łyk wina i wybrała kawałek pieczonego warzywa. Podobną do kabaczków roślinę nazwano fukinią, ponieważ, w przeciwieństwie do cukinii, była na surowo gorzka. Użycie jednej z marynat Kostasa i duszenie na wolnym ogniu dało efekt w postaci zaskakująco smacznego dania. Plasterki fukinii pokrywała słodka zalewa, przypominająca miodową, będąca efektem marynowania, a może gotowania.

–Ach – uśmiechnął się znów Matsugae. – To tajemnica szefa kuchni. – Przyłożył palec do czubka nosa, ukłonił się i wciąż uśmiechnięty opuścił namiot, żegnany brawami.

–Rozmawiałem z Cordem i jego bratankami – powiedział porucznik, przetykając porcję jęczmyżu i popijając winem. Trunek był dość mocny, prawie jak sherry.

–Jak wszyscy wiemy, jesteśmy na terytorium Kranolta – ciągnął. – Dlaczego więc nie zaatakowali?

–Właśnie – skinął głową Jasco. – Musieliśmy przecież przejść tuż koło grupy, która miała zaatakować Q’Nkok.

–Nie mogli zatrzymać się długo w jednym miejscu – powiedział Cord. – Pas nizin nad rzeką jest zbyt wąski, by dało się na nim dobrze polować. Dlatego właśnie Lud nie zajął go na własność.

–Najwyraźniej – Gulyas kiwnął głową szamanowi – wyprawy łowieckie zapuszczają się tam, gdy nie mogą znaleźć zwierzyny na swoim brzegu rzeki. Kranolta też tam polują, ale rzadko. Łupieżcza wyprawa musiała się rozproszyć.

–W poszukiwaniu jedzenia – powiedziała Kosutic, skubiąc się w ucho. – Oczywiście.

–Mogliśmy więc minąć się z którąś grupą – stwierdził Gulyas. – Niewykluczone, że idą za nami.

–Uważa pan, że to możliwe? – spytał Pahner. Rozmawiał już o tym z Gulyasem, ale chciał, żeby usłyszała to cała grupa.

–Nie, sir – odparł porucznik. – Przynajmniej nie od razu. Czekaliby wciąż na hasło od spiskowców z miasta. Nawet jeśli przed nami dotarł do nich posłaniec, musieliby się zebrać, zanim by nas zaatakowali. Nawet Kranolta muszą wiedzieć, że jesteśmy niebezpiecznym przeciwnikiem.

–Jednak trzeba pamiętać – powiedział Cord, skrobiąc nożem podłogę namiotu – że

to była wyprawa łupieżcza poza swoim terytorium. Nie zaatakują, dopóki nie zbiorą koniecznej liczby wojowników. Kiedy już wejdziemy na tereny plemienia, będą nas napadać co chwila. Im głębiej wejdziemy, tym ataki będą śmielsze i częstsze.

–Musimy więc zacząć bardziej uważać – powiedział Pahner. – Plemiona nie polują na wzgórzach, przez które właśnie przeszliśmy, ale na nizinach. Czy mamy za sobą duży oddział, czy nie, musimy się liczyć z regularnymi atakami. A nie mamy dość czasu, by pokazać im, jaką cenę płaci się za każdego zabitego Ziemianina.

–Ludzie będą mieli z tym problemy – przyznała Kosutic. – Zaczyna mnie martwić ich nieostrożność. Mówiliśmy im, żeby spodziewali się regularnych ataków przez ostatnie dwa tygodnie na wzgórzach, a nie spotkaliśmy żadnych Kranolta, tylko zwierzęta. Żeby zaczęli traktować sprawę poważnie, potrzeba będzie czegoś więcej niż odczytu porucznika.

Pahner kiwnął głową.

–Pomówcie z dowódcami drużyn – powiedział porucznikom. – Niech chociaż oni zdają sobie sprawę z zagrożenia. Musimy być pewni, że żołnierze są tak czujni, jak to możliwe. To nie są rekruci. Przypomnijcie im o tym.

* * *

Julian oparł się o plecak i wsłuchał w ciszę śpiącego obozowiska. Po zmierzchu chmury często trochę rzedły; ten wieczór nie był wyjątkiem. Okolica skąpana była w delikatnym czerwonym świetle mniejszego księżyca, Sharmy. Wystarczyłoby ono do działania noktowizora hełmu, ale Julian go wyłączył. Dżungla była dziś spokojna, od czasu do czasu tylko w gęstwinie poruszyło się jakieś zwierzę. Nawet zwykłe nocne ryki i gulgoty wydawały się stłumione.

I bardzo dobrze. Miał przed sobą jeszcze dwie godziny czuwania jako dowódca warty, a potem mógł się przespać. Rano znów mieli zacząć przedzierać się przez dżunglę, a bycie dowódcą warty oznaczało mało odpoczynku, na razie jednak mógł się odprężyć. Wszyscy wartownicy stali na posterunkach, a pół godziny temu zrobił obchód. Nikt nie spał.

Oparł się wygodnie i odetchnął przez nos. W powietrzu wciąż unosił się zapach gulaszu Kostasa. Julian potrząsnął głową. Kto by pomyślał, że mały służący okaże tyle hartu? Albo że jest tak dobrym kucharzem? Kolację ugotowało tak naprawdę dwóch mardukańskich poganiaczy, ale Matsugae pilnował, żeby zrobili to dobrze, i nikt nie miał zamiaru narzekać. Kompania zdecydowanie nie głodowała, chociaż nikt nie wiedział, co będzie, kiedy skończy im się jęczmyż, suszone owoce i warzywa. Przy odrobinie szczęścia zapasów powinno im jednak wystarczyć do następnego miasta-państwa...

Julian zamarł w bezruchu na odgłos cichutkiego szelestu przed sobą. Dźwięk był niemal poniżej progu słyszalności, marine jednak miał bardzo dobry słuch. Przemknęło mu przez myśl, żeby włączyć wzmocnienie światła hełmu, jednak szuranie wydawało się dochodzić z bardzo bliska, a uruchomienie hełmu zajmowało około sekundy.

Plutonowy sięgnął do latarki zamocowanej na uprzęży.

W błysku czerwonego światła zobaczył pełznące ku niemu pięć cieni. Stworzenia przypominały budową ćmy, czarne z jasnym wzorem plamek, w tym świetle lśniącym na różowo. Zapłonęły czerwone punkciki ślepi i zalśniły ociekające jadem kły.

* * *

Roger wyskoczył z namiotu i przebiegł połowę drogi do środka obozu, zanim zdał sobie z tego sprawę. Spojrzał w dół i zobaczył, że w jednym ręku ma karabin, w drugim pistolet śrutowy, a na sobie tylko trykot.

Odkrycie to spowolniło go wystarczająco, by dogonili go wartownicy, strzegący jego namiotu. Plutonowy Angell złapał go za ramię i zatrzymał.

–Proszę nam przynajmniej pozwolić iść przodem, sir – powiedział ze śmiechem i podał księciu uprząż. – I proszę pamiętać o amunicji. To nam ułatwi sprawę.

Roger zarzucił na siebie uprząż i ruszył dalej już spokojniejszym krokiem, otoczony strażnikami. Podeszli do grupy żołnierzy, którzy zbiegli się w sektorze trzeciego plutonu. Między nimi na ziemi siedział Julian, ściskając w rękach dzban wina i potrząsając głową.

–...podkradały się do mnie – powiedział. Wesoły zazwyczaj plutonowy był wyraźnie wstrząśnięty. – Nic dziwnego, że straciliśmy Wilbura.

Roger pospiesznie związał włosy i spojrział na leżący kształt. Stwór przypominał olbrzymią sześćoskrzydłą ćmę, przyszpilona do ziemi nożem. Trawa dookoła była zryta od jej przedśmiertnych drgawek.

Chorąży Dobrescu przesunął nad ćmą czujnikiem i szturchnął nóż. Stwór klapnął parę razy skrzydłami, a jego kły zadrżały, poza tym jednak nic się nie stało. Chorąży wyciągnął nóż i z wprawą przewrócił truchło na grzbiet.

–Hmmm – mruknął i uniósł brew. – Fascynujące.

–Co się stało, Julian? – spytał Pahner. Nikt nie wiedział, jak długo już potężny kapitan tu stoi. Plutonowy potrząsnął głową i zatkał dzban z winem.

–Byłem na swoim posterunku, sir. Sprawdziłem warty pół godziny wcześniej i po prostu... siedziałem i słuchałem. Usłyszałem szuranie, więc zapaliłem latarkę i... – przełknął ślinę i pokazał martwą ćmę. – I pięć takich się do mnie skradało. Jak sekcja ogniowa.

–Według mnie właśnie coś takiego załatwiło Wilbura pierwszej nocy – stwierdził Dobrescu. Kazał jednemu z marines poświecić sobie białą latarką, a sam oglądał kły drgającej jeszcze ćmy pod polowym mikroskopem.

–Wykształciły się do ssania – powiedział i zachichotał ponuro. – A nie wydaje mi się, żeby żywiły się nektarem.

–W porządku – stwierdził Pahner. – Znamy już nieprzyjaciela. Rozejść się i spać, marines. Przed nami długi dzień.

Żołnierze rozeszli się do swoich namiotów i szczelnie je pozasuwali. Kapitan spojrzał na Juliana.

–Wszystko w porządku?

–Jasne, panie kapitanie. Nic mi nie jest. Tylko się przestraszyłem. Są takie...

–Paskudne? – podpowiedział Dobrescu i spojrzał na Pahnera. – Co mam zrobić z tym egzemplarzem?

–Przenieście to bliżej środka obozu. Spalimy go rano razem ze śmieciami.

–Tak jest – powiedział chorąży. – Zastanawiam się, czy to nie przedsmak tego, co nas czeka.

*** * ***

Roger kiwał się w rytm człapania *flar-ta*, mrużąc oczy przed mdłym światłem poranka. Trochę trwało, zanim obóz z powrotem zasnął, więc wszyscy maszerowali zmęczeni w milczeniu.

Książę patrzył, jak szpica odrąbuje grube pnącze. Monomolekularne ostrze multinarzędzia przechodziło przez najgrubsze liany jak laser przez kartkę papieru, marines jednak starali się przedzierać bez cięcia. Juczne zwierzęta, idące tuż za nimi, i tak oczyszczały drogę z większości przeszkód, pomaganie im w tym byłoby więc tylko zbędnym wysiłkiem. Nawet one jednak miały kłopoty z niektórymi grubymi lianami, żołnierze więc czasami musieli je rozcinać.

Wierzchowiec Rogera użyczył swej siły szeregowej, której dziś przypadła szpica, unosząc górną część pnącza. Marine odcięła je nad ziemią. W tym czasie książę i

drugi zwiadowca pilnowali jej pleców. Za każdym razem, kiedy tak przystawali, Roger czuł się zupełnie bezbronny.

Pieszczura usiadła i przeciągnęła się za jego plecami. Poniuchwała chwilę, obróciła się i położyła z powrotem. Nic się nie dzieje, żadnych niebezpieczeństw, można spać.

* * *

Patricia McCoy zarzuciła karabin na ramię i przeszła nad uciętą podstawą liany. Mogła rąbać bardziej przy ziemi, nie było jednak takiej potrzeby – szerokie, twarde łapy *flar-ta* i tak rozdeptałyby pniak na miazgę. Poza tym miała inne rzeczy na głowie.

McCoy zawsze czuła się bezbronna mając w ręku tylko monomaczetę. Tuż za nią jednak szedł Pohm, a i książę, trzeba przyznać, był całkiem niezłym wsparciem.

Przeszła przez kłęb mniejszych lian i rozejrzała się. Okolica robiła się coraz bardziej bagnista, a roślinność jeszcze bujniejsza, o ile to w ogóle możliwe. Wyglądało na to, że zbliżają się do mokradeł, zarośla jednak były dość rzadkie. Zwierzęta mogły dać sobie radę bez jej pomocy.

Dała krok w przód i runęła na ziemię, charcząc i krztusząc się własną krwią. Z jej szyi sterczał oszczep.

* * *

Roger wytrzeszczył oczy, kiedy z dżungli wystrzelił deszcz włóczni, ale zareagował automatycznie. Przerzucił nogę nad grzbietem *flar-ta*, sturlał się na bok, schodząc z drogi oszczepom i – zwinąwszy się w powietrzu w sposób, który zawstydziłby kota – wylądował na równych nogach. Nie wahając się padł na brzuch, a nad nim ze świstem przeleciały dwie tony ogona *flar-ta*.

* * *

Przewodnik samicy nie żył, przebity oszczepem, a jej własne boki najeżyły się gwałtownie chmarą lekkich włóczni. Łagodnie mówiąc, nie była z tego powodu najszczęśliwsza. Obróciła się i kłapnęła paszczą na coś, co ją kłuło. W zasięgu paszczy nie było jednak żadnego wroga, samica odwróciła się więc w stronę, z której nadleciały kłujące pociski. Mała istota, która od czasu do czasu jechała na jej grzbiecie, już strzelała w tamtym kierunku, a *flar-ta* zauważyła poruszenie, którego nie powinno tam być.

Chyba znalazła przeciwnika.

* * *

Roger skanował krzaki w poszukiwaniu celu, kiedy samica zatrąbiła ogłuszająco i ruszyła do ataku w ślad za Pieszczurą. Książę nie pobiegł za nimi i został nagrodzony widokiem Mardukanina pierzchającego z drogi szarżującej bestii. Z prawej strony dobiegał huk kanonady, Roger jednak musiał kryć własny sektor.

Z krzaków wyskoczył kolejny szumowiniak z uwieszoną u ręki Pieszczurą. Książę usunął go z pola widzenia i zastrzelił jego spieszącego mu z pomocą kolegę, po czym wstrzymał ogień, kiedy zobaczył biegnących marines.

Nadszedł czas pobiec za psem.

* * *

Pahnerowi wystarczyło jedno spojrzenie na nadlatujące włócznie.

–Zasadzka – warknął. – Bliska.

W słowniku marines istniały dwa rodzaje zasadzek: bliska i daleka. Zadecydowanie, która jest jaka, należało do dowódcy jednostki. Umiejętność rozpoznania rodzaju zasadzki była jednym ze sposobów odróżnienia podręcznikowego żołnierzyka od prawdziwego taktyka polowego.

Rozpoznanie miało kluczowe znaczenie, ponieważ reakcje na oba typy zasadzek były diametralnie różne. W przypadku dalekiej kompania powinna znaleźć sobie osłonę i, manewrując i prowadząc ostrzał, zaatakować wroga. W rzeczywistości wyglądało to oczywiście dużo bardziej zawile, ale takie było ogólne założenie.

W przypadku jednak zasadzki bliskiej doktryna nakazywała po prostu szarżę i wyjście za linię wroga. Nawet biorąc pod uwagę nieuniknione miny i pułapki, nie było sensu szukać osłony, jeśli nieprzyjaciel miał cię na przysłowiowym widelcu.

* * *

Kosutic biegła przez krzaki w stronę ukrytego nieprzyjaciela. Karabin śrutowy ustawiła w tryb automatyczny; strzelała z biodra długimi seriami, kosząc wszystko przed sobą. Nie widząc wroga, opierając się jedynie na odczytach sensorów hełmu, nie było sensu celować. Pokrycie ogniem terenu, na którym znajdował się nieprzyjaciel, było najlepszym rozwiązaniem. Pociski szarpały liany i pnie drzew, obryzgując wszystko sokiem, chlorofilem i błotem.

Kosutic przebiła się przez kępę krzaków i zobaczyła Mardukanina biorącego zamach do rzutu włócznią. Krótka seria cisnęła go w zarośla, a sierżant obróciła się błyskawicznie, sprawdzając otoczenie. Nikogo nie zobaczyła, ale to jeszcze niczego nie oznaczało. Wiedziała, że wysforowała się przed front kompanii – wizjer jej hełmu pokazywał mnóstwo niebieskich ikonek za nią, za to żadnej z przodu. Byli jednak

coraz bliżej i jedynym pytaniem było, czy zaczekać na wsparcie, czy ruszać dalej.

Kosutic zawahała się, po czym padła na ziemię, kiedy na lewo od niej zarośla eksplodowały kulą ognia z plazmy. Ktoś nie patrzył na sensory.

* * *

Nassina Bosum zaklęła, kiedy zrozumiała, że o mało co nie spopielila starszej sierżant. Zatrzymała się, żeby wesprzeć swoją sekcję zastoną ogniową, a niewiele brakowało, żeby zamieniła w skwarkę najważniejszego podoficera kompanii. Gdzieś w zakamarkach umysłu szeregowej pojawiła się myśl, że Kosutic będzie chciała z nią pomówić, na razie jednak nie było czasu się tym przejmować.

Bosum skierowała ogień na linię zarośli, zza których wyleciały oszczepy, i uśmiechnęła się, kiedy wytoczył się z nich płonący tubylec. Natychmiast padł, ścięty serią dowódcy sekcji.

Karabin plazmowy zabuczał głośno, stanowczo obwieszczając wyczerpanie kondensatora. Bosum wyrzuciła zużyte ogniwo i wcisnęła na miejsce nowe. Magazynek zawierał grudki deuterytu litu i paliwo zasilające laserowe kompresory i inicjujące reakcję termojądrową, będącą podstawą działania karabinu. System ten był stosunkowo prosty jak na możliwości Imperialnej technologii, jednak zapewnienie jego bezawaryjnego działania wymagało szczegółowych kontroli jakości amunicji albo idealnych warunków używania broni.

W tym przypadku nie miało miejsca ani jedno, ani drugie. Grudka, która wpadła do komory ogniowej, była częściowo zanieczyszczona węglem. Stopień zanieczyszczenia był niewielki, wynosił zaledwie jedną dziesiątą procenta masy całości, efekt był jednak katastrofalny.

Kiedy bryłka deuterytu litu została naświetlona laserem, węgiel spowodował chaotyczną reakcję, wywołując zapłon fuzji jądrowej. Zapłon przekroczył parametry zabezpieczeń pola magnetycznego, ale nawet to dałoby się przeżyć w innych warunkach. Broń wyposażona była w awaryjny system bezpieczeństwa, zaprojektowany właśnie z myślą o takich sytuacjach.

Niestety klimat Marduka odcisnął swoje piętno na pierścieniu kondensatora, w którym doszło do niekontrolowanej reakcji. Kiedy układ awaryjny wysłał do niego impuls, kondensator eksplodował.

Wynikiem tego był niewielki wybuch jądrowy w rękach szeregowej.

* * *

Pahner zaklął, kiedy fala uderzeniowa eksplozji przeczesła dżunglę. Nie miało

znaczenia, czy to był pas granatów, czy karabin plazmowy. Jazgot walki, wybuchy i nawała oszczepów zaczynały płoszyć *flar-ta*.

Kapitan wysłał wsparcie pierwszemu plutonowi, w którego sektorze pojawiła się wyrwa, a sam ruszył w stronę najbliższej osłony za drużyną z drugiego plutonu, osłaniającą grupę dowodzenia. HUD hełmu Pahnera był płataniną ikon i obrazów, lata doświadczenia pozwalały mu jednak odczytywać je niemal podświadomie. Chmara oszczepów lecących w ich stronę i szerokość frontu ataku jasno pokazywały, że mieli przed sobą liczny oddział nieprzyjaciela.

Wtedy właśnie Pahner zauważył pojedynczą złotą ikonę na samym końcu linii starcia.

–Roger! Wasza Wysokość! Cholera jasna, proszę się schować! Nie wolno panu prowadzić natarcia!

* * *

Granatnik zabrany świętej pamięci szpicy nie za bardzo do księcia pasował, ale systemy hełmu bez problemu poradziły sobie z przestawieniem się na nową broń. Roger wymienił pusty zasobnik z amunicją i zarzucił sobie na ramię pasy z granatami martwego marine. Okolica była wyczyszczona przez uciekające właśnie przed siebie *flar-ta* oraz przez Jego Cesarską Wysokość.

Naprawdę muszę porozmawiać z Pahnerem. Bez przerwy muszę radzić sobie sam.

Sieć komunikacyjna była pełna transmisji i książkę – jak zwykle – nie potrafił rozszyfrować krzyżujących się meldunków. Z drugiej strony HUD wizjera pokazywał jasno, że Roger znajduje się na tyłach największego zgrupowania napastników i znacznie wyprzedza kompanię. Pomyślał o tym, po czym uśmiechnął się i spojrzał w dół, na podbiegającą właśnie Pieszczurę.

–Jestem wariatem, Pieszczuro? – Potrząsnął głową i wyszczerzył się w uśmiechu. – Czy tylko potworem?

* * *

Kosutic wyszarpnęła nóż z głowy szumowiniaka i rozejrzała się dookoła. Znalazła się w gęstych zaroślach, a front natarcia ugrzązł w samym środku zasadzki. Nieważne, ile razy się to powtarzało, nieważne, ile razy to ćwiczyli – żołnierze zawsze zatrzymywali się na celu zamiast przez niego przejść. Teraz ocaleli Mardukanie i marines wymieszali się zupełnie, spleceni w walce wręcz – otwierając ogień w którąkolwiek stronę ryzykowało się ostrzelanie swoich.

Kosutic miała już rzucić się z powrotem w wir walki, kiedy ktoś właśnie to zrobił.

Znowu.

*** * ***

Pahner uchylił się przed oszczepem, który świsnął mu nad głową i z tępym stuknięciem trafił jakiegoś marine. Kapitan wystrzelił pojedynczy pocisk w środek sylwetki włócznika, automatycznie reagując na wskazania sieci celowniczej hełmu, i rozejrzał się dookoła. Poszycie ograniczało pole widzenia, wszędzie jednak kłębili się marines, spleceni w walce wręcz z większymi od siebie Mardukanami. Na oczach Pahnera jeden z tubylców, mierzący prawie trzy metry wzrostu, podniósł jakiegoś szeregowca i cisnął nim o ziemię. Kapitan potrząsnął ze złością głową.

–Przebijać się przez zasadzkę! – ryknął w komunikator i puścił się biegiem, kiedy drzewa wokół niego zaczęły padać pod naporem deszczu granatów.

*** * ***

Roger śmiał się jak dziecko. Doszedł już do tego, jak wykorzystywać systemy hełmu do celowania, i zrzucał granaty nad błękitne ikonki i obok nich. Ponieważ granaty raziły odłamkami zatrzymywanymi – w przeciwieństwie do włóczni i mieczy – przez maskujące kombinezony marines, teoretycznie ostrzał powinien zaszkodzić tylko wrogowi.

Teoretycznie.

*** * ***

Julian odkrył właśnie, że mocowanie się z czymś, co ma cztery ramiona i walczy jak zraniony ziemski grizzly, jest z góry skazane na niepowodzenie. Mardukanin miażdżył go w uścisku, a jego nóż cal za calem zbliżał się do gardła plutonowego. Nagle świat eksplodował.

Julianem i tubylcem cisnęło o pobliskie drzewo, ale maskujący kombinezon zareagował na uderzenie, twardniejąc i nadymając się w odpowiednich miejscach. Szumowiniak nie miał tyle szczęścia. Wybuch granatu urwał mu głowę i jedno z ramion.

Marine zebrał się niezgrabnie z ziemi i rozejrzał się, szukając swojej broni. W końcu ją znalazł zagrzebaną pod kupą poruszonych podmuchem liści i spróbował rozeznaczyć się w sytuacji.

Dookoła niego inni robili mniej więcej to samo. Ktokolwiek strzelał, przykrył ogniem całą zasadzkę. Wszędzie leżeli martwi Mardukanie i poobijani żołnierze.

*** * ***

Pahner zobaczył Juliana i podszedł do niego.

–Plutonowy, zbierzcie swoją drużynę i przeczeszcie teren. Potem wystawicie posterunki dwadzieścia metrów na zewnątrz.

Ruszył dalej, ale zatrzymał się, kiedy zobaczył, że Julian się nie rusza.

–Plutonowy?

Marine potrząsnął głową i odetchnął głęboko.

–Tak jest, sir. Już się robi.

Pahner skinął głową i poszedł wzdłuż linii zasadzki, cucąc nieprzytomnych i wzywając medyka do rannych. Większość obrażeń marines odnieśli w walce z Mardukanami, a nie od granatów, którymi jakiś wariat obsypał całe pole bitwy. Ktokolwiek to był, czekał go gigantyczny opieprz.

Kiedy kapitan dotarł do końca linii, zobaczył idącego w jego stronę księcia. Roger trzymał granatnik zawadiacko oparty o biodro, niczym myśliwy podziwiający ustrzeloną zwierzynę.

–Udało się? – zapytał, szczerząc się w uśmiechu.

*** * ***

Kosutic wypełzła z krzaków i rozejrzała się. Kanonada ucichła, a czujniki nie wykryły żadnych szumowiniaków w okolicy. Wyglądało na to, że kompania wykończyła wszystkich.

Sierżant podeszła do Pahnera i już otworzyła usta, kiedy spostrzegła, że kapitan cały dygocze. Widywała go zakłopotanego, rozzłoszczonego, ale zawsze zastanawiała się, jak wygląda doprowadzony do furii. Teraz już wiedziała.

–Co się stało? – spytała.

–Ten arogancki, nieznośny, przeklęty mały gnój strzelał z granatnika! – wycedził Pahner przez zaciśnięte zęby.

–Och – zamyśliła się Kosutic. – Zachował się jak idiota czy jak geniusz?

–Jak idiota – odparł kapitan, uspokajając się na tyle, by trzeźwo ocenić sytuację. – I tak ponieśliśmy już większość strat, które mieliśmy ponieść. Gdybyśmy się przebili, Mardukanie uciekli albo zostali na miejscu. Tak czy tak, wykończylibyśmy ich z karabinów. Teraz mamy pół tuzina złamanych rąk i popękanych żeber, nie licząc ran od odłamków.

–I co teraz? – spytała Kosutic.

Miała własne zdanie na temat tego co zrobił książę i podejrzewała, że kapitan w końcu złagodnieje.

–Wracamy na szlak – zgrzytnął zębami Pahner. – Cofamy się na suchy teren, rozbijamy obóz, wysyłamy ludzi po juczne zwierzęta i okopujemy się. Myślę, że to była grupa, która miała uderzyć na Q’Nkok, ale to nie znaczy, że jest już po wszystkim.

–Nie znaczy – zgodziła się Kosutic, patrząc na skoszoną granatami roślinność i porozrzucane ciała Kranolta. – Na pewno nie znaczy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Cord przyjrzał się ostrzu uważnie w świetle płomieni.

Broń była mardukańskim dwuręcznym mieczem. Długa na trzy metry, dla człowieka była absurdalnie wielka, miała jednak wspaniałe proporcje, a czarno-srebrny wzór i misterne zdobienia lśniły czerwienią w blasku płomieni.

–Piękna robota – szepnął Cord. – Z całą pewnością voitańska.

Spora część ozdób ginęła pod grubą warstwą rdzy, w kilku miejscach nieumiejętnie zeszkrobanej. Skrobanie uszkodziło to, co miało odsłonić.

–Przekłęci Kranolta – dodał szaman.

–Tak, ale dla nas to bezużyteczne – powiedział porucznik Jasco, potrząsając głową. Miał rękę na temblaku, z walki wyszedł ze złamanym obojczykiem. Jego nanity pracowały pełną parą i za dzień lub dwa miał być zupełnie sprawny, nie zmieniało to jednak faktu, że było mu niewygodnie.

Inni nie mieli tyle szczęścia.

Z ciemności wyłonił się kapitan Pahner. Wbił w ziemię przed szamanem krótki miecz lub długi sztylet i skinął głową porucznikowi.

–To prawda – zgodził się. – Ale ten nada się idealnie, a większość z nich miała przynajmniej po jednym. – Przerwał i spojrzał w zamyśleniu na Corda, po czym odchrząknął. – Niektórzy mieli też coś jeszcze. Rogi wyglądające... znajomo.

Szaman klasnął górnymi dłońmi i zadrżał z obrzydzenia.

–Kranolta obcinają rogi zabitym wrogom na pamiątkę. Najbardziej cenią rogi największych wojowników, ale tak naprawdę zbierają wszystkie. Te z gorszych przeciwników przerabiają na instrumenty muzyczne – dodał, oglądając sztylet, po czym rzucił go z pogardą na ziemię. – Ładna robota, ale to tylko sztylet.

–Może dla was, Mardukan – odparł Pahner, siadając przy ognisku. – Dla nas to krótki miecz. W zestawieniu z włócznią i dużą tarczą można nim zrobić parę rzeczy, których jeszcze nie widzieliście.

–Planuje pan zastosować model rzymski? – spytał Jasco. Potrzeba używania miejscowego sprzętu była od dawna oczywista. Przez zasadzkę, którą właśnie przeżyli, zużyli prawie dziesięć procent zapasów amunicji do plazm. W tym tempie wystrzelaliby wszystko, zanim by doszli do następnego miasta. Musieli zacząć

trenować z użyciem miejscowego uzbrojenia tak szybko, jak to możliwe, Q'Nkok, niestety, nie dysponowało wystarczającym zapasem broni odpowiedniej wielkości.

Jasco próbował przeforsować używanie dłuższych mieczy i mniejszych tarcz, modelu szkockiego. Uważał, że dłuższe ostrza w większym stopniu zrekompensują zasięg ciosu Mardukan. Oczywiście w starciu z bronią, jaką oglądał szaman, długość miecza, jakim posługiwałby się człowiek, nie miała żadnego znaczenia.

–Uważam, że modelu rzymskiego łatwiej będzie się nauczyć – wtrącił porucznik Gulyas. Dowódca drugiego plutonu usiadł przy ogniu, zabił owada na karku i potrząsnął głową. – Chociaż to nam wiele nie pomoże, jeśli ma być tak jak dzisiaj.

Kompania poniosła ciężkie straty, zwłaszcza pierwszy i drugi pluton. Większość zabitych zginęła od mardukańskich mieczy i włóczy, liczne zranienia jednak były efektem bombardowania, jakie urządził im książę. Reakcje na jego wyczyn były różne. Sprowadzały się do poparcia tych, których uratował, i sprzeciwu poranionych. Od głosu wstrzymali się jedynie tacy, jak Julian, których książę uratował, jednocześnie raniąc. Plutonowy powiedział, że zdecyduje się, kiedy zagoją mu się żebra.

–Przeżyliśmy – stwierdził ze stoickim spokojem Pahner.

Kompania straciła w zasadzce porucznik Sawato, jednego z sierżantów plutonów i dwóch dowódców drużyn. Nie oznaczało to jednak, że zadanie zakończyło się niepowodzeniem albo że było niemożliwe do wykonania.

–Musimy być sprytniejsi. Od tej pory na szpicy będzie szła cała drużyna w szyku trójzęba. W ten sposób powinniśmy wykryć wszystkie zasadzki, zanim w nie wejdziemy.

–To niezgodne z doktryną, sir – zauważył Jasco, dotykając temblaka. – Nie wykryjemy dalekich zasadzek. Pana sposób oznacza stratę całej drużyny zamiast jednego marine.

Kapitan potrząsnął ze złością głową.

–Wciąż zapominamy, że Mardukanie są ograniczeni zasięgiem. Przynajmniej ci Mardukanie – to się może zmienić, kiedy wreszcie natkniemy się na jakichś, którzy znają proch. Na razie jednak, jeśli szpica będzie szła w odległości rzutu oszczepem przed kolumną, Kranolta nic nam nie zrobią. Nie dosięgną. Dlatego zmieniamy doktrynę.

–I pakujemy te pieprzone plazmy – skrzywił się Gulyas. Bosum zginęła w widowiskowy sposób; większość operatorów już rozładowała na wszelki wypadek swoje karabiny. Nikt nie wiedział, co się stało, i nikt nie chciał być tym, który się o

tym przekona.

–Jasne – warknął Jasco. – Co ty powiesz.

Stracił w wybuchu pół drużyny i dowódcę sekcji. Po śmierci Koberdy i połowy sekcji Alpha sierżant Jin musiał zebrać resztki drugiej i trzeciej drużyny pod komendą dowódcy trzeciej.

–Jak powiedział Król w Q’Nkok – zauważył Pahner – jeśli masz jeden problem, czasami nie da się go rozwiązać, jeśli jednak masz ich kilka, często rozwiązują się nawzajem. Ponieśliśmy na tyle duże straty, że wszyscy operatorzy mogą wymienić broń na coś innego. Rano każę Poertenie i Julianowi zacząć przeglądać plazmy, na razie jednak ograniczymy się do śrutownic i granatników.

–Dopóki starczy nam amunicji, sir – powiedział Jasco.

–To też – uśmiechnął się ponuro dowódca kompanii. – W ten sposób wróciliśmy do punktu wyjścia.

* * *

Roger wiedział, że ćwiczenie *kata*, kiedy jest zły, nie ma sensu. Niezależnie od tego, ile razy próbował złapać równowagę, nie udawało mu się to, nie mógł jednak przestać. Wirował w ciemnościach za swoim namiotem, otoczony złotą aureolą włosów, próbując ćwiczeniami pozbyć się frustracji, gniewu i strachu.

Był zszokowany stratami, jakie poniosła kompania. Mimo wszystkich przeciwności losu nie brał pod uwagę możliwości, że marines mogą podczas marszu wyginać do nogi. Och, zdawał sobie z tego sprawę, ale tylko na poziomie intelektu, a nie emocjonalnie. Nie w głębi serca. Przecież nowoczesna jednostka, wyposażona w Imperialny sprzęt, nie powinna mieć problemów z przebicciem się przez nieprzyjaciela uzbrojonego jedynie we włócznie, miecze i prymitywną broń palną.

Takie myślenie zakładało jednak, że wróg nie będzie chciał ponosić strat, że marines zobaczą go na tyle wcześnie, żeby zdążyć go zastrzelić, zanim dojdzie do walki wręcz, w której całe ich wyposażenie i wyszkolenie przestawało się liczyć. Fakt, że sensory nie wykryły napastników, źle wróżył na przyszłość.

Chociaż czujniki taktyczne zaprojektowano do wykrywania szerokiego spektrum sygnałów, było jasne, że działają głównie na podczerwień i emisję. Miało to sens w starciu z przeciwnikiem stojącym na wysokim szczeblu rozwoju technologicznego.

Mardukanie jednak nie emitowali żadnego z tych dwóch rodzajów promieniowania, dlatego sensory uznawały większość kontaktów za duchy. W kilku przypadkach podczas bitwy HUD-y hełmów po prostu odmawiały śledzenia celów, co zupełnie

dezorientowało marines, nauczonych opierać się przede wszystkim na ich wskazaniach. Teoretycznie były o wiele lepsze od tych, w które zaopatrzyła ludzi ewolucja. Teraz zaś okazywało się, że nie są.

Roger poradził sobie z tym problemem, ignorując śledzenie celów – najpierw korzystając ze zwykłego holograficznego celownika swojego karabinu, potem strzelając w wir walki wręcz z założeniem, że tam, gdzie nie ma marines, musi być nieprzyjaciel. Co prawda promień eksplozji granatów sprawił trochę kłopotów, ale i tak...

Zawirował na pięcie, wywijając ciężkim mieczem. To było nie fair. Osobiście wydostał ich z pułapki. Fakt, trochę drastycznie, ale udało się. Cokolwiek mógł myśleć Pahner, książę nie działał pod wpływem paniki, głupoty, arogancji ani bez troski.

Gdyby tylko ktoś, oprócz zawsze wiernej Pieszczury, to zrozumiał, mógłby nawet...

Roger zamarł na dźwięk odchrząknięcia i zwinnie odwrócił się do tego, kto mu przerwał. Jego twarz zastygła w wyćwiczonym nieprzeniknionym wyrazie poczucia wyższości. Czubek miecza oparł o but. Wiedział, że to niewiarygodnie arogancka poza, ale w tej chwili miał to gdzieś. Jak się komuś nie podoba, niech spieprza.

–Tak? – powiedział do Despreaux.

Nie słyszał jak plutonowy podchodzi i był ciekaw, czego chciała.

Marine patrzyła na niego przez chwilę, przyglądając się jego postawie. Książę przebrał się w krótkie spodnie, a gorąco i wysiłek pokryły jego ciało potem. Większy księżyc, Hanish, przebił się zza chmur; jego światło i odbicie blasku ognisk na skórze Rogera sprawiały, że książę wyglądał jak brązowy posąg. Despreaux poczuła rozlewające się w dole brzucha ciepło, ale zdecydowanie opanowała to uczucie.

–Chciałam tylko podziękować, Wasza Wysokość. Prawdopodobnie przebilibyśmy się przez zasadzkę, ale było gorąco. Czasami, kiedy sprawy zajdą tak daleko, trzeba zrobić coś pozornie głupiego. Ostrzelanie kompanii to nie jest najgłupsza rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, poza tym zadziało. Więc ja za siebie dziękuję.

Nie dodała, że Mardukanin, który rozprysnął się nad nią, trafiony granatem, właśnie szykował się, żeby odrąbać jej głowę. Jeszcze sekunda, a ten wielki drań by ją załatwił.

Było to dokładnie to, co książę chciał usłyszeć, dlatego nie potrafił zrozumieć, dlaczego aż zadygotał z wściekłości. Tak się jednak stało. Wiedział, że nie powinno, ale się stało. Z całych sił próbował się opanować, ale wewnętrzny gniew wyciekł między żelaznymi palcami samokontroli.

–Dziękuję wam, plutonowy – powiedział sztywno. – Na przyszłość jednak będę się starał znaleźć bardziej... eleganckie rozwiązanie.

Despreaux nie miała pojęcia, czym do tego stopnia wkurzyła księcia, miała jednak dość rozumu, by wiedzieć, że czas się zmyć.

–I tak dziękuję, Wasza Wysokość – powiedziała cicho. – Dobranoc.

–Dobranoc, plutonowy – odparł Roger spokojniejszym tonem. Płomień jego wściekłości już przygasał i chciał przeprosić za swój wybuch, nie potrafił jednak znaleźć słów. Co, oczywiście, tylko pogorszyło sytuację.

Odrzucona plutonowy kiwnęła chłodno głową i wróciła do obozu, zostawiając go samego.

Mógł teraz machać mieczem i wściekać się... na cały świat i na własną głupotę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

–Wziółem wszystko, co siem dało upchnonć do pieprzonyj turby – warknął Poertena. – Jak, kurwa, miałem tam wcisnąć pieprzone łożę do plazmy?

Kapitan Pahner uznał, że kompania potrzebuje dnia odpoczynku, żeby naprawić sprzęt i zreorganizować drużyny. Początkowo chciał przeć dalej, nie dając Kranolta czasu potrzebnego do zebrania wojowników na pozycjach. Jednak mimo tego, że wszystkie *flar-ta* znaleziono i przyprowadzono z powrotem, wiele z nich było rannych, a poganiacze twierdzili, że zwierzęta potrzebują kilku dni odpoczynku. Pahner musiał przyznać, że marines też się to przyda, cały następny dzień kompania spędziła więc poprawiając umocnienia i dochodząc do siebie po starciu.

Przynajmniej większość kompanii. Julian i Poertena dostali inne zadanie.

Boki namiotu zamienionego w zaimprovizowaną zbrojownię podwinięto do góry, wewnątrz jednak i tak było nieprzyjemnie gorąco. Nie aż tak jak marines kopiącym stanowiska strzeleckie, od tamtych jednak nikt nie oczekiwał rzeczy niemożliwych.

–Pieprzony tester do M-98 to pieprzona konsoleta – ciągnął ostrym tonem Poertena. – Jak, kurwa, miałem go nieść? Co?

–Jakbym nie wiedział! – warknął na niego Julian.

Obaj mechanicy rozebrali i sprawdzili dwanaście karabinów plazmowych. Nic nie wskazywało, że którykolwiek z nich eksploduje jak egzemplarz świętej pamięci Nanni Bosum, szybko jednak domyślili się, co spowodowało wybuch. Nie mieli możliwości przetestowania wysokoprzepływowch kondensatorów. Urządzenie, które to robiło, jak zauważył Poertena, było dużą konsolą, która zamieniła się w puchnącą kulę plazmy razem z całą resztą *DeGloppera*.

Pahner wszedł do namiotu i popatrzył na porozkładane na podłodze części rozmontowanych karabinów.

–I jak?

–Nic z tego, sir – przyznał zmęczonym głosem Julian. – Nie znaleźliśmy nic oprócz oczywistych usterek. Nie mamy nic, co wskazywałoby na przyczynę wybuchu.

–Słyszałem, jak mówiliście o kondensatorach. Może coś w nich?

–Nie – powiedział Julian. – Wadliwe kondensatory to najczęstsza przyczyna detonacji w komorze, ale...

–Ale nie mamy pie... to znaczy, nie miałem jak zabrać modułu testującego, panie kapitanie – przerwał mu Poertena. – Był za... za duży.

–Och – uśmiechnął się Pahner. – To jedyny problem?

–Tak, sir – Julian wskazał na rozbebeszoną broń. – Mamy standardowy miernik, ale ładunek kondensatorów przekracza jego skalę.

–W porządku. – Pahner odwrócił się do Pinopańczyka. – Poertena, wymontujcie układ z pancerza. Najlepiej Russel.

Grenadier była jedną z niewielu zabitych w trzecim plutonie. Nie potrzebowała już swojej zbroi.

–Tajest, panie kapitanie.

Mały mechanik potruchtał w stronę pancerzy, a Pahner odwrócił się do Juliana. Wyjął jeden ze swoich bezcennych listków gumy i wrzucił sobie do ust.

–Julian. Przynieście mi karabin, kawałek kabla nadprzewodzącego dwunastki i cyberpad.

–Tak jest, sir – Julian zanurzył się w głębinach namiotu i zaczął szukać wymienionych przedmiotów. Nie był pewien, co kapitan zamierza, ale wiedział, że będzie to interesujące.

*** * ***

Pahner przytrzymał mocno pierścień jedną ręką i przyłożył nóż do styków.

–Zasadniczo konsoleta testowa jest identyczna co układ pancerza. – Oderwał styk i złapał go, zanim spadł na ziemię – Mają tylko inne styki. Stary Model Trzydzieści Osiem też miał inne, ale do niego były połowe testery. Szkoda, że nie słyszeliście, jak wszyscy jęczeli i narzekali na brak testera, kiedy wyszły te Dziewięćdziesiątki Ósemki! Ta sztuczka jednak jest już znana od jakiegoś czasu, więc dalej ją stosowaliśmy.

–Dlaczego zmienili konstrukcję? – spytał Julian. – Albo nie dodali polowego testera?

–Nie znacie się na zasadach zaopatrzenia, prawda? – uśmiechnął się krzywo Pahner i otarł ramieniem pot z czoła, skupiony na mocowaniu kabla nadprzewodnika do styku.

–Ta sama firma, która produkuje karabiny plazmowe, zajmuje się testerami. Oczywiście jest, że chcą sprzedawać jedno i drugie. Gdyby powiedzieli „możecie

używać tych samych testerów co do panczerzy”, dostaliby po kieszeni. Nie wspominając, że konsoleta kosztuje trzy razy tyle co tester połowy. Nigdy nie udało mi się zrozumieć, dlaczego; robi przecież dokładnie to samo.

Kapitan potrząsnął głową. Tym razem w jego uśmiechu nie było wesołości.

–Model Dziewięćdziesiąt Osiem ma około dwóch razy większą siłę rażenia niż Trzydziestka Ósemka, ale wydaje mi się, że Krypton Armaments po prostu doładowała starą wersję i dołożyła nowe opakowanie. Wewnętrzne moduły są prawie identyczne. Słyszałem plotkę, że Dziewięćdziesiątka Ósemka ma tendencję do wybuchania, ale pierwszy raz osobiście byłem świadkiem czegoś takiego.

–Ale dlaczego nikt się tym nie zajmie? – spytał Julian. – Zresztą nieważne...

–Taaa – zaśmiał się Poertena. – Zdajesz sobie sprawę, o jakich tu, kurde, mowa pieniądzech?

–Jeśli nie wygrają przetargu, nie będzie pieniędzy na kampanię wyborczą jakiegoś senatora – przytaknął cicho Pahner. – Albo na wystawne kolacje dla oficerów zaopatrzeniowych. Albo na ciepłe posadki dla emerytowanych admirałów.

Nie wspomniał, że Imperialne Biuro Śledcze miało pełne ręce roboty w związku ze śledztwami w sprawie spisków przeciwko koronie, i nie miało czasu zajmować się takimi drobiazgami jak wybuchająca broń. Prawdę mówiąc., nie był to najlepszy okres dla marines.

Kapitan owinął styk i końcówkę kabla kawałkiem gumy do żucia.

–Guma stwardnieje, kiedy popłynie prąd – powiedział i uśmiechnął się, dociskając białą grudkę. – A wy myśleliście, że to tylko przyzwyczajenie – dodał, wydmuchując balonik.

* * *

Z dwóch tuzinów kondensatorów w sześciu stwierdzili nieprawidłowości. Przy wzroście natężenia prądu wysiadały. W sytuacji awaryjnej dawało to łatwe do przewidzenia rezultaty.

Wszystkie miały podobne numery seryjne i pochodziły od tego samego producenta.

–Kurwa – zaklął Pahner, nadmuchał kolejny balonik i uśmiechnął się ponuro.

–W osłonie kondensatora jest mikroskopijne pęknięcie – powiedział Poertena, badający podzespół przez połowy mikroskop. Przez pole widzenia przemaszerował mu maleńki pseudo-żuk, mechanik nawet go jednak nie zauważył. – Pewnie tamtędy

do środka dostaje się wilgoć. Zwłaszcza, kiedy się ich używa i rozszerzają się z gorąca. Dla takich kondensatorów to morderstwo.

–A więc dopóki nie dostaną impulsu z układu awaryjnego, wszystko jest w porządku – powiedział Julian. – A jeśli dostaną, ale są akurat sprawne, wszystko jest w porządku. Ale nie jedno i drugie.

–Tak – przytaknął Pahner. – Wypierdolcie te wadliwe w dżunglę, zostawcie tylko kilka sztuk. Myślę, że kiedy wrócimy, Jej Wysokość powiesi kilku podwykonawców. Biorąc pod uwagę, jak będzie wściekła z powodu naszej małej przygody, może to zrobić dosłownie. A ja zawiążę dla niej pętle.

–Kiedy się ich pozbędziecie, poskładajcie najlepsze karabiny, jakie wam się uda i ile wam się uda. Sprawdźcie każdą część, każdy podzespół i styk. Obejrzyjcie wszystkie pod mikroskopem. Potem zapakujcie do pokrowców tak, żeby nie zamokły.

Julian się skrzywił.

–Bez plazm będzie naprawdę kiepsko, szefie.

Dla piechoty karabiny plazmowe były podstawą działania.

–Nic na to nie poradzimy. Nie stracę następnej drużyny przez eksplozję komory. Będziemy je trzymać pod ręką, chyba że naprawdę zrobi się gorąco. Jeśli okaże się, że bez nich nie damy sobie rady, wtedy je wyciągniemy.

–Poskładanie ich zajmie nam chwilę – powiedział Julian. – Dostaniecie kogoś do pomocy. Macie całe dziś i jutro.

–W porządeczku – pokiwał głową Poertena. – Niezła, kurde, sztuczka – dodał. – Gdzie się pan tego nauczył?

–Synu, mam siedemdziesiąt dwa lata – powiedział Pahner. – Wstąpiłem do marines w wieku siedemnastu. Po pięćdziesięciu pięciu latach na końcu łańcucha zaopatrzeniowego człowiek uczy się tego i owego.

* * *

Kostas Matsugae zawsze lubił gotować, ale przygotowanie kolacji dla większej liczby osób stanowiło dla niego wyzwanie. Zwłaszcza że musiał sobie radzić z zupełnie nieznanymi potrawami i przyprawami. Szybko jednak nauczył się tego i owego.

Kiedy kompania stanęła obozem, wreszcie znalazł czas, żeby poeksperymentować. Wiedział, że żołnierze zaczynają narzekać na jednostajność menu, i wcale nie miał do

nich o to pretensji. Mając tak mało czasu i tylu ludzi do wykarmienia, co wieczór zmuszony był ograniczać się do gulaszu. Popularny żart głosił, że co dzień jedli coś innego – dzisiaj gulasz z jęczmyżem, jutro jęczmyż z gulaszem.

Służący nie był żołnierzem, ale zdawał sobie sprawę z tego, jak dobre wyżywienie wpływa na morale, i miał zamiar coś z tym zrobić. Chociaż nie zamierzał odchodzić od podstawowego założenia „dużo różnych rzeczy w garnku”, bo pozwalało ono na pewną różnorodność, dzisiaj pracował nad nowym daniem.

Mardukanie hodowali roślinę trochę podobną do pomidora. Matsugae kupił go dużą ilość, a teraz dusił na wolnym ogniu z dodatkiem ostrego zioła *peruz* i brązowej masy, będącej tutejszym odpowiednikiem soczewicy. Przy odrobinie szczęścia wyszłoby z tego mardukańskie chili. Równie dobrze jednak mogło się to okazać zupełnie niejadalne. W takim przypadku kompania dostałaby jęczmyż i gulasz. Zresztą, i tak była środa.

Kostas uśmiechnął się, kiedy nad kotłem pochyliła się plutonowa Despreaux.

–Jejku – powiedziała. – Cudownie pachnie.

–Dziękuję. – Matsugae zamieszał zawartość kotła drewnianą chochlą i spróbował. Powachlował dłonią usta i pospiesznie napił się wody.

–Trochę za dużo *peruz* – powiedział zduszonym głosem.

Pieszczura spała na łacie słońca, którego promienie przebiły grubą pokrywą liści. Na dźwięk chochli uderzającej o ściankę kotła zerwała się na sześć nóg i przygalopowała do Kostasa. Matsugae wyłowił kawałek mięsa i rzucił go patrzącemu błagalnie jaszczurowi. Zwierzak stał się kompanijną maskotką – gorliwie i nie wybrzydzając opróżniał miski i pożerał odpadki. Od momentu opuszczenia wioski Ludu znacznie urósł i był już całkiem spory. Zapowiadało się, że wyrośnie na prawdziwego olbrzyma.

–Będzie nam przypominać o picciu – powiedziała Despreaux. Rozejrzała się i ściszyła głos. – Mogę zadać ci osobiste pytanie?

Kostas kiwnął głową.

–Nigdy nie zdradziłbym tajemnic damy – powiedział, a Despreaux parsknęła śmiechem.

–Damy! Co ze mnie za dama. Bycie damą i żołnierzem wyklucza się nawzajem.

–Nie – odparł Matsugae. – Wcale nie. Ale proszę pytać.

Plutonowy jeszcze raz rozejrzała się bacznie, po czym zajrzała do kotła, unikając wzroku służącego.

–Znasz księcia już długo, prawda?

–Jestem jego osobistym służącym odkąd skończył dwanaście lat – powiedział Kostas. – Przedtem byłem sługą Cesarskiego Dworu. Tak, znam go już długo.

–Czy jest gejem?

Matsugae zdusił chichot. Nie dlatego, że nie spodziewał się takiego pytania – prawie że odpowiedział na nie, zanim zostało zadane – ale dlatego, że w ustach świetnie wyszkolonej amazonki brzmiało absurdalnie zwyczajnie.

–Nie. – Nie udało mu się pozbyć rozbawienia z głosu. – Nie, nie jest gejem.

–Co w tym śmiesznego? – spytała Despreaux.

Spodziewała się różnych reakcji, ale nie śmiechu.

–Nie ma pani pojęcia, ile razy słyszałem to pytanie – odparł z uśmiechem. – Albo słyszałem sugestię. Albo dochodziła do mnie plotka. Od pancerza Rogera odbiło się tyle samo, albo nawet więcej, młodych gejów co młodych kobiet.

–Więc nie chodzi o mnie? – spytała cicho Despreaux.

–Nie, moja droga. – Tym razem w głosie służącego pojawiła się nuta współczucia. – To nie ma nic wspólnego z tobą. Jeśli poczujesz się przez to lepiej, wydaje mi się, że Roger uważa cię za atrakcyjną. Ale to tylko podejrzenie, rozumiesz. Rodzina Cesarska stosuje się do arystokratycznej tradycji, która nakazuje zapewnić dzieciom edukację seksualną pierwszej klasy, a Roger nie był wyjątkiem. Wiem również, że pociągają go kobiety. Miał przynajmniej jeden kontakt seksualny, o którym wiem, i była to dziewczyna. Z drugiej strony odrzucił wszystkie zaloty, o których mi wiadomo. – Zachichotał. – A wiadomo mi o naprawdę wielu. Szczerze mówiąc, gdyby Roger był zainteresowany, mógłby mieć więcej „akcji” niż kompania marines, przepraszam za porównanie.

–Nie ma sprawy – uśmiechnęła się Despreaux. – Już to słyszałam. Więc o co chodzi? Jest... jak to się mówi? Aseksualistą?

–Nie, to też nie to. – Kostas pokręcił głową, a w jego oczach pojawił się wyraz zadumy, prawie smutku. – Nie rozmawiałem z nim o tym i nie znam nikogo, kto by rozmawiał. Jeśli jednak chcesz poznać opinię kogoś, kto zna Rogera prawdopodobnie lepiej niż ktokolwiek inny, wydaje mi się, że to kwestia samokontroli, a nie braku zainteresowania. Dlaczego ją stosuje, nie wiem, ale samo

to coś mi o nim mówi. – Służący potrząsnął, głową. – Jest wiele rzeczy, o których Roger nie rozmawia z większością ludzi, i kilka, o których nie rozmawia ze mną. To jedna z nich.

–To... dziwne – powiedziała marine.

Sama nie miała gromady kochanków, ale nie liczyła ich też na palcach jednej ręki.

–To cały mój Roger – odparł Kostas i uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

–Znowu razem, Pat – powiedział Roger, poklepując zwierzę tuż pod spowijającymi jego bok bandażami.

Pahner zarządził, by szlak przecierały trzy najciężej poranione *flar-ta*, z których zdjęto niesione pakunki. Reakcje bestii na zasadzkę były skrajnie różne. Większość z nich uciekła, przerażona ogniem i zamieszaniem, jednak dwie – ta, na której przypadkiem jechał Roger, i jedna z sektora trzeciego plutonu – zaszarżowały na atakujących Kranolta. Z oczywistych powodów były dwiema z trzech przedzierających się przez zarośla.

Roger, który doszedł do wniosku, że w razie zasadzki najlepiej trzymać się blisko *flar-ta*, szedł obok swojego zwierzęcia. Samica kojarzyła mu się z Patricią, którą poznał w szkole, a imię, którym nazywali ją poganiacze, było całkowicie niewymawialne, więc przyjęło się „Pat”.

Kompania została zaatakowana jeszcze trzy razy, zasadzki te były jednak mniejsze, a szerszy szlak, wydeptywany przez juczne bestie, uniemożliwił Mardukanom zaskoczenie ich w walce wręcz. To oraz decyzja Pahnera, żeby wzmocnić szpicę i wysłać ją dalej do przodu, sprawiło, że ludzie wyszli z potyczek bez szwanku.

Byłoby miło, gdyby tak było dalej.

Według Corda, zbliżali się do terenów, nad którymi panowało Voitan za czasów jego ojca. Jak dotąd nie napotkali żadnych śladów cywilizacji, nie widać też było jednak oznak koncentracji Kranolta, a marines doceniali wszystkie pozytywne aspekty sytuacji.

Roger zobaczył, że jeden z żołnierzy na szpicy podnosi rękę i przyklęka na kolano. Poganiacze natychmiast zatrzymali zwierzęta. Kolumna się ścieśniła, a książę podbiegł do przodu.

Jadąca na grzbiecie Party Pieszczura podniosła głowę, poniuchała chwilę i zasyczała. Matsugae nie gotował, nic nie próbowało nikogo pożreć, zeskokczyła więc na ziemię i pobiegła za Rogerem.

Szpica, kapral Kane z trzeciego plutonu, stała na skraju bagna. Brzeg był wąski – pasek gołej ziemi miał najwyżej ćwierć metra szerokości – dalej zaś widać było tylko wodę, na powierzchni której unosiła się warstwa roślin.

Rozciągający się z brzegu widok był niezbyt zachęcający. Bagno najeżone było zwalonymi drzewami i gnijącymi lianami, zaś żywa roślinność, szara i dziwacznie poskręcana, odcinała się wyraźnie od zielonego gąszczu dżungli. Roger rozejrzał się

dookoła, po czym podszedł do jednego z młodych drzewek i ściął je mieczem, który zaczął nosić na plecach.

Mierzył właśnie głębokość bajora, kiedy podszedł do niego Pahner.

–Wie pan, Wasza Wysokość – powiedział sucho kapitan – przy brzegach takich bagien często czają się różne rzeczy, które jedzą ludzi.

Marine wydawał się częściowo wybaczyć księciu zbombardowanie kompanii granatami, Roger jednak wolał jeszcze uważać na słowa.

–Zgadza się, czają się – przytaknął. – Polowałem na większość z nich. Płytko tu nie jest – dodał, wyciągając ścięte drzewko i przyglądając się kleistej mazi oblepiającej ją na metr. Na powierzchnię bajora wyskoczył bąbel cuchnącego gazu.

–Dno też nie za solidne – zauważył książę, pokasłując.

Kompania rozwinęła szyk. Nie widząc żadnego bezpośredniego zagrożenia, Kosutic podeszła do Pahnera. Popatrzyła na smolistą czarną maź oblepiającą kij, na bagno, po czym roześmiała się.

–To wygląda jak... Mohinga – oznajmiła stłumionym głosem kogoś, kto opowiada właśnie straszną historię.

–Och, nie – jęknął Pahner, zanosząc się głębokim śmiechem – Tylko nie... Mohiinga!

–O co chodzi? – Roger cisnął drzewko w bagno. – Nie rozumiem dowcipu.

Pieszczura popatrzyła na lecący do wody kij i rozważyła możliwość przyniesienia go. Powąchała wodę, zasyczała i uznała, że rozsądnie będzie tam nie wchodzić. Wzdragając się przed możliwością usłyszenia komendy „aport” spojrzała pytająco na ludzi. Nikt z nich jednak nie sprawiał wrażenia, jakby miał zamiar zrobić coś ciekawego, jaszczur potruchtał więc z powrotem do *flar-ta*, machając grubym ogonem.

–To stary dowcip marines – wyjaśniła Kosutic księciu. – Na Ziemi, w Prowincjach Centralii jest centrum szkoleniowe, na terenie którego leży bagno. Jestem pewna, że Inkowie wrzucali do niego ofiary z ludzi. W ciągu ostatnich kilku tysięcy lat kilkakrotnie je osuszano. Nazywa się...

–Mohinga. Do tego sam doszedłem.

–To prawdziwe piekło, Wasza Wysokość – powiedział Pahner, uśmiechając się lekko. – Kiedy trafiał do nas oddział Raiderów, trochę za bardzo... powiedzmy,

arogancki, wyznaczaliśmy mu marszrutę przez Mohinga. Bez elektroniki. – Uśmiech kapitana poszerzył się, a jego chichot zabrzmiał całkiem złośliwie. – Po kilku dniach łażenia w kółko prosili, żeby ich stamtąd wyciągnąć.

–Był pan instruktorem w centrum szkoleniowym, sir? – spytała zaskoczona Kosutic.

–Pani sierżant, jedynym kursem w Korpusie, którego nie prowadziłem, było podstawowe szkolenie strzeleckie, a to tylko dlatego, że udało mi się od niego wymigać – wyszczerzył się w uśmiechu Pahner.

Mimo tego, że szkolenie strzeleckie było niesłychanie istotne w procesie szkoleniowym marines, było jednocześnie najnudniejsze dla instruktorów.

–Wszystkie drogi prowadzą do Mohiinga – zacytowała Kosutic teatralnie drżącym, przerażonym głosem – ale... żadna nie prowadzi na zeeeewnątrz!

–Nie powiem, że to ja to wymyśliłem – zachichotał Pahner. – Ta litania była już stara, kiedy tam się pojawiłem. Ale osobiście dodałem kilka wersów. A skoro już mowa o Mohinga... – Kapitan rozejrzał się i potrząsnął głową. – Mam szczerą nadzieję, że uda nam się to obejść.

*** * ***

Cord również podszedł spojrzeć na bagno, po czym zbliżył się do śmiejących się Rogera i marines. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji.

–Roger – przywitał się szaman, ludzkim gestem kiwając głową. – Kapitanie Pahner, sierżant Kosutic.

–D’Nal Cord – odparł księżę, również pozdrawiając go skinieniem. – Czy jest jakaś droga okrążająca to bagno? Wiem, że minęło sporo czasu, odkąd tędy wędrowałeś, ale czy pamiętasz?

–Pamiętam bardzo dobrze – powiedział stary szaman. – Za czasów mojego ojca nie było takiej drogi. Rozciągały się tu pola Voitan i H’Nar, ale z tego, co pamiętam, powstały z osuszonych mokradeł wokół rzeki Hurtan. – Klasnął w ręce z żalem. – Obawiam się, że bagno może wypełniać całą dolinę Voitan, i ciągnąć się aż do T’an K’tass.

–A jak daleko to jest? – spytała Kosutic.

–Wiele dni na południe – odparł Cord. – Może nawet kilka tygodni.

–A na północ? – zapytał Pahner, spoglądając na bagno i już nie chichocząc.

–Na północ sięga dalej niż moja znajomość tych okolic – powiedział Mardukanin. – Na północy leżały terytoria Kranolta, nawet za czasów Voitan, a oni nie przepuszczali karawan kupieckich.

–W takim razie – odezwał się powątpiewająco Roger – możemy zboczyć z drogi i przez kilka tygodni wędrować na południe, cały czas potykając się z Kranolta. Albo na północ, prosto na ich podwórko. Albo spróbować przejść przez bagno.

–Wasi marines i moi ludzie mogą mieć z tym trochę problemów – przyznał Cord. – Ale nie *flar-ta*. Bez kłopotu pokonają rozlewiska, jeśli nie będą głębsze niż to.

–Naprawdę? – Teraz Kosutic miała wątpliwości. – To co cię gonilo, mieszkało na pustyni. Te zwierzaki – kciukiem pokazała stojącą za nią Patricię – specjalnie się nie różnią.

–*Flar-ta i flar-ke* występują wszędzie – powiedział Cord. – Lubią wysoko położone, suche regiony, bo tam nie ma *atul grack*, ale można je spotkać też na bagnach.

Pahner odwrócił się i spojrzał na D’Len Paha. Wódz poganiaczy zajął miejsce zabitego w zasadzce opiekuna Pat; teraz czekał cierpliwie, aż ludzie podejmą decyzję.

–Jak myślisz, Pah, zwierzęta przejdą przez to bagno? – spytał kapitan sceptycznym tonem.

–Oczywiście – zaśmiał się poganiacz. – To nad tym tak debatowaliście?

Klepnął zwierzę pod pancerną kryzą, a *flar-ta* ruszyła przed siebie. Jęknęła żałośnie na widok czarnego błota, ale posłusznie w nie weszła.

Każda stopa *flar-ta* wyposażona była w cztery palce o skórzastych podszwach i potężnych pazurach do kopania. Szerokie i mięsiste łapy zaopatrzone były również w błonę pławną. Patricia rozsunęła szeroko palce, ponad trzykrotnie zwiększając powierzchnię stóp. Zapadła się w grząskie bajoro, ale znalazła oparcie, nie dotknąwszy nawet brzuchem powierzchni wody.

–Hmmm – mruknął w zamyśleniu Roger. – Może podejść dalej?

Pah znów szturchnął zwierzę, które zagulgotało warkliwie, ale posłusznie weszło głębiej w czarną wodę. Najwyraźniej na bagnach czuło się równie dobrze co w dżungli, chwilę później jednak zaburczało i pospiesznie zawróciło do brzegu. Z głębi bagna w jego stronę ruszyła zmarszczka w kształcie litery V.

Roger złapał oparty o drzewo karabin i odbezpieczył go. Śrut z karabinów marines zaczął rykoszetować od powierzchni wody. Spanikowane *flar-ta* gramoliło się na

brzeg, książkę jednak nabrał powietrza i spokojnie wycelował.

Pahner przełączył karabin na amunicję przeciwpancerną, kiedy dotarło do niego, że lżejsze ceramiczne pociski zwyczajnie odbijają się od powierzchni wody. Zanim jednak zdążył wystrzelić, zagrzmiął karabin Rogera. Woda spieniła się od konwulsji trafionego zwierzęcia. Rzucający się w agonii stwór była dłuższy i smuklejszy niż chrystebestia, ogólnie jednak podobny, o takiej samej śluzowatej skórze. Prążkowany zielono-czarny potwór rzucał się jeszcze chwilę, tryskając krwią z ogromnej rany barku, po czym wywrócił się brzuchem do góry.

–Kolacja – powiedział spokojnie Roger, ładując następny pocisk do komory.

Pahner pociągnął nosem.

–Połowa problemu rozwiązana. Załadujemy plecaki na zwierzęta i pójdziemy za nimi przez bagno.

–Kranolta raczej nas tam nie zaatakują – powiedział w zamyśleniu Cord. Poganiacze weszli do wody, by wyciągnąć na brzeg zastrzelone zwierzę. – Leśne ludy nie mają żadnego pożytku z takich mokradeł. Nie będą się czuli na nich tak pewnie jak w puszczy, a na pewno nie będą się spodziewać, że będziemy się tędy przedzierać. Ale gdzieś tam – szaman wskazał włócznią w głąb moczarów – gdzieś tam jest rzeka Hurtan. A jej *flar-ta* nie przejdą.

–Kiedy już tam dotrzemy, zbudujemy most – zaśmiała się Kosutic. – Najpierw musimy dać sobie radę...

–Z Mohiinga – dokończyli chórem Pahner i Roger.

* * *

Poertena poślizgnął się i przytopił, zanim Denat wyciągnął go, sapiącego i plującego wodą, i postawił na nogi. Mechanik splunął z obrzydzeniem, ale udało mu się nie zamoczyć karabinu.

–Dzięki, Denat – zaczął, ale przerwał, kiedy jego hełm zaczął syczeć i strzelać.

–Cholera! – Pinopańczyk zdarł hełm z głowy; słuchawki komunikatora zaczęły wyć.
– Kurwisyny mieli być wodoodporne – mruknął. Będzie musiał się tym zająć później.

Kompania brnęła przez głębokie po pas bagno przez całe długie mardukańskie popołudnie. Marsz był ciężki – błoto wsysało buty i przywierało do kombinezonów, a niewidoczne korzenie i zatopione gałęzie chwyciły za kostki. Większość marines po kilku upadkach od stóp do głów pokryta była czarnym szlamem.

Jedynym wyjątkiem byli strzelcy, jadący na grzbietach *flar-ta*.

–Popatrz tyko na tego nadętego fiuta – mruknął Poertena, patrząc wilkiem w kierunku księcia, jadącego na pierwszym zwierzęciu.

–Też byś tam siedział – powiedziała Despreaux, przyspieszając, by sprawdzić, jak radzi sobie jej sekcja Bravo – gdybyś, oczywiście, umiał strzelać jak on.

–Pocałujże mię w... – mruknął mechanik. – I patrz, gdzie idziesz, bo cię coś, kurde, zeżre!

* * *

Roger spojrział w prawo i kątem oka zauważył zmarszczką na powierzchni wody, była jednak niewielka i oddalała się od kolumny. Jazda nie różniła się zbyt od normalnej, może tylko była nieco bardziej płynna. *Flar-ta* miażdżyło stopami większość gałęzi i zwalonych drzew, nie zwalniając nawet tempa.

Bagienna roślinność ustępowała rozmiarami dżungli, a większość drzew wydawała się stosunkowo młoda. Cord wspominał, że za czasów jego ojca okolicę pokrywały pola uprawne, co mogło wyjaśniać wiek roślin. To z kolei, pomyślał książę, mogło wyjaśniać ich rozmiary.

Obejrzał się, by popatrzeć na brnących przez bagno marines, i poklepał po łbie Pieszczurę. Biedni dranie cali pokryci byli gęstym, czarnym błotem; tak wykończonych Roger ich jeszcze nie widział. Konieczność trzymania karabinów w górze i przedzierania się przez bagno dawała im się we znaki. Najgorzej mieli grenadierzy – na głowach i barkach nieśli skrzynki i pasy z amunicją, a w wyciągniętych rękach ciężkie granatniki. Wszystko to razem sprawiło, że książę, siedzący na grzbiecie Patricii, poczuł się podle.

Jedynym pocieszeniem był dla niego fakt, że na coś się przydaje. Kolumna przyciągała stada drapieżników, a karabiny marines, nawet po przełączeniu na cięższą amunicję przeciwpancerną o wolframowym rdzeniu, nie były przeciw nim tak skuteczne jak jedenastomilimetrowy sztucer księcia. Cięższe pociski i o mniejszej prędkości wylotowej przebijały bez trudu powierzchnię wody, podczas gdy śrut często się od niej odbijał.

Książę jednak nie cieszył się z tego, zwłaszcza że zapadała noc.

* * *

Pahner usłyszał wołanie poganiaczy i ruszył do przodu, walcząc z opornym błotem. Kiedy do nich dobrnął, D'Len Pah spojrział na niego z grzbietu wolno idącego reptiloida i machnął swoim kijem do poganiania *flar-ta* w stronę zachodzącego

słońca.

–Niedługo będziemy musieli dać odpocząć zwierzętom – powiedział. – A po ciemku będzie nam bardzo trudno się poruszać.

Pahner zdał sobie z tego sprawę godzinę wcześniej. W zasięgu wzroku nie było widać kresu bagna ani nawet wystających z niego wysepek stałego lądu. Nawet gdyby takie były, musiały być przez coś zamieszkałe.

–Zgoda – powiedział. – Gdzieś się będziemy musieli zatrzymać.

–I rozładować zwierzęta – dodał poganiacz. – *Flar-ta* mogą spać na stojąco, ale musimy je rozładować. Inaczej jutro będą do niczego.

Pahner rozejrzył się i z rezygnacją pokiwał głową. Dookoła rozciągał się taki sam krajobraz jak przez ostatnie kilka godzin, mogli więc równie dobrze nocować w tym miejscu.

–W porządku, zatrzymujemy się. Idę kazać je rozładować.

* * *

–Nie możemy po prostu wrzucić wszystkiego w bajoro – powiedział Roger.

Miało to zabrzmieć jak spostrzeżenie, ale zabrzmiało jakby księżę protestował.

–Wiem o tym, Wasza Wysokość – przyznał ostrożnie Pahner.

Kiedy Księżę już zaczynał zachowywać się jak należy, musiał powiedzieć niewłaściwą rzecz w niewłaściwym czasie.

–Nie wrzucimy niczego w bajoro.

–Idziemy w pion? – spytał porucznik Gulyas.

Był o kilka miesięcy starszy stażem od Jasco, dlatego po śmierci Sawato został oficerem operacyjnym, a dowodzenie nad swoim plutonem przekazał starszemu plutonowemu Hazheirowi. Hazheir, jego najstarszy podoficer, nie miał z tym problemów – drugi pluton poniósł spore straty podczas zasadzki i poprzednich wypadków, i został zredukowany do połowy stanu osobowego.

–Tak – odparł Pahner, patrząc w górę.

Okoliczne drzewa nie były olbrzymami takimi jak te, w cieniu których podróżowali przez ostatnie kilka tygodni. Były niższe i przypominały duże cyprysy z rozłożystymi gałęziami i sterczącymi z korzeni lianopodobnymi odrostami.

–Zacznijcie rozwieszać temblaki. Najpierw pancerze, po jednym, potem reszta sprzętu, w pakunkach.

Kompania posiadała dużo lin do wspinaczki. Według producenta, każda była w stanie utrzymać ciężar osiemdziesięcotonowego czołgu, ale czterdziestometrowy zwój niesiony przez każdego dowódcę sekcji ważył mniej niż kilogram. Wystarczyło ich, by zawiesić cały sprzęt na drzewach.

–A co z ludźmi? – spytał Roger. – Gdzie będą spać?

–Tu zaczynają się schody, Wasza Wysokość – powiedziała z uśmiechem Kosutic. – Tak właśnie oddziela się marines od kóz.

–Chyba, że tradycyjną metodą – łomem – dodał Gulyas, puentując dowcip tak stary jak wszystkie armie.

*** * ***

–Jest do dupy. – Poertena nawet nie próbował się wygodnie ułożyć.

–Och, nie jest tak źle – powiedział Julian, poprawiając pasek na piersi.

Plutonowy, od stóp do głów pokryty czarnym, śmierdzącym szlamem, był wykończony po całodziennej przeprawie przez bagna, więc jego uśmiech musiał być wymuszony.

–Mogło być gorzej.

–Jak? – spytał Poertena, poprawiając własną linę.

Obaj marines, tak jak reszta kompanii, przywiązani byli plecami do drzewa. Ponieważ nie mieli innego wyboru jak tylko spać na stojąco, lina miała powstrzymać ich od osunięcia się w sięgający do piersi szlam. Przy takim zmęczeniu była spora szansa, że wpadając w bagno nawet by się nie obudzili.

–No... – zamyślił się Julian. Z nieba lunęły strugi typowego mardukańskiego oberwania chmury. – Coś mogłoby próbować nas zeżreć.

Pahner zorganizował patrole, chodzące wokół pseudoobozu i świecące czerwonymi latarkami na każdego śpiącego. Miał nadzieję, że ruch i światło odstraszą ćmy-wampiry. Oczywiście należało się również martwić o inne bagienne drapieżniki, które światło i ruch mogły przyciągać, ale w tej sprawie niewiele można było zrobić.

Wszystko razem zapowiadało, że dla marines będzie to ciężka noc.

*** * ***

–Nie, Kostas – powiedział Roger, potrząsając głową. – Ty to weź.

–Nic mi nie będzie, Wasza Wysokość – zapewnił go Matsugae ze zmęczonym uśmiechem. Wymuskany zazwyczaj służący pokryty był cały czarnym błotem. – Naprawdę. Nie powinien pan spać w tym błocie, sir. Tak nie można.

–Kostas. – Roger poprawił linę na piersi tak, by karabin nie wpadł mu do wody, a jednocześnie był w zasięgu ręki. – To rozkaz. Weźmiesz ten hamak, rozepniesz go gdzieś i wleziesz do środka. Prześpisz w nim całą noc. I, cholera jasna, odpoczniesz. Ja rano znów wsiądę na tego cholernego zwierzaka, a ty nie, więc mogę się nie kłaść. Wiesz, ile nocy spędziłem na zabawie? Od jednej więcej nic mi się nie stanie.

Matsugae dotknął ramienia księcia i odwrócił się, by ukryć łzy. Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, Roger zaczął dorastać.

Nareszcie.

*** * ***

–No, tego się nie spodziewałam – powiedziała cicho Kosutic. Sierżant zaplotła linę tak, że zwisała nad powierzchnią wody, zaczepiona za uprząż. Nie wiedziała, jak długo wytrzyma w tej pozycji, jakiś czas przynajmniej jej nogi mogły odpocząć. Gdyby zasnęła, wyglądałaby jak scena z marnego horroru – zwłoki wiszące na haku do mięsa.

–Tak – przyznał równie cicho Pahner.

Przywiązał się do pnia, tak jak reszta kompanii. Też miał hamak, ale oddał go O’Casey. Nie miał zamiaru z niego korzystać, jeśli reszta żołnierzy nie miała takiej możliwości. A Roger, najwyraźniej bez niczyich sugestii, doszedł do takiego samego wniosku.

Niesamowite.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

–Pobudka.

Julian potrząsnął szeregowego za ramię. Marine zwisała bezwładnie z drzewa i w bladym świetle poranka jej twarzy wydawała się zupełnie szara. Otworzyła z trudem jedno oko. Rozejrzała się po mokrej, nieopisanie błotnistej okolicy, i jęknęła.

–P... proszę. Zabij mnie – zaskrzeczała.

Julian potrząsnął ze śmiechem głową i ruszył dalej. Kilka chwil później znalazł starszą sierżant obracającą się powoli na linie i chrapiącą. Znów potrząsnął głową, rozmyślając nad kilkoma zabawnymi możliwościami, doszedł jednak do wniosku, że żadna z nich nie wyszłaby mu na zdrowie.

–Pobudka, pani sierżant – powiedział, szturchając ją w but.

Kosutic, nie obudzwszy się jeszcze na dobre, wyszarpnęła z kabury pistolet i wycelowała w jego głowę.

–Julian? – zachrypiała, po czym odchrząknęła.

–Dzień dobry! – zachichotał plutonowy. – Wstajemy, wstajemy.

–Następny wspaniały dzień w Korpusie – odparła Kosutic i pociągnęła za jeden koniec liny, rozluźniając węzeł. Z pluskiem wpadła do wody, nie mocząc przy tym jednak pistoletu, po czym wynurzyła się, pokryta świeżą warstwą błota. – Poranne ablucje zakończone. Rozkręcamy imprezę.

–Pani sierżant, jest pani niemożliwa – zaśmiał się Julian.

–Trzymaj się mnie, chłopcze – poradziła mu Kosutic. – Razem zwiedzimy galaktykę.

–Poznamy egzotycznych ludzi – powiedział Pahner, odwiązując się od drzewa i przeciągając.

–A potem ich zabijemy – dokończył Julian.

* * *

Po zmianie skarpet kompania ruszyła w drogę, czerpiąc siły z zimnych racji polowych i marzeń o suchym lądzie. Pahner, zdając sobie sprawą z niebezpieczeństwa, na które narażone były stopy marines, zaczął wysyłać ich po dwie osoby na grzbiety *flar-ta*. Nawet jednak przy zmniejszonym stanie osobowym rotacja całej kompanii miała zająć prawie cały dzień, a odpoczynek był symboliczny.

Świt przeszedł w przedpołudnie, a w zasięgu wzroku nie było widać kresu mokradel. Nie zmieniała się też głębokość bagna, co wskazywałoby na bliskość rzeki. Okolica była wciąż taka sama, ale zwierzęta coraz bardziej niechętnie szły do przodu.

W końcu jedno z nich zatrzymało się na dobre. Pahner przesunął się do przodu.

–Co się dzieje ze zwierzętami? – spytał D'Len Paha.

–Chyba weszliśmy na terytorium *atul grack* – odparł nerwowo poganiacz. – Bardzo się boją.

–*Atul grack*? – powtórzył kapitan. Tratan, bratanek Corda, który właśnie do nich podszedł, zamachał w podnieceniu wszystkimi czterema rękami. – Musimy zawracać!

–Co? – zdziwił się Pahner. – Dlaczego?

–Tak – zgodził się poganiacz. – Powinniśmy zawrócić. Jeśli w okolicy są *atul grack*, jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

–A są?

–Nie wiem – przyznał Pah. – Ale zwierzęta zachowują się, jakby były przestraszone, a jedyną rzeczą, jakiej boi się *flar-ta*, jest *atul grack*.

–Czy ktoś może mi powiedzieć, co to jest ten *atul grack*? – zdenerwował się Pahner.

Odpowiedzią był ogłuszający ryk.

Bestia, która wystrzeliła z błota, była prawdziwym koszmarem. Krępa i płaska, jak chrystebestia, była od niej co najmniej pięć razy większa – dorównywała rozmiarami *flar-ta*. Pysk, dość wielki, by połknąć całego człowieka, wypełniony miała rekinimi kłami. Pędziła przez bagno jak torpeda – jej sześć łap młóciło wodę, wyrzucając w górą potężne strugi szlamu. Marines zaczęli gorączkowo strzelać, a juczne zwierzęta oszalały z przerażenia.

Roger sturlał się z grzbietu Patty, która galopem rzuciła się do ucieczki. Runął do wody, wyskoczył na powierzchnię, plując i parszając, pokryty błotem, ale udało mu się nie zamoczyć karabinu.

Pieszczura skoczyła za nim. Obróciła się w powietrzu i z pluskiem wpadła w bagno. Oparła tylne łapy na dnie i wystawiła łeb nad wodę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Ułamek sekundy później zanurkowała i odpłynęła najszybciej jak mogła – nie miała co się mierzyć z *atul grack*.

Drapieżnik zamierzał powalić jedno z *flar-ta*. Wokół niego rozrywały się granaty, oba

boki siekał śrut, bestia ignorowała jednak ukłucia, a Roger zdał sobie sprawę, że *atul* szarżuje wprost na kapitana Pahnera, który gorączkowo próbuje zejść mu z drogi, strzelając jednocześnie z pistoletu.

Książę umiejscowił kropkę holocelownika na skroni potwora, poprowadził go chwilę i wypalił.

* * *

Kosutic zerwała się, kaszłąc i parszając. Jedno z jucznych zwierząt trafiło ją ogonem tak mocno, że kombinezon sierżant stwardniał, a ona sama przeleciała w powietrzu dziesięć metrów i rąbnęła w pień drzewa. Obróciła się i natychmiast dostrzegła ryczącego drapieżnika. Pasek jej karabinu nie pękł, podniosła więc broń do ramienia i zamarła. Patyczek, który wetknęła w lufę, był na szczęście suchy, przestawiła więc magazynek na amunicję przeciwpancerną i dokładnie wycelowała w głowę bestii.

* * *

Dwa wystrzały zlały się w jedno, rozbrzmiewając w chwili, kiedy reszta marines przeładowywała broń. Armand Pahner rzucił się szczupakiem w bok. Sunący szybko potwór zatrzymał się w miejscu, gdzie przed chwilą był kapitan, a dookoła rozeszła się fala wody, błota i połamanych roślin.

Pahner wynurzył się natychmiast, ściskając pistolet w obu rękach, ale było już po wszystkim. *Atul* leżał powalony, w pośmiertnych drgawkach, bijąc jeszcze słabo ogonem. Grzbiet prążkowanej bestii sięgał pół metra nad głowę wysokiemu marine. Kapitan spojrział na Rogera, który trzęsącymi się dłońmi przeładowywał broń.

–Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedział, chowając spokojnie pistolet do kabury.

–*De nada* – odparł Roger. – Spierdalajmy już z tego bagna.

–Pana, czy mój? – spytała Kosutic.

Podeszła do bestii i opróżniła pół magazynka w jej opancerzony łeb.

–Hmm. – Roger obejrzał to, co z niego zostało. Wyglądało na to, że najwięcej spustoszeń dokonał jedenastomilimetrowy pocisk. – Chyba mój.

–W takim razie – powiedziała sierżant, wkładając do karabinu następny magazynek – pan go zabił, pan zdejmuję jego skórę.

* * *

Dobłą stroną sytuacji było to, że stwór, którego Mardukanie nazywali *atul grack*, a ludzie po prostu gigabestią, był polującym samotnie terytorialnym drapieżnikiem, który potrzebował wysoko położonego, suchego kawałka lądu. Jakiś czas to trwało, ale w końcu pobratymcy Corda znaleźli suchy ląd.

Rzekę również.

Ogromny kopiec, wyraźnie sztucznie stworzony, był niegdyś częścią systemu wałów, utrzymujących rzekę Hurtan w jej korycie. Na środku wyspy stały resztki ambony obserwacyjnej – kilka zwęglonych badyli, ledwie widocznych spod gęstwy mardukańskich saprofitów – a obok widać było niewyraźne zarysy drogi, biegnącej niegdyś równolegle do rzeki.

Hurtan nie była wielka, ale wystarczająco duża, by sprawiać problemy. Prąd wody był wyraźnie widoczny, co na takich bagnach było niezwykle.

–Nic z tego – powiedział D’len Pah. – *Flar-ta* pływają, ale nie aż tak dobrze.

Ze wzniesienia widać było również niewysokie góry, a może wzgórza, pośród których leżał następny cel ich wędrówki. Wydawał się być w zasięgu ręki, oddalony zaledwie o dzień marszu.

Jeśli tylko uda im się przejść przez rzekę.

–Moglibyśmy pójść w górę rzeki – zaproponował Roger – poszukać brodu. Był tu jakiś? – spytał Corda, który potrząsnął głową.

–Prom.

–Moglibyśmy zbudować tratwę... – zaczął Pah.

–A-a – pokręcił głową Pahner. Wszyscy umilkli. Kapitan zamyślonym wzrokiem patrzył na rzekę.

–Most? – spytała Kosutic.

–Tak – odparł dowódca kompanii. – A zwierzęta przeciągniemy. Pah – zwrócił się do poganiacza – *flar-ta* mogą przepłynąć same?

–Tak. Dobrze pływają, ale nie możemy przepływać się na ich grzbiecie, bo jeśli spadniemy, potopimy się. Bez nas zwierzęta spanikują i też potoną. – Klasnął w ręce, zaniepokojony. – Nie chcesz chyba żadnych stracić, prawda?

–Nie, nie, nie – uspokoił go Pahner. – Ale przejdziemy przez rzekę. W tym miejscu.

–Dlaczego, kurde, ja to musze robić? – spytał z wyrzutem Poertena, ściągając buty.

–Bo jesteś z Pinopy – powiedziała mu Kosutic. – A wszyscy wiedzą, że Pinopańczycy pływają jak ryby.

–To stereotyp i tyle – warknął mechanik. Wyplątał się z upapranego kombinezonu i stanął na brzegu w samych majtkach. Elastyczny syntetyk idealnie nadawał się na kąpielówki. – To, że jestem z Pinopy, nie znaczy, że umiem pływać!

–A nie umiesz? – zapytał z zaciekawieniem Julian. – Bo jak nie umiesz, to będziemy mieli ubaw po pachy, jak cię wepchniemy do wody.

Pieszczura obwąchała ich obu, zeszła na brzeg, poniuchwała chwilę i syknęła. Niech rzekę przepływa ktoś inny.

–No, umiem – przyznał Poertena.

–Całkiem nieźle, prawda? – spytała Kosutic.

Musiała się zgodzić, że to stereotyp. Mógł istnieć Pinopańczyk nie umiejący pływać. Tak samo, jak mógł istnieć ktoś z planety Sherpa, będącej właściwie jednym wielkim łańcuchem górskim, kto miałby lęk wysokości. Było to możliwe, ale przypominałoby banie się tlenu.

–No, tak – przyznał kwaśno mechanik. – Byłem w drużynie pływackiej w liceum, a mówię wam, konkurencja była, kurde, niezła. Ale nie o to chodzi!

–Jasne. Oczywiście. Święta racja – zgodził się z nim Julian, obwiązując go w pasie liną. – Jedna ofiara dla bóstw rzeki, chlup!

*** * ***

Roger potrząsnął głową słysząc to przekomarzanie i odbezpieczył karabin. Rzeka wyglądała spokojnie, ale nikt nie miał zamiaru dać się zwieść pozorom...

Sztucer wyposażony był w standardowy magazynek, mieszczący trzy naboje, by oszczędzić na wadze – wielkie pociski magnum sporo ważyły – producent jednak oferował również dziesięcionabojowe magazynki wymienne. Roger nie potrafił pojąć, po co komuś, kto był w stanie trafić w to, co celował, dziesięć naboji – chyba że, oczywiście, ten ktoś polował na ciężkie czołgi – karabin jednak fabrycznie wyposażony był w dwa takie magazynki, a książę zabrał je ze sobą, nawet się nad tym nie zastanawiając.

Na Marduku jego pogardliwa opinia o zapasowych magazynkach przeszła radykalną zmianę. Wcisnął na miejsce pierwszy, załadowany do pełna, uzupełnił jedenastym

pociskiem w komorze i zatrzasnął rygiel. Naszerokiej gałęzi przed sobą poukładał standardowe trzynabojowe magazynki, przy pasie zawiesił otwartą ładownicę, a stojący obok Matsugae miał na bieżąco uzupełniać to, co książę wystrzelał. Roger obawiał się, że nim skończy się dzień, zabraknie mu amunicji.

Na pozostałych drzewach wzdłuż brzegu siedzieli strzelcy wyborowi kompanii, marines jednak coraz bardziej polegali na Rogerze, kiedy potrzebna była celność strzału. Czas, który książę spędził na polowaniach, zaczynał procentować – wystrzeliwane przez niego pociski nieodmiennie trafiały w cel.

Julian wspiął się na drzewo obok i ściągnął z pleców swój karabin śrutowy.

–Naprawdę powinien pan sobie sprawić jeden taki – powiedział, ruchem głowy wskazując rozłożoną przed księciem amunicję. – Pięćdziesiąt sztuk w magazynku bije trzy – czy nawet dziesięć – na głowę. – Plutonowy wyjął z karabinu jeden z podwójnych magazynków i zastąpił go pociskami przeciwpancernymi. – A teraz mam sto.

–Wiecie co – zaproponował dobrodusznie Roger, przełączając sztucer w tryb półautomatyczny. – O co się założycie, że ja trafię więcej z tego niż wy?

Julian uważał się za niezłego strzelca, ale wiedział, że niełatwo będzie mu wygrać taki zakład. Książę, przy swoich wszystkich wadach, potrafił się obchodzić ze sztucерem. Cała kompania Widziała dość dowodów na to, ale marine nie potrafił się oprzeć.

–Okay. Pięćdziesiąt kredytek?

–Trzysta pompek – powiedział Roger. – Pięćdziesiąt kredytek tutaj nic nie znaczy, a na Ziemi to dla mnie drobne. Ale trzysta pompek to trzysta pompek.

–Stoi – zgodził się z uśmiechem Julian, patrząc, jak mały Pinopańczyk wchodzi ostrożnie do wody. – Kto będzie sędzią?

* * *

–Sto dwadzieścia sześć... – sapnął Julian. – Sto dwadzieścia siedem...

–Dalej, Julian – powiedziała sierżant Kosutic. – Rozłożył cię na łopatki.

Z oddali wciąż słychać było trąbienie *flar-ta* i okazjonalne wystrzały. Skomplikowaną konstrukcję mostu rozmontowywano.

Kiedy Poertena przeprowił się na drugi brzeg z pierwszą liną, marines rzucili się do pracy. Dwadzieścia minut później przez pierwszy most przeprowiła się sekcja

ubezpieczająca. Po upływie kolejnej pół godziny brzegi rzeki łączyły jeszcze dwa mosty z liny, a pod nimi przeprawiano *flar-ta*.

Pierwszy most był prostej konstrukcji – składał się z dwóch naprężonych lin, jednej nad drugą, rozciągniętych między drzewami. Liny naciągnięto przez zamocowany na przeciwnym brzegu metalowy pierścień – przewleczono przez niego koniec sznura, za który ciągnęła cała sekcja ogniowa, a kiedy już się naprężył, unieruchomiono go samorozwiązywalnym węzłem. Nad pierwszą liną naciągnięto drugą, po czym obie związane razem. Przez powstały w ten sposób most przechodziło się po dolnej linie, trzymając się jednocześnie górnej.

Przeprowadzenie *flar-ta* było trochę trudniejsze.

Po to właśnie rozpięto dwa pozostałe mosty. W przeciwieństwie do pierwszego, składały się z pojedynczych lin, na które nasunięto metalowe klamry. Każdą klamrę połączono sznurem z popręgiem zwierzęcia, będącego jednocześnie na holu z obu brzegów.

Nawet połączone siły całej kompanii nie wystarczyłyby do przeciągnięcia *flar-ta* na drugą stronę, okazało się jednak, że po zastosowaniu prostej sztuczki radziła sobie z tym pięcioosobowa sekcja ogniowa.

Linę biegnącą na przeciwny brzeg rzeki owinięto dookoła drzewa. Kiedy zwierzę wchodziło do wody, marines wybierali luz, jeśli jednak zwierzę próbowało się cofnąć, napinali sznur. Tarcie liny o chropowatą korę i wytrzymałość grubego pnia drzewa nie pozwalały *flar-ta* zawrócić.

Kiedy zwierzęta znajdowały się już w rzece, zaczynały płynąć. Sznury łączące je z napiętymi mostami sprawiały, że *flar* nie musiały walczyć z prądem, a naprzemienne luzowanie i wybieranie liny przez marines przeciągało je na drugą stronę, czy tego chciały, czy nie.

Tymczasem dookoła zaroilo się od spodziewanych drapieżników. Mardukańskie krokodyły, uradowane pojawieniem się na ich terenie wielkich, tłustych *flar-ta*, postanowiły przyjąć je z otwartymi paszczami. Roger i strzelcy wyborowi marines mieli dla nich jednak niespodziankę.

Ksiązę był zadowolony, że zabrał z *DeGloppera* kilka skrzynek z amunicją. Początkowo uważał, że zabieranie większej ilości naboju niż wystrzelał przez całe życie jest niedorzeczne, jednak razem z wiernym ładowaczem Matsugae zużyli wszystko co mieli na drzewie plus dodatkowe trzysta sztuk, które przyniosła im Despreaux.

Nie wszystkie strzały oczywiście trafiły. Nawet on czasami chybiał, w pewnym momencie jednak na powierzchni wody unosiło się ponad pięćdziesiąt trupów, a

ponad dwie trzecie z nich zginęło od pocisku kaliber jedenaście milimetrów. To był najgorszy moment – zapach krwi ściągnął wtedy szybko pływające bagienne *atul*.

–Sto pięćdziesiąt siedem...

Do dyszącego Juliana podeszli cicho książę i Cord.

–Chyba właśnie tyle, pani sierżant – powiedział Roger.

Oparł karabin o drzewo i usiadł na ziemi.

Drugi brzeg rzeki okazał się wyższy i bardziej suchy, za co kompania była gorąco wdzięczna niebiosom. Marines zabrali się za rozkładanie umocnionego obozu i suszenie mundurów i rzekomo wodoodpornych plecaków.

–Mamy za sobą kilka ciężkich dni – dodał książę. Podniósł karabin i zaczął go rozkładać do czyszczenia, ale nie dał rady. – Boże, ale jestem zmęczony.

–Wyczyszczę go dla pana, sir – zaproponowała kapral Hooker i wyciągnęła rękę po karabin. – Swój już wyczyściłam.

–Dziękuję wam, pani kapral, ale wszyscy jesteśmy zmęczeni – powiedział książę. – Sam to zrobię.

Pieszczura podeszła do niego i obwąchała, upewniając się, że jej panu nic się nie stało, po czym okręciła się i zwinęła w kłębek przy jego boku. Rosła jak na drożdżach. Przez ostatnie dwa tygodnie przybrała na wadze co najmniej piętnaście kilo, a Roger już z trudem utrzymywał jej ciężar.

–Niech jej pan odda karabin, Wasza Wysokość – powiedziała Kosutic. – Pewnie musi się pan rozmówić ze Starym, a ja w tym czasie przypilnuję, żeby ten tu plutonowy nauczył się trzymać głowę na kłódkę.

Roger otworzył usta, by zaprotestować, ale zamknął je i roześmiał się.

–Dobrze, pani sierżant. Mówią „nigdy nie kłóć się z sierżantem”. Zakładam, że w przypadku starszego sierżanta to podwójna prawda. – Oddał karabin Hooker. – Dziękuję, pani kapral.

–Sto siedemdziesiąt osiem... – wydyszał Julian.

–A wam, plutonowy – książę mrugnął do niego okiem – życzę powodzenia.

* * *

–...Można się spodziewać wzmożenia ataków na tym brzegu rzeki – powiedział

porucznik Gulyas.

Naradę urządzono w namiocie dowódcy. Jego ścianki zawinięto do góry, by umożliwić przewiew, ale żołnierze i tak się nie zbliżali do namiotu. Czasami lepiej było dowiedzieć się o czymś oficjalnymi kanałami niż z plotek.

–Zostajemy tu, okopujemy się i pozwalamy im skoncentrować siły? – spytał Roger, pstryknięciem zrzucając z ekranu pada niedużego żuka. – Czy ruszamy dalej, żeby nie dać im czasu się zebrać?

Słońce wciąż stało wysoko, ale docierające na ziemię światło, tłumione przez warstwę chmur i korony drzew, było słabe. Książę zmrużył oczy, wpatrując się w ekran, po czym trochę go rozjaśnił. Lepiej. Nie rewelacyjnie, ale lepiej.

–Prawdopodobnie i tak domyślą się, że zmierzamy do Voitan – powiedział Pahner. – Przyjęcie ich ataku na umocnionych pozycjach to coś, nad czym należy się zastanowić, ale tego miejsca wolałbym nie bronić.

Okolica była płaska i gęsto zalesiona. Leżała nad poziomem bagna, ale wciąż groziło jej zalanie. Ukształtowanie terenu nie pozwalało na wybranie jakiegoś naturalnego punktu obronnego. Kompania mogła ściąć większość mniejszych drzew, by powiększyć otwartą przestrzeń wokół obozu, ale to wyczerpywało możliwości fortyfikacyjne.

–Jeśli dotrzemy do Voitan – powiedział z namysłem Cord – znajdziemy wiele miejsc do obrony. Nie tylko dzięki murom, które powinny wciąż stać. W kamieniołomach za miastem również немало jest miejsc, które można umocnić.

–Co pan o tym sądzi, kapitanie? – spytał Roger, ziewając. Wszyscy byli wyczerpani, on też. Chciał tylko zakończyć dyskusję.

–Myślę, że rano spakujemy się ostrożnie, a potem z największą możliwą prędkością ruszymy do Voitan. Załadujemy sprzęt na zwierzęta i pogonimy je szybciej. Wątpię, żeby się spodziewali, że przejdziemy tędy przez bagno. Prawdopodobnie znają jakieś przejście i jeśli zbierają się, żeby na nas uderzyć, to zbierają się właśnie tam. Nieszczęśliwie dla nich byliśmy za głupi, żeby skorzystać z „dobrego” szlaku.

–A więc przedzieramy się do Voitan – powiedziała Kosutic.

–Tak jest. – Pahner zamyślił się na chwilę. – Jeśli jest tak blisko, jak mówi Cord, powinniśmy tam dotrzeć przed wieczorem.

Przynajmniej raz długość mardukańskiego dnia działała na ich korzyść.

–A jeśli nie jest? – spytała Kosutic.

–Wtedy zmęczymy się na darmo – odparł ponuro kapitan.

*** * ***

Matsugae spróbował gulaszu i pokazał mieszającym go poganiaczom uniesiony w górę kciuk. Podszedł do mardukańskiej kobiety, która przewracała paski mięsa obtoczonego w jęczmyżu na ustawionej nad ogniem blasze. Wziął jeden z nich, podmuchał, by nie poparzyć sobie ust, spróbował i znów pokazał, że wszystko jest w porządku.

Kapitan kazał rozbić obóz nad rzeką. Kompania resztę dnia spędziła na okopywaniu się i czyszczeniu, Matsugae zaś w tym czasie równie ciężko starał się przygotować pierwszy od trzech dni porządny posiłek. Wiele zabitych *atul* przyholowano lub przyciągnięto hakami do brzegu. Chociaż na wszystkich było mnóstwo dobrego mięsa, trzy albo cztery wyglądały szczególnie dobrze, ostatecznie więc poganiacze zabrali tylko skóry i najlepsze kawały mięsa.

Większość z nich zajęła się przygotowaniem skór. *Atul* były dość rzadkie, a ich skóry osiągały wysokie ceny. Kompania, a możliwe, że sam Roger, w jedno popołudnie ustrzeliła równowartość dwóch lub trzech jucznych *flar-ta*.

Matsugae uśmiechnął się. Poganiacze zbierali skóry wszystkich upolowanych po drodze zwierząt. Kapitan chciał im je dać jako premię, ale Kostas mu to wyperswadował. Mardukanie dostawali uczciwą, stałą zapłatę, jak za normalną karawanę. Skóry, nawet po wyprawieniu, były własnością tego, kto upolował zwierzę, z którego pochodziły. Poganiacze powinni dostać coś ekstra za swoją ciężką pracę, ale skóry drapieźników były sporo warte. Bestie, które utrudniały im podróż, teraz miały ją ułatwić, a to napawało służącego czystym zadowoleniem.

Pieszczura przyszła do ogniska i powąchała pieczone mięso. Mardukańska kucharka odgoniła ją, więc jaszczurka podeszła do Matsugae, patrząc na niego żałościwie. Od momentu, kiedy zaczęła chodzić za Rogerem, stale rosła. W tej chwili była już wielkości dalmatyńczyka, a tempo jej wzrostu nie zwalniało. W dodatku miała coraz grubszy ogon. *Flar-ta*, podobne do niej pod wieloma względami, gromadziły w ogonach zapasy tłuszczu, tak przynajmniej twierdzili poganiacze. Z całą pewnością ich ogony były chudsze niż w chwili wyruszenia z Q’Nkok. Najwyraźniej, w przeciwieństwie do jucznych zwierząt, Pieszczurze podróż wychodziła na zdrowie. Matsugae sprawdził w tootsie godzinę, uśmiechnął się i rzucił jaszczurce kawałek pieczonego mięsa. Już prawie pora na kolację.

*** * ***

–Kostas, to było, jak zwykle, doskonale. – Ziewnięcie zepsuło księciu komplement. – Przepraszam.

–Niech się pan o to nie martwi, Wasza Wysokość – powiedział Pahner. – Wszyscy padamy z nóg. Mam cholerną nadzieję, że nie uderzą na nas dzisiaj w nocy. Kompania Bravo nie odparłaby dzisiaj garstki Kosmicznego Zwiadu.

–Chyba ich pan nie docenia, kapitanie – powiedziała O’Casey. Naczelniczka świty zaczynała dostosowywać się do brutalnych wymagań podróży, tracąc tłuszcz i nabierając mięśni. Po powrocie do Imperial City zamierzała polecieć rozbić się na wrogiej planecie, pełnej mięsożernych potworów i krwiożerczych barbarzyńców, jako najlepszy sposób na nabranie kondycji. Uśmiechnęła się ciepło. – Pana żołnierze są niesamowici. Jej Wysokość będzie z nich niesłychanie dumna, kiedy wrócimy.

–Zanim się o tym przekonamy, czeka nas długa droga – powiedział Pahner. – Ale dziękuję pani, Doradco. To dla mnie wiele znaczy, będzie też znaczyło wiele dla ludzi. Nie walczymy tylko dla pieniędzy.

Roger potrząsnął sennie głową.

–Nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad tymi wszystkimi historiami wokół mnie. Wiecie, jak ma na imię kapral Hooker? – spytał, karmiąc Pieszczurę kawałkiem mięsa z kolacji.

–Oczywiście, Wasza Wysokość. Ima.

–Powiedziała, że jej tata miał chore poczucie humoru[2] – [powiedział księżę oburzonym tonem. – Zaproponowałem, że wyrzucę go przez służbę powietrzną.](#)

–Dawno już nie żyje. – Kosutic wzięła następny kawałek mięsa. – Zachrapał się na śmierć w dreamwracku.

–Ach – Roger kiwnął głową. – A Poertena chciał iść do college’u zostać pływakiem...

–...ale odpadł w finale – skończył Pahner. – Dowodzenie to coś więcej, niż paski na kołnierzu, Wasza Wysokość. Ważne jest, by wiedzieć szczegóły o swoich żołnierzach, a od najbardziej prywatnych spraw...

–...są starsi sierżanci i sierżanci. – Kosutic zmarszczyła czoło. – Żona Andrasa spodziewała się dziecka, kiedy wylatywaliśmy, a wątpię, żebyśmy wrócili przed rozwiązaniem. Zresztą to chyba i tak nieważne, bo bez wątplenia spisano nas na straty.

–To... do dupy – powiedziała O’Casey.

–Bycie marine jest do dupy – uśmiechnął się Pahner. Uczona rzadko przeklinała.

–W takim razie po co pan to robi? – spytała.

–Bo to coś, w czym jestem dobry. Ktoś musi się tym zajmować, więc lepiej, żeby to był ktoś, kto jest w tym dobry. Nie każdy jest. – Kapitan zamyślił się na moment. – Czasami jest... trudno, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że to, w czym jest naprawdę dobry, to zabijanie innych istot myślących osobiście albo wysyłanie do tego innych. Ale każdy człowiek w Pułku jest doskonałym marine. Każdy w miarę dobrze wygląda. Każdy jest stuprocentowo lojalny...

–Ale to nie wszystko – uśmiechnęła się Kosutic. – Taki opis pasuje do zaskakująco wielu marines. Zaskakująco wielu takich, którzy przeszliby przez PE. Korpus jest w sumie wielki.

–Tak – przytaknął Pahner i napił się wody. – To nie wszystko. Każdy członek Osobistego Cesarzowej posiada jakąś umiejętność, którą komisja rekrutacyjna uznała za przydatną. Nie można dostać się do Pułku, jeśli umie się tylko to, co się wyniosło ze szkolenia zasadniczego.

–Wiedziałaś, że Poertena przepłynie tę rzekę – powiedziała księżciu Kosutic. – Ale nie miałam zamiaru mówić mu, że wiem, że był pływakiem klasy olimpijskiej – dodała ze śmiechem.

–Wspomniał pan o kapral Hooker – zauważył Pahner. – Ima Hooker była złodziejem samochodów zanim sędzia dał jej wybór między wstąpieniem do marines a długim więzieniem.

–To co ona, do cholery, robi w Osobistym Cesarzowej? – O’Casey zakrztusiła się winem.

–Potrafi otworzyć i odpalić samochód, który widzi pierwszy raz na oczy, tak samo szybko jak pani swój kluczykami – powiedziała poważnie Kosutic. – Jeśli uważa pani, że to umiejętność, którą nie można przysłużyć się Cesarzowej, to grubo się pani myli.

–Poza tym jest całkowicie lojalna – dodał Pahner. – Ma jeden z najwyższych wskaźników lojalności, jaki widziałem. Mogę powiedzieć, że wyższy niż pani, panno O’Casey. Marines wyrwali ją z piekła ulicy i oddali jej honor i cel. W jakiś sposób przeniosła swoją wdzięczność na osobę Cesarzowej. Na pewno skończy w batalionie Złoto.

–Dziwne – wymamrotała uczona. Poczula się, jakby przeszła na drugą stronę lustra.

–A co pan potrafi, kapitanie? – spytał Roger.

Oficer uśmiechnął się i rozparł wygodnie w polowym krześle.

–Dla kapitanów robią wyjątek.

–Kapitan wyuczył się na mechanika, potrafi zbudować powietrzny samochód od zera – wyszczerzyła się w uśmiechu Kosutic. – Tylko się panu zdawało, że zrobili dla pana wyjątek. W miarę nieźle wykańcza też tapicerkę.

–Hmph! Lepiej niż pani.

–A pani, pani sierżant? – zapytała O’Casey, odczekawszy chwilę i zrozumiawszy, że Kosutic nie ma zamiaru sama powiedzieć o sobie.

–No, przede wszystkim... – sierżant przerwała i spojrzała złowrogo na Pahnera. – Robienie na drutach.

–Na drutach? – Roger spojrzał na ponurą wojowniczkę i nie udało mu się opanować wesołości. – Robienie na drutach? Naprawdę?

–Tak. Lubię to.

–To takie...

–Kobiece? – odpowiedziała O’Casey.

–Tak – przyznał księżę.

–Dobrze już, dobrze – uśmiechnął się Pahner. – To nie takie zwykłe robienie na drutach. Pani sierżant pochodzi z Armagh. Może wziąć kłębek wełny albo czegoś podobnego i zrobić z niej kompletne ubranie, jeśli da się jej dość czasu.

–Aha – powiedział Roger.

Planeta Armagh była światem zasiedlonym przez kolonistów – głównie irlandzkiego pochodzenia – z pierwszych statków o napędzie konwencjonalnym. Jak wiele podobnych kolonii, obsunęła się nieco cywilizacyjnie i zatrzymała na poziomie preindustrialnym do momentu przybycia statków z napędem tunelowym. Niestety, jej mieszkańcy rozpętali serię wojen domowych. Włączenie planety do Imperium Człowieka ograniczyło rozmiary waśni i sporów, ale ich nie wyeliminowało. Mówiło się, że aby powstrzymać mieszkańców Armagh od walk między sobą, trzeba by zbombardować jej powierzchnię bombami atomowymi i zasypać solą. Wzajemna nienawiść stała się niemal genetycznym imperatywem.

–Nie jest aż tak źle – zaprotestowała Kosutic. – W centrum New Belfast jest bezpieczniej niż w Imperial City. Trzeba tylko unikać niektórych pubów.

–Innym razem zapytam panią, jak to było być kapłanką Upadłego na Armagh. Gdzie się nie spojrzę, czekają na mnie takie fascynujące historie – powiedział Roger. – To jak zdjęcie kłapek z oczu.

Ziewnął i poklepał po łbie Pieszczurę.

–Wstawaj, paskudo.

Sauroid podniósł prążkowaną czerwono-czarną głowę z jego kolan, zasyczał niespokojnie i ruszył w stronę wyjścia.

–Kochani, padam na twarz. Idę spać.

–Tak – powiedział Pahner wstając. – Jutro czeka nas długi dzień. Wszyscy musimy odpocząć.

–Do jutra – pożegnał się Roger, wychodząc za Pieszczurą.

–Do jutra – powiedziała O’Casey.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

–Znaleźliśmy gniazdo obcych *basik!* – krzyknął Danal Far. – Jutro spadniemy na nich i pozbędziemy się na zawsze! Ta ziemia należy do nas!

Wódz-szaman klanu Kranolta triumfalnym gestem podniósł włócznię, a rogi pokonanych wrogów zaklekotały o stalowe drzewce. Minęło wiele lat, odkąd Kranolta zebrali się w takiej liczbie. Zmiażdżenie inwazji ludzi będzie kulminacją jego rządów jako wodza klanu.

–Ta ziemia jest nasza! – powtórzyli chórem zebrani wojownicy przy wtórze wycia rogów. Wiele z nich pochodziło z czasów Voitan, kiedy było o nie łatwo.

–Chcę przemówić!

Oświadczenie nikogo nie zaskoczyło, a Danal Far zaśmiał się cicho, kiedy kulejący wojownik wystąpił z tłumu. Niech młody głupiec powie, co ma do powiedzenia.

Puvin Eske był „wodziem” Vum Dee, jednego z plemion Kranolta. Jako taki reprezentował plemię, które dostarczyło najwięcej najemników domowi N’Jaa z Q’Nkok. Teraz jednak został przywódcą głodnych kobiet i garstki wojowników, ocalałych z zasadzki na karawanę. Przed następną pełnią księżyca plemię miało przestać istnieć – dżungla i jego konkurenci już tego dopilnują.

Puvin Eske był o połowę młodszy od większości zebranych na naradzie wodzów. Wielu z nich brało udział w bitwach o Voitan dawno, dawno temu, i pamiętało dokładnie tamte dni chwały. Mało który jednak zdawał sobie sprawę z obecnej sytuacji klanu, chociaż wszyscy narzekali na upadek ducha wśród młodszych wojowników.

–Przed nami ważna decyzja – powiedział młody wódz.

Jeszcze kilka dni wcześniej wahałby się, niepewny swojej pozycji, sprzeciwić głosowi starszych klanu. Teraz wiedział, jak wygląda piekło. Po starciu z Imperialnymi marines krąg starych, słabych mężów nie robił na nim żadnego wrażenia.

–Nasz klan, mimo swojego znaczenia, za moich czasów podupadł. Z każdym mijającym rokiem jest nas coraz mniej, mimo wszystkich żyznych ziem, które zabraliśmy Voitan...

–Co to znaczy „my”, dzieciaku? – przerwał z pogardą jeden ze starszych. – Kiedy padało Voitan, nawet myśl o tobie nie powstała jeszcze w głowie twojego słabeusza ojca!

Kilku wodzów zaśmiało się, ale Danal Far podniósł Włócznię Honoru, przywołując ich do porządku.

–Pozwólmymy „wodzowi” mówić – powiedział stary szaman. – Niech słowa padną publicznie, a nie w ciemności chat.

–Spytałem – podjął poparzony i pokryty bliznami wódz – czy nie jest nas mniej? I odpowiedź brzmi „tak, jest”. I powiadam wam: powód, dla którego jest nas mniej, to upadek Voitan. Straciliśmy wielu wojowników w bitwie przeciwko Voitan. Teraz odzyskujemy siły bardzo powoli, a właściwie nawet jeszcze bardziej z nich opadamy. Kiedy byłem mały, miałem wielu kolegów do zabawy, ale mój syn bawi się sam.

–Vum Dee i Cus Mem są już wspomnieniem. Przynieśliśmy chwałę plemieniu, stając przeciwko ludziom, a wojownicy z Cus Mem nas wsparli. Zaatakowaliśmy ludzi bez ostrzeżenia, nieprzygotowanych.

Puvin Eske pokłócił się o to z własnym ojcem. Biegacze, którzy przynieśli wieści o upadku Domu N’Jaa, opowiadali też o budzącej grozę ludzkiej broni. Słyszając to i bojąc się o plemię, i tak już osłabione, młody wojownik protestował przeciwko narażaniu na straty najlepszych mężów, ale jego argumenty zostały odrzucone.

–Tak, zaskoczyliśmy ich – podjął. – Ale i tak straciliśmy tylu wojowników, ile palców u wszystkich rąk razy palców u wszystkich rąk, podczas gdy ludzie stracili może tylu, ile palców jest u jednej pary.

Głównymi problemami Kranolta, chociaż Puvin Eske o tym nie wiedział, było rozproszenie i wysoka śmiertelność. Mardukanie mieli tylko dwa okresy reprodukcyjne w ciągu roku. Przy takim rozproszeniu, koniecznym przy utrzymywaniu się z łowiectwa, mężczyźni plemienia często wyruszali na dalekie myśliwskie wyprawy, co jednocześnie jednak oznaczało, że nie było ich w pobliżu gotowych do rozmnażania kobiet, kiedy ich nasienie dojrzewało.

Na niewykorzystane możliwości rozrodcze nakładały się olbrzymie straty, jakie Kranolta ponieśli zdobywając Voitan. Każdy mężczyzna mógł zapłodnić samicę tylko podczas sezonu godowego. Liczba młodych, przychodzących na świat dwa razy do roku, wystarczała, by poradzić sobie z normalną śmiertelnością, ale liczby zabitych podczas zdobywania miasta nie można było nazwać normalną. Pomimo zwiększenia terenów łowieckich, śmiertelność wśród dzieci nie spadała.

Wszystko to razem sprawiało, że klan po swoim zwycięstwie wracał do sił bardzo powoli, jeśli w ogóle wracał.

–Jeśli większa część wojowników klanu padnie od ich straszliwej broni – ciągnął Eske, podnosząc do góry rękę, przypaloną ogniem plazmy – klan przestanie istnieć. Może przeżyje kilka plemion, ale i w to wątpię.

–Kto jest za odwrotem? – spytał Danal Far.

On osobiście był przeciw, ważne było jednak zachowanie pozorów bezstronności. Odpowiedzią na jego pytanie był chóralny ryk. Szaman wskazał jednego z weteranów spod Voitan. Niech on usadzi młodego szczeniaka.

–Straty Vum Dee dowodzą tylko tego, że byli skończonymi tchórzami, co potwierdziły te słowa! – krzyknął Gretis Xus. Stary wojownik pokuśtykał do przodu. Jego blizny nie pochodziły jedynie z czasów walk o Voitan, lecz również z nieustannych potyczek z wojownikami innych miast-państw, z którymi graniczyło terytorium jego plemienia. – Vum Dee siedziało na zadkach od upadku Voitan, ale Dum Kai dalej walczyli z gównosiadami. Nie jesteśmy tak słabi i tchórzliwi, żeby godzić się z wtargnięciem na nasze ziemie. Vum Dee nie są już Kranolta!

Słowa Xusa wywołały ryk uznania, nie tylko u zebranych wodzów plemion, ale też wśród otaczających ich kręgiem wojowników. Puvin Eske usłyszał to i pochylił z żalu głowę.

–Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Tak, jak mówiłem do mojego ojca, którego już nie ma, Puvina Sbee, pierwszego, który wdarł się na mury Voitan, który nosił rogi Króla Voitan przy pasie. Którego widziałem rozciętego na pół ogniem z rąk wojowników, których nie można było prawie dostrzec.

Podniósł głowę i popatrzył na wodzów innych plemion.

–Vum Dee niedługo zostanie pożarte przez inne plemiona i dżunglę, ale jeśli Kranolta wydadzą bitwę ludziom, wszyscy zostaną pożarci. Mówicie, że Vum Dee, którego ojcowie wiedli Kranolta na mury Voitan, którego wojownicy byli włócznie Kranolta, kiedy wychodzili z pradawnych ziem, z których pochodził wódz klanu za czasów wojny z Voitan, nie są prawdziwymi Kranolta? Dobrze. Może to prawda. Ale powiedzcie mi to za pięć dni, ponieważ wtedy naprawdę tak będzie. Bo za pięć dni nie będzie Kranolta!

Wojownik odwrócił się i opuścił krąg wrogich twarzy. Wielu patrzyło na niego z nienawiścią i pogardą, ale nikt go nie zatrzymywał. Nawet w takich okolicznościach nikt nie ośmieliłby się tknąć wodza na naradzie klanu. Poczekają te kilka dni.

Danal Far wrócił na środek kręgu.

–Czy ktoś jeszcze się sprzeciwia? – spytał. – Nie widzę nikogo takiego. Ogłaszam, że zaatakujemy ludzi, kiedy tylko będzie to możliwe. Rano ruszą w drogę, prawdopodobnie do Voitan, ale przetniemy im drogę zanim tam dotrą. Przez dżunglę poruszają się powoli, więc będzie to łatwe. W końcu to zwykłe gównosiady.

–Odsuń się!

Julian odepchnął szeregowego barkiem na bok, włączył szósty tryb multinarzędzia i wyciągnął je na długość ramienia. Urządzenie zamieniło się w stutrzydziestocentymetrowe ostrze, a plutonowy stęknął z wysiłku, opuszczając je na pnącze. Gruba jak udo mężczyzny liana z trzaskiem ustąpiła pod ciosem monomaczety, a Julian znów stęknął, kiedy jeden jej koniec trafił go w brzuch. Chwilę potem krzyknął i odtoczył przeszkodę spod łapy *flar-ta*.

Szpica spojrzała na niego z wdzięcznością i pobiegła z powrotem na pozycję.

Kompania biegła przez dżunglę. Prawie niemożnością było utrzymywać stałe tempo, ale im się to udawało. *Flar-ta* oczyszczały szlak, jednak niektóre przeszkody musieli usuwać marines. Oznaczało to, że drużyny na szpicy zajmowały się rąbaniem lian i wyszukiwaniem dróg obejścia rozpadlin, które zaczęli napotykać. Marines, którzy przeżyli pierwszą zasadzkę, nie byli specjalnie szczęśliwi, że muszą zajmować się takimi rzeczami zamiast uważać na kolejne zasadzki.

Teren wznosił się powoli w stronę wzgórz, które widzieli znad rzeki. Gdzieś u podnóża tych wzniesień leżały ruiny Voitan, zbudowanego, jak głosiły podania, na szczycie niewielkiej góry. Gdzieś – w rumach albo w dżungli – czekali na nich Kranolta. Marines mieli nadzieję, że starcie nastąpi w mieście, gdzie można było znaleźć miejsca dogodne do obrony, a nie na otwartym terenie.

Roger przeskoczył niewielki zwalony pniak, którego nie zmiążdżyła karawana zwierząt, i pomógł plutonowemu wstać.

–Nie wolno wylegiwać się w czasie roboty, Julianie – powiedział i nie zatrzymując się pobiegł dalej.

Cord, który właśnie go dogonił, klasnął ze złością w ręce i potruchtał za nim.

Julian nie był pewien, czy książkę żartuje. Jego głos był śmiertelnie poważny, ale mógł to być bardzo kiepski dowcip. Bardzo kiepski.

Plutonowy wzruszył ramionami i przestawił multinarzędzie tak, by zmieściło się do pokrowca. Jeśli przeżyją, będzie mógł się nad tym zastanawiać. Jeśli nie, i tak nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

Pahner kiwnął głową, kiedy jego toots dał znać, że upłynął czas.

–Drugi pluton na zwierzęta, pierwszy pluton szpica!

Ludzie, a zwłaszcza marines, niemal na pewno potrafiliby prześcignąć *flar-ta* na otwartym terenie i na długim dystansie.

W dżungli w najlepszym razie mieliby pięćdziesiąt procent szans. Kilku żołnierzy zdążyło już nadwerężyć albo złamać nogę w kostce, a wysiłek spowodowany koniecznością przeskakowania nad kłodami i uchylania się od chłostających gałęzi znacznie spowalniał ich tempo.

Marines jednak łapali oddech, wymieniając się na grzbietach *flar-ta*. Zwierzętom nie było łatwo i Pahner nawet bez ostrzeżeń poganiaczy zdawał sobie sprawę, że kiedy dotrą do Voitan, będą musiały kilka dni odpocząć. Był to jednak jedyny rozsądny sposób, by oszczędzić siły żołnierzy na wypadek, gdyby zrobiło się gorąco.

Kapitan zobaczył, że księżę wciąga się po linach, przytrzymujących ładunek, na grzbiet samicy, którą nazwał Patty. Roger postanowił, że będzie odpoczywał razem z drugim plutonem, i jak na razie tego się trzymał. Pahner był zadowolony. Dzieciak nie robił problemów.

–Kapitanie! – zgłosiła się sierżant Lai. – Mamy ruch z przodu!

*** * ***

Cutan Mett usłyszał trąbienie stada *flar-ta* i machnięciem ręki kazał zatrzymać się swoim wojownikom. Byli awangardą plemienia Miv Qist; poczuli głód oczekiwania, kiedy zrozumieli, że spotkał ich zaszczyt pierwszego kontaktu z wrogiem.

*** * ***

–Ogień na kontakt – rozkazał Pahner. W normalnych okolicznościach zaczekałby na coś więcej niż odczyt sensora. Tak nakazywał nie tylko regulamin, ale też zdrowy rozsądek... w normalnych okolicznościach. Ale nie tutaj. Czy była to tylko zaczajona chrystebestia, czy awangarda napastników, nadszedł czas „zaorać drogę”.

–Tak jest – potwierdziła Lai.

*** * ***

M-46 Imperialnych marines był czterdziestomilimetrowym, zasilanym pasem amunicyjnym, granatnikiem. Zaawansowana struktura wypełnienia granatów dawała im niszczyielską siłę dwudziestokilowej bomby z czasów prekosmicznych, mimo tego jednak kopała niczym rozdrażniony ziemski muł. Wystrzelenie całej taśmy, tak jak kilka dni wcześniej zrobił księżę, wymagało albo zidiocenia, albo obeznania z bronią i odpowiedniej postury.

Kapral Pentzikis nie była głupia ani specjalnie masywna. Dlatego, kiedy otrzymała rozkaz, żeby „przypalić” wykrytych Mardukan, doświadczona marine oparła kolbę granatnika na ramieniu, upewniła się, że taśma z czterdziestoma granatami o nic się nie zaczepiła, po czym zaczęła systematyczny ostrzał.

Pociski uderzyły z niskim, dudniącym hukiem, na którego dźwięk doświadczonym żołnierzom jeżyły się włosy na karku. Pierwszy pluton rozsypał się w tyralierę wokół Pentzikis, która zasypywała granatami teren, na którym sensory wykryły poruszenia. Chwilę później ziemia i drzewa rozbłysły białością.

* * *

Mett zaczął krzyczeć, kiedy drzewa wokół niego padały w eksplozjach huku i błysku. Drzazgi poszarpały wojowników Miv Qist.

–Naprzód! – ryknął. – Ta ziemia jest nasza!

* * *

Czasami Ima Hooker zaczynała się czuć jak destylat furii. Czy wynikało to z jej natury, czy z życiowych doświadczeń – ojciec, który nadał jej takie imię, był okrutny na wiele sposobów – nie wiedziała, i prawdę mówiąc, nie obchodziło jej to. Obchodziły ją tylko rzadkie chwile, kiedy Imperialni marines pozwalali jej dać tej furii upust.

Na przykład teraz.

Kiedy szumowiniaki wyskoczyły z kryjących ich krzaków, Hooker podrzuciła karabin do ramienia, naprowadziła błyskawicznie kropkę laserowego celownika na ich przywódcę i przełączyła broń na trzynabożowe serie. Czas odegrać się na wszechświecie.

* * *

Pahner spojrział na wyświetlacz taktyczny i podjął decyzję.

–Próbują nas odciąć – warknął na częstotliwości dowodzenia. – Pierwszy zostaje na miejscu i osłania flanki. Kiedy przejdziemy, zwijacie się za nami. Wszyscy oprócz snajperów złączyć ze zwierząt. Trzeci na szpicę, drugi formować centrum. Ruszać się, marines! Naprzód!

* * *

Roger zaczął ześlizgiwać się z boku Patty, a sierżant Hazheir klepnął go w nogę.

–Proszę tam zostać, Wasza Wysokość! – powiedział PO sierżanta plutonu. – „Snajperzy” dotyczy chyba też pana!

Książę zaśmiał się i kiwnął głową.

–W porządku! – zawołał za sierżantem, który zeskoczył na ziemię i pobiegł naprzód.

– Spróbuję pamiętać, którzy są dobrzy!

*** * ***

Kapral Hooker posłała w krzaki kolejną serię i zaklęła. Dranie załapali, że muszą się chować.

–Behie! Wykurz mi tych sukinsynów! – warknęła, oznaczając krzaki markerem dla grenadiera.

–Tak jest! – Pentzikis skończyła właśnie zakładać nową taśmę. Obróciła się lekko i poczekała, aż sensory broni namierzą cel. – Potrzebuję więcej granatów, mam mało.

–Zrozumiałem – potwierdził Edwin Bilali. Strzelił w plamę szarości i został nagrodzony śmiertelnym wrzaskiem. – Gelert! Zasuważ do zwierząt i przynieś trzy pasy granatów!

–Już lecę, szefie! – Nowy szeregowiec wystrzelił serię przed siebie i wycofał się biegiem do mijających go *flar-ta*. Wydawało mu się, że wie, gdzie może znaleźć skrzynki z amunicją.

Ima Hooker wyluskała pierwszy magazynek i zaczęła ładować na jego miejsce następny, kiedy zza zwałonego pnia wyskoczył szumowiniak i cisnął oszczepem.

–Uwaga! – krzyknęła, wciskając półkilogramowy plastikowy zasobnik na miejsce, i wycelowała.

Wirujący granat rozerwał się metr nad głową Mardukanina, zamieniając górną połowę jego ciała w krwawą miazgę. Eksplozja poszarpała krzaki – w polu widzenia Hooker pojawiły się dwa kolejne cele. Kapral zawyla jak rozwścieczona bestia, widząc rezultat swojego chwilowego rozproszenia. Przełączyła trzymilimetrowy karabin śrutowy na ogień ciągły i przecięła obu tubylców na pół.

–Sukinsyny! – wrzasnęła i pociągnęła ogniem po krzakach, szukając następnych celów.

Plutonowy Bilali podbiegł do strzelca, ale wiedział, że jest już za późno. Szeregowy z St. Augustine darł palcami błoto, krztusząc się, własną krwią. Bilali zdarł mu z głowy hełm i spróbował przekręcić na plecy, ale oszczep przyszpilał marine do ziemi. Gelert wrzasnął z bólu, a z jego ust popłynęła świeża fala jasnoszkarłatnej krwi.

–O, Chryste, Jenó! – Plutonowy próbował zakryć ranę rękami; pociski karabinowe nie przyszpilały ludzi jak motyli w kolekcji jakiegoś, więc całe jego wyszkolenie nic w tym wypadku nie znaczyło. – O, Boże, człowieku.

–Odsuń się! – Obok niego nagle pojawił się Dobrescu.

Chorąży miał już okazję dowiedzieć się wszystkiego, co musiał, o takich ranach. Młody miał szansę jak jeden do dwudziestu, nie więcej, ale trzeba było spróbować.

–Musiał się przebić na wylot – powiedział sanitariusz, wyciągając z torby monomolekularny przecinak do kości. Nożycowatym przyrządem rozciął kombinezon i bez wysiłku uciął drzewce oszczepu równo z plecami szeregowego, niemal nim nie poruszając, Gelert jednak i tak wrzasnął.

–Teraz zaczyna się zabawa – dodał Dobrescu przez zaciśnięte zęby. – Gelert – powiedział stanowczo – posłuchaj mnie. Jest tylko jeden sposób, żeby uratować ci życie, i trzeba to zrobić szybko. Przewrócimy cię na plecy. Prawdopodobnie zemdlejesz z bólu, ale nie krzycz. Nie krzycz.

Mówiąc to, gorączkowo zakładał dren. Krew z rany musiała gdzieś wypływać; gdyby załapała płuca, młody by się utopił, nawet nauty by nie pomogły.

Gelert rzucał się, krew tryskała na wszystkie strony, a obok przebiegała kompania. Zatrzymanie się przy jednym rannym zgubiłoby ich wszystkich, ale Dobrescu musiał się spieszyć z ewakuacją szeregowca, w przeciwnym razie groziło mu zostanie w tyle.

–Bilali, potrzebne mi tu nosze.

–A kto je, kurwa, będzie niósł? – wrzasnął plutonowy. Na przedzie kolumny wybuchła kolejna strzelanina, a wśród zgiełku dał się słyszeć głos wzywający sanitariusza. – Dostajemy łomot.

–Znajdź kogoś! – warknął chorąży. Przeszło mu przez myśl, że może powinien spisać młodego na straty i kazać go załadować na *flar-ta*, a potem zapakować i spalić... Ale gdyby udało mu się zatamować krwawienie, leczące nauty czasami robiły cuda. Pieprzyć to.

–A zanim kogoś znajdziesz, daj nam jakąś osłonę!

*** * ***

–Zrozumiałam – potwierdziła Kosutic i obejrzała się przez ramię. – Cholera! Kapitanie!

–Co jest? – Pahner nie odrywał wzroku od HUD. Drugi pluton meldował, że napotyka pierwsze zabudowania i gołe skały. Jeśli uda im się dobiec do miasta, będą mieli kupę szczęścia. Kapitan słyszał za plecami wycie rogów Kranolta; czuł się, jakby samo piekło wypuściło na nich swoje sfory.

–Dobrescu próbuje opatrzyć Gelerta na tyle, żeby go przenieść. Trzeci już go nie kryje!

To wystarczyło, by oderwać kapitana od odczytów. Spojrzał na Kosutic z niedowierzaniem. Sierżant wyglądała na tak samo wściekłą jak on, to jednak w niczym nie poprawiało sytuacji.

–Dobrescu! – Pahner włączył komunikator. – Zabierajcie stamtąd dupę, natychmiast!

–Kapitanie, stan Gelerta jest stabilny. Chyba dam radę go uratować.

–Panie Dobrescu, to rozkaz. Zabieraj się pan stamtąd!

Kapitan sprawdził HUD i zobaczył, że dookoła rannego trzyma się cała jego sekcja ogniowa.

–Bilali!

–Sir, ruszymy się, jak tylko poskładamy nosze! – zameldował plutonowy.

–Plutonowy...

Dowódca kompanii zacisnął zęby z wściekłością. Dawno, dawno temu, w szkole podoficerów Korpusu nauczył się czegoś, co sprawdzało się przez ponad pięćdziesiąt lat jego służby – nigdy nie wydawaj rozkazu, jeśli wiesz, że nie zostanie wykonany. Nigdy takiego rozkazu nie wydał i nie zamierzał robić tego teraz.

–Będziemy na was czekać w Voitan, plutonowy.

Wiedział, że właśnie spisał na straty ich jedyne go medyka, będącego jednocześnie pilotem, oraz pełną sekcję ogniową, ale było to lepsze niż strata całej kompanii podczas próby wyciągnięcia ich.

Rząd *flar-ta* galopował w górę pochyłości przez zrujnowaną bramę, zasypaną częściowo gruzem z kordegardy. Plac za nią był zbyt duży, by go bronić – miał około pięćdziesiąt metrów szerokości – ale nadawał się, by się na nim przegrupować.

–Zatrzymać się za bramą – zawołał Pahner na częstotliwości ogólnej. – Trzeci pluton do bramy, pierwszy i drugi na wsparcie. Policzyć zabitych.

Wszedł na porośniętą lianami stertę gruzu, kiedyś będącą prawdopodobnie ścianą domu, i rozejrzał się. Szybko policzył zwierzęta; wszystkie dobiegły cało, niosąc marines, ostrzeliwujących się z granatników i karabinów. Potem jeszcze raz przyjrzał się jeźdźcom.

–Gdzie jest – spytał śmiertelnie spokojnie – księżę Roger?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Bilali wystrzelił kolejną serię i grupka szumowiniaków schowała się za pnem. Trzymał ich w szachu, ale kończyła mu się amunicja.

–Szefie – zawołała Hooker – jakaś amunicja? Ja już nie mam.

Zaklął cicho. Hooker zawsze pakowała pociski w cel, ale zużywała ich za dużo.

–Mnie też się kończą – odpowiedział.

–Ja mam trochę – powiedział Dobrescu. – Weźcie.

Sanitariusz przygotował pacjenta i pracował nad polowymi noszami – dwoma młodymi drzewkami i rozciągniętym między nimi kombinezonem ранego szeregowca. Takie nosze były ciężkie, niewygodne i prawie niemożliwe było dobiegnięcie z nimi do miasta, ale tylko tak można było uratować Gelerta.

–Cholera! – Hooker obróciła się na zachód. – Mam poruszenia między nami a kompanią!

–Spokojnie, Hooker – usłyszała w słuchawkach głos księcia. – Idziemy do was.

* * *

Roger pogodził się z myślą, że skazał na śmierć nie tylko siebie; ale też O’Casey i Matsugae. Eleanora trzęsa się jak liść, ale dzielnie trzymała swój koniec wyładowanych standardowych noszy. Służący uśmiechał się jak zwykle, niosąc je z drugiej strony, ale uśmiech ten wyglądał sztywno i nienaturalnie.

–Roger – powiedział – to szaleństwo.

–Ciagle to powtarzasz. – Księżę przykucnął za drzewem. – Doktorze, będzie pan musiał zmienić Eleanorę.

Ścisnął kolbę granatnika pod pachą, wstał i wyprał serię piętnastu granatów. Ostatnie poszły w górę, ale większość trafiła w okolicę schowanych szumowiniaków. Odłamki i ostre drzazgi z pękających gałęzi posiekały ich jak noże i wypędziły, wrzeszczących, z ukrycia.

Bilali i Hooker rozstrzelali wykurzone z za osłony cele, a Roger wyrzucił prawie wystrzelaną taśmę i wziął pełną z noszy. Uginały się od granatów; drugie tyle księżę zawiesił sobie na ramionach i upchnął w plecaku.

–Lepiej się stąd ruszmy, doktorze.

–Jasne. – Chorąży zepchnął amunicję z noszy. – Bilali, Hooker, Penti, zabierać to.

Roger obserwował zarośla po drugiej stronie wydeptanej przez *flar-ta* przesieki, podczas gdy resztki sekcji ogniowej pozbierały amunicję, którą przytargali dla nich cywile, a Dobrescu przypinał Gelerta do noszy.

–Dziękuję panu, sir – powiedział Bilali. – Ale to cholerna głupota.

–Moja krew za waszą, plutonowy – odparł książę. – Po jaką cholere mielibyście ratować mi życie, gdybym nie był skłonny się odwdziaczyć tym samym?

*** * ***

–Wyciągać pancerze! – wrzasnął Pahner na generalnej częstotliwości. – Roger, gdzie do cholery jesteś!

*** * ***

–Oho – powiedział książę, kiedy Matsugae i Dobrescu podnieśli nosze. – Głos pana.

Pentzikis była tak zdenerwowana, że zaczęła chichotać i mimowolnie wystrzeliła kilka pocisków w las.

–Już, kurwa, po nas – zachichotała. – Jeśli nie rozwalą nas cholerne szumowiniaki, zrobi to kapitan Pahner!

–Nie sądzę. – Roger wyjął z plecaka następną taśmę granatów i zawiesił sobie na szyi. – Osobiście nie życzę sobie dzisiaj umierać.

*** * ***

–Szybciej, głupia kupo złomu!

Julian patrzył, jak na wyświetlaczu hełmu powoli rosą wskaźniki mocy. Pancerz jeszcze się na dobre nie włączył, ale plutonowy przez opancerzone stopy czuł, jak ziemia drży od eksplozji granatów.

Despreaux podłączyła jego rękawice. Miotła się wściekle, słysząc coraz bliższy trzask wystrzałów. Chwilę później powietrzem wstrząsnął huk kolejnej serii; wiedziała przynajmniej, że Roger jeszcze żyje.

–Zdążysz – powiedziała.

–Wiem, że zdążę. Pytanie tylko, czy zdążę zanim Pahner nie postanowi nas pozabijać i wynająć szumowiniaków do ochrony księcia.

–To nie nasza wina, że Roger poszedł tam sam! – zaprotestowała Despreaux, wściekła na księcia.

–Nie, ale kiedy już go wyciągniemy, Pahner nas pozabija. Mieliśmy pilnować tego małego gnoja.

–To nie w porządku – warknęła plutonowa, podłączając taśmę do czterolufowego działka. Śrutownica czerpała amunicję z zasobnika na plecach zbroi, jednak mimo ich ilości zaskakująco szybko potrafiła je wyczerpać, a nie mieli za wiele zasobników. – Roger próbował uratować ранnego marine – ciągnęła. – Oszczędzaj amunicję.

–Jasne – powiedział Julian. – Próbował. Ale to i tak mały gnój. Jeśli da się zabić, nakopię mu do dupy.

–Gotowe!

Despreaux podłączyła ostatni przewód i podniosła przyłbicę zbroi, żeby wpuścić do środka trochę powietrza. Dopóki nie włączyły się wszystkie systemy, wewnątrz było strasznie duszno.

–Cały czas czekam, aż ten pieprzony komputer skończy! – warknął Julian. Dla marines było tajemnicą, dlaczego pokładowy system pancerzy potrzebował tyle czasu na rozruch. Nawet pady uruchamiało się szybciej.

–Julian? – ryknął Pahner ze swojej sterty gruzu.

–Czekam na zakończenie sekwencji startowej, sir! – wrzasnął plutonowy, rozglądając się po swojej drużynie. Nie mógł nawet sprawdzić statusu, dopóki cholerny komputer nie skończył opróżniać pamięci, albo drapać się po dupie, albo robić cokolwiek, co trwało tak... tak... tak kurewsko długo. W końcu wskaźniki zaświeciły się na zielono.

–Już! – krzyknął i podniósł dłoń z wyprostowanym kciukiem. Chwilę później to samo zrobiło jeszcze dwóch marines, potem trzeci. I tyle.

–Co jest, kurwa? – Stracili Russel, ale w drużynie dalej było dziewięciu ludzi. – Status!

–Awaria – zameldował lakonicznie kapral Aburia, podchodząc do Cathcarta i zaglądając mu za wizjer. Operator plazmy coś krzyczał; kapral podniósł przyłbicę jego hełmu.

–...wdupejebanypierdolony...

–Mamy tylko cztery, sir – powiedział Farmerowi Mian na osobistym kanale kapitana.

–Poertena!!!

*** * ***

–Jak stoisz z amunicją, Behie? – krzyknął Roger, wystrzeliwując kolejną serię w kłębowisko lian, zza którego nadleciał oszczep. Upiorny wrzask dał się słyszeć nawet mimo huku granatów, a w krzakach coś zaczęło się rzucać.

–Nie zadziera się z MacClintockiem, skurwysyny!

–Mam jeszcze pięć taśm, sir! – Grenadier wpakowała granat w podejrzenie wyglądające zarośla, wykazując przy tym oszczędność amunicji, której Jego Wysokość zupełnie nie był w stanie dorównać. – Może zechciałby pan trochę oszczędzać amunicję, sir.

–Będziemy oszczędzać amunicję, jak nas zabiją – odparował książę. – Biegiem, będę cię krył.

Grenadier potrząsnęła tylko głową i wyprysnęła zza zwalonego drzewa, za którym się kryła. Noszowi – potykający się doktor i Matsugae oraz naczelniczka świty księcia, trzymająca w górze kroplówkę – byli już co najmniej dwadzieścia metrów przed nimi, osłaniani przez marines z karabinami. Pentzikis próbowała już klócić się, kto powinien iść pierwszy, a kto osłaniać tyły, ale przegrała. Nie miała zamiaru zaczynać od nowa.

Pobiegła do Hooker, skulonej za kolejnym zwalonym drzewem. Przeszkody, spowodowane przejściami *flar-ta*, na które cały dzień klęli, teraz ratowały im życie.

–Biegiem, sir! – krzyknęła i strzeliła w następny podejrzaną krzak.

Roger odepchnął się obiema rękami i wystartował. W tym samym momencie z krzaków wystrzelił rój oszczepów.

–O, kurwa – powiedziała miękko marine. Stała się ekspertem w przewidywaniu toru lotu włóczni; wszystkie wycelowane były w jej poprzednią pozycję.

I księcia.

Roger zadziałał instynktownie – puścił się biegiem prosto na nadlatujące oszczepy, strzelając z granatnika. Nie mógł im uciec, ale mógł przebiec pod nimi.

Spadały pod dość dużym kątem, głównie z powodu nachylenia terenu. Szybkość, która dawała księciu taką przewagę na boisku, w końcu przydała się gdzieś indziej. Dookoła niego i za nim z nieba spadał deszcz włóczni, a on pędził przed siebie, prując serią z granatnika.

Julian i trzech pozostałych opancerzonych marines minęli nosze z prędkością prawie sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. W lepszym terenie mogli poruszać się jeszcze szybciej, ale nie na zawalonym drzewami rumowisku, powstałym po przejściu *flar-ta*.

–Rany, Bilali – rzucił w biegu plutonowy. – Ale masz przejebane.

–A co miałem robić, do cholery? – krzyknął dowódca drużyny. – Dać mu w łeb i przynieść na noszach?

–Prawdopodobnie – warknął Julian, potknął się o pień i wyrznął we wciąż stojące drzewo. – O, cholera!

–W porządku, szefie? – zawołał Gronningen. Wielki Asgardczyk celował przed siebie z działka plazmowego M-105. Kompania nie spodziewała się, że tak szybko będzie ich potrzebować, więc nie zostały sprawdzone tak dokładnie jak M-98. Z drugiej strony była to starsza i solidniejsza konstrukcja, z którą nie było nigdy żadnych problemów.

Jak dotąd.

–Tak, tak – warknął Julian, gramoląc się na nogi.

Drzewo ucierpiało o wiele bardziej niż jego pokryta teraz sokiem zbroja. Potrzeba było więcej niż zderzenia z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, żeby uszkodzić chromfram.

–Zaraz u was będę – dodał, kiedy przed nimi wybuchła kolejna seria granatów.

Roger wyrzucił pusty granatnik i wyciągnął z pochwy na plecach miecz. Sensei w szkole opowiadał mu o „Księżce Pięciu Pierścieni”, ale księżce nigdy nie chciało się przeczytać jej całej. Był to jeszcze jeden z małych aktów buntu, których teraz zaczynał żałować. Mimo to pamiętał jeszcze technikę walki z wieloma przeciwnikami na raz – trzeba ich przyjmować po jednym.

Dobrze wiedzieć, pomyślał, mierząc wzrokiem piętnastu czy dwudziestu Mardukan, którzy wysypali się z zarośli, ściskając w rękach miecze, włócznie i inne ostre przedmioty. Tylko jak to, cholera, zrobić?

Niektórzy byli ranni, kilku dość poważnie. Większość jednak wyglądała na zupełnie zdrowych, a w dodatku porządnie czymś rozwścieczonych. Co gorsza, za wzgórzem rozległo się wycie setek rogów myśliwskich. Ogólnie sytuacja prezentowała się

nieciekawie. Może zostawią go w spokoju, bo na czole nie ma nic, co można by zabrać jako trofeum? Jasne...

Pierwszy Mardukanin zaszarżował, trzymając włócznię na wysokości pasa i wrzeszcząc przeraźliwie. Roger odbił ostrze w dół i na bok, zakręcił się, wykorzystując siłę pędu, i odrąbał przeciwnikowi ramię. Wtedy rzuciła się na niego reszta grupy. Książę wybrał sobie najslabszego – wojownika z krwawiącą raną na nodze.

Zaszarżował na niego, odbijając kolejne pchnięcie włóczni, i zasłonił się mieczem przed ciosem Mardukanina. Skręt ciała i smukłe ostrze cięło na ukos, rozrabując obcego od ramienia po udo, a Roger wyrwał się spomiędzy napastników.

Zatrzymał się kilka metrów od nich. Położył dwóch, nawet nie draśnięty, a Kranolta wydawali się weryfikować swoją ocenę sytuacji.

Książę robił to samo. Zdawał sobie sprawę, że przeżył dzięki szczęściu i kilku sztuczkom, a jego przeciwnicy nie wydawali się zbyt dobrze wyszkoleni. Istniały standardowe kontry na oba ciosy, które zadał. Cord je znał, nauczył ich Rogera, ale żaden z barbarzyńców nie zdawał sobie chyba sprawy z ich istnienia. Jeśli wszyscy byli tak niezdarni, książę mógł przeżyć następne, powiedzmy, pięć minut.

Realnie rzecz biorąc, jeśli nic się szybko nie wydarzy, był już martwy. Nie mógł uciec, bo oszczepy były szybsze od niego. Jak dotąd nikt nie próbował zakończyć sprawy w ten sposób, a dopóki walka sprowadzała się do potyczek jeden na jednego i szermierki, książę miał szansę. Niewielką.

Miejmy nadzieję, że są honorowi, pomyślał. Jeden z Mardukan wystąpił naprzód i narysował na ziemi linię. Roger spojrział na nią i wzruszył ramionami – nie miał pojęcia, co to może znaczyć. Po namyśle jednak wyrysował własną.

Kranolta klasnął dolnymi dłońmi, przeszedł przez linię i stanął w pozycji szermierczej.

W tym momencie Roger po raz pierwszy pomyślał o pistolecie. Tylko czterech przeciwników miało włócznię, pozostali uzbrojeni byli w miecze. Mógł wyciągnąć pistolet i zastrzelić wszystkich miotaczy, zanim którykolwiek zdołałby podnieść broń – udowodnił to w Q'Nkok. To było jedyne rozsądne wyjście, wiedział o tym. Pomyśl, by książę Imperium Człowieka walczył z czterorękim barbarzyńcą na zacofanej, zapomnianej przez Boga i ludzi planecie, trącił kiepską przygodową powieścią. Poza tym, gdyby jakimś cudem udało mu się to przeżyć, kapitan Armand Pahner osobiście skręciłby mu kark.

Roger przeszedł przez linię.

Mardukanin rzucił się na niego, wznosząc miecz nad głowę. Broń była jednym z miejscowych dwuręcznych mieczy i ważyła prawie dziesięć kilo. Gdyby księżę próbował zablokować cios, ostrze miecza przeszłoby przez jego paradę jak przez powietrze, czekał więc cierpliwie, nie podnosząc broni, aż Mardukanin zaczął zamach. Wtedy skoczył ku niemu, wznosząc miecz nad głowę.

*** * ***

Brzęk stali był przerażająco głośny. Hooker wypadła na polanę. Przy każdym kroku spodziewała się natknąć na martwe ciało księcia, dookoła bowiem z ziemi sterczały dziesiątki oszczepów. Zamiast tego znalazła go w półkolu wrzeszczących Mardukan. Zatrzymała się gwałtownie, prawie potykając o trupa Kranolta, ale udało jej się nie upaść... i nie otworzyć ognia, kiedy z zarośli wybiegło dziesięciu kolejnych szumowiniaków. Wiedziała, że jeśli wystrzeli, księżę zginie.

*** * ***

Roger, dysząc ciężko, spojrział na następnego w kolejce Mardukanina. Już trzy ciała zostały ściągnięte z zaimprovizowanej areny, a księżę zaczął rozumieć zasady. Dopóki stał po swojej stronie linii na ziemi, Kranolta nie atakowali. Kiedy jednak zbyt długo ociągał się ze stawaniem do walki, zaczęli się denerwować. Nie mógł po prostu zaczekać na odsiecz.

Nie obejrzał się, kiedy usłyszał za sobą tupot stóp, ale z tego, jak niektórzy Mardukanie zeszytnieli, wywnioskował, że musiał to być któryś z marines.

–Za mną na ziemi jest linia. Nie przechodź przez nią!

–Tak jest, sir. – Rozpoznał głos Hooker; miał nadzieję, że mała marine zdoła nad sobą zapanować. – Pancerni zaraz tu będą.

Roger kiwnął głową i rozluźnił się. Dawno już zrzucił plecak, uprząż z amunicją i wszystko, co go spowalniało. Sparringi z Cordem nauczyły go wielu rzeczy, dzięki którym jeszcze żył. W grupie te szumowiniaki mogły być najstraszniejszą rzeczą po tej stronie planety, pojedynczo jednak byli żałośnie niezdarni. Z drugiej strony księżę miał za sobą długi, ciężki dzień i stopniowo opadał z sił.

–Powiedźcie im, żeby się pospieszyli, ale nie szarżowali – powiedział, kiedy za sobą usłyszał tupot kolejnych stóp, i spojrział na Mardukanina. – Chodź tu, ty czteroręki bydlaku. Zaczynam się nudzić.

*** * ***

Julian minął mardukańskiego szamana, biegnącego w stronę księcia. Plutonowy nie był pewny, co stary szumowiniak mamrocze, ale brzmiało to zupełnie jak

przekleństwa. Stary był szybki na otwartym terenie, ale zwalone drzewa sprawiały mu sporo problemów, co było powodem, dla którego Roger nie zabrał go ze sobą.

–Widzę, że martwisz się o niego tak samo jak my – krzyknął marine przez zewnętrzne głośniki zbroi, przebiegając z łoskotem obok niego.

–Zabiję go – parsknął Cord. – *Asi* czy nie, przysięgam, że go zabiję!

–Proszę bardzo, ale będziesz się musiał ustawić w kolejce – krzyknął Julian, znikając w krzakach. – Długiej kolejce!

* * *

–Zabiję go – powiedział Pahner niemal spokojnie, kiedy zobaczył Bilalego i noszowych.

–Bilalego? – spytała Kosutic, pocierając ucho.

–Rogera. Może Bilalego też.

Dowódca drużyny podszedł do kapitana i zasalutował.

–Sir, plutonowy Bilali melduje się z jednym uratowanym.

–A ten uratowany to nie książę, z tego co widzę – powiedział zimno Pahner. – Jestem za bardzo wściekły, żeby się tym zajmować. Zejść mi z oczu.

–Tak jest, sir. – Plutonowy podszedł do sanitariusza, nachylnego nad Gelertem.

–Nie denerwuj się tak, Armand – szepnęła Kosutic. – Mamy przed sobą długą drogę.

–Ciągle to sobie powtarzam – odparł Pahner. – I staram się nie denerwować. Ale jeśli stracimy księcia, dalsza podróż straci sens.

Kosutic mogła tylko pokiwać głową.

* * *

Roger przekroczył linię i odwrócił się.

–Kto tu jest wodzem? – spytał.

Walce przyglądało się już ponad stu Mardukan. Jak dotąd każde starcie należało do księcia. Rysa na helmie była śladem po najniebezpieczniejszej sytuacji. Za plecami Rogera zebrali się jego ludzie, z Hooker, Julianem i jego opancerzonymi marines. Mardukanie nie zwracali uwagi na kibiców, koncentrując się na walce.

Minęło kilkanaście sekund, po czym do przesiąkniętego krwią kręgu wstąpił jeden z Kranolta. Był starszy od pozostałych, pokryty bliznami, a na piersi zwiisał mu naszyjnik z rogów.

–Jestem wodzem plemienia. Nazywam się Leem Molay, wódz Kranolta Du Juqa.

Roger machnął mieczem, by strząsnąć z ostrza krew.

–A ja jestem księżę Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock, z Domu MacClintock, trzeci następcą Tronu Ludzkości. Nareszcie mam tu wystarczającą siłę ognia, żeby zamienić wasze śmierdzące, małe plemię w karmę dla *atul*. – Wziął od Hooker szmatę i zaczął wycierać miecz. Z gęstwiny wyłonił się wreszcie Cord. – Nie mam zamiaru zabijać was po jednym, aż się zmęczone, ani stać tu i gadać, aż się ściemni. Proponuję rozejm.

–Dlaczego mielibyśmy pozwolić wam żyć? – prychnął wódz.

–Julian?

Roger nie mógł rozpoznać, kto był wewnątrz pancerzy, a już dawno wyłączył radio. Słuchanie przekleństw Pahnera działało mu na nerwy.

–Tak – odparł jeden z pancerzy przez zewnętrzny głośnik.

–Leemie Molay, ilu twoich wojowników ma zginąć, żebyś zrozumiał, że powinieneś dać nam odejść?

Roger wsunął miecz do pochwy i wziął granatnik od Pentzikis, ale ani na chwilę nie spuścił lodowatego wzroku z wodza Kranolta.

–Zapytam inaczej – ciągnął spokojnie, przekrzywiając głowę. – Którą połowę z was mamy zabić?

–Gdybyście naprawdę mogli nas pozabijać, już byście to zrobili! – odparował wódz. – My jesteśmy Kranolta! Nawet Voitan nie mogło stawić nam czoła! To my zetrzemy wasze śmierdzące plemię z tej ziemi!

Roger odetchnął gwałtownie przez nos. Smród zabitych Mardukan przestał mu już przeszkadzać; księżę tkwił zbyt głęboko w mrocznym świetle bitwy.

–Patrz uważnie, stary głupcze – syknął.

Pojedynki miały miejsce na polanie, po południowej stronie strefy walki. Mardukanie nadchodzili przede wszystkim z północy, więc południowa ściana lasu była lepszym, neutralnym celem.

–Plutonowy Julian. – Książę wskazał ręką na południe. – Mały pokaz, proszę.

–Tak jest, Wasza Wysokość – odparł dowódca drużyny przez zewnętrzny głośnik. Zwracał się do Kranolta, a jego toots automatycznie przetłumaczył jego słowa na lokalny dialekt. – Gronningen, zrób tym miłym ludziom miejsce, żeby mieli gdzie pochować swoich zabitych.

–Tak jest – potwierdził Gronningen i stanął twarzą na południe. – Szamanie Cord, niech pan zakryje uszy.

M-105 było znacznie cięższą bronią niż M-98. Pomimo wszechobecnej wilgoci podmokłej dżungli, pierwszy strzał z działka plazmowego, mknąc po prostej linii od wielkiego Asgardczyka do drzewa na środku obszaru wyznaczonego przez księcia, podpalił po drodze kilka krzewów. A był to jedynie efekt uboczny.

Dwudziestometrowy olbrzym, w którego celował marine, po prostu zniknął, trafiony piorunem wykutym z serca gwiazdy. Gruby pień eksplodował na dziesięć metrów nad miejscem trafienia, a długie na dwa metry drzazgi zawyły w powietrzu, bardziej zabójcze niż oszczepy Kranolta. Wierzchołek drzewa poleciał w płonąca dżunglę, a roślinność dookoła niego zamieniła się w drobny, wirujący w rozgrzanym powietrzu popiół, opadający na tuzin innych powalonych pni.

A potem Gronningen wystrzelił po raz drugi. I trzeci.

Trzema ładunkami stworzył półkole o średnicy pięćdziesięciu metrów, otoczone zwęgloną roślinnością, dymiące i parujące. Wódz Kranolta popatrzył osłupiały na dzieło zniszczenia, po czym zadał jedno pytanie.

–Dlaczego?

–Bo nie mam zamiaru przedzierać się przez was do Voitan. Wejdziemy do miasta nie niepokojeni albo zabijemy każdego, kogo zobaczymy. Wybór jest twój.

–A jutro? – Molay zaczynał rozumieć, dlaczego Puvin Eske sprzeciwiał się zaatakowaniu ludzi.

–Jutro możecie zrobić, co w waszej mocy, żeby nas zabić. Powodzenia. Mielicie okazję zabić mnie w pojedynkę... i nie daliście rady. Radzę wam, wracajcie do domów. Jeśli to zrobicie, my... ja, książę Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock, pozwolę wam żyć.

Wódz Kranolta zaśmiał się, jednak nawet dla niego ten śmiech zabrzmiał fałszywie. A może po prostu dzwoniło mu w uszach.

–Macie o sobie duże mniemanie, ludzie! My jesteśmy Kranolta! Ja osobiście jako

jeden z pierwszych wdarłem się na mury Voitan! Nie sądźcie, że zrobią na mnie wrażenie wasze pogróżki!

–My jesteśmy Osobisty Cesarzowej – odparł Roger żelaznym głosem – a Osobisty Cesarzowej nie wie, co to klęska. – Uśmiechnął się ponuro, obnażając zęby w sposób, który niepokoił większość istot żywych, z wyjątkiem ludzi. – Łaska też jest nam obca, więc módlcie się do bogów, żebym zechciał wam ją okazać tym razem.

Mardukanin spojrział na płonącą wyrwę w dżungli i klasnął w dolne ręce.

–Dobrze. Pozwolimy wam odejść.

–Bez przeszkód – powiedział Roger. – Do miasta.

–Tak – potwierdził stary Mardukanin. – A jutro przyjdziemy po was, książę Rogerze Ramiusie Sergeiu Alexadrze Chiangu MacClintock. I Kranolta wszystkich was zabiją!

–Więc przyprowadźcie ze sobą większą armię! – parsknął Roger, odwracając się i włączając radio. – Julian, wynosimy się stąd.

–No pewnie – powiedział plutonowy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

DZIEWIĄTY

Kiedy Roger przeszedł przez bramę zrujnowanego miasta, większości kompanii już nie było. Na szczycie wzgórza stała cytadela i to w niej kapitan Pahner postanowił się bronić.

Nie wysłał tam jednak wszystkich. Większość drugiego plutonu obsadzała bramę, a Pahner siedział na kupie gruzu.

Księżę podszedł do niego i zasalutował.

–Jestem – powiedział. Pahner pokręcił głową i wypluł mu pod nogi gumę. – Po pierwsze, Wasza Wysokość, jak wielokrotnie pan zauważał, to nie pan mi salutuje, tylko ja panu.

–Kapitanie...

–Nie spytam, co pan sobie myślał – ciągnął marine. – Wiem, co pan sobie myślał, i przyznam, że to, co pan zrobił, miało pewien romantyczny aspekt, który na pewno spodoba się reporterom, kiedy wrócimy do domu.

–Kapitanie...

–Ale mnie się nie spodobało – warknął Pahner. – Szafowałem śmiercią marines, żeby utrzymać pana przy życiu, a to, że pan to tak głupio odrzucił, naprawdę mnie wkurwiło, Wasza Wysokość.

–Kapitanie Pahner... – zaczął jeszcze raz księżę, czując wzbierającą złość.

–Chce pan ze mną grać w gierki, Wasza Wysokość? – zapytał ostro marine, wreszcie wstając.

Obaj byli równego wzrostu, mierzyli prawie po dwa metry, ale Pahner był o wiele masywniejszy.

–Chce pan grać w gierki? – powtórzył cicho. – Świetnie. Jestem mistrzem w gierkach. Rezygnuję. Pan jest pierdolonym dowódcą kompanii.

Szturchnął księcia w czoło palcem.

–Niech pan wymyśli, jak przedrzeć się przez tę pieprzoną planetę, nie tracąc całej amunicji i wszystkich żołnierzy.

–Kapitanie... – W głosie Rogera pojawiła się desperacja.

–Tak jest, sir, ja będę po prostu jechał z tyłu. A co mi tam, i tak nic nie mogę zrobić!

– Twarz Pahnera zaczęła przybierać niepokojąco czerwony odcień. – Jestem naprawdę bardzo zły na Bilalego, Wasza Wysokość. Wie pan, dlaczego?

–Hę? – Rogera zbiła z tropu nagła zmiana tematu. – Nie, dlaczego? Ale...

–Bo nie może zapomnieć, że jest pieprzonym marine! – warknął Pahner. – Ja byłem marine zanim urodziła się jego matka, ale kiedy przyszedłem do Pułku, wie pan, co mi powiedzieli?

–Nie. Ale, kapitanie...

–Powiedzieli mi, żebym zapomniał o tym, że jestem marine. Bo marines mają całe mnóstwo wspaniałych tradycji. Marines nigdy nie zostawiają poległych. Marines nigdy nie odmawiają wykonania rozkazu. Marines zawsze podnoszą sztandar. Ale w Osobistym Cesarzowej jest tylko jedna tradycja. A wie pan, jaka jest tradycja pańskiego pułku, pułkownika?

–Nie, chyba nie, ale, kapitanie...

–Tradycja jest taka, że mamy tylko jeden cel. Tylko jedno zadanie. I nigdy nie ponieśliśmy klęski. Wie pan, co to jest?

–Chronić Rodzinę Cesarską – powiedział Roger, próbując dojść do słowa. – Ale, kapitanie...

–Myślisz, że podobało mi się zostawienie Gelerta na śmierć? – krzyknął Pahner.

–Nie, ale...

–Albo Bilalego, albo Hooker, albo, na litość Boską, Dobrescu? Myślisz, że podobało mi się, że zostawiam naszego jedyne go medyka?

–Nie, kapitanie – powiedział Roger, nie próbując już nawet się bronić.

–A wiesz, dlaczego byłem gotów poświęcić tych cennych ludzi, żołnierzy, których szkolilem osobiście, niektórych wiele lat? Ludzi, których kocham? Ludzi, z których istnienia jeszcze niedawno nie zdawałeś sobie nawet sprawy?

–Nie – powiedział Roger, wreszcie naprawdę słuchając. – Dlaczego?

–Bo mamy tylko jedno zadanie: dowieźć cię żywego do Imperial City. Dopóki dzieci księcia Johna nie osiągną pełnoletności i dopóki parlament nie zatwierdzi ich prawa do sukcesji, ty – Boże, miej nas w swojej opiece – jesteś trzeci w kolejce do Tronu

Człowieka! I czy w to wierzysz, czy nie, twoja rodzina to jedyne spoiwo, które powstrzymuje Imperium od rozpadu, dlatego właśnie naszym zadaniem – zadaniem Pułku – jest bronić tego spoiwa za wszelką cenę! Nic innego się nie liczy. Nic! – prychnął kapitan. – To nasza misja. Nasza jedyna misja. Myślałem nad tym i doszedłem do wniosku, że nie mogę im kazać wycofać się i zostawić Gelerta, ale kompania byłaby zgubiona, gdybyśmy wydali im bitwę w tamtym terenie. Dlatego uciekłem – powiedział cicho. – Zostawiłem ich na pewną śmierć, żeby ograniczyć straty, i uciekłem. Z jednego, jedyne go powodu. Wiesz, co to za powód?

–Żeby utrzymać mnie przy życiu – powiedział cicho Roger.

–Więc jak według ciebie się czułem, kiedy okazało się, że cię nie ma? Po tym, jak poświęciłem tych wszystkich ludzi? Kiedy odkryłem, że zrobiłem to na darmo?

–Przepraszam, sir – powiedział książę. – Nie pomyślałem.

–Nie – warknął Pahner. – Nie pomyślałeś. To wybaczone, nawet przewidywalne, u młodego, nieopierzonego porucznika. Ci, którzy przeżywają dzięki szczęściu i wysiłkowi, w końcu uczą się myśleć. Ale nie mogę ryzykować, że tobie się to nie uda. Czy to jasne?

–Tak – odparł Roger ze spuszczonego wzrokiem.

–Jeśli cię stracimy, będziemy sobie mogli równie dobrze poderżnąć gardła. Zdajesz sobie z tego sprawę?

–Tak jest, sir.

–Roger, lepiej, żebyś zaczął myśleć – powiedział już łagodniej kapitan. – Lepiej, żebyś zaczął myśleć bardzo szybko. Niewiele brakowało, a wyprowadziłbym po ciebie całą kompanię.

I wszyscy byśmy na tym zboczu zginali, bo nie udało by nam się odbić cię i wycofać. Wszyscy byśmy zginęli. Wszyscy. Bilali, Hooker, Despreaux, Eleonora, Kostas i cała reszta. Rozumiesz?

–Tak.

Głos Rogera był prawie niesłyszalny. Książę znów wbił wzrok w ziemię.

–A czyja by to była wina? Twoja czy Bilalego?

–Moja – westchnął Roger.

Pahner patrzył na niego przez kilka sekund, nie mrugając oczami, po czym skinął

głową.

–W porządku. Dopóki się co do tego rozumiemy – powiedział i zaczął, aż książę kiwnie głową.

–Pułkownik – ciągnął bez uśmiechu. – Chyba pora obsadzić pana w nowej roli.

Wyciągnął rękę i znów szturchnął Rogera palcem w czoło, tym razem łagodniej.

–Musi pan objąć komendę nad trzecim plutonem, pułkownik. Wiem, że to degradacja, ale naprawdę potrzebny mi tam dowódca. Da pan sobie radę, pułkownik?

Roger oderwał wzrok od ziemi i spojrzał na Pahnera lekko zamglonymi oczami.

–Spróbuję.

–Bardzo dobrze, poruczniku MacClintock. Sierżantem waszego plutonu jest sierżant Jin. To doświadczony podoficer i sporo się pan nauczy, słuchając jego rad. Przypominam panu, że dowódca plutonu to jedno z najbardziej niebezpiecznych stanowisk w Korpusie. Proszę na siebie uważać.

–Tak jest, sir – powiedział Roger i znów zasalutował.

–Niech pan tam idzie, poruczniku – poradził mu Pahner. – Wasz pluton właśnie się okopuje. Powinien pan jak najszybciej zapoznać się z sytuacją.

–Tak jest, sir! – zasalutował książę.

–Odmaszerować – powiedział kapitan i pokręcił głową patrząc, jak Roger biegnie w stronę cytadeli.

Wreszcie udało mu się umieścić księcia w strukturach dowodzenia, chociaż wzdrygał się na myśl o tym, co powie dowódca pułku, kiedy się o tym dowie. Teraz musiał tylko utrzymać młodego idiotę przy życiu. Dowódca plutonu to było naprawdę najniebezpieczniejsze stanowisko w Korpusie, co nie oznaczało, że było mniej niebezpieczne niż przyglądanie się, jak książę Roger radzi sobie sam.

Patrzył za nim jeszcze chwilę, po czym doszedł do wniosku, że musi się pośpieszyć. Nie mógł się doczekać, aż zobaczy wyraz twarzy Jina.

*** * ***

–Sierżant Jin?

–Tak, Wasza Wysokość? – sierżant przerwał uzgadnianie stanowisk i pól ostrzału z

kapralem Cassetem, i spojrzął na księcia. – W czym mogę pomóc?

Voitan było ogromne, ale sama cytadela tak prosta, jak to możliwe. Opierała się o strome urwisko, pozostałość po kamieniołomie, z którego czerpano materiały do budowy reszty miasta. Trzypiętrową twierdzę otaczał półkolem siedmiometrowej wysokości mur, zwężający się ku górze i mierzący na szczycie trzy metry szerokości, zakończony po obu stronach wbudowanym w ścianę urwiska bastionem. Do bastionów można było się dostać jedynie przez małe drzwiczki po wewnętrznej stronie, na poziomie blanków. Pierwotne drewniane drzwi dawno zniknęły, ale marines wprawiali już nowe. Górne poziomy bastionów, podobnie jak twierdzy, zbudowane były z drewna i wiele lat temu spłonęły, za to dolne, kamienne, stanowiły integralną część muru. Przetrwały nie tylko atak Kranolta, ale również niszczycielskie działanie czasu oraz nieustanny napór mardukańskiej dżungli.

Na poziomie muru, od zewnętrznej strony otwierały się szczeliny, przez które można było ciskać włócznie i oszczepy. Z wyższych poziomów można było też razić szczyt muru, na wypadek, gdyby zajęli go szturmujący, oraz dziedziniec.

Sama twierdza była wielką, wypaloną, porośniętą pnączami skorupą. Najwyższy jej poziom, tak jak w przypadku bastionów drewniany, spłonął do szczytu. Tył cytadeli za to wpuszczono w urwisko; sklepienie podtrzymywały sprytnie skonstruowane kamienne podpory, a w powstałej w ten sposób jaskini można było schronić zwierzęta, rannych i nie biorących udziału w walce. *Flar-ta*, przykute do skał łańcuchami, by nie wpadły w szal i nie zaczęły tratować ludzi, zajmowały najniższy poziom, zaś ranni i cywile czekali na podwyższeniu od północnej strony, razem z Julianem i innymi marines we wspomaganych pancerzach.

Parter cytadeli opatrzony był w strzelnice, ale jedyne wejście do środka znajdowało się na pierwszym piętrze i trzeba było się do niego wspinać po schodach. Ściany pokrywały pnącza, a spomiędzy kamieni dziedzińca wyrastały drzewa, nie licząc jednak roślinności i zniszczonej bramy, szary kamień fortecy był nietknięty.

Trzeci pluton, wciąż mniej więcej w pełnym składzie, został przydzielony do obsadzenia lewej części muru, podczas gdy pierwszy i drugi dzieliły prawą. Obie grupy pracowały gorączkowo, wznosząc barykady w miejsce wyłamanej i nadgniłej bramy, a sierżant Jin wyznaczał żołnierzom stanowiska bojowe i pola ostrzału. Było istotne, by pokryć ogniem wszystkie możliwe drogi podejścia oraz by najcięższy ostrzał skierować w stronę, z której przeciwnik miał najprawdopodobniej zaatakować głównymi siłami.

Mając to na uwadze, Jin rozmieścił swoich grenadierów tak, by kryli najważniejsze podejścia. Wskazał im także miejsca, w których nieprzyjaciel będzie się krył przed ostrzałem; było ich jednak dużo. Cytadela wznosiła się nad czymś, co niegdyś było gęsto zaludnionym miastem, a nad wąskimi, krętymi uliczkami wciąż górowały ruiny

wypalonych domów. Samo to zapewniłoby osłonę atakującym, zgłiszczą jednak porośnięte były pnączami, małymi drzewkami, płożącymi się krzewami i paprociami, dając w efekcie prowadzące pod sam mur cytadeli osłonięte okopy. To właśnie były podstawowe cele grenadierów, ponieważ jako jedyni dysponowali bronią pozwalającą na pośredni ostrzał przeciwnika za osłoną.

Pluton miał też na składzie dwa działka plazmowe. Z powodu awarii pancerzy i faktu, że mieli się bronić w miejscu, broń zamontowano na trójnogach. Jin zamierzał używać jej jedynie przeciwko największym skupiskom nieprzyjaciela – marines obawiali się ubocznych efektów strzelania z broni plazmowej, a poza tym musieli oszczędzać bezcenną amunicję.

Pluton miał się obyć bez Juliana i jego pancernych. Zepsute broje załadowano na zwierzęta, z wciąż zamkniętymi w środku przeklinającymi użytkownikami, i przeniesiono do cytadeli. Sprzęt leżał teraz porozkładany pod murem i był naprawiany przez Poertenę, ale marines, których pancerze były sprawne, stanowili rezerwę kompanii. Mając więc za mało ludzi do obsadzenia powierzonego mu odcinka muru, pozbawiony komendy nad ciężkim sprzętem i postawiony przed możliwością, aczkolwiek niewielką, że straci pół plutonu w wyniku eksplozji działka plazmowego, sierżant Jin dowiedział się, że przydzielono mu jeszcze jeden obowiązek.

–Jestem waszym nowym dowódcą plutonu – powiedział Roger.

–Słucham? – rozejrzał się Jin.

Kapral Casset stał z opadniętą szczęką, ale oprócz niego i stojącego za księciem zmęczonego i wściekłego szamana, nikt nie słyszał oświadczenia księcia.

–Czy to jakiś żart, Wasza Wysokość?

–Nie, sierżancie, to nie żart – powiedział ostrożnie Roger. – Kapitan Pahner powiedział, że ma dla mnie nową rolę. Wyznaczył mnie na waszego dowódcę plutonu.

–O – stwierdził Jin. Oczy lekko mu się zaszklily. – Bardzo dobrze, Wasza Wysokość. Jeśli da mi pan chwilę, oprowadzę pana po umocnieniach i pokażę rozmieszczenie ludzi. Potem poproszę pana o komentarze i sugestie.

–Świetnie, sierżancie. Myślę też, że bardziej odpowiednie będzie „sir”. Albo „poruczniku”. Jeśli dobrze zrozumiałem, chwilowo nie jestem księciem.

–Oczywiście, Wasza... sir – powiedział sierżant, kręcąc głową.

–Kapitanie, rozmieściliśmy ludzi na pozycjach i...

–Ćśśś! – Pahner machnięciem ręki uciszył porucznika Jasco i obrócił kilka razy głowę z boku na bok.

–Słucham, sir? – spytał Jasco, bezskutecznie próbując zrozumieć, o co chodzi.

Widział tylko tego idiotę księcia, rozmawiającego z sierżantem Jinem.

–Ćśśś! – powtórzył kapitan i chrząknął z zadowoleniem, kiedy wreszcie udało mu się ustawić mikrofon kierunkowy na toczącą się rozmowę dokładnie w chwili, kiedy Jin zdał sobie sprawę, co zrobił mu dowódca kompanii.

Na twarzy porucznika Jasco nie drgnął ani jeden mięsień, chociaż Pahner zrobił coś, co wszyscy uważali za całkowicie niemożliwe. Zachichotał. W wykonaniu wielkiego, masywnego oficera brzmiało to niesamowicie, a kapitan niemal natychmiast się opanował. Słuchał przez kilka następnych sekund, po czym wyłączył mikrofon i odwrócił się do Jasco.

–Tak, poruczniku? – spytał, wciąż rozbawiony. – Coś pan mówił?

–Wszyscy ludzie na pozycjach, sir. Jak pan sądzi, kiedy zaatakują?

–Poruczniku – Pahner spojrzał na niebo – tak samo jak pan, mogę tylko zgadywać. Myślę jednak, że zaczekają do rana. Robi się późno, a nigdy nie atakowali nas po zmroku. Za chwilę do was przyjdę. Na razie niech pan ustali z sierżantem plutonu rotację jedzenia.

Czuł, że Matsugae zaczął coś gotować.

*** * ***

Roger pociągnął nosem i spojrzał w stronę twierdzy, gdzie Kostas szykował kolację. Służący może i ryzykował życiem, by uratować obcego żołnierza, ale nie wydawało się to robić na nim specjalnego wrażenia. Zajął się organizacją obozu. Może należało wyciągnąć z tego nauczki.

Księżę rozejrzał się i popatrzył na pracujących dookoła żołnierzy. Kiedy skończono podstawowe rzeczy – rozstawianie ciężkiej broni, przydzielanie pól ostrzału, układanie worków z piaskiem w miejscach, gdzie z muru wykruszyły się kamienie – marines zajęli się ulepszaniem własnych pozycji. Mimo intensywnego upału, gorszego jeszcze wewnątrz kamiennych ścian, żołnierze pracowali bez przerw. Wiedzieli, że kiedy Kranolta uderzą, będzie już za późno na zapewnianie sobie większych szans na przeżycie.

Do księcia podeszła Despreaux, a on pozdrowił ją skinieniem głowy.

–Pani plutonowy – powiedział, a ona kiwnęła mu w odpowiedzi i rzuciła coś, co trzymała w dłoni.

–Fajne plemię.

Roger złapał przedmiot i zbladł. Była to bardzo mała mardukańska czaszka. Rogi wyglądały jeszcze jak guzki.

–W bastionie leży wielki stos kości – ciągnęła marine. – To stamtąd. Wygląda na to, że obrońcy walczyli do końca.

Roger wyjrzał za krawędź muru, na gruzy zabudowań w dole. Miał już dość doświadczenia, by wyobrazić sobie, co musieli oglądać obrońcy twierdzy, kiedy reszta ich miasta płonęła, a na ulicach trwała masakra. By wyobrazić sobie ich rozpacz i desperację, kiedy runęła brama, a do środka wlała się horda barbarzyńców...

–Nie jestem tym zachwycony – stwierdził, kładąc delikatnie czaszkę na parapecie muru.

–Widziałam gorsze rzeczy – powiedziała zimno Despreaux. – Brałam udział w zrzucie na Jurgen. Proszę mi wybaczyć humanocentryzm, ale... tam było gorzej.

–Jurgen? – Roger nie był w stanie umiejscowić nazwy. Twarz plutonowej zeszywniała, zadrżał jej mięsień szczęki.

–Zupełnie nieważne miejsce, Wasza Wysokość. Cuchnący, mały pograniczny światek. Gromada kolonistów-nędzarzy, jedno miasto. Odwiedził ich piracki statek. Wyjątkowo nieprzyjemna banda. Kiedy tam dotarliśmy, już ich nie było. Efekty ich wizyty zostały.

–Och – powiedział Roger. Ataki na światy pogranicza były tak częste, że w centrum Imperium nie zwracano już na nie uwagi. – Przykro mi.

–Nie musi być panu przykro, Wasza Wysokość. Trzeba tylko pamiętać o jednym – cały czas gdzieś tam czają się źli goście. Jedyni ludzie, którzy ich zazwyczaj widzą, to Flota i marines, ale za to dość często. Barbarzyńcy zawsze czają się u bram.

Dotknęła lekko czaszki, skinęła chłodno głową księciu i wróciła do swojej drużyny. Roger dalej patrzył na miasto, gładząc czaszkę kciukiem, dopóki nie podszedł do niego Pahner.

–Jak wam idzie, poruczniku?

–W porządku... sir – powiedział nieobecny głosem księżę, nie odrywając wzroku od zamordowanego Voitan. – Kapitanie, czy mogę coś powiedzieć jako Jego Wysokość, a nie porucznik?

–Oczywiście – uśmiechnął się Pahner – Wasza Wysokość.

–Myślę sobie, że nie byłoby dobrym pomysłem zostawiać jakiegokolwiek siły wroga za plecami, prawda?

–Mówi pan o Kranolta? – Pahner spojrzał na czaszkę.

–Tak, kapitanie. Jak stoimy z energią do pancerzy?

Pahner skrzywił się.

–Biorąc pod uwagę, że mamy tylko cztery, całkiem nieźle. Dla czterech pancerzy energii starczy na wiele dni. Ale musimy uruchomić pozostałe, jeśli chcemy mieć nadzieję na odbicie portu.

–Ale na pościg starczy, prawda?

–Oczywiście – skinął głową kapitan. – Ma pan rację co do zostawiania niedobitków za plecami. Nie chcę męczyć się z zasadzkami przez całą drogę do następnego miasta.

–Dobrze – Roger odwrócił się i spojrzał Pahnerowi w oczy. – Sądzę, że zostawienie chociaż jednego Kranolta przy życiu nie przysłuży się sprawie cywilizacji na tej planecie. Wolałbym, żeby jutro tak nie było.

Pahner popatrzył na niego spokojnie, po czym pokiwał głową.

–Ja również, Wasza Wysokość. Ja również. Myślę, że jutro postawimy tu *samadh*. Na cześć Korpusu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Roger wyjrzał z cytadeli, kiedy pierwsze, szare od chmur światło poranka zaczęło otulać martwy, niszczone przez dżunglę miejski krajobraz.

Kompania była na nogach już od prawie godziny, jedząc śniadanie i przygotowując się na pierwsze chwile dnia. Ten moment, brzask przed świtem, uznawany był za najniebezpieczniejszy od tysięcy lat. O tej porze właśnie najlepiej było atakować – zaspani wartownicy byli najmniej czujni, a atakujący mogli podejść pod osłoną ciemności i walczyć już w świetle.

Odpowiedź marines była taka sama, jak wszystkich armii od wieków – wstali, gdy było jeszcze ciemno, i przygotowali się na krytyczny moment. Naturalnie, zgodnie z odwieczną tradycją, znalazło się kilku niezadowolonych.

Roger do nich nie należał. W nocy przez wiele godzin zastanawiał się nad tym, co zrobił, i martwił o to, co miało nadejść. Walczył już z potworami, brał udział w kilku małych potyczkach, ale to miała być jego pierwsza prawdziwa bitwa. Dziś Kranolta mieli przyjąć ich pozabijając i ktoś miał przegrać, a ktoś zwyciężyć. Niektórzy mieli zginąć, a niektórzy przeżyć. Wydawało się, że straty powinny być niewielkie, ale ryzyko istniało mimo to. Istniała również szansa, że ludzie zostaną pokonani, a wtedy wieść o zdradzie na pokładzie *DeGloppera* nigdy nie dotrze na Ziemię. Roger uśmiechnął się sam do siebie, kiedy zdał sobie sprawę, o czym myśli. Martwił się przede wszystkim o to, że jego matka o niczym się nie dowie, a nie o to, że on może zginąć. Zabawne.

Starszy sierżant Kosutic podeszła do niego cicho i oparła się o sąsiedni parapet.

–Na razie cicho – powiedziała i spojrzała na Corda, stojącego w milczeniu za plecami Rogera. Po wydarzeniach poprzedniego dnia stary szaman trzymał się blisko księcia, rzadko kiedy oddalając się na więcej niż pięć metrów.

Sierżant w nocy co jakiś czas wstawiała. Nie martwiła się, po prostu jako doświadczony wojownik wiedziała, że musi być na bieżąco z sytuacją. Mimo to za każdym razem kładła się bardziej zaniepokojona; wartownicy meldowali, że widać coraz więcej ognisk. Komputery taktyczne miały problemy z ustaleniem konkretnych liczb, ale każde światelko zwiększało przybliżoną liczbę Kranolta. Obecny stosunek sił nie wyglądał dobrze.

–Szkoda, że nie mamy drutu kolczastego – powiedziała.

–Myśli pani, że do tego dojdzie? – spytał zaskoczony Roger. – Mają tylko włócznie, a my działka plazmowe.

–Wasza Wysokość... to znaczy, panie poruczniku – uśmiechnęła się Kosutic. – Jest taka stara opowieść o generale i kapitan. Walczyli z jakimiś dzikusami i zobaczyli samochód powietrzny ze sterzącą z drzwi włócznią. Kapitan roześmiała się i spytała, jak mogą przegrać z ludźmi uzbrojonymi jedynie we włócznie. Generał spojrział na nią i spytał, jak według niej mają wygrać z ludźmi, którzy decydują się walczyć z samochodem powietrznym, mając tylko włócznie.

–Jaki z tego morał? – spytał uprzejmie Roger.

–Morał, panie poruczniku, jest taki, że nie ma czegoś takiego jak zabójcza broń. Są tylko zabójczy ludzie, a ci Kranolta – machnęła ręką w kierunku zrujnowanego miasta – są całkiem zabójczy.

Roger kiwnął głową i rozejrzał się, po czym spojrział jej w oczy.

–A my? – spytał cicho.

–O tak – powiedziała. – Każdy, kto przechodzi przez PE, musi być niezły. Ale... szumowiniaków będzie dużo, a nas nie za wiele. – Wzdrygnęła się lekko, czując zapach dymu z tysięcy ognisk w dżungli. – Będzie interesująco. Niech mnie szatan, jeśli nie.

–Uda nam się, pani sierżant – powiedział ksiązę pewnym siebie głosem.

–Tak. – Kosutic spojrzała na rękojeść miecza, wystającą znad jego ramienia. – Chyba tak.

Pahner robił właśnie obchód i sprawdzał pozycje. Podeszedł do nich i popatrzył na mgłę spowijającą zrujnowane miasto.

–Piękny poranek, kochani – zauważył, a Roger zachichotał.

–Byłby jeszcze piękniejszy, gdyby połowa mojego plutonu była w pancerzach, kapitanie. Jak wygląda sytuacja?

–Nie najlepiej, poruczniku – skrzywił się Pahner. – Poertena znalazł przyczynę awarii – pleśń na izolacji styków przewodów zasilania serwomechanizmów stawów. Nie można zerwać izolacji, bo styki są nowego typu. Problem wystąpił tylko w nowych, „ulepszonych” wersjach.

–O, cholera – zaśmiała się ponuro Kosutic.

–Właśnie – przytaknął Pahner. – Jeszcze jedno ulepszenie. Pancerze, których nie „unowocześniano”, są w porządku, ale to tylko cztery.

–Co zrobimy? – Roger był zupełnie dezorientowany; kapitan bez przerwy podkreślał, że pancerze są niezbędne, jeśli chcą zdobyć port.

–Na szczęście styki się zużywają, więc każda zbroja wyposażona jest w zapas. Te fabrycznie zapakowane są w porządku, ale...

–Ale normalnie każdy pancerz ma tylko jeden komplet – pokręciła głową Kosutic. – Dlatego aż do samego portu mamy tylko cztery pancerze sprawne.

–Tak jest – kiwnął głową kapitan – Możemy użyć na części zbroje, do których stracimy użytkowników, albo które zepsują się tak, że nie będziemy w stanie ich naprawić. Więc jeśli robi się naprawdę niebezpiecznie, będziemy mogli zapakować Jego Wysokość w pancerz, ale na razie mamy tylko „czterech jeźdźców”.

–To chyba będzie musiało wystarczyć – powiedział Roger wruszając ramionami, po czym zmienił temat. – Jaki mamy plan na dzisiaj, kapitanie?

Pahner również wruszył ramionami.

–Czekamy, aż większość ich sił podejdzie blisko, po czym otwieramy ogień ze wszystkiego, co mamy. Nie będę zabierał głosu w sprawie, czy należy ich zniszczyć jako plemię, ale nie możemy zostawić sobie za plecami dużego oddziału wroga. Dlatego trzeba ich wyeliminować co najmniej jako zagrożenie.

–Damy radę to zrobić? – Zapal Rogera opadł trochę przez noc; zmartwionym wzrokiem popatrzył na stanowiska strzeleckie.

–Jeśli maksymalne zagrożenie jest takie, jak przypuszczam, tak – powiedział Pahner. – Jest duża różnica między barbarzyńskim wojownikiem a żołnierzem, a Kranolta dzisiaj się o tym przekonają.

–Ilu ich jest, jak pan ocenia? – W dżungli płonęło kilkaset ognisk. Według komputera taktycznego w hełmie Rogera, prawie tysiąc.

–Oceniam ich na maksimum pięć tysięcy wojowników plus trochę personelu obozowego. Przy większej liczbie pojawiają się problemy z logistyką.

–Pięć tysięcy? – zakrztusił się książę. – Nas jest tylko siedemdziesiąt osób!

–Spokojnie, Wasza Wysokość – uśmiechnęła się chłodno Kosutic. – Sama obronna pozycja, taka jak ta, daje nam przewagę dziesięciu do jednego. Proszę dodać siłę ognia, a pięć tysięcy przestaje być niemożliwością. – Przerwała i zamyśliła się. – Czy będzie ciężko? Tak. Ale da się to zrobić. Trzeba się jednak liczyć ze stratami.

–Przeżyjemy – powiedział z ponurą determinacją Pahner. – Tylko to się liczy.

–A co o tym sądzi Cord? – spytał księżę, oglądając się przez ramię. Mimo zapewnień marines, wciąż był pod wrażeniem liczby przeciwników.

–Mówi się, że Kranolta są liczni jak gwiazdy na niebie – powiedział cicho szaman. – Pokrywają ziemię jak drzewa.

–Może i tak – stwierdził Pahner – ale trudno nazwać to konkretną liczbą. W takich warunkach bardzo trudno jest utrzymać więcej niż pięć tysięcy wojowników. Na przykład, nie widzę żadnego taboru.

–A jeśli jest ich więcej? – spytał Roger z powątpiewaniem.

–Więcej niż gwiazd na niebie? – Pahner uśmiechnął się krzywo. – Jeśli jest ich więcej niż pięć tysięcy, po prostu... damy sobie radę. Najważniejsze to przeżyć i uszkodzić ich na tyle, żeby doszli do wniosku, że przypieprzanie się do Imperialnych marines to droga do piekła na skrót.

*** * ***

–O, cholera – szepnęła kapral Kane.

Marines pracowali na zmianę przez całą noc, przygotowując umocnienia. Kapral stała na świeżo zbudowanej platformie w jednym z wypalonych bastionów, monitorując czujniki rozstawione na podejściach do cytadeli. Dzięki temu spotkała ją wątpliwa przyjemność widoku zbliżającej się hordy. Spojrzała jeszcze raz na przybliżoną liczbę podaną przez komputer, zbladła i włączyła radio.

–Plutonowa Despreaux, może pani zajrzeć do wschodniego bastionu?

*** * ***

Grupa dowodzenia kompanii stała na szczycie kordegardy, przyglądając się nadciągającej hordzie na HUD hełmów. Maksymalny szacunek Pahnera został zdecydowanie przekroczony.

–Jak, do cholery, udało im się zebrać piętnaście tysięcy wojowników? – spytał kapitan z wściekłością. Wydawał się nie móc zdecydować, czy ma nie wierzyć liczbom, czy czuć się obrażonym na Kranolta za to, że nie chcieli podporządkować się jego profesjonalnej ocenie sytuacji.

–Dokładnie między piętnaście a osiemnaście tysięcy, sir – poprawił go porucznik Gulyas, patrząc na odczyty hełmu.

–Mam kazać Poertenie rozgrzewać pozostałe pancerze, sir? – spytał porucznik MacClintock.

–Nie – powiedział Pahner, myśląc gorączkowo.

–Moglibyśmy zaatakować ich z większej odległości – zaproponował Jasco. – Działka plazmowe sięgną ich stąd, a mają wystarczającą siłę przebicia, żeby przepalić się przez zarośla. Cholera, większość tych ścian nie byłaby dla nich problemem.

–Nie – powtórzył kapitan, potrząsając głową. Wyjął listek gumy i bezceremonialnie wrzucił go sobie do ust.

–Robi się naprawdę ciekawie, szefie – zauważyła Kosutic, wyglądając zza blanki.

–Ściągnąć działka plazmowe z murów – powiedział nagle Pahner. – Ustawić je w bastionach tak, żeby w każdej chwili można je było stamtąd zabrać. Po jednym na dole, a resztę na poziomie blanków. Kiedy dojdzie do starcia, zostają nam tylko karabiny. Żadnych granatów, żadnych plazmówek.

–Ale... – zdziwił się porucznik Jasco. – Sir, stracimy mury!

–Tak jest – zgodził się Pahner z ponurym uśmiechem. – Upewnić się, że brama twierdzy jest porządnie zabezpieczona. I powiedzcie Julianowi, że ma siedzieć na tyłku, dopóki nie dostanie innych rozkazów. I niech te cholerne zwierzęta będą dobrze przywiązane!

Gdyby *flar-ta* wielkości słonia zaczęło miotać się w takiej ciasnocie, wszyscy, którzy nie mieliby na sobie pancerzy, byliby zgubieni.

–Zajmę się tym – powiedział Jasco, wychodząc.

–Ściągnijcie te działka – zwrócił się Pahner do Gulyasa. – Pamiętajcie, przynajmniej po jednym na dole. Mamy pięć, więc dwa na górze, jedno na dole w bastionie trzeciego plutonu. Jedno na dole, jedno na górze w bastionie wschodnim.

–Robi się – odparł porucznik i wyszedł, a kapitan odwrócił się w stronę nadciągających Kranolta.

–Ciągle nie mogę w to uwierzyć. – Pokręcił głową. – Skąd biorą żywność?

–Od jakiegoś czasu wiedzieli, że się zbliżamy – zauważył Cord. – Na pewno doszły ich wieści z Q’Nkok. Wojownicy mogli całymi dniami jeść, a potem wyruszyć pod Voitan z zapasami. Mamy szczęście, że doszliśmy tu przed główną armią.

–Pewnie czekali na nas tam, gdzie jest to przejście przez bagno, niech je szatan – zgodziła się Kosutic. – Dobrze, że nie wiedzieliśmy, gdzie to jest, bo już byłoby po nas.

–Nie mogą zostać tu długo – przyznał Cord. – Najwyżej kilka dni. Ale nie mają takiego zamiaru. Zostaną tylko tyle czasu, ile zajmie im zabicie nas.

–A jeśli ich po prostu odeprzemy – podjął Roger – będą się na nas czaić co kilka kilometrów w dżungli.

–Dlatego musimy zrobić więcej niż tylko ich odeprzeć – potwierdził Pahner. – I zrobimy to.

–Miejmy nadzieję – powiedział książę. – Miejmy nadzieję.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

PIERWSZY

Przez cały długi poranek nieprzyjaciel zbierał się pod zrujnowanymi murami miasta. Barbarzyńcy dęli w swoje przerażające zdobyczne rogi i bili w bębny, jakby drwiąc z ukrytych w cytadeli ludzi. W końcu ustawili się w szyku i ruszyli do ataku.

Pahner, obserwujący z kordegardy ich podejście na HUD, przekazującym odczyty z rozstawionych sensorów, pokiwał głową. Pierwsza grupa niosła drabiny, a w głębi hordy wojownicy z linami ciągnęli wielki taran. Dobrze się przygotowali, pomyślał, ale przecież już kiedyś zdobywali to miasto.

Chociaż nigdy nie próbowali odebrać go Osobistemu Cesarzowej.

–Trzeci pluton, kiedy taran zbliży się na sto pięćdziesiąt metrów do bramy, wyjmijcie go ogniem plazmy.

Roger stał na swoim stanowisku na szczycie muru. Umocniona pozycja została przygotowana dla działka plazmowego, mógł więc w miarę bezpiecznie przyglądać się stamtąd nadciągającemu wrogowi. Wstrzymywanie się z użyciem ciężkiej broni, aż Kranolta podejda tak blisko, wydawało mu się nierozważne, ale dowodzenie zostawił Pahnerowi. Włączył mikrofon i przekazał rozkaz.

Starszy kapral Cathcart przebolewał już awarię swojego pancerza, ale wciąż był wkurzony o to, że kazano mu zejść z muru i wstrzymać ogień. Kiedy więc dostał rozkaz ostrzelania tarana, wykonał go z przyjemnością.

Budowniczy umocnień Voitan musieli się liczyć jedynie z mieczami i włóczniami, co wyjaśniało strefy ostrzału, jakie zostawili. Podejścia do cytadeli wyłożone były kamiennymi płytami na przestrzeni stu pięćdziesięciu metrów od bramy i niecałych stu od reszty muru. W tej odległości stały pierwsze zabudowania; ich rozsypujące się, zarośnięte resztki nie pozwalały wykorzystać przewagi zasięgu broni marines, gdyby Pahner nie zdecydował się pozwolić barbarzyńcom podejść. Ruiny naszpikowane były jednak czujnikami, przez które Cathcart obserwował zbliżającą się hordę.

Podtoczył działko do otworu strzelniczego i oblizał się w myślach, ostrożnie je ustawiając. Broń zaprojektowano tak, by można było montować ją na pancerzach albo używać niezależnie. Wyposażona była w wysuwane kółka, bardzo przydatne w sytuacjach takich jak ta. Kapral ustawił działko i wcisnął przycisk, opuszczając je na platformę ogniową.

–Cofnąć się. Może być podmuch.

Lufa broni wysunęła się na zewnątrz mini-fortu, a Cathcart znów wypatrzył taran, już pięćdziesiąt metrów bliżej. Wielka kłoda znajdowała się dokładnie na wprost; kapral wcisnął następny guzik i chrząknął z zadowoleniem, kiedy na ekranie działka taran został otoczony czerwoną linią. Komputer uznał go za cel i zaczął automatycznie śledzić.

Można było zrobić to szybciej, ale mieli sporo czasu i nie szkodziło przygotować się, jak trzeba. Kapral oznaczył taran jako cel i podał komputerowi trzy konkretne punkty, w które miał strzelać, po czym oderwał wzrok od wyświetlacza i po raz ostami dokładnie się rozejrzał. Sam znajdował się za osłoną, ale wszyscy inni w pobliżu mogli się dostać w zasięg płomienia wylotowego, kiedy ładunek plazmy będzie opuszczał otwór strzelniczy. Na szczęście wszyscy kryli się za jakąś osłoną. Pewnie też dlatego, pomyślał kapral, że pamiętali dobrze wybuch karabinu Bosum.

–Ognia!

Trzy ładunki plazmy zadziałały jak mikronuklearne eksplozje, którymi w istocie były. Nie rozniosły tarana w drzazgi – unicestwiły go razem z tymi, którzy go nieśli, i wszystkimi wojownikami w promieniu czterdziestu metrów. Poza tą strefą kilku Kranolta przeżyło, chociaż pokryci śluzem Mardukanie ucierpieli straszliwie od fali gorąca. Cała horda zawyla, ale nie była całkowicie zaskoczona – opowieści o pokazie Juliana zdążyły się między barbarzyńcami rozejść.

Z perspektywy ludzi gorszy był fakt, że wąskie, kręte uliczki, zasłane gruzem i zarośnięte, rozdzieliły nacierających Kranolta w posuwające się do przodu macki, dokładnie tak, jak obawiali się marines. Gdyby horda szła bardziej skoncentrowana, ostrzał mógłby jej wyrządzić znacznie więcej szkód. Brak organizacji barbarzyńców działał na ich korzyść – marines nie mogli wykorzystać pełnej przewagi, jaką dawał im zasięg ich broni.

Był to główny powód, dla którego Pahner wybrał taki, a nie inny plan rozmieszczenia kompanii. Jeśli szumowiniaki były gotowe ponieść odpowiednio duże straty, mogły podejść pod mury niezależnie od tego, co zrobiliby ludzie, kapitan więc postanowił uczynić broń ze swojej słabości.

Najtrudniejszą częścią planu było zadanie barbarzyńcom wystarczających strat, by rozwścieczeni nie przerwali szturmowi, jednocześnie nie zabijając ich tyłu, by się wycofali, aż głód zmusi marines do opuszczenia pozycji i zaryzykowania niekończących się zasadzek w dżungli. Horda barbarzyńców była już chyba jednak wystarczająco wściekła, pomyślał Pahner patrząc, jak Kranolta rzucają się naprzód, omijając wielką, dymiącą wyrwę, którą działko plazmowe zrobiło w ich szeregach.

Wystrzał Cathcarta dał znak reszcie kompanii do otwarcia ognia. Położenie cytadeli trochę pomagało, ale najdalszy fragment otwartego terenu oddalony był od muru o zaledwie sto pięćdziesiąt metrów. Dla karabinu śrutowego był to bliski zasięg, ale Mardukanie musieli przebiec dystans równy półtorej długości boiska do piłki nożnej.

–Ognia! – warknął sierżant Jin na sieci plutonu i sam dał przykład. Pierwsza salwa posiała prawdziwe spustoszenie wśród pierwszych szeregów wojowników, ale pozostali niewzruszenie parli dalej. Podnieśli upuszczone przez zabitych drabiny i rzucili się ku murom.

*** * ***

Pahner kiwnął głową. Nieprzyjaciel atakował mniej więcej tak, jak się tego spodziewał, chociaż zaskoczyły go drabiny. Kranolta było nawet więcej niż szacował komputer taktyczny, poza tym nacierali większą masą na zachodnią flankę, tam, gdzie walczył Roger. Można ich było trochę przetrzebić.

–Dwie salwy granatów – zawołał Pahner. – Celować w środek skupiska, jakieś siedemdziesiąt pięć metrów od muru. Szturm ma się załamać.

–Zrozumiałem – potwierdził porucznik Jasco.

Przejął komendę nad prawą ścianą, podczas gdy porucznik Gulyas był w twierdzy.

Grenadierzy wybiegli z bastionów i ustawili się na murze, strzelcy tymczasem nie przerywali mierzonego ostrzału atakujących Mardukan. Marines przygotowali broń i czekali na rozkaz, a Pahner odliczał sekundy.

–Teraz!

Dwunastu grenadierów wystrzeliło jednocześnie. Większość z nich po raz pierwszy miała okazję zobaczyć wyraźnie wroga, ale liczba atakujących Kranolta nie osłabiła ich celności. Dwadzieścia cztery granaty pomknęły hakiem w masę wojowników, spadając za ścianami i stertami gruzu, które blokowały ogień karabinów. Dwie serie eksplozji wyrwały dziury w armii barbarzyńców; setki czteroręcznych Mardukan runęły z wrzaskiem na ziemię, kiedy odłamki granatów posiekały ich gęste szeregi.

–Jeszcze raz – zawołał Pahner. – Skrócić zasięg o pięćdziesiąt metrów.

Granatniki znów plunęły śmiercią, rozdzierając szeregi wroga. Wojownicy jednak przeszli nad zmasakrowanymi ciałami i biegli dalej, dmąc w rogi i rycząc wojenne okrzyki.

–W porządku – powiedział Pahner, usatysfakcjonowany. – Z powrotem pod osłonę. – Wydał wargi i zagwizdał. – „Gdyś ranny i zostawion wśród mardukańskich pól...”

Większość grenadierów schowała się w bastionach. Ci, którzy zostali, podnieśli karabiny śrutowe i znów zaczęli strzelać.

Nieprzyjaciel był już pod murami.

*** * ***

–Sir – powiedział porucznik Jasco z chrząknięciem, które wyraźnie poniosło się przez komunikator – mam tu więcej drabin niż rąk do ich spychania. Przydałoby się jakieś wsparcie.

–U mnie to samo – zameldował Roger, a Pahner usłyszał w tle charakterystyczny dźwięk stali rozcinającej ciało. – Niedługo stracimy mur!

–Za wcześnie – szepnął kapitan, wyglądając przez strzelnicę nad pozycjami Rogera. Mardukanie wdarli się już na blanki i zwarli w walce wręcz z marines. Na oczach Pahnera książkę zdjął jednemu głowę z ramion, a Cord przebił włócznią innego.

–Wyprowadzić grenadierów i plazmy! Zepchnąć ich z murów! – rozkazał kapitan. Trzymał grenadierów i marines z plazmami pod osłoną, by chronić ich przed spodziewanymi chmurami oszczepów, ale Kranolta nimi nie rzucali. Zamiast tego z fanatyczną determinacją koncentrowali się na zdobyciu murów i zwarciu w walce z mniejszymi przeciwnikami. Kiedy wreszcie zrobią to, co przewiduje plan? pomyślał Pahner, chichocząc ponuro w myślach. Chyba zrozumieli już, że oszczepy nie mogą się równać zasięgiem z karabinami. Szkoda, że naprawdę żaden plan nie wytrzymuje kontaktu z nieprzyjacielem!

Posiłki marines i grad granatów zepchnęły wroga z murów. Pahner poczuł ulgę widząc, że na blankach nie ma żadnych nieruchomych ciał, a tylko kilku żołnierzy opatruje rany.

–Wymienić broń. Ranni do bastionu. – Wyrzwał przez strzelnicę w stronę nieprzyjaciela, który wycofywał się z dość dużą prędkością. – Przygotować się na następny atak!

*** * ***

–Do środka, Despreaux. – Roger kciukiem pokazał bastion.

–Nie jest ze mną tak źle, sir. – Plutonowa przytrzymała karabin pod pachą i spróbowała przeładować go jedną ręką.

–Do bastionu, powiedziałem! – Roger wyrwał jej broń. – To rozkaz, plutonowy.

Despreaux zacisnęła zęby, ale skinęła głową.

–Tak jest, sir! – Zasalutowała lewą ręką.

–I kaźcie Liszez was zastąpić.

–Tak jest – odpowiedziała.

Książę kiwnął głową i odwrócił się w stronę bramy.

–Kameswaran! Wydawało mi się, że kazałem wam zabierać dupę do bastionu!

*** * ***

Jimmy Dalton pogładził kolbę karabinu i pokręcił głową. Pieprzonych szumowiniaków było cholernie dużo.

Operator karabinu plazmowego nosił śrutownicę przez połowę służby, potrafił więc się nią posługiwać. Po starszym kapralu Kameswaranie odziedziczył jednak również uprząż z amunicją, a z tym już nie czuł się dobrze. Każdy miał własne zdanie, co gdzie w uprzęży zawieszać, a zwłaszcza kapral.

Dalton przejechał dłonią po całym wyposażeniu i pokręcił głową. Miał nadzieję, że nie będzie musiał niczego szybko znajdować.

Książę podszedł i wyjrzał z mini-bunkra, który zajmował szeregowy.

–Chyba szykują się do powrotu.

–Tak, Wasza Wysokość. – Szeregowy żałował, że nie ma swojej plazmy. Zwolniliby trochę. – Kiedy otwieramy ogień?

–Kiedy powie sierżant Jin – odpowiedział książę. – Nawet ja nie strzelam, dopóki sierżant nie pozwoli!

–Tak, Wasza Wysokość. – Marine jeszcze raz pomacał uprząż i potrząsnął głową. – Ostatnim razem dobiegli do murów. Dlaczego nie zacząć strzelać wcześniej?

Roger jakby czytał mu w myślach.

–Ciężko jest czekać, aż tu przyjdą, ale jeszcze gorzej byłoby martwić się o zasadzki stąd do samego morza. Musimy ich wciągnąć i pozabijać, Jimmy, a nie tylko odeprzeć.

Dalton nie przypuszczał nawet, że książę zna jego imię.

–Tak, Wasza Wysokość.

–Nie jestem chwilowo księciem Rogerem, Jimmy. Jestem po prostu waszym dowódcą plutonu. Mów do mnie poruczniku MacClintock.

–Tak jest, Wasza... panie poruczniku – powiedział szeregowy.

Jakby nie miał się o co martwić.

*** * ***

Większość drabin leżała pod murami, więc druga fala Kranolta biegła bez obciążenia.

–Ognia! – szczerknął Jin, kiedy Mardukanie minęli granicę stu metrów, i wybrał własny cel – wojownika obwieszzonego trofeami z rogów.

–A masz, bydlaku – szepnął, a wódz i dwóch biegnących za nim padło od serii śrucin.

Roger wyciągnął następny magazynek i wcisnął go na miejsce, nie przerywając ognia. Po to właśnie zaprojektowano podwójny układ zasobników. Podczas zamiany spadała nieco celność strzału, ale dopóki strzelało się w stłoczoną masę wojowników, musiało się w coś trafić.

Kranolta zwartym tłumem dopadli do murów i zaczęli podnosić drabiny. Tym razem byli mniej zorganizowani, ale w chaosie, który zapanował u stóp muru, nie miało to znaczenia. Tysiące wojowników niemal deptało po sobie, każdy zdecydowany być pierwszym, który stanie na szczycie.

–Granaty, sierżancie?

Roger usłyszał w słuchawkach własny głos i zdziwił się, z jakim spokojem to powiedział. Wystrzelił kolejną serię w skłębioną masę, oddaloną od muru – wychylenie się za blanki, by ostrzelać barbarzyńców pod murem, było szkodliwe dla zdrowia.

–Tak jest, sir – zgodził się Jin i wydał rozkaz. Tuzin granatów spadł na ściśniętych Kranolta, eksplodując ze śmiertelną skutecznością, ale masa ciał zmniejszyła efekt, absorbując falę uderzeniową i odłamki, a wyrwy po wybuchach zamknęły się natychmiast, kiedy fala atakujących barbarzyńców rozdeptała mniej szczęśliwych towarzyszy na miazgę.

Roger rzucił się do przodu, kiedy w jego sektorze pojawiła się pierwsza drabina. Razem ze starszym szeregowym Sticklesem odepchnął ją w bok, przy wtórze wrzasku szumowiniaków, ale w tym czasie o krawędź oparły się kolejne trzy. Kranolta parli do przodu samą przewagą liczebną, a ludzi było o wiele za mało, by

obstawić całą długość muru.

–Granaty! – szczezną Pahner. – Wszystko, co macie!

Roger zerwał z pasa jeden ze stugramowych cylindrów, wcisnął kciukiem aktywator i cisnął ładunek za mur w chwili, kiedy na szczycie drabiny pojawił się jeden z barbarzyńców. Książę strzelił jedną ręką, pakując w napastnika dwa pociski, drugą rzucając kolejne dwa granaty, ale Kranolta byli już na górze.

Karabin Rogera kliknął sucho, oznajmiając koniec amunicji. Książę cisnął go do swojego bunkra i ruszył do walki z kataną, tak jak poprzednim razem. Walka zamieniła się w zupełny dom wariatów. Przez mury przełaziły tuziny wrzeszczących barbarzyńców, dolnymi rękami trzymając się drabin, a w górnych dzierżąc różną broń. Wymieniając ciosy z jednym z nich, lepszym od pozostałych, Roger znalazł się nagle plecy w plecy z Cordem i zdał sobie sprawę, że zostali praktycznie sami. Większość marines wycofała się do bastionów, ale na szczycie muru zostało kilka nieruchomych ludzkich ciał.

–Cord! – Roger uchylił się przed ciosem i rozpruł atakującego Kranolta od uda po mostek. – Musimy zejść z muru!

–Bez wątpienia! – odkrzyknął szaman i przebił włócznią kolejnego napastnika. Barbarzyńca runął w dół, ale jego miejsce zajęło trzech innych, którzy nie zamierzali atakować po jednym. – Jak?

Roger rniał właśnie odpowiedzieć, ale nagle wytrzeszczył oczy, odwrócił się i szczupakiem rzucił na Corda. Uderzył go dość mocno, by obaj wpadli do mini-bunkra w chwili, kiedy na murze wylądowały granaty z bastionu trzeciego plutonu.

Eksplozje chwilowo oczyściły blanki, zamieniając Kranolta w mielone mięso. Większość marines nie ucierpiała od odłamków, ale nieopancerzeni barbarzyńcy zostali zmasakrowani.

Odłamki posiekały również nogi Corda. Roger rzucił się mu na tors, ratując od śmierci, ale tubylec został straszliwie poraniony, a sam książę był w nie najlepszym stanie.

Zaczął się gramolić na nogi; dzwoniło mu w uszach, widział podwójnie i był prawie ogłuszony, kiedy nagle poczuł, że ktoś podnosi go i zarzuca sobie na ramię.

–I co – warknęła Despreaux. Zauważył, że widzi ją do góry nogami. – Skończyłeś się już bawić w bohatera?

–Weźcie Corda – zaskrzeczał książę.

Musiał to być St. John albo Mutabi; nikt inny nie był dość wielki.

–Już go mamy – powiedziała plutonowy, łapiąc z jednej strony za nosze szamana.

Z całego muru ściągano rannych marines i zbierano ich broń.

Ostatnią rzeczą, jaką Roger zapamiętał, był odwrócony do góry nogami szumowiniak, wychylający się zza parapetu i wznoszący topór nad głową Despreaux.

*** * ***

Pahner wysłuchiwał meldunków i pokiwał głową.

–Jeszcze raz na mury. Ale upewnić mi się tym razem, że wszyscy zdążyli się schować do bastionów.

Wyrżał na morze szumowiniaków i potrząsnął głową. Ściśnięty tłum wyglądał, jakby nie poniósł żadnych strat, ale było to złudzenie. Kranolta stracili już prawie jedną piątą wojowników podczas szturmów na mury i od ostrzału granatników. Teraz przyszła pora zacząć zabijać na poważnie.

–Wysadzić bramę.

Drewniana zaporą, ustawiona w miejscu zrujnowanych wrót, została bardzo dokładnie zbudowana. Początkowym celem założenia na niej ładunków wybuchowych było umożliwienie wycieczki pancerzom wspomaganym, ale to, co zrobiono z myślą o wypuszczeniu marines, równie dobrze nadawało się do wpuszczenia Mardukan.

Strata tarana ograniczyła możliwości Kranolta pod bramą do darcia pazurami i rąbania desek. Ich sfrustrowane wycia były wyraźnie słyszalne mimo zgiełku bitwy, tak samo jak wrzaski agonii, kiedy ładunki eksplodowały, masakrując atakujących i odrzucając ich w tył. Wojownicy za nimi nie przejęli się tym. Runęli do przodu po wijących się jeszcze pobratymcach, wyrzaskując okrzyki wojenne i rozbiegając się po dziedzińcu. Brama padła, forteca była zdobyta.

*** * ***

–Kapitanie, to było podłe z pana strony – szepnął Julian, wyglądając przez strzelnicę na otwartą bramę. Patrzył, jak fala szumowiniaków rozdziela się; część zaatakowała twierdzę, część wewnętrzne schody, prowadzące do bastionów. Potem wysunął przez otwór lufę ciężkiej śrutownicy.

Broń ta wyposażona była w różne rodzaje amunicji. Oprócz standardowych dziesięciomilimetrowych śrucin o ceramicznym rdzeniu i stalowym płaszczu, strzelała

pociskami przeciwpancernymi i specjalnymi. Śrut przeciwpancerny zaprojektowano do przebijania wszelkich znanych pancerzy osobistych oraz większości pojazdów. Pociski specjalne były różne. Niektóre przeznaczone były do dławienia zamieszek – kule opryskujące po trafieniu klejem, pociski z gazem usypiającym albo powodującym wymioty – niektóre zaś do walki na krótki dystans, kiedy liczyła się czysta, nieskrępowana rzeź. Kompania nie miała ich na wyposażeniu zbyt wiele, ale Julian uznał, że to doskonała pora, by opróżnić ten jeden magazynek, jaki miał.

Pogłaskał kolbę działka i uśmiechnął się dziko.

–Chodźcie do taty – zanucił.

*** * ***

Pahner spojrzął na dziedziniec z górnego poziomu kordegardy, spokojnie żując gumę i czekając. Wydmuchnął balonik, kiedy pierwszy pluton zameldował, że do jego bastionu przez strzelnice wpadają oszczepy. Pokiwał głową, kiedy twierdza zameldowała, że Mardukanie rąbią toporami drzwi, i zetknął przed sobą dłonie czubkami palców, kiedy usłyszał huk siekier pod sobą. Wtedy kiwnął głową jeszcze raz.

–Ognia – powiedział i odsunął się od szczeliny.

*** * ***

Julian zaprogramował HUD przyłbicy tak, by wyświetlał tor lotu pocisku i dokładnie wymierzył pierwszy strzał. Dziesięciomilimetrowy cylinder opuścił lufę z bardzo małą prędkością, relatywnie rzecz ujmując, ale natychmiast rozkwitł niczym jakiś ohydny kwiat, wystrzeliwując dwadzieścia pięć kulek ze zubożonego uranu, które poleciały na wszystkie strony, tworząc przepiękną geometryczną pajęczynę.

Z monomolekularnego drutu.

Zaawansowana adaptacja starożytnego pocisku obezwładniającego była wprost niewiarygodnie zabójcza, mimo to jednak nie sięgnęła przeciwnego krańca dziedzińca. Jej twórcy nie uwierzyliby, że to możliwe, ponieważ drut przecinał broń, kości i ciało niemal bez wysiłku. Niemal. Jeśli na jego drodze znajdowało się wystarczająco dużo materii, nawet drut grubości pojedynczej cząsteczki w końcu wytracał impet.

Pocisk pokonał ponad jedną trzecią długości dziedzińca, krojąc każdego barbarzyńcę na swojej drodze w równe pasemka. Na wszystkie strony trysnęła krew i strzępy ciała, a Julian wystrzelił po raz drugi. I trzeci. I czwarty.

Wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec zamienił się w rzeźnię. Na oczach

Kranolta doszło wreszcie do masakry wystarczającej, by nawet oni na chwilę się zawahali. Ocaleli barbarzyńcy zamarli w szoku, nie wierząc własnym oczom, niczym posągi spryskane krwią swoich potwornie zmasakrowanych towarzyszy.

Posągi, które sekundę później spalił ogień działek plazmowych.

Na poziomie dziedzińca stały cztery działka: po jednym w każdym bastionie oraz dwa zamontowane na pancerzach marines w twierdzy. Niektórzy barbarzyńcy zaczęli dźgać włócznie w otwory strzelnicze zanim Pahner wydał rozkaz, ale kilka serii z karabinów zdmuchnęło ich spod ścian. Teraz wszyscy czterej strzelcy wysunęli lufy swoich działek na zewnątrz i w sekundę po tym, jak specjalne pociski Juliana posiały spustoszenie, wypełnili dziedziniec aktywną srebrną furją.

Ładunki działek plazmowych miały pięciokrotnie większą moc niż te wystrzeliwane przez zwykłe karabiny. Wulkaniczny impet czterech z nich w zamkniętej przestrzeni między murami spalił całą pozostałą roślinność i zwęglił każdego Kranolta, który przeszedł bramę.

Jednocześnie ogień otworzyły działka na poziomie blanków. Ich smugi srebrnych płomieni nie były tak intensywne i skoncentrowane jak te, które szalały na dziedzińcu, ale efekt ich działania był taki sam. Kranolta atakujący bastiony zamienili się w zwęglone truchła i żywe pochodnie. Hydrofilni Mardukanie byli szczególnie wrażliwi na poparzenia, a srebrzysta śmierć, omiatająca szczyt muru, była dla nich czystą grozą.

Garstka ocalałych rzuciła się z wrzaskiem w dół, ryzykując połamanie kości czy nawet śmierć, by tylko, uciec przed ohydny, morderczym żarem.

*** * ***

Pahner podszedł z powrotem do strzelnicy i wyrzał na teren przed cytadelą. Groza tego, co stało się na dziedzińcu i na murach, pozostawała niewidoczna dla większości atakujących. Cała ich uwaga skupiała się na próbie dostania się do środka. Tak, jak kapitan się spodziewał, horda dalej wpychała się przez bramę, chociaż już nieco wolniej.

–Wstrzymać ogień – powiedział spokojnie głosem pozbawionym wyrazu. Bez mrugnięcia okiem patrzył na nieopisaną masakrę na dole.

Nie ma potrzeby ich dobijać. Jeszcze nie.

*** * ***

–Wycofaj się, stary głupcze! – ryknął Puvin Eske. – Teraz nam wierzysz? To zagłada klanu!

–Wielkie zwycięstwa wymagają wielkich ofiar – powiedział wódz. – Myślisz, że poprzednim razem zdobyliśmy to miasto bez strat?

–Nie – warknął młody Kranolta. – Najwyraźniej straciliśmy wszystkich, którzy mieli odrobinę rozsądku! Zabieram resztę moich ludzi do obozu. Przygotujemy się, żeby odeprzeć ludzi, kiedy przyjdą po nasze rogi. Niech demony lasu pożrą twoją duszę!

–Zostaniesz wykluczony z klanu – powiedział spokojnie stary szaman. – Tchórz. Policzymy się z tobą po zwycięstwie.

–Idź w to piekło sam, tchórz! – syknął Puvin. – Potem dopiero opowiadaj mi o zwycięstwach!

*** * ***

Eleanora O’Casey nosiła jeden z zapasowych hełmów i taki sam kombinezon jak marines, w przeciwieństwie do nich jednak nie została wyszkolona do rozszyfrowywania zakodowanych transmisji ani wojskowego technożargonu. Większość komunikatów, które słyszała, stanowiły rozmowy w rodzaju „tango na dwa-pięć”, z którymi jej oprogramowanie tłumaczące zupełnie sobie nie radziło. Polegała więc na objaśnieniach jednego z marines.

W tym wypadku jednak jedynym dostępnym tłumaczem był Poertena, co sprawiało dodatkowe problemy.

–Co się dzieje? – spytała mechanika. Ona, Matsugae i trzech pilotów siedziało na stercie skrzyń z amunicją, w głębi jaskini stanowiącej większą część twierdzy. Dzielili tę przestrzeń z doktorem Dobrescu, poganiaczami i dziewiętnastoma rozdrażnionymi *flar-ta*. *Flar-ta* reagowały na stres tak, jak większość zwierząt. W jaskini było gorąco i cuchnęło.

–Szumowiniaki, zepchli ich z murów – powiedział mały Pinopańczyk, wzruszając ramionami – ale szykujom się do ataku. Kapitan pewnie niedługo coś powie.

–Co z Rogerem? – spytał cicho Matsugae.

Miał własny hełm i słyszał lakoniczne meldunki o obrażeniach księcia.

–W porządku – powiedział Poertena. – Jest w szoku. Nic mu nie będzie.

–Miło mi to słyszeć – odetchnął służący. – Naprawdę miło.

*** * ***

–Świetnie – powiedział Pahner, kiwając głową i słuchając meldunku. – Świetnie.

Zanieście go jak najszybciej do Dobrescu. Wiem, że teraz nie wyjdziecie, ale kiedy tylko otworzymy drzwi, ma się znaleźć w twierdzy.

Wyrzał przez strzelnicę na przegrupowującego się nieprzyjaciela i pokręcił głową. Kompania naprawdę ostro ich tym razem nadszarpnęła, ale barbarzyńców to nie odstraszyło. Kapitan wysłał do swojego tootsa polecenie otworzenia częstotliwości ogólnej.

–W porządku, ludzie, wracają po więcej. Poranili nas trochę, więc mamy za mało ludzi na murach. Niech sierżanci plutonów wybiorą najsprawniejszych chodzących rannych do karabinów, a z reszty zrobią grenadierów. Nie przeszkadzają im straty, więc tym razem dam rozkaz otwarcia ognia trochę wcześniej.

–Grenadierzy, kiedy przejdą przez bramę, macie zasłać dziedziniec ich trupami. Myślę, że to ich nie zatrzyma, więc kiedy zaczną wspinać się na schody albo na mur, wycofać się do bastionów.

Pomyślał, że mógłby dodać coś jeszcze, co zagrzałoby ludzi do walki, ale do głowy przyszło mu tylko „jeszcze raz w wyłom, przyjaciele”, co nie odpowiadało sytuacji, a poza tym brzmiało zbyt teatralnie. W końcu po prostu wyłączył mikrofon.

–Pahner, bez odbioru.

*** * ***

Na sieci zapanowała cisza, przerywana jedynie okazjonalnymi, lakonicznymi transmisjami dotyczącymi przydziału stanowisk strzeleckich i celów. Po kilku sekundach na częstotliwości trzeciego plutonu rozległ się charakterystyczny głos Juliana.

–W porządku, druga drużyno. Wiem, że nie mogę teraz być tam z wami, ale pamiętajcie, że... że... jesteście członkami Osobistego Cesarzowej, do cholery. – Plutonowemu załamał się głos. Następne słowa wykrztusił z trudem. – Chcę być z was dumny. Pamiętajcie: długie, zupełnie niekontrolowane serie!

Sieć rozbrzmiała chóralnym rechotem. Zagłuszany przez wszystkich sierżant Jin protestował przeciwko naruszeniu regulaminu radiowego, ale i tak trudno było go zrozumieć przez jego własne salwy śmiechu.

–Pamiętajcie – ciągnął plutonowy, chlipiąc w mikrofon. – Jesteście marines, jesteście Osobistym Cesarzowej! Jesteśmy najlepsi z najlepszych z najlepszych! No, może nie ci ostatni najlepsi, bo to byłby przecież Batalion Złoto, ale...

–Julian! – załkał Jin. – Przestań!

–I chciałem jeszcze powiedzieć... jeśli to są nasze ostatnie chwile razem... – ciągnął plutonowy.

–Kompania, przygotować się do otwarcia ognia! – zatrzeszczał na ogólnej częstotliwości głos Pahnera, który nie słyszał transmisji na sieci plutonu.

–Gronningen – powiedział z kolejnym rozdzierającym szlochnięciem Julian do największego, najbrzydszego, najbardziej purytańskiego szeregowca w całej kompanii – Chcę, żebyś o tym wiedział: kocham cię, stary!

*** * ***

Eleanora spojrzała z zaskoczeniem i strachem na jedną z opancerzonych operatorek działek plazmowych, która upadła na bok, zgięta w pół. Zaczęła się podnosić, żeby jej pomóc, ale Poertena powstrzymał ją gestem i przełączył częstotliwości radia w hełmie. O’Casey patrzyła na niego ze strachem; wyraz twarzy mechanika zmieniał się ze zmartwionego na rozbawiony. Marine w pancerzu podniosła się na kolana, po czym znów skręcając się padła na bok. Eleanora nie miała pojęcia, co mogło się jej stać, wtedy jednak Poertena zaczął się śmiać. Zsunął się ze skrzynek, obejmując brzuch rękami. Uczona wytrzeszczyła oczy, a doktor Dobrescu otworzył usta i zawył ze śmiechu.

*** * ***

–Trzeci pluton! – warknął Pahner, kiedy trzasnęła pierwsza salwa z karabinów, a serie granatów zorały szeregi wroga linią ognia i śmierci. – Sierżancie Jin! Co tam się do cholery dzieje!

–Ee... – zaczął Jin, po czym wybuchnął śmiechem. – Przepraszam – wykrztusił. – Przepraszam, sir. Ee...

Z pozycji trzeciego plutonu ktoś pociągnął długą serią po linii Kranolta, ścinając ich z nóg niczym naddźwiękowa piła. Za chwilę jeszcze ktoś. Mardukanie padali skoszeni jak zboże, a Pahner usłyszał odległy, niemal obłąkany śmiech z murów.

–Sierżancie Jin! Co tam się do cholery dzieje?! – Nie mógł nic zarzucić efektywności ognia plutonu, ale nie mogli tak szafować amunicją.

–Ee... – Tylko tyle udało się powiedzieć sierżantowi, który sam wystrzelił długą, niekontrolowaną serią i wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem.

Pahner zaczął na niego wściekle wrzeszczeć, ale ogień wrócił pod kontrolę, więc kapitan zacisnął tylko zęby. Potem przechylił głowę na bok i przełączył się na częstotliwość wewnętrznej sieci plutonu.

–...nie, stary, naprawdę. Kocham cię!

Przez salwy histerycznego śmiechu słyhać było Gronningena, który bardzo dokładnie opisywał, co się stanie, kiedy zaciśnie swoje ekstremalnie heteroseksualne palce na szyi plutonowego.

–Julian! – zaczął Pahner i przerwał, kiedy zdał sobie sprawę, że pluton nie tylko strzelał celniej i spokojniej, ale na twarzach niektórych żołnierzy widać było uśmiechy. Wyglądały może trochę obłąkańczo, ale było oczywiste, że przynajmniej jeden pluton przestał zastanawiać się nad prawdopodobieństwem śmierci w najbliższej przyszłości.

–Ale, panie kapitanie! – zaskomlał plutonowy.

–A ja – zaszlochał Jin, którego preferencje były wszystkim dobrze znane – ja muszę powiedzieć pani sierżant, że też ją kocham!

–W porządku, ludzie – powiedział Pahner, kręcąc głową, ale nie mogąc powstrzymać się od śmiechu. – Uspokójmy się i zabijmy paru szumowiniaków, dobrze?

–Dobrze, dobrze – odezwał się Julian. – Przepraszam, szefie.

–I tak dobiorę ci się do dupy, Julian – warknął Gronningen. Po sieci poniosło się echo karabinowej serii. – Tylko załatwię tu parę spraw.

I tak kompania Bravo batalionu Brąz Osobistego Pułku Cesarzowej stanęła do walki z przeważającymi siłami wroga, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

Morale ma się do przewagi fizycznej jak dziesięć do jednego.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

–Kiedy ci głupi dranie wreszcie zrozumieją, że zostali pokonani? – rzucił w przestrzeń Pahner.

Uszkodzenia od wielokrotnych wystrzałów z plazmy zmusiły go do opuszczenia kordegardy, która zamieniła się w stertę gruzu, i przeniesienia do bastionu trzeciego plutonu. Kranolta ponieśli potworne straty, ale wciąż się nie poddawali i szturmowali twierdzę. W ten sposób zredukowali szeregi swoich przeciwników do zaledwie garstki.

Z siedemdziesięciu dwóch członków Osobistego Cesarzowej, którzy przeżyli pierwszą zasadzkę Kranolta, na nogach była zaledwie połowa. Pahner zaczął żałować, że kazał Poertenie i bratankom Corda zamknąć się w twierdzy. Byli tam bezpieczni, ale przydaliby mu się na murach.

Pokręcił głową. W ruinach miasta było wciąż kilka tysięcy barbarzyńców, którzy zaprzestali już prób zdobycia fortecy. Ostatnia fala uniknęła spopielenia na dziedzińcu, rzucając się na fragment murów, obsadzony przez drugi pluton, oraz jego bastion. Szturm poprzedziła chmura oszczepów; zanim udało się go odeprzeć, drugi pluton poniósł ciężkie straty.

Tak jak poprzednio, straty Mardukan były nieporównywalnie większe niż ludzi. Marines jednak mogli zabić setki barbarzyńców za każdego żołnierza, jakiego stracili, i mimo to przegrać. To było szaleństwo. Jakikolwiek los czekał kompanię, Kranolta zostali już tak zmasakrowani, że ich klan był niemal na pewno skazany na wyginięcie, ale wydawało się nie robić to na nich wrażenia. A może robiło. Może zdawali sobie sprawę, że ten krwawy dzień oznaczał ich koniec, i chcieli już tylko zabrać ze sobą obcych, którzy ich zabijali.

Cokolwiek jednak myśleli, szykowali się właśnie do kolejnego szturm na pozycje drugiego plutonu. Pahner podniósł przyłbicę hełmu i potarł szczypiące ze zmęczenia oczy.

Mógł przenieść część trzeciego plutonu na południową ścianę, gdyby jednak szumowiniaki uderzyły jednocześnie z obu stron, zmiotłyby resztki trzeciego z muru. Nie. Jedyńm wyjściem było kazać trzeciemu strzelać ze wszystkiego, co miał, we flankę natarcia. Nie powstrzymało to poprzedniego, ale może zadziała tym razem. Coś musiało złamać tych drani.

Kapitan znów potrząsnął głową, a barbarzyńcy ruszyli naprzód. Podejścia do cytadeli były zasłane trupami do tego stopnia, że Kranolta musieli się wspinać na stosy zabitych, ale wydawali się tego nie zauważać. Szli w deszczu granatów i ognia karabinów, zasypującym ich od przodu i flanki, aż dotarli do murów. Wtedy znów

wzniesli drabiny i tłumnie zaczęli się piąć w górę.

Działka plazmowe w twierdzy i bastionie trzeciego plutonu mogły do nich strzelać, kiedy wyłaniali się zza muru, ale ich operatorzy musieli bardzo uważać. Groziło im nie tylko zadanie strat ludziom kłębiącym się w walce wręcz; wystarczyło, żeby lufa drgnęła w bok, a ładunek mógł wysadzić drzwi przeciwległego bastionu.

Drzwi te zatrzęsły się właśnie od uderzeń toporów, a strzelcy z trzeciego plutonu skrupulatnie wystrzelali atakujących. Jedna seria nie tam, gdzie trzeba, a przysłużyliby się barbarzyńcom.

Tylko trzy strzelnice ich bastionu wychodziły na przeciwległy fragment murów. Przeciwno każdemu normalnemu wrogowi byłoby ich dość, ale to byli Kranolta. Wystarczyło, by marine odsunął się od otworu z zaciętym karabinem, by następny zajął jego miejsce, pojedynczy szumowiniak zadawał trzy kolejne ciosy toporem skonstruowanej naprędce, drewnianej zaporze.

W końcu drzwi nie wytrzymały. Pękły, a Kranolta, widząc wreszcie szansę, przerażająco zawyli.

Pahner doskoczył do działka i klepnął strzelca w hełm. Wskazał ręką otwarte wejście do bastionu i tłum barbarzyńców, pracy do przodu mimo nawały ognia. – Strzelaj!

–Ale, kapitanie... – zaczęła marine. Drzwi miała przed sobą, pod niewielkim kątem, i istniała duża szansa, że ładunek plazmy wpadnie do środka. Gdyby nawet jednak tak się nie stało, to eksplozja, ładunki i fala ciepła, które dostałyby się do wnętrza bastionu przez drzwi i otwory strzelnicze, wystarczyłyby, żeby zamienić je w przedsionek piekła.

–Strzelaj! – warknął Pahner i włączył częstotliwość ogólną. – Drugi pluton! Kryć się!

Marine potrząsnęła głową i wystrzeliła trzy ładunki w tłum Kranolta, kłębiący się wokół wejścia do bastionu, oczyszczając wąskie przejście. Ktoś zawył w jej słuchawkach, ale nie miała czasu o tym myśleć, a Pahner skoczył z powrotem na swój punkt obserwacyjny. Barbarzyńcy znów się cofnęli.

Nie wycofali się jednak daleko. Kapitan zaklął. Tym razem zeszli poniżej poziomu nie obsadzonego już muru, poza kątem ostrzału obrońców zamkniętych w bastionach i twierdzy. Tak – komp Pahnera wyświetlił nowe szacunkowe dane o liczebności przeciwnika. Było ich jeszcze około trzech tysięcy. Nie było to wiele jak na armię liczącą początkowo osiemnaście tysięcy, ale według odczytów kapitana, tylko trzydziestu jeden marines było jeszcze w stanie poruszać się o własnych siłach.

Jeszcze możemy wygrać, pomyślał. Wyczerpują nas, ale my ich wyczerpujemy

Jeszcze szybciej. Jeszcze dwa szturmy. Może trzy. Tylko tyle musimy wytrzymać, a potem...

Straszliwe rogi nieprzyjaciela znów zawyły, kiedy Kranolta szykowali się do ataku, tym razem jednak odpowiedział im inny dźwięk. Z zachodu dobiegło ostrzejsze, niższe trąbienie; Pahner spojrział w tamtą stronę i zamarł.

Z lasu za zrujnowanym miastem wylaniała się kolejna armia. Liczyła zaledwie ułamek początkowej hordy Kranolta, ale była wypoczęta i niewykrwawiona. Nowo przybyli wojownicy, ciężko uzbrojeni i opancerzeni, ruszyli do ataku. Towarzyszyły im *flar-ta* – bez wątplenia tabor, który zostawili za sobą barbarzyńcy. Niektóre ze zwierząt wyglądały na okryte lśniącym brązem. Armand Pahner spojrział na odczyty komputera taktycznego i poznał smak krańcowej rozpacz.

Posiłki Kranolta przewyższały liczebnie zmasakrowany tłum pod murem. Ich udział w szturmie miał skończyć nierówną walkę.

Kapitan patrzył na zbliżającą się śmierć jego żołnierzy, po czym głęboko odetchnął. Jeśli mieli polec, niech go diabli, jeśli zrobią to kryjąc się w dziurach, jak ostatni obrońcy Voitan.

–„Jeśli potrafisz na jednej szali położyć wszystkie twe sukcesy...” – szepnął i otworzył częstotliwość ogólną.

–Kompania Bravo. Wszystkie jednostki, przygotować się do kontrataku. Przybyły właśnie nowe siły. Jeśli uszkodzimy ich wystarczająco na otwartym terenie, zyskamy trochę czasu na przegrupowanie. Natychmiast po powrocie na te pozycje wszyscy mają wycofać się do twierdzy. Tam będziemy się bronić. – Jakby ktokolwiek z nas miał wrócić, pomyślał gorzko. – Wszystkie jednostki, uzbroić rannych i przygotować się do kontrataku.

*** * ***

–O, kurwa – wymamrotał Julian i zaczął przedzierać się przez barykadę zamykającą wrota twierdzy. Tak jak brama w murze, wejście do cytadeli było za duże, by zamontować w nich drzwi, które łatwo dałoby się zamykać i otwierać. Zamiast tego zabarykadowano je więc stosem zwalonych pni, poszczepianych razem pancierzami. Rozwłóczenie go było operacją trwałą; zamknięcie wejścia na nowo nie wchodziło w grę.

–Spokojnie – powiedział drżącym głosem Macek. – Damy radę.

–Jasne, jasne – mruknął Julian, wyrывая następny wspornik dzięki sile wspomaganego pancerza. – Przeżyjemy, dopóki nie wyczerpią się nam akumulatory. Będziemy patrzeć, jak Kranolta wszystkich wyrzynają. Potem będziemy musieli wyjść

albo się podusimy.

–Pozabijamy ich – powiedział szeregowy. – Zabijemy większość z tych, co zostaną.

–Jasne, ale oni w tym czasie wyrzną resztki kompanii. Dlatego właśnie Stary nas tam nie wysłał.

Wyciągnął ostatni wspornik i otworzył wrota na dziedziniec.

Drzwi do bastionu trzeciego plutonu były już otwarte. Nikogo nie było widać, ale Julian wiedział, że wyjdą, kiedy Pahner wyda rozkaz. Drzwi drugiego plutonu po prostu... nie było. Plutonowy nie chciał wiedzieć, jak musiało wyglądać wnętrze wieży.

Wyjrzał nad stos gruzu, który kiedyś był kordegardą. Z podwyższenia przed twierdzą widział w oddali armię, którą zauważył Pahner. Wyglądała naprawdę poważnie. Julian włączył powiększenie i zacisnął zęby. Większość nowych była opancerzona, i chociaż zbroja z brązu nie mogła Mardukanom wiele pomóc przeciw karabinom, dawała im ogromną przewagę w walce wręcz. Mieli zgnieść marines.

Zeskoczył z platformy i dwoma susami znalazł się na rumowisku, po czym sprawdził, czy działa jego system maskowania. Aktywny układ maskujący pancerzy był o wiele wydajniejszy niż zwykle kombinezony i czynił posiadacza prawie niewidzialnym. Zbroje były jednak głośne – normalnie i elektronicznie – co zaawansowanym technicznie wrogom pozwalało namierzać je na wiele sposobów. Temu też można było przeciwdziałać, ale nie wtedy, kiedy pancerz szybko się poruszał.

W tym wypadku jednak i tak nie miało to znaczenia. Mardukanie mogli zobaczyć jedynie błyski serii śrutu, akcentowane ładunkami plazmy. Będą myśleć, że atakują ich złe demony... dopóki w pancerzach nie wyczerpią się akumulatory.

Pierwsza armia Kranolta zawróciła u podnóża wzgórza i szykowała się do następnego szturmu na pozycje drugiego plutonu. Julian wyobraził sobie, że strzela serią w hordę barbarzyńców, ale czekał na rozkaz. Kranolta niedługo zaatakują. Trzeci pluton wybiegał ze swojego bastionu, a nowa armia ruszyła w górę zbocza w kierunku pola bitwy. Liczyła przynajmniej pięć tysięcy wojowników; na wietrze łopotały setki chorągwi. Znów ryknęły rogi. Niektórzy z ocalałych Kranolta odwrócili się i zauważyli posiłki. Zatrąbili w odpowiedzi i zaczęli machać bronią, wyraźnie podekscytowani. Nowo przybyli ruszyli szybkim marszem w ich stronę.

*** * ***

–Kto to? – spytał Danal Far.

–Nie wiem – odparł jego zastępca niepewnym głosem. – Wyglądają jak... armia Voitan.

–Ha!

Danal Far zaśmiał się szczerze po raz pierwszy, odkąd zaczęła się ta rzeź. Jeszcze trochę, a wezmą zewnętrzny mur. Już by to zrobili, gdyby nie przeklęta ognista broń. Następny szturm i zajmą bastion, a stamtąd z łatwością wyrzną tych przeklętych ludzi.

–Duchy! – parsknął. – Nie, to jakieś plemię przychodzi nam na pomoc. Może Talna albo Boort.

–Nie – powiedział z powątpiewaniem Banty Kar. – Ani jedni, ani drudzy nie używają zbroi. Ostatnim razem widziałem taką armię, kiedy walczyłem pod Tan K'tass.

–Duchy – chrząknął jeszcze raz wódz, ale już nieco nerwowo. – Wszystkie te ziemie należą teraz do nas. Zdobyliśmy je i ich nie oddamy. Nawet tym demonom, ludziom.

–Zdobyliśmy, tak – powiedział Kar, ruszając w stronę murów. – Nie oddamy? Może.

*** * ***

–Jak to wygląda, Julian? – spytał Pahner przez radio. To, co zostało z trzeciego plutonu, zebrało się na gruzach kordergardy, podczas gdy pierwszy i drugi zabierały zabitych i rannych z uszkodzonego bastionu.

–Och, nienajgorzej, sir. Wygląda na to, że szykują się do powrotu.

–Dobrze. – Pahner spojrział na żalosne resztki swojej kompanii i potrząsnął głową. – W prawo zwrot, frontem do nieprzyjaciela. Trzeci pluton, przygotować się do ataku.

*** * ***

–To naprawdę T'an K'tass! – wrzasnął Banty Kar.

Kranolta wyciągnął rękę, wskazując chorągiew, którą właśnie rozwinięto nad jednym z pancernych *flar-ta*. – To Rozłożyste Drzewo!

–To niemożliwe! – ryknął Far, nie wierząc własnym oczom. – Zabiliśmy ich wszystkich! Wyrznęliśmy ich wojowników i rozpędziliśmy ich lud na cztery wiatry!

–Ale nie pozabijaliśmy ich synów – zachrypiał Kar, a nad hordą Kranolta poniósł się jęk rozpacz.

Nad pancernymi szeregami załopotala następna chorągiew, a nad polem bitwy

załśnił na wpół zapomniany symbol Ognia i Żelaza.

–Ani wszystkich synów Voitan.

* * *

–Kapitanie, – zawołał Julian – niech się pan wstrzyma. Coś się właśnie zaczęło dzieć. Nowi rozwinęli jakieś sztandary. Nie znam się za dobrze na szumowiniakach, ale Kranolta wcale się chyba nie cieszą na ich widok.

–Zrozumiałem – odparł Pahner. – Informuj mnie na bieżąco. Barbarzyńcy zaczęli śpiewać.

* * *

–Słyszysz to? – zawołał T’Leen Targ. – To dźwięk, który chciałem usłyszeć przez całe życie – Pieśń Śmierci Kranolta!

Wielki stary Mardukanin podniósł topór, przymocowany do kikuta ręki, i zamachał nim nad głową.

–Wyjcie, dzikusy! Voitan wróciło!

–Tak! – odkrzyknął T’Kal Vlan.

Ostatni z książąt T’an K’tass zaśmiał się chrapliwie, słuchając żałobnego zaśpiewu.

–Czas, by T’an K’tass odebrało długi!

Dużą część armii stanowili najemnicy, zebrani w pomniejszych miastach-państwach, jej trzonem jednak byli synowie i wnukowie miast, które padły pod naporem Kranolta. Voitan i T’an K’tass zdołały ewakuować nie tylko kobiety i dzieci, ale także fundusze. Pieniądze, zainwestowane w przeróżne przedsięwzięcia w innych miastach, czekały na dzień, kiedy Voitan powstanie na nowo.

A ludzie oczyścili im drogę.

–Och, demony mają dziś prawdziwą ucztę! – Targ klasnął jedyną górną dłonią o topór, zachwycony widokiem stosów trupów. – Spójrz tylko, ile dusz wysłali im ludzie!

–I wygląda na to, że ciągle się trzymają. – Vlan pokazał na dymiącą cytadelę. – Musimy się pospieszyć. Odwrócił się do idącej za nim armii. – Naprzód, Drzewo! Czas odebrać nasze miasto!

–Naprzód, Drzewo! – ryknęło pięć tysięcy wojowników. – Naprzód, Płomień!

–Przerobić tych dzikusów na żarcie dla *atui*! – zawył T’Leen Targ, kręcąc nad głową młynki toporem.

–Naprzód, Drzewo! Naprzód, Płomień!

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Despreaux uklękła w półmroku obok księcia.

Rannych ułożono w rzędzie pod północną ścianą twierdzy. Obandażowani i poparzeni marines spali dzięki doktorowi Dobrescu. Ich rany wyglądały potwornie, nawet jak na nowoczesne standardy. Większość poranionych pochodziła z pierwszego i drugiego plutonu, i mimo osłony, jaką zapewniały im ognioodporne kombinezony, wyglądali jak kawałki grillowanego kurczaka. Despreaux pokręciła głową i odwróciła się, kiedy dotarło do niej, że białe coś sterczące spod munduru Kileti'ego to jego kość przedramienia.

Jednak rany, chociaż tak straszne, goiły się. Nawet odcięte kończyny miały odrosnąć – nanity i regenerujące retrowirusy, którymi naszpikowani byli marines, już działały pełną parą, naprawiając uszkodzenia. Z niesamowitą szybkością rosły mięśnie, a oparzenia pokrywała nowa skóra.

Oczywiście odciskało to swoje piętno na przemianie materii. Przez następnych kilka dni ranni będą mogli jedynie jeść i spać, podczas gdy ich nanity będą gorączkowo łączyć rany i walczyć z infekcjami. Po jakimś czasie jednak – dłuższym lub krótszym, co zależało bardziej od ilości uszkodzeń niż tego, jak były poważne – straszliwe rany miały zamienić się w blizny, również znikające po to, by zrobić miejsce następnym.

Despreaux dotknęła twarzy księcia i podniosła identyfikator diagnostyczny, przyczepiony do jego munduru. Kompania miała ich tylko kilka; plutonowa była zaskoczona, że Dobrescu poświęcił jeden dla Rogera. A może nie była... Wielu marines było ciężiej rannych – identyfikator wyświetlał rytmy alfa, ciśnienie krwi, tętno i zawartość tlenu w krwi – ale żaden nie był tak cenny.

Jeszcze raz łagodnie pogładziła go po twarzy.

–Podoba ci się, prawda? – zapytał chropowaty głos.

Despreaux zamarła i spojrzała na starszą sierżant.

–Wyglądasz jak królik w świetle reflektorów – zachichotała cicho Kosutic.

Sierżant usiadła, podpierając się zdrową ręką, i popatrzyła na dowódcę drużyny z zagadkowym uśmiechem.

–Sprawdzałam tylko stan rannych z trzeciego plutonu, pani sierżant – powiedziała Despreaux tonem winowajcy.

Była to prawie prawda. Taki był cel jej wizyty, natychmiast jednak zdała sobie

sprawę, po co naprawdę przyszła.

–Możesz opowiadać takie bajki Staremu, nie mnie! – warknęła Kosutic, poprawiając potłuczoną i poparzoną lewą rękę. – Nawet nie spojrziałś na innych rannych. Robisz tylko cielęce oczy do Rogera.

–Pani sierżant...

–Daruj sobie! Dobrze wiem, co się tu dzieje. Widać to było już na statku, jak się miało oczy. A ja mam.

–Ale... ja go nie cierpiałam na statku! – zaprotestowała plutonowa. – Zachowywał się jak... jak...

–Gówniarz? – podpowiedziała Kosutic. Zachichotała i urwała gwałtownie. – Cholera, nie rozśmieszaj mnie, dziewczyno! Jasne. A ty robiłaś do niego cielęce oczy, gówniarz czy nie.

–Nie robiłam cielęcych oczu – powiedziała stanowczo Despreaux.

–Nazywaj to, jak chcesz, dziewczyno – wyszczerzyła się w uśmiechu starsza kobieta. – Ja na to mówię cielęce oczy.

Plutonowa rozejrzała się dookoła prawie z rozpaczą, ale wszyscy ranni spali. Jeśli tak nie było, to tylko żelazna dyscyplina sprawiała, że się z niej nie śmiali. Spojrzała z powrotem na Kosutic.

–Co pani ma zamiar w tej sprawie zrobić?

–Nic – odparła starsza sierżant i znów zachichotała, widząc zaskoczenie w oczach Despreaux. – Mamy większe zmartwienia na głowie, plutonowa. Na razie albo nie zdaje sobie z tego sprawy, albo daje ci wielkiego kosza. Nie jestem pewna.

–Ja też nie – przyznała smutno marine.

–Posłuchaj – powiedziała Kosutic. – Jak przestanę się już czuć jak utłuczony kotlet, przyjdź do mnie, to pogadamy. Nie wiem, czy coś ci poradzę, ale możemy porozmawiać. Bez raportów, bez upomnień, bez oficjalnego doradztwa. Po prostu... babskie pogaduchy. O problemach z chłopakami.

–Babskie pogaduchy... – powtórzyła z niedowierzaniem Despreaux. Spojrzała na starszą sierżant, po czym spuściła wzrok na szereg baretek i zmasakrowane ramię. – To brzmi... dziwnie.

–Hej, masz problem z chłopakiem – powiedziała Kosutic, wskazując ruchem głowy

na śpiącego księcia. – Pomyśl, że jestem twoją starszą siostrą.

–W porządku – pokręciła powoli głową plutonowa. – Skoro tak pani mówi. Babskie pogaduchy.

–Później – zgodziła się starsza sierżant, kładąc się na posłaniu. – Kiedy nie będę się czuć jak utłuczony kotlet.

* * *

Pierwszą rzeczą, jaką poczuł Roger, było potworne pragnienie. Zaraz potem odezwał się jednak ból głowy, przy którym pragnienie zrobiło się malutkie.

Jęknął i spróbował poruszyć palcami dłoni i stóp. Coś się poruszyło, więc przeszedł do otwierania oczu.

A więc, pomyślał, jest gorąco i duszno, a nad głową widać skalne sklepienie. Wyraźnie czuć też smród odchodów *flar-ta*. Książę przysiągł sobie, krztusząc się od przerażającego odoru, że już nigdy nie powie złego słowa na lewiatański olej. Odkrył dużo naprawdę o wiele gorszych zapachów.

Na przykład przypalone mięso.

Obrócił w bok głowę i znów jęknął. Nie wiedział, co stało się leżącemu obok marine, ale wyglądało to poważnie. Na tyle poważnie, że na pierwszy rzut oka książę nie był w stanie powiedzieć, czy to mężczyzna, czy kobieta.

–Wybuch plazmy – odezwał się głos z drugiej strony. Roger obrócił głowę powoli i ostrożnie, i spojrzał w brzydką twarz doktora Dobrescu. – Właściwie sama fala ciepła, ale i tak wystarczyło.

Chorąży patrzył przez chwilę na swojego drugiego pacjenta, po czym spojrzał z powrotem na Rogera.

–Dzień dobry, Wasza Wysokość.

–Moja głowa – zaskrzeczał książę.

–Boli? – spytał wesoło medyk. – Tak.

Były Raider nachylił się i zaaplikował Rogerowi zastrzyk w szyję. Po chwili księcia zalała fala ulgi.

–Ooooooch.

–Niech się pan nie przyzwyczajają – uprzedził go sanitariusz. – Mamy dużo rannych.

A skoro o tym mowa, musi pan zabrać stąd dupsko, Wasza Wysokość. Muszę się zająć innymi.

Roger poczuł na ramieniu ciągnącą go w górę dłoń. Obejrzał się i ujrzał Matsugae.

–Kostas? – spytał niewyraźnie. Nadstawił uszu, ale nie słyszał huku działek plazmowych ani trzasku salw karabinów. – Co się stało? Wygraliśmy?

–Tak, Wasza Wysokość – powiedział służący, pomagając mu wstać i podając kubek rozkosznie zimnej wody. – Witamy wśród żywych.

Przed oczami Rogera mignęła scena z walki.

–Despreaux? – spytał ostro.

–Plutonowa Despreaux? – zdziwił się Matsugae. – Wszystko z nią w porządku. Dlaczego pan pyta?

Książę przez chwilę zamierzał powiedzieć mu o wspomnieniu wzniesionego topora, ale nie zrobił tego. Musiałby wyjaśnić dziwne, niepokojące uczucie, jakie go przy tym ogarnęło.

–Nieważne. Jaka jest sytuacja?

–Tak jak pan się domyślił, wygraliśmy – powiedział służący. – Ale sprawy trochę się chwilowo skomplikowały.

Roger rozejrzał się po cuchnącej twierdzy i zbladł.

–Ilu? – spytał, patrząc na rzędy rannych.

–Trzydziestu ośmiu – odparł Dobrescu, sprawdzając identyfikatory. – To są ranni, którzy nie mogą się poruszać. Dwunastu zabitych... w tym, obawiam się, porucznik Gulyas.

–O, Boże. – Roger spojrział na poparzonego marine obok niego. Podobne obrażenia miało wielu rannych. – Co się stało?

–Strzał z plazmy – powiedział po prostu Dobrescu. – Sytuacja była... trochę napięta.

–Musimy ich stąd zabrać – stwierdził książę, pokazując ręką cuchnącą ciemność. – To nie jest miejsce na szpital.

–Pracujemy nad tym, Wasza Wysokość – powiedział mu sanitariusz. – Wyniesiemy wszystkich przed zmrokiem. Na razie to jedyny dach, jaki mamy.

Roger wstał, opierając się na służącym.

–Dobrze. Zróbcie to.

Książę pokuśtykał do wejścia i zatrzymał się, kiedy zobaczył dziedziniec. Wnętrze cytadeli przypominało wizję piekła z majaczeń szaleńca.

Wschodni bastion, ostoja drugiego plutonu, zamienił się w dymiącą ruinę. Mur z tamtej strony wciąż pokryty był trupami Mardukan, a drzwi i strzelnice wieży pokruszone i poczerniałe.

Z kordegardy została kupa gruzu, do tego na poły wypalonego. Dziedziniec zasłany był trupami, leżącymi w pięciu albo sześciu warstwach, a miejscami nawet grubiej. Ponieważ brama była jedynym ujściem deszczówki, między murami zaczynała już wzbierać woda. Szereg tubylców wynoszących ciała brodził po kostki w czerwonej mazi.

Roger popatrzył na Mardukan, zbierających trupy i strzępy ciał w gęstniejącej, ohydnej zupie.

–Kto to jest? Czy mi się dobrze wydaje?

–Kranolta – powiedział Kostas.

–Mają broń – zauważył skrzeczącym głosem książę. Napił się wody i potrząsnął głową. – Co tu się stało? – powtórzył po raz trzeci.

–Wygraliśmy – powiedział jeszcze raz służący. – W pewnym sensie. W ostatniej chwili pojawiły się siły innych państw-miast. Uderzyły na Kranolta od tyłu i zepchnęły na mur. Barbarzyńcy zajęli w końcu wschodni bastion, ale kapitan Pahner zdążył go ewakuować. Tylko tam mogli się schować. Marines wyrznęli ich prawie do ostatniego.

–Ale część z nich wycofała się do obozu, zanim przybyły wojska miast. W porównaniu z początkową hordą zaledwie garstka, ale wciąż mogli sprawić sporo problemów, więc Pahner zorganizował zawieszenie broni. Ocalali Kranolta nie chcą walczyć z marines ani wojskami Nowego Voitan, ale będą się bronić, jeśli będą musieli. Dlatego kapitan i nasi nowi... sprzymierzeńcy pozwolili im zatrzymać broń i pogrzebać zabitych.

–Co za rzeź – szepnął Roger, oglądając się przez ramię do środka twierdzy.

–Mogło być gorzej, sir.

–Jak? – spytał gorzko książę.

Zaczęło padać.

–Mogliśmy przegrać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

CZWARTY

–Przeegralibyśmy, gdybyście nie nadeszli.

Roger upił łyk wina. Smakowało wspaniale, ale przecież w namiocie wszystko było takie, poczynając od skórzanych ścian po stoły z kutego mosiądzu. Leżące na ziemi poduszki obleczono materiałem, którego ludzie jeszcze nie widzieli, jedwabistym i zupełnie niepodobnym do pospolitej, szorstkiej i wełnistej tkaniny używanej w Q'Nkok. Najwyraźniej T'Kal Vlan podróżował z klasą.

–Być może. – Ostatni władca Tan K'tass wybrał sobie plasterek kandyzowanego owocu i nadgryzł go. – Mimo to jednak zniszczylibyście Kranolta. To duży wyczyn, nawet w oczach bogów najdalszego z lądów!

Kapitan Pahner pokręcił głową.

–Przykro mi, Wasza Wysokość, ale nie. Przybywamy z imperium tak ogromnego, że Kranolta i cała dolina Hurtan to przy nim niezauważalne pyłki. Dobrze, że pan się cieszy, ale straty, jakie ponieśliśmy, mogą oznaczać, że księżę nie dotrze do domu. Jego matka byłaby wtedy naprawdę rozczarowana.

–Ach! – zawołał Roger.– Tylko nie to! Tylko nie gniew Matki! Broń Boże!

–Przerazająca z niej kobieta, tak? – zaśmiał się T'Kal Vlan.

–Raczej tak – powiedział księżę i wzruszył ramionami. – Ale kapitan ma rację. Jestem pewien, że gdybym zginął, matka odwiedziłaby mnie w grobie, żeby mnie za to skarcić.

–Więc sam pan widzi, Wasza Wysokość – podjął Pahner. – Obawiam się, że musimy traktować tę bitwę jako porażkę.

–Niekoniecznie, kapitanie – powiedział Roger i zakręcił winem w kielichu. – Oczyszciliśmy sobie drogę. Tak czy inaczej, musieliśmy przejść przez wzgórze, a żadna droga nie była specjalnie łatwa. Nie ma sensu teraz zastanawiać się nad faktami dokonanymi. Gdybyśmy poszli na południe, szlibyśmy ciągle walcząc i pewnie powtarzalibyśmy sobie „założę się, że te cipki Kranolta nie sprawiałyby aż tyle problemów”.

–Ja osobiście dziękuję wam za usunięcie większości z tych „cipek Kranolta” – roześmiał się T'Leen Targ. – Kowale, których ze sobą przyprowadziliśmy, już zaczęli stawiać piece. Zebraliśmy wszystkich ocalałych mistrzów i ich uczniów. Niedługo

żyłami Voitan znów popłynię krew.

–Tak – zgodził się T’Kal Vlan. – A im szybciej, tym lepiej. Mój skarbiec niedługo sam się wykrwawi.

–Potrzebny wam kapitał – powiedziała O’Casey. Naczelniczka świty w milczeniu popijała wino i z rozbawieniem przysłuchiwała się przechwałkom wojowników, teraz jednak rozmowa zeszła na jej specjalność.

–Oczywiście – zgodził się Vlan. – Ale rodzina już upłynniła większość udziałów, żeby sfinansować wyprawę. Nie wiem, na czym jeszcze można oprzeć kapitał, nie licząc pożyczek na wysoki procent.

–Sprzedawajcie udziały – zaproponowała O’Casey. – Wystawcie na sprzedaż akty częściowej własności kopalń. Każdy udział oznacza jeden głos w kwestiach zarządzania i udział w ewentualnych zyskach. Będzie to inwestycja długoterminowa, ale raczej niespecjalnie ryzykowna, jeśli zbierzecie odpowiedni kapitał.

–Nie zrozumiałem wszystkich słów, których właśnie pani użyła – powiedział Vlan, przechylając głowę. – Co to jest „equity”?

–Ojej – uśmiechnęła się szeroko O’Casey. – Widzę, że naprawdę musimy poważnie porozmawiać.

–Proszę się nie przejmować – wzruszył ramionami Pahner. – Chwilowo i tak nigdzie się nie wybieramy.

* * *

Roger usiadł gwałtownie, mokry od potu, i dysząc ciężko rozejrzał się po namiocie. Wszystko w porządku. Ściany namiotu, poruszające się lekko od wiatru, który właśnie się zerwał. Sprzęt obozowy. Oczy.

–Powinieneś odpoczywać, Wasza Wysokość – powiedział słabo Cord.

–Ty też, stary wężu – odparł Roger. – Nie zdrowiejesz tak szybko jak my.

Usiadł na połówce i głęboko odetchnął.

–Wiesz, to po prostu wraca.

–Tak – zgodził się Mardukanin.

–Zastanawiam się, jak... – Książę przerwał i potrząsnął głową.

–Jak? – podpowiedział szaman, z grymasem bólu podnosząc się na łokciu.

–Powinieneś leżeć płasko na plecach, Cord – upomniał go Roger.

–Mam dość pokładania się jak robak – odparował Mardukanin. – Jak co?

–Nie dajesz się zbić z tropu – uśmiechnął się książę. – Zastanawiałem się, jak marines dają sobie z tym radę. Ze strachem i śmiercią. Nie tylko naszą, chociaż zginęło nas przecież dużo, ale z Kranolta. Wykończyliśmy ich plemię, Cord. Usypaliśmy pod murem rampę z ich ciał. A na nich... na nich wydaje się to nie robić wrażenia.

–W takim razie nie masz oczu, młody książę – chrząknął szaman. – Spójrz na młodego Juliana. My też mamy śmiejących się wojowników, którzy ból maskują humorem, jak Denat, którego straciłem w kłach *atul*. Zawsze stawiał czoła niebezpieczeństwu ze śmiechem, ale to była tarcza jego duszy. Jestem pewien, że szydził z *atul*, który go pożerał. Albo młoda Despreaux. Taka młoda, a taka niebezpieczna. Powiedziano mi, że jest bardzo piękna jak na człowieka. Ja tego nie widzę – brakuje jej... wielu rzeczy. Na przykład rogów. Jej tarczą jest kamienna twarz. Trzyma swój ból tak mocno, że zamieniła się od tego w kamień. Tak myślę.

Roger przekrzywił głowę na bok i skubnął odstający kosmyk włosów.

–A Pahner? Kosutic? Cord chrząknął.

–Po pierwsze, zauważ, że chociaż są świetnymi wojownikami, dowodzą na odległość. Przede wszystkim jednak nauczyli się różnych sztuczek. Pierwsza to wiedzieć, że nie jest się samemu. Kiedy leżałem jeszcze w jaskini, Pahner przyszedł zobaczyć się z rannymi. Rozmawialiśmy. Twój kapitan to prawdziwy mędrzec. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach, ale przede wszystkim... o pieśniach. O poezji.

–Poezji? – zaśmiał się Roger. – Jak Pahner może rozmawiać o poezji?

–Są różne rodzaje poezji, książę – powiedział z chrząknięciem szaman. – Spytaj go o „Grób stu poległych” albo „Pieśń na zakończenie”. Albo „List do syna”. – Mardukanin poruszył się, by znaleźć wygodniejszą pozycję. – Ale spytaj go rano.

–Poezja? – powtórzył Roger. – Po co mi poezja?

*** * ***

–Eleanora?

Naczelniczka świty szła właśnie na kolejne ze spotkań, które zorganizowała. Uznała się najwyraźniej za jednoosobowy zespół inżynierii społecznej, a przynajmniej jego najlepszy dostępny ekwiwalent. Postawiła sobie za cel, by po jej odejściu Voitańczycy mieli najsilniejsze struktury władzy, jakie dało się wypracować w takiej

sytuacji. Racjonalna oligarchia, będąca najlepszym rozwiązaniem, dobrze wkomponowywała się w plany Voitańczyków.

–Tak, Ro... Wasza Wysokość? – spytała pośpiesznie.

Jej pad był niemal przeładowany notatkami; miała tylko kilka dni, by wszystko poustawiać. Cokolwiek Roger od niej chciał, musiał się streszczać.

–Słyszałaś kiedyś o wierszu „Grób stu poległych”?

Naczelniczka zatrzymała się, zamyśliła i sprawdziła w tootsie.

–Tytuł brzmi znajomo, ale nie kojarzę.

–A może „Recessional”? – Roger zmarszczył czoło. – Albo coś jak „List do syna”?

–Ach! – Twarz historyczki rozjaśniła się. – Tak, mam to. Czemu pytasz?

–Uwierzyłabyś, że polecił mi go Cord?

O’Casey roześmiała się wesoło. Roger zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej tego nie słyszał.

–Nie bez pewnego wysiłku, Wasza Wysokość.

–Myślę, że od kogoś go usłyszał – wyjaśnił sztywno Roger.

–Ustaw swój pad, Wasza Wysokość – powiedziała z uśmiechem Eleanora i przesłała plik.

Pad księcia zapiszczał i wyświetlił tekst.

–Trzymasz go w tootsie? – spytał zaskoczony Roger.

–O, tak – odparła O’Casey, ruszając w swoją stronę. – Uwielbiam go. Bardzo niewielu poetów z czasów prekosmicznych dorobiło się choćby jednego wiersza, który byłby jeszcze znany. Kiplinga należałoby policzyć zaraz za Edwardem DeVere, lordem Oxfordu. Porozmawiaj z kapitanem Pahnerem. Eva wspominała chyba, że przechowuje jego dzieła zebrane w swoim tootsie.

*** * ***

Chorąży Dobrescu przerzucił z ręki do ręki kawałek czerwonawej rudy, patrząc na wznoszącą się wysoko nad jego głową czarno-czerwoną ścianę.

Wszystko jasne, pomyślał.

Ostatnie dwa tygodnie były dobre dla kompanii. Żołnierze odpoczęli i zdążyli oderwać się trochę od straszliwych strat poniesionych w bitwie. Ponieważ Voitan znalazło się w „sojusznicznych” rękach, Pahner postanowił zostawić w nim wszystkich zabitych. Gdyby udało im się wydostać z planety, mogli po nich wrócić. Gdyby polegli po drodze, przynajmniej ci marines zostaliby pochowani.

Voitańczycy otworzyli grotę w katakumbach, splądrowanych przez Kranolta. Przed upadkiem miasta grzebano tu wojowników gwardii królewskiej; pod ścianami wciąż leżało trochę murszejących kości. Poległych zapakowano w śpiwory, ale nie spalono – spoczęli obok swoich braci. Starszy sierżant Kosutic, jako jedyny zarejestrowany kapelan w kompanii, odprawiła mszę. Jeśli którykolwiek z żołnierzy miał coś przeciwko temu, by modły nad zabitymi odprawiła Wysoka Kapłanka Szatana, zachował to dla siebie.

Przerwa dała też rannym czas na dojście do zdrowia – obfite posiłki i dużo snu dokonały prawdziwych cudów. Wszyscy, oprócz najciężej poranionych, stanęli na nogi i wrócili do szkolenia, dzięki czemu Dobrescu znalazł trochę czasu, by zająć się kilkoma nurtującymi go sprawami.

Pierwszą była lokalna stal. Raz po raz ktoś wspominał, że jedynie „wodna stal” z Voitan jest najwyższej jakości. Stal z innych regionów, nawet obrabiana w taki sam sposób, nie miała takiego „ducha”.

Druga sprawa dotyczyła mardukańskiej biologii. Od chwili lądowania i spotkania D’Nal Corda coś nie dawało chorążemu spokoju. Konieczność opieki nad rannymi tubylcami pozwoliła mu przeprowadzić kilka badań. To, co odkrył, dla reszty kompanii miało być szokiem, sam jednak uważał, że sytuacja jest komiczna. Nie znosił, kiedy ktoś przyjmował jakieś założenie za pewnik.

Czas popatrzeć, jak niektórzy robią się malutcy, pomyślał ze złośliwym uśmiechem.

* * *

–Więc stal zawiera wysoki procent zanieczyszczeń – powiedziała O’Casey. – I co z tego?

–Nie chodzi tylko o wysoki procent – zauważył Dobrescu, zerkając na ekran pada. – Chodzi o to, jakie to zanieczyszczenia.

–Nie wiem, co to jest to „zanieczyszczenie” – powiedział Targ.

–Ciężko będzie to wyjaśnić – zmarszczyła czoło Eleanora. – Zahaczamy tu o chemię molekularną.

–Ja spróbuję – powiedział Roger. – Targ, wiesz, że jeśli raz przetopisz rudę,

otrzymujesz „czarne żelazo”. To kruche.

–Tak – zgodził się T’Kal Vlan. – Takie coś przekazywano plemieniu Corda. Łatwo pęka.

–Trzeba je przetopić – wtrącił szaman. Siedział za Rogerem, jak nakazywała etykieta, ale by ulżyć poranionym nogom, wyciągał się na poduszkach. – Musi być bardzo gorące. To trudne i kosztowne, dlatego czarne żelazo jest tańsze.

–W porządku – podjął Roger. – Kiedy podgrzeje się je w tyglu, aż będzie „bardzo gorące”, jak powiedział Cord, otrzymuje się materiał szary i łatwy w obróbce.

–Żelazo – powiedział Targ. – I co z tego?

–My nazywamy to „kutym żelazem”. To praktycznie czyste żelazo; żelazo to cząsteczka. Czarne żelazo to żelazo z węglem, który jest w węglu drzewnym.

–A stal? – spytał T’Kal Vlan. – Dlaczego mi się wydaje, że potrzebny nam tu żelazomistrz?

–Ktoś inny może to później wyjaśnić? – zaśmiał się Roger. – Chodzi o to, że żelazo to czysty pierwiastek, rodzaj cząsteczki. Czy to zrozumiałe?

–Słyszę słowa – odparł Targ – ale nie wiem, co znaczą.

–Trudno to wyjaśnić, nie ucząc was najpierw podstaw chemii – powiedział Dobrescu. – Będziecie musieli uwierzyć nam na słowo i nie wiem, czy na cokolwiek wam się to przyda.

–Chodzi o to, że stal to też żelazo zmieszane z węglem, ale mniejszą ilością, i podgrzany do o wiele wyższej temperatury.

–To nasi kowale wiedzą – powiedział Targ, wruszając po ludzku ramionami. – Ale samo gorąco i hartowanie nie dają wodnej stali. Nawet na wygnaniu nasi mistrzowie kuli ostrza o wiele lepsze niż inne miasta, ale nigdy nie udało im się zrobić wodnej stali Voitan.

–Stal jest skomplikowana – zgodził się Roger. – Zwłaszcza „wodna stal”, którą my nazywamy damasceńską. Byliśmy... to znaczy ja byłem bardzo zaskoczony, że ją posiadacie, i to tak dobrej jakości. Na waszym poziomie technologicznym to niezwykle.

–Myślę, że to zasługa systemów pomp – wtrąciła O’Casey. – Posiadają sporo naprawdę zaawansowanych technicznie wynalazków z tym związanych. Niech to się tylko rozprzestrzeni, a wybuchnie rewolucja przemysłowa. Szkoda, że nie są

rozwinęci odrobinę bardziej. Pokazałabym im silnik parowy.

–Trzymajmy się może tematu, jeśli można – zaproponował Pahner, uśmiechając się lekko – a inżynierią społeczną zajmijmy, kiedy będziemy mieli za plecami pułk marines, dobrze?

–Jego Wysokość ma rację – podjął Dobrescu, ignorując rozbawienie kapitana. – Zwykła stal to specjalnie formowane żelazo z odrobiną węgla, obrabiane w wysokiej temperaturze, jeśli jednak chcecie otrzymać dobrą stal, musicie dodać kilka innych rzeczy, co wyjaśnia zagadkę ostrz z Voitan. Na początek trzeba zdać sobie sprawę, że miejscowa ruda to coś, co my nazywamy żelazem wstęgowym.

–Wiem – powiedział Roger. – Geologia, pamiętacie? Złoże wstęgowe powstały w wyniku działania pierwszych tlenotwórczych organizmów. Zanim one się wykształcały, atmosfera z reguły ubożeje, a żelazo może leżeć na powierzchni w swojej najczystszej postaci. Kiedy jednak pojawiają się pierwsze organizmy zielone i niebiesko-zielone, żelazo zaczyna rdzewieć. Potem, w ciągu milionów lat, tlen się wyczerpuje i mamy warstwę rudy z rdzą, a potem warstwę rudy bez rdzy, czyli złoże wstęgowe. Tak?

–Tak – przytaknęła chorąży. – Co sprawia, że to jeden z najlepszych takonitów, więc stosunkowo łatwo je obrabiać. Jest jednak zanieczyszczony wanadem, który jest jednym z możliwych utwardzaczy stali. Inne to na przykład molibden i chrom.

–Molibe... molbi...? – Cord się skrzywił. – Nie potrafię tego wymówić.

–Nie przejmuj się – powiedział Dobrescu. – Chodzi o to, Targ, że wasza ruda naprawdę jest wyjątkowa. Zbadałem jedną z waszych głównych kopalń – złoże obfitują w zanieczyszczenia, wanad i molibden. Założyłbym się, że kiedy już ruszycie pełną parą, traficie na żyłę, z której powstanie najlepsza stal, jaką w życiu widzieliście.

–A, to dobrze – powiedział Targ. – Od dawna zastanawialiśmy się, co sprawia, że posiadamy wodną stal. To na pewno wiele” wyjaśnia.

–Chwileczkę – wtrącił ksiązę, marszcząc czoło. – Wanad i molibden są ważne, oczywiście, ale nie najważniejsze, jeśli chodzi o stal do produkcji mieczy.

Chorąży zamrugnął oczami, zaskoczony, a ksiązę zachichotał.

–Nie twierdzę, że jestem w tych sprawach ekspertem – powiedział – ale każdy MacClintock musi wiedzieć coś o starożytnej broni, choćby nie wiem jak się wykręcał.

–Tak? – Dobrescu podniósł brew, a Roger wzruszył ramionami.

–Tak – odparł. – Wanad umożliwia uzyskanie bardziej ziarnistej struktury stali, co ułatwia hartowanie i eliminuje niektóre problemy z przegrzewaniem. Zapobiega również rozhartowywaniu rozgrzanego metalu, więc stal z zawartością wanadu wytrzymuje wyższe temperatury bez rozhartowywania.

–Molibden działa podobnie, przekazując ciepło w głąb stali, zwiększa twardość i redukuje współczynnik zmęczenia materiału. W utwardzaniu stali najważniejszy jest jednak węgiel.

Słuchając wyjaśnień księcia Dobrescu uniósł wysoko obie brwi, i nie był odosobniony w swoim zaskoczeniu. Nawet O’Casey gapiała się na swojego niegdysiejszego ucznia szeroko otwartymi oczami. Roger wzruszył ramionami.

–Mówiłem wam, jestem MacClintockiem – powiedział.

–Ale według czegoś, co czytałem kilka lat temu – zaprotestował Dobrescu – damasceńska stal powstawała dzięki wanadowi i molibdenowi.

–To prawie prawda – powiedział Roger. – Wodny wzór – te białe linie na czarnym tle – to damaskinowe skryształizowania, będące w dużej mierze wynikiem obecności tych zanieczyszczeń. Można jednak uzyskać taki efekt na ostrzu, które jest zupełnie do bani. Dobra stal damasceńska zawiera około półtora procent węgla, jeśli dobrze pamiętani, ale i tak cała sztuka polega na odpowiednim hartowaniu. W kolekcji Rogera III jest kilka wspaniałych mieczy, których nie poddano odpowiedniej obróbce cieplnej. Współczynnik Rockwella miały zaledwie w okolicach trzydziestu paru, więc jako broń były zupełnie nieprzydatne. Jeśli chce się otrzymać coś, co przecina pancerz i kości jak ta ślicznotka – dotknął katany, leżącej obok niego nawet w namiocie T’Kal Vlana – trzeba wykuć ostrze o współczynniku Rockwella co najmniej pięćdziesiąt.

–Naprawdę? – spytała O’Casey, próbując ukryć radość rozpierającą ją na widok Rogera – jej Rogera! – rozprawiającego takim tonem.

–Tak. Na Starej Ziemi dobre miecze kuto na kilka sposobów – powiedział książę. – Europejczycy używali dziwerowania, Japończycy korzystali z konstrukcji mechanicznych, ale chyba Hindusi produkowali stal metodą najbardziej zbliżoną do tej, którą praktykowali kowale z Voitan, sądząc po tym. – Znów dotknął katany. – Rozgrzewali stal w zamkniętych glinianych tyglach, pozwalając, by żelazo nasiąkło węglem.

–To prawda, tak właśnie pracują nasi mistrzowie – powiedział Targ, patrząc na Rogera zmrużonymi oczami. – To nasz ściśle strzeżony sekret – dodał, a książę wyszczerzył się w uśmiechu.

–Nie przejmuj się, Targ, nie mam zamiaru nikomu o tym mówić. Ludzie, którzy

używali tej techniki, wyprodukowali coś, co nazwali stałą tyglową, dzięki właściwościom dostępnej rudy zawierającej te właśnie zanieczyszczenia, o których mówił doktor. Ma prawdopodobnie rację, że ich obecność w jakimś stopniu przyczynia się do jakości waszej broni, ale niech was to nie zwiedzie. Naprawdę sekret tkwi w hartowaniu, umiejętności oceniania temperatury i technikach nasycania węglem, których używacie. Obrabiając stal pozbawioną zanieczyszczeń możecie nie uzyskać tak wyraźnego wodnego wzoru, ale wasza broń będzie dalej jedną z najlepszych na świecie.

–Ale wojownicy jakość naszych mieczy wiążą właśnie z wodnym wzorem – zauważył Targ. – On świadczy o duszy broni.

–Jest też po prostu piękny – zgodził się Roger. – Nie mówię, że natura waszej rudy jest nieistotna, tylko że nie docenicie umiejętności waszych kowali. Najtrudniejszą rzeczą przy produkcji naprawdę doskonałego ostrza jest hartowanie, a to najwyraźniej już opanowaliście. Co do reszty... – Książę wzruszył ramionami. – Teraz, kiedy macie znów dostęp do odpowiednich rud, wszyscy przekonają się, że znów wyrabiacie miecze z prawdziwej wodnej stali. Myślę, że to dobrze wpłynie na wasze dochody podczas odbudowy miasta.

–To prawda – wtrącił T’Kal Vlan. – Na to właśnie będą zwracać uwagę kupcy i wojownicy, oceniając jakość naszych mieczy, więc dobrze jest wiedzieć, skąd się to bierze. Ale gdzie jeszcze możemy znaleźć te składniki? Jeśli zaczniemy mieć problemy, to czy możemy je wydobywać oddzielnie i dodawać, czy nie?

–Tak – powiedział Roger i zmarszczył czoło. – Problem tkwi w znalezieniu ich i oddzieleniu. Na razie powinniście używać tego, co macie. Porozmawiam z kilkoma żelazomistrzami, jeśli chcecie. Może się uda im to wytłumaczyć i wskazać kierunek, w którym powinni szukać. Jeśli dobrze pamiętam, najłatwiej znaleźć i wydzielić chrom.

–Tak, jeśli ma się kwas – zgodził się Dobrescu. – Jeśli nie, wtedy jest odwrotnie. Trudno jest znaleźć właściwe proporcje i odpowiednią temperaturę do obróbki. Ludzie zaczęli produkować dobrą stal chromową dopiero na półtora wieku przed pierwszymi lotami w kosmos. Z drugiej strony oczywiście nikt im nie podpowiadał.

–Nie, ale wtedy już mieli rozeznanie w chemii – zauważyła O’Casey i zamyśliła się. – Zastanawiam się, czy moglibyśmy ich jakoś pchnąć do przodu – powiedziała.

Pahner prychnął.

–Wygląda na to, że moglibyśmy spędzić następny rok próbując przypomnieć sobie, czego nie pamiętamy na temat procesów obróbki – zauważył. – Lepiej chyba byłoby wrócić tu z lądownikiem załadowanym naukową literaturą.

–Racja – zgodził się Roger i zachichotał. – Albo, co tam, z lądownikiem wyładowanym ekipą inżynierów-socjologów. Nie chciałbym niszczyć mardukańskiego społeczeństwa, podoba mi się większość tego, co widzę, ale chciałbym wprowadzić ich do Imperium.

–Możemy to zrobić – powiedziała O’Casey. – Wprowadziliśmy wystarczająco wiele zdegenerowanych społeczeństw ludzkich, nie niszcząc ich struktur.

–Jak Armagh? – uśmiechnął się Roger.

–Jak na planetę pełną zwaśnionych Irlandczyków, nie jest taka zła. Proszę spojrzeć na panią sierżant.

–Prawda, prawda – powiedział Pahner. – Jednak by wrócić tu z ekipą socjologów, musimy dotrzeć do portu. A żeby dotrzeć do portu...

–Musimy tam dojść – dokończył Roger. – A to znaczy, że czas się pożegnać.

–Tak jest – kiwnął głową kapitan. – Targ, Vlan, dzięki, że przyszliście.

–Nie ma problemu – powiedział Vlan. – Do waszego odjazdu jesteśmy do waszej dyspozycji.

–Dziękujemy. – Pahner powstrzymał się od zrobienia pytającej miny, widząc ukradkowe sygnały dawane mu przez Dobrescu. – Myślę, że zobaczymy się jutro. Więc do jutra?

–Tak – powiedział Targ. – Dziękujemy wam. Dobrej nocy.

Kapitan zaczekał, aż obaj wyjdą z namiotu, po czym odwrócił się do medyka.

–Tak, panie Dobrescu? Chce pan powiedzieć coś, czego nie powinni słyszeć Mardukanie?

Chorąży spojrział na siedzącego za Rogerem szamana.

–Tak, sir. Nie jestem tylko pewien, czy Cord...

–Zostaje – powiedział chłodno książę. – Cokolwiek macie do powiedzenia, możecie to powiedzieć przy moim *asi*.

–W porządeczku, Wasza Wysokość – zgodził się medyk. – Chodzi o Mardukan. I o pewne założenia, które robiliśmy.

–Jakie założenia? – spytał podejrzliwie Pahner.

–Och, to nic związanego z bezpieczeństwem, kapitanie – zapewnił go Dobrescu ze złośliwym uśmiechem. – Właściwie nie wiem, czy to w ogóle ma jakieś znaczenie. Ale widzicie państwo, pomyliły nam się ich płcie.

–Co? – spytała O’Casey. Do jej obowiązków, jako nadzorczyńi programu tłumaczącego, należało pilnowanie, by nic takiego nie miało miejsca, natychmiast więc się najeżyła, oburzona. Potem przypomniała sobie, ile razy program próbował zamieniać płć, i spojrzała na Corda, rozciągniętego za Rogerem.

–Ale... – zaczęła i zarumieniła się.

–Patrzy pani, panno O’Casey – sanitariusz wyszczerzył się jeszcze szerzej i jeszcze złośliwiej – na pokładełko.

–Pokła... co? – spytał Roger, zwalczając impuls nakazujący mu odwrócić się i spojrzeć na Corda. Styczność z nieustannie nagimi Mardukanami przyzwyczała ludzi do wielkości tubylczych... członków, ksiązę jednak nie miał zamiaru odwracać się i po raz kolejny wpadać w dół.

–Płć to bardzo śliskie pojęcie, kiedy mowa o ksenobiologii – ciągnął doktor, stukając w klawisze pada. – Obecnie obowiązująca definicja głosi, że o samcu mowa wtedy, gdy osobnik dostarcza więcej niż jedną gametę, która zapładnia pojedynczą gametę. Niezależnie od sposobu.

–Rozumiem więc, że Cord i jego „płć” nie dostarcza więcej niż jednej gamety – powiedział ostrożnie Pahner. – Z całą pewnością wygląda, jakby mógł to robić.

–Nie i tak – odparł Dobrescu. – Płć, którą określaliśmy jako męską, płć Corda... implantuje, tak, to właściwe słowo, implantuje od czterech do sześciu gamet, będących funkcjonalnymi komórkami, pozbawionymi jedynie zestawu pasujących chromosomów. Po implantacji zostają one zapłodnione przez wolno pływające gamety, wytwarzane przez torby osobników, które technicznie rzecz biorąc należałoby nazwać „samcami wysiadującymi”. – Sanitariusz wydał wargi. – W podobny sposób rozmnaża się kilka gatunków ziemskich ryb oraz większość endemicznych gatunków z Ashivum.

–Czyli Cord jest tak naprawdę kobietą? – spytał Pahner.

–Technicznie rzecz biorąc. Pewne aspekty socjologiczne sprawiają, że „samce” przejmują tradycyjne role samic i na odwrót. To właśnie, w połączeniu z fizjologią, sprawiało problemy oprogramowaniu.

–Oraz mnie – przyznała O’Casey. – Ale myślę, że ma pan rację. Nie mieliśmy porządnej pigułki językowej, od której można by zacząć, a ja nie próbowałam zbadać sprawy dogłębnie. Nawet, gdybym o tym pomyślała, nie wiedziałabym, jak sprawdzić,

jakie podstawy ma program tłumaczący. Biorąc jednak pod uwagę to, co pan Dobrescu powiedział właśnie o obowiązujących definicjach, przypuszczam, że ktokolwiek sporządzał pigułkę językową, wiedział, że Cord i jego płeć to technicznie „kobiety”.

Program w kilku przypadkach próbował odwracać płeć, czego można się spodziewać po sztucznej inteligencji, która ma niepełne dane, a ja na to nie pozwalałam.

–Nie jestem kobietą – oznajmił stanowczo Cord.

–Szamanie Cord – powiedziała Eleanora. – Mamy pewne problemy z naszym tłumaczem. Spróbuj nie zwracać uwagi na naszą rozmowę o zmianie płci.

–Proszę bardzo. Rozumiem problemy z maszynami. Macie je bez przerwy. Ale nie jestem kobietą.

–Jakiego on użył słowa? – spytał Dobrescu.

–*Blec tule?* – O’Casey sprawdziła dane w padzie. – To znaczy coś w rodzaju „to, które nosi”. „To, które nosi jaja”? „To, które wysiaduje”? Założę się, że o to właśnie chodzi.

–A co z Pieszczurą? – spytał Roger, patrząc na chrapiącą cicho jaszczurkę.

–To kolejny interesujący aspekt tutejszej biologii – odparł Dobrescu. – W zoologii Marduka występują dwie dominujące rodziny. Można uznać je za odpowiednik gadów i płazów. Cord jest płazoidalny, tak samo chrystebestie, gigabestie i cholerydyle. Wszystkie mają śluzowatą skórę i podobne struktury organów wewnętrznych.

–Za to pieszczury, *flar-ta* są zupełnie inne. Mają suchą, łuskowatą skórę i całkowicie odmienne struktury wewnętrzne. Inne komory serca, inne żołądki, inne odpowiedniki nerek.

–Więc Pieszczura to ona czy on? – spytał Roger.

–Ona. Odpowiedniki gadów płciowo zorientowane są podobnie do ziemskich. Więc Pieszczura będzie kiedyś miała szczeniaczki. To znaczy jajka.

–A co zrobimy z programem tłumaczącym? – zapytał ksiązę.

–Nie zrobimy z nim nic – powiedział Pahner. – Uświadomimy żołnierzom aspekty fizyczne i wyjaśnimy im, że Mardukanie są odwrócenii płciowo, ale będziemy używać dotychczasowego tłumaczenia. Jak powiedziała Eleanora, różnica jest czysto techniczna, a ponieważ nie ma wśród nas ksenobiologów, możemy ją zignorować.

Zresztą i tak nie wydaje mi się, by miała jakiegokolwiek znaczenie, a w ten sposób nie będziemy mącić w głowach żołnierzom. Ani programom.

–Tylko powiedzcie im na pewno – odezwał się sztywnym głosem Cord – że nie jestem kobietą.

*** * ***

–Jest kobietą? – spytał Julian.

–W pewnym sensie – roześmiał się Roger. – Ale traktujcie go dalej jak mężczyznę. I módlcie się, żeby program się nie zagalopował, kiedy trafi się wam niewłaściwa wizualizacja.

Oprogramowanie zagalopowało się już raz, podczas rozmowy Poerteny z Denatem. Na szczęście rana okazała się powierzchowna. Pinopańczyk szybko wracał do zdrowia, a Mardukanin przyjął wyjaśnienie.

–O, rany – powiedział Julian. – Nie mogę się już doczekać, kiedy się zabierzemy z tej planety. Dostałem tu takiego szoku kulturowego, że czuję się, jakbym wsadził fiuta w kulturowe gniazdko.

*** * ***

Roger, przechodząc, poklepał starszego szeregowego Gelerta po ramieniu. Marine uśmiechnął się do niego w odpowiedzi i zarzucił na ramię włócznię. Najwyraźniej jeszcze się do niej nie przyzwyczaił.

Cała kompania została wyposażona w mardukańską broń. Marines mogli wybierać spośród tysięcy sztuk, które zostały po Kranolta, zresztą siły Nowego Voitan również nie próżnowały; natychmiast uruchomiono pierwsze kuźnie. Voitańczycy nie byli jeszcze w stanie wytwarzać broni na zamówienie, mogli jednak zmodyfikować większość tego, co znaleźli ludzie, na ich rozmiar. Kompania została uzbrojona w krótkie miecze – według Mardukan długie sztylety – i okrągłe tarcze, a dodatkowo każdy marine niósł przynajmniej jeden oszczep lub włócznię.

Podczas trzytygodniowego odpoczynku żołnierze zaczęli ćwiczyć posługiwanie się nową bronią. Nie mogli równać się z Mardukanami, którzy praktycznie rodzili się z włócznią w rękach, w przeciwieństwie jednak do tubylców byli żołnierzami, a nie wojownikami. Ich szkolenie kładło nacisk na działanie zespołowe i współpracę, a nie indywidualną, nieskoordynowaną sprawność. Wystarczyło, by jeden pluton zdołał postawić i utrzymać ścianę tarcz – o której Mardukanie chyba nawet nie słyszeli – na tyle długo, by reszta zdążyła wyciągnąć prawdziwą broń.

Roger uśmiechnął się do szeregowego i machnął ręką, kciukiem wskazując wiszący

na jego plecach miecz. Cała kompania wyglądała znacznie lepiej, chociaż kilku najciężej poranionych musiało jechać na *flar-ta*.

Księżę zsalutował kapral D'Estrees. Była jednym z najcięższych przypadków poparzeń i Dobrescu był zmuszony w końcu amputować jej lewą rękę w łokciu. Marine pomachała Rogerowi różowym kikutem i podrapała rosnące wyrzucenie regenerującej się tkanki. Blizna potwornie swędziała, ale za jakiś miesiąc kapral miała wrócić do służby.

Księżę dotarł w końcu do zwierzęcia, na którym miał jechać Cord. Szaman wskazał przytrzymującą go uprzęż.

–To strasznie upokarzające.

Roger pokręcił głową i wyciągnął rękę w stronę rzędu mogił pod lasem. Widać tam było poruszające się postacie, ścinające drzewa do dymarek i oczyszczające dawne drogi.

–Ciesz się, że nie jesteś jednym z nich.

–Cieszę się – chrząknął Cord. – Ale to i tak strasznie upokarzające.

Roger znów pokręcił głową. Z przeciwka podszedł Pahner.

–I jak, kapitanie, jesteście gotowi?

–Na to wygląda, Wasza Wysokość – powiedział marine.

Do obu oficerów zbliżyła się delegacja Mardukan z T'Leen Targiem i T'Kal Vlanem na czele.

–Zostawiamy za sobą wielu dobrych ludzi – mruknął Roger.

Jego uśmiech nieco zbladł, kiedy spojrzał na wejście do katakumb.

–Tak – zgodził się Pahner. – Ale zostawiamy ich w dobrym towarzystwie. I prawdę mówiąc, Wasza Wysokość, myślę, że tak jest lepiej. Wiem, że to tradycja marines zabierać ze sobą swoich poległych, ale ja zawsze uważałem, że żołnierz powinien być pochowany tam, gdzie padnie.

Kapitan pokręcił głową i również popatrzył na katakumby. Jego oczy przybrały nieobecny wyraz.

–Tak chciałbym skończyć – powiedział cicho. – Być pochowanym tam, gdzie padnę, z moimi towarzyszami... i moimi wrogami.

Roger spojrział na niego, zaskoczony, ale nie tak bardzo jak byłby przed przeczytaniem „Listu do syna” albo tuzina innych wierszy Kiplinga, które miała w swoim tootsie Eleanora. Kapitan krył w sobie sekrety, których dawny książę nigdy by się po nim nie spodziewał... a nowy szanował na tyle, by nie rozmawiać o tym głośno.

–Będę o tym pamiętał, kapitanie, kiedy przyjdzie co do czego – powiedział wesóło. – Tylko niech panu nie przychodzą do głowy głupie pomysły! Ma pan absolutny zakaz umierania, dopóki nie dostarczy pan mojego cesarskiego tyłka do domu. Jasne?

–Tak jest, panie pułkowniku – wyszczerzył się Pahner. – Będę o tym pamiętał.

–To dobrze! – powiedział Roger, po czym obaj odwrócili się do nadchodzącej delegacji.

–To chyba komitet pożegnalny – zauważyła Kosutic, wychodząc zza *flar-ta*. Pokazała grupki żołnierzy, ustawiających się po obu stronach prowadzącej do bram drogi. – Chyba szykują się do pożegnania nas z honorami – dodała, drapiąc się po różowej bliźnie.

–Może powinienem założyć większy kapelusz? – zażartował Roger i strzepnął z kombinezonu kawałek liścia.

Mundur w kilku miejscach był już trwale poplamiony, ale ogólnie zachował do pewnego stopnia właściwość samoczyszczące, no i był cały. Kombinezony wielu marines były w strzępach, porozcinane w trakcie udzielania pierwszej pomocy.

–Jeśli pan jakiś znajdzie, może go pan założyć – powiedział spokojnie Pahner.

–Uprzejmie dziękuję za pozwolenie, sir – uśmiechnął się książę. – Mam iść poszukać?

–Proponowałabym przełożyć to na kiedy indziej, Wasza Wysokość – powiedziała cierpko O’Casey. Drobną naczelniczka świty podkrađła się do nich tak cicho, że kiedy się odezwała, Roger aż podskoczył. – Chyba powinniśmy podziękować naszym dobroczyńcom.

–Być może – stwierdził przekornie książę. – Oczywiście, uratowali nam szynki, ale wyrznięliśmy dla nich Kranolta – zauważył, a Pahner znów się uśmiechnął.

–Nie da się ukryć – powiedział.

Pożegnania trwały godzinę. W końcu kompania uwolniła się z objęć braci broni po głębokich zapewnieniach o wieczystej przyjaźni i wzajemnym oddaniu, i zaczęła długą podróż ku morzu.

Maszerując w głąb lądu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Posłaniec leżał na podłodze przed tronem. Zastanawiał się, czy w tym, co ma do powiedzenia, jest coś, co można by uznać za złą wiadomość, ale tak naprawdę nie miało to znaczenia. Jeśli król był w złym humorze, posłaniec mógł pożegnać się z życiem, niezależnie od tego, jaki był ważny.

–A więc, Zwiadowco – chrząknął drwiąco władca – mówisz, że ludzie wyjdą z lasu po stronie Pasule?

–Tak, o królu. Idą starym szlakiem handlowym z Voitan.

–Upewnij się, że ominą Pasule. – Monarcha pogładził ozdobną poręcz tronu. – Muszą najpierw trafić do Marshadu.

–Tak, o królu – powiedział posłaniec. Teraz musiał wymyśleć, jak to zrobić.

–Możesz odejść, Zwiadowco – rzekł król. – Przyprawdź ich tu. Przyprawdź ich do mnie albo zabij się, zanim dostaniemy cię w Nasze ręce.

–Będzie, jak rozkażesz – powiedział posłaniec, pełzną tyłem do drzwi.

Znów udało się oszukać śmierć, pomyślał.

* * *

–Znów udało się oszukać śmierć. – Julian odetchnął, kiedy kompania wyszła pomiędzy ostatnich drzew na najwyraźniej zamieszkałe tereny.

–Tak – powiedziała Despreaux. – Cieszę się, jak cholera, że już wyszliśmy z tej dżungli.

Podróż przez wzgórza za Voitan nie była taka straszna. Nie stracili nawet jednego człowieka, chociaż Kraft z drugiego plutonu został mocno pokiereszowany przez chrystebestię.

Podróż dała im też okazję przywyknąć do nowej organizacji. Zmniejszona kompania została podzielona na dwa plutony, drugi i trzeci, a marines przyzwyczaili się do nieobecności zabitych.

Ogólnie rzecz biorąc, byli w najlepszej formie od momentu opuszczenia Q’Nkok, zarówno fizycznie, jak i pod względem morale, zaś roztaczający się przed nimi widok poprawiał samopoczucie jeszcze bardziej.

Region był najwyraźniej od dawna gęsto zasiedlony. Na wiele kilometrów dookoła

ciągnęły się pola uprawne, podzielone łątami zagajników, a po obu stronach rzeki, wzdłuż której biegła droga, leżały dwa miasta, jedno większe od drugiego.

Kapitan Pahner machnął ręką, dając znak, by kolumna się zatrzymała, kiedy już cała wyszła z dżungli. Ubity szlak, którym podróżowali przez cały dzień, przechodził w tym miejscu w drogę. Dość zaniedbaną – spomiędzy spękanych kamieni wyrastały chwasty i małe drzewka – ale kiedyś najwyraźniej uczęszczaną.

Kompania zatrzymała się obok ruin niewielkiej budowli na pagórku, jednym z wielu wznoszących się na równinie. Budynek był solidnej konstrukcji i wyglądał na strażnicę lub posterunek graniczny, przyjmujący kiedyś karawany z Voitan. Pahner wszedł na dwumetrowe wzniesienie i spojrzął na zatrzymującą się kolumnę.

Marines ćwiczyli pilnie posługiwanie się nową bronią i dawało to rezultaty. Na ramionach wciąż nosili karabiny i granatniki, ale ich podstawowym uzbrojeniem stały się krótkie miecze i włócznie. Poruszali się parami – włócznie z miecznikiem. Pahner zamierzał zaprojektować nowe tarcze i zmienić szyk, ale to musiało poczekać. Pawęż była jedną z rzeczy, których Mardukanie jeszcze nie odkryli, więc trzeba było gdzieś je wyprodukować.

Miał nadzieję, że to będzie właśnie tutaj.

Machnął ręką, a dookoła niego zebrała się jego drużyna dowodzenia – duże słowo, jak na garstkę obszarpanych marines i cywilów. Po śmierci porucznika Gulyasa rolę oficera wywiadu przejął plutonowy Julian, poza tym jednak byli to ci sami ludzie, z którymi naradzał się w Voitan.

–W porządku – powiedział, pokazując dwa miasta. – Wygląda to mniej więcej tak, jak opisywali Voitańczycy. To musi być region Hadur.

Wszyscy pokiwali głowami, a kapitan po raz kolejny zatęsknił za choćby najmniejszą mapą. Według Voitańczyków, region Hadur brał swą nazwę od rzeki o tej samej nazwie, która – jak wynikało z opisów – była naprawdę duża, nawet jak na mardukańskie warunki. Pahner nie miał powodu, by im nie wierzyć, ale nie cierpiał ustalać swojego położenia bez wiarygodnej mapy.

–Jeśli jesteśmy tam, gdzie nam się wydaje – powiedział z krzywym uśmiechem – to większe miasto to Marshad, a to – wskazał ręką mniejsze – musi być Pasule.

Wszyscy znów przytaknęli. Przed upadkiem Voitan Marshad był głównym celem wszystkich karawan z za wzgórz, dzięki czemu stał się bogatym ośrodkiem handlu, zaś Pasule, według T'Leen Targa, było zwykłą rolniczą osadą.

–Wolałbym zacząć poznawanie tych okolic od Pasule – ciągnął kapitan – ale jeśli mamy sprawić sobie pancerze i tarcze, to powinniśmy udać się do Marshadu. Z

drugiej strony musimy też uzupełnić zapasy, a do tego bardziej nadawałoby się Pasule.

Mówiąc to, rozejrzał się po okolicznych polach. Wieśniacy przerwali pracę i gapili się na oddział, który wyszedł z dżungli. Większość z nich orała ziemię pod kolejny siew jęczmyżu, inni zbierali wszechobecne daktiwi. Był to dobry znak; daktiwi i ostatni plon zboża będą na rynku, kiedy kompania będzie chciała kupić zapasy.

–Tak – zaśmiał się Jasco chrapliwym, niemal mardukańskim śmiechem, spoglądając na oraczy. – Te cholerne zwierzaki strasznie dużo jedzą.

–Pani sierżant, pani i Poertena zajmiecie się uzupełnieniem zapasów i załatwieniem tarcz.

–Jasne. – Kosutic zapisała to w swoim tootsie.

Rozmawiali już o różnych możliwościach, jednak teraz, kiedy zobaczyli okolicę, stawało się jasne, że Pasule będzie lepszym, a prawdopodobnie i tańszym, źródłem żywności.

–Widzieliśmy, że potrafią robić drewno wielowarstwowe, sklejkę – powiedział Roger, dotąd w milczeniu przysłuchujący się rozmowie. – Tarcze powinny być zrobione właśnie z tego.

–Ze sklejki? – W głosie Jasco zabrzmiało niedowierzanie, ale nie było go, kiedy książę omawiał techniki wyrobu mieczy z voitańskimi wodzami. – Musi pan żartować... Wasza Wysokość. Ja wolałbym osłaniać się czymś solidniejszym!

–Nie, Jego Wysokość nie żartuje – potrząsnęła głową O’Casey. – Chyba najslawniejszym wzorem tarcz w dziejach Ziemi były tarcze rzymskie, a robiono je właśnie ze sklejki. Historycy zawsze nazywali to drewnem wielowarstwowym, ale to właśnie jest sklejka. Jest o wiele wytrzymalsza niż zwykłe drewno tej samej grubości.

–Krawędzie trzeba obić metalem lub skórą – dodał książę – ale środek tarczy jest ze sklejki.

–W porządku – kiwnął głową Pahner. – Kosutic, ustalicie wzór tarcz z porucznikiem MacClintockiem. – Rozejrzał się dookoła. – Mam nadzieję, że nie muszę nikomu przypominać, że powinniśmy zwracać na siebie jak najmniejszą uwagę. Nie możemy pozwolić sobie na jeszcze jedno takie lanie jak w Voitan. Cała nadzieja w tym, że zostaniemy powitani jak bohaterowie, którzy pokonali Kranolta, i będziemy mogli szybko ruszyć dalej. Jeśli jednak zacznie się jakaś awantura, trzeba będzie kombinować, jak się z niej wyplątać. Mamy za mało amunicji, żeby wystrzelać sobie drogę.

W stronę oficerów podbiegła kapral Liszez z jednym z tubylców. Mardukanin niósł torbę pełną narzędzi i wyglądał na druciarza.

–Poruczniku?

–Co jest, Liz? – spytał księżę.

–Ten szumowiniak coś bełkocze, ale program tłumaczący nie może tego ugryźć.

–O, wspaniale – westchnęła O’Casey. – Zmiana dialektu. Tylko tego było nam trzeba.

–Proszę się tym zająć – powiedział Pahner. – Musimy być w stanie się z nimi porozumieć.

Tubylec gestykulował i pokazywał miasto po drugiej stronie rzeki, najwyraźniej czymś podenerwowany. Albo chciał, by kompania tam z nim poszła, albo ostrzegał, by tego nie robiła. Pahner uśmiechnął się do niego po mardukańsku, ściągniętymi ustami.

–Tak, tak – powiedział. – Idziemy do Marshadu.

Uśmiech albo słowa uspokoiły Mardukanina. Pomachał rękami, dając do zrozumienia, że ich zaprowadzi, ale kapitan pokręcił głową.

–Damy sobie radę – powiedział. – Dziękujemy. Sami trafimy.

Uśmiechnął się jeszcze raz i machnął ręką, by tubylec sobie poszedł, po czym spojrzał na O’Casey.

–Chce pani z nim porozmawiać?

–Tak. – Uczona wydawała się trochę nieobecna, najwyraźniej koncentrując się na tłumaczeniu – albo jego braku – ze swojego tootsa. – Wyłapałam kilka słów. Niech idzie z nami do miasta. Jestem pewna, że kiedy tam dojdziemy, będziemy już mieli większość tego dialektu.

–W porządku – zgodził się Pahner. – To chyba wszystko. Pytania? Uwagi? Zmartwienia?

Nie było żadnych, więc kompania ustawiła się w szyku podróżnym i ruszyła w drogę.

*** * ***

Starożytna droga zrobiła się jeszcze bardziej spękana, kiedy zagłębiła się między

pola, mimo wyraźnych śladów napraw. Po obu stronach piętrzyły się zwały mułu, najwyraźniej pozostałości po ostatnim czyszczeniu drogi po powodzi; kompania zmuszona była poruszać się między niskimi brązowymi wałami. Miejscami przechodziły one w prawdziwe groble, mające osłaniać zasiany jęczmyż i wysokie drzewa daktywi.

Wieśniacy zbierający owoce zwisali z gałęzi na linach albo stali na wysokich drabinach, zrobionych z pojedynczych drągów i nieprzyjemnie kojarzących się z drabinami obłądniczymi. Przerywali pracę i gapili się na ludzi maszerujących w stronę odległego miasta. Ich reakcja była zupełnie inna niż mieszkańców Q’Nkok, może z powodu wyglądu marines, a może dlatego, że przybywali drogą z martwego Voitan.

–Można by pomyśleć, że nigdy nie widzieli człowieka – parsknął Denat.

–Zgraja prostaków – przytaknął z chrząknięciem Tratan. – Tylko ich oskubać.

Spojrzał na maszerującego obok nich drobnego człowieczka, ledwie widocznego spod plecaka.

–Czego powinniśmy ich najpierw nauczyć?

–Pokera – odparł Poertena. – Zawsze zaczyna siem od pokera. Potem nie wim. Może backgammona. Jak będą bardzo głupi, oczko.

–Już, kurde, po nich – zarechotał Cranla. Pomachał do jednego z tubylców zbierających owoce. – Hej, głupi wieśniaku. Oskubiemy waszych kupców do sucha.

* * *

Julian wskazał Mardukan ruchem głowy.

–Dobrze się dogadali z Poertena – powiedział do Despreaux.

–Jeden w drugiego tacy sami – odparła plutonowa nieobecny głosem. – Tylko mi się wydaje, czy ta okolica wygląda na dość wyeksploatowaną?

Kompania zbliżała się do rozwidlenia dróg, przy którym podróżni musieli wybierać między Marshadem a Pasule. Nieopodal na górcie stał kolejny budynek. Chociaż był w lepszym stanie, przerobiono go na składzik.

–Tak – powiedział Julian, patrząc na budowlę. – Myślę, że mocno trafił ich koniec handlu z Voitan.

Kompania skręciła w lewo i ruszyła w stronę rzeki. Porządny kamienny most był jedyną konstrukcją w okolicy, którą utrzymywano w dobrym stanie, a nawet

przebudowywano – strażnice na obu brzegach wyglądały na dość nowe.

Strażnicy dali znak, by karawana się zatrzymała, a Julian się rozejrzył. Po prawej stronie drogi stromo wznosiły się gołe skały. Rzeka opływała łukiem powstałe wzniesienie, a most opierał się na kamiennym jęzorze.

Wzgórze otaczały drzewa i krzewy, wyglądające na pozostałości małego parku. Solidna, ale zupełnie zaniedbana, droga wiała się w kierunku szczytu; widać było, że nikt z niej już nie korzysta. U podnóża wzniesienia, między porośniętymi krzakami zwałami mułu, biegła jedynie wąska ścieżka. Despreaux podążyła za wzrokiem Juliana i potrząsnęła głową. Pahner klócił się ze strażnikami na moście, którzy najwyraźniej uważali, że podróżnicy wraz ze wszystkim, co mają do zaoferowania, powinni zostać na tym brzegu rzeki.

–Okolica tu nieźle podupadła – zauważyła plutonowa.

–Co ty powiesz? – zgodził się Julian. – Ale kiedyś musiało tu być ładnie. Może znowu tak będzie, skoro Voitan wróciło do życia.

–Zobaczymy – powiedziała Despreaux. – Starego Voitan nie zbudowano w jeden dzień.

–Nie – przytaknął marine. Karawana ruszyła wreszcie naprzód. – Ale ten gość z T'an K'tass zachowywał się, jakby chciał to zrobić naprawdę cholernie szybko.

–Faktycznie – zgodziła się plutonowa, ale wydawała się myśleć o czymś innym. Kiwnęła głową mijanym strażnikom. – Nie wyglądają na specjalnie zachwyconych.

–Pewnie są wściekli, że koło nosa przechodzi im tyle pieniędzy – powiedział Julian. – Niedługo wpompujemy sporo gotówki w miejscową gospodarkę... na drugim brzegu rzeki.

–Mam taką nadzieję – poprawiła go.

Miasto-państwo, do którego się zbliżali, było ogromne, znacznie większe od Q'Nkok, ale sprawiało wrażenie zapuszczonego. Tuż za mostem droga znów była spękana i nierówna, jeszcze bardziej niż na drugim brzegu rzeki, a pracujący w polu wieśniacy nie zwracali takiej uwagi na przemarsz kompanii.

Flar-ta nie nadawały się na zwierzęta pociągowe, ponieważ były o wiele za duże, by sprawnie poruszać się po polach. Oznaczało to, że orać można było jedynie zaprzęgami Mardukan, co było całkowicie nieefektywne i morderczo ciężkie. Oracze na drugim brzegu skorzystali jednak z przejścia marines, by zrobić sobie przerwę, tutejsi natomiast opuścili tylko głowy i skoncentrowali się na pracy. Większość plonów po przeciwległej stronie rzeki stanowił jęczmyż, tutaj zaś pola obsiano jakąś

rośliną strączkową i czymś, czego ludzie nie rozpoznawali. Marines spotkali się już ze strączkami i nazwali je byczą fasolką, nie widzieli jednak wcześniej tego drugiego gatunku roślin. Miejscowi rolnicy siali tego bardzo dużo – zajmowało przynajmniej dwie trzecie pól w zasięgu wzroku.

–Zastanawia mnie, z czego wynika ta różnica – powiedział Julian do Despreaux, która wzruszyła ramionami i zatoczyła ręką łuk, pokazując ciągnące się wokół pola. W oddali majaczyło kolejne wzgórze, było jednak jasne, że miejscowe miastopństwo zdominowało okolicę.

–Mają mnóstwo miejsca – zauważyła. – Tutaj pewnie sadzą tylko bycze fasolki i... i to drugie coś, cokolwiek to jest.

–Może i tak – powiedział Julian. – Ale taka różnica po dwóch stronach rzeki? – Wzruszył ramionami. – Nie jestem rolnikiem, ale wydaje mi się to trochę dziwne.

–W końcu się dowiemy, dlaczego tak robią – odpowiedziała wzruszeniem ramion Despreaux. – Ciekawa jestem, co to jest ta druga roślina?

* * *

–*Dianda* – powiedział wędrowny druciarz naczelniczce świty. – To jest... *urdak*... w *wosan*... o tak – dokończył, pokazując kombinezon, który miała na sobie uczona.

Tubylec nazywał się Kheder Bijan. Było oczywiste, że spodziewa się jakiejś nagrody od kompanii za to, że zaprowadził ich do widocznego z daleka miasta, którego głupi cudzoziemcy sami na pewno by nie znaleźli, ale O'Casey i tak była zadowolona, że mają go ze sobą. Pomagał jej zaktualizować program językowy i był kopalnią informacji o Pasule. Dziwnie mało za to wiedział o Marshadzie.

–Ach! – powiedziała Eleanora. – To coś w rodzaju Inu albo bawełny!

Program zaktualizował miejscowy dialekt na tyle, że Pahner mógł przekonać strażników, by przepuścili go przez most. O'Casey zdziwiło bardzo to, że pasulańscy celnicy sprawiali więcej problemów niż marshadańscy. Ci drudzy po prostu odsunęli się na bok, jakby ludzie byli tu oczekiwanymi gośćmi.

–Tak – powiedział tubylec. Potarł róg, zastanawiając się, jak najlepiej wytłumaczyć zagadnienie. – Robimy z tego materiał na handel.

–Główny towar zbytu – kiwnęła głową naczelniczka świty. – A gdzie uprawiacie to, co jecie? – spytała, rozglądając się dookoła. – Wydawało mi się, że powinniście uprawiać więcej jęczmyżu.

Bijan znów potarł róg.

–Nie znam się na rolnictwie. Ja naprawiam rzeczy – wskazał na swoją torbę. – Pewnie w okolicy są jakieś farmy.

–Do kogo należy ta ziemia? – Eleanora była mile zaskoczona, kiedy dowiedziała się, że ziemia wokół Q’Nkok w większej części należy do uprawiających ją rolników. Farmy przekazywano dzieciom według skomplikowanych reguł, dzięki którym nie zmniejszały się z pokolenia na pokolenie. Większość młodszych synów była w ten sposób wykluczana z dziedziczenia, ale problem ten był powszechny wśród społeczeństw rolniczych w całej galaktyce. Ważne było to, że farmy nie dzieliły się na mikroskopijne działeczki, z których nie można było się utrzymać. Rolnicy nie sprzedawali ich również ani nie łączyli w wielkie latyfundia. Domy Q’Nkok zmierzały najkrótszą drogą do uwsteczniającej reformy rolnej, która pozbawiłaby wieśniaków własności ziemskiej, ale zniszczenie ich potęgi powstrzymało te dążenia. Przy tym poziomie zaawansowania technicznego drobne chłopstwo było najlepszym z możliwych wyjść.

–Nie jestem pewien, do kogo należy – powiedział druciarz, pocierając róg. – Nigdy nie pytałem.

O’Casey zamrugła oczami, po czym wesoło się uśmiechnęła. Druciarz paplał beztrąsko o najdrobniejszych szczegółach działania rządzącej w Pasule rady oligarchów i o różnicach między grupami niezależnych i zrzeszonych rolników, uprawiających tamtejszą ziemię. Teraz, kiedy znaleźli się na brzegu, z którego rzekomo pochodził, nagle zamilkł. O’Casey nie przeżyłaby dnia na imperialnym dworze, gdyby coś takiego nie budziło jej podejrzeń.

–Ciekawe – powiedziała zupełnie szczerze. – Po co zwykły druciarz miałby się interesować takimi sprawami, prawda?

–Właśnie – przytaknął Bijan. – Ja tylko nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do mojego pięknego miasta.

*** * ***

–Ładne miasto – powiedziała Kosutic, skubiąc się w ucho.

–Nie najgorsze – odparł Pahner.

Marshad był większy od Q’Nkok, ale mniejszy niż dawne Voitan. Leżał na wzgórzu; kilka dróg wiło się od bram w okalającym miasto murze.

Bramy wyglądały dość niezwykle. Wrota zrobione były z grubego drewna i obite u dołu miedzią, która musiała być warta fortunę. Próg jednak, na którym były osadzone, był potrzaskany, a jeśli kiedykolwiek obity był jakimkolwiek metalem, dawno go już nie było.

Całe miasto wyglądało podobnie. Jego mury były wyższe niż Voitan, ale w jeszcze gorszym stanie. Wiele parapetów oberwało się i leżało w gruzach u podnóża muru, pozostawiając blanki wyszczerbione jak połamane zęby. W wielu miejscach wydlubano zewnętrzne kamienie, a z dziur wysypywał się wypełniający fortyfikacje gruz. Jeden fragment muru był tak uszkodzony, że można by nazwać go wyrwą; jeszcze więcej dowodów zaniedbania ukazało się oczom marines, kiedy weszli do miasta.

Tuż za bramą rozciągał się niewielki plac, resztę wzgórza jednak pokrywała plątanina uliczek i tuneli. Domy zbudowane były z kamienia – różowego granitu i oślepiająco białego wapienia, i tworzyły obłąkany labirynt zaułków, wyrastając jeden z drugiego, bez widocznej dbałości o styl i jakość.

Główna ulica była dosyć szeroka, by przepuścić kolumnę, ale z trudem. Z obu stron biegingy szerokie rynsztoki, do których wpadały mniejsze, wychodzące z sąsiednich alejek. Niższe partie miasta nie były najwyraźniej dobrym miejscem do zamieszkania – płynąca kanałami cuchnąca zupa odchodów i gnijących odpadków z całego wzgórza była praktycznie wybuchowa. Kiedy marines weszli głębiej w miasto, ich oczom ukazał się jego przekrój. Budynki na dolnych partiach zboczy były lepiej wykończone; równe kamienne bloki, dopasowane idealnie bez zaprawy, pokrywał biały gips, a na nadprożach drzwi i krawędziach domów wciąż widać było pozostałości kolorowych farb. Teraz jednak gips odpadał całymi połączaciami, dachy pozapadały się, narożniki były obtłuczone, a wyraźne kiedyś kolory spłowieły żałościwie od szarego światła słońca. Na ścianach widać też było brunatne ślady powodzi. Wiele budynków stało opuszczonych, w niektórych ruinach poruszały się jednak cienie, wychodzące dopiero pod osłoną nocy.

Im wyżej posuwała się kolumna, tym gorsza była konstrukcja domów, za to coraz lepiej były utrzymane. Ponad poziomem wód powodziowych więcej budynków było zamieszkałych; plątanina zaułków stała się prawdziwym labiryntem – dom stał na domu, a nawisy nad uliczkami zamieniały je w tunele.

W uliczkach tych prowadzono interesy, zdecydowanie jednak marne. Pod ścianami stali z rzadka sprzedawcy, oferujący na wpół zgniłe owoce, pleśniejący jęczmyż, tanią i kiepskiej jakości biżuterię oraz różne, lepsze lub gorsze, drobiazgi. Nędza aż biła po oczach; w powietrzu unosił się smród gnijących odpadków i nieczyszczonych latryn, a w drzwiach domów siedziały mardukańskie dzieci, niemrawo skrobiąc coś w pyle ulicy.

Slumsy kończyły się raptownie dużym placem. Wzdłuż jego dolnej krawędzi stały wysokie kamienice, zbudowane najwyraźniej już dość dawno temu. Sam plac był częściowo naturalny, częściowo zaś sztucznie stworzony. Jego centralnym punktem była wielka fontanna, otaczająca posąg uzbrojonego Mardukanina, górną część zaś zajmował wielki zdobiony budynek, wydający się ciągnąć nieprzerwanie – choć

zbudowany w różnych stylach – aż po cytadelę na szczycie wzgórza. Wyglądał na olbrzymi kompleks pałacowy. U jego wejścia trwała właśnie jakaś ceremonia.

Była to najwyraźniej publiczna audiencja. Władca miasta-państwa siedział na okazałym tronie, ustawionym przed głównym wejściem do pałacu. Tak jak tron w Q’Nkok, ten również zrobiony był z wielu różnych gatunków drewna, jednak dodatkowo ozdobiono go elementami z cennych metali i klejnotami. Cała konstrukcja aż lśniła od srebra, złota i nieszlifowanych szafirów i rubinów.

Król był pierwszym Mardukaninem spotkanym przez kompanię, który nosił jakieś znaczące ubranie – miał na sobie lekką, połyskującą szafranową szatę, rozciętą po bokach i zebraną wokół kostek oraz obręcioną jasnym szkarłatem. Połyskiwały w niej srebrne nitki, a koronkowy kołnierz był ciężki od srebra i klejnotów.

Również inkrustowane rogi monarchy lśniły od drogich metali i klejnotów. Spinała je siatka nawleczonych na złote łańcuszki szlachetnych kamieni, rozpraszających padające na nie szare światło w nieco bladą tęczę. Jakby tego było mało, król miał na szyi długi i ciężki, wysadzany klejnotami, złoty łańcuch.

Po obu stronach tronu stali doradcy. Z wyjątkiem odzianego w pancerz dowódcy, nie mieli nic na sobie, ale ich rogi również inkrustowane były złotem i szlachetnymi kamieniami. Stali wyraźnie według rangi, ponieważ każdy kolejny był tym skromniej ozdobiony, im większa odległość dzieliła go od króla.

Wzdłuż pałacowych schodów stało w dwóch szeregach około sześciuset gwardzistów. Byli ciężiej opancerzeni niż gwardia z Q’Nkok – oprócz lśniących w szarym świetle napierśników mieli osłony na uda i karwasze. W rękach trzymali długie włócznie, oprócz nich jednak uzbrojeni byli w około metrowej długości miecze; mimo starannie wypolerowanych pancerzy widać było, że nie pełnią roli jedynie ceremonialnej.

Tłum przed monarchą był wymieszany. Większość stanowiła mardukańska „klasa średnia” – jej członkowie również zdobili rogi, ale ozdoby te były raczej proste i wykonane z pospolitych metali. Tu i ówdzie widać było biedotę; jeden z nędzarzy błagał właśnie o coś króla.

Leżał przed nim płasko, rozrzucając szeroko wszystkie sześć kończyn. Z tej odległości nie było słyhać, co mówi, ale nie miało to tak naprawdę znaczenia. Król na wpół leżał na tronie i zupełnie nie zwracał na niego uwagi.

Błagający skończył mówić. Władca wybrał z tacy owoc daktiwi, nadgryzł go, po czym rzucił w nędzarza i dał znak straży.

Zanim Mardukanin zdążył zaprotestować, gwardziści schwytali go i obcięli mu głowę. Potoczyła się w dół schodów i zatrzymała przed tłumem; z kikuta trysnęła

krw, a ciało osunęło się jak łachman na kamienie, wstrząsane drgawkami.

Zebrani Marshadanie nie wydali żadnego dźwięku.

*** * ***

–Możemy mieć tu problemy – zauważył Pahner.

–O, rany – westchnęła O’Casey.

Kilka miesięcy temu prawdopodobnie zwróciłaby śniadanie, ale po Voitan nie spodziewała się, że zobaczy coś, co mogłoby ją zaszokować.

–Zgadzam się.

–Jeśli zawrócimy i spróbujemy odejść – powiedział Roger – co było moją pierwszą myślą, będziemy mieli problemy na pewno.

–Fakt – zgodził się kapitan. – Niech się pan trzyma przygotowanej mowy, Wasza Wysokość, ale będzie pana obstawiała cała drużyna. Pani sierżant!

–Kapitanie?

–Ustawić kompanię w szyku podłużnym. Natychmiast. I każcie im schować te patyki. Karabiny i działka w centrum i na przedzie!

*** * ***

Karawana zawrzała, kiedy marines przygotowali się, by zaprezentować lokalnemu monarsze swojego władcę. Roger powtórzył sobie mowę i sprawdził pistolet, zakładając, że może tak samo potrzebować obu.

–Dokumenty, dokumenty – mruczała O’Casey, nurkując w paczkach *flar-ta*, nazywanej Berthą. Miała gdzieś schowane, sfatygowane już nieco, opieczętowane papiery Rogera, razem z listami od króla Q’Nkok i nowej rady Voitan, nie spodziewała się jednak, że będzie ich tak szybko potrzebować. Zakładała, że najpierw spotkają się z jakimś dworskim urzędnikiem, by poprosić o schronienie, a dopiero potem z królem.

–Ruszać się, ruszać się, ruszać się – powtarzała cicho Kosutic. Zmiana szyku z taktycznego na paradny musiała być przeprowadzona najsprawniej i najbardziej profesjonalnie, jak to możliwe. Każda oznaka zamieszania nie tylko świadczyłaby źle o Pułku, ale ośmieliłaby ewentualnego przeciwnika. Profesjonalne zachowanie pozwalało uniknąć dziewięciu starć na dziesięć; tym dziesiątym było oczywiście Voitan.

Pierwsza marine stanęła w odpowiednim miejscu. Dowódcy drużyn pospiesznie do niej wyrównali. Na komendę cała kompania – z wyjątkiem jednej drużyny, osłaniającej księcia – ustawiła się w dwusereg, twarzą do miejscowych gwardzistów. Marines było żałośnie mało, ale już niedługo Marshadanie dowiedzą się, czego ludzie dokonali w miejscu zwanym Voitan.

Wtedy zastanowią się dwa razy, zanim spróbują czegoś głupiego.

* * *

Roger obejrzał się i spojrzał w poważne niebieskie oczy plutonowej Nimashet Despreaux.

–Musimy przestać się tak spotykać. Ludzie będą gadać – powiedział.

–Jestem na posterunku, sir. Nie wolno mi prowadzić rozmowy.

–Aha. – Księżę odwrócił się i pociągnął za warkocz, kiedy podeszli do niego O’Casey i Pahner. – Przepraszam. Podam się za to do raportu.

–Gotowi? – mruknął Pahner do komunikatora.

–Bravo na pozycji – odpowiedział równie cicho porucznik Jasco.

–Sekcja wewnętrzna na pozycji. – Głos Despreaux zabrzmiał niczym echo szeptu.

–Dokumenty – powiedziała O’Casey, podając je księciu.

–W takim razie zaczynamy, kapitanie – rzekł spokojnie Roger, tłumiąc drwiące parsknięcie. Ceremonia miała odbyć się według tego samego protokołu, który zaplanowali na Święto Połowu na Leviathanie. Jediną różnicą było to, że kompania trzymała palce na spustach, a gdyby cokolwiek poszło nie tak, księżę miał błyskawicznie paść na twarz. Pięćdziesiąt osiem luf zamieniłoby plac w rzeźnię przy najmniejszej oznace zagrożenia; udział księcia nic by nie zmienił.

Cała grupa ruszyła naprzód wolnym, miarowym krokiem, używanym tylko przy dwóch okazjach – oficjalnych prezentacjach i pogrzebach. Ponieważ marines dużo częściej brali udział w tych drugich, nazwali ten krok „Marszem Śmierci”, co – według Rogera – nie było najszcześniejszą nazwą w tych okolicznościach.

Tłum przed tronem rozstąpił się, by ich przepuścić. Marshadanie zachowywali się zaskakująco cicho; jedynym dźwiękiem na całym placu było powolne, miarowe stukanie butów ludzi i daleki odgłos gromu.

Roger doszedł do lepkiej czerwonej plamy, pozostałej w miejscu, gdzie prosił o

łaskę jeden z nędzarzy, i zatrzymał się. Ukłonił się głęboko i wyciągnął przed siebie dokumenty. Otoczył go żelazisty smród krwi i fekaliiów.

–Wasza Królewska Wysokość, Wielki Władco Marshadu, Głosie Ludu, ja, książę Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock, z Domu MacClintock, trzeci następca Tronu Imperium Człowieka, pozdrawiam cię w imieniu mojej Matki, Jej Wysokości Cesarzowej Alexandry MacClintock, Cesarzowej Ludzkości, Królowej Świtu i Pani Próżni.

Eleanora ceremonialnie wzięła od niego dokumenty, dała krok w przód i w bok, po czym uklękła na krawędzi schodów i wyciągnęła je przed siebie, mając nadzieję, że któryś z tych obwieszonych świecidłami idiotów domyśli się, o co jej chodzi.

Jeden z doradców – sądząc po ozdobach rogów dość znaczny – zbiegł na dół i wziął od niej dokumenty. Roger kontynuował mowę, w której zachwycił się wielkością Marshadu i jego władcy, którego imienia jeszcze nie poznał.

O’Casey sprawdziła tłumaczenie i skrzywiła się. Program zmienił płęć Cesarzowej Alexandry, przedstawiając ją jako „Cesarza Alexandra”, co tylko z historycznego punktu widzenia było zabawne. Eleanora zakodowała tę wersję dla tej kultury – i tak nigdy nie mieli dowiedzieć się, że jest inaczej – i sprawdziła pozostałe ustawienia płęci. Oczywiście program je odwrócił, na szczęście błąd oprogramowania nie dał jeszcze o sobie znać. O’Casey stłumiła parsknięcie i poprawiła go, po czym przesłała patcha do wszystkich pozostałych tootsów i na powrót skupiła się na mowie Rogera.

–...przynosimy radosne wieści – Voitan się odrodziło! Kranolta obrócili przeciw nam swój gniew, kiedy weszliśmy do miasta, lecz była to ich ostatnia pomyłka. Z pomocą wojsk Nowego Voitan pokonaliśmy ich w straszliwej bitwie, całkowicie niszcząc ich armię. Kuźnie i warsztaty osławionego Voitan na nowo rozbrzmiały łoskotem kształtowanego metalu! Wkrótce zaczną tu przybywać regularne karawany. My jesteśmy pierwszą, ale nie ostatnią!

Książę przerwał, oczekując aplauzu, ale usłyszał tylko cichy pomruk, który i tak szybko umilkł. Roger był wyraźnie skonsternowany brakiem reakcji słuchaczy, ale odważnie ciągnął dalej.

–Jesteśmy posłańcami z dalekich krajów, odkrywającymi nowe lądy. Na odległym wybrzeżu na północnym zachodzie oczekują nas statki. Dlatego prosimy o łaskę pozwolenia przejścia przez tę krainę w pokoju. Chcielibyśmy także odpocząć i zaznać gościnności waszego miasta. Przywieźliśmy ze sobą bogate łupy, zdobyte na Kranolta, które chcemy wymienić na zapasy potrzebne nam do dalszej podróży.

Ukłonił się jeszcze raz. Król wyprostował się na tronie. Cała kompania zeszywniała, choć postronny obserwator mógł tego nie zauważyć. Monarcha pochylił się do

przodu i obejrzał dokumenty. Po krótkiej, szeptanej wymianie zdań z jednym z doradców, dotyczącej listu od króla Q'Nkok, władca klasnął w ręce i wstał.

–Witaj, witaj, Wasza Wysokość, w krainie Marshad, ty i wszyscy twoi dzielni wojownicy! Słyszeliśmy o waszych czynach, o pokonaniu Kranolta i przywróceniu dawnej chwały Voitan! W imieniu Naszym, Radj Hoomasa, króla Marshadu, Pana Krainy, witamy was w Marshadzie. Odpoczywajcie, jak długo zapragniecie. Przygotowano już schronienie dla was i waszych wojowników, a wieczorem odbędzie się wielka uczta na waszą cześć! Tak postanawiamy! Niech będzie radość i świętowanie, bo droga do Voitan znów stoi otworem!

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

–Chyba nie rozumiem pana obiekcji, sir. – Porucznik Jasco pokręcił głową i szerokim gestem pokazał luksusowe kwatery, jakie przydzielono oficerom. – Zachowują się raczej przyjaźnie.

–Pająk też, poruczniku – odparł Pahner. – A potem zjada muchę.

Ściany pomieszczenia wyłożone były jasną boazerią, której słoje układały się w wirujące wzory. Podłogę wyścielono poduszkami, o ton lub dwa ciemniejszymi od drewna; większość leżała na stosie pod ścianą, a jedyne okno ukazywało zapierającą dech w piersiach panoramę miasta i rzeki, fragment Pasule i ciągnące się w dal rozległe pola.

Było to bardzo przyjemne miejsce. Teraz musieli tylko ustalić, czy nie jest aby więzieniem.

–Stykamy się z Mardukanami już od jakiegoś czasu – powiedział Roger. – Nie są najłagodniejszym ludem w galaktyce, ale mają więcej szacunku dla życia niż widzieliśmy dzisiaj rano.

–Roger ma rację – odezwała się O’Casey. – To miasto, cała tutejsza kultura, wydają się nietypowe. A najbardziej Radj Hoomas. – Poglądziła palcem jedwabistą poszewkę poduszki, na której siedziała. – *Dianda*. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie widać ten lendwab. Na wszystkich polach, w całej cytadeli. Założę się, że gdybyśmy trochę powęszyli, okazałoby się, że wszyscy siedzą przy krosnach.

–No dobrze – powiedział Jasco. – Ale to jeszcze nie znaczy, że coś jest nie w porządku. Istniało mnóstwo kultur, gdzie każdy był tkaczem albo czymś w tym rodzaju. To jeszcze nie znaczy, że ta kultura jest zła.

–Nie, ale wygląda niebezpiecznie – stwierdził stanowczo Pahner. – Musimy przestać myśleć jak marines, a zacząć jak obstawa.

Cord pokiwał głową gestem, który przejął od ludzi.

–Władca taki jak ten Radj troszczy się tylko o siebie i swoje potrzeby. Ten *atul* jest u władzy już dość długo, by odcisnąć swoje piętno na całym królestwie.

Pahner skinął głową szamanowi i spojrzał na Kosutic.

–Jakie są główne metody działania zamachowca?

–Sądzi pan, że on spróbuje zabić księcia Rogera, sir? – spytał Jasco. – Dlaczego?

–Może nie Rogera – zgrzytnęła zębami sierżant – ale jeśli uzna, że może coś zyskać zabijając strażników i biorąc księcia jako zakładnika, może tego spróbować. – Spojrzała na sufit i zaczęła wyliczać metody. – Trucizna, bomba, ręka, nóż, smart-bot, strzał z bliska, strzał z daleka, ciężka broń, broń masowego rażenia.

–To społeczeństwo posiada rękę, truciznę i nóż – powiedział Pahner. – Skoncentrujmy się na tym.

–Mamy analizatory – zauważył Roger. – Wykryją trucizny.

–Jeśli przyjdą z mieczami, odpowiemy karabinami – powiedział Jasco.

–A jeśli przyjdą z nożami? – spytała Kosutic z ponurym uśmiechem. – *En masse*, ze wszystkich stron? Co wtedy, poruczniku?

–Właśnie. – Pahner odwrócił się do O’Casey. – Pani poprowadzi negocjacje. Proszę zadbać, żeby Roger miał – przerwał i zamyślił się – przynajmniej siedmiu strażników przez cały czas. Siedem to dla nas, ludzi, mistyczna liczba. Nie wolno jej lekceważyć. Więc przykro nam, jeśli to jakiś problem.

–W porządku. – Eleanora zapisała to w tootsie.

–Nie ufam mu – powiedział Roger.

–Dlaczego nie, Wasza Wysokość? – spytał Jasco, może odrobinę zbyt lekceważąco niż powinien, zwracając się do trzeciego następcy Tronu Człowieka. – Dali nam wszystko, czego chcieliśmy, na srebrnej tacy, i nic dziwnego. Muszą się cieszyć, że odżyje handel z Voitan. Spójrzcie tylko na te slumsy, które mijaliśmy po drodze.

–O to właśnie chodzi – powiedział cicho Roger. – Może i byłem strojnisiem. Właściwie dalej nim jestem – skonstatował z uśmiechem, patrząc na swój poplamiony kombinezon. – Ale – ciągnął już poważnie – nie wyglądało to tak samo jak tutaj. Kawalek stąd nędza bije po oczach. Większość tych dzieci dosłownie umiera z głodu, jeśli nie zauważyliście. A koleś, który powinien coś robić, żeby temu zaradzić, siedzi na dupie na samej górze, je owoce, wysadza rogi klejnotami i obcina głowy biedakom. Dookoła jest tyle pól, na których można by hodować żywność, ale nie, rośnie na nich lendwab. Ludzie głodują, a nie wydaje mi się, żeby to był pomysł rolników. Myślę, że to plan tego sukinsyna, z którym będziemy jeść „Kolację Zwycięstwa”.

Książę zacisnął zęby, a jego nozdrza poruszyły się, jakby poczuł coś ohydneho.

–Dlatego właśnie, poruczniku, nie ufam temu sukinsynowi.

–Siedmiu strażników, naczelniczko świty, pani sierżant – powiedział z naciskiem

Pahner. – W pełnym oporządzeniu. Zwłaszcza na kolacji. I jeszcze bardziej zwłaszcza – dodał sucho – po tych wszystkich trudach, jakie zadał sobie nasz przyjaciel król, by upewnić się, że trafimy właśnie tu.

–Właśnie – powiedział Roger. – Druciarz?

–Też pan to zauważył? – uśmiechnęła się Eleanora.

–Ciekaw jestem, kto to naprawdę jest?

*** * ***

–Udało ci się, Kheder Bijanie – zauważył król. Ugryzł kawałek daktwi i rzucił owoc na podłogę. – Gratulacje, Zwiadowco.

–Dzięki ci, o królu – odparł dowódca Królewskich Zwiadowców.

Zwiadowcy naprawdę czasami przeprowadzali zwiady, zwłaszcza kiedy spotykali się z informatorami z sąsiednich plemion, ale faktycznie Bijan był dowódcą marshadzkiej tajnej policji.

–Znów udało ci się uniknąć ścięcia – dodał król, chichocząc wesoło. – Któregoś dnia nie będziesz miał tyle szczęścia. To będzie dla mnie bardzo przyjemny dzień. Dzień, w którym zaznam spokoju.

–Żyję tylko po to, by ci służyć, o królu. – Szpieg wiedział, że balansuje na ostrzu noża, ale to dodawało pikanterii jego roli.

–Oczywiście – zachichotał z niedowierzaniem władca. – Przecież to powszechnie wiadome.

Odwrócił się do dowódcy Królewskiej Gwardii. Zanim awansował na tę pozycję, dowódca był pospolitym najemnikiem; król postarał się, by był przez wszystkich nienawidzony. Był to jedyny sposób, by zapewnić sobie całkowitą lojalność Gwardii. Gdyby król został obalony, Gwardia upadłaby razem z nim.

–Będziemy się trzymać pierwotnego planu.

–Tak jest, o królu – odparł dowódca, zerkając z nienawiścią na szpiega. – Oddziały czekają na twój rozkaz.

–Oczywiście, że czekają – szepnął król. – A z naszą wspaniałą armią i potęgą ludzi zapanujemy nad światem!

*** * ***

Roger ugryzł kawałek ostro przyprawionego mięsa. Sprawdził je analizatorem, który ostrzegał przed alkaloidami – posiłek nie był trujący. Tylko tak smakował.

Tubylcy używali przyprawy, która smakowała dokładnie jak zjełczały koper włoski. Była ona najwyraźniej bardzo popularna, ponieważ posypano nią wszystkie dania. Roger zdjął z mięsa kawałek purpurowego liścia i spróbował. Tak, to było to. Splunął ukradkiem, próbując pozbyć się smaku zgnilizny z ust, ale nadaremnie. Na szczęście zostało mu do spróbowania tylko czternaście dań.

Ucztujący siedzieli na poduszkach, w dwie lub trzy osoby wokół niskich trójnożnych stolików. Dania przynosili milczący służący, zabierając puste tace. Większość gości stanowili członkowie marshadzkiego dworu, na kolację przybyło jednak również kilku przedstawicieli innych miast-państw. Nie byli ani ambasadorami, ani zwykłymi gośćmi, lecz czymś pośrodku.

Roger wraz z dwoma takimi przedstawicielami siedział niedaleko króla. Początkowo wdał się w zdawkową rozmowę z sąsiadami, wkrótce jednak obaj pograżyli się w skomplikowanych spekulacjach na temat przyszłości handlu. Książę najpierw stracił zainteresowanie tematem, potem zaś przestał rozumieć, o czym mowa, obaj goście bowiem porzucili lokalny dialekt. Od tamtej pory Roger dłubał w talerzu i obserwował salę.

Spojrzał na Pahnera. Kapitan siedział na poduszce ze skrzyżowanymi nogami, jakby urodził się na takim przyjęciu. Spokojnie gryzł i łykał paskudne jedzenie, kiwając głową, jakby słuchał tego, co mówił jego sąsiad. Jak zwykle marine okazał się doskonałym dyplomatą. Roger westchnął. Nie wierzył, że kiedyś mu w tym dorówna.

Eleanora przestała jeść już po kilku kęsach, ale dyskutowała z ożywieniem z obu sąsiadami. Starła się poznać wszystkie niuanse miejscowej kultury, badając ją tak, jak biolog bada bezkręgowca.

Książę nie obejrzał się przez ramię, ale wiedział, że marines stoją w pełnej gotowości pod ścianą za jego plecami, z bronią przy nodze, gotowi jej użyć, gdyby nagle zrobiło się gorąco.

Poczuł się trochę nagi bez towarzyszącego mu Corda, szaman jednak nie miał nanitów, jak jego ludzcy towarzysze, i wciąż leczył straszliwe rany, jakie odniósł w Voitan. Cokolwiek miało się stać, Mardukanin musiał brać w tym udział, leżąc na poduszkach w kwaterach gościnnych.

Wszyscy byli podenerwowani jak koty w pomieszczeniu pełnym bujanych foteli, łącznie z Radj Hoomasem.

Król siedział plecami do wielkich podwójnych drzwi, prowadzących do jednej z jego wielu sal tronowych. Był otoczony – dosłownie – przez strażników; trudno było go

dostrzec zza pancernych behemotów. Z tego jednak, co udało się Rogerowi zobaczyć, władca również dłużył w talerzu, wymieniając od czasu do czasu kilka słów z odzianym w zbroję dowódcą i nerwowo rozglądając się po pomieszczeniu. Może i była to uczta na cześć zwycięstwa, ale gospodarz nie robił takiego wrażenia.

*** * ***

–Księżę nie je! – szepnął ze złością król.

–Zjadł już dość – odparł Mirza Pars. Stary najemnik klasnął w ręce i chrząknął wesoło. – Tacy są sprytni, a nie poznają nawet trucizny *miz*. Może i jest bez smaku, ale przecież wyraźnie widać liście. Każdy o tym wie... oprócz tych ludzi. Zaśmiał się chrapliwie.

–Ale czy to wystarczy? – spytał Radj Hoomas.

Plan musiał być wykonany bez zarzutu, bowiem potęga ludzi była przerażająca. Próba opanowania jej przypominała łapanie *atul* za ogon.

–Wystarczy. Zjedli już nawet więcej niż potrzeba. Jeśli wstrzymamy podawanie odtrutki, umrą w ciągu dnia.

–A strażę są już gotowe?

–Oczywiście – zachichotał dowódca. – Nie mogą się doczekać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Świętowanie przeniosło się do sali tronowej. Król z tronu kierował toczącą się wokół niego dyskusją. Większość członków dworu po kolacji wyszła, usprawiedliwiając się obowiązkami. W komnacie tronowej pozostała grupa ludzi oraz przedstawiciele innych państw-miast.

Eleanora napiła się ciepłej, zwietrzalej wody z kubka i zmrużyła oczy.

–Król jest jedynym właścicielem całej ziemi? – spytała z niedowierzaniem przedstawiciela Pasule.

Nawet pod rządami najbardziej despotycznych reżimów na Ziemi władza była bardziej rozproszona.

–Tak. Radj Hoomas jest właścicielem nie tylko ziemi uprawnej, ale też wszystkich budynków w mieście i domów Rady za murami.

Przedstawiciel Pasule, Jedal Vel, był niski jak na Mardukanina, ale i tak górował wzrostem nad naczelniczką świty. Rozmawiała już tylko z nim, okazał się bowiem kopalnią informacji. „Prosty kupiec” z Pasule uczył się nie tylko handlu, ale też rządzenia i historii. Oczywiście skłaniał się ku oligarchicznemu systemowi sprawowania władzy w swoim mieście, ale było to naturalne, kiedy jako alternatywę miało się Marshad.

–Dwa pokolenia temu, pośród chaosu, jaki zapanował po upadku Voitan, wybuchła wielka rebelia Domów Marshadu. Najpotężniejsze były trzy z nich; Radj Kordan, dziad Radj Hoomasa, sprzymierzył się z jednym z nich przeciw dwóm pozostałym. Stoczyli straszliwą bitwę, w końcu jednak król pokonał wszystkich, z wyjątkiem swojego sojusznika. Niestety, sam został zabity wkrótce po zakończeniu wojny przez syna jednego z ujarzmionych rodów. Zamierzał tylko ograniczyć ich władzę, obłożyć poważnymi grzywnami i zakazać posiadania wojsk, ale jego syn, ojciec Hoomasa, zabił wszystkich członków pokonanych domów. Potem doprowadził do małżeństwa z córką jedyne go ocalałego sprzymierzeńca i włączył ów dom do Domu Radj, który objął całość władzy w Marshadzie.

Przedstawiciel upił wina i klasnął w dolne ręce w mardukańskim odpowiedniku wzruszenia ramionami.

–Pasule nie rozegrało tego najlepiej. Wspieraliśmy obie strony, próbując przeciągnąć wojnę i osłabić Marshad, jak się tylko da. Zawsze postrzegaliśmy to miasto jako rywala; od upadku Voitan więcej niż raz wybuchła między nami wojna. Kiedy jednak Radj skupił w swoich rękach całą władzę, stało się jasne, że popełniliśmy poważny błąd. Od tamtej pory Radj zagarniał coraz więcej władzy i

skarbów, zostawiając coraz mniej dla innych.

–Jedyną rzeczą, jaką jeszcze eksportuje Marshad, jest *dianda*, ale miasto zarabia na tym krocie. Roślina ta jest trudna w hodowli i zajmuje cenną ziemię, na której można by hodować żywność. Oczywiście Radj Hoomas zupełnie się tym nie przejmuje. Ziemia daje ledwie tyle plonów, by rolnicy nie poumierali z głodu; miejska biedota musi głodować i pracować w przędzalniach.

–Wygląda na to, że sytuacja dojrzała do rewolucji – powiedziała O’Casey. – Na pewno jest jakaś grupa, która mogłaby zorganizować powstanie?

–Być może – odparł ostrożnie Jedal Vel. – Jednak dochody z handlu *dianda* pozwalają królowi utrzymywać silną armię. Składa się ona w większości z najemników, ale zdają sobie oni sprawę, że utrzymanie Radj przy władzy to jedyny sposób, by zachować własną pozycję. Z łatwością zmiażdżyli już kilka prób rebelii.

–Rozumiem – powiedziała O’Casey.

Ale wyeliminujmy armię, pomyślała, i wszystko może się zmienić. Spojrzała na stojących pod wszystkimi ścianami gwardzistów. Oddzielny oddział formował półksiężyc wokół tronu; ostentacyjny pokaz siły wreszcie stał się zrozumiały.

–Miliony na obronę, ale ani grosza biednym... – mruknęła.

–Słucham? – spytał pasulańczyk, ale była to jedynie pusta uprzejmość, bowiem patrzył w stronę tronu.

Radj Hoomas zawołał dowódcę gwardii i wyglądało na to, że wreszcie wygłosi mowę, która pozwoli wszystkim zρέcznie się wymknąć.

* * *

Pahner skinął głową zbliżającemu się księciu. Drużyna marines rozdzieliła się i sprawnie otoczyła obu oficerów ochronnym pierścieniem.

–Roger – powitał księcia kapitan i zerknął na Despreaux.

Żołnierze dostali rozkaz podsłuchiwania króla i dowódcy jego straży, ale plutonowa wzruszyła ramionami. Nie miała nic do zameldowania.

–Radj zdecydowanie coś planuje – powiedział książę, poprawiając niesforny kosmyk włosów. – Ale jak na razie wszystko dobrze.

–To właśnie powiedział skoczek, mijając trzydzieste piętro – wytknął Pahner i jeszcze raz spojrział na Despreaux. – I co?

–Coś o gwardzistach, sir – powiedziała plutonowa. – Może też o truciźnie, ale nie jestem pewna.

–Świetnie – powiedział kapitan.

–Nie podoba mi się, że tak nas otoczyli, sir – dodała marine. – Możemy wyjąć króla, jeśli coś się zacznie, ale nie jestem pewna, czy damy radę utrzymać księcia przy życiu.

–Jeśli coś się stanie, plutonowy – powiedział cicho Roger – bierzcie króla. To wasze podstawowe zadanie. Zrozumiano?

Despreaux zerknęła szybko na Pahnera, ale kapitan jedynie odwzajemnił jej spojrzenie bez wyrazu.

–Tak jest, sir. Zrozumiano – powiedziała.

–Uwaga – ostrzegł Pahner. Rozmowa ucichła, a król wstał z tronu. – Zabawa się zaczyna.

–Zebraliśmy się tu dzisiaj – zaczął Radj Hoomas – by uczcić dzielnych wojowników, którzy zmiażdżyli Kranolta i na nowo otworzyli drogę do Voitan. Zaiste, wspaniali to wojownicy – powiedział, a jego głos odbił się echem od wyłożonych drewnem ścian komnaty.

–Zaiste, wspaniali to wojownicy – powtórzył i popatrzył na własnych gwardzistów. – Powiedz mi, Wasza Cesarska Wysokość, książę Rogerze Ramiusie Sergeiu Alexandrze Chiangu MacClintock, czy twoi wspaniali wojownicy daliby radę pokonać wszystkich gwardzistów w tej komnacie? Zanim sam byś poległ?

–To możliwe – odparł spokojnie Roger. – Całkiem prawdopodobne. A ja bardzo starałbym się przeżyć.

Król patrzył na niego przez chwilę, po czym zerknął na jednego ze swoich gwardzistów. Ten wystąpił do przodu i płynnym ruchem wbił włócznię w plecy przedstawiciela Pasule. Jedal Vel wrzasnął, plując krwią; ostrze wyszło mu z piersi, ale gwardzista tylko uśmiechnął się okrutnie i skrętem nadgarstka wyrwał broń. Wysłannik runął na podłogę.

–Jesteś taki pewny? – spytał król, pochrzając z rozbawieniem.

–Co? – zdziwił się Roger z uśmiechem, na który nie miał ochoty.

O'Casey odskoczyła od drgającego jeszcze ciała u jej stóp i przysunęła się do marines.

–Myślisz, że „wspaniali wojownicy”, którzy pokonali Kranolta, nigdy nie widzieli krwi?

Uruchomił aplikację „zabójca”, której użył w Q’Nkok. Kiedy przed oczami pojawiła mu się siatka celownicza, naprowadził ją na czoło śmiejącego się kapitana gwardii.

By osiągnąć mistrzostwo w posługiwaniu się aplikacją „zabójca”, trzeba było czegoś więcej niż dobrze napisanego oprogramowania. Wymagała przede wszystkim wyćwiczonych mięśni, zdolnych podołać narzucanej im prędkości skurczów. Roger jednak miał takie mięśnie – pistolet pojawił się w jego ręce z oślepiającą szybkością, która tak zaskoczyła Pahnera w sali bankietowej Q’Nkok. Broń po prostu zmaterializowała się w dłoni księcia, a trzask osiągniętej prędkości ponaddzwiękową pocisku złał się z hukiem, z jakim bezgłowy trup kapitana runął na podłogę.

Król otworzył usta do krzyku. Całą twarz spryskaną miał krwią dowódcy gwardii. Zamarł jednak w bezruchu, widząc wycelowaną w siebie lufę.

–Jest stare określenie na taką sytuację – powiedział cicho Pahner.

W wyciągniętej ręce trzymał pistolet i z wściekłą szybkością przekazywał przez toots rozkaz nieotwierania ognia. Komenda musiała być wydana w trybie tekstowym, ponieważ sprzęt do subwokalizacji był częścią bojowego hełmu, którego kapitan w tej chwili nie miał na głowie. Rozkaz został przekazany przez systemy hełmów drużyny Despreaux. Oznaczało to, że kapitan nie mógł usłyszeć odpowiedzi, ale i tak doskonale wyobrażał sobie, jak klnie Kosutic.

–To się nazywa „meksykański pat” – ciągnął. – Spróbujcie nas zabić, a nasza kompania zrówna wasze mizerne miasteczko z ziemią. Osobiście jednak może się pan nie przejmować, Wasza Królewska Mość, ponieważ pan umrze pierwszy, na miejscu.

–Nie sądzę – powiedział z chrząknięciem król, kiedy gwardziści ustawili się między nim a bronią Rogera. – Ale nie zamierzam zabijać dziś żadnych ludzi. Nie, nie. To nigdy nie było moim zamiarem.

–Pozwolisz, że ci nie uwierzymy, Wasza Wysokość? – spytał Roger, kierując lufę pistoletu w sufit. Napięcie trochę opadło. – Przy okazji – dodał, ruchem głowy wskazując odgradzających go od Radj Hoomasa gwardzistów – jeśli zaczniemy, przebijemy się przez te pieprzone kukły jak przez szmatę. Ciała nas nie powstrzymają.

–Ale dokonanie tego zabrałoby wam trochę czasu i uniemożliwiło zabicie wszystkich innych strażników w komnacie, którzy wtedy pozabijaliby was – powiedział król. – Ale powtarzam, to nie było moim zamiarem.

–Proszę go spytać, jaki ma plan – syknęła O’Casey, stosunkowo bezpieczna między Pahnerem i Rogerem.

Była niezłym negocjatorem, ale uznała, że warunki nie są optymalne; miała sucho w ustach i spocily jej się dłonie. Nie pojmowała, jak książę i kapitan mogą być tak spokojni.

–W porządku, o królu, jaki jest twój plan? – spytał Roger, starając się nie przełykać głośno śliny.

Gdyby to zrobił, stałoby się oczywiste, że jego usta są wyschnięte jak jezioro, na którym wylądowali.

–Mam pewne pragnienia – rzekł król i znów chrząknął. – Wy macie pewne potrzeby. Myślę, że możemy dojść do zadowalającego obie strony porozumienia.

–W porządku, to mogę zrozumieć – powiedział ponuro Pahner. – Ale dlaczego, do cholery, zacząłeś negocjacje w ten sposób?

–Otóż – zaczął król, tym razem otwarcie wybuchając śmiechem – potrzebujecie żywności, zapasów i broni. Niestety, nie znajdziecie tego w Marshadzie. Moim pragnieniem zaś jest zdobyć Pasule, gdzie wszystko to jest łatwo dostępne. Byłem przekonany, że nie zechcecie zająć dla mnie Pasule, trzeba więc było znaleźć jakiś bodziec, który was do tego... zachęci.

–Bodziec – powtórzył bezbarwnie Pahner.

–Otóż to. Jestem pewien, że wasz oddział zdobędzie dla mnie Pasule, jeśli dowie się, że w razie odmowy jego dowódcy zginą.

*** * ***

–Spokojnie, spokojnie – powiedziała Kosutic, uciszając wszystkich machnięciem ręki. – Tylko bez nerwów.

–Powinniśmy ich natychmiast odbić – stwierdził Jasco. – Wiem, że nie takie dostaliśmy rozkazy, ale rozkazy wydane pod przymusem są nieważne.

–Oczywiście, sir – zgodziła się sierżant. – Proszę to powiedzieć kapitanowi.

–No...

Rozmowa toczyła się na trzecim piętrze, w „kwaterach oficerskich”. Jasnożółty pokój, w którym książę przygotowywał się do kolacji, zajęła teraz tymczasowa grupa dowodzenia.

–Poruczniku – powiedział Julian, stukając w klawisze pada – na zewnątrz tego budynku znajduje się ponad batalion szumowiniaków. Musielibyśmy wywalczyć sobie drogę na zewnątrz i do sali tronowej.

–Kapitan ma rację, poruczniku Jasco – powiedziała starszy sierżant. – Zaczekamy na właściwy moment, a póki co, będziemy robić, co nam każą. Musimy poczekać, aż przewaga będzie po naszej stronie, bo na razie jej nie mamy. Mamy czas.

–Tak nie można! – zawołał zrozpaczony oficer. – Powinniśmy w tej chwili zdobywać salę tronową! Przecież to członek rodziny cesarskiej!

–Nie da się ukryć – powiedziała spokojnie Kosutic. – Oczywiście. I to niebezpieczny jak cholera.

* * *

Roger wysłuchał spokojnie krwiożerczego dowódcy gwardii, opowiadającego, co się stanie człowiekowi, który nie posłucha rozkazu. Ciężko opancerzony Mardukanin mówił to z bezpiecznej odległości, a kiedy skończył, książę obnażył zęby w uśmiechu.

–Jesteś następny – powiedział miłym głosem.

Kapitan spojrzał na niego złowrogo, ale pierwszy opuścił wzrok i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Roger odwrócił się i rozejrzał. Pomieszczenie było duże i przewiewne dzięki kilku oknom wychodzącym na tyły pałacu. Na odległym murze roili się gwardziści z pochodniami, wypatrujący jakichkolwiek prób ucieczki.

Podłoga zasłana była, jak wszędzie, poduszkami, rozrzuconymi między kilkoma niskimi stolikami, w kącie stały też nocniki. Biorąc pod uwagę okoliczności, było to dość przyjemne miejsce.

–Musimy się stąd wydostać – mruknął książę.

–Jak pan proponuje to zrobić? – spytał Pahner, oddając Despreaux pożyczony hełm.

W przeciwieństwie do Rogera, kapitan był uosobieniem spokoju i opanowania.

–Mam ochotę wziąć karabin i co godzinę zabijać jednego strażnika, aż nas wypuszczą albo nauczą się nie pokazywać nam na oczy – warknął książę, patrząc z wściekłością na gwardzistów na murze.

–Skłaniając ich tym samym do odwetu – powiedział spokojnie Pahner. – Dopóki nie jesteśmy w ogniu walki, nie musimy rozstrzygać starcia. Na razie powinniśmy manewrować, by zyskać przestrzeń i warunki do ataku. Przemoc na tym etapie jedynie ograniczy naszą przestrzeń manewru zamiast ją powiększyć.

–Ma pan plan? – spytała O’Casey. – Mówi pan, jakby miał.

–Nie jako taki – powiedział kapitan, wyglądając przez okno.

Mniejszy księżyc, Sharma, właśnie wschodził. Jego blask w ciemnościach na zewnątrz dawał się bardziej wyczuć niż zobaczyć.

–Z drugiej strony wiele razy przekonywałem się, że oczekiwanie na pierwszy ruch przeciwnika odsłania słaby punkt jego planów.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Kostas Matsugae patrzył na szereg zgarbionych postaci, dźwigających worki jęczmyżu. Nie licząc rodzin poganiaczy były to pierwsze kobiety, jakie kompania widziała od opuszczenia Q'Nkok. Najwyraźniej wyznaczono je do tego zadania, ponieważ nie stanowiły zagrożenia i były o wiele mniej inteligentne. A także chude jak szczapy.

Służący pokiwał głową i rozejrzał się, kiedy wniesiono ostatni worek ziarna. Teren, gdzie znoszono zapasy żywności, pozostawał niewidoczny dla mardukańskich strażników, stojących pod kwaterami gościnnymi. Matsugae pośpiesznie otworzył garnek i pomachał do Mardukanek.

–To gulasz z jęczmyżem. – Pokazał stosik niewielkich misek. – Możecie wziąć po jednej. Proszę, po jednej.

Kiedy wdzięczne Mardukanki wyszły, Matsugae podniósł wzrok i ujrzał Juliana, patrzącego na niego z drzwi. Pomieszczenie przy wejściu było formalnie strażnicą, ponieważ jednak w budynku i tak nie było niczego poza strażnikami, przerobiono je na magazyn.

–Nie podoba się panu moja dobroczynność, panie plutonowy? – Służący podniósł jeden z worków i ruszył do wyjścia. Musiał zająć się robieniem kolacji.

–Nie. – Marine z łatwością wyłuskał dwudziestokilowy worek z rąk Matsugae i zarzucił sobie na ramię. – W tym mieście dobroczynność to towar deficytowy. Nie mam nic przeciwko – zmianie takiego stanu rzeczy.

–To najobrzydliwsze miasto, jakie miałem nieprzyjemność odwiedzić – powiedział służący. Potrząsnął głową i skrzywił się. – Aż trudno w to uwierzyć.

Julian uśmiechnął się ponuro.

–Przyznaję, jest paskudne. Ale to nie najgorsze miejsce w galaktyce. Czytał pan kiedyś cokolwiek o „światach odzyskanych” Świętych?

–Niezbyt wiele – przyznał służący. – Słyszałem o nich, ale nie za dużo. Z drugiej strony uważam, że ogólny koncept tego, co głoszą Święci, nie jest zupełnie niesprawiedliwy. Wiele planet naprawdę zostało zniszczonych przez nadgorliwy terraforming i niekontrolowane wydobywanie. Oczywiście nie jestem ich sympatykiem – dodał pośpiesznie.

–Nie podejrzewałem pana o to. Nie przeszedłby pan testów lojalności, a przynajmniej mam nadzieję, że by pan nie przeszedł. Ale czytał pan kiedykolwiek

raporty na temat „światów odzyskanych”?

–Nie – odparł Matsugae.

Dotarli już do kuchni. W dużym palenisku rozpalono ogień, a na obracającym wysięgniku wisiał już kocioł. W pomieszczeniu było niesamowicie gorąco, jak w otwartych drzwiach piekła. Matsugae zaczął szykować składniki do wieczornego posiłku. – A powinienem?

–Może. – Plutonowy postawił na ziemi worek ziarna. – Zna pan teorię?

–To skolonizowane światy, które Święci próbują przywrócić do stanu „nienaruszonego” – powiedział służący, zaczynając odmierzać jęczmyż. – Starają się usunąć z nich wszelkie ślady ziemskiego życia. – Uśmiechnął się i wskazał na kocioł. – Dzisiaj dla odmiany będzie gulasz z jęczmyżem.

Julian parsknął, ale bez wesołości.

–Fakt, taka jest teoria – zgodził się. – Ale jak naprawdę to robią? Jak „odterraformują” te światy? I jakie to światy? I gdzie są koloniści, którzy na nich żyli?

–Dlaczego zadaje mi pan te pytania, panie plutonowy? – spytał Matsugae. – Czy zna pan na nie odpowiedzi, a ja nie?

–Tak. – Julian kiwnął głową ze złością. – Znam odpowiedzi. Jak „odterraformują” planety? Zaczęli od kolonistów. Głównie biednych farmerów – żaden z tych światów nie produkuje niczego, na czym zależałoby Świętym. Zbierają więc tych wszystkich ludzi i każą im pracować przy „usuwaniu szkód”, jakie kilka pokoleń wyrządziło planecie. Ponieważ byli farmerami i terraformerami – albo potomkami farmerów i terraformerów – byli, *de facto*, winni „niewłaściwego zarządzania ekologicznego”.

–Ale...? – zaczął zdziwionym tonem służący.

–Chwileczkę. – Plutonowy podniósł rękę. – Myślę, że za chwilę odpowiem na pana pytanie. W każdym razie zmuszają ich do pracy przy odwracaniu procesu. Głównie narzędziami ręcznymi, by „zminimalizować wpływ na środowisko”. A ponieważ ludzie, choćby przez samo wydalanie, zmieniają środowisko wokół siebie, „Święci” zadbali, by jakiegokolwiek nowe szkody były minimalne. Ograniczyli racje żywieniowe do poniżej tysiąca kalorii dziennie.

–Ale to...

–Okolo połowy minimum niezbędnego do podtrzymania życia? – uśmiechnął się złośliwie marine. – Naprawdę? O kurczę.

–Chce pan powiedzieć, że głodzą własnych kolonistów na śmierć? – spytał z niedowierzaniem Matsugae. – Trudno w to uwierzyć. A gdzie raport Komisji Praw Człowieka?

–Te planety znajdują się w centrum imperium Świętych – wyjaśnił Julian. – Zespoły KPC nie są dopuszczane w ich pobliże. Według Świętych są całkowicie wyludnione i objęte kwarantanną, więc po co KPC miałyby się nimi interesować? Poza tym – dodał gorzko – uporali się z kolonistami już wiele lat temu.

–Mój Boże, pan mówi poważnie – powiedział cicho służący. Z pomocą wyraźnie rozgniewanego podoficera napełnił kocioł wodą i przesunął go nad ogień. – To jakiś obłąd!

–„Obłąd” to cecha charakterystyczna Świętych – warknął Julian. – Oczywiście, zadanie nigdy nie jest wykonane do końca – dodał z upiornym uśmiechem.

–Nie? – zapytał ostrożnie Matsugae.

–Oczywiście. Zawsze przecież gdzieś musi się pojawić jakiś humanoidalny chwast – powiedział lekkim tonem plutonowy. – Dlatego właśnie ciągle muszą zsyłać tam ludzi, żeby go wytrzebić.

–A skąd biorą tych ludzi?

–Po pierwsze, mamy więźniów politycznych – zaczął wyliczać na palcach Julian. – Potem innych „wrogów środowiska”, jak na przykład palaczy. Oprócz tego zawsze są pospolici więźniowie, których utrzymanie jest po prostu zbyt kłopotliwe. W końcu są obywatele innych systemów politycznych, którzy, w opinii wierzuszki Świętych, nie mają żadnego zastosowania – dokończył z warknięciem.

–Na przykład? – spytał Matsugae jeszcze ostrożniej.

–Na przykład oddziały Raidersów – powiedział gorzko marine. – W zeszłym roku straciliśmy trzy, a ze Świętych wydusiliśmy tylko oświadczenie, że „nic im na ten temat nie wiadomo”.

–Och.

–Najgorsze w tym wszystkim są plotki, że wywiad Floty wie, gdzie oni są. – Podoficer usiadł na jednym z trójnogich stolików i zwiesił głowę. – Gdyby nam tylko powiedzieli, od razu byśmy ich wyciągnęli. Cholera, umieszczaliśmy oddziały Raidersów na tych planetach i mamy dokumentację tego, co tam się dzieje – przecież tak właśnie straciliśmy pierwszych ludzi! Wiem, że moglibyśmy wyciągnąć przynajmniej część z nich!

–Więc to plotki? To nabiera sensu. Nie wierzę, że coś takiego ma miejsce w dzisiejszych czasach.

–Kostas, przejrzyj, kurwa, na oczy! – warknął Julian. – Widziałem pieprzone zdjęcia z Calypso. Wyglądają jak obozy koncentracyjne z czasów Daggerów! Tłumy szkieletów, snujących się z drewnianymi narzędziami i okopujących mleczę, na litość Boską!

Służący popatrzył na niego ze spokojem.

–Myślę, że pan w to wierzy. Obrazilby się pan, gdybym to jakoś sprawdził?

–Ależ skąd – westchnął marine. – Proszę spytać któregoś ze starszych marines. Cholera, nawet O’Casey, kiedy ją odzyskamy. Jestem pewien, że wie wszystko na ten temat. Ale zmierzam do tego, że chociaż to miejsce jest paskudne, ludzie codziennie robią sobie nawzajem rzeczy dziesięć razy gorsze.

*** * ***

Poertena uważnie przyglądał się Mardukanom. Nie miało to sensu, ponieważ okazało się, że cztery ramiona pozwalają cholernie dobrze kantować.

Po raz pierwszy zauważył to niedługo po wyruszeniu z Voitan. Do tej pory dość regularnie wygrywał, ale nagle przestał. Ponieważ jego umiejętności się nie zmieniły, oznaczało to, że poprawiły się umiejętności jego towarzyszy. Zorientował się jednak dopiero w momencie, kiedy Cranli nie wyszła podmiana.

Mimo że mardukańskie dolne ręce były stosunkowo niezgrabne, bez kłopotu można było w nich ukryć jedną lub dwie karty, które pozostawało tylko podmienić. Poertena przyłapał Mardukan dzięki pokrytemu śluzem asowi – podstępny drań Denat wpadł na pomysł ukrycia karty w śluzie na ramieniu, dzięki czemu mógł nawet pokazać, że ma puste ręce.

Dlatego od tamtej pory grali całymi taliami. W ten sposób też można było oszukiwać, ale kiedy miało się do czynienia z pięćdziesięcioma dwoma kartami, nie było to już tak łatwe. W tej chwili było to jednak marne pocieszenie, pomyślał mechanik, ponieważ Tratan rzucił właśnie asa i przebił króla Pinopańczyka.

–Nie denerwuj się, Poertena – parsknął wielki Mardukanin. – Zaraz pomyślisz, że te bezmózgie kobiety nam podpowiadają! – Machnął ręką w kierunku najbliższej, która przesuwiała się powoli, pochylona, i zamiatała podłogę pęczkiem jęczmyżowej słomy, nucąc coś i mrucząc do siebie.

Grupa prostodusznych kobiet została przysłana poprzedniego dnia i już została. Nic dziwnego – wśród ludzi były traktowane lepiej niż gdziekolwiek indziej w mieście.

Przez ten krótki czas jednak, kiedy kompania oczekiwała na decyzję króla, spokojne małe stworzenia wtopiły się zupełnie w tło.

Poertena spojrział na gest Tratana i parsknął.

–Nie wydaje mnie siem.

Mała Mardukanka zauważyła, że zwrócili na nią uwagę; pochyliła głowę i zaczęła śpiewać pół tonu głośniej. Marine zaśmiał się i popatrzył z powrotem na karty, wtedy jednak jego toots zaczął tłumaczyć. System próbował zareagować na jego podświadome pragnienie wsłuchania się w słowa piosenki i ustalił, że to nieznaną dialekt. Poertena zaczął wyłączać wściekle pracujący protokół translacji, ale postanowił dać mu skończyć, kiedy wyskoczył pierwszy zwrot – „głupi mężczyzna”.

Marine stłumił chichot i skupił się na tłumaczeniu. Drobna kobietka, niewiele większa od człowieka, najwyraźniej przeklinała trzech Mardukan.

*** * ***

O, najgłupszy spośród mężczyzn, czy nie śpiewam w waszym języku?

Spójrzcie na mnie, proszę tylko o jedno spojrzenie.

Nie odważę się was zawołać, bo między moimi braćmi może być szpieg.

Ale tylko ja znam wasz język, Wy głupi, beznadziejni, skretyniali mężczyźni.

Nie chcecie posłuchać, że wasz książkę może żyć?

*** * ***

Poertena nie był pewien, jakim cudem udało mu się nawet nie drgnąć, kiedy jego wesołość zamieniła się w panikę, ale był doświadczonym negocjatorem, a doświadczenie to nie ograniczało się do legalnych towarów i usług. Zdarzało mu się już wcześniej, że ktoś nawiązywał z nim potajemnie kontakt w miejscu publicznym. Kiedy tylko zrozumiał, że piosenka to właśnie taka próba, przyjrzał się programowi tłumaczącemu.

Problem tkwił w tym, że kobieta nie używała języka Ludu ani bardzo podobnego dialektu Q’Nkok. Mówiła trzecim dialektem, dość znacząco różnym; różnica ta i fakt, że kobieta starała się nie zwracać na siebie uwagi, sprawiły, że trzej Mardukanie niczego nie zauważyli.

–Problem w twoim języku, ty głupia kobieto – powiedział Poertena. Translator automatycznie użył nowego dialektu. – Nie znam go. Ja się pytam, kto tu jest

głupi?

–Aha – zaśpiewała. – Zastanawiałam się, jak trzech chłopców może być tak głupich. To język miasta, przez które przeszliście, miasta, które się odbudowuje.

Piosenka była prawie atonalna, a kobieta śpiewała ją szeptem. Brzmiało to jak kołysanka w jakimś nieznanym języku. Nie – groźna. Mimo to Mardukanka przeszła na mruçando bez słów, kiedy obok pojawiła się inna kobieta z tacą jedzenia. Poczekała, aż tamta odejdzie poza zasięg głosu, po czym zerknęła ostrożnie na Poertenę, nie przerywając udawanego zamiatania.

–Rzucaj albo przegrywasz – powiedział Cranla, waląc pięścią w stół.

Pinopańczyk podskoczył i rzucił na stół jakąś kartę, nawet na nią nie patrząc.

–Hej, kolego – warknął Denat. – Co się...

–Nie, nie, nie, żadnych rozmów przy stole – zachichotał Tratan, przykrywając króla asem. – Mam cię.

–Dobra, dobra – powiedział cicho Poertena. – I tak już nie pogramy. Rzucamy karty, dopóki nie skończymy rozdania, i koniec.

–Hej, nie jest tak źle... – zaczął Cranla.

–Właśnie się dowiedziałem, że mamy problem – skłamał marine. – Ja już nie zwracam uwagi na grę. Musimy skończyć. I to szybko.

–Ja mogę skończyć – powiedział Tratan. Zostało mu pół rozdania, ale pokazał karty. – Rzucimy je na stół, podliczymy wynik, jakbyśmy grali naprawdę, i rozdamy następne. Będziemy udawać, że gramy, aż będziesz musiał iść. – Rozejrzał się od niechcienia, wypatrując bezpośrednich zagrożeń. – Mamy wziąć włócznie?

–Co? – zdziwił się Cranla. – Ja nic...

–Zamknij się – powiedział mu spokojnie Denat. – Rób, co on mówi.

–Och. – Młody Mardukanin wreszcie zrozumiał, o co chodzi. Wzruszył ramionami i rzucił karty na środek stołu. – I tak trafiło mi się nienajlepsze rozdanie.

–Tak – zgodził się Tratan. – Dostały nam się kiepskie karty.

–Dobra, paniusiu – powiedział Poertena. – Co jest grane?

Umyślnie nie odrywał wzroku od stołu i skierował pozornie bezsensowny potok sylab do Tratana.

**–Chyba trochę zrozumiałem – odparł Mardukanin, zerkając mimowolnie na kobietę.
– Więc to nie był jeden z waszych mitycznych komunikatów radiowych?**

–Jest ktoś, kto musi porozmawiać z waszymi dowódcami – zaśpiewała Mardukanka, odkurzając ścianę przy stole. – Musi się z nimi spotkać.

–Trudna sprawa – powiedział Poertena, ale zerknął na bratanków Corda. – Grania, skocz po panią sierżant.

–Okay – odparł Mardukanin, używając standardowego angielskiego, i pobiegł w stronę schodów.

–Spotkamy się przy palenisku na dole, za jakiś czas – zaśpiewała kobieta, zamiatając podłogę i przesuwając się do drzwi. – Za tyle czasu, ile potrzeba, żeby świeca wypaliła się na szerokość palca.

Poertenie przyszło na myśl, żeby ją zatrzymać, ale postanowił tego nie robić. Najwyraźniej postępowała według jakiegoś planu; jeśli ludzie chcieli z niego skorzystać, musieli najpierw dowiedzieć się, o co chodzi.

–W porządku – odparł, biorąc ze stołu karty. – Pół godziny. Spojrzał na rozdanie i skrzywił się.

–Full przy rozdaniu. Ja to mam szczęście.

–Nie, właściwie nie – powiedział łagodnie Tratan. – Nie chciałem, żebyś się rozpraszał i zastanawiał, co wymienić.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

DZIEWIĄTY

–Jesteście pewni, Poertena? – spytał z powątpiewaniem porucznik Jasco.

Huczące palenisko zamieniło kuchnię w piekło. Zazwyczaj przebywał tu tylko Matsugae i poganiacze, którzy pomagali mu, teraz jednak w pomieszczeniu tłoczyła się sierżant Kosutic, porucznik, Poertena z Denatem oraz Julian i jedna z jego sekcji ogniowych. Matsugae i jego pomocnicy nie przerwali przygotowywania kolacji. Przeciskali się pomiędzy Mardukanami i marines, ale nie było to łatwe.

–Tak powiedziała, sir.

–W takim razie się spóźnia.

–Nie określiła dokładnie, kiedy przyjdzie – powiedział przez radio Pahner. – „Szerokość palca” na świecy. Ludzkiego czy mardukańskiego, i na jakiej świecy?

Kapitan, Roger i O’Casey brali udział w zebraniu za pośrednictwem kamer w hełmach drużyny Despreaux.

–Tak czy inaczej, to powinno być około pół godziny, sir – spierał się Jasco. – To głupota – dodał, zerkając na mechanika.

–Uważa pan, że niepotrzebnie tu przychodziliśmy, sir? – spytała Kosutic.

–Uważam – powiedział porucznik, nieświadom, że za nim bezszelestnie otworzyło się przejście w ścianie – że powinniśmy się przygotować na atak. Nie wiadomo, co nas tu czeka – dokończył.

Z przejścia wyszła służebna, teraz poruszając się dużo mniej służalczo, w towarzystwie znajomej twarzy.

–Cholera – powiedziała łagodnie Kosutic, przełączając hełm w tryb sonaru. Kwatery gościnne, oglądane w tej częstotliwości, okazały się bardzo interesujące. – Kapitanie, to plaster miodu.

Jasco spojrział na nią zdziwiony, potem zauważył, że wszyscy na coś patrzą, więc obejrzał się przez ramię i prawie wyskoczył z kombinezonu. Pospiesznie wycofał się do pozostałych ludzi.

Julian zmarszczył nos i zachichotał.

–Przecież to nasz druciarz!

Kheder Bijan skinął głową, a kobieta, nie sprawiając już wrażenia słabej i głupiej, podeszła do drzwi i sprawdziła, czy są dobrze zamknięte.

–Wybaczcie, proszę – powiedział Mardukanin – że was oszukałem. Było to konieczne, by zapobiec waszej śmierci.

–Co masz na myśli? – Niespodziewane wyjście spiskowców z litego muru za plecami Jasco nie uspiło bynajmniej jego podejrzeń. – Uwierz mi, nikt by nam nic nie zrobił!

–Można was zabić – odparł Bijan. – Ponieśliście duże straty w Voitan. Straciliście, według mnie, około trzydziestu ludzi z dziewięćdziesięciu.

–Trochę mniej – powiedziała Kosutic, uśmiechając się zaciśniętymi ustami. – Ktoś policzył naszych rannych i założył, że część z nich umrze, ale jesteśmy twardsi niż wam się wydaje.

Bijan cicho klasnął w rękę.

–Tak, policzyłem was i sam do tego doszedłem. Dziękuję za wyjaśnienie. Mimo to, gdybyście nie przybyli do Marshadu, zostalibyście zniszczeni na drodze do Pasule. Nawet, gdyby Radj Hoomas potrzebował do tego całej swojej armii, zostalibyście zniszczeni.

–Dlaczego? – zapytał ostro Jasco. – Co my takiego, do cholery, zrobiliśmy?

–Nie chodzi o to, co zrobiliśmy, sir – powiedział Julian. – Chodzi o to, czym jesteśmy. Jesteśmy jego biletem do potęgi.

–Właśnie – kiwnął głową Bijan. – Jesteście jego „biletem” do panowania nad Hadur. Nie dajcie się zwieść, Pasule to jedynie pierwszy krok. Po nim przyjdzie kolej na Turzan, potem Dram. Będzie was wykorzystywał, aż wszyscy zginiecie.

–Do tego mniej więcej doszliśmy – powiedział Pahner. Używał zastrzeżonej częstotliwości, by nie słyszała go reszta kompanii; to nie była rozmowa, która mogła dobrze wpłynąć na morale. – Nie mamy czasu. On ma jakiś plan, więc spytajcie go, jaki.

–Jaki macie plan? – spytała Kosutic, nie dopuszczając do głosu Jasco.

–Niech pan jej da mówić – poradził Pahner porucznikowi, który spojrzał ostro na sierżant. – To normalne, że przodem puszcza się kogoś niższego stopniem. W ten sposób, jeśli postanowi pan kogoś poświęcić dla sprawy, to będzie to starsza sierżant, a nie pan.

–Nie macie powodu, by się z nami kontaktować – powiedziała Kosutic, tłumiąc uśmiech.

Kapitan musiałby być w strasznych opałach, żeby kogokolwiek poświęcać, ale była to dobra wymówka, żeby planowaniem zajęli się dorośli.

–Musicie się trzymać planu – powiedział szpieg, chrząkając. – Tak, nawet to o was wiem. Musicie dotrzeć do tego odległego wybrzeża w wyznaczonym czasie. Nie możecie pozwolić sobie na spędzenie tutaj całego roku na kampaniach.

–Skąd, do cholery...! – zawołał Jasco.

–Nieźle informacje – powiedziała Kosutic. – Ale wciąż nie powiedziałaś, jaki masz plan.

–Jak się domyślacie, są tacy, którzy nie patrzą przychylnie na rządy Radj Hoomasa – powiedział druciarz. – W Marshadzie sporo jest takich, a jeszcze więcej wśród tych, którzy mają pieniądze i władzę w Pasule.

–A ty jesteś kim? Ich przyjacielem? Zwolennikiem?

–Powiedzmy, przyjacielem – powiedział szpieg. – Albo pokornym sługą.

–Aha. W porządku, pokorny sługo, co zamierza ta anonimowa grupa?

–Chce po prostu zmienić *status quo* – powiedział obłudnie Bijan. – Stworzyć lepszy Marshad dla wszystkich jego mieszkańców. W przypadku tych członków grupy, którzy pochodzą z Pasule – uchronić się przed podbojem szaleńca.

–A dlaczego mielibyśmy im pomagać? – spytała Kosutic. – Przecież możemy być fanatykami monarchii.

–Nie jesteście – odparł spokojnie Bijan. – To stało się dla mnie jasne po rozmowie z O’Casey. Bardzo interesowały ją struktury własności ziemi; ucieszyła się, kiedy powiedziałem, że w Pasule ziemia należy do uprawiających ją rolników. Co więcej, jesteście w pułapce – musicie zniszczyć Dom Radj albo nie zdążycie na czas tam, dokąd idziecie. Zresztą wasza rola nie będzie skomplikowana. W dniu bitwy po prostu zmienicie strony. Z pomocą waszych miotających błyskawice broni i wojsk Pasule tutejsi rebelianci pokonają siły Radj Hoomasa, które będą wspierać wasz atak na Pasule.

–A co z naszymi dowódcami? – Dla Kosutic oczywiste było, że plan jest dziurawy jak szwajcarski ser, podejrzewała jednak również, że każda z tych dziur to pułapka na ludzi. – Jak mają przeżyć „zmianę stron”?

–W pałacu są nasi ludzie – powiedział bez zastanowienia Bijan. – Razem ze strażnikami waszych dowódców dadzą sobie radę z gwardzistami Radj. Bez problemu zapewnią bezpieczeństwo waszym dowódcom do chwili, kiedy albo przyjdziecie im na pomoc, albo pałac zostanie zdobyty przez rebeliantów.

–Jednakowoż – z żalem klasnął w ręce – niezależnie od tego, czy jesteśmy w stanie zapewnić im bezpieczeństwo, czy nie, nie macie wyboru. Jeśli nam nie pomożecie, za rok dalej będziecie tu tkwić, uwięzieni na tym, jak przypuszczam, okropnym zadupiu do końca życia. Które, biorąc pod uwagę zamiary, jakie żywi wobec was Radj, będzie prawdopodobnie dość krótkie.

Kosutic uśmiechnęła się szeroko. U Mardukan pokazanie zębów było oznaką agresji.

–Wszystko sobie obmyśliłeś.

–Potrzebujecie naszej pomocy – powiedział po prostu szpieg – a my potrzebujemy waszej. To zwykła zbieżność interesów. Nic ponadto.

–Aha. – Sierżant spojrzała na kobietę. – To twój kontakt? – spytała, pokazując ją ruchem głowy.

–Tak – odparł Bijan. – Jej rodzina pochodzi z Voitan i ma... inne zwyczaje. Jest doskonałym łącznikiem.

–Nikt mnie nie zauważa – powiedziała drobna Mardukanka, stając z miotłą przy drzwiach i zaczynając zamiatać. – Kto zwraca uwagę na głupią kobietę? Przecież, jeśli nawet coś usłyszy, nie zdoła tego zapamiętać.

Dziewczyna chrząknęła złośliwie. Kosutic uśmiechnęła się, po czym spojrzała na szpiega.

–Zostańcie tu. Musimy iść się naradzić. – Skinęła głową pozostałym, by pierwsi wyszli z potwornie gorącej kuchni. Doszli do drugiej strażnicy, gdzie sierżant dała ręką znak „zebrać się tutaj”.

–Kapitanie, jest pan tam? – spytała.

–Tak. Wszystko słyszeliśmy – odparł Pahner.

–Tak jest – włączył się Roger. – Każde pieprzone słowo.

–Słucham propozycji – powiedział kapitan. – Julian, wy pierwsi.

–Musimy trzymać się planu, sir. Przynajmniej na początku. Tak jak ten koleś

powiedział, w tej chwili nie widzę innego wyjścia.

–Nie przejmujcie się nami – wtrącił książę. – Nie wiem, czy kapitan Pahner w pełni się z tym zgadza, ale sądzę, że utrzymamy się tu, jeśli większość gwardzistów weźmie udział w szturmie.

Westchnięcie Pahnera było słychać nawet przez radio.

–Nie podoba mi się to, ale w gruncie rzeczy się zgadzam.

–Powinno nam się udać na otwartej przestrzeni – powiedział Jasco. – Ale czeka nas cholernie ciężka walka o most, a potem jeszcze cięższa aż do samego pałacu.

–Nie, sir – odezwała się Kosutic, myśląc o ukształtowaniu terenu. – Dopiero tutaj zacznie się problem.

–Właśnie – zgodził się Pahner. – Jeśli jakieś oddziały wycofają się do miasta, będziecie walczyć o każdy kamień w tym labiryncie. Nie mamy szans w takim starciu. Jeśli mamy walczyć na ulicach, możemy równie dobrze od razu się poddać.

–Uważa pan więc, że jeśli marshadańska armia będzie na pasulańskim brzegu – i tam zostanie – wtedy kompania będzie mogła nas odbić? – spytał ostrożnie Roger.

–Tak – odparł marine po chwili zastanowienia. – I tak poniesiemy jakieś straty, ale jeśli będziemy mieli jakąś pewność, że siły Pasule osłonią nasz odwrót, powinno być dobrze. Jednak wciąż pozostaje problem – jak powstrzymać ich przed przej... – Zamilkł. – Myśli pan o tym, co ja, Wasza Wysokość? – spytał ostrożnie.

–Może. To zależy od tego, czy uda nam się przemycić z kwater gościnnych jednego Mardukanina.

–Tak – odpowiedzieli jednocześnie Julian i Kosutic, spojrzeli na siebie i roześmiali się.

–Jeśli załatwimy jakiś pancierz dla jednego z Trzech Muszkieterów, załatwię mu kamerę i radio – powiedział plutonowy. – Mam sprzęt w plecaku.

–Ja pokażę mu, jak się tym posługiwać. Denat dobrze sobie radzi z węzłami – dodała Kosutic, skubiąc się w ucho.

–O czym my mówimy? – spytał Jasco.

*** * ***

Marines wrócili do kuchni.

–Zgadząmy się – powiedziała Kosutic. – Jednak mamy kilka pytań i kilka żądań, zanim weźmiemy udział w waszym planie.

–Tak? – przekrzywił głowę Bijan. – A jeśli odrzucę wasze żądania?

–Powiemy królowi o twojej zdradzie tuż przed tym, jak zaczniemy roznosić to żalosne miasto na strzepy – powiedziała cicho sierżant. – Prawie wszyscy przy tym zginiemy, ale twój „nie tak trudny” plan skończyłby się tak samo. Wysłuchasz nas? Czy mamy zacząć od razu?

Szpieg patrzył na nią przez chwilę, po czym roześmiał się.

–Bardzo dobrze, starszy sierżant Kosutic. Czego żądacie?

–Najpierw pytania. Jak tajemne są te przejścia?

–Do tego budynku prowadzi tylko jedno – powiedział Bijan. – Dlatego właśnie nim przyszliśmy, ale są też inne, w strategicznych punktach miasta. Z tego, co wiem, Radj Hoomas nie ma pojęcia ani o tym, ani o pozostałych. To przejście powstało podczas wznoszenia tego budynku, a miało to miejsce zanim Dom Radj doszedł do władzy.

–W takim razie skąd o nim wiesz? – spytał Jasco, zdeterminowany dodać coś od siebie.

–Ja mu pokazałam – powiedziała kobieta. – Rodzina mojej matki brała udział w budowie. Byli murarzami z Voitan. Moja matka dowiedziała się o tym od swojej matki.

Kosutic kusiło, by zapytać, dlaczego kobiety z Voitan jako jedyne na Marduku posiadały trochę wolności, ale doszła do wniosku, że to może poczekać. Najważniejsze było rozwiązanie problemów kompanii. Z drugiej strony, pomyślała, plan Rogera z pewnością poluzuje kilka społecznych pęt w Marshadzie.

–W porządku – powiedziała. – To już wiemy. Pytaliśmy, bo musimy przemycić na zewnątrz jednego lub dwóch Mardukan.

–Po co? – spytał ze złością Bijan. – To zwiększy szansę wykrycia! Ci barbarzyńcy nie mówią nawet w naszym języku!

–Co? – warknął Julian. – Nie macie w mieście barbarzyńców? W ogóle żadnych przyjezdnych?

–Niewielu – przyznał niechętnie szpieg. – Ale pochodzą głównie z plemion Kranolta, a w tej chwili jest ich bardzo mało. To głównie handlarze sprzedający skóry i lekarstwa z dżungli.

–Dobrze – powiedziała Kosutic. – Po drodze zebraliśmy ich całe mnóstwo, więc będzie mógł zabrać trochę ze sobą dla niepoznaki. Poza tym potrzebny mu będzie skórzany fartuch i hełm.

–Nie! – warknął Bijan. – Żadnej walki. Nie wiem, co zamierzacie, ale nie pozwolę zniszczyć wszystkiego, nad czym pracowałem! Jeśli trzeba, poczekam na lepszą okazję!

–Nie, nie zaczekasz – powiedziała Kosutic, szczerząc się w uśmiechu – ponieważ jeśli to się nie uda, pójdę za tobą aż do piekła, żeby napluć na twoją duszę. Czy to jasne?

Patrzyli sobie w oczy przez jakiś czas; w końcu Mardukanin niechętnie klasnął w dłonie.

–Dobrze. Jeden z nich. Znajdę odpowiednią zbroję i hełm. – Przerwał. – Ale jeśli zdradzi nasze przygotowania, niech to spadnie na wasze głowy.

–Dostanie zadanie, o którym opowie wam po drodze – powiedziała sierżant. – Pomożecie mu we wszystkim. – Skinęła głową w stronę kobiety. – A to będzie główny koordynator. Zrozumiano?

–Ja tu dowodzę... – zaczął Bijan.

–Nie – przerwała mu Kosutic, kręcąc głową. – Dowodzi tu przeznaczenie, chaos i zniszczenie, szpiegu. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Denat przemykał się przez ciemności marshadzkiej nocy, podążając za ledwie widocznym kształtem kobiety.

Smród niższych osiedli był niewiarygodną miksturą chemikaliów używanych do barwienia, gnijących trupów, odchodów i nędzy. Denat często odwiedzał Q'Nkok i chociaż tam też było sporo biedaków, całe miasto nigdy nie sprawiało wrażenia umierającego z głodu. W Marshadzie jednak nie dało się dostrzec ani jednej oznaki stosunkowej zamożności. Wyglądało na to, że mieszkają tu tylko doradcy króla i żebracy bez grosza.

Kiedy jego przewodniczka mijiała jedną z podobnych do tuneli alejek, z mroku wyskoczyła jakaś postać i złapała ją za ramię.

Denat miał rozkaz iść za kobietą i w miarę możliwości unikać zauważenia, uskoczył więc w głębszy cień i odwrócił się, by oprzeć niesiony ciężki worek o ścianę. Mała przewodniczka, Sena, również uważała, że nie powinien zwracać na siebie uwagi, i surowo zakazała mu przychodzić z pomocą. Ufała we własne umiejętności, a przynajmniej tak twierdziła.

Teraz Denat zobaczył, dlaczego. Konfrontacja była krótka. Napastnik wyrznął nagle w ścianę, dwa cienie splotły się na moment, błysnął róg i mała kobietka ruszyła dalej, zostawiając na ziemi bezwładne, wykrwawiające się ciało.

Denat ominął rosnącą kałużę i podążył za swoją przewodniczką w ciemność. Odrobina światła padającego na skrzyżowanie uliczek wystarczyła, by zobaczyć, że głowa opryszka ledwie trzyma się ciała. Słyszał o technikach *enat*, ale Sena była pierwszym adeptem tej sztuki, jakiego spotkał. Postanowił traktować ją z największym możliwym szacunkiem.

Skręcili z dość szerokiej alejki w cuchnące przejście, w którym z trudem mieścił się szeroki w barach wojownik. Ściany pokryte były wodoodpornym mazidłem, które jednak obłaziło całymi płatami, wystawiając mury na działanie deszczu. Jeśli nie zostałyby to szybko naprawione, budynkom groziło zawalenie.

Wąskie przejście prowadziło do jednego z tuneli, który okazał się odrobinę szerszy. Panowały w nim całkowite ciemności, więc przewodniczka wzięła rękę wojownika i położyła sobie na ramieniu. Korytarz zalewały ścieki – mieszanina deszczówki i odpadków – musieli więc w nich brodzić. Denat nie chciał się nawet zastanawiać, co obija mu się o nogi i pęka pod stopami.

Na szczęście jednak tunel był krótki. Sena wyprowadziła go na niewielkie podwyższenie i zatrzymała się. Wojownik usłyszał ciche pukanie i skrzypnięcie

zawiasów, a przewodniczka weszła do środka.

Denat ruszył za nią i wyrznął nosem w nadproże. Zdusił straszliwe przekleństwo, schylił się i przeszedł przez niskie drzwi. Zatrzymał się dopiero, kiedy poczuł czyjaś dłoń na piersi. Za sobą usłyszał następne skrzypnięcie, stuknięcie zamykanych drzwi i trzask przesuwanej zasuwki. Potem błysnęło krzesiwo.

Zapalona świeca ukazała oczom wojownika pomieszczenie, które wydawało się zbyt małe dla wszystkich przebywających w nim osób. Oprócz jego przewodniczki tłoczyły się tam trzy inne kobiety w mniej więcej tym samym wieku, dwie starsze Mardukanki i około pół tuzina dzieci. Jedyne mężczyzna był starcem, i to on zapalił świecę.

Dwie młode kobiety odsunęły się lękliwie od opancerzonego wojownika, ale reszta popatrzyła na niego spokojnie.

–Niespodziewani goście, Sena?

Starzec usiadł sztywno na stołku i gestem zaprosił do tego samego Denata. Mówił voitańskim dialektem, który wojownik przy odrobinie wysiłku mógł z grubsza zrozumieć.

–Tak – powiedziała przewodniczka, wycierając z nóg szlam ze ścieku. – To wymóg ludzi. Jeden z nich musi koniecznie wykonać jakieś zadanie. Poza tym my musimy przemyścić wiadomości do i od ich dowódców. Muszą mieć ich zgodę, żeby nam pomóc.

Powiedziała coś jeszcze, ale tak szybko, że Denat nic nie rozumiał.

–Można się było tego spodziewać – powiedziała jedna ze starszych kobiet, wychodząc do przodu. – Witaj. Jestem Selat, co powiedziałaaby ci moja córka, gdyby miała jakieś maniery.

–D’Na! Denat – skłonił się wojownik. – Pozdrawiam was w imieniu Ludu.

Miał nadzieję, że dobrze dobrał dźwięki. Niektóre słowa były takie same, ale akcentowane tak różnie, że niemal niewymawialne.

–Denat – odezwał się Julian w słuchawce, którą sam Mardukaninowi założył. – Jeśli masz problemy z tłumaczeniem, zapytaj mnie. Podam ci właściwe słowa. Właśnie powiedziałeś „kicham was w imieniu Idiotów”.

Wojownik nosił na sobie więcej pluskiew niż ambasada Świętych. Kompania wiedziała już, jak wyjść z budynku, a sierżant Kosutic rozpracowywała pozostałe sekretne przejścia. Gdyby Denat naprawdę potrzebował pomocy, marines mogli

przyjść mu na ratunek.

Marshadanie popatrzyli po sobie, po czym jedna ze starszych kobiet skłoniła się lekko.

–Witam cię w imieniu naszego domu. Może usiądziesz?

Denat kiwnął głową wystraszonym kobietom, osłaniającym w kącie dzieci, i usiadł na podłodze. Kamienne ściany pokoju były solidne, a sam pokój dość przytulny.

–Mam... za...

–...zadanie... – podpowiedział Julian.

–...za zadanie podłożyć pewną... -...rzecz...

–...rzecz ludzi pod... -...most...

–...most. – Denat wywarczał niemal ostatnie słowo i trzy razy kaszlnął, co było umówionym sygnałem i znaczyło „daj mi spokój”.

–Dobra, dobra – szepnął plutonowy. – Przechodzę w tryb niewidzialności.

–Dobrze się czujesz? – spytał gospodarz.

Stary Mardukanin pochylił się z troską – gdyby łącznik się rozchorował, zrujnowałoby to ich wszystkie plany.

–Tak – odparł Denat. – Czuję się dobrze.

–Co to za rzecz? – spytała starsza kobieta, podając gościowi wody w kubku.

–Nie wiem – skłamał wojownik. Szybko się przekonał, że określenie Poerteny „pokerowa twarz” jest bardzo trafne. – Ale ludzie twierdzą, że to bardzo ważna część ich planów.

–Jakiej jest wielkości? Jak ją trzeba przymocować? I gdzie? – Sena klasnęła w ręce. – To będzie trudne. Most jest dobrze strzeżony.

–Musi być przymocowany gdziekolwiek od spodu – powiedział Denat.

–...od spodu – poprawił Julian. – Właśnie powiedziałaś, że gdziekolwiek na tyłku. Właściwie na dupie – zachichotał plutonowy.

–Od spodu – powiedział wojownik.

–Aha. – Stary Mardukanin spojrział na sufit. – To może być wykonalne.

–Jakiej wielkości jest ta paczka? – spytała Sena, również siadając na podłodze.

Denat wyciągnął zza pleców worek, który przyniósł, i otworzył go. Wyjął ze środka kilka zawiniętych w skórę pakunków, kilka na poły wyprawionych skór, aż wreszcie dokopał się do paczki owiniętej w czerwoną skórę. Rozwiązał rzemienie, którymi była obwiązana, i wyjął dziwny przedmiot, wyglądający jak małe pudełeczko przymocowane do glinianego sześcianu rozmiarów jego pięści.

–Jak to przymocować? – spytała Sena, nie widząc sznurków ani klamr.

–Powiedzieli mi, że jeśli przyciśnie się to do kamienia, nie spadnie. – Denat na próbę przykleił ładunek do najbliższej ściany, a potem z trudem oderwał.

–Jak klej – zauważyła Selat. Starsza kobieta przyglądała się urządzeniu z ciekawością. – Ciekawe. Do czego to służy?

–Tego nie wiem – skłamał znów Denat. Wiedział doskonale, ale nie miał zamiaru mówić o tym miejscowym. – Poza tym w dniu bitwy muszę być w pobliżu rzeki – dodał.

–To nie będzie trudne – zapewniła go Sena. – Na samej rzece byłoby trudniej, ale na skraju miasta jest kilka miejsc, w których będziesz poza murami, ale na tyle blisko, by bez problemu dobiec. To wystarczy?

–Tak. Jak to przymocujemy?

–Jak dobrze pływasz? – spytała Sena, klaszcząc z rozbawieniem w ręce.

–Wystarczająco dobrze, żeby przepłynąć tę kałużę, którą nazywacie rzeką.

–Pod mostem jest kawałek płaskiego brzegu – powiedziała mała kobieta. – Możemy zaprowadzić cię nad rzekę w górę od niego. Przepłyniesz do mostu, wespnieś się na niego i przymocujesz to coś, a potem z prądem popłyniesz do następnego miejsca, gdzie ktoś będzie na ciebie czekał.

–Bardzo dobrze – powiedział z satysfakcją Denat. – Teraz chyba pozostaje nam czekać.

–Tak jest – odparła Sena. – I głodować – dodała kwaśno.

–Och, nie jest aż tak źle, moja droga – powiedział gospodarz. – Mamy dość jedzenia, by podzielić się z naszym gościem. Dom T’Leen nie upadł aż tak nisko, by nie móc sprostać prawu gościny!

–T’Leen? – powtórzył zdziwiony Denat. – Czy to było popularne nazwisko w Voitan? Pytam, bo znam T’Leen Targa.

–T’Leen Targa? – spytał zaskoczony gospodarz. – Ja nazywam się T’Leen Sul. T’Leen Targ to mój kuzyn ze strony ojca! Skąd go znasz? – spytał. – Nie widziałem go od upadku S’Lenna! Jak mu się powodzi?

–Dobrze – powiedział Denat, zadowolony, że może przekazać jakieś dobre wieści. – Był jednym z dowódców armii, która przysłała nam z odsieczą w Voitan. Odbudowują teraz miasto, a on będzie jednym z jego przywódców.

–Ach! – Sul klasnął z radości w ręce. – Lśniące miasto się odrodzi!

–Niech tylko nie będzie za późno – powiedziała cicho jego żona. – Żebyśmy mogli odwiedzić je przed śmiercią.

–Odwiedzimy – zapewnił ją stanowczo Sul. – Wrócimy do lśniącego miasta. Może będziemy mogli mu zaoferować tylko nasze ręce, ale to wystarczy.

W jego głosie nie było śladu wątpliwości, ale cała grupa osowiała. Nawet, gdyby kiedykolwiek wrócili do Voitan, byłiby żebrakami.

–Zaskoczył mnie wasz wybór posłańca – powiedział Denat, by odejść od bolesnego tematu. – Mój lud nigdy nie powierzyłby tak wielkiej odpowiedzialności kobiecie.

–Bo jesteśmy bezwartościowe i głupie? – parsknęła Sena. – Nadajemy się tylko do rodzenia dzieci i gotowania?

–Tak – odparł spokojnie Denat. – Zdziwiło mnie, że lud Voitan pozwalał kobietom pracować inaczej niż tylko w polu i w domu. Trzymacie się obyczajów Voitan?

–Z trudem – powiedział T’Leen Sul. – Marshad nie zgadza się z tymi zwyczajami. Kobieta nie może posiadać nic na własność i musi wypełniać polecenia każdego mężczyzny. Takie są obyczaje i prawa tej krainy, więc trudno jest pogodzić się z nimi komuś, kto urodził się i wychował w Voitan. Kobiety często zajmują się tu tkactwem, ale tylko dlatego, że mężczyźni nie chcą tego robić. – Starzec zaniósł się chrapliwym śmiechem. – Ale Sena została wychowana po voitańsku i jest dowodem na to, że nie wszystkie kobiety są nic niewarte i słabe.

–Nie da się ukryć – chrząknął Denat. Spojrzał na drobną kobietę kątem oka. – Nie da się ukryć. – Otrząsnął się. – Ale wracając do głodowania. – Sięgnął do worka. – Przyniosłem trochę jedzenia. Kiedy się już skończy, będziemy musieli coś wymyśleć.

Sena klasnęła w dłonie.

–To oznacza, że możemy nie rzucać się w oczy, dopóki nie będziemy musieli ruszyć pod most.

Oczywiście nierzucanie się w oczy oznacza przymusowe towarzystwo cuchnącego barbarzyńcy z dżungli, ale przynajmniej ta część planu idzie tak, jak trzeba.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

PIERWSZY

–Idzie nam za gładko – stwierdził Pahner, kręcąc głową.

–Naprawdę? – Roger rozejrzał się po pomieszczeniu i parsknął śmiechem. – Zakładam, że pana ideałem było Voitan?

–Tak, Wasza Wysokość, było. – Kapitan spojrział na księcia i kiwnął głową. – Przeżyliśmy. Coś musi się tu nie udać, a nie mamy za dużo możliwości awaryjnych.

–Najwyżej rozwalić miasto i zabrać, co się da – podpowiedziała Despreaux.

–Mniej więcej. – Kapitan wyprostował się i pomasował pięścią krzyż. – Robię się za stary na takie pierdoły.

–Siedemdziesiątka to nie starość – powiedział ze śmiechem Roger. – Niech pan spojrzy na mojego dziadka. Dożył wspaniałego wieku stu osiemdziesięciu trzech lat.

–Nie mam zamiaru bić tego rekordu, Wasza Wysokość – uśmiechnął się kapitan. – Czas do łóżek. Rano musimy być w formie.

Roger skinął mu głową na dobranoc. Pahner wyszedł, a księżę popatrzył na O'Casey.

–Byłaś dziś wieczór niezwykle cicha, Eleanoro – zauważył, zdejmując pożyczony hełm, przez który nadzorował operację.

–Myślałam o naszym gospodarzu – odparła z uśmiechem naczelniczka świty. – I o uniwersalnościach.

–To znaczy? – spytał Roger, ocierając pot z czoła.

Wieczór był wyjątkowo duszny, nawet jak na Marduka. Zazwyczaj po zachodzie słońca robiło się trochę chłodniej, ale najwyraźniej nie dziś.

–Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, Wasza Wysokość – powiedziała Despreaux – też się położę. Za kilka godzin mam służbę wartowniczą.

–Uciekaj, Nimashet – machnął ręką księżę.– Przez jakiś czas możemy popilnować się sami.

Plutonowa uśmiechnęła się do niego i wyszła z pokoju. Roger popatrzył za nią, po

czym odwrócił się do O'Casey.

–Co mówiłaś? – powiedział i zauważył jej lekki uśmiech. – O co chodzi?

–O nic – odparła. – Mówiłam o uniwersalności. Nigdzie nie jest powiedziane, że nie można ufać lalusiom, ale władcy, którzy poświęcają więcej uwagi ubraniom niż poddanym, mają w zwyczaju źle kończyć.

–Masz na myśli kogoś konkretnego? – spytał chłodno Roger.

–Och – zachichotała O'Casey. – Nie chodziło mi o ciebie, Roger. Chociaż kiedyś mogło – dodała karcącym tonem. – Szczerze mówiąc, synku, nie zostało w tobie wiele z dandysa.

–Nie bądź taka pewna. – Roger uśmiechnął się złośliwie, kiedy zrozumiał, że jej uwaga nie była skierowana do niego. – Nie mogę się już doczekać, kiedy przebiorę się w cywilizowane ubranie.

–To nic złego. – O'Casey spojrzała na własny poplamiony kombinezon. – Ja też. Ale nie mówiłam o tobie. Miałam na myśli Ceasare Borgię i twojego ojca.

–To dość niezwykle zestawienie – powiedział sztywno Roger.

–Dla ciebie może tak – przyznała uczona. – Ale zanim zostałam twoją nauczycielką, używałam go często podczas wykładów. Podejrzewam, że był to jeden z powodów przydzielenia mnie tobie. Szczerze mówiąc jednak, takie porównanie to obraza dla Borgiów. Oni nigdy nie spapraliby spisku tak, jak Nowy Madryt.

–Znasz całą tę historię? – spytał księżę dziwnym głosem. – Nie wiedziałem.

–Przykro mi, Roger – powiedziała smutno O'Casey. – Jestem zaskoczona, że nie zdawałeś sobie sprawy, jak powszechnie się ten temat bada. Kiedy zostałam twoją nauczycielką, dowiedziałam się tylko niektórych szczegółów, ale zarys problemu używany jest na kursach nauk politycznych jako jeden ze sztandarowych przykładów, takich samych jak przejęcie Unii Solariańskiej przez Lordów Daggerów.

–Naprawdę? – Roger otworzył szeroko oczy. – Ze mną nigdy o tym nie rozmawiałaś.

–To drażliwy temat. – Naczelniczka świty wzruszyła ramionami. – Nie chciałam ranić twoich uczuć, poza tym wydawało mi się, że wiesz już na ten temat wszystko, co mogłabym ci powiedzieć.

–Naprawdę – powtórzył Roger, tym razem sarkastycznie, oparł się łokciem na stole i popatrzył na O'Casey ze złością. – To absolutnie fascynujące, ponieważ do tej pory nie wiem, za co mojego ojca wygnano z Dworu, więc raczej trudno mi było wyciągnąć

z tego jakkolwiek naukę, nie sądzisz?

Syknał z rozpaczą i potrząsnął głową.

–Cieszę się, że tak bardzo uważałaś na moje uczucia, nauczycielko!

–Ale... – O’Casey gapiała się na niego, biała jak ściana. – A twoja matka? A profesor Earl?

–Panno O’Casey – parsknął Roger. – Z czasów, kiedy byłem mały, nie pamiętam mojej matki zupełnie. Tylko kolejne niańki. Kiedy zacząłem rozumieć, kim jest, zacząłem też ją widywać... chyba raz na tydzień, nieważne, czy miałem na to ochotę. Komentowała raporty moich nauczycieli i nianie i kazała mi być grzecznym chłopcem. Częściej niż matkę widywałem Alex i Johna! A co się tyczy profesora Earla... Raz – tylko raz – zapytałem go o mojego ojca. Powiedział mi, żebym zapytał matkę, kiedy będę starszy. – Roger pokręcił głową. – Stary doktor był nie najgorszym nauczycielem, ale nie radził sobie w sprawach osobistych.

Tym razem O’Casey pokręciła głową i pociągnęła za kosmyk włosów.

–Przepraszam, Roger. Założyłam po prostu... Cholera, wszyscy pewnie zakładali.

Skrzywiła się i wzięła głęboki oddech.

–Dobrze. Od czego mam zacząć?

Książę się uśmiechnął.

–Miałem kiedyś nauczycielkę, która zawsze mi powtarzała...

–Żeby zaczynać od początku i opowiadać do końca – dokończyła O’Casey. – Ale to trochę potrwa – dodała, a Roger szerokim gestem pokazał pokój.

–Może nie zauważyłaś, ale mamy przed sobą całą noc.

–Hmm. Niech się zastanowię, jak zacząć.

Zapatrzyła się przed siebie, po czym westchnęła ze złością.

–Wiesz, nigdy nie przerobiłam z tobą dobrze historii najnowszej. Jakoś przemknęliśmy po szczegółach. Polityka Renesansu i Bizancjum, jak najbardziej, ale nie to, co działo się pod twoim nosem. Oczywiście – uśmiechnęła się – większość czasu był tak zadarty, że i tak nic byś zza niego nie zauważył.

–To prawda – zaśmiał się smutno Roger. – Ale muszę się wszystkiego dowiedzieć.

–Nowy Madryt – powiedziała O’Casey, kiwając głową. – Jak wiesz, za rządów twojego dziada miało miejsce niewiele poważnych akcji wojskowych. Czasami uznawane jest to za dowód, że był wielkim cesarzem, tak naprawdę jednak wynikało to z faktu, że twój dziadek był całkowicie nieskuteczny. Flota i marines ponosili ciężkie straty; straciliśmy kilka systemów pogranicznych w wyniku traktatów, które podpisaliśmy ze słabości lub braku zainteresowania. Niektóre mniejsze akcje nie były odpowiednio nagłaśniane, a do większych nie dochodziło dlatego, że nikt nie próbował powstrzymać stopniowej erozji pogranicza. Jednocześnie Imperium niszczało od środka, zżerane intrygami i kontrintrygami.

–Nowy Madryt był częścią tej gry, ale nie jej głównym graczem. – Eleanora westchnęła i spojrzała na księcia. – Roger, jesteś niemal tak samo bystry jak twoja matka, dzięki Bogu. Gdybyś odziedziczył wygląd po niej, a rozum po ojcu, byłbyś strasznym pechowcem.

–Aż tak źle? – zachichotał książę. – Jest tak bystry jak mama ładna?

–Powiedzmy raczej, że tak przystojny jak twoja matka inteligentna. W tym momencie pojawiaasz się ty.

–Co za linia! – zauważył Roger.

–John Gaston, ojciec Johna i Alex, zginął, jak wiesz, w katastrofie latacza. Książę Nowego Madrytu był wtedy od niedawna na Dworze. Był, i dalej jest, niezwykle przystojnym mężczyzną, a także podrywaczem, na Dworze jednak działał bardzo ostrożnie. On i twoja matka poznali się niedługo po śmierci hrabiego Gastona, a znajomość ta przerodziła się powoli w... hm...

–We mnie – powiedział Roger, unosząc brew.

–W „proto” ciebie. Cesarzowa Alexandra – wtedy Następczyni Tronu – może i przeżywała trudne chwile, ale nie była głupia. Śmierć Gastona zbiła ją z nóg, więc nie brała przez jakiś czas środków antykoncepcyjnych, szybko jednak do nich wróciła. Zwłaszcza po tym, jak szef IBI przyniósł jej raport o kontaktach Nowego Madrytu z fakcjami, o których było wiadomo, że starają się przejąć władzę w Imperium.

–Małżeństwo i tak nigdy nie wchodziło w grę, ponieważ cesarzowa musiała zostawić sobie otwartą drogę do aliansu dynastycznego. Mając jednak w ręku raport IBI musiała się dowiedzieć, czy zainteresowanie Nowego Madrytu jej osobą było porywem serca, czy wynikiem żądzy władzy. Dlatego udała, że zmiękła.

Eleanora zawinęła lok wokół palca i uśmiechnęła się lekko.

–Myślę, że Nowy Madryt przyzwyczajony był do dominacji, nie zauważył więc nic dziwnego w tym, że ciężarna Alexandra nagle zrobiła się uległa. Wtedy popełnił błąd.

Zaczął na gwałt przekonywać ją do pewnych politycznych posunięć, ku którym dążył Jackson Cabal.

–Mówisz o Jacksonie, księciu Kellerman? – spytał Roger. – Przecież to jeden z najważniejszych arystokratów w Senacie!

–Tak. Co gorsza, zdaje sobie z tego sprawę. – O’Casey zmarszczyła czoło. – Pod koniec rządów twojego dziadka stało się jasne nawet dla niego, że Święci stają się bardzo ekspansywni. Zaskoczyło go to, bo zawsze wydawało mu się, że Święci to... no, święci. Kiedy zdał sobie sprawę, że się mylił, a może właśnie dlatego, że to zrozumiał i poczuł się jakoś zdradzony, zaczął skłaniać się ku bardziej wojowniczym stronnictwom Izby Lordów.

–A Jackson był jednym z nich – kiwnął głową Roger. – Zawsze był nieco, hmm, porywczy.

–W rzeczy samej. Twój dziadek zaczął jednak coraz częściej rozdzielać stanowiska według jego rady. Wiele z tych nominacji, czy to do Izby Lordów, czy do imperialnych ministerstw, Alexandra nie uważała za rozsądne. Od dawna przeciwstawiała się militarnej stagnacji, kiedy jednak nawet jej ojciec zauważył złe skutki tego, zwrócił się nie do swojej córki, lecz do księcia Jacksona.

–Pozornie mogło się wydawać, że to żadna różnica, bowiem i ona, i Jackson popierali wiele tych samych posunięć. Alexandra jedna opowiadała się bardziej za konceptem Imperium Człowieka niż za czyjąś polityką. Co gorsza, Jackson wysuwał na urzędy kandydatury ludzi, co do których miał pewność, że będą robić, co on im każe.

–Kiedy więc Alexandra odkryła, że Nowy Madryt popiera Jacksona, kiedy dostała do ręki raport IBI, ujrzała sytuację z niezwykłą jasnością. Jedną z nielicznych rzeczy, do jakich udało się jej namówić swojego ojca w ostatnich latach jego rządów, było wygnanie Nowego Madrytu z Dworu.

–Jednak... – Była nauczycielka uśmiechnęła się uroczo do swojego niegdysiejszego ucznia.

–Byłem jeszcze ja – powiedział Roger z szeroko otwartymi oczami. – Jestem zaskoczony, że nie...

–Och, zastanawiała się nad tym. Przeniosła płód, czyli ciebie – O’Casey pokazała palcem Rogera, jeszcze raz się uśmiechając – do sztucznej macicy, więc wystarczyło...

–Zakręcić kurek – powiedział książę drewnianym głosem.

–Tak jakby. – Eleanora kiwnęła głową. – Z jakiegoś jednak powodu tego nie zrobiła. Z tego, co wiem, spędziła z tobą bardzo dużo czasu, kiedy byłeś zupełnie malutki, Roger. Zaczęła się oddalać dopiero wtedy, kiedy ty zacząłeś dorastać.

–I coraz bardziej przypominać mojego ojca – powiedział ponuro.

Nie było to pytanie.

–Oraz, szczerze mówiąc, zachowywać się jak on – przytaknęła O’Casey. – Były też inne powody. Sytuacja na Dworze zaczęła się robić coraz bardziej napięta. Władza twojego dziadka podupadała, a Alexandra rozpaczliwie próbowała zorganizować linię obrony przed coraz bliższym zamachem stanu. W końcu jej się to udało. Mimo to jednak spędziła ostatnią dekadę próbując naprawiać szkody, jakie poniosło Imperium.

Naczelniczka świty potrząsnęła jeszcze raz głową.

–Jeśli mam być szczerą, to nie jestem pewna, czy kiedykolwiek uda jej się to wszystko naprawić. Kiedy wyjeżdżaliśmy, znów robiło się niewesoło. Większość Floty została odciągnięta z rodzimych systemów w stronę sektora Świętych, gdzie rozciąga się strefa wpływów Jacksona, a twoja matka nie ufa Imperialnemu Korpusowi Kontroli. Może ufać przynajmniej dowódcy Floty i szefowi IBI, ale to marne oparcie, kiedy Święci naciskają na granice, a Izba Lordów nie może dojść do ładu z samą sobą.

–Tak więc wygląda cała historia – zakończyła. – Zarówno ta, której używam jako przykładu do badań nad nieudanymi spiskami, jak i dodatkowe informacje, w które zostałam wtajemniczona jako twoja nauczycielka. – Spojrzała na księcia, który gapił się w ścianę. – Pytania?

–Milion – powiedział Roger. – Ale najpierw najprostsze. Czy to dlatego właśnie nikt nigdy nie powierzył mi nic ważnego? Z powodu mojej krwi? – dokończył ze złością.

–Częściowo – potwierdziła, kiwając głową. – Przede wszystkim jednak przyczyną byłeś ty sam, Roger. Ja nie zdawałam sobie sprawy, że nikt ci o tym wszystkim nie powiedział, podejrzewam więc, że na takiej samej zasadzie wszyscy zakładali, że ktoś inny to zrobił. Myśleli, że wiesz. Więc jeśli wiedziałeś o kłopotach, jakie wiązały się z twoim ojcem, a mimo to upodabniałeś się do niego na wszystkie możliwe sposoby, nasuwał się logiczny wniosek, że jako wzór do naśladowania wybrałeś właśnie jego, a nie swoją matkę.

–O, cholera... – powiedział Roger, kręcąc głową. – Więc przez cały ten czas...

–Na początku naszej podróży kapitan Pahner zapytał mnie, czy jesteś zagrożeniem dla tronu – powiedziała cicho Eleanora. – Musiałam mu odpowiedzieć, że prawdę

mówiąc nie wiem. – Spojrzała księciu w oczy. – Przepraszam cię za to, Roger. Ale ja naprawdę nie wiedziałam. Wątpię, by ktokolwiek, może z wyjątkiem Kostasa, miał co do ciebie pewność.

–To dlatego tu jesteśmy? – spytał księżę, osłaniając dłonią oczy. – To dlatego utknęliśmy w tej szczurzej norze? – zgrzytnął zębami. – Bo wszyscy myśleli, że spiskuję z księciem Jacksonem? Żeby obalić własną matkę?

–Wolę wierzyć, że to dla twojej ochrony – powiedziała O’Casey. – Że twoja matka widziała nadciągającą burzę i postanowiła umieścić cię w bezpiecznym miejscu.

–Na Leviathanie. – Roger opuścił rękę i spojrzał na Eleanorę ostrym wzrokiem. – Gdzie byłbym bezpieczny na wypadek, gdyby zrobiło się gorąco, jak mówi Julian.

–Hm – mruknęła naczelniczka świty, myśląc o tym, ile wysiłku kosztowało kompanię dotarcie choćby do Marshadu. – Tak.

–Och! – Roger zaczął się śmiać, chociaż w oczach wezbrały mu łzy. – Dzięki Bogu, że nie pozwoliła mi zostać gdzieś, gdzie mogłoby być niebezpiecznie! Nie chcę nawet myśleć, co matka mogłaby uznać za niebezpieczne! Może stawienie czoła Kranolta z nożem?!

–Roger.

–Aaaaaaaaa! – wrzasnął księżę.

Drzwi otworzyły się z hukiem, a do środka wpadł stojący na straży Kyrou. Rozejrzał się błyskawicznie po pomieszczeniu, wypatrując zagrożenia, a księżę obiema rękami rąbnął w stół.

–Kurwa, kurwa, kurwa! Ja to wszystko pierdolę, i ciebie też, Mamo! Pierdolę ciebie i twoją pierdoloną paranoję, ty skryta, makiaweliczna, podejrzliwa, zimna suko!

Kyrou odsunął się na bok, wpuszczając do środka Pahnera, trzymającego obiema rękami pistolet.

–Co tu się dzieje, do cholery!

–Won! – ryknął Roger, złapał O’Casey za ramię i wypchnął ją za drzwi. – Won! Wszyscy won mi stąd!

Popchnął Kyrou tak mocno, że masywny szeregowy wyjechał na korytarz na tyłku.

–Jeśli nie znikniecie mi stąd, kurwa, za sekundę, to was wszystkich, kurwa, pozabijam!

Grube drzwi zatrzasnęły się z ogłuszającym hukiem, a ze środka niemal natychmiast dobiegły odgłosy destrukcji.

–Myślę, że mogłam to lepiej rozegrać – powiedziała Eleanora. – Nie wiem jak, ale mogłam.

–Co się stało? – spytał Kyrou, wstając z podłogi i rozglądając się po głównym pokoju apartamentu, w którym stali gapiący się na drzwi marines.

–Czy on właśnie powiedział to, co mi się zdawało, że powiedział? – spytał kapral Damdin, robiąc wielkie oczy. – O Cesarzowej?

–Tak – odparła spokojnie Eleanora. – Powiedział – podniosła głos – ale właśnie dowiedział się czegoś osobistego i bardzo nieprzyjemnego. Jest bardzo zły na Cesarzową, ale nie jako Cesarzową, a jako swoją matkę. Myślę, że kiedy się uspokoi – zza drzwi dobiegł trzask łamanego drewna – będzie mniej...

–Skłonny do zdrady stanu? – zasugerował delikatnie Pahner.

–Jest wściekły na swoją matkę, kapitanie – bardzo wściekły, mogę dodać, i nie bez powodu – a nie na Cesarzową – powiedziała chłodno O’Casey. – W tym przypadku to spora różnica o której musimy porozmawiać.

Pahner popatrzył na nią i na drzwi, które zatrzęsły się od ciosów książęcego miecza.

–Co pani mu powiedziała? – spytał z niedowierzaniem.

–Powiedziałam mu prawdę, kapitanie – odparła napiętym głosem naczelniczka świty. – Całą.

–Aha – powiedział marine. – Ma pani rację. Musimy porozmawiać.

Rozejrzał się po pomieszczeniu.

–Kyrou, wracajcie na posterunek. Reszta...

Spojrzał na drzwi i skrzywił się, słysząc zgrzytanie metalu o kamień. Roger uwielbiał ten miecz; jeśli rąbał nim ściany, był bardziej wściekły niż się kapitanowi wydawało.

–Reszta spać – powiedział w końcu i dał znak O’Casey, by poszła za nim.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Następny dzień upłynął cicho, zwłaszcza w apartamencie zakładników.

Roger nie wyszedł ze swojego pokoju, nawet kiedy przyniesiono śniadanie z jęczmyżu i warzyw. W jedzeniu nie było już obrzydliwego zioła, wszechobecnego podczas pierwszej kolacji, ale wciąż miało ono dziwny, gorzkawy posmak. Rogerowi nie przeszkadzało to w ciągu ostatnich dwóch dni, teraz jednak nie okazał cienia zainteresowania jedzeniem.

Godzinę po śniadaniu Pahner zjrzał do księcia, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Roger leżał na połówce, zasłaniając oczy przedramieniem, otoczony szczątkami połamanych mebli. Kiedy drzwi się otworzyły, spojrzał bez słowa na kapitana i wrócił do poprzedniej pozycji. Rozumiejąc, że księżę nie jest w nastroju do wysłuchiwania jego pseudorodzicielskich mądrości, Pahner pokręcił głową i zamknął za sobą drzwi.

W koszarach jednak cisza wrzała aktywnością. Plotka wciąż była jedynym wojskowym środkiem łączności szybszym niż światło.

–Słyszałem, że nazwał Cesarzową kurwą! – powiedział St. John (M.).

–Ja słyszałem, że tylko suką. – St. John (J.) często musiał powściągać młodszego brata. – Ale to i tak nieźle.

–Powiedział suka – potwierdziła Kosutic, pojawiając się za nimi jak spod ziemi. – Dokładnie „paranoidalna suka”. Ale – dodała – chodziło mu o Cesarzową jako jego matkę, nie jako Cesarzową. To duża różnica.

–Jak to? – spytał St. John (M.). – Przecież to ta sama osoba, nie?

–Tak – zgodziła się sierżant. – Ale jak się nazwie jedną z nich suką, to zdrada stanu, a jak drugą, to jest się tylko nieźle wkurzonym na swoją matkę. – Popatrzyła na bliźniaków. – Żaden z was nie był nigdy wściekły na matkę?

–No... – zaczął St. John (M.).

–Zawsze nazywa ją cholernym świętoszkiem, kiedy się na nią wkurzy – wyszczerzył się St. John (J.).

–Ty też!

–Jasne, Mark. Ale nie przy niej!

–Chodzi o to – przerwała sierżant, zanim rodzinna kłótnia się rozwinęła – że był

wściekły na swoją matkę. A nie na Cesarzową Aleksandrę.

–A dlaczego? – spytał zdziwionym tonem St. John (M.). – Przecież Jej Wysokości tu nie ma, żeby się na nią wściekać. To znaczy, chodzi mi o to, że ja się nie wściekam na mamę na New Miss tylko dlatego, no, że jej tu nie ma.

–Wczoraj wściekłeś się na mamę, że urodziła bliźniaki – wytknął mu podstępnie St. John (J.).

–Ale księżę nie ma bliźniaka – powiedział jego brat i spojrzał na sierżant z wyrazem niezrozumienia na twarzy. – Nie ma, prawda? Słyszelibyśmy o tym?

Kosutic z trudem powstrzymała uśmiech. Wiedziała, dlaczego bracia St. John dostali się do Pułku: obaj byli bardzo, bardzo dobrymi żołnierzami, o instynkcie obronnym dobermana, ale młodszy nie był wulkanem intelektu.

–Nie, nie ma bliźniaka – powiedziała. – Wczoraj dowiedział się paru rzeczy o decyzjach swojej matki i bardzo go to zdenerwowało.

–Jakich rzeczy? – spytał St. John (J.).

–To sprawa między nim i jego matką. Bardzo chciałby z nią o tym porozmawiać. Wy musicie tylko pamiętać, że naszym zadaniem jest dopilnować, żeby ta rozmowa się odbyła.

–Okay – parsknął St. John (J.). – Jasne, pani sierżant.

–A teraz podajcie to dalej. To, co wydarzyło się wczoraj, to sprawa między Rogerem i jego matką. Naszym zadaniem jest dopilnować, żeby wrócił do domu i mógł osobiście ją spytać, dlaczego jest paranoidalną suką.

* * *

Roger wyszedł bez słowa tuż przed kolacją. Przedtem z jego pokoju przez jakiś czas dobiegały odgłosy sprzątanania, a kiedy już się pojawił, niósł stos potłuczonych i połamanych resztek wyposażenia i mebli. Wyniósł je przed drzwi apartamentu i zostawił na korytarzu, po czym odwrócił się do Pahnera.

–Jaki jest status kompanii? – zapytał chłodno.

–Nominalny – odparł neutralnym tonem kapitan. Siedział na poduszce i klepał w klawisze pada; przekrzywił głową i spojrzał na księcia. – Ćwiczyli z nowym uzbrojeniem i czekają na rozkaz. – Zawahał się na moment. – Dowiedzieli się o zeszłym wieczorze. Sierżant Kosutic przez cały dzień dementowała plotki.

Roger kiwnął głową na znak, że zrozumiał, ale nie odpowiedział bezpośrednio na ostatnie zdanie.

–Mamy problem, kapitanie – powiedział zamiast tego.

–Jaki?

–Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli dość żołnierzy i amunicji, by dotrzeć do wybrzeża. – Księżę zgarnął kilka poduszek na stos i usiadł obok kapitana.

Pahner popatrzył na niego spokojnie, a O’Casey oderwała wzrok od ekranu własnego pada.

–Zgadza się z panem do pewnego stopnia, Wasza Wysokość. Ma pan jakieś rozwiązanie?

–Nie bezpośrednio. – Roger podniósł manierkę i pociągnął łyk. Woda była ciepła, ale chłodzący pęcherz księcia został w drugim pokoju. – Ale myślałem o Cordzie i jego bratankach. Musimy mieć ze sobą więcej mardukańskich wojowników, przywiązanych do nas gotówką albo przysięgami lojalności.

–W takim razie szukamy grupy najemników? – W głosie Pahnera zabrzmiało powątpiewanie. – Nie jestem przekonany, czy powinniśmy używać najemników do pana ochrony, Wasza Wysokość.

–Nie patrzmy na najemników tak bardzo z góry – powiedział Roger z gorzkim uśmiechem. – W końcu mamy zdobyć inne miasto, żeby dostać zapasy na dalszą podróż. Nie przesadzajmy z tą pogardą.

–To fakt, Wasza Wysokość – zgodził się ze smutkiem Pahner. – Ale nie robimy tego z własnej nieprzymuszonej woli.

*** * ***

–Idziemy! – syknął Denat. – Nie mamy wyboru!

Drobna kobieta nawet się nie rozejrzała. Była całkowicie skupiona na ścieżce, prowadzącej spod murów nad wodę; jakaś część Denata zazdrościła jej tej koncentracji.

Niestety, on tego nie potrafił. Nie wiedział, co się działo w koszarach, ale cokolwiek to było, cholernie zdenerwowało Juliana, co nie wpłynęło też zbyt dobrze na stan umysłu Mardukanina. Na szczęście plutonowy uspokoił się, kiedy przyszedł czas ruszać, a teraz monitorował sensory, którymi usiane było wyposażenie Denata.

–Nic dużego nie porusza się między wami a wodą – rozległ się głos w słuchawce. – Przy okazji, cieszę się, że to ty tam jesteś, a nie ja.

Wojownik zmarszczył nos, ale nie odpowiedział. Droga na zewnątrz miasta prowadziła przez kanały, a chociaż ścieki płynęły wąskim strumyczkiem, pierwsze krople deszczu miały zamienić go w potężną falę obrzydlistwa. Najwyższy czas skoczyć ku rzece.

–Szybciej! – syknął.

–Wielki myśliwy – powiedziała uszczypliwie Sena. – Nauczyłam się nie poruszać zbyt szybko. Trzeba wiedzieć, gdzie postawić następny krok. W przeciwnym razie można się znaleźć pod łapą *flar-ke*.

Denat potrząsnął głową i podszedł do przodu.

–Julian – mruknął. – Masz coś?

–Strażnicy na moście – odparł człowiek, wykrywając ruch z odległości stu metrów. – Poza tym nic się nie rusza.

Wojownik wciągnął powietrze, próbując wyczuć zapach ukrytych wrogów, ale wszystko zabijał smród kanału.

–Zostań tu – szepnął Denat do Seny, zdejmując obciążający go pancerz.

Kiedy skończył, miał na sobie tylko swoje zwykłe ubranie, czyli pas z nożem i torbę, wypchaną w tej chwili podarunkiem od ludzi dla króla Marshadu.

Wyszedł z kanału i powoli, lecz naturalnie ruszył naprzód. Strażnicy na moście używali latarni, które przeszkadzały im widzieć w ciemnościach, więc z tej odległości dwójka spiskowców powinna pozostać niezauważona.

Zdziwiła go ostrożność drobnej kobiety. Aż do tej chwili była praktycznie nieustraszona i ta nagła zmiana zbiła go z tropu. Nagle zdał sobie sprawę, że dotąd przebywali w murach miasta. Na otwartym terenie Sena nie była już u siebie i nie wiedziała, na co uważać.

Denat z kolei czuł się tu swobodniej. Dorastał, polując w dżunglach na wschodzie, i jako jeden z niewielu wojowników w plemienu robił to równie chętnie w nocy, co w dzień. Puszcza nocą zamieniała się w smoliście czarny labirynt niebezpieczeństw – od trzęsawisk po *atul*. Nocą w dżungli czaiła się śmierć.

A Denat czaił się na nią.

Zostawił za sobą smród ścieku i puścił wodze zmysłów. Poruszając się nocą nie wolno było się skupiać. Próba koncentracji, usilne staranie, by coś dostrzec, wyężdżanie słuchu – to wszystko prowadziło do śmierci. By żyć, trzeba było zawierzyć intuicji. Stawiaj po prostu stopy, a nie zaszeleści żaden liść. Szeroko otwieraj oczy, ale na nic nie patrz; nadstawiaj uszu, ale nie słuchaj. Wdychaj głęboko powietrze, ale nie czuj. Stań się jednością z nocą.

A ponieważ tak właśnie się poruszał, natychmiast wychwycił dźwięk klócający się z harmonią otoczenia. Stał bez ruchu, jak ciemna dziura w mroku nocy, a obok niego przemknął skulony kształt. Postać była niewysoka – mały mężczyzna lub kobieta; szła od strony rzeki, zgięta pod ciężarem ociekającego wodą pakunku. Denat struchlał, kiedy zdał sobie sprawę, że przez rzekę prowadzony jest przemyt.

Przemyt oznaczał patrole. Wojownik stał kilka sekund, rozważając problem, po czym wykonał drobny gest rezygnacji. Plan był prosty i jedyny możliwy: jeśli nad rzeką chodziły patrole, będzie musiał po prostu ich unikać. Sądząc po zachowaniu miejscowych, które widział do tej pory, nie powinno to sprawiać większych problemów.

Ruszył dalej powolnym, lecz równym krokiem, zatrzymując się co jakiś czas i wydając jakiś naturalny odgłos – szurając stopą lub szeleszcząc zwiędłym liściem. Dźwięki te wtapiały się w szum nocnego życia, przypominając odgłosy małych zwierząt, buszujących w trawie *kur* w poszukiwaniu ziaren i korzonków. Jeśli ktoś usłyszałby jego kroki, pomyślałby, że to *stap* albo *basik*. Jeśli tylko nie rzuci się na niego żaden *insheck*, wszystko będzie dobrze. W przeszłości zdarzało mu się zostać zaatakowanym przez *insheck* albo młode *atul*, ponieważ mali drapieżcy mylili go ze swoimi naturalnymi ofiarami.

Udało mu się jednak dotrzeć do brzegu rzeki bez żadnych incydentów. Prąd był dość wartki, ale nie mógł odstraszyć kogoś, kto pływał w gorszych miejscach od najmłodszych lat. Ludzie zapewnili go, że paczka była wodoodporna, więc zanurzył się w rzece, poruszając się tak ostrożnie, jakby polował na *atul grack*.

Prąd porwał go i wyniósł na środek rzeki. Woda była cieplejsza niż nocne powietrze; uspokajająca kąpiel zmywała z niego smród miasta. Pozwalał rzece obracać nim jak kawałkiem drewna, wystawiając nad powierzchnię wody jedynie głowę, oddychając przez nos i wypatrując *asleem*. Gdyby natknął się na jakiegoś, cały plan ległby w gruzach, a on sam by zginął.

Prąd zaniósł go wkrótce pod most. Denat zanurkował i podpłynął do brzegu, ryzykując, że zderzy się z jakąś podwodną przeszkodą. Było to jednak ryzyko wkalkulowane; strażnicy mogli obserwować wodę tak samo jak brzegi.

Wynurzył się ostrożnie, kiedy skończyło mu się powietrze i zobaczył, że jest blisko

mostu. Bezpośrednio nad nim stał gwardzista, spoglądający w górę rzeki. Nie patrzył jednak w dół, a wojownik zdusił parsknięcie śmiechu. Te gównosiady były tak samo ślepe i głupie, jak *basik*.

Podpłynął do brzegu, gdzie w odbitym świetle latarni wyraźnie lśniła skała, na której opierał się most. Denat chwycił się jej krawędzi i zamarł z wystawioną na powierzchnię wody głową, pozwalając zmysłom przystosować się do panujących pod mostem warunków.

W łukach budowli dziwnym echem odbijało się bulgotanie i cmokanie wody, zasysającej powietrze setkami małymi wirów. W górze zastukały buty strażnika, a dookoła słychać było gwar nocnych mieszkańców rzeki – posykiwania *feen* i ćwierkające trzaski wodnych *slen*.

W końcu, kiedy upewnił się, że uporządkował i rozszyfrował już wszystkie dźwięki, zaczął powoli wyciągać się na brzeg. Ruch ten był boleśnie powolny, ale dzięki temu woda spływała z niego powoli i nie kapiała, co mogłoby go zdradzić.

Wypełził na skałę i podczołgał się do miejsca, gdzie łączyła się z mostem. Ludzie bardzo dokładnie wyjaśnili mu, co ma zrobić – paczka musiała dotykać mostu, ale tak, by nie było jej widać. Przymocował ją do zimnych kamieni łuku i rozgarnął grubą trawę *kur*, by rzuciła w to miejsce cień. Potem zaczął powoli spełzać w dół pochyłości.

Przy odrobinie szczęścia w dole rzeki będzie na niego czekał przewodnik.

* * *

–Połowa planu wykonana – powiedział Roger, a Pahner kiwnął głową.

–Teraz musimy się znaleźć w odpowiednim miejscu, żeby wykonać drugą połowę.

–Co do tego... – zaczął książkę, ale przerwało mu stukanie do drzwi.

Despreaux cofnęła się z większością swojej drużyny. Marines wycelowali broń w wejście, a kapral Bebi gwałtownie otworzył drzwi.

Nowy dowódca gwardii królewskiej spokojnie popatrzył na wymierzone w siebie karabiny.

–Przysłała mnie Jego Królewska Wysokość. Macie napisać wiadomość dla swojej kompanii. Mają oddać się pod moje rozkazy, dopóki się nie połączycie.

Roger spojrział na Pahnera i z powrotem na gościa.

–Jak długa chcesz być nowym dowódcą? – spytał. – Mogę szybko skrócić twoją kadencję.

–Jeśli mnie zabijecie, moje miejsce zajmie następny – powiedział obojętnie dowódca. – A jeśli wasza kompania nie będzie miała wsparcia, zostanie wybita. Ja będę dowodził siłami pomocniczymi. Jeśli mnie rozzłościście, gwarantuję wam, że po jutrzejszym dniu nie zostanie wam ani jeden żołnierz.

–Aha – uśmiechnął się dziko Roger. – Dobrze wiedzieć, że wszyscy mamy wspólny cel. – Wyciągnął pad, stuknął przez chwilę w jego klawiaturę, po czym rzucił go Mardukaninowi. – Pokaż im to. Są tam zapisane wszystkie rozkazy, jakich potrzebują.

–Bardzo dobrze – powiedział dowódca, przyglądając się trzymanemu do góry nogami padowi. – Jutro rano razem z moim panem będziecie oglądać, jak okryjemy się chwałą w bitwie. – Chrząknął złośliwie i było to pierwsze uczucie, oprócz pogardy, jakie wyraził. – Ku zwycięstwu!

–Jasne – powiedział Roger. – Jak chcesz.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

TRZECI

Świt wstał jasny i prawie słoneczny. Niższa warstwa chmur rozproszyła się, zostawiając jedynie cienką górną powłokę, przez co temperatura podniosła się o kilka stopni.

Marines zebrali się przed kwaterami gościnnymi, sprawdzając oporządzenie, poprawiając plecaki i szykując się do wykonania zadania. Walka zapowiadała się na krótką, zaciętą i nieprzyjemną. Zapasy śrutu i granatów były już na wyczerpaniu, nie mieli karabinów plazmowych, jeśli więc Marshadanie nie zamierzali udzielić większego wsparcia niż się spodziewano, miało dojść do walki wręcz.

Mieli przynajmniej miecze, ale wciąż bez tarcz, a jeśli nie mogli postawić ściany tarcz, wyszkolone w indywidualnej walce wojska Pasule miały nad nimi przewagę. Ogólnie rzecz biorąc, zapowiadał się podły dzień.

Julian przesuwiał osełką po ostrzu swojego miecza, kiedy radio w jego hełmie włączyło się na częstotliwości ogólnej.

–Dzień dobry, marines – zabrzmiał w słuchawkach głos Rogera. – Doszedłem do wniosku, że powinniście o czymś się dowiedzieć, zanim się zacznie.

–Nie mam zamiaru teraz narzekać na to, jak zostałem wychowany. Wszyscy mamy o coś żal do naszych rodziców, a ja nie jestem w tym względzie wyjątkiem. Chcę jednak, żebyście wiedzieli, że niezależnie od tego, jak byłem wczoraj wściekły, kocham moją matkę jako matkę i jako Cesarzową.

–Wczoraj dowiedziałem się, dlaczego naprawdę tu jesteśmy. Oczywiście, doszło do próby zamachu, i to było przyczyną, dla której znaleźliśmy się na Marduku, ale powód naszej podróży na pokładzie okrętu szturmowego, a nie nosiciela, to osobisty problem mój i mojej matki, problem, z którego istnienia nawet nie zdawałem sobie sprawy.

–Muszę więc przeprosić za kilka rzeczy. Przeprosić za to, że musieliście zastanawiać się nad moją lojalnością. Musimy się stąd wydostać, a potem na spokojnie porozmawiać z moją matką i wszystko wyjaśnić. Chcę przeprosić za to, że nie zmusiłem jej do tej rozmowy wcześniej. Gdybym to zrobił, wszyscy pilibyśmy teraz piwo w Imperial City. W końcu chcę was przeprosić za to, że znaleźliście się razem ze mną w tej sytuacji, i przysięgam, daję słowo MacClintocka, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby każdy z was wrócił do domu.

Książę przerwał, a Julian rozejrzał się po żołnierzach. Wszyscy marines siedzieli nieruchomo, tak jak on sam. Nieczęsto słuchało się zwierzeń członka Rodziny Cesarskiej, a jeszcze rzadziej jego przeprosin.

–Musicie dzisiaj coś zrobić – podjął po chwili Roger – a mnie z wami nie będzie. Ale wszyscy musimy wrócić do domu. Musimy dowlec dupska do Imperial City i pójść wreszcie razem na to piwo. Dzisiaj, według mnie, postawimy pierwszy krok na tej drodze. Więc zróbmy to.

–Roger, bez odbioru.

*** * ***

Nowy dowódca gwardii podszedł do ludzi, którzy zaczęli wychodzić ze swojego dziwnego transu.

–Co robicie? – warknął. – Dlaczego przerwaliście przygotowania? Ruszać się, wy głupie *basik!*

Kapral Moseyev stał najbliżej ciskającego się Mardukanina. Wstał i spojrzał na niego chłodno.

–Zamknij się, dupku. – Odwrócił się do swojej sekcji i pokazał złożone działko plazmowe. – Jenó, pomóż z tym Gronningenowi. – Spojrzał znów na gwardzistę, który bełkotał coś za jego plecami.

–Możesz się odsunąć albo umrzeć. Twój wybór.

*** * ***

–Odsuń się – powiedział chłodno Roger.

Mardukański strażnik wyraźnie nie miał na to ochoty, ale na gest króla dał krok w bok. Książę podszedł do parapetu i spojrzał w dół. Balkon znajdował się w jednym z najwyższych punktów zamku na wzgórzu; rozciągał się z niego zapierający dech w piersiach widok na miasto. Roger widział kompanię, maszerującą między oddziałami Marshadu i zmierzającą w stronę mostu.

Radj Hoomas stał kawałek dalej przy niskiej kamiennej poręczy, patrząc na to samo. Między nim a ludźmi było tylko kilku strażników, ale pięćdziesięciu innych stało w szeregu pod ścianą, gotowych w każdej chwili naszpikować zakładników oszczepami.

Król spojrzał na Rogera i chrząknął.

–Widzę, że doszedłeś do porozumienia z Oget Sarem?

–Jeśli chodzi ci o nowego dowódcę gwardii, to tak – powiedział bez uśmiechu Roger. – On użyje moich żołnierzy, a ja postaram się go zabić. Zrozumieliśmy się doskonale.

–Nie mówi się do gospodarza takim tonem – skarcił go poirytowanym głosem król, klaszcząc z niezadowoleniem w dłoń. – Musisz nabrać lepszych manier, zanim komuś stanie się krzywda.

–Zawsze miałem z tym problem – przyznał książę patrząc, jak jego kompania rozwija sztyk na nadrzecznych polach. – Taki już chyba mam charakter.

*** * ***

–Spokojnie, wszyscy – powiedział Moseyev. – Już prawie jesteśmy na pozycji.

W konfiguracji podróżnej działko plazmowe miało półtora metra długości, pół metra szerokości i ważyło siedemdziesiąt kilo, mógł je więc z trudem nieść jeden nieopancerzony człowiek. Na szczęście wyposażone było w poręczne uchwyty z obu końców, więc na krótkie dystanse bez problemu dawało się przenosić dwóm marines, przy wtórze nieodłącznych przekleństw.

–Boże – powiedział Macek. – Ależ to ciężka suka.

–Za parę minut będziesz się cieszył, że masz ze sobą tę ciężką sukę – parsknął Gronningen.

–Jasne. Ale od tego nie robi się lżejsza.

–Okay – powiedział Moseyey, spoglądając na strażnice przy moście. – Tu jest dobrze. Rozstawiamy.

Dwaj marines upuścili podłużną skrzynię w niski lendwab, a Gronningen wcisnął niepozorny przycisk. Otworzyła się klapka; szeregowy przełączył znajdujący się pod nią przełącznik i odsunął się, a działko M-109 rozłożyło się jak wychodzący z poczwarki motyl.

Jego osprzęt wykonano z pamiętającego tworzywa. Pierwszy rozsunął się trójnóg; mały wspornik podniósł działko nad ziemię, po czym trzy główne podpory wysunęły się na boki. Kiedy osiągnęły maksymalną długość, z charakterystycznym sykiem wbiły w ziemię kolce. Potem trójnóg uniósł broń na pełną wysokość i rozłożyła się osłona.

Osłona była bezspornie najważniejszą częścią całego modułu. Wystrzał powodował

falę ciepłą, która mogła podpalić strzelającego. Samo to wystarczyło, by osłona zdobyła względy strzelców, chroniła jednak również operatorów przed ogniem z przodu. Teraz rozwinęła się jak kryza bazyliuszka alba tarcza na głowie *flar-ta*; zapewniała pionową zasłonę nad i pod bronią, ale przede wszystkim rozsunęła się na boki, przyjmując kształt mniej więcej odpowiadający wzorowi rozłożenia wystrzału plazmy.

Gronningen wcisnął przycisk na wierzchu broni i usiadł za nią ze skrzyżowanymi nogami. Spojrzał na most; mardukańscy żołnierze z obu strażnic przyglądali się ustawiającej się na polach kompanii. Żaden nie zauważył chyba przygotowań jego sekcji.

–Gotowe – oznajmił.

–Działko plazmowe gotowe – zameldował Moseyev przez radio.

–Zrozumiałam – odparła Kosutic. – Jesteśmy na pozycjach. Strzelajcie.

* * *

–Dlaczego jeszcze nie zeskoczyli? – parsknął Kidard Pla.

Pasulańczyk patrzył, jak straszliwa broń rozkłada skrzydła, i nerwowo postukał w kamienną balustradę mostu.

–Może im nie powiedziano? – zasugerował jego towarzysz.

Pasulańscy strażnicy zostali przydzieleni do mostu wyjątkowo, ponieważ wszyscy umieli pływać. O planie poinformowano ich tuż przed tym, jak ruszyli na posterunek; teraz obserwowali Marshadan, czekając, aż tamci uciekną. Działko plazmowe miało zmieść z mostu pasulańskich obrońców, poraniłoby jednak przy tym albo pozabijało również marshadańskich strażników, jeśli ci nie usunęliby się z drogi. Żaden z nich jednak się nie ruszał. Albo nie powiedziano im, że broń ich „sprzymierzeńców” może być niebezpieczna także dla nich, albo udawali *basik*. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, Kidard Pla nie miał zamiaru brać w tym udziału.

–Zacznę krzyczeć i pokazywać palcami – powiedział. – A potem skaczymy.

–Brzmi nieźle. Szybko.

–Patrzcie! – wrzasnął dowódca strażników. – To miotacz błyskawic ludzi! Uciekać z mostu!

Nie ociągając się sam wykonał własny rozkaz i przeskoczył nad barierką. Nie miał zamiaru czekać, aż coś się stanie.

* * *

Gronningen zaczął już naciskać przycisk spustu, kiedy zobaczył, że pasulańscy strażnicy wymachują rękami w jego stronę. Odczekał chwilę, na tyle długą, żeby zdążyli skoczyć do wody, po czym wystrzelił.

Mknący z prędkością światła ładunek plazmy unicestwił bliższą pasulańską strażnicę w rozbłysku srebrnego światła i przy wtórce ryczącej eksplozji. Fala termiczna zmiotła z mostu Marshadan, którzy zniknęli jak insekty w płomieniu świecy; między mostem a działkiem ciągnęła się prosta linia płonących roślin i wypalonej, parującej ziemi.

Marines ruszyli truchtem naprzód, trzymając karabiny i granatniki oparte o ramiona, a reszta marshadańskich sił wysypała się za nimi z bram miasta.

Gronningen włączył bezpiecznik i wcisnął przycisk składania. Żołnierze popatrzyli, jak broń kurczy się do rozmiarów podręcznych, po czym spojrzeli na dowódcę.

–Mutabi – powiedział Moseyey, zarzucając na ramię karabin i łapiąc za jeden z uchwytów. – Idziemy.

Sekcja ruszyła przez ogień za resztą kompanii.

* * *

–Wspaniale! Wspaniale! – Radj Hoomas klasnął radośnie we wszystkie cztery dłonie. – Most jest nasz! Szkoda tylko, że ich strażnicy uciekli.

–Nie ostrzegłeś własnych strażników? – spytał Roger drewnianym głosem.

–Po co? Gdyby za wcześnie spanikowali, mogliby zdradzić nasz plan. – Król popatrzył na leżące w oddali miasto. – Spójrzcie, nie zaczęli się nawet ewakuować. Zaskoczyliśmy ich zupełnie. Wspaniale!

–Tak – zgodził się książę. Pahner stanął obok niego, by lepiej widzieć Pasule. – Jak dotąd idzie dobrze.

Eleanora O’Casey kiwnęła głową grupie strażników wokół króla, który pomachał ręką, żeby ją przepuścili. Wszyscy wiedzieli, że naczelniczka świty jest uczoną, a nie wojowniczką, więc jej drobna osoba nie stanowiła zagrożenia dla Radj Hoomasa.

–Co zamierzasz z nimi zrobić, kiedy podbijesz miasto? – spytała, stając po przeciwnej stronie króla niż Roger i Pahner.

–Rynek *dianda* jest chwilowo nasycony – odparł Mardukanin, pocierając rogi. –

Kiedy więc obłupię Domy, prawdopodobnie pozwolę im uprawiać jęczmyż. Oprócz tego użyję Pasule do wsparcia mojej armii, podbijającej resztę państw-miast.

–A my, oczywiście – powiedziała O’Casey – będziemy mogli iść swoją drogą.

–Oczywiście. Nie będę was więcej potrzebował. Mając połączone siły Marshadu i Pasule będę kontrolował równiny.

–Aha. Doskonale.

Król chrząknął, kiedy w końcu otworzyły się bramy miasta za rzeką. Z takiej odległości nie dało się wiele zobaczyć, ale było oczywiste, że wojska Pasule wysypują się na równinę, by bronić swoich pól.

–Miałem nadzieję, że dłużej potrwa, zanim zareagują – mruknął Radj.

–Mówi się – uśmiechnęła się O’Casey – że żaden plan nie wytrzymuje kontaktu z nieprzyjacielem.

Starła się nie uśmiechać za szeroko, przypominając sobie, jak Pahner objaśniał jedyny wyjątek od tej zasady – pierwsze kilka chwil ataku z zaskoczenia.

–Spójrzcie – król wskazał targającą działko plazmowe sekcję. – Wasz miotacz błyskawic jest już prawie na wzgórzu.

Sekcja Moseyeva doszła do otoczonego parkiem wzniesienia i wspinała się zarośniętą drogą. Radj znów wyciągnął rękę, wskazując niewielką grupę własnych żołnierzy, która oddzieliła się od głównych sił.

–Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, ale wysłałem za nimi oddział własnych żołnierzy. – Zaśmiał się chrapliwie, patrząc z góry na naczelnickę świątynię. – Na wypadek, gdyby wasi ludzie natknęli się na maruderów albo bandytów. Nigdy za wiele ostrożności.

–Och, zgadzam się – powiedziała uczona, krzywiąc się lekko. – Wojna to okropna rzecz. Nigdy nie wiadomo, co może pójść nie tak.

*** * ***

–Uwaga – ostrzegł Gronningen. – Mamy aniołów stróżów. – Wielki Asgardczyk zmarszczył czoło. – To może spieprzyć sprawę.

–Widzę ich – mruknął Moseyev. – Trzymamy się planu.

–Ich jest prawie dwudziestu. – Macek nie był zdenerwowany, mówił spokojnym tonem zawodowca.

–Tak – przyznał Moseyev, chrząkając z wysiłku; niósł wypchany plecak i działko plazmowe. – A nas czterech i jesteśmy na to przygotowani. Kiedy dotrzemy na miejsce, od razu rozstawiamy zabawki. Nawet z tą ciężką suką mamy jeszcze sporo czasu.

*** * ***

Król wybuchnął śmiechem, kiedy marshadańskie oddziały stanęły na równinie. Skrzydła armii stanowiły zwykle kompanie najemników, zawodowców, którzy walczyli dopóki czuli, że bitwa idzie po ich myśli, ale ani sekundy dłużej. Można było się spodziewać, że wesprą rozstrzygający atak, ale tylko głupiec liczyłby na coś więcej.

Najważniejsze było centrum, gdzie stały najsilniejsze i najliczniejsze kompanie. Pierwszy szereg stanowili ludzie, „wspierani” przez Królewską Gwardię, gotową wybić ich, gdyby próbowali uciec albo wykorzystać wyłom, który broń marines miała zrobić w szeregach pasulańczyków.

Gwardziści zatrzymali się, by wyrównać szyk przed natarciem, co dało ludziom okazję do nadania ostatniego komunikatu.

*** * ***

–Odpalajcie, Julian – powiedział porucznik Jasco.

–Tak jest, sir. – Plutonowy wyciągnął z ładownicy flarę, przygotował ją i z hukiem wystrzelił w górę, tak by widziała ją armia Pasule i ich sprzymierzeńcy w Marshadzie.

*** * ***

–Co to było? – spytał podejrzliwie król, kiedy w powietrzu rozerwał się zielony fajerwerk.

–To ludzki zwyczaj – powiedziała obojętnie O’Casey. – To znak, że armia przybyła stoczyć bitwę i nie przyjmie kapitulacji.

–Aha – roześmiał się znowu Radj. – Wygląda na to, że palicie się do walki.

–Im szybciej skończymy, tym szybciej ruszemy w drogę – odparła uczona z absolutną szczerością.

*** * ***

–Jest sygnał – szepnął Denat.

–Nie musisz szeptać – powiedziała Sena ze zniecierpliwieniem. – Nikt nas tu nie słyszy.

Znów byli w kanale, ale tym razem Denat nie zwracał uwagi na smród. Oboje byli za bardzo zajęci obserwowaniem ludzi, którzy właśnie wspięli się na szczyt małego wzgórza na drugim brzegu rzeki.

–Co oni tam ustawiają? – spytała Sena.

Z tej odległości ledwie widziała, że coś się rusza.

–Miotacz błyskawic – odparł Denat. – Jeden z największych, jakie mają. Będzie ciął wroga jak kosa.

–Aha – kiwnęła głową. – Dobrze. Chyba są już gotowi.

* * *

–Gotowe, szefie.

–Zrozumiałem. – Moseyev spojrzał na Macka i Mutabiego, ustawiającego ostatni z krzyżopodobnych kołków w półkole, jakieś dziesięć metrów za działkiem plazmowym.
– Gotowy, Mutabi?

–Tak jest. – Grenadier otrzepał ręce. – Linia graniczna ustawiona.

–Dobrze, bo zbliża się towarzystwo.

Dowódca sekcji podniósł rękę, zatrzymując wspinających się na wzgórze Mardukan.

–Stać. Po co tu przyszliście?

Dowodzący wojownik odepchnął na bok jego dłoń.

–Przysłano nas, żebyśmy mieli na was oko, *basik* – burknął. – Mamy pilnować, żebyście nie czmychnęli w krzaki jak tchórze, którymi jesteście.

–Widziałeś, co ta broń zrobiła z mostem? – warknął Moseyev. – Szczerze mówiąc mam gdzieś, po co tu przyszliście, ale jeśli nie będziecie dokładnie wypełniać naszych poleceń, usmażycie się na kolację dla krokodyli w rzece, jasne?

–Będziemy robić, co nam się spodoba – odparował ze złością dowódca gwardzistów, ale jego wojowniczość podszyta była strachem. Żołnierze za jego plecami zamruczeli nerwowo.

–Dobrze. – Moseyev pokazał linię kołków. – Za osłoną działka jest miejsce tylko dla nas czterech, więc nie może się tam schować żaden z was. Te kołki to linia graniczna. Będziecie za nią bezpieczni, a jednocześnie na tyle blisko, że jeśli spróbujemy uciekać albo robić jakieś inne śmieszne rzeczy, będziecie nas mogli

naszpikować oszczepami.

Dowódca rozejrzał się i klasnął w dłonie.

–Bardzo dobrze. Ale pamiętajcie – będziemy was pilnować!

–Pilnujcie – powiedział Moseyev i odwrócił się, żeby ten idiota nie zobaczył jego dzikiego uśmiechu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

CZWARTY

–Kapitanie, tu porucznik Jasco – powiedział dowódca polowy. Popatrzył na swój pluton marines i pokręcił głową. – Stoimy na pozycjach z siłami Marshadu. Działko plazmowe na pozycji. Denat i paczka na miejscu. Powiedziałbym, że można jechać.

–Zrozumiałem – odparł Pahner. – Działko, wy zaczynacie, kiedy siły Pasule zaatakują.

–Zrozumiałem, sir – odparł nerwowo Moseyev. – Jesteśmy gotowi.

–Pahner, bez odbioru.

* * *

Moseyey spojrzał po raz ostatni na plan ostrzału Gronningena.

–Zaczekaj na znak – powiedział.

–Jasne – chrząknął Asgardczyk. – Jesteśmy zalokowani.

–Kapralu – szepnął Macek. – Mamy ruch.

* * *

–Zaraz zaczynamy – powiedziała sierżant Kosutic, kiedy dowódca sił Pasule wyszedł przed szereg. Obie armie stały oddalone od siebie na odległość rzutu oszczepem. Pasulańczyk machnął nad głową mieczem, wyraźnie dając znak do ataku. Ludzie nie słyszeli, co powiedział, prawdopodobnie na szczęście dla siebie, ale cokolwiek to było, podziało, ponieważ szeregi wojska ruszyły za nim truchtem do ataku.

–Zabawa się zaczyna.

* * *

–Ognia – szepnął Moseyey, a Gronningen wcisnął spust.

Działko plazmowe plunęło trzema dokładnie wymierzonymi ładunkami – po jednym w każdą flankę marshadańskiej armii, a ostatnim w sam środek tylnych szeregów Królewskiej Gwardii.

* * *

Pahner wyciągnął pistolet, odwrócił się i trzykrotnie wystrzelił. Trzej strażnicy, stojący między nim a królem, runęli na ziemię jak marionetki z przeciętymi sznurkami, a kapitan skoczył do przodu.

*** * ***

Za nimi ryknęły spodziewane eksplozje. Kompania Bravo batalionu Brąz Osobistego Cesarzowej wykonała doskonały zwrot w tył i otworzyła ogień w szeregi Marshadan.

*** * ***

Eleanora O'Casey padła na ziemię i zasłoniła głowę rękami.

*** * ***

Plutonowa Despreaux opuściła karabin do biodra i zaczęła strzelać. Grenadierzy po jej obu stronach otworzyli ogień ciągły.

*** * ***

Kapral Moseyev wcisnął przycisk detonatora, odpalając jednocześnie wszystkie ustawione w półkole miny kierunkowe oraz kilogramowy ładunek C-20 pod mostem. Ładunek stanowił połowę całego zapasu kompanii i wystarczał, by zrównać z ziemią trzypiętrowy budynek.

*** * ***

Pierwszy kopniak Pahnera trafił Radj Hoomasa w krocze. Miejsce okazało się równie wrażliwe u Mardukan, jak u ludzi, bowiem król zgiął się z jękiem wół. Kapitan wyprowadził kopnięcie boczne z półobrotu, które trafiło padającego władcę w skroń. Czaszki Mardukan, w przeciwieństwie do ludzkich, były w tym miejscu grube, ale siła ciosu i tak cisnęła ogłuszonego króla na ziemię.

Władca Marshadu runął na kamienną podłogę balkonu, a Pahner złapał go za róg, wykręcił mu głowę i przytknął do niej lufę pistoletu. Spojrzał w górę, gotów zagrozić strażnikom, że zabije króla.

Ale nie było już żadnych strażników.

Ci, którzy stali pod ścianą, zostali starci na miazgę przez setki pocisków i tuzin granatów. Stickles dostał oszczepem w bok, ale niegroźnie – był jedyną ofiarą wśród ludzi.

Wszystkich ośmiu gwardzistów w bezpośrednim otoczeniu króla nie żyło. Większość została zupełnie zaskoczona, kiedy patrzyli na strzelające działko

plazmowe, jeden jednak zdążył, zareagować na atak kapitana. Ten jeden miał wyciągnięty miecz... i dziurę w brzuchu. Pozostali zostali trafieni w głowy, szyje i piersi.

Roger schował pistolet do kabury i pokręcił barkiem.

–Naprawdę, muszę znaleźć gościa, który napisał ten program, i podziękować mu, kiedy wrócimy.

* * *

Gronningen pakował kolejne ładunki plazmy we flanki Marshadan. Kompania za bardzo wymieszała się z gwardią, by mógł strzelać w środek, ale flanki nie miały gdzie się ukryć. Skrzywił się, kiedy zobaczył, jak pada kolejny marine, ale z tej odległości nie mógł nic zrobić. Nic, oprócz krycia ogniem i trzymania najemników z dala od walki.

Moseyev podniósł jeden z oszczepów poszatkowanych gwardzistów. Eksplozja min kierunkowych odłupała końcówkę drzewca, ale poza tym – i oblepiającą wszystko krwią – broń była nietknięta. Przywiązał do niej pierwszą linę i czekał.

* * *

Denat ruszył biegiem do krawędzi wody i skoczył w bok, unikając rzuconego oszczepu. Na ziemię spadały jeszcze kamienie ze zburzonego mostu, kiedy podniósł broń i przerzucił ją nad wybraną gałęzią drzewa. Szarpnął, by wybrać luz, zawiązał szybko węzeł na linie i dał znak, że skończył. Sznur pojechał do góry, a Denat się uśmiechnął. Zaraz będzie miał towarzystwo.

* * *

Roger zamachnął się i Mardukanin łomotnął ciężko na stos pod drzwiami. Książę odskoczył w bok i pokręcił głową, kiedy Pahner i Surono przynieśli następnego.

–Słyszałem już to powiedzenie – powiedział – ale nie myślałem, że będę to robił.

–Widzi pan tu coś innego, czym można by zabarykadować drzwi, Wasza Wysokość? – zmarszczył czoło Pahner. – O to właśnie chodzi na wojnie – zrobić rzeczy, których się nie lubi, ludziom, których się nie lubi jeszcze bardziej.

* * *

–Pani sierżant – powiedział Julian, przeskakując nad niewielkim stosem Mardukan.
– Proszę mi przypomnieć, żebym nigdy więcej tak nie żartował.

–Jak? – spytała Kosutic. Jednocześnie szła bokiem, przestępując nad trupami Królewskiej Gwardii, wiązała bandaż na szyi Pohma i upewniała się, że nikt nie został z tyłu.

–Przyłącz się do marines... – zaczął Julian.

–Odwiedź fascynujące planety – dołączył do niego Georgiadas, strzelając do jednego z najemników, który zamierzył się na nich oszczepem.

Instynktowny odwrót Marshadan do miasta zatrzymał się, kiedy most wyleciał w powietrze. Nie mogąc się wycofać, najemnicy zaczęli się przegrupowywać; mimo straszliwych cięć, jakie dostali, wciąż byli niemal tak liczni jak Pasulanie.

–Poznaj ich egzotycznych mieszkańców – wrzasnął Bernstein, wystrzelivując serię granatów w odstęp między ludźmi a Marshadanami.

–I zabij ich – dokończył poważnie Julian, zarzucając na ramię worek prochów, które zostały z porucznika Jasco. – Jakoś przestał być śmieszny.

–Nigdy nie był, Julian. – Kosutic skończyła opatrunek i klepnęła „naprawionego” szeregowca w plecy. Rozejrzała się po polu bitwy i wskazała oznaczony teren zbiórki. – Zbiórka przy O-P! – wrzasnęła, po czym spojrzała na biegnącego obok niej plutonowego.

–Więc mam się zamknąć i zachowywać jak żołnierz?

–Nie. Ale możesz poczekać, aż skończymy zadanie – powiedziała. – A to nieprędko nastąpi. Wstrzymaj się przynajmniej ze swoimi moralnymi dylematami, aż bitwa się skończy. Jakbyś nie zauważył, jeszcze się nie skończyła. Potem będziesz mógł utopić smutki w winie, jak my wszyscy.

–Nie twierdzą, że masz być jednym z tych gości, co piją z czaszek pokonanych wrogów – powiedziała, kiedy kompania zaczęła się zbierać i liczyć zabitych i rannych. – Ale kilku musimy jeszcze zabić. Więc poczekaj, aż to zrobimy, a potem narzekaj.

*** * ***

–Więc tak po prostu mnie tu zostawicie, tak? Gronningen wystrzelił jeszcze raz w kierunku Marshadan.

Stłoczona masa liczyła co najmniej tysiąc wojowników, ale oddalona była prawie o trzy kilometry. Maksymalny efektywny zasięg działka wynosił cztery tysiące metrów w atmosferze, więc ostrzał na tę odległość był stosunkowo nieskuteczny, mimo to nie pozwalał Marshadanom zbliżyć się do reszty kompanii, równym krokiem biegnącej w stronę wzgórza. Poza tym, oczywiście, działko byłoby coraz bardziej

skuteczne, jeśli jacyś Mardukanie byłiby na tyle głupi, by podejść bliżej.

–Cholera, cholera, cholera – zaklął nerwowo Macek.

W bramie Marshadu pojawiło się kilkudziesięciu żołnierzy, jeszcze więcej zachodziło wzgórze od tyłu. Jeśli główny kontyngent nie pojawi się szybko, przyczółek Denata po drugiej stronie rzeki będzie stracony.

–Pomyśl o tych biednych draniach w koszarach – powiedział Moseyev.

Dostali wiadomość, że pierwszy szturm na „kwatery gościnne” został odparty, ale grupa lekko rannych, poganiaczy i bratanków Corda musiała zaciekle się bronić.

–Pomyślę o nich, jak będę mógł przestać myśleć o sobie – odparł Mutabi, zaczepiając karabińczyk o linę. – Nie znoszę wysokości.

*** * ***

–Ruszać się! – warknęła Kosutic, kiedy dotarła do podnóża wzniesienia, a działko na jego szczycie zaczęło strzelać w stronę Marshadu. Obejrzała się na grupę z noszami, próbującą za nią nadążyć. – Hooker!

–Tak, pani sierżant? – Kapral Hooker została awansowana i po Voitan objęła dowodzenie nad drużyną Bilalego.

–Twoja sekcja zostaje z noszowymi. – Trzech rannych trzeba było nieść na noszach, czterech mogło iść o własnych siłach. – St. John (J.), Kraft i Willis też – dodała, wymieniając trzech pozostałych. – Reszta za mną – dokończyła i przeszła z truchtu w pełny galop.

*** * ***

Macek schował się za drzewo, kiedy z góry spadły kolejne oszczepy. W rowie kanalizacyjnym kryło się zaledwie kilkudziesięciu Marshadan, ale ich ostatnia szarża niemal doszła do brzegu, na którym siedzieli marines.

–Ale dół! – wrzasnął.

–Czy ja wiem? – sprzeciwił się Mutabi. – Mogło być gorzej.

–Jak? – odkrzyknął Macek. – Jesteśmy przyszpileni, kompania nie zdąży tu dobiec na czas, a tamtych jest coraz więcej! Jak może być gorzej?

Grenadier wyciągnął ostatnią taśmę granatów.

–Moglibyśmy zupełnie nie mieć amunicji.

–Za duży kąt! Nie mogę strzelać w rów, pani sierżant! – zameldował wściekle Gronningen.

Kosutic, oddychając głęboko, podeszła do krawędzi wzgórza, by rozeznac się w sytuacji.

–Grenadierzy! – warknęła. – Wykurzyć tych drani. Sierżant Lai!

–Tak, pani sierżant?

–Wasza sekcja idzie pierwsza. Już! Reszta, postawić zasłonę ogniową!

Lai wyciągnęła z kieszeni kombinezonu zwój liny i zaczepiła ją o karabińczyk. Zarzuciła karabin na plecy i uśmiechnęła się.

–Zawsze byłam ciekawa, po co przerabiamy to na szkoleniu! – zaśmiała się i skoczyła w dół.

Marines zasypali ogniem pozycje Mardukan wokół ujścia kanału, a sierżant zsuwała się w dół po linie. Przyspieszyła, kiedy poczuła, że za nią zaczyna zjeżdżać następny żołnierz, ale u podnóża urwiska stromizna łagodniała, więc to ją trochę spowolniło. Puściła się i wylądowała miękko kilka metrów od brzegu rzeki.

–Tada! – zawołała i ściągnęła z pleców karabin.

–Pani sierżant – powiedział Macek. – Jak się cieszę, że panią widzę!

Przyciskał nasiąknięty krwią opatrunek do szyi Mutabiego; obok nieprzytomnego grenadiera leżał zakrwawiony oszczep.

–Gdzie Moseyev i szumowiniak? – spytała Lai.

Po linie zeszła Pentzikis, zaraz za nią St. John (M.). Ten ostatni wyciągnął z plecaka linę i pobiegł na północ, ciągnąc ją za sobą i poszarpując, kiedy wpadała do wody.

–Gdzieś tam – powiedział Macek, pokazując na południe. – Nie odpowiadają.

–W porządku. – Sierżant rozejrzała się dookoła; po linie zjeżdżało coraz więcej marines, resztek jej plutonu. – Dokkum, Kileti, Gravdal – znajdźcie Moseyeva i Denata. – Machnęła ręką na południe. – Reszta za mną!

Ostrze miecza Rogera odcięło grot wymierzonej w niego włóczni i rozpruło pierś jej

właściciela. Książę zawirował w miejscu, powalił jednym cięciem gwardzistę mocującego się z Despreaux, po czym odrąbał ramię innemu uciekającemu w stronę wyważonych drzwi.

Ranny Mardukanin poślizgnął się w kałuży krwi, która pokrywała podłogę, i wpadł na stos ciał pod drzwiami. Zaczął gramolić się na nogi, ale zanim mu się to udało, kapitan Pahner odrąbał mu głowę potężnym ciosem szerokiego tasakowatego miecza.

Roger wyprostował się, zdyszany, i wyjrzał z balkonu. Odgłosy walki niosły się wyraźnie aż tutaj.

–Powinniśmy byli jakoś przemycić tu liny. Można było je schować w sprzęcie obozowym.

–Nie ma mowy – nie zgodziła się Despreaux, szarpiąc miecz, który zaklinał się jej między żebrami jakiegoś Mardukanina. – Szukali takich rzeczy. – Spojrzała na resztki swojej drużyny w kącie balkonu. – Jak tam?

–Świetnie, pani plutonowa – odparł Kyrrou i pokazał związanego solidnie króla. – Jego Wysokość jest trochę zgaszony, ale u nas wszystko dobrze.

–Jasne – powiedział Pahner. – Może i mamy mało amunicji, ale następnym razem używamy karabinów i pistoletów.

Machnięciem ręki wysłał drugą sekcję pod drzwi.

–Teraz wy kryjcie.

Roger otarł twarz rękawem, próbując zetrzeć krew, ale kombinezon okazał się już solidnie nasiąknięty.

–Ktoś ma chusteczkę? – spytał książę. – Obrzydliwość.

–Kapitanie – krzyknął Damdin. – Mamy poruszenia!

–Wstrzymać ogień – zawołała sierżant Kosutic z półpiętra. Wyjrzała ostrożnie, aż zobaczyła kaprała, po czym zmęczonym krokiem weszła na schody. – Nie strzelać, Damdin. Przybyła kawaleria.

–Świetnie – powiedział Roger, patrząc na Kosutic.

Była tak samo zbryzgana krwią, jak on.

–Co tak długo?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Roger spojrział na świeże plamy krwi na podłodze, podchodząc do tronu. W Marshadzie niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, pomyślał. A przynajmniej nie bez małej ingerencji z zewnątrz.

–Druciarz! – Uśmiechnął się na widok nowego lokatora tronu. – Wygląda na to, że pnie się w górę.

Kheder Bijan nie odwzajemnił uśmiechu.

–Władcy należy się pokłonić, książę Rogerze – powiedział. – Sugerowałbym, żebyś się do tego przyzwyczaił

–Wiesz – powiedział Roger, zerkając na stojący za nim pluton uzbrojonych marines – potrafię zrozumieć, że Radj Hoomas mógł nas nie doceniać, ale jestem zaskoczony, że ty to robisz. Chyba nie myślisz, że możesz nas zastraszyć? Chociaż, gdybyś naprawdę był aż tak głupi, wyjaśniałoby to, dlaczego jeszcze nie dostaliśmy wyposażenia, o którym była mowa w układzie. Miałeś nam dostarczyć jęczmyż, *dianda* i tarcze trzy dni temu, Bijan. Gdzie to wszystko jest?

–Wy, ludzie, jesteście niewiarygodnie arogancy – zauważył nowy władca. – Myślicie, że jesteśmy prostymi wieśniakami? Że w kołczanie był tylko jeden oszczep? Głupcy. Wszyscy jesteście głupcami.

–Być może – powiedział Roger, uśmiechając się zaciśniętymi ustami. – Ale zaczynamy być wkurzonymi głupcami, Bijan. Gdzie nasze wyposażenie?

–Nie dostaniecie żadnego wyposażenia, człowieku – parsknął władca. – Ani nigdzie nie pójdziecie. Mam za dużo do zrobienia, żeby tracić swój najważniejszy oddział. Przyzwyczajajcie się do tych murów.

Roger przekrzywił głowę i uśmiechnął się zagadkowo.

–Dobrze, jakąż to chytrą sztuczkę chowasz w rękawie, szpiegu? – zapytał niezrażony.

–Masz się do mnie zwracać „Wasza Wysokość”, człowieku! Albo wstrzymam podawanie wam odtrutki na truciznę *miz*, którą zjedliście pierwszego wieczora!

–Przykro mi, nie zjedliśmy żadnej trucizny – powiedział Roger. – Jestem tego całkiem pewny. Przede wszystkim ciągle żyjemy.

–Była w waszych daniach na przyjęciu – prychnął były szpieg. – Wygląda jak małe

kawałki liści, ale jest pozbawiona smaku. Wystarczy jedna dawka. Tylko głupiec by jej nie zauważył, ale wy i tak ją zjedliście. Od tamtej pory utrzymywaliśmy was przy życiu odtrutką. Jeśli nie będziecie jej dostawać, umrzecie, *basik!*

–Moment – wytężył pamięć Roger. – Małe, zielone listki? Smakują jak ścieki z kanałów?

–Są bez smaku – powiedział Bijan. – Ale tak, byłyby jasnozielone.

–Aha. – Książę nie próbował nawet ukryć uśmiechu. – Niech zgadnę – odtrutką znajdowała się w jedzeniu, które podawaliście nam od tamtej pory?

–Zgadza się – parsknął władca. – Jeśli przestaniecie ją otrzymywać, umrzecie. Zacznie się po jednym dniu, ale agonia trwa wiele dni. Sugerowałbym więc, żebyście unikali jej za wszelką cenę. Ale dość już tych dyskusji, musimy zaplanować następną podbój i...

–Nie wydaje mi się – przerwał mu z chichotem Roger. – Nie jesteś specjalnie na bieżąco, Bijan.

–O czym ty mówisz? – spytał Mardukanin. – Robiłem mnóstwo rzeczy... – Spojrzał na księcia podejrzliwie.

–Ale najwyraźniej nie zauważyłeś, kto gotował dla mnie posiłki przez ostatnich kilka dni – zamruczał Roger jak zadowolony tygrys.

Bijan patrzył na niego przez kilka sekund, po czym przyzwał gestem jednego ze stojących przy tronie strażników. Po krótkiej, szeptanej wymianie zdań gwardzista wyszedł.

–Sir – powiedział Julian, nachylając się do Rogera – czy to dobry pomysł?

–Tak. – Książę nie spuszczał wzroku z Kheder Bijana. – Poślijcie kogoś po T'Leen Sula. Wydają mi się zdolną rodziną. Aha, i powiedzcie kapitanowi Pahnerowi, że chyba zostaniemy tu trochę dłużej niż planowaliśmy.

Przerwał, kiedy gwardzista wrócił do sali tronowej. Podszedł do nowego króla i powiedział mu kilka słów. Roger dość dobrze znał już mowę ciała Mardukan – Bijan nagle stał się bardzo zmartwionym szumowiniakiem.

Władca odwrócił się do księcia i oparł dłonie na poręczach tronu.

–Ee...

–Nie jesteśmy Mardukanami, Bijan – powiedział mu Roger, rozmyślnie śmiejąc się

po mardukańsku. – Zdradzę ci mały sekret, druciarzu. Nie pochodzimy w ogóle z tej planety. Nie jesteśmy podobni do niczego, co na niej żyje, i nie działają na nas wasze trucizny, a już na pewno nie jesteśmy *basik*.

–Eee, księżę Rogerze, chyba... – zaczął władca.

–Bijan? – przerwał mu Roger.

Drzwi otworzyły się, wpuszczając do środka kapitana Pahnera.

–Tak?

–Pożegnaj się, Bijan.

* * *

Licząc przedstawicieli Voitan i wszystkich okolicznych miast-państw, w Marshadzie musiało być dwustu lub trzystu samych dyplomatów. Dokładna liczba pozostawała tematem dyskusji, ponieważ nikt ich nie policzył, ale byli wystarczająco liczni, by pożegnanie zrobiło się długie i wylewne. Roger uśmiechał się i ścisnął ręce, uśmiechał się i machał, uśmiechał się i kłaniał.

–Robi się w tym dobry – powiedział cicho Pahner. – Mam nadzieję, że za bardzo tego nie polubi.

–Nie sądzę, żeby był Cezarem, kapitanie – odparła równie cicho Eleanora. – Poza tym obok niego zawsze jest Cord, powtarzający „ty też jesteś śmiertelny”.

–O tym też nie jestem przekonany – powiedział marine i wybuchł śmiechem. – Wie pani co? Zaczynam myśleć, że to i tak nie miałyby znaczenia.

Popatrzył na otaczających księcia żołnierzy. Zawsze wiadomo było, kto powinien trafić do Pułku, nawet przed PE – ci, którzy zawsze byli czujni. Nawet kiedy żartowali, patrzyli na innych, a nie tylko na tych, komu opowiadali dowcip. Ci, którzy mieli oczy dookoła głowy. Ludzkie pociski antybalistyczne.

Czasami im się nie udawało. Czasami, rzadko, trafiały się zwykłe obiboki. Czasami zaś nawet pociski chybiały. Pahner czuł to w kompanii przed opuszczeniem Ziemi. Zbyt wielu żołnierzy sobie odpuściło – przecież to tylko księżę, na litość Boską.

Ale nie teraz. Ci, którzy przeżyli, byli jak ostrze z Voitan. Raz za razem hartowani, zwijani i przekuwani, a ich rdzeniem nie był Pahner ani nawet Kosutic, lecz księżę. To on był tym śladowym pierwiastkiem, który sprawiał, że ostrze było twarde i giętkie. To wobec niego byli teraz lojalni. Całkowicie. Czy sprawiło to jego przyznanie się do winy, czy szybkie i stanowcze pozbycie się szpiega, którego kompania bardziej niż

kogokolwiek innego winiła za całe zajście w Marshadzie, czy wreszcie to, że kazał go stracić nie z zemsty, lecz dlatego, że zrozumiał odpowiedzialność, jaka wiąże się z władzą, tego kapitan nie wiedział. Cokolwiek to jednak było, zadziało. To już nie była kompania kapitana Armanda Pahnera, eskortująca bezużytecznego księcia, lecz kontyngent batalionu Brąz Osobistego Cesarzowej, pod dowództwem pułkownika Rogera MacClintocka. Kapitan uśmiechnął się.

– „Twoja jest ziemia i wszystko, co na niej, i – co najważniejsze – będziesz Człowiekiem, synu mój.” [3]

* * *

Roger podziękował przedstawicielowi Sadan za miłe słowa. Szeroka, dobrze nawodniona dolina rzeki Hadur była gęsto zasiedlona; we wszystkich kierunkach wychodziły z niej szlaki handlowe. Przez ostatnie kilka tygodni cały region dowiedział się, że nie warto zadzierać z *basik*. Sadan było miastem-państwem położonym najdalej na szlaku podróży kompanii, a jego przedstawiciel obiecał, że ludzie mają otwartą drogą nie tylko przez tamtejsze ziemie, lecz także przez krainy leżące za nimi.

Roger obejrzał *flar-ta*, załadowane rannymi. Dwie juczne bestie obwieszane były noszami, jednak większość marines leczyła rany nóg. Za tydzień będą już chodzić o własnych siłach i przyzwyczajając się na nowo do maszerowania, pomyślał książę i uśmiechnął się do jednego z wyjątków.

– Denat, ty leniwy draniu. Chciałeś się po prostu przejechać!

– Zaczekaj tylko, aż wstanę z tych noszy – powiedział wojownik – to skopię ci tyłek.

– Nie wolno się tak zwracać do księcia – upomniał go ostro Cord, a Roger spojrział przez ramię na swojego *asi*.

– Jemu wolno. W myśl waszych praw Moseyev jest jego *asi*, więc daję mu prawo bycia najbardziej upierdliwym pacjentem. – Książę sięgnął w górę i poklepał szamana po ramieniu. – Dobrze mieć cię znowu przy sobie. Stęskniłem się za tobą.

– I słusznie – prychnął Cord. – Najwyższy czas wrócić do nauki. Ale w koszarach nie było źle. Świetna zabawa. – Dochodzący do siebie Mardukanin wyszedł stamtąd cały czerwony, tak jak Matsugae i Poertena.

– I tak dobrze, że wróciłeś – powiedział Roger i ruszył wzdłuż linii *flar-ta* i marines, poklepując czasem kogoś po ramieniu, pomagając przy zawieszaniu tarczy czy komentując gojenie się ran, aż doszedł na czoło kolumny, gdzie uśmiechnął się szeroko do T’Leen Sula.

Mardukanin skinął mu głową. Ten ludzki gest przyjął się w całej dolinie Hadur. Nowa głowa rady klasnęła z rezygnacją w ręce.

–Bez was nie będzie już tak samo – powiedział.

–Poradźcie sobie – zapewnił go Roger. – Podział ziemi został przeprowadzony sprawiedliwie, chociaż obaj wiemy, że i tak będą skargi. Handel z Voitan pozwoli wam niedługo obniżyć podatki i wciąż prowadzić prace publiczne.

–O czymś jeszcze powinienem pamiętać, o książę? – spytał sucho Mardukanin. – Może powinienem pomyśleć o założeniu funduszu odbudowy kuźni? Zmniejszyć siew *dianda* i zbalansować go jęczmyżem? Pamiętać, żeby załatwiać się do nocnika, a nie na podłogę?

–Tak – zachichotał Roger – coś w tym rodzaju.

Spojrzał wzdłuż kolumny. Mieszkańcy Pasule przeciskali się do marines i wręczali im koszyki z jedzeniem.

Roger uśmiechnął się na widok zbliżającej się sierżant Kosutic, ale uśmiech spelzł mu z twarzy, kiedy zobaczył jej minę.

–Co się stało?

–D'Estrees odebrała transmisję – powiedziała starszy sierżant. – Zaledwie fragment kodu, ale wygląda na to, że ktoś znalazł promy i zameldował o nich w porcie.

–Wspaniale – warknął Roger. Patrzył przez chwilę w chmury, po czym spojrzał na Kosutic. – Powiedziała pani Staremu?

–Tak.

–I co on na to?

–Powiedział, że to dobrze, że pan i Eleanora namówiliście go, żeby po drodze mówić prawdę naszym sprzymierzeńcom – powiedziała sierżant z krzywym uśmiechem. – Coś o zacieraniu za sobą śladów.

–To był dobry pomysł – zgodził się Roger i westchnął. – Mam nadzieję, że ostatecznie okaże się to niepotrzebne.

–Oboje mamy, Wasza Wysokość.

–Dobrze, pani sierżant – powiedział książę i szturchnął ją lekko w ramię. – Chyba będziemy musieli po prostu improwizować, przystosowywać się i przewycięzać przeszkody.

–Jak zawsze, sir – zgodziła się Kosutic i ruszyła na ostateczny obchód.

Roger popatrzył za nią, po czym odwrócił się i spojrział na północny wschód, gdzie na horyzoncie majaczyły góry, kolejna poważna przeszkoda. Miały być wysokie, suche i mroźne, chociaż oczywiście była to opinia gatunku, który dżunglę amazońską uznałby za obszar dotknięty suszą.

–Chyba pora ruszać – mruknął, złapał się opancerzonego wyrostka na łbie Party, postawił stopę na jej kolanie i wciągnął się na grzbiet. Zginął kolejny poganiacz, więc ktoś musiał kierować *flar-ta*. Książę wyciągnął zza pasa kijek poganiacza i podniósł go do góry.

Kolejni poganiacze za nim, Mardukanie i marines, unieśli w odpowiedzi swoje kijki. Wszyscy byli gotowi do wymarszu. Roger spojrział na Pahnera, który pomachał ręką.

–W porządku – powiedział książę do swojej bestii. – Czas ruszać w głąb łądu.

–Ruszamy! – krzyknął. Szturchnął rozwidlonym kijkiem delikatną skórę pod kryzą *flar-ta*. Patty ruszyła przed siebie, a on jeszcze raz popatrzył na góry.

Nie będzie wesoło.

KONIEC tomu 1

[\[1\] W oryginale Dark Lord of the Sixth. Nieprzetłumaczalna gra słów, nawiązanie do uniwersum StarWars i Mrocznych Lordów Sith \(Dark Lords of Sith\).](#)

[\[2\] Hooker w jęz. angielskim znaczy „dziwka”. Ima Hooker – Jestem Dziwką \[przyp. tłum.\].](#)

[\[3\] List do syna – R. Kipling.](#)

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-01-05

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/